



EMMA
DONOGHUE

MUZYKA ŻAB

Literacki thriller o filmowej wręcz fabule,
który przenoszą czytelnika na drugi koniec świata



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

EMMA
DONOGHUE

MUZYKA
ŻAB

Z języka angielskiego przełożyła
Zofia Szachnowska-Olesiejuk



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

FROG MUSIC

Copyright © 2014 by Emma Donoghue Ltd.

This edition published by arrangement with Little, Brown, and Company, New York, New York, USA. All rights reserved.

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by
Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bogumiła Pasioneck-Szachnowska

Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-625-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli

cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1: *Mój miły*

Rozdział 2: *Przepelnia mnie blues*

Rozdział 3: *Szukając miasta*

Rozdział 4: *Ona wypatruje, ona wyczekuje*

Rozdział 5: *Vive la Rose*

Rozdział 6: *Ledwie ciebie poznaję*

Rozdział 7: *Daj się wygrzmocić*

Rozdział 8: *A gdy nadjedzie pociąg mój*

Posłowie

O piosenkach

Przypisy

Margaret Lonergan,

przyjaciółce i muzie, którą jest dla mnie od ćwierć wieku

Rozdział 1

Mój miły

Siedząc na skraju łóżka, Blanche pochyła się, żeby rozsznurować getry.

– *Dors, min p'tit quinquin*¹ – zaczyna nucić cicho, ale jej lekko zachrypnięty głos załamuje się na drugiej wysokiej nucie. Odchrząkuje, oczyszczając gardło podrażnione upalnym powietrzem.

Na zewnątrz słychać pociąg pędzący z San Jose na północ. Przez długą szparę pomiędzy odrapaną framugą okna a zieloną roletą wpada snop światła z latarni lokomotywy, oświetlając na moment wnętrze pokoju: oczom Blanche ukazują się sfatygowana komoda, rama łóżka i Jenny leniwie rozciągnięta na materacu, z głową opartą o wysłużony zagłówek. Gdy towarowe wagony z turkotem mijają Eight Mile House, ściany trzęsą się, jakby były zrobione z kartonu. San Miguel Station, przy której stoi budynek, znajduje się dokładnie na południowej granicy San Francisco – to tutaj miasto wydaje swoje ostatnie tchnienie.

Od dwóch dni razem z Jenny pomieszkuje kątem u McNamarów, starych znajomych Jenny, ale dla niej pozostają oni nadal całkiem obcymi ludźmi. Jak długo jeszcze będzie uziemiona w tej czteropokojowej budzie na spalonych słońcem obrzeżach San Francisco, które nie zasługują nawet na miano przedmieść? I skąd będzie wiedzieć, że jest już na tyle bezpiecznie, żeby móc wrócić?

Blanche zsuwa lewą nogawkę wraz z osłanianym przez nią trzewikiem, ale sznurowadła w prawej gdzieś się splątały. Przy świetle sączącym się z jednego ogarka nie może znaleźć supła. Długimi paznokciami skubie tasiemki, śpiewając:

Dors, min p'tit quinquin,

Min p'tit pouchin,

Min gros rojin...

Śpij, moja dziecino, mój mały kurczaczku, mój tłusciutki rodzyнку.

Tym razem stara melodia gładko płynie z jej ust, bez jednej fałszywej nuty. Śmieszna pikardyjska kołysanka, którą śpiewała jej babcia na ciasnym poddaszu w Paryżu.

– *Dors, min p'tit quinquin, min p'tit pouchin...* – podchwytuje Jenny refren, jakby puszczała liść z nurtem leniwie płynącej rzeki.

Blanche wciąż nie może się nadziwić, jak szybko ta dziewczyna potrafi nauczyć się nowej piosenki. Wystarczy, że usłyszy ją tylko raz.

– Jak to idzie dalej? – pyta Jenny, wspierając się na łokciu. Na jej brązowych policzkach błyszczą krople potu. Spuchnięta skóra pomiędzy nosem i brwiami z każdą chwilą robi się coraz ciemniejsza. Rano będzie miała dwoje idealnie podbitych oczu.

Ale Blanche nie chce teraz o tym myśleć. W końcu sama Jenny nigdy nie rozpamiętuje przeszłości. Dumnie obnosi się ze swoimi sińcami, jakby to był element odświętnego stroju. A poza tym opuchlizna zawsze szybko schodzi.

Blanche, wciąż siedząc na skraju łóżka, prostuje plecy i śpiewa dalej:

Te m'f'ras du chagrin

Si te n'dors point qu'à d'main.

– „Zamknij dziób, moja dziecino, zanim ja ci go zamknę” – tłumaczy w przybliżeniu Jenny, kiwając przy tym głową. – Pewnie większość kołysanek się do tego sprowadza.

Blanche nagle zaczyna brakować tchu. Przed oczyma staje jej obraz P'tita. Surowa dłoń spada na jego twarz, żeby go

uciszyć. Nie ma pojęcia, gdzie on teraz jest. Gdyby chociaż wiedziała, że wszystko z nim w porządku, tylko tyle. Ciekawe, czy Jenny choć raz w życiu pomyślała, zanim otworzyła ten swój cholerny dziób.

Ale jej przyjaciółka ma już na wpół przymknięte powieki i niczym kot mości się w pościeli. Poobijana twarz Jenny, odcinająca się na tle nocnej koszuli pożyczonej od McNamarów, przywiera do miękkiej poduszki i dziewczyna pogrąża się we śnie.

Blanche zadziera spódnicę, po czym kładzie prawą stopę na lewym kolanie, żeby lepiej móc się przyjrzeć poplątanyemu sznurowadłom. Szorstkie płótno getrów przylega ciasno do jej łydki niczym wężowa łuska, której nie da się zrzucić. Zachlapaną błotem drewniana podłoga, brudne prześcieradła, w całej tej chałupie pewnie aż się roi od pcheł i wszy. Blanche pochyla się niżej, żeby rozsypać tasiemki. Jeszcze kilka sekund i supeł będzie rozwiązany. Jej płuca wypełniają się powietrzem, rozpychając klatkę piersiową, skórę, gorset i stanik, gdy znów zaczyna nucić łagodnym głosem: *Te m'f'ras du chagrin...*

Huk jest tak potężny, że w pierwszej chwili bierze go za odgłos grzmotu. To pewnie rozpalone niebo wreszcie eksplodowało, kierując ostrza swych piorunów wprost na dach Eight Mile House. *Nie powinnam była śpiewać*, wyrzuca sobie Blanche, którą nagle ogarnia zabobonny lęk, że swym śpiewem sprowadziła burzę.

– *Qu'est-ce²...* – Czy to początek pytania zadanego przez Jenny, czy tylko jej ciężki oddech?

Świeca zgasła i pokój pogrążył się w całkowitej ciemności; na tym odludziu nie ma żadnych świateł.

– Czekał – mówi Blanche, zrywając się na równe nogi. Na jej prawej stopie wciąż tkwi niezdzęty but. W powietrzu unosi

się ostra woń siarki – pierwszy raz spotyka się z takim zapachem podczas burzy. A może to fajerwerki? Tylko z jakiej niby okazji miałoby puszczać sztuczne ognie czternastego września?

Z podwórza dobiega wściekłe ujadanie psów. Co mogło zgasić świecę? Przewrócić ją, rozpryskując dookoła gorący воск? Bo to chyba właśnie воск spływa jej po twarzy?

– John! – słycać krzyk Ellen McNamary, która woła swojego męża z pokoju na tyłach domu.

W sypialni rozlega się głucho uderzenie. Coś spadło na ziemię tuż obok Blanche. Może to miednica zleciała z komody?

– John!

Z prawego policzka Blanche spływają krople. Są jak parzące łzy, choć ona wcale nie płacze. Kiedy próbuje je otrzeć, czuje ukąszenie. Czyżby ugryzł ją jakiś monstrualnych rozmiarów komar? Nie, to nie żaden insekt. To musiało być coś ostrego.

– *Merde*³, ktoś mnie drasnął! – jej krzyk rozdziera duszną ciemność.

Jenny nie odpowiada. Za cienką ścianą sypialni trzaskają drzwi. Do uszu Blanche docierają przytłumione wrzaski McNamary, jego żony i dzieci, ale nie jest w stanie rozpoznać poszczególnych słów.

Blanche traci równowagę. Drewniane deski skrzypią pod jej nagą stopą. Szkło. To pewnie szklany odłamek zadrasnął ją w policzek. Piorun roztrzaskał okno i wypalił dziurę w roletcie, przez którą sączy się teraz mętne światło księżyca. Blanche dyszy z wściekłości. Czy te psy kiedyś się wreszcie zamkną? Przez to ujadanie człowiek nie słyszy własnych myśli. Blanche rozgląda się po pokoju.

– Jenny?

Strzepując ze stopy odłamki szkła, gramoli się na łóżko, ale

Jenny już na nim nie ma. Przecież nie mogła stąd wyjść, nie otwierając drzwi, prawda?

Pod palcami czuje mokrą pościel. Skąd ta wilgoć?

Jej oczy powoli przyzwyczajają się do bladej księżycowej poświaty. W kącie pomiędzy ścianą a łóżkiem dostrzega poruszający się kształt, który jednak nie przypomina człowieka. Nienaturalnie powykręcane ramiona, nieprzyzwoicie zadarta koszula nocna, chude nogi umazane krwią i znajoma, choć karykaturalnie wykrzywiona twarz.

Jenny!

Blanche wzdraga się na ten widok.

Mija sekunda. Potem kolejna.

Zmusza się, żeby dotknąć ręką... żeby poczuć, żeby przynajmniej mieć pewność... ale gdy spod jej palców tryska istny gejzer, odskakuje z wrzaskiem, lądując po drugiej stronie łóżka. Kurczowo chwytą się poplamionej pościeli.

Przez drzwi wdziera się snop światła: w progu staje McNamara z lampą.

– Panno Blanche, ktoś do pani strzelał?

Blanche, mrużąc oczy, spogląda w dół. Całe ubranie ma czerwone.

Niecały miesiąc wcześniej, saloon House of Mirrors, chińska dzielnica San Francisco.

Pianino, pierwsze delikatne akordy walca, maleńka scena, a na samym środku, niczym rozkwitający pąk, ona. Blanche. Tego wieczoru cała w bieli, tak jak sugeruje jej pseudonim sceniczny. Zaczyna bardzo powoli, majestatycznie, z niewinnością typową dla młodej, jeszcze naiwnej debiutantki – na tym polega magia tańca burleskowego. Subtelnie, nieśmiało,

jakby właśnie sama odkrywała lśniące kaskady białej satyny wytryskujące z jej talii aż po same czubki palców, Blanche zatacza koła na niewielkim podeście. Owija się błyszczącym materiałem (ponad trzynaście metrów tkaniny), rozkoszując się tym, jak delikatnie muska jej ciało.

Stara się zachowywać tak, jakby w ogóle nie zauważała mężczyzn, którzy siedzą w ciasno ustawionych rzędach krzeseł obitych karmazynowym aksamitem, jakby ich tam w ogóle nie było. W ten sobotni sierpniowy wieczór, choć godzina jest jeszcze wczesna, Grand Saloon już pęka w szwach. Światło lamp odbija się w wielkich, sięgających od podłogi aż po sam sufit lustrach, a czerwone ściany i dobrany pod kolor puszysty dywan niemalże pulsują od gorąca. Blanche czuje, jak pod falbaniastym gorsetem strugi potu spływają jej po skórze. Mimo to w swoich ruchach zachowuje pełną grację, niczym łabędź rozpościerający swe mlecznobiałe skrzydła. Oplata ciało obszerną satynową spódnicą, by uwypuklić kobiece kształty. W tej chwili *michetons*⁴ wychylają się ze swoich krzeseł, pragnąc przebić wzrokiem materiał, ale ona tylko rzuca im przelotne spojrzenie.

Łagodna melodia Delibesa ustępuje miejsca bardziej wyrazistemu tematowi muzycznemu. Blanche zaczyna sunąć, podskakiwać i wirować. Każdą figurę perfekcyjnie doprowadza do końca. Zbliży twarz do kolana i wyrzuca nogę w tył, jakby palcami stopy chciała dotknąć połączonych kasetonów na suficie. Spódnica zsuwa się po jej udzie, zaczepiając lekko o cienkie pończochy. Jeszcze chwila i całkiem wywinie się na lewą stronę. Na widowni kilku mężczyzn wstrzymuje oddech, choć tak naprawdę jeszcze nic nie widać – Blanche doskonale zdaje sobie sprawę, że najbardziej podnieca ich to, co sami muszą sobie wyobrazić. W tym momencie muzyka na powrót się

uspokaja, a ona prostuje ciało i znów zaczyna tańczyć walca. Na jej twarzy nieprzerwanie maluje się wyraz spokoju i niewinności.

Michetons, którzy słono płacą za możliwość obejrzenia jej tańca, mają złożone potrzeby: pragną być podnieceni i odtrąceni niemal w tym samym momencie. Blanche to zawodowa *allumeuse*⁵ – jest specjalistką w sztuce uwodzenia, wie, jak rozniecić w mężczyźnie płomień pożądania tylko po to, by go za chwilę zdmuchnąć.

Ma ten numer świetnie przećwiczony. Zna na pamięć każdy takt towarzyszącego mu słynnego walca Swanhildy, dlatego może sobie pozwolić na to, by myślami być teraz gdzie indziej. Jak się nazywało to włoskie chuchro, pierwsza wykonawczyni roli Swanhildy podczas premiery *Coppélii*, na której byli w Paryżu? Pięć, nie, sześć lat temu. Blanche doskonale pamięta, jakim zachwytem napawał ją każdy piruet. Któregoś dnia podczas oblężenia Arthur przyniósł do domu wiadomość o śmierci tej małej Włoszki. Kiedy Prusacy podeszli pod bramy miasta, nawet największym primabalerinom wstrzymano pensje. Podobno dziewczyna grająca Swanhildę przymierała głodem, a potem zaraziła się ospą i zmarła w dniu swoich siedemnastych urodzin.

A niech to szlag! Blanche za wszelką cenę stara się nie dopuszczać do siebie myśli o zarazie, która dotknęła San Francisco w maju tego roku. Ospa – już na sam dźwięk tego słowa wszystko zaczyna ją swędzieć.

Niewiele brakuje, żeby się potknęła. Jednak już w następnej chwili przyjmuje właściwą pozę, bardzo klasyczną: umykająca nimfa zmieniona w marmurowy posąg. Gdy w końcowej partii walca melodia staje się mroczna, Blanche tak bardzo odchyła się do tyłu, że palcami dłoni prawie dotyka desek podłogi. Zaczyna

wirować, a jej ciało przypomina kielich białej lilii, bezwolnie obracający się i kołyszący na cienkiej łądydze.

Muzyka wzbiera i narasta w szaleńczym tempie. Nagle Blanche wyprostowuje się jak struna, otulając falującą spódnicą całą scenę. Towarzyszą jej przy tym dudniące, triumfalne dźwięki. Gdy następuje *crescendo*, dotyka pleców na wysokości talii, chwyta ukrytą tasiemkę i w tej samej chwili spódnica szybuje w górę. Kremowa satyna niczym albatros pikuje wprost na widownię, lądując na dwóch starych milionerach. Ich rozbawione okrzyki rozładowują napięcie, i o to właśnie chodzi – w prawdziwej burlesce nie może przecież zabraknąć śmiechu.

Blanche, która ma na sobie już tylko gorset, półprzezroczyste pończochy i białe, marszczone pantalony, zaczyna ssać koniuszek palca, udając niewinne dziewczątko, wprawione w zakłopotanie zachłannymi spojrzeniami mężczyzn. Siedzący przy pianinie Profesor wie, że musi teraz poczekać. Pierwszą zwrotkę Blanche śpiewa *a cappella*, niczym żebraczka o bladej skórze stojąca na rogu ulicy:

*Możesz mieć jedną dziewczynę, mój miły,
Możesz mieć jedną dziewczynę, mój miły,
Na dwie nie starczy ci siły, mój miły,
Możesz mieć tylko jedną.*

W tym momencie włącza się pianista i występ zaczyna nabierać rumieńców.

Gdy dwie ci narai twa żądza pazerna, nie myśl, mój miły, że będę ci wierna – ostrzega Blanche zebrany na sali tłum mężczyzn, grożąc im wilgotnym palcem.

W chwili gdy po raz pierwszy usłyszała tę piosenkę, nuconą fałszywie na tyłach tramwaju, od razu wiedziała, że można z niej zrobić estradowy numer. Po każdej zwrotce wykonuje króciutki taniec. W miarę śpiewania zdobywa wiedzę. Dojrzewa na

oczach publiczności. Gdy dochodzi do czwartej strofy, jej ruchy w światłach rampy stają się coraz bardziej bezwstydne. *Nie możesz rzucać się na cztery, bo sama cię rzucę, do cholery.* „Nie możesz” – domaga się jej głos, lecz taniec mówi co innego: „możesz, możesz, możesz”. Porusza biodrami, jakby reagowała na dotyk wyimaginowanych rąk. Tańczy tak, jak tańczyły starożytne tancerki, odkąd tylko pojawiły się na tej ziemi, od zarania ociekających potem dziejów ludzkości.

*Nie pozwolę ci na pięć,
Jeśli na mój miód masz chęć,
Mój miły, nie pozwolę ci na pięć.*

Blanche uderza fala gorąca. W głowie dokonuje pobieżnych obliczeń: pięćdziesiąt dolarów za ten występ, plus pieniądze, które uda jej się zarobić po pokazie, podczas prywatnych *rendez-vous* z klientami. Każde wygięcie ciała, zakołysanie biodrami, wydęcie warg czy jakikolwiek inny sugestywny ruch przelicza na dolary, co tylko dodaje jej animuszu. Tańczy z jeszcze większą ikłą, a w jej oczach pojawia się błysk. *Jeśli skusisz się na sześć, już ci nie będę z ręki jeść* – łaje wpatrzonych w nią widzów, serią szybkich kopnięć strącając kapelusze z głów kilku mężczyzn siedzących w pierwszym rzędzie. Jeden z klientów, cały czerwony na twarzy, wydaje z siebie tak głośny jęk rozkoszy, że Blanche zaczyna się niepokoić: wygląda, jakby zaraz miał paść rażony atakiem apopleksji.

Na tyłach sali Grand Saloon stoi przypominająca zakonnicę kobieta w szarości, właścicielka saloonu, Madame Johanna Werner. Spogląda w stronę Blanche i nieznacznie kiwa głową, dając tym samym wyraz aprobaty.

Blanche robi szpagat w powietrzu i zaczyna lekko dyszeć, by jeszcze bardziej podgrzać atmosferę.

Jeśli osiem z tobą spotkam,

*To cię nie wpuszczę do środka,
Mój miły, nie wpuszczę cię do środka.*

Czyżby pominęła siódmą zwrotkę? Co za różnica. Już jest na czworakach i potrząsa biodrami, rzucając mężczyznom przez ramię kokieteryjne spojrzenie. *Jeśli dziewięć zechcesz kochać, zabieraj rzeczy i wynocha.* Jej ciało gwałtownie się wygina, jakby mocowała się z jakimś niewidzialnym kochankiem. *Aż dziesięć dziewcząt za tobą chodzi? Jak możesz znowu mi to robić...*

Przy dwunastej strofie zamyka oczy i z pasją wyśpiewuje kolejne wersy:

*Jeśli dwanaście u ciebie znajdę,
Chyba się sama sobą zajmę,
Mój miły, sama się sobą zajmę.*

Jej głos załamuje się, po czym Blanche daje upust swojej desperacji. Odchyła pasek i jedną rękę wsuwa w pantalon. Potem drugą. Mężczyźni wydają z siebie jęki, wiercąc się na swoich aksamitnych krzesłach. Wszystkie *cigares*⁶ stoją na baczność. Ona sama również jest podniecona. Jej talent do tej roboty polega na tym, że nie musi niczego udawać. Każdy impuls przeszywający jej wilgotną, wąską szparkę jest prawdziwy.

Blanche leży teraz na plecach, nogami młóćąc powietrze. Zaatakowana przez niewidzialny tłum lubieżnych upiorów. Z trudem łapiąc oddech, śpiewa: *Na trzynaście ci nie pozwolę, nie chcę, by znów zaczęło boleć...*

Kiedy owego wieczora wychodzi z hotelu International, rękawy natychmiast przyklejają jej się do ramion. Czarny jak smoła odźwierny przytrzymuje jej drzwi. Cwierćdolarówka, która ląduje na jego różowej dłoni, cała aż klei się od potu Blanche.

Stojący na rogu ulicy katarzyniarz kręci korbą, wydobywając z instrumentu melodię „Marszu triumfalnego” z *Aidy*. Dokładnie to samo grał ponad godzinę temu, kiedy wysiadła z dorożki, którą przyjechała do hotelu. Mężczyzna jest naprawdę wytrzymały, trzeba mu to oddać. Katarzynka jak nic waży z pięćdziesiąt kilo i choć opiera się na jednej rachitycznej nóżce, pasek, na którym zawiesił ją sobie na szyi, ciągnie mu ramiona w dół z siłą młyńskiego kamienia. Żona katarzyniarza apatycznie pobrzękuje tamburynem, akcentując co czwarte uderzenie, podczas gdy ich spaniel podryguje bez życia, prezentując wyuczone kroki.

Zapada zmierzch, promienie słońca bledną, a mimo to jest coraz bardziej duszno i parno. *L'heure bleue*⁷, jak mawiali w domu. Niebieska godzina. Moment, w którym niebo przybiera barwę głębokiego błękitu, a postrzępiona linia horyzontu okrywa się czernią. Oczywiście, zdaniem Blanche, ta absurdalna metropolia nie umywa się do Paryża, choć niektórzy nazywają San Francisco Paryżem Zachodu. Stolicą Zachodu, tak, z tym się można jeszcze zgodzić, ale Paryżem? Przecież San Francisco jest dziesięć razy mniejsze od Miasta Świateł, a do tego nie ma tu ani jednego porządnego bulwaru, promenady czy nawet zwykłej ulicy, która zasługiwałaby na to miano. Miejscowi mówią po prostu „miasto”, jakby na całym świecie istniało tylko to jedno. Same wzgórza, przypominające wymiętą, niedbale zrzuconą przez olbrzyma pierzynę. Przez ostatnie półtora roku, od chwili gdy przyjechała z Francji, codziennie przemierza wśród morza ludzi mrówek te strome stoki, ale chyba nigdy nie przywyknie do przyprawiających o zawrót głowy wzniesień i spadków terenu.

Jest zmęczona. Jednak wcale nie z powodu występu w saloonie House of Mirrors czy lampki szampana wypitej

w hotelu International razem z klientem, którego przed chwilą zostawiła, zdyszanego, w eleganckiej hotelowej pościeli. (To nie był żaden z jej stałych klientów, tylko będący tu przejazdem milioner. Zatrzymał się w mieście na jedną noc i ubłagał Madame Johannę, żeby wcisnęła go na pierwsze miejsce w kolejce do niej. Prawdę mówiąc, woli jednorazowe numerki, bo o wiele łatwiej jest wyrzucić piorunujące wrażenie na kimś, z kim się to robi jeden jedyny raz). Nie, to ten dziwny upał ją wykańcza. Lato zaczęło się całkiem normalnie: ciepłe podmuchy wiatru rozwiewały poranne mgły, ale teraz, w drugiej połowie sierpnia miasto wręcz się dusi. W powietrzu unoszą się cuchnące opary wszystkich brudów produkowanych przez mieszkańców San Francisco. Jedna z gazet dotarła do pewnego ekscentrycznego jegomościa, który od dnia swojego przyjazdu w 1849 roku codziennie notował temperaturę. Tegoroczne lato, 1876, okazało się najgorętszym latem w historii jego rejestru: słupek rtęci każdego popołudnia wskazywał 32°C.

Pół przecznicy dalej, w Chinese Royal Theater przy Jackson Street, wciąż ciągnie się ta sama opera: skrzypiące smyczki, bębny i gongi. Blanche potrząsa głową, żeby oczyścić umysł. Skręca w Kearny Street i przyspiesza kroku. Fuksjową spódnicą zamiata drewniany chodnik, a spod jej obcasów wzbijają się kłęby kurzu. Za dziesięć minut będzie w swoim mieszkaniu. Zrzuci z siebie to przepocone ubranie i może wypije drinka razem z Arthurem, jeśli oczywiście jest w domu.

Pony Express Saloon już dziś reklamuje wrześnieowy Wielki Turniej Walk Psów. Na widok wywieszanej nad drzwiami sklepu z damską odzieżą niewielkiej żółtej flagi sygnalizującej ospę, Blanche wstrzymuje oddech i gwałtownie odskakuje w bok. Czerwone plamy na twarzy, rękach, stopach – to właśnie takich śladów należy wypatrywać na swoim ciele, jak

wyjaśniają tak zwani eksperci. Tyle tylko, że jakoś nie mogą dojść do porozumienia co do tego, w jaki sposób następuje zakażenie: czy przez wdychanie trujących wylęgów, które wydobywają się z ziemi, czy może za sprawą niewidzialnych mikrobów przeskakujących z osób chorych na zdrowe. Zresztą kto by wytrzymał całe lato zamknięty w czterech ścianach, nieustannie wstrzymując oddech?

Mija po drodze Bella Union Theater, skąd dolatuje skandowanie tłumu oczekującego na program rewii – z tego, co słyszy, mają dziś pełną widownię. Ice Cream Boudoir też pęka w szwach. Tylko ratusz świeci pustkami, jeśli nie liczyć jednego więźnia zamkniętego w areszcie. W chwili gdy przechodzi obok ratuszowej sutereny, mężczyzna tłucze w okienne kraty. Wystraszona Blanche aż podskakuje.

Dochodzi do placu Portsmouth Square: ogrodzenie z połączonych żelaznych prętów przypominających swym kształtem włócznię, konfetti oklapłych kwiatowych rabat. Pod rozłożystymi koronami drzew, niczym rzucone na stos trupy na polu bitwy, drzemiący ludzie. W fontannie szamocze się dwóch pijaków: walczą o miejsce pod samym strumieniem wody. Dookoła fontanny w bezpiecznej odległości krążą dzieci i zbierają się na odwagę, by podbiec i ochlapać twarz. Patrząc na całą tę scenę, Blanche zaczyna odczuwać pragnienie, ale nie ma ochoty przeciskać się pomiędzy uliczną dzieciarnią i kloszardami, żeby napić się wody.

Słońce skrywa się za horyzontem i na ulicach robi się tłoczno. Ludzie wylegają ze swoich dusznych pokoi. Blanche spogląda na zachód, w stronę Nob Hill. Widzi, jak ostatnie promienie pogrążają się w wodach Pacyfiku. Na rogu Clay Street dostrzega starą, jednooką kobietę, która taszczy poplamioną walizkę. Chcąc zejść jej z drogi, postanawia przejść

na drugą stronę ulicy, ale najpierw musi przepuścić rozklekotany tramwaj konny. Pod cienkimi podeszwami butów czuje rozgrzane kocie łby, kształtem przypominające zaciśnięte pięści. Kamienie parują, wydzielając żar zgromadzony w ciągu całego dnia. Gdy tramwaj ją mija, Blanche robi krok i wchodzi na ulicę, cały czas patrząc pod nogi, by w mętym świetle zmierzchu nie wdepnąć w końskie łajno, przez co w ogóle nie zauważa tego, z czym zaraz się zderzy.

Czarna kierownica, która wygląda jak poroże – tylko tyle jest w stanie dostrzec kątem oka, bo dokładnie w tej samej chwili gigantyczne szprychy wciągają jej fuksjową spódnicę. Bicykl, jakby pod naporem siły jej krzyku, łamie się w pół, a przynajmniej tak to wygląda. Z impetem upada na jedną stronę, rowerzysta leci w drugą, a poturbowana Blanche ląduje na ziemi.

Próbuje się podnieść, ale prawa noga nie jest w stanie utrzymać ciężaru ciała. W ustach ma zbyt sucho, żeby splunąć.

Chudy jak szczapa rowerzysta podskakuje żywo niczym klaun, rozcierając łokieć.

– *Ça va, mademoiselle?*⁸

Jest spostrzegawczy: ze stroju Blanche bezbłędnie odgaduje jej narodowość. Do tego ma tak samo francuski akcent, jak i ona. Ale ten głos...

Blanche uświadamia sobie nagle, że nie ma do czynienia z mężczyzną ani też z chłopcem. To dziewczyna, choć z pewnością nie świadczy o tym szara marynarka, kamizelka, spodnie i kruczoczarne włosy ścięte równo z linią opalonej szczęki. Właśnie takimi cudakami szczyci się to miasto – co zresztą tylko pogłębia jej irytację, bo całe zdarzenie nabiera nagle komediowego charakteru, jakby to był jakiś głupi kawał, i nieważne, że na czyjejs spódnicy wylądowało *merde*.

Jadący ulicą wóz gwałtownie skręca, omijając Blanche, lecz końskie kopyta są na tyle blisko, że musi się cofnąć. Próbuje się podnieść na kolana, ale spódnica krępuje jej ruchy.

Młoda kobieta w spodniach wyciąga do niej rękę, szczerząc zęby w uśmiechu. Blanche odtrąca jej dłoń. Nie dość, że ją potrafiła, to jeszcze śmieje się złośliwie...

W tym momencie do jej uszu dociera pisk hamulców. Na skrzyżowaniu pojawia się kolejny wóz, który zmierza w ich stronę. Nieznajoma znów, tym razem z przesadną, teatralną wręcz kurtuazją, podaje jej rękę. Blanche chwytając się chłodnych palców i stając na nogi, słysząc, jak pod pachą pęka jej szew. Chwiejnym krokiem, z przekrzywioną turniurą na biodrze, wraca na chodnik i próbuje rozruszać obolałą nogę.

Nagle spostrzega, że została sama. Szalona rowerzystka jest już kilka domów dalej i wrzeszczy coś po angielsku do *gamins*⁹, którzy skorzystali z okazji i porwali jej fantazyjny pojazd. Dobrze jej tak!

W czasie gdy Blanche poprawia turniurę i strzepuje brud ze spódnicy, dziewczyna pojawia się z powrotem. Przycupnięta na gigantycznym przednim kole, sunie w jej kierunku, a gdy dociera do celu, przerzuca nogę nad ramą, zeskakuje na ziemię i podbiega do niej.

– Jenny Bonnet – oznajmia, jakby przynosiła dobre wieści. Teraz jej akcent jest na wskroś amerykański, mimo że wymawia swoje nazwisko z francuska, z niemym „t”. – A ty jak się nazywasz?

– Nie twój interes! – Blanche zdmuchuje kosmyk włosów, który przykleił jej się do wilgotnej wargi, i przybiera najbardziej arystokratyczny brytyjski akcent, na jaki ją stać, bo przecież brak kilku centymetrów wzrostu zawsze można nadrobić wyniosłością. – Słuchaj, dziewczyno, chłopaku, czy kim tam

jesteś – mówi – następnym razem, kiedy postanowisz urządzić sobie z ulicy swój prywatny plac zabaw...

– Fakt, ciężko się prowadzi to cholerstwo – wtrąca Jenny Bonnet, kiwając głową, jakby przytakiwała swojej rozmówczyni. Z bliska widać, że jest od Blanche wyższa o jakieś piętnaście centymetrów. – Ale nie zrobiłam ci krzywdy, prawda?

– Jestem cała posiniaczona – rzuca Blanche rozdrażnionym tonem.

– No ale nie połamałam ci kości, nie? – Dziewczyna ostentacyjnie ogląda ją od stóp do głów, wyszczerzając zęby w uśmiechu. – Nie doszło do rozlewu krwi *per se*.

– Mogłaś nas obie zabić, ty idiotko!

– Jeśli już o tym mowa, to równie dobrze mogłam dziś rano spaść z parowca płynącego do Limy, a ty mogłaś zarazić się śmiertelną chorobą – mówi Jenny, wskazując kciukiem żółtą chorągiewkę wywieszoną na trafice tuż za ich plecami.

Blanche gwałtownie się odchyła i odsuwa kilka kroków dalej.

– Ale wygląda na to, że obie jesteśmy całe i zdrowe, tak samo jak moje dwa kółka – to mówiąc, Jenny wydaje z siebie kowbojski okrzyk.

Co dziwne, Blanche powoli zaczyna przechodzić złość. Może to za sprawą delikatnego szumu bryzy wzbierającej nad zatoką, gdzie maszty objętych kwarantanną dżonek i kliperów lekko się kołyszą, no chyba że to złudzenie optyczne w zapadającym zmierzchu. A może to dzięki łagodnej melodii, którą ktoś wygrywa na flecie w mieszkaniu na piętrze. W kawiarniach i sklepach przy Kearney Street zapalają się światła i wkrótce chińska dzielnica rozbłyśnie niczym karuzela.

– Chodź, postawię ci drinka – proponuje Jenny, ruchem

głowy wskazując na knajpkę „Durand’s”.

Blanche zawsze z ochotą przyjmuje takie propozycje.

– W ramach przeprosin? – pyta.

– Proszę bardzo, jeśli tak chcesz to potraktować. Dla mnie przeprosiny nie są warte funta kłaków.

Blanche unosi brwi.

– Jeśli naprawdę jest ci przykro, inni zaraz to poznają – stwierdza Jenny. – Nadmierne wodolejstwo po prostu nie ma sensu – dodaje, po czym kładzie bocykl pod drzwiami knajpki i skinieniem przywołuje stojącego nieopodal chłopca, żeby go popilnował.

– Nie sądzisz, że ten dzieciak może uciec z twoim rowerem równie szybko jak tamci? – pyta Blanche z drwiną w głosie.

– Nie, bo wiem, gdzie mieszka.

Ta odpowiedź nieco zbija Blanche z pantafyku.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że takie pętaki mają gdzieś jakiś dom.

Jenny zadziera głowę i wskazuje na koślawy okap knajpy.

– To chłopak Duranda.

Kiedy obie przekraczają próg cuchnącego czosnkiem pomieszczenia, kilku klientów spogląda w ich stronę, ale nikt nie zwraca większej uwagi na młodą dziewczynę w spodniach. Ta Jenny musi być tutaj stałą bywalczynią, myśli Blanche.

Monsieur Durand wita ją skinieniem głowy i rękawem koszuli wyciera kontuar. Jego sumiaste wąsy ociekają woskiem. Po chwili wraca za ladę, z hukiem stawiając na niej kieliszki i karafkę wina. Blanche nalewa sobie alkohol i bierze głęboki łyk. Uff, od razu lepiej. Ociera pot z powiek.

– Nie jest ci za gorąco w tych wszystkich ciuchach? – zwraca się do Jenny. Ale ta w odpowiedzi wzrusza tylko ramionami, nalewając sobie kieliszek wina. – Już nie mogę się

doczekać września, kiedy wreszcie zrobi się chłodniej.

– Ale nasze miasto to wyjątek od każdej reguły – stwierdza Jenny. – Zdarza się, że największy upał jest w październiku.

Blanche reaguje na tę wizję zboliałym jękiem.

Durand przynosi dwie miski *cuisse de grenouille au beurre noir*¹⁰, których wcale nie zamawiały. Blanche nagle uświadamia sobie, jak bardzo jest głodna. Od razu zabiera się do jedzenia, odrywając zębami twarde, aromatyczne mięso z żabich udek.

– Smakują dużo gorzej niż te we Francji – stwierdza po chwili.

– Nieprawda, są o wiele lepsze – zaprzecza Jenny i wydaje pomruk zadowolenia, przeżuwając mięso. – Nie żyją dopiero od dziesięciu minut, w tym cały sekret. Chociaż mogłyby być odrobinę mniej słone – stwierdza, po czym rzuca w stronę Duranda: – Powiedz mu, że sypie jeszcze za dużo soli.

Właściciel knajpy kciukiem odgarnia wąsy znad zaciśniętych ust.

– Portal! – ryczy przez ramię.

– Od jak dawna tu jesteś? – zwraca się Jenny do Blanche.

– Od półtora roku.

– A czemu zostałaś?

Blanche jest zaskoczona tym pytaniem.

– Czy ty nie masz żadnych manier, panienko?

– Ależ mam – ripostuje Jenny – tyle tylko, że raczej nie można nazwać ich dobrymi. Nieoszlifowany diament. Oto cała ja.

Blanche przewraca oczami.

– A mogę wiedzieć, dlaczego miałabym stąd wyjechać? – pyta.

– Bo większość ludzi wpada tu tylko na chwilę – stwierdza

Jenny. – Jakby San Francisco było ustami, które w całości połykają przybyszów, a reszta Ameryki brzuchem, w którym kończą swoją podróż.

Blanche krzywi się, słysząc takie porównanie, i nalewa sobie więcej wina. O ile dobrze pamięta, Kalifornię wybrał Arthur. Ona sama nie umiałaby znaleźć jej na mapie. Wszyscy Francuzi, z którymi rozmawiali na statku, podobnie jak ona, Arthur i Ernest wybrali jedno z wielkich miast: Nowy Jork, Chicago albo właśnie San Francisco, gdzie – z tego, co słyszeli – oprócz gościnności można też liczyć na dobre pieniądze w branży rozrywkowej.

– Przyjechaliśmy tutaj, bo doszły nas słuchy, że każdy może tu nosić kapelusz na bakier, jeśli tylko ma na to ochotę, i zostaliśmy chyba z tego samego powodu.

– „Nas”? Jakich „nas”?

Ale Blanche ma już dosyć tego przesłuchania.

– A ty kiedy tu przyjechałaś?

– Portal! – znów słysząc krzyk Duranda.

– Miałam trzy lata – mówi Jenny, lśniącymi zębami skubiąc ostatnie żabie udko – ale już wtedy byłam wybredna w kwestii tego, co jem.

– A teraz?

– Nadal jestem wybredna.

– Nie, nie – tłumaczy Blanche – chodziło mi o to, ile teraz masz lat.

– Dwadzieścia siedem – odpowiada Jenny ze śmiechem.

Doprawdy?

– Hmm. Jesteś trzy lata starsza ode mnie... No ale ja też przecież wyglądam jeszcze całkiem młodo, prawda?

Jenny uśmiecha się od ucha do ucha, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając.

– To pewnie przez ten twój ubiór – wzdycha Blanche, patrząc wymownie na jej spodnie. – Nosisz się dość niekonwencjonalnie, ale trzeba przyznać, że taki strój odejmuje ci lat.

Z pewną dozą niepokoju łapie się na tym, że przekomarzają się, jakby były dobrymi znajomymi. A przecież ona z zasady nie zaprzyjaźnia się z kobietami.

W kuchennym okienku pojawia się ponura twarz mężczyzny, a Durand natychmiast na niego naskakuje.

– Jenny mówi, żebyś nie przesadzał z solą.

To musi być Portal, domyśla się Blanche.

Kucharz wykonuje obsceniczny gest w kierunku Jenny, a ta rzuca w odpowiedzi:

– Wiesz, że mam rację, *mon vieux*¹¹.

– Ty się lepiej zajmij łażeniem po bagnach – odparowuje Portal. Ociera czoło rękawem, po czym znika w kuchni.

– No więc coś ty za jedna? – nie daje za wygraną Jenny, znów zwracając się do Blanche. – Opowiedz mi o sobie.

– Czekał, czekał. Jakie łażenie po bagnach? – pyta zaintrygowana Blanche.

– To ja złapałam te żaby, wczoraj w nocy. Nad jeziorem Merced – wyjaśnia Jenny, unosząc palcami lśniąca kostkę.

– Tym się zajmujesz? Polowaniem na żaby? – To faktycznie tłumaczyłoby dziwaczny strój tej młodej kobiety. – Nie boisz się, że dostaniesz od tego kurzajek?

– To tylko głupi zabobon – stwierdza Jenny i na potwierdzenie swoich słów wyciąga przed siebie drobne dłonie: są opalone, ale całkiem gładkie.

– Nie mogłabyś robić czegoś mniej... no wiesz, mniej obrzydliwego?

– Najwyraźniej niewiele rzeczy mnie brzydzi. W tym

mieście jest trzysta restauracji, a wszystkie francuskie i chińskie serwują żaby.

– Ale to przecież takie paskudne, pokraczne stworzenia.

– Pokraczne? Chyba nie widziałaś nigdy, jak one pływają.

Blanche uświadamia sobie, że właściwie nigdy nie widziała żywej żaby, nie licząc tych sprzedawanych w beczkach na Dupont Street.

– Ale ten smród, ta obrzydliwa śliska skóra...

– Mówisz o rybach – poprawia ją Jenny. – Żaby w ogóle nie mają zapachu. A bez odrobiny śluzu nie da się działać na dwa fronty.

– Na dwa fronty?

– Życ na ładzie i w wodzie. To się nazywa spryt.

Blanche zaciska usta.

– Pijesz z mojego kieliszka – syczy przez zęby.

– Przepraszam – mówi Jenny, która dopiero teraz się zorientowała, że trzyma w ręce nie swój kieliszek. Daje Durandowi znak, żeby podał jej towarzyszcze nowy.

– Wreszcie doczekałam się przeprosin – mruczy pod nosem Blanche. W jej głosie pobrzmiwa sarkazm.

Kiedy właściciel z impetem stawia przed nią czysty kieliszek, nalewa sobie wina i odrywa zębami ostatni strzęp naczosnkowanego mięsa z delikatnej kosteczki.

– Skoro napiłaś się z mojego kieliszka – zwraca się do Jenny – powinnaś teraz móc czytać w moich myślach. Ale to pewnie dla ciebie kolejny głupi zabobon.

Jenny marszczy brew.

– Nazywasz się Patience Vautrien... i pracujesz w mleczarni.

Blanche wydaje z siebie syk oburzenia. Każdy wie, że dojarki śmierdzą.

– Pracowałam kiedyś z końmi – przyznaje, choć dziś nie ma to żadnego znaczenia.

– Ale to było dawno. – Jenny palcami przyciska skronie, z wysiłku marszcząc czoło. – Pani Hectorowa Losange, matka pięciorga uroczych pociech, znana z podwieczorków organizowanych w celach dobroczynnych? – przerywa na moment, po czym zgaduje dalej: – Arabella Delafrance, kobieta szpieg?

– Wystarczy! – rzuca ostro Blanche, którą ten żart przestaje nagle śmieszyć. Przecież jej krzykliwy strój mówi sam za siebie: kwiecisty gorset i fuksjowa spódnica. To chyba jasne jak słońce, że jest tancerką rewiową i że prowadzi bujne życie nocne.

Właściwie sama nie wie, dlaczego się tym tak przejęła. Gdyby nie chciała zdradzać swojej profesji, nie ubierałaby się w ten sposób, czyż nie? Co prawda nigdy nie planowała zostać córą Koryntu (swoją drogą, cóż za ciekawy eufemizm), ale też nie pamięta, żeby kiedykolwiek się przeciw temu buntowała. Małymi kroczkami wchodziła w życie, jak pływak, który powoli zanurza się w jeziorze.

– Powiedz mi lepiej, gdzie się wychowywałaś – pyta, zmieniając temat. – W ustach czy w brzuchu Ameryki?

– Cóż, na pewno nie była to zbyt estetyczna część tego kraju – żartuje Jenny, unikając odpowiedzi.

– Ile? – odzywa się stojący za plecami Blanche mężczyzna. Ale ona nie reaguje na to pytanie, przekonana, że skierowane jest do Duranda.

– Masz jakąś rodzinę? – drąży dalej temat.

– Znaleźli mnie w kapuście – odpowiada Jenny śmiertelnie poważnym tonem.

– Pytałem: ile – odzywa się znowu Amerykanin, dysząc wprost do ucha Blanche. W jego oddechu czuć tytoń.

– Nie widzi pan, że jem? – mówi, nie odwracając głowy.
– Przecież ja tylko grzecznie pytam – odpowiada wielki facet, po czym wciska się pomiędzy nie i staje przy barze. Pod pachami ma ciemne plamy potu.

– Przeszkadzasz tej damie – wtrąca Jenny.

Intruz odwraca się i mierzy ją wzrokiem od stóp do głów.

– Myślisz, że mnie na nią nie stać? – Pytaniu towarzyszy brzęk monet w jego kieszeni. – Jeżeli chcesz wiedzieć, to mógłbym wynająć sześć takich dziwek – mówiąc to, dźga kciukiem Blanche – i jeszcze dostałbym resztę.

– Jak mawia pewien znany jegomość: Lepiej mieć usta zamknięte i wydawać się głupim, niż je otworzyć i rozwiać wszelkie wątpliwości¹² – odparowuje Jenny.

Ostatnią rzeczą, na jaką Blanche ma teraz ochotę, jest wszczynanie awantury. Dlatego rzuca Jenny wściekłe spojrzenie ponad dzielącym je zwalistym cielskiem.

– Twierdzisz, że jestem głupi? – pyta mężczyzna po krótkiej chwili namysłu. Przesuwa w ustach kawałek tytoniu, a jego twarz robi się purpurowa.

– Głupi jak but – odpowiada Jenny uprzejmym tonem.

Mężczyzna wymachuje zaciśniętą pięścią kilka centymetrów od jej twarzy.

– Ktoś cię powinien nauczyć, moja panno, że nie należy wtykać nosa w nie swoje sprawy!

– Obawiam się, że mój przyjaciel, pan Colt, jest innego zdania – oświadcza Jenny i odsłania klapę marynarki, ukazując podłużny kształt pod materiałem spodni.

– Nie masz nic, co mogłoby na mnie zrobić wrażenie – warczy Amerykanin. – Ty, ty... ty żaloszny, pieprzony obojnaku!

Durand, widząc, co się święci, wskazuje gościowi wyjście, a z jego gardła wydobywa się ryk:

– *Dehors!*¹³

Jenny zeskakuje z barowego stołka niczym Arlekin wykonujący pantomimę.

Amerykanin posłusznie idzie za nią, ale gdy Jenny z nonszalancją przytrzymuje mu drzwi, wierzchem dłoni uderza ją w twarz, a ona leci na ścianę. Trzask czaszki uderzającej w oprawioną w szkło, wyblakłą fotografię Pól Elizejskich sprawia, że nawet najbardziej zatwardziali pijacy podnoszą wzrok znad kieliszków.

– Monsieur Durand! – woła Blanche.

Ale właściciel knajpy tylko unosi brew.

Jenny, z miną ogłuszonego cielaka, schyla się, żeby podnieść kapelusz. Zdjęcie spada na podłogę. Rozlega się brzęk tłuczonego szkła. *Connard*¹⁴ chwyta ją za nadgarstek, wykręca rękę do tyłu i wyprowadza z knajpy, popychając drzwi jej ramieniem.

Blanche wypada za nimi na ulicę i szarpie go za rękaw.

– Jak panu nie wstyd? Przyłożył pan kobiecie jak ostatni bydlak!

Amerykanin odtrąca ją gwałtownie i Blanche ląduje na ścianie. Usiłując złapać oddech, chwyta się za bok i przeklina swój wzrost. W chwilach takich jak ta czuje się jak maleńka wróżka w świecie trolli.

Mężczyzna upuszcza Jenny na chodnik. Czy on ma zamiar wgnieść jej żebra? Zmiażdżyć głowę?

Z piersi Blanche wydobywa się jęk.

Nie, nie ma takiego zamiaru. Za to spryskuje Jenny strumieniem brązowej cieczy, po czym niedbałym krokiem rusza ulicą, ani razu nie oglądając się za Blanche, co tylko utwierdza ją w przekonaniu, że od samego początku szukał zwady, a nie kobiety.

Blanche opiera się o parapet pod oknem restauracji. Kręci jej się w głowie. Ledwo się trzyma na posiniaczonych, poturbowanych przez rower nogach; zebra przeszywa ból. Na szczęście nie ma połamanych kości. Jest wystarczająco doświadczona w tym względzie, żeby to wiedzieć na pewno.

Dookoła nich Kearny Street tętni życiem. Palniki i odbłyśniki lamp naftowych rozświetlających witryny sklepowe tylko potęgują blask płomieni. Podpici birbanci włączają się od baru do baru. Trzymają się pod rękę i ryczą na całe gardło, wyśpiewując same sprośne piosenki. Grupki mężczyzn kierują swe kroki do burdeli przy Commercial Street i Pacific Street, żeby zakosztować Żydówek, Meksykanek, Azjatek oraz czarnoskórych dziewcząt (choć i tak najczęściej płacą za usługi Francuzek, myśli Blanche z satysfakcją). Morze twarzy o radośnie przekrwionych oczach. Wszyscy wyglądają, jakby postanowili zrezygnować ze snu, dopóki upał nie zelżeje. Kto by się przejmował ospą! Dziś w nocy nikt nie zostaje w domu.

Jenny siada wyprostowana i unosi spiczasty podbródek, próbując szeroko się uśmiechnąć. Twarz już jej zaczęła puchnąć. Krawędzie rany pod lewym łukiem brwiowym ciemnieją z każdą minutą. Po chwili przechyliła się na bok i elegancko zwraca całą kolację do rynsztoka.

Ależ ten wieczór się skomplikował, myśli Blanche. W tej chwili powinna po prostu odejść, zostawiając tę szelmę ze spluwą w spodniach, przez którą w ciągu zaledwie dwóch godzin już dwukrotnie odniosła obrażenia. Życie w Mieście nad Zatoką jest już i tak wystarczająco ciężkie, po co więc pakować się w znajomość z kimś, kogo ciągnie do ryzyka jak dziecko do cukierków.

Jednak zamiast się ruszyć, Blanche powoli wypuszcza z płuc powietrze. Prawda jest taka, że nie pamięta już, kiedy

ostatni raz tak dobrze się bawiła w towarzystwie zupełnie obcej osoby. To musiało być jeszcze w tamtych, paryskich czasach, zanim przyjechała do Ameryki, i to na długo przed opuszczeniem Francji. W San Francisco krąg jej najbliższych znajomych ogranicza się do Arthura i Ernesta. No i jest jeszcze towarzystwo, które obaj przyprowadzają do domu. Blanche nie przypomina sobie, żeby z kimkolwiek tak szybko (i to w dodatku bez niczyjego udziału) nawiązała znajomość, jak dzisiejszego wieczora z Jenny Bonnet. Tej dziwnej, nieskrępowanej zażyłości towarzyszy powiew czegoś nowego, nieznanego.

– Powinnaś przyłożyć sobie do oka kawałek mięsa – radzi swej towarzyszce.

Jenny parska szyderczo.

– Gdzie mieszkasz? – pyta Blanche.

– To tu, to tam.

Ta dziewczyna to chodząca tajemnica!

– Chodź, odprowadzę cię do domu – proponuje Blanche, wyciągając do niej rękę.

– Prawda jest taka – mówi Jenny, z trudem podnosząc się z chodnika – że wyszłam dopiero tydzień temu.

Wyszłam? Wyszłam skąd...? No jasne, kryminalistka. Doprawdy, to już przechodzi ludzkie pojęcie.

– Za co siedziałaś?

– Za to, za co zwykle sadzają. „Publiczne pokazywanie się w odzieży przynależnej płci przeciwnej” – cytuje Jenny pompatycznym tonem.

Blanche unosi brew. Czy to naprawdę jest przestępstwo?

– Jeśli z powodu tego ubrania trafiłaś do więzienia, to co cię podkusiło, żeby znów je założyć? – pyta, a w jej głosie pobrzmiwa nuta zniecierpliwienia.

– Po prostu dobrze się w nim chodzi i siedzi. – Mówiąc to, Jenny zachowuje kamienną twarz i dopiero po kilku sekundach Blanche dostrzega zabawną grę słów. Trzeba przyznać, ta dziewczyna szybko odzyskuje humor.

– No ale przecież gdzieś się musiałaś zatrzymać – nie daje za wygraną Blanche.

– Głównie jeżdżę na moim bicyku – odpowiada Jenny. Że niby śmiga na tym ustrojstwie całe dnie i noce?

– Chcesz mi powiedzieć, że śpisz na tej ramie jak ptaki w locie?

– Ucinam sobie drzemki w parkach i teatrach – przyznaje Jenny – albo na kanapie u przyjaciela, jeśli odczuwam taką potrzebę.

Blanche dopiero teraz dostrzega krew kapiącą na kołnierzyk i ślad wymiocin na podbródku Jenny. Z jej piersi wydobywa się ciche westchnienie. W końcu to z jej powodu, w wyniku źle pojętej kurtuazji, ta intrygująca panna została poturbowana.

– Chodź, mieszkam dwa kroki stąd, przy Sacramento Street – mówi do niej.

– Droga pani, co każe pani myśleć, że ma pani obowiązek...

– Idziesz albo nie – przerywa Blanche.

Chłopak Durandów, siedząc okrakiem na ogromnych szprychach przedniego koła, ze spokojem przygląda się całemu zajściu, jak gdyby siedział na widowni w Bella Union Theater. Jenny rzuca mu monetę, chwyta kierownicę i zaczyna prowadzić maszynę wzdłuż Kearny Street.

Nagle wykonuje gwałtowny skręt, znów nieomal potrącając Blanche. Koła turkoczą o bruk, gdy przeprowadza rower na drugą stronę ulicy. Zatrzymuje się pod oknem, z którego dochodzą dźwięki piosenki nuconej ochrypłym głosem:

*To przez ciebie
Miast przyjaciół wrogów mam,
To przez ciebie w starych szmatach
Chodzę sam.*

Jenny opiera się o ścianę, wsłuchana w płynący z okna głos.
W jej oczach pojawia się błysk.

*Już na ustach czuję dotyk szkła – śpiewa dalej mężczyzna. –
Przechyl ją i do dna – przyłącza się Jenny dziwnie słodkim
sopranem.*

Zza okna dobiega śmiech, po czym kilka głosów
odpowiada jej refrenem, rycząc na całe gardło:

*Ha, ha, ha, ty i ja!
O tobie wciąż śnię, jak ja kocham cię,
Butelczyno ma!
Ha, ha, ha...*

Blanche ziewa, odwraca się na pięcie i na rogu ulicy
przechodzi na drugą stronę. Jenny sunie za nią swoim pojazdem,
stojąc sztywno na podpórce nad tylnym kołem i wyśpiewując
kolejną strofę piosenki:

*Róża jest czerwona,
Tak jak moja twarz.
Fiołek jest niebieski,
ty tak samo masz.
Ale zanim dziś skończymy,
Jeszcze łyka wychylimy.*

Blanche kieruje się na wschód, idąc Clay Street prosto do
centrum Chinatown, gdzie ulice, oswojone z nocą, toną
w smugach ciemności. Malejący sierp księżycy wygląda, jakby
zaklinował się w jednej z wąskich uliczek, gdzie balkony są tak
blisko siebie, że niemal dotykają się balustradami. Kiedy
Blanche i Arthur przybyli do miasta, zamieszkali oczywiście

w chińskiej dzielnicy, gdzie czynsze są niskie, a dzielnicowi rzadko kiedy zapuszczają się w głąb labiryntu ciasnych alejek. Tylko nielicznych właścicieli tutejszych lokali stać na wynajęcie dodatkowej ochrony pilnującej porządku na ulicy, dzięki czemu ludzie żyją tu, jak chcą. Mijając swoją ulubioną chińską knajpkę, Blanche wdycha zapach gorącego oleju, imbiru i sezamu. Po chwili dociera do niej także fetor zgniłych warzyw unoszący się nad sąsiednią uliczką. W tej dzielnicy jest zawsze brudno – głównie dlatego, że władze miasta nie chcą naprawić kanalizacji ani płacić za wywóz śmieci. Arthurowi ten syf sprawia przyjemność, gdyż jak twierdzi, dzięki zalegającym na skraju ulic stertom rybich ogonów czuje głęboką przynależność do tutejszej bohemy. Dziennikarze nazywają Chinatown wylęgarnią wszelkich infekcji; gdyby choć połowa tego, co piszą w prasie, była prawdą – mimowolnie przychodzi jej na myśl – zarówno oni z Arthurem, jak i reszta mieszkańców dzielnicy powinni już dawno nie żyć.

Na Dupont Street wszędzie walają się żółte chorągiewki, które musieli pozrywać z drzwi sklepikarze, chcąc wrócić do handlowania.

– Mam nadzieję, że dałaś się drasnąć? – pyta Blanche, nieufnie spoglądając na swoją towarzyszkę.

W odpowiedzi Jenny klepie się po rękawie nad łokciem, po czym dodaje:

– Stałam w kolejce cały dzień. Osiem lat temu, podczas naszej poprzedniej epidemii.

– A już myślałam, że postanowiłaś zaryzykować – droczy się z nią Blanche. – W końcu taki z ciebie lekkoduch.

Jenny wyszczerza do niej zęby.

– Lekkoduch to nie to samo co głupi osioł.

Na środku ulicy mężczyzna o wyglądzie upiora, ubrany

w jedwabne spodnie i czepek, schyla się, żeby pozbierać z chodnika chorągiewki. Chińska dzielnica to istny tygiel pełen kawalerów, którym spod nakryć głowy wystają warkoczyki – każdego miesiąca przybywa ich coraz więcej, jak kolejnych przypraw do zupy. Low Long, lokator Blanche, twierdzi, że jest ich tu tylu, bo w żadnej innej dzielnicy nie chcą wynajmować mieszkań Azjatom.

– Po co ci one? – woła Jenny do mijanego mężczyzny.

Azjata mruga oczami, lecz jego angielski jest zbyt słaby, żeby mógł jej cokolwiek odpowiedzieć.

Blanche śmieje się pod nosem.

– Ludzie gadają, że te flagi wcale nie ostrzegają przed zagrożeniem. Wręcz przeciwnie: odstraszaają chorobę.

Jenny kręci głową, nie mogąc się temu nadziwić.

– To tak jak te dziewczyny, które spotkałam w więzieniu. Dały się przekonać panikarzom, że od szczepionki można się nabawić kiły.

Spoglądając w jedną z alejek, Blanche dostrzega grupki ludzi układających się do snu na wąskich balkonach, płaskich dachach, nawet na tarasach i werandach – wszędzie, gdzie czuć powiew świeżego powietrza pośród tej nocnej duchoty. Na rogu Sacramento Street mijają metalową beczkę, w której tłą się koce i jakieś szmaty. Mężczyzna w gumowej masce przybija młotkiem mokre prześcieradło nad drzwiami budynku, w którym z każdego okna wydobywa się dym. Biały urzędnik zapędma kilkunastu Chińczyków z sięgającymi do pasa warkoczami do wozu z napisem: „Wydział Zdrowia Publicznego”.

Blanche i Jenny schodzą z chodnika, lecz nie udaje im się uniknąć ostrego fetoru siarki i obydwie zaczynają kaszleć.

– Jenny! – dobiega je nagle czyjś krzyk.

Merde. To znów ten jednooki wrak kobiety, którą Blanche

wcześniej usiłowała ominąć. Krąży wokół wyciągniętych z walizki rozmaitych eksponatów, którymi próbuje handlować.

– Maria, *chérie*, *ça va*¹⁵? – odkrzykuje Jenny, po czym, dzwoniąc kołami o bruk, przechodzi na drugą stronę ulicy, zbliża się do starej wiedźmy i całuje ją w oba policzki.

To pewnie rak albo trąd trawi tę kobietę od środka. Blanche wzdraga się na jej widok. Nie jest w stanie patrzeć na jej zdeformowaną twarz. Nałożony na policzki róż tylko pogarsza sprawę, podobnie jak obrysowane czarną kredką drugie oko. Piersi zwisają w jej gorsecie niczym dwa wywalone z pragnienia jęczory. Ta Maria nadal ubiera się stosownie do profesji, którą kiedyś niechybnie musiała wykonywać. Ale kto by chciał płacić za coś takiego? Choć z drugiej strony o gustach się nie dyskutuje, zwłaszcza męskich.

– Ty na tym jeździsz? – pyta Maria chropowatym głosem.

– Ja na tym latam – poprawia ją Jenny.

– Dopóki nie wylądujesz na ziemi i nie zmiądzysz sobie twarzy – mruczy stara, poźółkłym paznokciem dotykając spuchniętego policzka Jenny.

– Nie, nie, akurat tego nabawiłam się w trakcie bójki – wyjaśnia Jenny z wyraźną dumą w głosie. – Znasz moją przyjaciółkę? – pyta, wskazując na Blanche, która na znak protestu potrząsa głową.

Ale jest już za późno. Maria wykonuje coś na kształt upiornego dygnięcia.

– Beunon, „Blanche la Danseuse”¹⁶, numer jeden w House of Mirrors! – mówiąc to, kieruje spojrzenie w stronę burdelu stojącego kilka domów dalej. – Nie, nie miałam przyjemności poznać.

– Blanche la Danseuse – powtarza Jenny, szczerząc zęby. – Sławna tancerka. Zgadza się.

Żeby nie patrzeć w pusty oczodół kobiety, Blanche zaczyna przyglądać się rupieciom porozkładanym dookoła walizki, jakby faktycznie było wśród nich coś, czego potrzebuje: para miedzianych odważników, poplamiony halsztuk...

– Czy ten chudzielec, Ernest czy jak mu tam, z którym cię widuję, to twój *mac*¹⁷? – pyta ją Maria, podchodząc na tyle blisko, że Blanche czuje załatujący od niej alkohol.

– Nie – odpowiada, odsuwając się.

– W takim razie to musi być jego *ami intime*¹⁸, tak? Albert? Arnaud?

Blanche powstrzymuje się, żeby nie powiedzieć tej starej wiedźmie, że to nie jej interes.

– Arthur Deneve – poprawia ją lodowatym tonem.

Ale Maria już zdążyła odwrócić się do Jenny.

– Powinnaś przyłożyć sobie mięso, żeby wyciągnęło złą krew.

– Co za głupie gadanie. Krew to tylko krew, nic więcej – stwierdza Jenny.

Blanche chwytą ją za rękaw szarej marynarki z połatanymi łokciami i popędza w dół Sacramento Street, kierując się na wschód. Ich krokom towarzyszy turkot kół wielkiego bicykla.

– Czyś ty oszalała?! Skąd ci przyszło do głowy, żeby całować tę kreaturę? – syczy do Jenny, gdy są już na tyle daleko, że stara nie zdoła ich usłyszeć. – Przecież mogłaś się czymś zarazić.

– Zarazić? Kwasem? – chichocze dziewczyna.

Blanche jest wyraźnie zaskoczona.

– Jedno chluśnięcie witriolem wystarczyło, żeby pozbawić ją połowy twarzy. W czasach gorączki złota nie stosowano półśrodków. Była tu pierwszą francuską panią, tak przynajmniej twierdzi...

Blanche czuje dreszcz obrzydzenia. Gorączka złota zakończyła się niemal trzydzieści lat temu. Czy to możliwe, żeby ta stara jędza bez oka zdołała przetrwać aż tak długo?

– Ty naprawdę uwielbiasz wszystko, co odrażające – mówi do Jenny.

– Masz na myśli Marię?

Owszem, ma, ale czy to nie zabrzmiałoby zbyt brutalnie?

– Raczej jej historię.

– No widzisz, ja po prostu lubię różne historie – odpowiada Jenny, wzruszając ramionami.

Blanche nalega, żeby wpadły na chwilę do Hop Yik and Company po mięso.

Twarz stojącego za ladą Meia błyszczy od potu, gdy obsługuje swoich rodaków, podając im bliżej nieokreślone artykuły w bambusowych pudełkach i papierowych zawiniątkach. Blanche płaci za stek zaledwie dwa ósmaki – pewnie dlatego, że jak podejrzewa, mięso nie wytrzyma do jutra. Już teraz ma szarawy odcień, ale przynajmniej jest zimne.

Po długich namowach wreszcie udaje jej się przekonać Jenny, żeby przyłożyła sobie mięso do spuchniętego oka. Bierze od niej kierownicę i przeprowadza maszynę przez ruchliwe skrzyżowanie, przecinając Dupont Street, po czym podchodzi do swojego domu pod numerem 815. Ten odcinek Sacramento Street jest tak stromy, że chodnik opada gwałtownie na wysokości parteru, gdzie Low Long ma swoje mieszkanie, warsztat i sklep obuwniczy. Jednym z pęku kluczy przytroczonych do paska Blanche otwiera drzwi i wprowadza Jenny na czarną jak smoła klatkę schodową.

– *Au clair de la lune* – nuci cicho – *on n'y voit qu'un peu*. W świetle księżycy niewiele można zobaczyć.

– Prawdę mówiąc, nic nie można zobaczyć – stwierdza

Jenny. – Masz bardzo niski głos jak na taką drobną dziewczynę. Czyżby *Maman* nauczyła cię tej piosenki jeszcze w Paryżu?

Blanche odpowiada parsknięciem.

– Dawała mi klapsa, kiedy tylko usłyszała, że śpiewam.

– *Quelle salope!*¹⁹

– Mówiła, że śpiew przyciąga pioruny – tłumaczy Blanche, jakby trochę stawiała w obronie swojej matki. – Nigdy o tym nie słyszałaś? Że piosenka może zmienić pogodę?

Jenny wybucha śmiechem.

– Twoim zdaniem to pewnie *kolejny głupi zabobon*.

– Cóż, niektórzy po prostu lubią bić dzieci – zauważa Jenny – tak jak inni lubią pić.

– O tak, *Maman* lubiła i jedno, i drugie – mruczy pod nosem Blanche, pnąc się schodami w górę. Myśli o przykutej do łóżka babci, z którą dzieliła materac. To ona nauczyła ją tych wszystkich starych piosenek, śpiewając jej szeptem prosto do ucha.

– Tutaj możesz zostawić swój ukochany pojazd – rzuca przez ramię.

– A właściciel nie będzie miał nic przeciwko temu?

– To ja tu jestem właścicielem.

– Aha – kwituje stojąca za nią Jenny.

Blanche wciąż jeszcze nie oswoiła się z tym faktem. Nigdy nie miała ambicji, żeby posiadać nieruchomość, ale wszystko zmieniło się kilka miesięcy temu, kiedy jeden z ich współlokatorów napomknął, że Szwajcar, który był właścicielem kamienicy, na gwałt potrzebuje gotówki, bo musi zapłacić jakąś grzywnę. Z rozbawieniem przypomina sobie, jak wytargowała znacznie niższą cenę – ostatecznie zapłaciła za budynek półtora tysiąca dolarów. I kto by pomyślał, że całe to machanie nogami w House of Mirrors i tarzanie się po hotelowych łóżkach tak

szybko, niczym za sprawą czarodziejskiej różdżki, przyniesie efekt w postaci solidnych ceglanych murów...

– Mnie tam nie zależy na kupowaniu czegokolwiek – oznajmia Jenny.

Blanche lekko się obrusza. Przypomina sobie śmiech Arthura, kiedy triumfalnym gestem pokazała mu akt własności. Stwierdził wtedy, że będzie z niej świetna mała burżujka. Ale na pieniądze, które ona ściąga co tydzień od Low Longa i pozostałych dziewięciu lokatorów, jakoś wcale nie kręci nosem.

– A rewolwer, którym wymachiwałaś u Duranda? – ripostuje Blanche.

– A tak, moja spluwa – mówi z czułością Jenny – wygrałam ją w pokera od jednego żołnierza z Kalifornii.

– Dlaczego mówi się „spluwa”?

– Bo każdy może ją bez trudu naładować i oddać strzał. To proste jak splunąć.

– Założę się, że bez trudu to strzelisz sobie w nogę, jeśli będziesz trzymać go w kieszeni, rozbijając się po okolicy tą swoją machiną – mówi Blanche. – Sobie samej albo jakiemuś Bogu ducha winnemu przechodniowi, w którego akurat wjedziesz...

– Nie wystrzeli, jeśli go nie odbezpieczę – odpowiada Jenny ze śmiechem.

– Hej, skoro ci „nie zależy na kupowaniu czegokolwiek”, to skąd wzięłaś swój drogocenny bocykl, co? Nawet sobie nie wyobrażam, ile musi kosztować taki fantazyjny wehikuł.

– Ja też nie – zapewnia ją Jenny. – Znalazłam go w zeszłym tygodniu na Market Street.

– Znalazłaś? – powtarza Blanche z niedowierzaniem.

– Widziałam, jak jego właściciel rymsnął na ziemię,

a potem wtaszczyli go na nosze i zabrali – wyjaśnia Jenny. – To małe tylne koło jest zdradliwe. Pierwsza lepsza koleina i przelatujesz przez kierownicę.

– A więc ukradłaś drogą maszynę rannemu człowiekowi!

Są teraz na pierwszym piętrze. Blanche czuje zapach oregano dolatujący z trzeciego. To robotnicy z Korfu, pracujący w przetwórni ogórków, gotują coś na swojej małej kuchence.

– A co, miałam zostawić bcykl na chodniku, żeby kto inny go sobie wziął?

– Chciałaś powiedzieć: „inny złodziej” – rzuca ironicznie Blanche, otwierając drzwi do swojego mieszkania.

– Cóż, burzuj, który może sobie pozwolić na kupno takiej zabawki, może też sobie pozwolić na jej stratę.

Blanche znajduje pudełko zapalek i zapala jedną.

Kiedy zamieszkała z Arthurem w budynku numer 815, stać ich było tylko na nędzną izbę na czwartym piętrze, a potem, po jakichś dwóch miesiącach jej tańczenia w House of Mirrors, przenieśli się do lepszego lokalu dwa piętra niżej. Gdy kupiła kamienicę, wynajęła ich dawny pokójk dwójce irlandzkich kapeluszników, zaś sąsiadującą z nim izbę chińskiemu sprzedawcy warzyw. Na drugim piętrze dwie Szkotki, matka i córka, prowadzą zakład fotograficzny. Ona i Arthur mają teraz do dyspozycji przestronne mieszkanie na pierwszym piętrze, dzięki czemu nie muszą pokonywać zbyt wielu stopni (co jest dużym plusem, zwłaszcza gdy Arthura bolą plecy). Powietrze, światło, przestrzeń. Co prawda nie ma tu takiej prawdziwej, oddzielnej kuchni, ale jeśli cię stać na jedzenie poza domem, po co zaprzętać sobie głowę gotowaniem.

Jenny wchodzi do środka i zatrzymuje się w korytarzu, wciąż przykładając mięso do oka, po czym zaczyna rozglądać się dookoła z niekłamaną, dziecięcą ciekawością.

Zapaliwszy kilka wiszących lamp, Blanche rzuca okiem na długi drewniany stół. Gudrun sprzątnęła wprawdzie resztki lunchu, lecz blat wciąż usiany jest okruszkami. (Gudrun, szwaczka ze Szwecji, pracuje u nich w charakterze pomocy domowej. W zamian za drobne prace porządkowe pozwalają jej mieszkać na poddaszu. Wolą taki układ niż dzielenie własnego mieszkania ze służbą. Rano i wieczorem Gudrun wpada do nich dosłownie jak po ogień – wygląda to tak, jakby nie chciała dłużej zabawić w takim przybytku).

Próbując przyjrzeć się mieszkaniu oczami swojego gościa, Blanche zwraca uwagę na pozbawione zasłon okna i zbieraninę pstrokatych mebli. Dostrzega elegancką turecką chustę przewieszoną przez wytarte oparcie sofy. W tym momencie dociera do niej, że to wcale nie przypomina *la vie de boheme*²⁰, a raczej życie w jakiejś ponurej norze. Ale niby dlaczego ma się przejmować tym, co pomyśli sobie jej nowa znajoma? Jenny Bonnet to bezdomna złodziejka, która zresztą wcale się z tym nie kryje. W dodatku wypuścili ją właśnie z aresztu. Blanche sama do końca nie potrafi odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego właściwie zaprosiła tę dziewczynę do siebie.

Tymczasem Jenny podchodzi do okna i spogląda na ulicę. Najwyraźniej widok Sacramento Street sprawia jej przyjemność.

Podczas gdy stoi tak odwrócona plecami, Blanche rozpina górne guziki śliskiego jedwabnego gorsetu i wyciąga połowę pieniędzy zarobionych w hotelu International dzisiejszego wieczora, a następnie wsadza banknoty do szmaragdowego nocnika, który jak gdyby nigdy nic stoi sobie w kominku. (To Arthur wpadł na ten genialny pomysł podczas jednej z nocnych libacji. Stwierdził, że trzeba ukryć pieniądze w miejscu, do którego żaden włamywacz raczej nie zajrzy). Przykrywając go z powrotem pokrywką, zauważa, że w nocniku brakuje

banknotów. Arthur musiał wyciągnąć spory plik, żeby móc pozwolić sobie na całą noc hazardu.

Spoglądając w wielkie lustro, dokonuje oględzin swojej fryzury. Jej włosy przypominają rój rozwścieczonych pszczół. Na doprowadzenie ich do ładu za pomocą żelazka i szpilek musiałaby poświęcić z godzinę, chwytając więc tylko jeden miodowy lok i z powrotem utyka go w roju.

Na oparciu trzciniowego krzesła leży wczorajszy „*Courrier de San Francisco*”. Blanche bierze gazetę, rozkłada ją na sofie i zwraca się do Jenny rozkazującym tonem:

– Siadaj tu i cały czas przykładaj sobie mięso.

Jenny ostrożnie się rozciąga. Wyjmuje rewolwer z kieszeni i chowa go pod kanapą. Mięsny sok spływa po jej twarzy wprost na gazetę. Spod przekrzywionego na bakier kapelusza wyłania się bujna kruczoczarna czupryna.

Blanche zapada się w starym fotelu na lwich nóżkach. Powinna zaparzyć kawę na lampce spirytusowej, zdjęć poplamiony masłem gorset i ubrać się w coś innego, ale nagle ogarnia ją potworne zmęczenie. Niekończący się sierpniowy upał, zderzenie z bityklem, mocne wino, tamten *connard*, który po wyjściu z knajpy rzucił ją o ścianę... Odchyła głowę do tyłu i kładzie ją na oparciu, tylko na minutę.

Saloon Eight Mile House, San Miguel Station, czternasty września 1876 roku. Blanche siedzi skulona na jednej z beczek, które służą za stołki barowe. *Nie żyje. Nie żyje*, powtarza w myślach, usiłując pojąć znaczenie tych słów. *Jenny leży tam martwa na podłodze. W naszej sypialni od ulicy – w sypialni McNamarów.*

Za barem John McNamara majstruje przy skrzyni zegara

i po chwili ją otwiera. Chwyta wahadło i unieruchamia je. Blanche zerka na tarczę: wskazówki zatrzymały się na 8.49. Czas. McNamara zatrzymał czas.

– Nasz chłopiec! – z sypialni na tyłach budynku nagle dobiega zawołanie jego żony. Po chwili kobieta staje w drzwiach. Ma obłęd w oczach.

– Gdzie jest nasz chłopiec!?

Mąż tylko na nią spogląda, mrużąc oczy.

Blanche z trudem zbiera myśli, jakby jej umysł brodził w gęstej smole. Ten dźwięk, który słyszała, to nie był grzmot, tylko kule roztrzaskujące szybę w oknie. Grad kul, które nie trafiły w nią, siedzącą na skraju łóżka. Kul, które świsnęły jej nad głową, gdy się schyliła, żeby rozsznurować prawą nogawkę getrów.

Zaciska zęby, żeby nie wypowiedzieć na głos jego imienia – imienia mężczyzny, którego kule rozerwały jej przyjaciółkę na strzępy. Czuje, że zbiera jej się na wymioty.

Jenny! Bijący z niej blask zgaszony w jednej sekundzie.

Nagle drzwi otwierają się z impetem. Blanche w ostatniej chwili powstrzymuje krzyk.

Nie, to nie on. To tylko mały Phil Jordan ze sklepu obok. Ma oczy szeroko otwarte i przeskakuje z nogi na nogę, niczym zapaśnik wagi lekkiej. Za jego plecami stoi przygarbiony dwunastolatek.

– Słyszeliście to? – pyta Jordan tonem stanowczo domagającym się odpowiedzi.

Po chwili jego wzrok zatrzymuje się na Blanche, która wygląda, jakby pracowała u rzeźnika.

– Czy słyszeliśmy?! Kula przebiła ścianę naszej sypialni – lamentuje Ellen McNamara – i przeszła mi dwa centymetry nad głową. – W tym momencie za plecami Jordana dostrzega

swojego syna, Johna juniora. Natychmiast do niego podbiega i bierze go w ramiona.

– John! Jesteś ranny?

W odpowiedzi chłopiec skowyczy z bólu, zamknięty w matczynym uścisku.

– Ten młodzieniec siedział w wychodku i robił swoje – z lekkim zakłopotaniem wyjaśnia Jordan, klepiąc go po głowie.
– Hałas tak go wystraszył, że skoczył na równe nogi i grzmotnął ręką o drzwi.

– Jenny... – zaczyna McNamara z ponurą miną, odwracając głowę w kierunku sypialni.

– Nie! – z piersi Jordana wyrywa się krzyk – Tylko nie Jenny! *Nie żyje?* – pyta, bezgłośnie poruszając ustami, jakby to było coś wręcz nieprzyzwoitego.

McNamara potwierdza skinieniem głowy.

Dopiero teraz Blanche po raz pierwszy dostrzega poplamioną podłogę pod drzwiami do sypialni.

– Kiedy wyobrażę sobie, jak wpadasz na tych morderców...
– zawodzi Ellen.

– Niepotrzebnie się tym denerwujesz – uspokaja ją mąż.

– Mówisz, że niepotrzebnie się denerwuję? Po okolicy wałęsają się oprychy albo te skośnookie szumowiny z Chinatown, a ja mam zachować kamienny spokój?

– Widziałeś coś, synu? – pyta McNamara.

John junior, z wciąż szeroko otwartymi oczami, potrząsa łepetyną.

– A nie przyszło ci do głowy, żeby czymś zasłonić lustro? – upomina Ellen swego męża i nalewa sobie whisky, rozchlapiując alkohol.

– Niby czym?

– Czymkolwiek, na litość boską, co za różnica?

– Pal sześć lustro – wtrąca Jordan. – John, nie sądzisz, że powinniśmy... – urywa w pół zdania, rzucając nerwowe spojrzenie w stronę frontowych drzwi.

McNamara natychmiast poważnieje i wyciąga zza baru sfatygowaną drewnianą pałkę.

– Chyba nie zamierzasz zostawić kobiet i dzieci sam na sam z grasującym gdzieś w pobliżu rzeźnikiem? – protestuje Ellen.

– Tylko się rozejrzę – zapewnia ją John, po czym bierze broń, a Jordanowi wręcza lampę.

A co ci da pałka przeciwko pistoletowi? – zastanawia się Blanche.

Mężczyźni wychodzą na zewnątrz. Słysząc, jak ich przytłumione głosy oddalają się za rogiem.

Dwadzieścia siedem, myśli Blanche. *Tyle lat miała Jenny. Dwadzieścia siedem cholernych lat, przerwanych w połowie piosenki.*

W sypialni na tyłach budynku młodszy synek McNamarów, Jeremiaś, wciąż chlipie z przerażenia. Kate i Mary Jane próbują go uspokoić. Ellen bez słowa idzie do nich do pokoju, ciągnąc za sobą Johna juniora.

Blanche cała się trzęsie. Czuje, jakby jej ubranie stawało się coraz ciaśniejsze. Spogląda w dół: nasączony krwią Jenny materiał jej niegdyś śnieżnobiałego gorsetu całkiem zeszywniał. Przed oczyma staje jej obraz mężczyzny na werandzie. Zabójcy. Miętko i pewnie stąpa po nadgniłych deskach. Zza przekrzywionej rolety zerka do środka. Przez brudne szkło obserwuje Blanche i Jenny w kręgu rzucanego przez świecę światła. Widzi, jak szykują się do snu, gawędząc o jakiejś kołysance.

Ellen wraca na salę, niosąc coś, co przypomina płaszcz przeciwdeszczowy, po czym wchodzi na stół i niezdarnie

owija materiałem wielkie lustro.

Abrakadabra, jak pewnie skomentowałyby Jenny te wszystkie rytuały odprawiane nad zegarem i lustrem.

Irlandka duszkiem wychyla szklanekę whisky, nie częstując Blanche, która przez cały czas uparcie wpatruje się w podłogę – nie może przecież pozwolić, by ci ludzie się domyślili, że to ona przywlekła z miasta nieszczęście ciągnące się za nią niczym niewidzialny ogon. Że wie, kto zabił Jenny. Co więcej: że to wszystko jej wina.

Mężczyźni wracają do środka, robiąc przy tym sporo hałasu.

– Ciemno choć oko wykol – narzeka McNamara.

A co z księżycem? Nie było żadnej poświaty? Spoglądając przez brudną szybę, Blanche widzi, że niebo zaciągnęło się chmurami. *Au clair de la lune, on n'y voit qu'un peu.*²¹

– Żadnych śladów – dodaje Jordan.

To znaczy, że zabójca Jenny już się ulotnił? Serce podchodzi jej do gardła na samo wspomnienie jego twarzy: kiedy widziała go po raz ostatni, w jego ponurych oczach kipiała wściekłość, choć w tym spojrzeniu kryło się znacznie więcej.

Ellen napełnia dwie szklanki.

McNamara wychyla swoją jednym haustem.

– Proszę pani, proszę pani? – zwraca się w stronę Blanche.

Jej ciałem wstrząsa lekki dreszcz, gdy dostrzega wreszcie, że gospodarz mówi do niej.

– Może napije się pani jednego na uspokojenie nerwów?

Blanche odpowiada skinieniem głowy i wyciąga rękę.

Whisky pali jej gardło. I o to chodzi. *Jak mawia pewien znany jegomość: Czasem zbyt wiele wina ledwo wystarcza* – słyszy w głowie żartującą Jenny.

– Zrobiliśmy wokół domu dwie rundy. Obeszliśmy też mój

bar – oznajmia Jordan z poważną miną. – Doszliśmy aż do torów, mijając po drodze staw. Nigdzie ani śladu.

Przecież ci durnie nie zauważyliby śladu mordercy, nawet gdyby wymalował go dla nich farbą wielkimi literami!

Blanche nie wolno nawet w myślach wypowiedzieć jego imienia. Już sam wyraz twarzy mógłby ją zdradzić – zdradzić tę potworną wiedzę. Tak, ona wie, co nie znaczy, że rozumie. Prawdę powiedziawszy, w ogóle tego nie pojmuje. Skąd on się dowiedział, że razem z Jenny wylądowały na tym pustkowiu, akurat w pobliżu San Miguel Station, prawie trzynaście kilometrów na południe od centrum miasta?

Obaj mężczyźni wchodzi do sypialni mieszczącej się od strony ulicy. Z tego, co słyszeć, opuszczają i podnoszą do góry okno, a przynajmniej to, co z niego zostało. Blanche ma nadzieję, że wyprostowali powykręcane zwłoki nieszczęsnej Jenny, żeby choć trochę przypominały ciało człowieka. Albo chociaż przykryli je prześcieradłem, tak jak przykrywa się krzesła w opuszczonym domu. Dokładnie tak uczyniłaby sama, gdyby tylko mogła usiąść prosto i ruszyć się z beczki, na której przycupnęła niczym rozbitek ocalały z katastrofy statku.

Ellen gdzieś zniknęła. Za to z korytarza wyłania się teraz dwóch małych McNamarów wraz z piętnastoletnią Mary Jane. Bosymi stopami dotykają krawędzi brązowiejącej plamy pod drzwiami sypialni. Wybałuszonymi oczami przyglądają się temu, co dwaj mężczyźni robią w środku. Blanche chciałaby, żeby ktoś je stamtąd przegonił. Ale ona sama nie może tego zrobić. Jej ciało ani drgnie.

– To musiała być śrutówka – rzuca przez ramię Jordan i wychodzi z pokoju, odpychając dzieci na bok. – Kaliber 10, a ty jak myślisz, John?

Irlandczyk wraca do saloonu, potrząsając bujną czupryną.

Wyciąga jedną rękę do góry i przysuwa ją do wiszącej na ścianie lampy, żeby bliżej się przyjrzeć jej lepkiej zawartości.

– Raczej kaliber 12, załadowana grubym śrutem. Mamy sześć... nie, pięć kulek: jedna, którą wyciągnąłeś ze ściany, Phil, plus cztery, które wciąż tkwią w zagłówku łóżka. Wyglądają mi na zwykłe jedynki.

– Na moje oko dwójki.

Jak mali chłopcy, którzy poszli na jagody i teraz z dumą pokazują swoje zbiory – stwierdza w duchu Blanche. I nagle ogarnia ją gniew. Cała zaczyna się trząść. Jeszcze chwila i wijąc się niczym wąż, spełźnie na podłogę. Kaliber 10, kaliber 12, skąd on wziął taką broń i gdzie się nauczył z niej strzelać? To wszystko nie trzyma się kupy. Ile dni temu uznał, że jedynym rozwiązaniem – nie, nie, jedynym właściwym wyrazem jego wściekłości – będzie zastrzelenie Jenny?

Wydawało jej się, że go zna. Ale wydawało jej się też wiele innych rzeczy, które okazały się jedną wielką bzdurą.

McNamara rzuca pociski na kontuar i chustką do nosa bezskutecznie próbuje wytrzeć rękę. Nalewa sobie kolejną szklankę whisky i tak mocno trąca się nią z żoną, że część alkoholu ląduje na zewnątrz.

– Pokój jej duszy.

– Psy! – mówi nagle Phil Jordan. – Jakim cudem jakiś Chińczyk dałby radę wejść na waszą werandę, skoro są na niej psy?

Wszyscy wlepiają w niego wzrok.

– Chodzi ci o ten jego zapach? – upewnia się McNamara.

Niski mężczyzna zaprzecza, machając ręką.

– Nie, ja mówię o każdym obcym z miasta, nieważne, czy to byłby facet od czarnej roboty, czy jakiś bandzior, czy Bóg raczy wiedzieć, kto tam jeszcze. Ważne, że psy powinny

szczekać jak szalone, nie?

Ale przecież szczeakały, prawda? – Blanche przypomina sobie potworne wycie.

Mary Jane wychodzi z jadalni. W jednej ręce trzyma wiadro, w drugiej szmatę na kiju i miotłę, wycelowane w górę, jakby to była broń.

– Idź no teraz do pokoju gościnnego – mówi do niej matka – bo inaczej całą noc będziemy roznosić po podłodze krew i szkło.

Dzieci rozpierzchają się po domu. Ale John McNamara podnosi ręce na znak protestu.

– Nie możemy sami tego zrobić. Musi tu najpierw przyjechać policja i obejrzeć miejsce zbrodni. – Słowo „policja” wypowiada z wyraźnym irlandzkim akcentem, zaś „miejsce zbrodni” brzmi w jego ustach tak sztucznie, jakby cytował jakąś tanią powieść sensacyjną.

Blanche ma w tej chwili ochotę dać mu w twarz, aźby się nogami nakrył, za tę jego pijacką paplaninę i ten jego saloon, w którym aż się roi od much krążących wokół każdej cuchnącej kropli alkoholu. Za tę nędzną pościel i oślizgłe deski w sypialni, gdzie w kącie niczym kupa śmieci leży ciało, które kiedyś należało do Jenny.

Mary Jane niepewnie odstawia wiadro i miotłę.

– Jeszcze nie posłałeś po policję? – syczy przez zęby Ellen McNamara.

– Która godzina? – pyta mąż, ignorując słowa żony.

– A skąd mam wiedzieć?

Oczy wszystkich zwracają się na nieruchome wskazówki zegara, które wciąż pokazują 8.49.

– Phil, skoczyłbyś do pani Holt z telegramem? – pyta McNamara.

Sąsiad wyrzuca w górę swoje zadbane ręce w geście protestu.

– No wiesz, to nie jest mój dom... – tłumaczy.

– A co to, do cholery, za różnica, czyj...

– Mówię tylko, że chętnie ci pomogę, tak po sąsiedzku, ale nie chcę, żeby gliny mi się wtrącały w interes.

– Ale przecież to ja wysyłam wiadomość i ja za to płacę, nie? – wścieka się McNamara.

– To dlaczego sam z tym nie pójdziesz na stację?

– Bo ta stara jędba się na mnie uwzięła – przyznaje się McNamara, podnosząc szklankę do ust. – Jakieś dwa tygodnie temu zwyzywała mnie i całą moją rodzinę od najgorszych. Jeśli o tej porze do niej pójde i zacznę walić w drzwi...

Przecież nie jest jeszcze aż tak późno, myśli Blanche, spoglądając na tarczę unieruchomionego zegara.

– A w ogóle to co ja mam napisać w tym telegramie? – pyta John.

– „Czternastego września” – dyktuje Ellen uroczystym tonem – „w moim obecnym miejscu zamieszkania, to znaczy w hotelu San Miguel, przy stacji San Miguel...”

– Dziesięć słów kosztuje dolara, mamuś – wtrąca Mary Jane.

Blanche marzy o tym, żeby jak najszybciej stąd wyjść. To jak jakaś potworna farsa, rodem z koszmarnego snu.

– Po cholere mamy pisać policji, jaki jest dzisiaj dzień? – sprzeciwia się McNamara. – Musimy im tylko napisać...

– „Jenny Bonnet została zastrzelona przez nieznanego sprawcę w San Miguel Station” – podpowiada mu córka.

– „Nieznany sprawca”, dobrze powiedziane, mała. Tyle chyba wystarczy, nie? – pyta, ale nikt mu nie odpowiada. – Przecież policja z centrum dobrze ją zna. „Jenny Bonnet

zastrzelona przez nieznanego sprawcę w San Miguel Station. Stop”.

Blanche czuje, jak kręci jej się w głowie, i zaczyna chwiać się na krześle.

– Tatuś, nie wstawiamy „stop”, jeśli jest tylko jedna linijka – mówi Mary Jane.

– „Zastrzelona na śmierć” – wtrąca Phil Jordan. – Powinniście dodać: „na śmierć”, żeby policja miała pewność, że nie żyje.

– „Jenny Bonnet zastrzelona na śmierć przez nieznanego sprawcę w San Miguel Station”? „W San Miguel Station”? – McNamara nie może przebrnąć przez to zdanie, jakby pisał w obcym języku.

– Ile to słów? – poirytowana Ellen pyta córkę.

– Dwanaście.

Blanche z trudem schodzi z beczki, jakby była starą, niedołączną kobietą. Ledwo zauważa skaleczenie na bosej lewej stopie. Podeszwy stóp tancerki muszą być twarde, nie może im zaszkodzić byle rozbite szkło.

– Na formularzu będzie napisane, skąd wysłano telegram – mówi ochryplym głosem, zdartym od tych wszystkich krzyków. – Napiszcie: „Jenny Bonnet zastrzelona” i wystarczy.

Po jej słowach zapada cisza, którą przerywa Jordan.

– Krótko i na temat – stwierdza. – Powinno kosztować kilka centów.

Blanche zsuwa się coraz niżej, po czym bezładnie opada na podłogę, opierając się plecami o beczkę.

– Może w takim razie obaj wybierzemy się na stację – zwraca się McNamara do swojego sąsiada, jakby proponował mu wspólną wycieczkę.

– Ale najpierw wypijmy sobie jeszcze po szklaneczkę, dla

uspokojenia nerwów – proponuje Jordan, sięgając po butelkę.

McNamara patrzy, jak jego szklanka powoli się napelnia, po czym bierze głęboki łyk.

– W takich ciemnościach – mówi – policja i tak pewnie niewiele zdołała.

Blanche zsuwa się coraz niżej i niżej. Po chwili już cała leży na podłodze. Turniura wbija jej się w krzyż niczym kamień, zaś ciasny gorset oplata ciało, jakby to był kaftan bezpieczeństwa.

Przytomnieje w chwili, gdy John junior chwytą jej głowę w swoje małe dłonie i wsuwa pod włosy zwinięty worek po mące. Kościsty policzek chłopca niemal dotyka jej twarzy.

– Dzięki – odzywa się tak bardzo ochrypłym głosem, że ledwie ją słysząc.

Widzi nad sobą jego błyszczące, lazururowe oczy. Czy uda mu się kiedykolwiek zapomnieć tę noc? Chłopiec kieruje wzrok w stronę sypialni. Pod drzwiami ciemnieje plama krwi.

– Nie patrz – mówi Blanche, chwytając go za rękę.

Z jego ust wydobywa się syk, a dłoń szybkuje wprost ku zranionemu ramieniu.

– Przepraszam, nie chciałam...

Ellen McNamara zrywa się na równe nogi. W okamgnieniu przecina salę i odciąga od niej swojego syna. Dzieciak aż wyje z bólu.

– Powinna pani na kolanach dziękować Bogu miłosiernemu, że panią oszczędził, panno Blanche.

Oszczędził, powtarza w myślach Blanche. Od piętnastego roku życia uczy się angielskiego, ale do tej pory niektóre słowa pozostają dla niej zupełnie obce, nieprzeniknione niczym kamień.

– Daj jej spokój – mówi McNamara, nie podnosząc głowy

znad baru.

– Taki mądry jesteś? To może mi wytłumaczysz, jakim cudem żadna z tych przeklętych kul nie trafiła tej tutaj, wielkiej Jaśnie Pani, podczas gdy Jenny leży tam cała podziurawiona!

Nikt nie odzywa się ani słowem. Blanche niemal czuje cierpki smak unoszącej się w powietrzu nienawiści. Co paradoksalne, ci ludzie nie mają pojęcia, że to właśnie z jej powodu doszło do rozlewu krwi. Ale niezależnie od tego wszyscy – i widać to gołym okiem – woleliby, żeby to ich dobra przyjaciółka Jenny siedziała teraz z nimi przy barze, popijając whisky z tej samej butelki, zaś w pokoju obok spoczywały powykręcane zwłoki jej współlokatorki.

Z trudem zwleka się z podłogi i znów opiera plecami o beczkę. Ściany wirują dookoła niej. Swoją drogą dobre pytanie: jakim cudem żadna z tych przeklętych kul jej nie dosięgła? Pewnie dlatego, że się akurat schyliła – to jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi jej do głowy. Schyliła się, żeby rozplątać supeł na sznurowadłach od getrów. Getrów należących do Mary Jane, które wczoraj od niej pożyczyła, żeby chronić nogi przed komarami. Wczoraj? W czwartek rano. D z i ś rano, bo przecież jest czwartek wieczorem. Blanche spogląda na swoją prawą stopę wciąż obutą w maleńki trzewik, który ciasno opina materiał getrów. Ma wrażenie, jakby jej noga była już na wieki przytwierdzona do pożyczonej skóry. Musi poprosić o nóż, nóż, którym poprzecina tasiemki. Co za fuks! Żeby zawdzięczać życie parze cudzych getrów?! No bo kiedy zgięła się wpół, usiłując rozwiązać supeł, dokładnie w tym samym momencie...

Nagle serce zaczyna jej walić jak młotem. Dopada ją spóźniony atak paniki. A gdyby się nie schyliła, gdyby zaśpiewała jeszcze jedną zwrotkę, siedząc prosto, i gdyby bez żadnego problemu rozwiązała sznurowadło, to czy teraz na

podłódze w sąsiednim pokoju leżałyby dwa ciała – plątanina sztywniejących kończyn w kałuży krwi? Czy ta broń była wycelowana w nie obie?

Nie, tylko w Blanche.

Całe to zajście to jedna wielka pomyłka.

Tego wieczora wykazała się wyjątkową głupotą. Wszystko, co się działo od chwili, gdy strzały rozdarły powietrze, odczytała zupełnie na opak. Pozbawione życia kremowe ciało Blanche – oto czego chciał. I nagle cała ta sytuacja zaczyna się układać w przerażającą, aczkolwiek całkiem sensowną całość. Bo czyż to właśnie nie do niej mógł mieć największe pretensje? Do Blanche, która mu ponoć tyle zawdzięczała, właściwie wszystko, jak podpowiada pokrętna męska logika. Przecież Jenny nic mu nie zrobiła, no może poza jednym wyjątkiem: zaprzyjaźniła się z nią, i to był jej największy błąd.

W głowie Blanche pojawia się paraliżująca myśl, niczym ręka zaciskająca się na gardle. Czy został na werandzie i zajrzał do środka przez roztrzaskane okno? Czy wie, co zrobił, a co mu jeszcze zostało do zrobienia? Jezu Chryste! Chciałaby natychmiast wybiec z Eight Mile House, tylko że on może gdzieś tam się na nią czai. Może stoi na Country Road, jakieś trzy kilometry dalej, i czeka, żeby dokończyć spartaczoną robotę. Z chęcią pozwoliłaby swoim zaprawionym w tańcu nogom ponieść się hen, w siną dal, gdyby tylko wiedziała, dokąd uciekać, gdyby знаła miejsce, gdzie z jego strony nie będzie jej grozić żadne niebezpieczeństwo. Ma wrażenie, jakby ogłuszające bicie jej serca wprawiało w drżenie cały dom.

Rozdział 2

Przepelnia mnie blues

Sobotni wieczór, połowa sierpnia.

Blanche budzi się w swoim fotelu. Rwący ból nogi przypomina jej o zderzeniu z bityklem, o zakapiorze w knajpie Duranda i o nowej znajomej, Jenny Bonnet, która leży rozciągnięta na kanapie obok i drzemie jak kot.

Ze snu wyrwały ją głosy wchodzących do domu mężczyzn.

– Patrz, tam na sofie leży jakiś groteskowy *con*²² z mięsem na twarzy – oznajmia Ernest Arthurowi wesołym tonem. Wygląda na to, że jest nieźle nabzdryngolony.

– Drogi panie, koniec zabawy – mruży Arthur, przechylając się nad oparciem kanapy, przybrawszy pozę anioła z rozpostartymi skrzydłami.

Czy ona kiedykolwiek przyprowadziła do domu klienta?! Jak on w ogóle mógł ją o coś takiego podejrzewać?

– Nie, kochanie, to tylko dziewczyna – wyjaśnia Arthurowi. (Mówi do niego po angielsku, ponieważ właśnie w tym języku wszyscy troje postanowili ze sobą rozmawiać, gdy tylko zeszli ze statku – jedynie w ten sposób można coś osiągnąć w tym kraju). – Była zmęczona.

– Jak my wszyscy – rzuca Ernest, przeciągle ziewając, i wieszka melonik na pustej butelce.

– Ależ ty masz dobre serce, *chérie* – szepcze Arthur i podchodzi do Blanche, żeby złożyć na jej ustach pełen uznania pocałunek.

Jenny mruga oczami, uśmiecha się szeroko na widok towarzystwa i ściąga z oka kawałek mięsa.

– Arthur Deneve, Jenny Bonnet. – Blanche nawet nie wstaje

z miejsca, tylko gestem ręki przedstawia ich sobie. Rozkoszuje się widokiem swojego elegancika, patrząc na niego oczyma Jenny: zadbane brwi, wąskie spodnie w kratę, które świetnie na nim leżą, nawet w tym upale, silne ręce usiane pierścieniami (czarny intaglio, krwawnik, sygnet z literą A), spinki do mankietów z wizerunkiem jeźdźca na koniu. Ileż ona wydała w zeszłym roku na jego trzydzieste urodziny... Trzeba jednak przyznać, iż przy całym swoim zamiłowaniu do wszelakich ekscentryzmów nosi się, jak na prawdziwego dandysa przystało.

– *Enchanté*²³ – mówi Jenny, kłaniając się z przesadną kurtuazją.

– Aha, a to jest Ernest Girard – dodaje Blanche, wskazując młodszego mężczyznę.

Ernest tylko lekko skłania głowę, po czym rzuca ostentacyjnie:

– Dobra, a teraz może byś ją wyrzuciła, żebyśmy mieli gdzie usiąść.

Arthur stuka w podłogę laską, którą wieńczy kryształowa gałka.

– Ależ mój drogi, a gdzie się podziała twoja gościnność? – łaje przyjaciela.

Jenny kładzie mięso na zwiniętej gazecie leżącej na dywanie. Niczym magik, który nie jest w najlepszej formie, spod przybrązowanego na brzegach mankietu wyciąga pomietą chusteczkę i wyciera nią twarz.

Ernest gwizdże na jej widok z kpiącym uśmiechem.

Ciemnofioletowa obwódka wokół oka, półprzymknięta powieka.

– Może powinnam założyć opaskę pirata? – pyta rozbawiona Jenny.

– Bez dwóch zdań – przytakuje Arthur.

– Miała scysję z jednym bydlakiem u Duranda – wyjaśnia Blanche, nie mówiąc jednak, że sama również brała w tym udział. Nigdy nie okłamuje Arthura, ale przecież nie musi mówić mu całej prawdy. Przychodzi jej do głowy, że życie z drugą osobą ma wiele wspólnego z tresowaniem konia: należy zachować łagodny ton i dawać krótkie, proste sygnały.

– A czyż to pantalony masz na sobie? – pyta Ernest.

– Moje własne – odpowiada Jenny.

– Dopiero co odsiedziała czterdzieści dni za te spodnie – wtrąca Blanche, uznawszy, że lepiej od razu poruszyć temat jej pobytu w więzieniu, i to w żartobliwym tonie.

– *Chacun ses goûts*. Co kto lubi – stwierdza Arthur z wyrozumiałym uśmiechem.

Ernest, który w międzyczasie zdjął marynarkę, siedzi teraz w samej koszuli. Blanche zauważa, że jego wydatny podbródek i szyję zdążył już pokryć lekki meszek, choć zawsze goli się przed wieczornym wyjściem. Arthur czasami nazywa go swoim gorylem. W tym sezonie Ernest nosi dokładnie takie same wąsy jak jego przyjaciel – dwa sztywne od wosku skrzydełka – ale u niego, nie wiedzieć czemu, wyglądają, jakby były przyklejone. Jakie to niesprawiedliwe, myśli Blanche, nie pierwszy już zresztą raz, że te wyraziste rysy twarzy, dystygowana bladość cery i imponujący wzrost wcale nie tworzą spójnej całości. To Arthur – o głowę niższy, po trzydziestce, o śródziemnomorskiej karnacji – jest jak dumny paw, którego każdy chciałby dotknąć.

– Czterdzieści dni za taką bzdurę?! – wykrzykuje Ernest.

– Strój to poważna sprawa – przypomina mu Arthur niby-oburzonym tonem, po czym zdejmuje marynarkę, składa ją i ostrożnie wiesza na oparciu krzesła. – Przecież szata czyni człowieka i tak dalej.

– Jak mawia pewien znany jegomość: Nagi człowiek nigdy

nie zostanie prezydentem – zauważa Jenny. W odpowiedzi Arthur posyła jej szeroki uśmiech.

– Pamiętasz ten stary dowcip o Déjazet? – pyta go Ernest. – „Kiedy wykonuję numer w pludrach – skarży się owa tancerka przyjaciółce – połowa Paryża myśli, że jestem mężczyzną”.

– „*Qu'importe*²⁴, nie martw się. Druga połowa doskonale wie, że nie jesteś!” – puentuje Arthur.

– Znam ten kawał – chichocze Jenny – tyle tylko, że w wersji, którą słyszałam, występowała Adah Menken.

Widać dowcipy są jak piosenki, myśli Blanche. Słowa zmieniają się, kiedy utwór ląduje po drugiej stronie oceanu.

– Zabawne, że na scenie błazeński strój robi furorę – mówi ze śmiechem – ale gdy wychodzisz w tych samych spodniach na ulicę, wsadzają cię do pudła.

– Zwykle kończy się grzywną – wtrąca Jenny. – Gliny łapią mnie i puszczają średnio raz na miesiąc, czasem raz na dwa, i tak od kilku ładnych lat. Wiecie, taka zabawa w kotka i myszkę.

– A ile wynosi grzywna? – pyta Ernest, siadając na krześle.

– Dziesięć dolców, no i trzeba jeszcze opłacić prawnika – narzeka Jenny. – Jak kiedyś kazałam swojemu obrońcy wytłumaczyć sędziemu, że moim zdaniem cały ten incydent to naruszenie praw kobiet, ten sukinsyn wlepił mi dwadzieścia dolarów grzywny.

– Jak to się stało, że tym razem wylądowałaś za kratkami? – pyta Arthur.

Na twarzy Jenny pojawia się grymas, jakby nagle dopadł ją ból zęba.

– Wylałam mojego prawnika i zażądałam ławy przysięgłych zamiast sędziego. Powiedziałam im prawdę, to znaczy wyjaśniłam, że nie mam innych ubrań, i zapytałam, czy w takim razie woleliby, żebym biegła po ulicy na golasa.

W pokoju wybucha salwa śmiechu.

– Okazało się, że dwunastu sprawiedliwych wcale nie potraktowało mnie łagodniej niż jeden sędzia. Ale te czterdzieści dni o suchym pysku to już naprawdę był cios poniżej pasa – dodaje Jenny pełnym żalości tonem.

– A skoro już o tym mowa, może koniaku? – proponuje Arthur, podnosząc się z miejsca.

– Nie mogę uwierzyć, że zwolniłaś swojego prawnika – zwraca się do niej Blanche. – Założę się, że kiedy twoja *Maman* powiedziała ci, żebyś nie dotykała pieca, bo się oparzysz, pomaszzerowałaś prosto do kuchni i go dotknęłaś.

– Niby jak inaczej miałam sprawdzić, czy nie kłamie?

– A dlaczego miałyby kłamać? – dziwi się Blanche.

– Dorośli zawsze okłamują dzieci, nie?

– Powiedz mi, proszę, że mamy lód! – z korytarza dobiega teatralnie dramatyczne wołanie Arthura.

– W szafie, pod kocem – odkrzykuje Blanche – to najchłodniejsze miejsce, jakie znalazłam w tym domu.

– Z Alaski czy z Nevady? – dopytuje Ernest.

Blanche spogląda na niego z ukosa.

– Twierdzisz, że jesteś w stanie wyczuć różnicę?

– Jak macie oba, to możemy zawiązać mu oczy i niech się wykaże – proponuje Jenny.

– Cóż – zaczyna Ernest, już nie tak bardzo pewny siebie – jeżeli oczywiście to nie jest to świństwo z automatu...

– Wszystko popłynęło – biadoli Arthur, wracając do pokoju z miską, po czym podaje damom koniak. W każdej szklance unosi się kilka kryształków lodu.

– I jak, karty wam dziś dopisywały, *mon beau*²⁵? – pyta go Blanche niemal szeptem.

Arthur puszcza do niej oko.

A to miła niespodzianka. Przywykła raczej do „rozczarowań” i „niefortunnych zbiegów okoliczności”, jak wyrażają się o przegranych wytrawni hazardziści.

– *Heureux au jeu, malheureux en amour*²⁶ – żałobnym tonem recytuje siedzący na podłodze Ernest.

– Myślę, że mam szczęście i w kartach, i w miłości – mówi Arthur, po raz kolejny racząc Blanche długim, alkoholowym pocałunkiem.

Blanche żałuje w duchu, że nie mogą teraz, natychmiast, pójść do łóżka.

– A w co gracie, panowie? – pyta Jenny.

– W faro, oczywiście – odpowiada Ernest – W tej grze masz największe szanse na wygraną, no chyba że bankier kantuje.

– A czy jest w Ameryce takie miejsce, gdzie nie kantuje?

– Razem z przyjacielem jakoś sobie radzimy – w tonie Ernesta pobrzmiwa nuta samozadowolenia.

Jenny zaczyna śpiewać satyryczną piosenkę:

Zbyt wygodę sobie cenię, by pracować.

Żebrać? To poniżej mej godności.

Napadanie na pociągi? Nie zamierzam ryzykować.

Będę w karty tylko grać i w kości.

Mężczyźni rechoczą ze śmiechu. Blanche była pewna, że jak najszybciej będą chcieli się pozbyć tej dziewczyny, a tymczasem oni wydają się zachwyceni jej towarzystwem. Wygląda na to, iż powinna częściej przyprowadzać do domu nieznajomych.

– Czy dziś wieczorem była z wami ta wasza *petite amie*?²⁷ – pyta Ernesta.

– Madeleine?

– Jakbyś nie wiedział, o kogo mi chodzi, bo przecież tyle

masz przyjaciółkę, a nie tylko tę jedną, wierną jak pies, starą blondynę.

W odpowiedzi Ernest posyła jej pogardliwy uśmiech. Blanche już tyle razy mu dogryzała z powodu wieku Madeleine, że przestało to na nim robić jakiegokolwiek wrażenie. Madeleine to urocza kobieta o łagodnym usposobieniu, której w ogóle nie przeszkadza fakt, że jej młodszy kochanek spędza równie dużo czasu w pokoju gościnnym swoich starych przyjaciół z Paryża, co u niej w sypialni.

– Nie, dziś byliśmy parą samotnych kawalerów – mówi Arthur, przybierając melancholijną pozę. – Czy to o twój bocykl potknęliśmy się w korytarzu? – zwraca się z pytaniem do Jenny.

– Cóż za przyjemność móc z bliska obcować z taką maszyną – wtrąca Ernest – nawet jeśli odbywa się to w całkowitych ciemnościach, przy użyciu jedynie naszych goleni. Jakiś czas temu widziałem podobny okaz. Kosztował dwieście dolarów – mówi Arthurowi.

Blanche unosi brew, słysząc podaną przez niego cenę.

– Jenny *znalazła* go na Market Street – wyjaśnia.

– Ach, nie ma to jak cudowne zrządzenie losu! – ironizuje Arthur, posyłając całusa w niebo. – Półtora metra, tyle ma przednie koło, prawda?

– Metr czterdzieści siedem – mówi Jenny z czułością. – Jadąc w dół California Street czy Sutter Street, rozpędza się do ponad trzydziestu kilometrów na godzinę. Człowiek może poczuć się na nim jak ptak.

– A na płaskim? – dopytuje Ernest.

– Jeździ gładko jak po maśle. Cała sztuka polega na tym, żeby oprzeć nogi o ramę na wysokości kierownicy, bo kiedy natrafisz na jakąś przeszkodę, bez trudu możesz się uwolnić, zeskakując na ziemię.

– Na przeszkodę taką jak na przykład... ja – dodaje Blanche, nie mogąc się powstrzymać.

Jenny szczerzy zęby w diabelskim uśmiechu.

– Cóż, nawet ptaki się rozbijają w tych dziwnych czasach. Te wysokie budynki w centrum, z szerokimi taflami szkła...sama widziałam kiedyś, jak jedna mewa skręciła sobie kark, zderzając się z taką szybą.

– Nie jesteś prawdziwym mieszkańcem tego miasta, dopóki ktoś cię nie potrąci – stwierdza Ernest, ziewając.

– Wygląda na to, że miałaś interesujący wieczór, *ma puce*²⁸ – szepcze Arthur do ucha Blanche, pieścąc jej szyję.

Ach, w tej chwili mogłaby go dosięść, tu, na tym krześle... ale teraz nie ma co o tym myśleć. Odchyła się do tyłu, prostuje zeszywniałą nogę i stara się rozruszać obolałą stopę.

– Za karę musisz mi kiedyś dać się przejechać tą swoją machiną – mówi do Jenny.

Na twarzy dziewczyny pojawia się grymas.

– Wiem, że jesteś tancerką, ale obawiam się, że aby opanować jazdę na bicyklu, musiałabyś być raczej akrobatką.

Ernest i Blanche jednocześnie wybuchają śmiechem.

– Tak się składa, że wszyscy troje o akrobacjach wiemy aż za dużo – wyjaśnia Blanche tę salwą śmiechu.

– Mój kompan był najlepszym artystą trapezowym w Cirque d’Hiver²⁹ – chwali się Ernest, poklepując przyjaciela po jego błyszczącym bucie.

– *Les jours anciens* – w głosie Arthura pobrzmiewa ponura nuta. – Stare dzieje.

Blanche zastanawia się, jak bardzo jej ukochany tęskni za swoim dawnym, szczupłym ciałem linoskoczka. Oczywiście nadal jest umięśniony, lecz jego mięśnie nie są już tak twarde i jędrne, jak były kiedyś. Poza tym jego perfekcyjna postawa

zupełnie nie zdradza, że ma problemy z kręgosłupem. Ale tak czy owak, trudno oderwać od niego wzrok.

– A niech mnie dunder świśnie – mówi pod nosem Jenny. – Cyrk d’Hiver w Paryżu?

Blanche rozkłada ręce, jakby chciała powiedzieć: a gdzież by indziej?

– To tam nauczyliśmy się angielskiego, od dwóch najprawdziwszych jankeskich kowbojów z naszej trupy.

– Ten sam cyrk d’Hiver, w którym nasz mistrz Léotard *wymyślił* latający trapez – wtrąca Ernest – chociaż są tacy, którzy twierdzą inaczej, krętacze jedni.

– Hej, a nosiliście takie obcisłe trykoty? – pyta Jenny.

– Jak mawiał nasz maestro – wspomina Ernest, głaszcząc się po udzie – jeśli chcesz, żeby tłum cię pokochał, możesz zrezygnować z trapezu, ale trykot to element niezbędny.

– Wystarczy tej nostalgii – zarządza Arthur, przekrzykując śmiech Jenny. – Zawsze byliśmy zmarznięci, źle ubrani i jeszcze gorzej opłacani – stwierdza, po czym wstaje, żeby nalać sobie kolejną szklankę.

– A ty, Blanche? Jakie robiłaś pokazy? – nie daje za wygraną Jenny. – Czeka, czeka, przecież wspominałaś coś o koniach...

Trzeba przyznać, że ta dziewczyna bacznie słucha, co się do niej mówi.

– Byłaś amazonką?

Na twarzy Blanche pojawia się uśmiech. Wie, że Arthur wolałby zmienić temat, ale... – Jazda na oklep?

Blanche potwierdza skinieniem głowy i dodaje:

– Akrobacje ze wstążką, skakanie przez płonące koło, woltyżerka...

Jenny pogwizduje z podziwem.

– Kiedy byłam dzieckiem – wspomina – do miasta przyjechał Cyrk Wilsona. Występowała z nimi olśniewająca kreolska amazonka, Mademoiselle Zoyara. Jak się później okazało, była stuprocentowym facetem!

– *Des conneries!*³⁰ – szydzi Ernest.

– Mówię tylko, co słyszałam. Wygląda na to, że dziś jest moja szczęśliwa noc. Prawdziwe gwiazdy z Cirque d’Hiver – zachwyca się Jenny. – Jak wysoko wisiał twój trapez? – zwraca się do Arthura, lecz ten ignoruje pytanie, powoli sącząc koniak.

– Jaki był twój najniebezpieczniejszy numer? – dopytuje Jenny.

– To się nazywa „ewolucje” – poprawia ją Ernest.

– Bez żadnej siatki, rzecz jasna.

Ernest parska z pogardą.

– Spadłeś kiedyś? – naciska go Jenny, nie wiedząc, że posunęła się za daleko.

– Każdemu zdarzają się upadki – szybko ucina temat Blanche. Chciała, żeby te słowa zabrzmiały nonszalancko, lecz wypowiada je zbyt ostrym tonem.

– Skoro już mowa o niebezpieczeństwie – zaczyna Arthur, zaglądając pod sofę – czy tam leży rewolwer?

– Tak, to moja jednostrzałowa czterdziestkapiątka – odpowiada Jenny z satysfakcją. I żeby się nią pochwalić, podnosi broń jednym palcem, wkładając go w osłonę spustu. Czerwonawe drewno i srebrzysty metal. Musi mieć ze trzydzieści centymetrów długości, szacuje Blanche.

– Widzę, że nasza dama należy do dziwnej kategorii kobiet – rzuca Ernest w stronę Arthura.

Jenny wzrusza ramionami.

– A czemu niby to wy, faceci, macie mieć wyłączność na broń? Jak mawiają, Bóg stworzył mężczyznę i kobietę, ale to

Sam Colt ich ze sobą zrównał.

Arthur wybucha śmiechem.

– A któż tak mawia?

– Założę się, że nigdy z tego nie strzelałaś – kpiąco stwierdza Ernest, lekko podrzucając rewolwer w dłoni.

– Strzelałam. Kilka razy w powietrze.

– Jak nie umiesz ugryźć, to nie szczekaj – podśmiewa się z niej Ernest.

– Powietrze to najlepszy cel – obstaje przy swoim Jenny. – Broń ma się po to, żeby nie wpaść w tarapaty.

Arthur wyciąga rękę po colta i dotyka placami metalowej lufy i rękojeści.

– Jakoś dzisiaj u Duranda to właśnie przez niego miałaś kłopoty – mówi pod nosem Blanche.

– Bo trafiłam na wyjątkowo lekkomyślnego tumana – ripostuje Jenny.

– Twierdzisz, że to on był lekkomyślny? – Blanche przewraca oczami. Jedyne powód, dla którego jest w stanie tolerować to stworzenie, to fakt, że serwuje te swoje przechwałki z przymrużeniem oka.

– Wszystko przez tę pogodę – wtrąca Ernest. – W tym upale ludziom puszczają nerwy. Dziś wieczorem przy stoliku obok nas dwóch Hiszpanów skoczyło sobie do gardeł.

Jenny uśmiecha się od ucha do ucha, wyobrażając sobie tę scenę.

– Cóż – zaczyna Arthur i oddaje rewolwer właścicielce, trzymając go za lufę – jeśli dziewczyna chce paradować w spodniach po Chinatown, powinna się jakoś zabezpieczyć.

Blanche parska z dezaprobatą.

– Ja tam nigdy nie miałam żadnych problemów – stwierdza.
– Większość niestworzonych historii, jakie krążą o tej dzielnicy,

to bujdy opowiadane tylko po to, żeby zapewnić turystom dreszczyk emocji. Ying, nasz sąsiad z góry, mówił mi, że przewodnicy ustawiają uliczne burdy na Fish Alley, płacąc pięćdziesiąt centów każdemu „aktorowi”.

– To prawda – przyznaje Jenny, po czym odwraca głowę w północnym kierunku – meliny w Barbary Coast są o wiele bardziej niebezpieczne niż te w Chinatown.

– W rzeczywistości nigdzie nie grozi ci niebezpieczeństwo, pod warunkiem, że wiesz, co robisz – oznajmia Arthur z przesadną kurtuazją. – Ja i mój przyjaciel bywamy w różnych zakątkach miasta, wszędzie tam, gdzie akurat mamy do załatwienia jakieś interesy.

Blanche z trudem powstrzymuje język za zębami. „Interesy”, zawsze tak mówi, jakby on i Ernest byli partnerami w jakimś poważnym biznesie, podczas gdy ich działalność sprowadza się do gry w faro oraz spotkań z mocno podejrzanymi typami, których nazywają swoimi „wspólnikami”. Wręczają im grube pliki banknotów i to jest zazwyczaj ostatni raz, kiedy widzą swoje pieniądze. Albo fundują wystawne kolacje bogatym frajerom w nadziei, że uda im się ich wciągnąć w rozmaite ryzykowne „przedsięwzięcia”, w które sami zdążyli się już wpakować.

– A wy, panowie, czym się bronicie? – pyta Jenny.

– Amerykanie mają bzika na punkcie pistoletów – uśmiecha się Arthur. – Nóż jest o wiele bardziej niezawodny, a do tego nie psuje kroju marynarki.

Blanche nie ma pojęcia, czy jej kochanek kiedykolwiek użył sztyletu, z którym nigdy się nie rozstaje. Ale potrafi to sobie wyobrazić. Arthur, w przeciwieństwie do większości mężczyzn, długo nie daje się wyprowadzić z równowagi, lecz kiedy już straci panowanie nad sobą, nie jest to przyjemny

widok. Na przestrzeni tych wszystkich lat on i Ernest kilka razy mgliście wspominali o tym, jak musieli jednego czy drugiego gościa do czegoś przekonać albo coś mu wyperswadować, ale Blanche nigdy o nic nie pytała. Ona tańczy w saloonach i spotyka się ze swoimi klientami, a oni uprawiają hazard i robią te swoje interesy.

Ernest pyta Jenny, z czego się utrzymuje.

– Łowca żab, czyżby to było slangowe określenie, za którym kryje się jakieś nieprzyzwoite zajęcie? – zastanawia się z nadzieją w głosie.

– Nie. Łowca żab to ktoś, kto łapie żaby.

– Cóż za przepysznie kuriozalny fach – stwierdza Arthur.

– Te dwa niebieskie ptaki gardzą każdym zawodem – ostrzega ją Blanche. – Jak twierdzi Arthur, jedyną uczciwą drogą do zarobienia jakichkolwiek pieniędzy jest przypadek, nieważne, czy przy stole hazardowym, czy na giełdzie.

Na twarzy jej kochanka pojawia się szeroki uśmiech.

– Cóż, spekulacja ma w sobie pewien naturalny urok.

– Blanche, w przeciwieństwie do nas, po prostu nie urodziła się wystarczająco leniwa, by móc zaliczać się do grona prawdziwej cyganerii – wzdycha Ernest. – Haruje jak wół, noc w noc... – mówiąc to, naśladuje Blanche uprawiającą seks oralny ze swoim klientem.

Na widok tej obscenicznej pantomimy Arthur wybucha śmiechem.

Blanche czuje rosnącą irytację. Ma wrażenie, jakby jej pulsujące skronie znalazły się w uścisku ptasich szponów. Oczywiście wszystko się zgadza, to przecież żaden sekret, więc teoretycznie rzecz biorąc, nie powinna się denerwować. Po prostu chodzi o to, że kołysząca się głowa Ernesta wygląda jak zniekształcone odbicie jej własnej głowy w jakiejś obrzydliwie

brudnej kałuży.

Jenny uważnie jej się przygląda.

Blanche zmusza się do śmiechu.

– Dobrze, że mam pracę, bo inaczej poumieralibyśmy z głodu.

I znowu nie tak: miało być dowcipnie, a wyszło zjadliwie.

Uśmiech Arthura blednie w kącikach ust. Jednak już po chwili niespiesznie odchyła się do tyłu i przybierając artystyczną pozę, stwierdza spokojnie:

– Bohema nie byłaby bohemą bez przymierania głodem.

Blanche oddycha z ulgą. Arthur uratował sytuację.

– Pod warunkiem, że zawsze mamy butelkę i cygaro! – wtrąca Ernest.

W mieszkaniu zrobiło się całkiem jasno, czego nikt wcześniej nie zauważył. Mrużąc oczy, Blanche spogląda w okno: kolejny *satané*³¹ słoneczny dzień.

Jenny dźwiga się z podłogi i zaczyna wszystkim dziękować.

– Czyja to krew? Twoja czy tej martwej krowy? – pyta Arthur, wskazując na mięso.

Dziewczyna ziewa, zapinając marynarkę, pod którą znika gors.

– Każdej po trochu. Ale te rzygi to z pewnością moje.

– Nie możesz wyjść w czymś takim na ulicę – beszta ją Arthur. – My *Français*³² musimy dbać o reputację najbardziej szynkownego narodu.

– Ja tam nie widzę żadnego problemu – stwierdza Jenny, wkładając rewolwer do kieszeni spodni.

– Poszukaj jej czegoś, kochanie – prosi Arthur.

Blanche idzie do sypialni. Najpierw wkłada resztę zarobionych dziś pieniędzy do sfatygowanego buta na wysokim

obcasie, który stoi pod łóżkiem (jakoś nigdy nie odczuła potrzeby, żeby wspomnieć Arthurowi o tych zaskórniakach). Akt własności budynku trzyma za reprodukcją swojego ulubionego obrazu: płótno przedstawia dziwaczny piknik, w którym bierze udział jedna naga kobieta siedząca pomiędzy dwoma dandysami w czarnych marynarkach.

Następnie otwiera kufer z cynowymi okuciami, wciąż upstrzony nalepkami z „Utopii”, którą przyплыnęli do Ameryki. (Arthur lubi mieć idealnie poskładane ubrania, ale z całą stanowczością odmawia przeniesienia się do porządnej komody). Wyciąga koszulę – nie tę najnowszą, bo może nigdy więcej nie spotkają się z Jenny, ale jedną z tych bardziej eleganckich, zielonkawą z motywem kwitnącego pnącza.

Gdy wraca do salonu, okazuje się, że Arthur zdążył w tym czasie strzepnąć z mięsa kurz i wrzucić je do rondla stojącego na lampce spirytusowej. Zaczął też robić jajecznicę. Jenny idzie się przebrać. Arthur wysyła Ernesta po chleb, a Blanche każe iść do sypialni, żeby sprawdziła, czy ich goście czegoś nie trzeba.

Wchodząc do pokoju, widzi, jak Jenny wkłada koszulę przez głowę. Zupełnie jak facet, zauważa ze zdziwieniem.

– Chyba mam prawo do odrobiny prywatności – fuka na nią Jenny.

Blanche robi krok w tył i odwraca się plecami. A cóż takiego, u licha, tam chowa? Wiadomo przecież, że ma pod spodem dwie małe piersi...

– Dzięki za koszulę – mówi dziewczyna już całkiem spokojnie, tak jakby cały ten wybuch złości przed chwilą w ogóle nie miał miejsca. – Pierwszy raz mam na sobie taki fikuśny wzór.

Blanche nie odpowiada, tylko rusza z powrotem do salonu.

– Co to za dziecko? – pada nagle pytanie.

Blanche zamiera w bezruchu.

Jenny wskazuje na zdjęcie w srebrnej ramce, które wygrzebała spośród szpargałów, biżuterii, różu do policzków i kohlu walających się na małym stoliku.

– To nasz syn – jej słowa brzmią poważnie i uroczyście. Nigdy wcześniej nie musiała wyjaśniać, kogo przedstawia fotografia. – P'tit – dodaje nieśmiało. Tak go nazywa, choć w rzeczywistości chłopiec ma na imię Arthur. P'tit Arthur. Mały Arthur.

– Przykro mi...

– Nie, nie. On nie... Po prostu został wysłany na farmę, ze względów zdrowotnych – wyjaśnia Blanche. – Zaraz po jego urodzeniu rozchorowałam się...

Wspomnienia, niczym szczątki jakiegoś wraku, wyłaniają się z mgły spowijającej poporodową gorączkę. Ledwie mający jej przed oczami obraz maleńkiego stworzenia, które całe ociekało płynami wydobywającymi się przez każdy otwór ciała – nawet w kącikach oczu miało szmaragdowozieloną ropę. W ogóle nie chciało tknąć jej prawej piersi, za to lewy sutek pokąsało aż do krwi, a wraz z wybiciem piątej po południu zaczynało wyć – Blanche miała wrażenie, że od tych wrzasków trzęsie się cały budynek. I tak bez końca... Kiedy zaczęła na przemian majaczyć i wymiotować, Arthur zabrał niemowlę i udał się do Madame Johanny po poradę. Była mu wówczas bardzo wdzięczna za tę stanowczość, zwłaszcza gdy Madame znalazła wśród swoich rodaków rodzinę Hoffmanów, którzy od razu wzięli do siebie P'tita. I choć po jego zniknięciu cierpiała podwójnie – jej lewa pierś spuchła do takich rozmiarów, że zaczęła przypominać eksponat rodem z gabinetu osobliwości, w związku z czym przez tydzień nie pozwoliła Arthurowi zajrzeć pod koc, gdzie ukrywała swój ohydnie zdeformowany

biust – poczuła ogromną ulgę, mogąc w ciszy i samotności przeżywać swój ból.

Jenny uważnie przygląda się *carte de visite*³³.

– Powiedziałaś, że mieszka na farmie ze względów zdrowotnych. A co jest z nim nie tak?

Blanche mruży oczy, zaskoczona tak obcesowym pytaniem.

– Nic. – To znaczy, nic szczególnego. Zgodnie ze swoim imieniem P'tit jest wciąż maleńki, z wyjątkiem ogromnych oczu. Jest tylko jakiś taki apatyczny i ospały, co stanowi dla niej źródło rozczarowania. Z drugiej jednak strony Blanche jest najmłodsza z całego rodzeństwa, więc skąd ma niby wiedzieć, jak powinno wyglądać małe dziecko. Przynajmniej ma okrągły brzusek – a Arthur zawsze powtarza, że to tylko świadczy o tym, że Hoffmanowie dobrze go karmią.

– No wiesz, w naszych stronach to normalne – mówi, jakby musiała się wytłumaczyć.

– Czyżby?

– Ty pewnie nie pamiętasz, bo opuściłaś kraj w bardzo młodym wieku. W każdym razie w Paryżu w ogóle nie widać dzieci. Miasto im nie służy. Poza tym czynsze są wysokie, więc matki muszą pracować... Wszyscy zostaliśmy oddani na wieś na wychowanie – kontynuuje, jednocześnie usiłując sobie przypomnieć, jak nazywała się kobieta, która się nią opiekowała.

– Swojej rodziny nie widziałam do... – trzeciego, czwartego roku życia? Blanche nie pamięta, ile miała lat, kiedy wróciła do rodziców. Pamięta tylko, jak się czuła, gdy nagle znalazła się wśród obcych ludzi, w tym ciasnym mieszkaniu na małej wysepce w środku miasta, Île Saint-Louis, i poinformowano ją, że tutaj jest teraz jej dom.

– To ile lat ma ten twój P'tit?

– Prawie... – Blanche liczy w głowie miesiące i nagle

ogarnia ją przerażenie. On przecież w zeszłym tygodniu... Jak mogła przeoczyć tę datę? Czy była tego dnia pijana – pijana bardziej niż zwykle? – Prawie rok – mówi po chwili, nie wdając się w szczegóły. Zresztą czy to takie ważne? Przecież roczne dziecko i tak nie wie, co to są urodziny.

– Często go odwiedzasz? – pyta Jenny, zakładając kamizelkę.

Ależ ona ma talent do wtykania nosa w nie swoje sprawy! A do tego naprawdę potrafi uderzyć w czuły punkt.

– Niania przynosi go z farmy – oznajmia, jakby to była odpowiedź na pytanie.

Fakt, przychodzi do niej z synkiem, ale nie na Sacramento Street pod numer 815. P'tit nie był tu od czasu, gdy Arthur zabrał go do Madame. Niania taszczy go w koszyku do House of Mirrors, gdzie Blanche czeka na nich. Na początku wizyty odbywały się raz na tydzień, mimo że nie od razu wróciła do formy. Oczywiście tęskniła za swoim synkiem: doprawdy wyrodna byłaby z niej matka, gdyby jej go nie brakowało. Arthur przychodził na te spotkania razem z nią – w sumie pojawił się dwa, może trzy razy. Jednak ostatnimi czasy widuje go dużo rzadziej, mniej więcej raz w miesiącu. Właściwie sama do końca nie wie, kto dokonał zmian w tym grafiku. Nudzą ją te spotkania, a poza tym po każdej takiej wizycie czuje się jakoś nieswojo. Przez kwadrans uśmiecha się do chłopca i kiwa głową, patrząc na jego lekko zdeformowaną twarz. W głębi ducha zastanawia się, dlaczego czuć od niego nieprzyjemny zapaszek, skoro jest owinięty w kilka warstw wykrochmalonego lnu. Któregoś razu zapytała o to małomówną nianię, która najwyraźniej poczuła się dotknięta tym pytaniem i wytłumaczyła jej, że tak po prostu pachną niemowlęta. Blanche nie popełnia już też błędów, jakim było branie P'tita na ręce: niektóre dzieci po

prostu nie znoszą, kiedy dorośli się nad nimi roztkliwiają, tak przynajmniej twierdzi niania, a przecież ona chyba zna się na rzeczy. Za to za każdym razem przynosi mu do ssania laskę melasy.

Gdyby nie miała aż tyle pracy... Na pewno wszystko się zmieni, kiedy P'tit trochę podrośnie i zacznie reagować na jej obecność albo przynajmniej będzie ją rozpoznawać. Blanche czeka na tę iskrę, która się w nim rozpali, na moment, gdy będzie można powiedzieć, że P'tit Arthur Deneve pięknie się rozwija, i kiedy wreszcie dostrzeże w nim syna godnego nazwiska swojego ojca.

– A co to za farma? – zastanawia się na głos Jenny, zapinając marynarkę. – Hodują tam krowy, drób czy uprawiają rolę?

– Dlaczego pytasz? – odpowiada poirytowana Blanche, zamiast po prostu przyznać, że nie wie. Właściwie czemu pozwala na to przesłuchanie? Czemu daje się wypytywać o jakieś nieistotne szczegóły? Kogo to obchodzi, czy Hoffmanowie trzymają krowy, czy kury? P'tit i tak jest zbyt mały, żeby dostrzec różnicę. Nie będzie z tego okresu pamiętał więcej, niż ona sama zapamiętała ze swoich pierwszych lat życia. Bydło czy jakiś cholerny drób, przecież to bez znaczenia! Tak się składa, że do tej pory nie była jeszcze na farmie. Madame ręczy za to miejsce, a poza tym z prawdziwym zaangażowaniem aranżuje spotkania z P'titem w House of Mirrors, co jest jej o wiele bardziej na rękę niż wizyty w gospodarstwie Hoffmanów. Taki układ idealnie się sprawdza, wszyscy są zadowoleni, więc co ta dziewczyna sobie wyobraża? Jakim prawem draży i jątrzy?

Słychać trzaśnięcie frontowych drzwi. To na pewno Ernest wrócił z chlebem.

– *À table, messieurs-dames!*³⁴ – woła Arthur i wszyscy siadają do śniadania.

W San Miguel Station piętnasty września ciągnie się w nieskończoność. Dopiero kiedy Blanche odwraca głowę, by odsunąć twarz od strugi światła, dociera do niej, że właśnie zaczął się nowy dzień. W tym momencie wszystko sobie przypomina i znów ogarnia ją panika: wczorajszej nocy Arthur próbował ją zabić. Ocalała jedynie za sprawą nieprawdopodobnego zrządzenia losu – szansa na to, że uda jej się przeżyć, była niewyobrażalnie mała, jak jeden do miliona. Na jej ciele, z wyjątkiem niewielkiego zadrapania na policzku – drasnął ją tylko odłamek szkła – nie ma żadnego śladu. *To ja powinnam tam leżeć, nie biedna Jenny.*

– Może chciałaby się pani umyć? – proponuje Mary Jane McNamara.

Blanche spogląda na swoje upiornie brunatne ubranie.

– Czy policja...

– Policji do tej pory ani widu, ani słyhu – przerywa jej Mary Jane. – Tato postanowił wysłać drugi telegram, na wypadek gdyby pierwszy gdzieś się zawieruszył, a wtedy pani Holt zapytała, czy wątpi w jej kompetencje – mówi dziewczyna rozemocjonowanym tonem. Widać, że to morderstwo jest najbardziej ekscytującym wydarzeniem w całym jej dotychczasowym życiu.

Blanche dobrze wie, jak to jest mieć piętnaście lat: doskonale pamięta to otępiające, pętające zmysły poczucie, że życie jest czymś, co zdarza się innym ludziom. A potem nagle pewnego dnia, zupełnie bez ostrzeżenia, przytrafia się także tobie.

*Na latającym trapezie mknie bez trudu
Odważny młodzieniec ku ucieście ludu.*

W tamto zimowe popołudnie, chcąc się trochę rozerwać, Blanche poszła do cyrku. Ot, niewinna wyprawa, nic więcej. Jednak podczas występu siedziała jak urzeczona, gapiąc się jak cieleń na malowane wrota na pięknego mężczyznę o oliwkowej skórze, który niczym nóż przecinał powietrze pod pozłacanym sufitem przy akompaniamencie tłumu skandującego słowa popularnego w tamtym roku walczyka:

*Uśmiecha się z drążka, spoglądając na ziemię,
Do mej ukochanej śle radosne spojrzenie.
Ona zaś oczy ku górze kieruje,
„Brawo!”, z podziwem doń wykrzykuje.
Gorący aplauz słysząc w jej głosie,
Gdy zwisa nad nami uczepiony na nosie.*

Później zaś przez kilka godzin czekała pod drzwiami dla aktorów, nie zważając na chłód. Nie myślała też o tym, że właśnie przepadła jej kolacja i niechybnie czeka ją za to lanie. Wreszcie ów uroczy mężczyzna pojawił się w drzwiach, w normalnym stroju, już nieźle wstawiony. Co prawda teatralna szminka znikła już z jego ust, lecz jego twarz wciąż przyciągała wzrok. Jednym ramieniem obejmował chuderławego chłopaka z pierwszymi zaczątkami zarostu (to był Ernest, na którego Blanche w ogóle nie zwróciła uwagi. Nie miała pojęcia, że wiele lat wcześniej Arthur wziął tego osieroczonego chłopca pod swoje skrzydła i wprowadził do cyrku jako swego scenicznego partnera). Blanche przyłączyła się do nich. Gawędziła z nimi i flirtowała, najlepiej jak potrafiła, aż do zapadnięcia zmroku.

Następnego dnia znów pojawiła się w cyrku. Ten mężczyzna miał w sobie coś egzotycznego, co działało na nią jak magnes. Arthur Pierre Louis Deneve. Miał zaledwie dwadzieścia

dwa lata, a już uchodził za światowca. Był odczytany, zjeździł świat, widział wszystko i wszystkiego spróbował. Chwalił się, że należy do bohemy, a Blanche, chociaż nigdy wcześniej nie słyszała tego słowa, zarzekała się, że ona też. Miała piętnaście lat i dopiero zaczynał jej rosnąć biust, ale przez to nawet lepiej nadawała się do cyrku, bo przecież artystki cyrkowe powinny być drobne i lekkie jak piórko. Dlatego wkrótce Arthur zaczął przekonywać swojego *Monsieur Loyal*³⁵, żeby spróbował ją wsadzić na kuca szetlandzkiego...

Ale jakie to wszystko ma teraz znaczenie? O czym to niby ma świadczyć? Że Arthur był wyjątkowym przedstawicielem rodu męskiego aż do wczoraj? Aż do chwili, gdy okoliczności sprzysięgły się i... Nie, bądźmy szczerzy. Aż do chwili, gdy Blanche go złamała. Złamała mu serce, złamała ducha – złamała czarującego mężczyznę, jakim na pierwszy rzut oka był Arthur, strzaskała jego skorupę i wypuściła na zewnątrz diabła. A może to wszystko świadczy tylko o tym, że była idiotką, skoro wtedy, dziewięć lat temu, się w nim zakochała.

Jej umysł wciąż pracuje na zwolnionych obrotach. To na pewno z powodu zmęczenia. I oczywiście szoku. *Jeśli Arthur wczoraj chciał mojej śmierci, to dziś też będzie jej chciał*, myśli Blanche. Powinna uciekać, gdzie pieprz rośnie. Ale na pewno nie w tym ubraniu, stwierdza po chwili, spoglądając na poplamiony materiał.

Niczym automat rusza w ślad za Mary Jane i wychodzi z Eight Mile House. Na progu pomiędzy saloonem i rozpadającą się werandą jej stopy odmawiają posłuszeństwa, jakby nie chciały jej wprowadzić w krąg oślepiającej jasności. Blanche prostuje obolałe ramiona i zmusza się do zrobienia kroku w przód, próbując przygotować się na wyimaginowany strzał (tak jakby napięte mięśnie mogły odbić gruby śrut!). Powietrze

jest już nagrzone, wszędzie dookoła pełno kurzu, ale to i tak lepsze niż smród krwi i whisky. Unosi rękę, żeby zasłonić twarz. Gdzie się podział jej słomkowy kapelusz? Nawet w zaistniałych okolicznościach – nawet w takiej chwili – łapie się na tym, że nie chce mieć piegów. Przezroczysta, blada cera to jeden z jej znaków rozpoznawczych, obietnica zawarta w jej imieniu. Bez tego znów stałaby się pospolitą Adèle Beunon.

Blanche baczny wzrokiem przygląda się nędznym, zdewastowanym zabudowaniom w pobliżu San Miguel Station, wypatrując niebezpieczeństwa. Na lewo, po przeciwnej stronie spalonego słońcem podwórza, stoi żaloszny bar Jordana. Ta karłowata chałupa razem z niewiele większym przybytkiem McNamary wyglądają jak para rabusiów, którzy przykucnęli przy Mount Road, żeby zasadzić się na przejeżdżających tędy podróżnych. W tej chwili na pokrytej kurzem drodze jak okiem sięgnąć nie widać ani jednego pojazdu, ani żywej duszy. Nieco dalej na północny wschód, dosłownie rzut beretem od saloonu, znajduje się prosta, brązowa bryła – to budynek dworca kolejowego, którym zarządza pani Holt. Na południowym zachodzie mający w oddali drewniana chata, gdzie mieszka para Kanadyjczyków, którzy ledwo wiążą koniec z końcem – z tego, co pamięta, na niego mówią Louis, ale nie wie, czy to imię, czy nazwisko. Na horyzoncie widać jeszcze kilka porozrzucanych bud. Ciekawe, z czego mieszkający w nich robotnicy czy może dzicy lokatorzy utrzymują się przy życiu? A dalej już tylko puste połacie piachu, królestwo szczurów i pcheł.

– Tędy – woła zniecierpliwiona Mary Jane, prowadząc ją na tyły Eight Mile House.

Blanche wstrzymuje oddech, mijając maleńką, cuchnącą budkę z sierpem księżycy wyciętym na drzwiach – to wychodek,

w którym chłopak McNamarów, słysząc strzały, dostał ataku paniki.

– Jak się czuje twój brat? – pyta dziewczynę.

– Mały Jeremiaś? Przez pół nocy śniły mu się koszmary.

– Nie, John junior. Co z jego ręką?

– A bo ja wiem... – Mary Jane odrzuca do tyłu głowę. – Za nim nie trafisz, on zawsze chodzi swoimi drogami.

Najstarsza siostra to zaiste niewdzięczna rola, stwierdza Blanche. Całe to zmywanie podłóg, obieranie ziemniaków, opiekowanie się młodszym rodzeństwem...

Stare prześcieradło zawieszane na patykach robi za zasłonę, za którą stoi wiadro z wodą ze stawu. Blanche niezdarnymi ruchami palców próbuje rozpiąć poplamione guziki. Ta zakrzepła krew jest gorsza niż błoto. Nagle cała zaczyna dygotać, jak jakiś pijak, który bladym świtem telepie się pod speluną.

– Mary Jane? – woła ochrypłym głosem.

Odpowiada jej głucha cisza.

Blanche odchrząkuje, po czym znów się odzywa.

– Mary Jane, mogłabyś...

Kiedy zagląda za prześcieradło, okazuje się, że nikogo tam nie ma. Jest za to jej podróżna torba, idiotycznie wręcz ekstrawagancka z tym pomarańczowym orientalnym wzorem. U góry widać ślad po niedokładnie wytartej plamie.

Cóż. Ci ludzie poznali ją we wtorek, zaledwie trzy dni temu. Traktują ją jak zupełnie obcą osobę, jak stertę śmieci, którą przyniosła burza i zostawiła na ich progu. Być może już się domyślili, że to za nią przywlekło się nieszczęście do San Miguel Station i że to ona jest odpowiedzialna za cały ten koszmar.

A przecież oni sami wcale nie są lepsi, powtarza sobie

w duchu. Przecież to hołota. *Powinna pani na kolanach dziękować Bogu miłosiernemu, panno Blanche* – miała czelność jej wczoraj powiedzieć Ellen McNamara. Ta napuszczona fleja wyobraża sobie, że jest o klasę lepsza od niej. A ona myślała, że opuszczając Stary Świat, zostawili za sobą wszystkie te pozy i sztuczne konwenanse. *Ty francuska dziwko* – tak z pewnością najchętniej nazwałaby ją Ellen, tyle tylko, że nie ma odwagi wymówić podobnych słów, bo jak wiadomo, Irlandczycy to największe świętoszki Europy (najpierw robią sobie więcej dzieci, niż są w stanie wykarmić, a potem żegnają się na każdym kroku, jakby nigdy w życiu nie słyszeli o seksie).

Blanche wbija wzrok w swoje dłonie, pragnąc, by wreszcie przestały drżeć. Na pewno sobie poradzi – w końcu musi tylko zdjąć z siebie to cuchnące ubranie. Zaczyna od prawego buta. Wreszcie udaje jej się ściągnąć tę przeklętą nogawkę od getrów. Potem przychodzi kolej na zakrwawioną fioletową spódnicę, stanik, rękawy tak ciasne, że z trudem przechodzą przez nadgarstki, zeszywniały gorset, przepoconą halkę, półhalkę i pantalon. Wszystko to rzuca na piaszczystą ziemię.

Stara się nie patrzeć na własne ciało. W tym bezlitosnym świetle straciło cały swój powab: czuje się ohydnie naga, wulgarna, ze wszystkiego odarta, a do tego unosi się nad nią odór śmierci. Nabiera dłońmi wodę, oblewa ramiona i szybkimi ruchami szoruje się skrawkiem materiału. Mimo porannej spiekoty jej ciałem wstrząsają dreszcze, jakby zdrapywała z siebie skórę. Tak mocno trze szczoteczką paznokcie, że wkrótce opuszki palców są całe podrażnione.

Cóż, mogło być gorzej – przynajmniej ma w torbie zapasowy gorset, dzięki któremu choć do pewnego stopnia może na powrót wtłoczyć się w ramy swojego codziennego wizerunku. Obraca turniurę i sprawdza materiał opinający

metalowe fiszbiny. Jedna brązowa plama wielkości jednocentówki. Niestety, nic się z tym nie da zrobić. Ale trudno. Nie będzie przecież paradować po ulicy z płaskim tyłkiem jak jakaś prostaczka, a już na pewno nie dziś. Mocno zaciąga tasiemki, jakby nakładała na siebie zbroję.

Jednak w jej torbie nie ma stroju, który byłby odpowiedni na ten makabryczny dzień. Waha się pomiędzy dwiema spódnicami: pomarańczową w białe pasy i niebieską w szkocką kratę z ciemnymi falbanami. Szybciej, szybciej, pogania samą siebie, ale wcale nie pomaga to dokonać wyboru. To jakiś absurd. Gdzieś z tyłu głowy kołysze się jej melodia, której ostre krawędzie kłują niczym kolce: *Kiedyś szczęściarzem wielkim byłem...*

W końcu wygrzebuje z torby niebieską spódnicę. Dobiera do niej żółty zakiecik, pończochy w żółte pasy i parę białych pantofli na niskim obcasie. Wyciąga też niezbyt wyjściową parasolkę. To wszystko, co ma. Tylko tyle upchnęła do swojej torby podróżnej, gdy dokładnie tydzień temu opuszczała dom pod numerem 815 przy Sacramento Street. Reszta dobytku została w mieszkaniu. W jej mieszkaniu, w jej cholernej kamienicy. W końcu to jej nazwisko widnieje na akcie własności. Ale nie może tam wrócić. Dom to ostatnie miejsce na ziemi, do którego powinna się teraz udać, jeśli chce przeżyć.

Dotyka dłońmi dna torby. Pod palcami czuje pieluszki, kształt butelki... i ukochanej czarnej gałki do drzwi.

Spogląda na te przedmioty i oczy coraz bardziej zaczynają ją piec. Zapomniała o P'ticie. Jak mogła...

Bo mierzono do mnie z pistoletu! – chce wykrzyknąć na całe gardło. *Bo jestem cała umazana krwią mojej przyjaciółki!* Oczywiście tak naprawdę wcale nie zapomniała o swoim synku. Przez cały tydzień, odkąd ci dwaj zniknęli z mieszkania razem

z P'titem, szukała dziecka, martwiła się o nie i z utęsknieniem wypatrywała chwili, gdy znów je odzyska, całe i zdrowe. Ale teraz po prostu myśli głównie o tym, jak utrzymać się przy życiu.

Przy życiu. Te słowa brzmią jak cios wymierzony prosto w twarz.

Blanche kuca na zakurzonej ziemi. Nie, to nie smutek, a raczej ciężar, jakby przez jej pierś przetaczał się ciężki wóz, który właśnie się zatrzymał. Świadomość własnej głupoty przygniata ją tak bardzo, że nie może złapać tchu. Czy istnieje jakikolwiek powód, by mogła wierzyć, że Arthur już nie pozbył się dziecka?

Dokładnie to przemyśl – nakazuje samej sobie – *ale stosując logikę wariata.* Czyli Arthura. Powiedzmy, że jakimś cudem dowiedział się, gdzie ona się ukrywa, po czym kupił albo pożyczył śrutówkę i wczoraj wieczorem wyruszył do San Miguel Station. Co zrobił z dzieckiem? Zostawił je z Ernestem? Nie, przecież Ernest nie jest w stanie znieść *kociej muzyki* wydobywającej się z gardła P'tita. To może poprosił jakiegoś sąsiada albo któregoś z ich dawnych lokatorów, żeby zaopiekował się chłopcem, podczas gdy *Papa* pójdzie zamordować *Maman*?

Blanche chciałyby w to wierzyć. Naprawdę by chciała. Nawet jeśli już nigdy więcej nie zobaczy P'tita, to gdyby tylko mogła wierzyć, że żyje i że wszystko z nim w porządku...

Ale przecież P'tit to jego własny syn!

A mimo to jakoś nigdy specjalnie nie dbał o dobro własnego dziecka, ba, w ogóle nie obchodził go fakt posiadania potomstwa. Po tygodniu użerania się z małym Arthur z pewnością był zdolny do wyhodowania w sobie takiej ilości goryczy, że z powodzeniem mogła ugasić resztki tłącego się

w nim instynktu ojcowskiego. Skoro potrafił strzelić do kobiety, którą jak sam twierdził, kochał od dziewięciu lat, równie dobrze mógł pozbyć się tej niewygodnej kuli u nogi, jaką stał się dla niego P'tit. Zwłaszcza że byłoby to dużo prostsze niż zamordowanie kobiety. Roczne dziecko, które ledwo siada, które jeszcze nie nauczyło się raczkować, nie mówiąc o chodzeniu czy uciekaniu... tu nawet nie trzeba by było kuli.

Nie. Przestań. Przecież nie wiesz, co się stało. Więc skończ z tymi spekulacjami.

Blanche wrzuca do torby resztę czystej bielizny, żeby zasłonić rzeczy P'tita. Jej twarz jest cała śliska od potu. Ta pogoda musi się wreszcie zmienić, bo w końcu ileż gorąca i wilgoci może pomieścić powietrze?

Kiedyś szczęściarzem wielkim byłem... A niech to szlag! Jakżeż to dalej szło? Jenny na pewno wie. Wiedziałyby, poprawia się Blanche. W tej małej głowie siedziały setki piosenek, może tysiące...

Szybkie spojrzenie w lusterko: no tak, prócz starcia z twarzy krwi za pomocą umazanej szmaty niewiele da się tu zdziałać. Nie ma co się nad tym rozwodzić. *Krew to tylko krew, nic więcej* – czy nie tak powiedziała kiedyś Jenny do Marii? Niewielkie skaleczenie na prawym policzku, którego sprawcą był odłamek roztrzaskanego szkła, zdążyło się już pokryć strupem. Niesamowite, jak szybko żywe ciało robi ze sobą porządek. Blanche zbiera swoje proste, brązowe włosy w węzeł, zakłada na nie siatkę i upina je kilkoma szpilkami.

Sprzączka torby zamyka się z trzaskiem. Blanche podnosi z ziemi swoje poplamione ubrania i drżącymi palcami zwija je w kłębek.

Nagle przypomina sobie słowa piosenki, której nauczyła się od Jenny. Dziewczyna śpiewała ją, teatralnie marszcząc brwi,

lecz za tą maską czaił się złośliwy uśmieszek. Dorzucała do tego kilka synkopowanych kroków.

Wczoraj jak w bajce sobie żyłem,

A dzisiaj tkwię w koszmarnym śnie.

Wczoraj szczęściarzem wielkim byłem,

A dzisiaj blues przepętnia mnie.

Blanche otwiera parasolkę. W powietrzu rozlega się szcęk metalu. Zielony jedwab chroni ją przed palącym słońcem. Wyłaniając się zza rozwieszonego na kijach prześcieradła z naręczem cuchnących ubrań, które stara się trzymać jak najdalej od siebie, rozgląda się dookoła w poszukiwaniu czegoś w rodzaju śmietnika.

Znad maleńkiego ogniska rozpalonego tuż nad stawem unosi się wąska smużka dymu. Obok siedzi jakieś dziecko. Gdy Blanche podchodzi bliżej, widzi, że to John junior. Siedzący w kucki przy ognisku chłopiec spogląda na nią, mrużąc oczy. Jedną rękę ma zatkniętą za pasek, drugą, tę zranioną, trzyma wysoko w górze.

Papier zajmuje się ogniem, lecz już po chwili kartki czernieją: stare wydanie *Ragged Dicka*, jakaś książka o złym chłopcu³⁶... John junior pochyła się do przodu i grzebie w ognisku długim patykiem. Blanche rozpoznaje zielono-złotą oprawę *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*.

– Dlaczego palisz jej książki? – pyta ostro.

– Dała mi je w prezencie – szłocha chłopiec.

Cóż, widocznie tak opłakuje zmarłą – sposób jak każdy inny, nawet jeśli jest w tym coś barbarzyńskiego. Jenny pewnie postąpiłaby tak samo. Gdyby wczorajszej nocy stało się inaczej – gdyby to ciało Blanche podziurawiły kule Arthura – Jenny prawdopodobnie cisnęłaby w ogień nie tylko jej ubrania, ale i każdą inną rzecz, która przypominałaby jej przyjaciółkę.

– Mogę? – zamiast dokończyć zdanie, wskazuje na zwitek pomiętych ubrań.

Twarz Johna juniora purpurowieje. Widocznie to ten wiek, stwierdza w duchu Blanche, kiedy chłopców napawa przerażeniem wszystko, co ma związek z płcią przeciwną. Uwięziony na istnym pustkowiu, gdzie oprócz starszej siostry nie widzi na co dzień żadnych dziewcząt, które mógłby pożerać wzrokiem, nie ma bladego pojęcia o tych sprawach, a im mniej wiedzy, tym bujniejsza wyobraźnia. Już sam uścisk dłoni żony farmera prawdopodobnie wywołałby u tego chłopaka erekcję, a co dopiero widok bielizny prawdziwej paryskiej tancerki burleskowej. Nie żeby miał świadomość tego, w jaki sposób panna Blanche zarabia na chleb, ale intuicja zawsze bierze górę nad wiedzą.

Nagle zjawia się koło niej kundel, w podnieceniu obwąchując poplamione krwią ubrania. Blanche kopie psa.

John junior zrywa się na równe nogi z takim impetem, że wystraszona Blanche cofa się o krok. Chłopiec jedną ręką chwyta odrażający kłębek ubrań, po czym przyciska je do piersi. Blanche czuje groteskowe wręcz zażenowanie na widok dwunastoletniego młodzieńca, który ściska w dłoniach jej halkę.

Chłopak rzuca ubrania w płomień. Z ogniska bucha kłęb cuchnącego dymu i przez chwilę wydaje się, że materiał ugasił ogień. Ale kiedy John junior zaczyna grzebać patykiem w palenisku, płomień znów wystrzela w górę.

Blanche stoi sztywno jak modelka z żurnala i spogląda na północ, na odległe wzgórza odcinające San Miguel Station od właściwej części miasta. Raptem łapie się na tym, że ściska drewnianą rączkę parasolki tak mocno, jakby jej rachityczny szkielet i jedwabna kopuła mogły przenieść ją hen za te wzgórza.

– Dziękuję ci – mówi ochryplym głosem, nie mając pewności, czy chłopiec w ogóle ją usłyszał pośród trzaskających płomieni.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, John junior rzuca się jej na szyję. Tak mocno przyciska głowę do jej klatki piersiowej, że czuje, jak guzik żakietu wbija jej się w mostek. Chłopiec z całych sił obejmuje ją zdrowym ramieniem. Mimo niezdarności tego gestu Blanche uświadamia sobie, że John junior to jedyna osoba w całej tej nędznej, walącej się osadzie, która nie ma jej w nosie. Dlatego odwzajemnia jego uścisk.

Chłopiec mówi coś do niej, ale jego słowa są przytłumione.

– Słucham? – pyta Blanche, odsuwając się od niego.

– Już dobrze, panno Blanche – wydusza z siebie, a jego ciemnoszare oczy wypełnia bezbrzeżna rozpacz. – Wszystko będzie dobrze.

Zaskakująco to brzmi w ustach tego dzieciaka. Coś takiego powiedziałyby raczej dorośli, któremu zabrakło słów.

– W to akurat wątpię – rzuca pod nosem Blanche, po czym chwiejnym krokiem rusza w kierunku Eight Mile House.

A gdzie się podział rower? To dziwne, przecież Jenny upchnęła ten swój bocykl za suchymi krzakami pod boczną ścianą budynku. Czy miała jakiś powód, żeby wczoraj wieczorem go przestawić? Blanche bacznie się przygląda wysuszonym liściom. Na zniszczonej werandzie, tuż pod wybitą szybą dostrzega coś na kształt wyrwy. Czy zawsze tam była? Okno już nawet nie przypomina okna – wygląda jak jakiś poszarpany, pusty oczodół.

Dopiero teraz przychodzi jej na myśl, że Arthur być może zabrał ze sobą Ernesta. Na pewno go ze sobą zabrał. Czy kiedykolwiek podjął się czegoś bez pomocy swojego przyjaciela, wiernego kompana, towarzysza doli i niedoli?

Co mogli do siebie mówić ci dwaj mężczyźni, kiedy w ciemnościach zakradali się do San Miguel Station? Przed oczyma staje jej obraz Arthura sprzed tygodnia: elegancki, przebiegły gracz siedzący za stołem, przy którym toczy się partyjka faro. Czy ciskał gromy pod jej adresem, lżył, ubliżał i usprawiedliwiał swój krwawy zamiar, szepcząc w stronę Ernesta, gdy obaj przekradali się pod ścianą Eight Mile House? Nie, Arthur w ogóle nie musiałby nic mówić. Ernest, jego wieloletni cyrkowy partner, który łapał swojego mistrza, gdy ten wykonywał loty na trapezie, poszedłby za nim na koniec świata.

Spoglądając wstecz na wszystkie te lata, Blanche dostrzega ziarenko urazy, które musiało kiełkować w duszy Ernesta od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy pod drzwiami Cirque d’Hiver. On był dopiero młodym adeptem sztuki latania na trapezie, wyrostkiem z koślawymi nogami, podczas gdy ona, dziewczyna o mlecznobiałej skórze, od razu przyciągnęła i na dobre przykuła uwagę jego ukochanego mentora. Kiedy Ernest wyrósł na muskularnego młodzieńca o wystarczająco długich kończynach, by móc zastąpić na trapezie starego pomocnika Arthura – cyrkowiec, który łapie latającego akrobatę, musi być wysoki – ci dwaj przyjaciele razem z Blanche nie odstępowali sobie na krok. Ale czy podczas tych niemal dziesięciu wspólnych lat, kiedy najpierw poniewierali się po Paryżu, a potem po San Francisco, Ernest choć raz przyznał, że Blanche jest wystarczająco dobrą partią dla Arthura? Jego żarty zawsze były podszyte sarkazmem. A tego lata? Jego wrogość w stosunku do niej przybrała takie same rozmiary jak wrogość Arthura. Mało tego, zaczął jej nienawidzić w imieniu zarówno własnym, jak i przyjaciela. Cztery dni temu na Waverly Place Ernest chwycił ją za podbródek, nazywając „piekielną dziwką”. Nie, stwierdza Blanche, w ogóle nie trzeba by go było namawiać

do tego, by pomógł Arthurowi odpłacić za każdą, nawet najdrobniejszą zniewagę, by raz na zawsze pozbyć się z tego świata Blanche Beunon.

Gdy spogląda w stronę Eight Mile House, ogarnia ją przerażenie. Przed saloonem stoi wóz. Jest zbyt czysty, by mógł należeć do któregoś z okolicznych mieszkańców.

Nie bądź śmieszna, łaje samą siebie. Czy naprawdę jej *mac* wróciłby tu wozem, i to w dodatku w biały dzień, żeby ją zastrzelić?

Przekraczając próg saloonu, z trudem powstrzymuje się przed spojrzeniem w lewo, w stronę frontowej sypialni. Na poszarpanych resztkach materaca leży trumna. Proste, kanciaste drewniane pudło, żadnych uchwytów, żadnych ozdób. Dwóch nieznanomych mężczyzn w gumowych fartuchach wykłada ją w środku muślinem. Podłoga i ściany, gdzieś tam podziurawione, wciąż są ciemne od krwi. W zawieszanej na gwoździu zielonej roletce brakuje rogu, po którym zostały tylko przyczernione krawędzie. Ciało Jenny, zasłonięte łóżkiem, wciąż musi tam leżeć.

– Nie, dwanaście godzin jest zawsze gorsze od sześciu, niezależnie od okoliczności – obstaje przy swoim postawny mężczyzna. – Cały zeszywniałem.

– Zapewne masz rację – mruczy pod nosem jego starszy towarzysz, którego twarz okalają miękkie, siwe bokobrody.

– Oczywiście, że mam. Bez masażu się nie obejdzie...

– Halo, proszę pani – przerywa mu głośno ten starszy, chcąc zwrócić uwagę kolegi na obecność kobiety. Jednak mężczyzna z wysklepioną piersią wcale nie czuje się zakłopotany faktem, że Blanche słyszała ich rozmowę.

– Będzie pani jej towarzyszyć? – odzywa się do niej i nie doczekawszy się odpowiedzi, pyta ponownie: – Czy będzie pani

towarzyszyć zmarłej w jej ostatniej podróży?

Blanche potwierdza lekkim skinieniem głowy – na więcej nie ma siły – po czym całą uwagę skupia na złożeniu parasolki tak, by zielony jedwab opadł, układając się w gładkie fałdy.

– Jestem zastępcą koronera – przedstawia się mężczyzna. – A to mój asystent – dodaje, spoglądając na starszego kolegę.

– Tanatopraktor musi wiedzieć, w co ją wsadzić.

– Tana... co?

– Pracownik kostnicy, nie wie pani?

Blanche wbija wzrok w trumnę. No przecież chyba wsadzi ją do tego pudła, prawda? W końcu do tego ono służy.

– Musi wiedzieć, w co u b r a ć nieboszczkę – tłumaczy z naciskiem mężczyzna – kiedy już zostaną dopełnione wszelkie formalności.

W głowie Blanche pojawia się wizja balu, na którym wszyscy mają wieczorowe stroje. – A w co ci tana...

tanatopraktorzy zazwyczaj... – pyta, urywając w połowie.

Zastępca koronera wyciera ręce w umazany fartuch.

– Cóż, mamy strój dzienny albo nocny – wyjaśnia.

– Widzi pani, to tak jakbyśmy się wybierali w podróż albo szykowali do długiego snu. Wszystko zależy od punktu widzenia – rzuca pod nosem jego asystent.

– To było jej ubranie? – pyta zastępca, nieufnie wskazując na stertę rzeczy na komodzie, zwieńczoną leżącym na szczycie coltem.

Blanche zbiera się na odwagę, żeby powiedzieć im, że tak. Że mają z powrotem ubrać ją w strój, który sama dla siebie wybrała: sfatygowaną szarą marynarkę i workowate spodnie, pochłapane błotnistym mułem podczas jej wypraw do Sweeney Ridge... przecież teraz nie byłoby w tym chyba nic niezgodnego z prawem? Owszem, to zwykłe łachmany, ale dla Jenny musiały

być bardzo cenne, bo mimo że tak wiele z ich powodu wycierpiała, to jednak zakładała je każdego ranka, dzień po dniu, rok po roku.

Zatrzymuje wzrok na kawałku złożonego materiału. To koszula Jenny, nie aż tak brudna, żeby nie mogła jej rozpoznać: motyw pnącza przebija się przez całun kurzu. Koszula będąca własnością Arthura, którą pożyczyła szalonej rowerzystce tamtego sierpniowego poranka.

– Nie – mówi w końcu.

– To znaczy, że miała na sobie coś innego? – dopytuje zastępca koronera.

Blanche kręci głową.

– Nie, nie, chodzi mi o to, że nie mogą jej w to ubrać. – Przecież nie pozwoli, by pochowano Jenny w koszuli jej zabójcy.

– Faktycznie, nie jest to odpowiedni strój – zgadza się z nią mężczyzna, poważnie przy tym wzdychając. – Żadnego bagażu oprócz torby na ramię...

– Ani żadnych butów – wtrąca zmartwiony asystent.

– Buty stoją pod łóżkiem, głęboko z tyłu – mówi Blanche.

Cała trójka spogląda na podłogę w kolorze ciemnego wina. Jednak żaden z mężczyzn nie klęka, żeby zajrzeć pod łóżko.

– W takim razie położymy ją do trumny w koszuli nocnej – decyduje zastępca koronera.

– Ale przecież... – Blanche usiłuje odegnąć od siebie wizję podziurawionej, przesiąkniętej krwią szmaty, która wciąż tkwi na ciele przyjaciółki. Zapasowej koszuli nocnej, którą żona McNamary pożyczyła Jenny, gdy pojawiły się w Eight Mile House. Zaledwie trzy dni temu.

– Szefer ma na myśli specjalną koszulę pogrzebową – tłumaczy cicho jego asystent – którą kupuje się z pieniędzy

przeznaczonych na sekcję zwłok.

Blanche wie, że mężczyzna stara się być miły, ale czuje, że zaraz robi jej się niedobrze. Chwiejnym krokiem wychodzi z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Zauważa, że zegar został na nowo nastawiony i nakręcony. Wbija wzrok w tarczę i patrzy na przesuwane się wskazówki.

Dziwi ją, dlaczego do tej pory nie zjawiała się policja. Nie żeby tak bardzo przepadała za przedstawicielami władz, ale przecież tu chodzi o morderstwo, do ciężkiej cholery. Choć można odnieść wrażenie, że San Miguel Station to istny koniec świata, w rzeczywistości osada jest oddalona zaledwie o dwadzieścia minut jazdy pociągiem od mieszczącej się w centrum głównej stacji kolejowej linii Southern Pacific na rogu Third Street i Townsend Street. Zwykłą drogą też szybko można dostać się tu ze śródmieścia. We wtorek Jenny w trymiga przyjechała do San Miguel Station na swoim bicyklu, wprawnie lawirując pomiędzy koleinami. (Gdzie się podziała ta nieszczęsna machina?) Poza tym detektywi z centrum muszą mieć przecież własny powóz. Co mogło ich zatrzymać? Blanche opiera głowę o lepiący się, sosnowy blat kontuaru.

– Panna Buneau?

Na dźwięk tych słów podrywa się, uświadamiając sobie nagle, że na chwilę przysnęła. Buneau? Czy ten Amerykanin mówi do niej?

– Moje kondolencje. *Vous comprenez?*³⁷ – pyta mężczyzna.

Nie, to na pewno nie policjant. Drobny, jeszcze bledszy od niej, w okularach o przyciemnionych, granatowych szklach. Jego zatknięte za uszy wilgotne włosy w kolorze słomy ani drgną, gdy zdejmuje kapelusz z szerokim rondem.

– Nazywam się Cartwright. Cartwright z „The Chronicle”.

– A ja mam na nazwisko Beunon – odpowiada Blanche

sztwnym tonem, pasującym raczej do paryskiej matrony.

– Przepraszam najmocniej, powiedziano mi, że nazywa się pani Buneau – wyjaśnia dziennikarz i podnosi notes niemal na wysokość twarzy, zapisując poprawną formę nazwiska. – Przygotowuję tekst o Jenny do dzisiejszego popołudniowego wydania – dodaje po chwili.

Blanche spogląda na niego w osłupieniu, słysząc imię przyjaciółki.

– Znał ją pan?

– Nie osobiście – tłumaczy Cartwright – ale w ciągu kilku ostatnich lat od czasu do czasu pisywali o niej w „The Chronicle”. Miała dwadzieścia cztery lata, zgadza się?

– Jenny ma... – Blanche z trudem przełyka ślinę, próbując uspokoić drżenie głosu – to znaczy miała dwadzieścia siedem lat. – Jeszcze trzy lata i ona sama osiągnie ten wiek, ale Jenny już nigdy się nie zestarzeje. W ogóle już nigdy się nie zmieni.

– Cieszyła się ogromną popularnością wśród naszych czytelników.

– Jenny nie jest żadną postacią z powieści w odcinkach – rzuca ostro Blanche i wstaje z krzesła. Cała sala wiruje jej przed oczami.

Cartwright kładzie na jej ramieniu wilgotną dłoń, ale ona ją odtrąca.

– Mogłaby pani przynajmniej pomóc mi ustalić fakty... – sugeruje reporter.

– Pomóc panu? A czy mnie ktoś pomaga? – pyta znacznie podniesionym głosem. – Wczoraj wieczorem moja przyjaciółka została rozerwana na strzępy, a dziś rano policja nawet nie raczyła zjawić się na miejscu zbrodni.

– To skandal – przyznaje Cartwright, a w jego niewielkim notesie pojawia się kolejna zapisana ołówkiem informacja.

Drzwi sypialni otwierają się z piskiem. Ludzie od koronera wynoszą trumnę. Na wieku Blanche dostrzega starą torbę Jenny, z której wystaje jej spluwa.

Każdy może ją bez trudu naładować i oddać strzał. To proste jak splunąć, słyszy w głowie słowa przyjaciółki.

Blanche jeszcze nigdy nie potrzebowała ochrony tak jak teraz.

– Czy mogę wziąć tego colta?

Mężczyźni zatrzymują się, słysząc jej pytanie.

– Wszystkie rzeczy osobiste muszą zostać zebrane, opisane, a następnie przekazane skarbnikowi miasta do czasu zakończenia procedury spadkowej – recytuje zastępca koronera.

– Czy mamy tu do czynienia z przypadkiem *intestata*?

– Słucham?

– Czy pani znajoma zmarła, nie sporządziwszy testamentu?

Blanche wykrzywia usta. Jenny i testament? Też coś.

Pewnie nawet nie figurowała w żadnym rejestrze ludności.

– Przeszukamy jej mieszkanie, jeśli zechce nam pani podać adres – mówi asystent.

– Jenny nie ma... nie miała stałego miejsca zamieszkania.

Przysłuchujący się temu Cartwright nie przestaje skrobać w swoim notesie.

Mężczyźni wymieniają zrezygnowane spojrzenia i powłócząc nogami, wleką się do drzwi niczym para tancerzy o obolałych stopach.

Blanche zostaje w saloonie sama z reporterem. *Ten upał*, wzdycha bezgłośnie. Ciało Jenny zacznie się rozkładać, zanim dotrą do centrum. Ciekawe, czy chociaż mają lód w tym powozie?

– Nasi policjanci faktycznie wydają się dziś zanadto opieszali, ale zapewniam panią, że to najlepsi fachowcy w całym

kraju. Kapitan Lees to prawdziwy geniusz – mówi dziennikarz kojącym tonem.

Blanche niemałym wysiłkiem woli z powrotem przenosi na niego wzrok.

– Bardzo pomocne są tu katalogi policyjne z portretami pamięciowymi każdego podejrzanego typu w Kalifornii, laboratorium, gdzie badane są wszelkie dowody i tropy... Z tego, co wiem, facet potrafi rozwiązać sprawę, mając do dyspozycji jedynie fragment odcisku buta.

Blanche przytakuje mu skinieniem głowy, żeby tylko już się zamknął.

– Kolejny upalny dzień – zauważa Cartwright, spoglądając przez brudną szybę na lazuruwe niebo, po czym znika za barem. Po chwili pojawia się z brązową butelką.

Blanche przypominają się słowa piosenki: *O tobie wciąż śnię, jak ja kocham cię, butelczyno ma.*

– Czy pan mnie ma za nałogową pijaczkę? – pyta urażona.

– To woda – zapewnia dziennikarz, po czym napełnia dwie szklanki i siada obok.

Sącząc powoli zatęchłą ciecz, Blanche żałuje teraz, że nie poprosiła go o koniak. Jego okulary ją rozpraszają: podwójne ciemnoniebieskie szkła w kształcie litery D z bocznymi soczewkami.

– Czy mógłby pan to zdjąć?

Cartwright spełnia jej prośbę. Gdy składa okulary, słychać lekkie stuknięcie. Mrużąc jasnoniebieskie oczy, spogląda na Blanche. Jego spojrzeniu towarzyszy niekontrolowany trzepot niezbyt gęstych rzęs.

– Jest pan, jak to się u nas mówi, albinosem?

Reporter pociera czoło pomiędzy jasnymi brwiami, jakby nękał go ból głowy.

– Z pani znakomitej angielszczyzny wnoszę, że wystarczająco długo przebywa pani w tym mieście, by zauważyć tutejsze zamiłowanie do wszystkiego, co dziwaczne.

Blanche kwituje to wzruszeniem ramion.

– Weźmy na przykład tak modne ostatnio zbieranie pocztówek przedstawiających rozmaite dziwadła albo śmianie się w twarz nieszczęśnikom z gabinetów osobliwości – zauważa oschłym tonem Cartwright. – Dlatego wybaczy pani, ale wolałbym nie dać się zaszufłakować – mówiąc to, na powrót zakłada okulary. Skóra jego uszu jest drobno usiana żyłami. W miejscach, gdzie padają promienie słońca, widać niemal przezroczyste plamy różu.

Blanche mimowolnie przypomina sobie P'tita: jego jasne, maleńkie uszka.

– Rozumiem, że woli pan występować w roli naganiacza zapraszającego widzów na pokaz dziwolągów niż w roli samego odmienca – odszczekuje rozdrażniona. – „Chodźcie, chodźcie, prosimy. Mamy tu pannę w spodniach leżącą w kałuży krwi!”

– Pani gniew jest jak najbardziej uzasadniony, panno Beunon – przyznaje Cartwright – tyle tylko, że kieruje go pani pod niewłaściwy adres. Chce pani posłać na szubienicę mordercę, który zastrzelił pani przyjaciółkę? Na pewno jest ktoś, kto zna jego nazwisko i...

– Ja znam jego cholerne nazwisko!

Dziennikarz unosi w zdumieniu niemalże przezroczyste brwi.

Blanche ma wrażenie, jakby pod jej stopami rozwarła się otchłań. Czuje w powietrzu ostry zapach niebezpieczeństwa. Ale przecież Arthur chce ją zabić, mało tego, już raz próbował, więc co ma do stracenia?

P'tit – tylko to jedno słowo powstrzymuje ją od otworzenia

się przed tym człowiekiem. Ta potworna niepewność. Przed oczyma staje jej jedynie zamglony, widmowy wręcz kształt, gdy próbuje wyobrazić sobie synka, który być może jest tam gdzieś w mieście. Myśl, że jej dziecko – jeśli w ogóle jeszcze żyje – przebywa w tej chwili z tymi dwoma przerażającymi typami, że jego los zależy od ich kaprysu... Jeżeli poda imiona zabójców Jenny, czy to właśnie P'tit najbardziej na tym nie ucierpi?

Z drugiej jednak strony największą szansę na przeżycie będzie miał tylko wtedy, gdy władze natychmiast schwytają jego ojca. Więc na co, u diabła, jeszcze czeka?

To wszystko wydaje się bez sensu.

– Deneve – mówi szybko, by nie dać sobie czasu na zmianę zdania. – Arthur Pierre Louis Deneve.

Cartwright zapisuje nazwisko w notesie.

– To znaczy, że widziała go pani wczorajszego wieczora?

Blanche potrząsa głową.

– Nie, to mój... – przerywa, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. Wszystkie angielskie określenia brzmią nieprzyzwoicie. W Paryżu przedstawiciele klasy pracującej z reguły nie zwracają sobie głowy jakimiś ślubami, a poza tym Arthur zawsze szydził z instytucji małżeństwa. Mówił, że to *zdezynfekowana miłość*.

– Był moim facetem – stwierdza w końcu.

– Kiedy panią zostawił?

Blanche mruży oczy.

– Proszę mi wybaczyć – mówi Cartwright łagodnym tonem.

– Oczywiście chodziło mi o to, kiedy pani od niego odeszła.

– On i jego przyjaciel Ernest Girard grozili śmiercią...

W tym momencie na werandzie rozlegają się ciężkie kroki i do środka wchodzi inspektorzy. Są ubrani po cywilnemu, ale widok ich sztywnych policyjnych karków doprowadza Blanche

niemal do szewskiej pasji.

– Cartwright – zwraca się do dziennikarza szef policjantów
– czy ty znowu próbujesz mnie wyręczać?

– Ależ skąd, panie Bohem. Ja tylko przecieram szlaki, jak Jan Chrzciciel dla Pana Jezusa. Przy takiej pogodzie na pewno macie sporo roboty – stwierdza dziennikarz, po czym zeskakuje z krzesła i chowa notes.

– My zawsze mamy sporo roboty – poprawia go Bohem. – Broń równa się trupy, a od czasów wojny każdy idiota w Ameryce posiada broń. Ale faktycznie w te upalne noce jest jeszcze gorzej.

Okazuje się, że słynny kapitan Lees jest na urlopie. Bohem pełni obowiązki jego zastępcy. Z uporem obstaje przy nazywaniu Jenny „Jeanne Bonnet”, bo tak zapisane ma w papierach. Nazwisko Blanche oczywiście przekreśla.

– Nazywam się Beunon, przez „n” – wytyka mu błąd lodowatym tonem. – Przez dwa „n” – poprawia się sama. – To drugie wymawiane nosowo.

– Postaram się zapamiętać, panno „Beunon” – w jego głosie pobrzmiewa kpina.

Kapitan posyła swoich ludzi do sypialni, żeby dokonali oględzin miejsca zbrodni. Cartwright kręci się w pobliżu, w każdej chwili gotowy pomóc.

– To dochodzenie od początku jest spartaczone – skarży się Bohem dziennikarzowi. – Wczoraj wieczorem nikt porządnie nie przeszukał okolicy. Zdeptali werandę, do czysta wytarli łapami parapet, wygrzebali kule ze ścian! W dodatku właściciel najwyraźniej przez kilka godzin topił smutki w alkoholu, zanim pofatygował się, żeby nas zawiadomić...

– A wy zmitrężyliście jeszcze więcej czasu, zanim postanowiliście się tu zjawić – rzuca Blanche pod nosem.

– Domniemane samobójstwo nie wydawało się sprawą niecierpiącą zwłoki – odgryza się jej Bohem.

Blanche wpatruje się w niego z otwartymi ustami. „Jenny Bonnet zastrzelona” – to przecież ona sama była autorką tego lakonicznego sformułowania. Dopiero teraz dociera do niej, że policjanci najwyraźniej źle odczytali treść telegramu.

– Mieszkańcy San Francisco często strzelają sobie w głowę – zauważa policjant – a nasza okryta złą sławą bohaterka...

– Z powodu noszenia spodni, a nie podejmowania prób samobójczych – protestuje Blanche.

– Skoro już o tym mowa, to owszem, w naszych aktach mamy odnotowane, że już raz próbowała targnąć się na swoje życie.

Notes Cartwrighta znów wędrują w górę i ołówek idzie w ruch.

Mają to w aktach na posterunku policji, gdzie tyle razy zaciągano Jenny za noszenie spodni? Oszczerstwo zapisane na papierze przez jej oskarżycieli? Blanche nie wierzy w ani jedno jego słowo.

Bohem wygląda na zewnątrz przez obskurne okno.

– Wszystkie te samotne przydrożne zajazdy – mruczy pod nosem – są jak liszaj pleniący się na obrzeżach miasta.

– Ale to właśnie z tego miasta wczoraj wieczorem przyjechał Arthur i zastrzelił Jenny – wtrąca Blanche.

Kapitan wbija w nią wzrok.

Cartwright przewraca kartki w notesie.

– Arthur Pierre Louis Deneve – odczytuje z zapalem – porzucony kochanek.

– Panny Bonnet? – pyta Bohem.

– Nie, mój – wyjaśnia Blanche.

– Pani *mac*?

Blanche zaciska usta. Nawet jeśli jest kobietą lekkich obyczajów, czy to oznacza, że jej zeznanie się nie liczy?

– Wszystko mi jedno, jak go pan nazwie. Arthur ma... – na usta cisną jej się słowa: *Moje dziecko. Jego dziecko. Nasze dziecko. On zabrał moje dziecko. Nie wiem dokąd, nie wiem nawet, czy jeszcze...* Ale cała ta historia jest zbyt skomplikowana, zbyt niespójna i zbyt upokarzająca, żeby głośno o tym opowiadać.

– Ten Deneve ma coś, co należy do pani? – dopytuje Cartwright. – Coś cennego?

Bohen traci resztki cierpliwości.

– Do widzenia, panie Cartwright – rzuca ostro.

Dziennikarz zegna się uprzejmym skinieniem głowy, wychodzi na werandę i zamyka za sobą drzwi.

Policjant odwraca się do Blanche, siada obok niej i pyta stanowczo:

– Co ma ten Arthur?

Prawda jest taka, że Blanche nie ma pojęcia, w jaki sposób powiedzieć mu o P'ticie, żeby nie wyjść na zimną sukę bez serca, która sobie zasłużyła na wszystko, co ją spotkało. Dlatego postanawia mówić krótko i zwięźle, nie odbiegając od tematu morderstwa. Nie chce mącić wody, wyjawiając inspektorowi, że to ona leżałaby teraz martwa, gdyby Arthur lepiej wycelował. W tej chwili to bez znaczenia, zwłaszcza że nie jest w stanie tego udowodnić. Teraz trzeba się przede wszystkim skupić na tym, kto zabił Jenny. Za wszelką cenę musi przekonać Bohena o winie Arthura.

– Ma... ma do mnie żal, za to, że z nim zerwałam – mówi przez zęby. – Jego zdaniem Jenny miała na mnie zły wpływ.

Sama jednak czuje, że ta wersja nie jest zbyt przekonująca. *Zły wpływ.* To brzmi jak skarga jakiejś nauczycielki.

Policjant nie zapisuje ani słowa z tego, co usłyszał. Spogląda za to na szkic w swoim notatniku i stwierdza:

– Kule musiały przejść bardzo blisko pani.

– Zginęłabym, gdybym się akurat nie schyliła, żeby zdjąć getry – przyznaje skwapliwie Blanche. Tyle prawdy może wyjawiać.

– Jak twierdzi pani Holt – mruczy pod nosem Bohem – wczorajszej nocy nikt ani nie wysiadał, ani nie wsiadał na stacji San Miguel. Żaden z mieszkańców nie słyszał także koni.

Blanche zbywa tę uwagę lekceważącym gestem. Jej *mac* razem ze swoim przyjacielem musieli się tu jakoś przekraść. Może po prostu przyszli na piechotę.

– Oni, to znaczy Arthur i jego przyjaciel Ernest, Ernest Girard, wygłaszali pod naszym adresem mrożące krew w żyłach groźby, to znaczy grozili mnie i Jenny, nam obu...

– Czy Deneve posiada broń?

– Tak – kłamie Blanche, lecz o sekundę za późno, by mogło to zabrzmieć wiarygodnie.

Bohem zaciska usta.

– Czy poinformowała go pani – pyta po chwili – że będziecie obie przebywać pod tym adresem?

Blanche przygryza wargę.

– Nie, musiał dowiedzieć się skądinąd. Jak inaczej by nas odnalazł i zastrzelił Jenny?

– Dlaczego kobieca logika musi być tak pokrętna? – wzdycha Bohem, wznosząc oczy ku niebu.

Urażona Blanche czerwienieje na twarzy, lecz jej złość nie trwa długo, bowiem niemal w tej samej chwili świta jej w głowie pewna myśl: Madame Johanna! Ta Prusaczka była jedyną osobą, która знаła miejsce jej pobytu. Czy to możliwe, że Arthur wymusił na niej... nie, nie, ona bez trudu by sobie z nim

poradziła – jeśli już, to raczej użył uroku osobistego, by wyjawiała mu, gdzie zaszyła się jego kochanka.

– Jest jeszcze jeden problem – kontynuuje Bohem poważnym tonem, nie podnosząc wzroku znad notatek. – Otóż z zeznań pani Holt wynika, że psy zaczęły szczekać dopiero po strzelaninie. A przecież te kundle chyba powinny zacząć ujadać, gdy tylko z daleka poczują obcego?

Słowa inspektora zbijają ją z tropu.

Ale on już zamyka notes.

– Pan nie zamierza w tej sprawie kiwnąć palcem, prawda? – oburza się Blanche. – I nic dziwnego! W końcu to wy żeście ją ciągle zamykali za coś, co nawet nie powinno być traktowane jak przestępstwo...

Bohem prycha z pogardą.

– Chyba ma pani na myśli zwykłych dzielnicowych³⁸ – poprawia ją, wstając z krzesła. – My, inspektorzy wydziału śledczego, jesteśmy elitarną jednostką i mamy ważniejsze sprawy na głowie niż pilnowanie tego, jak kto się ubiera.

Strój to poważna sprawa – czyż nie takie zdanie padło z ust Arthura tamtej nocy, gdy poznał Jenny?

– Brak stałego miejsca zamieszkania... – mruczy pod nosem policjant. – Gdzie w takim razie trzymała resztę swojego dobytku?

Blanche już chce powiedzieć mu o zaginionym bicyklu, ale w porę uświadamia sobie, że przecież inspektor może ją spytać, skąd Jenny go w ogóle miała. A jeśli uzna ją za złodziejkę, to najprawdopodobniej włoży jeszcze mniej wysiłku w wyjaśnienie tego morderstwa. Mówi więc krótko:

– Lubiła podróżować bez zbędnego bagażu.

– Szczątki są w drodze do zakładu pogrzebowego Gray's Undertakers przy Dupont Street – informuje ją Bohem. – Proszę

się stawić na przesłuchaniu w sobotę, to znaczy jutro, o dziesiątej rano. Koroner Swan ceni sobie punktualność.

– Ale przecież Arthur i Ernest cały czas zajmują moje mieszkanie przy Sacramento Street – mówi Blanche, spoglądając na północ. W jej tonie słychać natarczywość. – Jeśli się pośpieszycie...

– Niech mi pani nie mówi, co mam robić, panno Beunon – ucina inspektor. – Jedyne, czego się od pani oczekuje, to złożenie zeznań przed ławą przysięgłych.

Po wyjeździe policjantów Blanche idzie do Jordana, gdzie zastaje McNamarów, którym dziennikarz z „The Chronicle” postawił kolejkę brandy.

– Ale od wczoraj go nie widziałem – mówi John.

– Louisa? Przecież wyjechał do San Jose – przypomina mu Ellen.

Cartwright cały czas robi notatki.

– No i jest jeszcze tych dwoje Prusaków, którzy mieszkają w drewnianej chałupie, kawałek na zachód stąd – kontynuuje John. – Zawsze mylą mi się ich imiona.

Nikt nie proponuje Blanche drinka. Gdy tak przysłuchuje się rozmowie, ogarnia ją ponury nastrój. Cartwright sumiennie wykonuje swoje obowiązki, ale sprawiedliwości nie stanie się zadość tylko dlatego, że opíše w swoim notesie każdego mieszkańca San Miguel Station i okolic. Cóż, skoro policja nie traktuje jej poważnie, to może chociaż ława przysięgłych jej jutro wysłucha.

– Będę się zbierać – przerywa im, zegnając się lekkim skinieniem głowy.

Żona McNamary przeciera jedno oko i pyta:

– A co z pokojem?

Blanche marszczy brwi, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Wtorek, środa, czwartek, to będzie razem trzy dolary.
- Daj spokój, Ellen – mówi półgłosem jej mąż.
- Przecież chyba ją stać...

Ta suka chce mnie poniżyć. Fala gniewu ożywia Blanche. Czuje, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

– Kiedy wynajmie mi pani pokój, w którym nie będę narażona na to, że ktoś mnie zastrzeli, z przyjemnością pani zapłacę. A skoro już mowa o pieniądzach, to chciałabym się dowiedzieć, gdzie się podziała maszyna Jenny?

– Jaka maszyna? – wtrąca Cartwright, trzymając w gotowości swój ołówek.

– Jej bicykl. Jest wart fortunę. I wygląda na to, że ktoś go zwędził.

Blanche wspomniała o tym tylko po to, by postawić ich w niezręcznej sytuacji, ale teraz, gdy dostrzega, jak wymieniają między sobą spojrzenia, zaczyna się nad tym głębiej zastanawiać. Być może w którymś momencie tej długiej, tragicznej nocy zaświtało im w głowach, że Jenny już nie będzie potrzebowała swojej maszyny. I może doszli do wniosku, iż należy im się za to wszystko jakaś rekompensata.

– Zostawiła go za krzakami, tuż pod ścianą waszej nędznej budy – nie odpuszcza Blanche. Może rodzice wysłali Mary Jane, by jeszcze przed świtem ukryła rower w którymś z opuszczonych budynków gospodarczych. Może planowali odczekać kilka tygodni, a potem zabrać go do miasta i tam sprzedać.

– Nikt nie tknął go nawet palcem – protestuje John McNamara.

– Z jakiej niby racji rzuca pani takie oskarżenia, skoro najprawdopodobniej rower zabrał morderca? – obrusza się Ellen. Pociąga kolejny łyk ze szklanki, po czym dodaje: – A jeśli ten

rower był naprawdę taki cenny, to może właśnie z jego powodu ktoś zamordował Jenny?

Czyżby w zamglonych błękitnych oczach tej kobiety dostrzegła błysk? Blanche czuje, jak ściska ją w żołądku. Czy Ellen byłaby zdolna obarczyć własną winą jakiegoś wyimaginowanego przestępcę? W końcu dla tej godnej pożałowania rodziny dwieście dolarów to wielka fortuna. Ale czy McNamara naprawdę byłby w stanie zakraść się zeszłej nocy na własną werandę i za namową żony zastrzelić Jenny przez okno tylko po to, by zdobyć jej bicykl?

Nie. To absurdalne.

Ale czy rzeczywiście? Przecież każdego dnia ludzie zabijają dla pieniędzy.

Nie, nie. Mimo wszystko to niedorzeczne. Gdyby McNamarowie faktycznie tak bardzo pragnęli jej roweru, mogli po prostu schować go w stogu siana i tak długo twierdzić, że nie mają pojęcia, gdzie się podział, aż w końcu Jenny, zmęczona poszukiwaniami, dałaby za wygraną. Po co mieliby ją mordować? Żeby ściągnąć sobie na głowę policję? Zresztą szczerze wątpi, by tym dwojgu starczyło sprytu i energii na dokonanie nawet zwykłej kradzieży. Przecież oni ledwo dają radę wykarmić własne dzieci.

Jednak prawdziwa przyczyna, dla której czystym absurdem jest oskarżanie o zabójstwo Jenny tych ludzi o grubo ciosanych twarzach, leży gdzie indziej: Blanche po prostu wie, że to Arthur. Tylko jego gniew, mściwość i nikczemność, jego przemożne pragnienie, by ją ukarać, mogą stanowić wytłumaczenie tej potwornej tragedii, do której doszło ubiegłej nocy.

– Jak tylko zguba się znajdzie, oczywiście natychmiast odeślemy ją Sosthenesowi – oświadcza McNamara.

– A kto to taki? – pyta Cartwright.

– Jej ojciec. Mieszka w Oakland.

Blanche wbija wzrok w McNamarę. To znaczy, że Jenny wciąż ma rodzinę w tej części świata?

– Sosthenes Bonnet, tak? – upewnia się Cartwright, po czym daje znak Philowi Jordanowi, by napełnił cztery pękate szklanki.

– On i jego żona byli wielkimi gwiazdami w czasach gorączki złota. Komédie, tragedie, opera, co kto chce – wzdycha McNamara znad swojej brandy. – Dzisiaj Sosthenes zmywa podłogę w jakiejś spelunie. Raz w miesiącu, czasem raz na dwa miesiące, Jenny wsiada na prom, to znaczy wsiadała – poprawia się, robiąc przy tym znak krzyża – żeby popłynąć do niego i podrzucić mu trochę grosza.

A więc rodzice Jenny byli śpiewającymi aktorami? Blanche czuje, jak z każdą chwilą ogarnia ją coraz większa irytacja. Przyjaciółka wielokrotnie dawała jej do zrozumienia, że nie ma już żadnych krewnych, a jeśli nawet ma, to nie warto o nich mówić. Dlaczego miałyby wyrzec się dwójki *wielkich gwiazd* mieszkających po sąsiedzku w San Francisco Bay? Czasami podchodziła do Jenny jak do fascynującej łamigłówki, jednak zdarzały się też takie chwile, gdy widziała w niej tylko cholernie upartego osła. Wykręty, lawirowanie, wymijające odpowiedzi, a wszystko to tylko dla zabawy, nawet wtedy, gdy nie miała nic do ukrycia.

Znalazłszy się z powrotem w zdemolowanej sypialni w Eight Mile House, Blanche zagląda do komody. W jednej z szuflad natyka się na słomiany kapelusz Jenny. Zakłada go na głowę, poprawia wiotką koronkę i spogląda w lustro. Oto stoi przed nią kobieta bez mężczyzny, bez przyjaciółki, bez dziecka.

Odwraca się, kierując kroki w stronę drzwi, lecz w tym

monecie zahacza stopą o coś wystającego spod łóżka.

Juta. Należący do Jenny worek na żaby. Pełen stworzeń, które złapała w środę w Sweeney Ridge. Zaledwie kilkanaście godzin temu, choć Blanche ma wrażenie, jakby od tamtego czasu minęła cała wieczność.

Czyżby coś się tam pod tą jutą lekko poruszyło? Nie, to niemożliwe. A jednak... Jakim cudem ci mali skoczkowie przeżyli to, co wydarzyło się w tym pokoju zeszłej nocy?

Pod wpływem jakiegoś niezrozumiałego impulsu chwyta wilgotny worek, który okazuje się zaskakująco ciężki. Wychodzi frontowymi drzwiami i udaje się na tyły Eight Mile House. Na jednym ramieniu kołysze się jej torba podróżna, w drugiej ręce, z dala od spódnicy, trzyma worek pełen żab.

Nad stawem bawi się mała dziewczynka. To Kate. Jej włosy w kolorze błota, jakby za karę zaplecione w warkoczyk, wystają spod słomkowego kapelusika, dziwnie podobnego do kapelusza, który ma na głowie Blanche. Ile ona może mieć lat? Osiem? Dziewięć? Tańczy ze szmacianą lalką bez ręki, szeptem śpiewając jej do ucha jakąś irlandzką balladę.

Blanche mociuje się z zawiązanym na supeł jutowym workiem. Szorstki materiał boleśnie ociera się o skórę jej palców.

– Co pani robi, psze pani? – pyta Kate.

– Wypuszczam żaby.

– A po co?

Blanche nie przychodzi do głowy żadne logiczne wyjaśnienie.

–No... żeby wróciły do swoich krewnych. Bo ich po prostu nie chcę.

– Ale przecież żaby to nie ludzie. No chyba że chodzi pani o żabojady, czyli o tych, Francuzów – dodaje z zakłopotaniem.

– Na pewno nie o Francuzów – rzuca Blanche przez zaciśnięte zęby, nadal walcząc z supłem. – A tak w ogóle, to czemu nazywacie nas żabojadami? – pyta po chwili.

– Francuzów? – Kate marszczy czoło. – Pewnie dlatego, że jecie żaby.

– Nie my jedni.

– No tak, ale wy pierwsi żeście zaczęli. I jeszcze konie – dodaje dziewczynka, nie przestając marszczyć brwi.

Blanche zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszała. Fakt faktem, już w dzieciństwie uczono ją w jej paryskim domu, że nie ma co się rozczulać nad tym, co się je.

Kątem oka dostrzega pięcioletniego Jeremiaha kucającego w sitowiu na swoich krzywych nóżkach. Ciekawe, po jakim czasie ubzdryngoleni rodzice malca zauważyliby, że ich synek już nigdy nie wyjdzie z tego stawu. Nagle dociera do niej, iż w każdej sekundzie gdzieś jakieś dziecko odchodzi z tego świata – zabija je choroba, dusi się, ginie w płomieniach – bo nikt nie starał się utrzymać go przy życiu. Szanse na to, że tym pozostawionym na łasce losu dzieciom uda się przetrwać do pierwszych urodzin, są jak jeden do...

– A czy ty, moja panno, nie powinnaś przypadkiem wyciągnąć brata ze stawu, zanim się utopi? – rzuca Blanche ostrym tonem.

– Nic mu nie będzie – odpowiada Kate.

Chłopiec siedzi w kucki i radośnie tłucze rączkami w mętną, zielonkawą taflę wody.

– Powiedźcie mi w takim razie, czy widzieliście może gdzieś rower Jenny? – pyta dzieci bez przekonania.

Zarówno chłopiec, jak i dziewczynka kiwają głowami.

Blanche natychmiast się ożywia.

– Tak? A gdzie?

– Tutaj, kiedy na nim przyjechała – mówi Jeremiaś, ruchem głowy wskazując to miejsce.

– Nie, nie, pytam, czy wdzieliście go dzisiaj. Już po tym, jak...

Chłopiec spogląda na nią nieobecny wzrokiem.

Dziewczynka potrząsa głową, a potem kręci głową swojej lalki.

A może rodzice przygotowali Kate na to pytanie? Może jej pogrozili, może kazali trzymać język za zębami...

Daj spokój, Blanche, odpuść już, nakazuje sobie w myślach. Przecież w głębi duszy wie, że to nie McNamarowie.

Gdy wreszcie udaje jej się rozsypać węzeł, aż podskakuje ze strachu na widok wielkiej żaby, która natychmiast daje susa na ziemię. Blanche upuszcza worek. Nieszczęsne stworzenia pojedynczo i parami wysypują się na zewnątrz. Niektóre są zaledwie wielkości jej kciuka, ale mają w sobie tyle energii, że z impetem pokonują kilka metrów spalonej ziemi, rzucając się w stronę wody, jakby na odległość wyczuły jej zapach.

– Mogę sobie kilka wziąć? – prosi Kate. Dopiero po chwili do Blanche dociera, że przez dziewczynkę przemawia głód.

– Oczywiście, częstuj się.

Kate chwyta tłustą żabę i roztrzaskuje jej głowę o pobliską skałę.

– Jenny mówiła, żeby od razu je zatłuc albo poderżnąć gardło nożem, bo tak jest uczciwie. Nie ma potrzeby obdzierać ich żywcem ze skóry – recytuje Kate, która zdążyła już wyjąć scyzoryk z kieszeni.

Jeremiaś bierze w palce parę żabich nóżek i wymachuje nimi, jakby trzymał w ręku marionetkę.

– Jak je posolisz, tańczą same – mówi do Blanche poufałym tonem.

Faktycznie, słyszała o tym triku, ale na własne oczy nigdy

tego nie widziała. Jeśli ten pięciolatek zamierza w tej chwili uraczyć ją pokazem, podczas którego zaprezentuje ową sztuczkę, jej głowa chyba tego nie wytrzyma i eksploduje.

Ale zaraz, zaraz, czy to przypadkiem nie kapelusz Cartwrighta mignął jej tam przed chatą z bali, w której mieszkają Kanadyjczycy? Może i z niego szara myszka, ale jedno trzeba mu oddać: jest wyjątkowo sumienny i skrupulatny. Wygląda na to, że naprawdę ma zamiar przepytąć każdą żywą duszę w okolicy. Niemal robi jej się go żal, gdy pomyśli o tym, ile jego wysiłku, i to w takim upale, idzie na marne. Może powinna mu powiedzieć więcej o Arthurze? Przekonać, żeby wrócił do centrum, poszedł na Sacramento Street i tam popytał? Bohena nie obchodzą zeznania Blanche, ale kto powiedział, że dociekliwy dziennikarz jest gorszy w zdobywaniu dowodów zbrodni niż tak zwany inspektor?

Jednak w tym momencie na horyzoncie pojawia się kłęb dymu buchający z lokomotywy, która nadjeżdża z zachodu. Jeżeli Blanche zatrzyma się, żeby porozmawiać z Cartwrightem, spóźni się na pociąg. A co, jeśli to dziś ostatnie połączenie do centrum? Nie, nie może tu utknąć na kolejną noc. Dlatego puszcza się pędem w kierunku stacji.

Na peronie pani Holt siedzi w swojej budce, jakby czekała na całe zastępy klientów. Trochę cukierków pozawijanych w zakurzone papierki, zdeformowane jabłka, jedna zadziwiająco jasna pomarańcza... na jej widok Blanche aż cieknie ślinka i nawet przychodzi jej na myśl, żeby może kupić dojrzały owoc, ale coś ją powstrzymuje – ma opory przez zabieraniem ze sobą czegokolwiek z San Miguel Station.

– Druga klasa – mówi podniesionym głosem, usiłując przekrzyczeć pisk nadjeżdżającego pociągu. Lokomotywa wypluwa z siebie szare, mdlące opary. Blanche gorączkowo

szuka monet w portfelu. Tak naprawdę nie bardzo ją stać teraz na drugą klasę, ale nigdy dotąd nie podróżowała trzecią. Będzie musiała zdobyć trochę gotówki, i to jak najszybciej, jednak w tej chwili nie zamierza zaprzętać sobie tym głowy.

Nikt nie wysiada z pociągu. Blanche ładuje swoją torbę do jasno pomalowanego wagonu, po czym zajmuje dwuosobową ławkę i rozpościera spódnice na cienkim obiciu siedzenia, chcąc w ten sposób odstraszyć potencjalnych towarzyszy podróży, którzy zapragnęliby dzielić z nią miejsce. Uważnie przygląda się swoim butom i otrzepuje z nich kurz na chodnik leżący w przejściu między siedzeniami. Wciąga w płuca duszącą woń palonego węgla, patrząc, jak z każdą chwilą zlepek karłowatych budynków coraz bardziej maleje za oknem. Wyciąga pyłek sadzy z oka. San Miguel Station znika w oddali.

Połowa sierpnia. Jenny Bonnet mknie przez miasto w zielonej koszuli, pożyczonej od Arthura w ten parny, sobotni poranek. Tymczasem pozostała trójka kładzie się do łóżek.

Blanche budzi się kilka godzin później, zaplątana w koszulę nocną, z rozsadzającym bólem głowy, który dokucza bardziej niż rozwalona noga. Oślepiające promienie słońca kłują w oczy. (Zdaniem Arthura powieszenie zasłon byłoby gestem nieznośnie wręcz drobnomieszczańskim. Odkąd nastąpiła fala upałów, Blanche handryczy się z nim o to każdego ranka).

Niczym zły, zapętlony w nieskończoność sen powracają do niej strzępy rozmowy o fotografii, którą Jenny znalazła w sypialni.

A co jest z nim nie tak?

Nic.

Co to za farma?

Został na nią wysłany ze względów zdrowotnych.

A co jest z nim nie tak?

Obok leży Arthur. Śpi spokojnie. Na jego marmurowych policzkach pojawiły się małe czarne włoski – w ciągu tej nocy przez pory idealnej skóry przebił się istny las. Blanche woli napawać się widokiem swojego nagiego kochanka, zamiast roztrząsać słowa jakiejś obcej, wścibskiej pani.

Czy Arthur będzie miał jej za złe, jeśli go obudzi? Nie, pod warunkiem, że zrobi to w odpowiedni sposób – że jej ręka powoli wpełźnie pod skotłowaną kołdrę.

Wzrok Blanche pada na oprawioną fotografię dziecka. P'tit jest tu tak szczelnie opatulony, że prawie nie widać jego twarzy zza tych wszystkich betów. Ma dwa, może trzy tygodnie. Pamięta, jak niosła go po schodach do studia fotograficznego swoich szkockich lokatorek. Tamtego dnia niemal czuła entuzjazm. Nie była jeszcze wtedy tak zmęczona, bo P'tit dużo spał. Fakt, że zostaną rodzicami, może nie wprowadził ich w szampański nastrój, ale przecież ona i Arthur mieli dobre chęci, czyż nie? Planowali wygospodarować trochę miejsca w swoim życiu dla tego małego przybysza, chcieli przejść przez tę rewolucję z wdziękiem i gracją. Życie rodzinne w stylu bohemy. Ale wszystko zmieniło się niedługo po tym, jak zrobili to zdjęcie. Kiedy wygłodniały P'tit zaczął gryźć jej piersi, które potwornie spuchły. Kiedy gorączka doprowadziła ją na skraj obłądu...

Jakim więc prawem ta kryminalistka śmiała dopytywać, dlaczego oddała dziecko na wychowanie obcym ludziom? Jakim prawem usiłowała wzbudzić w niej wyrzuty sumienia z powodu tego, że nie sprawdziła osobiście, centymetr po centymetrze, gospodarstwa Hoffmanów, nie mówiąc już o tym, że nie zatrzymała P'tita w domu w Chinatown!

Kiedy przynoszą go do House of Mirrors, zawsze jest taki... apatyczny. Blanche odczuwa głęboki niepokój – na tyle głęboki, iż do tej pory nikomu o tym nie wspomniała – że od samego urodzenia z jej synkiem jest coś nie w porządku. Że może wszystko, co robiła ze swoimi klientami, gdy nosiła go w łonie, wyrzuciło mu jakąś krzywdę. Ale gdyby faktycznie tak było, to przecież ktoś by jej o tym powiedział – akuszerka, Madame Johanna, Arthur, pielęgniarka, która raz w miesiącu przynosi go do miasta. Ktoś uświadomiłby jej, że dziecko jest ułomne. Ale skoro tak się nie stało, wytłumaczenie jest tylko jedno: widocznie wszystkie dzieci tak mają.

Blanche potrząsa głową, żeby odpędzić te ponure myśli. Zaczyna sobie cichutko podśpiewywać, chcąc wprawić się w lubieżny nastrój. Nuci melodię, którą śpiewały wszystkie kobiety w czasach, gdy ona, Arthur i Ernest opuszczali Francję na pokładzie „Utopii”, by zejść na brzeg po drugiej stronie oceanu. *Voici la fin de la semaine*³⁹ – jest koniec tygodnia i pewna dama szuka miłości wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Słowa piosenki wyginają się i prężą niczym koci grzbiet.

Je l'aimerai.

Pokocham każdego, kto mnie pokocha. Dlaczego nie? Przysuwając się bliżej do swojego śpiącego mężczyzny, Blanche spogląda na swoje ciało. Jest wdzięczna losowi za lśniącą, gładką skórę. Wyraźnie zarysowujące się pod materiałem koszuli nocnej jej zaokrąglone, miękkie biodra, brzuch i piersi są wiecznie młode. Kiedy jest naga, zupełnie nie widać, że ma dwadzieścia cztery lata. Blanche nuci kolejne strofy:

Qui veut mon âme?

Elle est à prendre.

Kto chce mnie mieć, niech mnie bierze, zachęca śpiewająca dziewczyna.

Blanche wyczuwa pod palcami penisa śpiącego Arthura. Jego *cigare* jest nabrzmiały. Obejmuje go dłonią, potem ustami, jakby rzucała na niego czar. W porównaniu z innymi nie jest zbyt długi, ale za to żaden ze wszystkich, z którymi miała do czynienia, nie dorównuje mu grubością. Mogłaby go w siebie wcisnąć, zanim w ogóle zdążyłby się zorientować. Robiła tak przez całą ciążę – desperacko, w nocy, rano, w południe. Arthurowi bardzo się to podobało. W końcu jeśli człowieka coś swędzi, dlaczego nie miałby się podrapać?

Zresztą Blanche ma do tego pełne prawo. Traktuje swojego kochanka naprawdę dobrze, hojnie obsypując go prezentami i finansując wszystkie jego zachcianki. Arthur wciąż śpi, ale który mężczyzna nie chciałby się obudzić w ustach kobiety – przecież to byłoby jak spełnienie sprośnych fantazji. Poza tym nie zna lepszego lekarstwa na ból głowy...

– *Putain!*⁴⁰ – klnie pod nosem Arthur, szeroko otwierając oczy. Jednak w tym samym momencie na jego twarzy pojawia się uśmiech, bo który mężczyzna by się nie uśmiechnął? I która kobieta nie byłaby szczęśliwa, mogąc wywołać taki uśmiech za pomocą wszelkich możliwych sztuczek swojego zwinnego języka?

Po delikatnym podmuchu dusznego powietrza Blanche poznaje, że drzwi do sypialni są otwarte. Nie jest specjalnie zdziwiona, widząc wzrok Arthura utkwiony gdzieś ponad jej ramionami: ten lubieżny błysk w oku, który pojawia się za każdym razem, gdy wie, że jest obserwowany, ten sam wyraz twarzy, który przybierał, gdy stawał na podeście, wyprostowany jak struna, czekając, by złapać drążek.

– Nie przerywaj sobie, *mon vieux* – słychać głos ziewającego Ernesta.

W tej pozycji Blanche trudno stwierdzić, czy to Arthur

skinieniem głowy przywołał swojego młodego przyjaciela, czy Ernest sam z siebie wszedł do pokoju, czy może to ona zachęciła go, bezwiednie kołysząc biodrami. Albo po prostu uznał, że go zaprasza, skoro nie usłyszał od niej słowa sprzeciwu, choć raczej trudno byłoby zaprotestować z pełnymi ustami.

– Chyba nie masz nic przeciwko, *chérie* – mruczy Arthur, wilgotną dłonią dotykając jej włosów. Nie pyta, tylko stwierdza. Przypomina jej, kim jest, dodaje odwagi. Dlaczego miałyby nie chcieć, by ktoś ją obserwował? Przyjemne kołysanie bioder pod białą bawełną, nurkująca głowa, wyginająca się szyja... Blanche la Danseuse, znana z cudownie obscenicznych ruchów. Gdy jej klienci wysypują się na ulicę, każdy przechwala się, ile to banknotów rzucił pod jej delikatne stopy.

Dlatego nie odzywa się ani słowem, tylko dalej robi to, co potrafi robić najlepiej. Arthur zaczyna jęczeć. Czyż nie należy do niego? Czyż zawsze do niego nie należała? A przecież wszystko, co jest własnością Arthura, należy też do Ernesta, bo Arthur już taki jest: hojny aż do bólu. Nigdy nie przejmował się głupimi *michetons*, którzy obsypują Blanche pieniędzmi, a ona wcale – no, prawie wcale – nie była zazdrosna o inne kobiety. To znaczy o ewentualne jego kochanki, ponieważ nie wie, czy rzeczywiście jakieś ma. Ale w przypadku tak przystojnego mężczyzny od czasu do czasu chyba musi się pojawić jakaś inna kobieta, prawda? Tak czy owak, Arthur nigdy by się z tym nie obnosił. Jest zbyt dobrze wychowany. Na tym właśnie polega bycie wolnym duchem, a jeśli miłość nie jest wolna, staje się, jak mawia Arthur, przeklętym małżeństwem, tyle że bez tej oficjalnej etykiety.

Ernest odgrywa rolę obserwatora. Czasami tylko tego wymaga od niego Arthur. Ale nie dzisiaj. Blanche czuje, jak palce młodszego mężczyzny chwytają jej koszulę i unoszą ją nad

biodra. Czy nie ma nic przeciwko? Właśnie to jest w tym wszystkim najdziwniejsze: czasami tego chce, czasami tego nie chce, a czasami pragnie tego tak bardzo, że aż robi jej się niedobrze. W tej chwili, na przykład, nie jest pewna, czy ma ochotę na przyjaciela Arthura. Na *ich* przyjaciela, bo przecież Ernest nigdy tak naprawdę nie był *jej* przyjacielem. Jego ciało przypomina ciało małpy – tam, gdzie na szyi kończy się dzieło brzytwy, zaczyna się jedna wielka czarna plama, od ramion aż po same kostki. Ta „sierść” go postarza, przez co trudno uwierzyć, że ma dopiero dwadzieścia jeden lat. W tej chwili Blanche go nie widzi, w ogóle nie widzi nic oprócz bladego podbrzusza Arthura, nieco bardziej miękkiego niż kiedyś. Nie może znowu zająć w ciążę, to absolutnie wykluczone. Jej małe pudełeczko z tamponami nasączonymi kwasem karbolowym leży w szufladzie sekretarzyka.

– Zaczekaj – mówi do Arthura. – Nie jestem...

– *Prends-la dans le cul*⁴¹ – szepce Arthur do Ernesta, pieszcząc jej sutki, jakby leciutko brzdąkał na strunach gitary.

Ernest posłusznie wykonuje jego polecenie. Blanche czuje, jak delikatny dotyk na piersiach i twarde pchnięcia między pośladkami mącą jej zmysły. Zdezorientowana poddaje się sprzecznym doznaniom. *Qu'importe*, w tym momencie nikogo nie obchodzi, czy zgadza się, żeby Arthur i Ernest brali ją jednocześnie z przodu i z tyłu. Podnieca ją fakt, że w ogóle nie liczą się z jej zdaniem. Lubi, kiedy ktoś inny za nią decyduje. Jej ciało to lubi. Ciężko dysząc, pozwala Ernestowi wejść głębiej.

Pożądanie rytmicznie ocierające się o obrzydzenie. Blanche już nieraz doświadczyła tego na scenie w House of Mirrors, gdzie występuje w każdy środy i sobotni wieczór. Zdyszana, obolała, z ustami wypełnionymi po brzegi gorącym, nabrzmałym Arthurem, opiera się na nadgarstkach. Czuje, jak

głęboko zanurzony w niej Ernest przyspiesza, napierając coraz mocniej, lecz mimo to wie, że jej wytrzymałość nie ma granic. Jest przewodem elektrycznym, rzeką, liną, prądem. Pieprzą ją, jakby chcieli przebić jej ciało na wylot, dwaj mężczyźni, gładki i owłosiony. A ona przyjmie wszystko, co mają, do ostatniej kropli, nieprzerwany strumień złota, który przetoczy się przez skałę i roztrzaska ją na kawałki.

Rozdział 3

Szukając miasta

W House of Mirrors sobota jest dniem wypłaty, dlatego Blanche wolnym krokiem zmierza w kierunku burdelu w to sierpniowe popołudnie. Ma na sobie nowy, czerwono-biały strój, ale nie założyła żadnej biżuterii, bo nie ma takiej potrzeby – wystarczy już samo ubranie, które za każdym razem sprawia, że się za nią oglądają na ulicy. Z ich dwojga to Arthur jest jak sroka: z jego kieszonki na zegarek zawsze wystają jakieś błyskotki. I jak większość wytrawnych hazardzistów lubi obwieszać się złotem.

Przystaje na chwilę, żeby posłuchać harfiarza plumkającego na swojej harfie jakąś serenadę. Wciąż czuje ból w prawej nodze po zderzeniu z bityklem Jenny Bonnet. Resztę ciała też ma obolałą od tego, co robili dziś rano z Arturem i Ernestem, ale ten rodzaj bólu jest dużo przyjemniejszy.

Małe parasolki i duże parasole niczym flotylla płyną przez Sacramento Street – jedwabne tarcze chroniące przed bezlitosnym żarem, który leje się z nieba. Wśród przechodniów panuje swoiste rozprężenie: przedsiębiorcy nie mają na sobie marynarek, półnagie kobiety ocierają twarz i dekolt chusteczkami. W każdym mijanym po drodze sklepie widzi całe tabuny obiboków, którzy będą siedzieć w nich tak długo, dopóki pozwolą im na to sprzedawcy. Bary pękają w szwach – każdy, kogo stać na kupno drinka raz na godzinę, może się tu schronić.

Należąca do Madame Johanny błękitna rezydencja w stylu włoskim ze śnieżnobiałymi elementami fasady to wręcz ucieleśnienie dobrego smaku. Muskularny portier nosi turkusową liberię. Podobno jest Holendrem, ale w obecności

Blanche jeszcze nigdy nie odezwał się ani słowem. To samo zresztą dotyczy czarnoskórej służącej, która prowadzi ją na dół do prywatnego saloniku Madame. Któregoś razu Blanche zażartowała ze swojej szefowej, śmiejąc się, że przyjęła do pracy same niemowy, na co ta odparła, że wszyscy służący są w pełni sprawni, tylko wiedzą, jak trzymać język za zębami.

Ściany saloniku mają kolor przygaszonej lawendy. Co prawda mieści się w najbardziej znanym domu publicznym w San Francisco, ale równie dobrze mógłby to być pokój gościnny w jakimś zamożnym klasztorze. Ciągące się wzdłuż ścian regały na książki uginają się od tomów w języku niemieckim, francuskim i angielskim. Tradycyjny dywan w romby w niczym nie przypomina puszystej, ekstrawaganckiej czerwieni w Grand Saloonie na piętrze. Blanche słyszy, jak Profesor ćwiczy na górze popularny szlagier – utrzymuje zawrotne tempo, zbyt często przyciskając pedał.

Właścicielka siedzi za biurkiem, jak zwykle w popielatych jedwabiach. Jej bezbarwne włosy gładko przylegają do głowy. Patrząc na nią, trudno oszacować jej wiek. Na widok Blanche podnosi do góry palec, dając jej tym gestem do zrozumienia, by chwilę zaczekała.

– Zniżki dla klientów spoza miasta – mruczy pod nosem, kończąc kaligrafować zdanie, po czym podnosi kartkę, by sprawdzić, czy wszystko dobrze się odbiło przez kalkę.

– A nie byłoby prościej zrobić te ulotki reklamowe na maszynie do pisania? – zastanawia się Blanche.

– Może i tak, ale nasi goście cenią sobie osobiste podejście do klienta. – Madame odkłada pióro, zdejmuje okulary zawieszane na złotym łańcuszku, po czym wstaje i lekko całuje Blanche w oba policzki. – Kto by pomyślał, że w tym biznesie jest aż tyle papierkowej roboty.

Blanche wyciąga kartę gabinetową ze stosu fotografii leżących obok kopert. Zdjęcie przedstawia dziewczynę: mocno obrysowane czarną kredką oczy, nagie ramiona i uda wyslizgujące się spod fałdów tkaniny pokrytej mauretańskim wzorem.

– Sal jest za chuda dla klientów ze Wschodu – zauważa. – Te jej patykowate nogi!

– Ma ochotę wykonać nasz kowbojski numer, ten ze skórzanymi frędzlami na łydkach i kapeluszem w kształcie końskiej głowy – napomyka Madame.

Blanche krztusi się ze śmiechu. Siada na tapicerowanym krześle i wraca myślami do tych ośmiu lat, które spędziła w Cirque d’Hiver. Może i zarabiała mniej niż w House of Mirrors, ale tam przynajmniej konie były prawdziwe.

– Cóż, liczy się przede wszystkim różnorodność. Chociaż Madame Bertha wciąż wciska wszystkie swoje dziewczęta w białe, falbaniaste koszule nocne – dodaje Madame Johanna, z pogardą wskazując głową w kierunku konkurencyjnego burdelu, mieszczącego się na tej samej ulicy – zapewne chcąc w ten sposób ukryć fakt, że połowa z nich jest już po dwudziestce.

Czyżby to była aluzja do jej wieku?

– A jak tam licytacje? – Blanche przypuszcza kontratak. – Szykują się jakieś nowe aukcje?

– O tak – odpowiada Madame, udając, że nie zauważyła jej kąśliwego tonu, po czym bierze ulotkę i czyta na głos:

„House of Mirrors słynie nie tylko z szerokiej gamy rozkoszy, jakie ma w swojej ofercie, lecz również z absolutnej świeżości owych rozkoszy, zwłaszcza w każdy pierwszy piątek miesiąca”.

– Czy naprawdę nigdy nie stanęło ci to ością w gardle? –

pyta Blanche.

Madame posyła jej świątobliwe spojrzenie.

– To, że klienci są święcie przekonani o tym, że dziewczynka ma dziewięć lat, nie znaczy jeszcze, że tak jest w rzeczywistości.

Na myśl o dostawcy Madame na twarzy Blanche pojawia się grymas. Spotkała go tylko raz, w korytarzu na piętrze, to jednak wystarczyło, by przeszły ją ciarki.

– Ale nie znaczy też, że ma czternaście – rzuca ostro.

– Nie, nie znaczy, bo zgodnie z prawem, żeby wyrazić zgodę, musi mieć ukończone dziesięć lat. Tak więc, logicznie rzecz biorąc, nie może być młodsza.

– Logicznie rzecz biorąc! Tak czy siak, założę się, że dla tych twoich klientów „wyrażenie zgody” sprowadza się do małej fiołki laudanum.

Prusaczka wzrusza ramionami, jakby chciała rozciągnąć zeszywniałe plecy.

– I co, odmówiłabyś dziewczynie tej jedynej szansy, dzięki której mogłaby się naprawdę obłowić? Zarobić fortunę, którą jakiś głupiec wydaje lekką ręką tylko po to, żeby wylicytować prawo pierwszeństwa, a raczej żeby oszukać samego siebie, że właśnie udało mu się zdobyć dziewiczy teren... Handel dziewictwem to przecież idealny sposób na wyciąganie kasy od frajerów. Działa tak samo jak wszelkie inne formy spekulacji, na które bumelanci z Kalifornii wydają wszystkie swoje pieniądze. Albo wszystkie pieniądze swoich kobiet, rzecz jasna.

Blanche z uśmiechem odchyła się do tyłu na krześle.

– Za każdym razem, gdy przychodzę po wypłatę, nie możesz sobie darować złośliwych uwag pod adresem mojego gacha.

– To prawda – odpowiada Madame. – Nigdy nie

rozumiałam, po co ty się z nim zadajesz. Deneve może i był kiedyś utalentowanym akrobatą latającym na trapezie – w co uwierzyłam ci na słowo – ale cóż on potrafi zdziałać na ziemi?

Zabawne, że Arthur nazywa Madame *wspaniałą Prusaczką*, nie mając bladego pojęcia, że ona nim gardzi.

– To dzięki niemu tutaj jestem – zauważa Blanche.

Ma na myśli nie tylko Amerykę, ale i House of Mirrors. Arthur przyprowadził ją tutaj, obserwował jej występy i najgłośniej ze wszystkich oklaskiwał. Po kilku tygodniach bez większych oporów zaczęła siadać facetom na kolanach, by ostatecznie wylądować z jednym z nich w hotelu, za co dostała pięć razy więcej pieniędzy niż za wywijanie nogami na scenie. A Arthur tylko ją do tego zachęcał. Zwłaszcza że kiedy zaszła w ciążę, była – jak to żartobliwie ujął – wiecznie napalona. Ale klientom wcale nie przeszkadzał jej zaokrąglony brzuch, wręcz przeciwnie – niektórych to nawet podniecało i czerpali z tego perwersyjną przyjemność.

– Również dzięki cuchnącemu statkowi, którym tu przyplłynęłaś – mruczy pod nosem Madame – i który udało ci się bezzwłocznie opuścić. To ciekawe, że dziewczęta innych narodowości jakoś nie potrzebują do szczęścia żadnych darmozjadów. A jeśli już któraś ma alfonsa, to taki facet bierze na siebie obowiązki jej agenta, podczas gdy francuski *mac* nie robi nic. To najgorszy pasożyt.

Blanche tylko się uśmiecha. Pasożyt? Od niemal dziesięciu lat Arthur jest dla niej jak ziemia, w której zapuściła korzenie, jak skała, której się chwyta, jak życiodajna woda. Co ta wdowa może wiedzieć o kobietach i mężczyznach w prawdziwym świecie, istniejącym za progiem jej teatrzyku kukielkowego, gdzie ma do czynienia jedynie z tymi, co grają na scenie, i tymi, co ich oglądają?

Ponieważ brak jakichkolwiek informacji na temat świętej pamięci pana Wenera, dziewczęta zajmujące pokoje na piętrze podejrzewają, że Madame Johanna go otruła. Nigdy też nie widziano przy niej mężczyzny, który potencjalnie mógłby być jej kochankiem, dlatego żartują, że jej *chatte*⁴² pewnie już dawno zarosła, tak jak rana, która się zabiłła.

– Po co utrzymywać taką pijawkę, moje złotko – nie daje za wygraną Madame – kiedy tylu mężczyzn ślini się na samą myśl, że mogłabyś być ich utrzymanką. Na przykład taki L'amant de Blanche, żeby daleko nie szukać...

Jego prawdziwe nazwisko brzmi Lamantia. Opierający się na grze słów pseudonim, który zresztą sam sobie wymyślił – L'amant de Blanche, czyli „kochanek Blanche” – wyjątkowo działa jej na nerwy. Kiedy ów sycylijski przedsiębiorca, współwłaściciel wielkiego koncernu przy Market Street, wynajmuje ją, zawsze nalega, by zwracać się do niego, używając pseudonimu – tak jakby spędzenie nocy z tancerką rewiową wymagało konspiracji!

– Powtarzam po raz ostatni – rzuca poirytowana Blanche – nie potrzebuję żadnego sponsora!

– Ale przecież masz tylu przyjaciół... Mogłabyś sobie z nich wybrać, kogo tylko zechcesz...

Blanche nie może znieść eufemizmu stosowanego przez Madame na określenie jej klientów – tak jakby wymiana, której dokonuje z tymi wszystkimi kupcami, magnatami kolejowymi i innymi szychami, nosiła jakiegokolwiek znamiona przyjaźni.

– Zawsze chciałam tylko Arthura.

– Cóż. – Madame wznosi ku niebu kościste ręce. – Musisz wieść całkiem dostatni żywot, zarabiając u mnie i czerpiąc zyski z komornego, skoro stać cię na takiego pupilka.

Zamiast odpowiedzieć, Blanche wygląda materiał

spódnicy. Żałuje, że w ogóle pochwaliła się Madame kupnem domu. Ta kobieta zawsze wyciągnie od człowieka za dużo i potem robi z tego użytek.

– A nawet dwóch pupili, jeśli liczyć Ernesta Girarda. Faktycznie dobrana z nich para mopsów – kontynuuje rozbawiona Madame. – Domyślam się, że utrzymanie i wykarmienie tej dwójki pochłania sporą część twoich dochodów...

Cała ta niewygodna rozmowa przywodzi jej na myśl P'tita i dotyczące go przesłuchanie, jakiemu zeszłej nocy została poddana przez swoją nową znajomą. Żeby uciąć temat sponsorów i utrzymanków, zwraca się do Madame z pytaniem:

– A tak przy okazji, to czy ci Hoffmanowie, którzy opiekują się naszym P'titem Arthurem... – w tym momencie uświadamia sobie, że nie wie, jak dokończyć to zdanie. – Czy ta ich farma rzeczywiście leży w bezpiecznej odległości od centrum miasta? Czy tamtejsze powietrze jest... – Blanche nie może znaleźć odpowiedniego słowa – ...czy ma właściwości lecznicze? – Dopiero teraz dociera do niej, że przecież P'tit, przed oddaniem go Hoffmanom, nie został zaszczepiony – w przeciwieństwie do całej ich trójki, bo gdy w Paryżu wybuchła epidemia ospy, ona, Arthur i Ernest natychmiast poddali się skaryfikacji. Pyta więc z niepokojem: – Ale chyba zaszczepili niemowlęta?

– Na pewno – odpowiada Madame.

– A czy ci Hoffmanowie – Blanche podejmuje kolejną próbę – mają dużo dzieci pod opieką?

Prusaczka zagląda do kasetki z pieniędzmi i oblizuje koniuszki palców, żeby przeliczyć plik banknotów. Po czym stwierdza:

– Przecież dzieci uwielbiają towarzystwo.

Czy to miała być odpowiedź na jej pytanie?

– Może powinnam go odwiedzić – mówi niepewnie.
Wdowa zaciska blade usta.

– Wiem, że to niezgodne z naszym zwykłym trybem postępowania – ciągnie dalej Blanche – ale sytuacja jest niecodzienna.

Madame Johanna potrząsa głową.

– Frau Hoffman uważa, że wizyty rodziców zakłócają ustalony porządek.

Blanche wzdraga się, słysząc te słowa. *Ustalony porządek* – to brzmi, jakby rozmawiały o szkole albo szpitalu, a nie o domu dla małych dzieci. Ciekawe, ile niemowlaków mieszka z tą jedną rodziną. Chyba powinna była dowiedzieć się tych szczegółów, zanim oddała P'tita... Ale prawdę powiedziawszy, gdy każda z jego wizyt dobiega końca, cieszy się, że już może pomachać na pożegnanie opiekunce odchodzącej z koszykiem, w którym taszczy to maleńkie brzemie.

Oczywiście kiedyś P'tit urośnie, a wtedy wszystko się zmieni. Usiądzie albo wstanie i wreszcie obejmie ramionami swoją *Maman*, gotów na spotkanie ze swoim *Papa*, a może nawet – oczywiście kiedy nadejdzie odpowiedni moment – na powrót do domu przy Sacramento Street.

– Po prostu trochę się niepokoję z powodu tego upału i epidemii – tłumaczy Blanche.

– To zrozumiałe. Ale nie martw się, twój maluch ma się dobrze.

– A skąd...

– Frau Hoffman dałaby mi znać, gdyby było inaczej.

W tym momencie Blanche powinna przyjąć swoje sto dolarów w wytartych banknotach, założyć koronkowe rękawiczki, wziąć do ręki parasolkę i powiedzieć *merci*. Jednak w tonie wdowy wyczuwa nienaturalną nutę, jakby próbowała

coś zamaskować...

– A gdzie dokładnie oni mieszkają? – przyciska ją.

– Jeśli masz zamiar narażać dziecko tylko po to, by uciszyć swoje irracjonalne lęki, to każę go tu przynieść jeszcze dziś po południu – syczy przez zęby Madame.

– Po prostu dziwi mnie, dlaczego tak bardzo nie chcesz, żebym odwiedziła tę farmę.

Madame odpowiada wytwornym wzruszeniem obleczonych w jedwab ramion.

– Przecież nikt ci nie broni. Ale muszę przyznać, że ja też jestem zdziwiona, skąd u ciebie to nagłe zainteresowanie, i to po upływie niemal roku.

Blanche wstaje z krzesła, opierając dłonie o blat rzeźbionego biurka.

– Podaj mi ten cholerny adres, słyszysz!

Madame Johanna ma taki wyraz twarzy, jakby coś rozważała.

– Folsom – mówi wreszcie.

Blanche nigdy nie słyszała o żadnej wiosce, która nosi taką nazwę. Dlatego bacznie się przygląda swojej rozmówczyni.

– Folsom Street? – To przecież w samym centrum, w dzielnicy Mission. Prawdopodobnie mijają drzwi Hoffmanów setki razy.

– Ciekawe, skąd ci przyszło do głowy, że mieszkają za miastem.

– Bo zawsze nazywałeś to miejsce farmą – przypomina jej Blanche. – A gdzie dokładnie na Folsom? – pyta stanowczym tonem.

– Usiądź – wzdycha Madame. – Dowiodłeś swoich racji. Pod tym słynnym śnieżnobiałym dekoltem sukni bije serce matki. Poślę po niego natychmiast, jeśli taka jest twoja wola.

Blanche wpada w furję.

– Pod jakim numerem na Folsom Street?!

– Tysiąc czterysta dwadzieścia dwa.

Blanche rusza zamaszystym krokiem w stronę drzwi, lecz po chwili zawraca po swoją parasolkę i rękawiczki.

– A ja zawsze myślałam, że się rozumiemy – mruczy pod nosem Madame.

W to sierpniowe popołudnie gorące, aż kredowe od kurzu powietrze jest nie do zniesienia. Harfiarz nadal siedzi na swoim taborecie pod House of Mirrors, ale tym razem męczy się z jakąś operą Verdiego. Zerkając spod różowego wykończenia parasolki w kolorze kości słoniowej, Blanche niecierpliwie wypatruje tramwaju konnego, ale kiedy wreszcie nadjeżdża, zauważa chłopca uczeponego tylnych drzwi. Krostki na jego skórze jeszcze nie przyschły. Dlaczego ten dzieciak nie leży w łóżku, skoro ma ospę? Blanche czuje, jak przechodzą ją ciarki. Odwraca się na pięcie i rozgląda za dorożką. Dopiero teraz uświadamia sobie, że wyparowała od Madame, nie wzięwszy wypłaty, zupełnie jak jakaś niedoświadczona smarkula.

Dorożkarz zauważa machającą Blanche i hamuje dosłownie w ostatniej chwili, w wyniku czego spocony koń niemal tratuje ją kopytami. Mężczyzna nawet nie zadaje sobie trudu, by zejść do niej na ulicę.

– Folsom Street, tysiąc czterysta dwadzieścia dwa – mówi Blanche, zadzierając głowę, po czym wspina się do małej dorożki i sama zatrzaskuje drzwiczki.

Po drodze mijają leżący na ziemi brązowy kształt. Jacyś ludzie podnoszą go za pomocą kołowrotu i wrzucają na wóz. To już trzeci martwy koń, jakiego widziała w tym tygodniu. W niekończącej się spiekocie wzgórza San Francisco wykańczają te biedne chabety. Żaden cyrkowy kuc, z jakim

miała do czynienia, nigdy nie musiał znosić aż tak wiele. Chciałaby, żeby woźnica zwolnił, zanim jego własny gniadosz, u którego już widać obłąd w oku, padnie trupem. Na jednym z rogów dostrzega grupkę dzielnicowych – stoją, gadają, palą fajki, zamiast zająć się egzekwowaniem prawa. Na ulicach jest mniejszy tłok niż zazwyczaj, ale biały pawilon wybudowany na potrzeby Wystawy Przemysłowej, zorganizowanej z okazji setnej rocznicy niepodległości, wciąż przyciąga tłumy. Może ludzie po prostu chcą się schronić przed słońcem, nawet jeśli wiąże się z tym ryzyko kontaktu z chorymi na ospę.

Chwilę później dorożka skręca w Tenth Street i wjeżdża do dzielnicy Mission. Blanche uderza różnorodność białych twarzy: Włosi, Irlandczycy, Prusacy, wszyscy żyjący obok siebie. Z lękiem myśli o tym, co zastanie na miejscu. W jakich warunkach mieszka jej syn? A skoro ci Hoffmanowie nie są rolnikami, to czym się zajmują?

Kątem oka dostrzega chmarę dzieciaków klęczących dookoła bloku lodu, który spadł z wozu i wciąż jest najeżony źdźbłami słomy. Wszystkie są zajęte lizaniem lodowej bryły. Podobno dzieci najłatwiej się zarażają. Ciekawe, jakim cudem ta dzielnica jest bezpieczniejsza dla niemowląt niż Chinatown? Już na samym wstępie Blanche została wprowadzona w błąd. Przeklęta Madame Johanna i jej pruscy przyjaciele!

Okazuje się, że budynek numer 1422 mieści się tuż obok chińskiej pralni, wypuszczającej kłęby dymu we wszystkich kierunkach. Drzwi otwiera jej nieufna, kilkunastoletnia dziewczyna, a nie pielęgniarka w uniformie, która zawsze przynosi P'tita do House of Mirrors.

– Pani doktor właśnie wyszła – mówi półgębkiem.

Blanche uderza fala smrodu. Fetor kału jest tak silny, że aż oczy łzawią.

– Co za pani doktor?

– Pani doktor Hoffman. Właśnie wyszła. Mam przekazać jakąś wiadomość? Od kogo?

Jadąc tutaj, Blanche próbowała przygotować się psychicznie na tę wizytę. W głowie słyszała już te koszmarne dziecięce wrzaski, tymczasem panująca w tym domu cisza okazuje się jeszcze gorsza.

– Gdzie trzymacie niemowlęta?

W oczach nieustępliwej niani pojawia się błysk.

– Pani doktor...

– Wiem, wiem, pani doktor właśnie wyszła, ale ja chcę wiedzieć, gdzie jest mój syn.

– Jak się nazywa?

– Beunon, to znaczy Deneve. – Blanche odsuwa dziewczynę i naciska klamkę pierwszych drzwi na prawo, które od razu ustępują.

– Nie, nie, to pokój przeznaczony na wizyty – mówi niania, po czym chwyta klamkę i z powrotem zamyka drzwi. Jednak zanim się zatrząskują, Blanche udaje się zerknąć do środka: wąskie łóżko, zlew, stojak z narzędziami. W tym momencie dociera do niej, co to za *wizyty*.

Dziewczyna ma w sobie więcej determinacji, niż można by się było po niej spodziewać: zagradza Blanche dostęp do kolejnych drzwi, rozpościerając ramiona.

– Mają teraz drzemkę – oświadcza.

Blanche czuje, jak w żyłach coraz szybciej pulsuje jej krew.

– Płacę osiem dolarów tygodniowo za opiekę i zakwaterowanie, więc chyba mam prawo...

Opiekunka wciąż patrzy na nią złowrogo, ale Blanche odpycha ją na bok i otwiera drzwi.

Z pomieszczenia wylewa się ciemność – to właśnie

całkowity brak światła uderza ją jeszcze bardziej niż gorące opary smrodu. Z trudem rozpoznaje w tej czerni jakiegokolwiek kształty. Metalowe łożeczka, ustawione w rzędzie, jedno za drugim, w których aż roi się od maleńkich kończyn...

– Na litość boską, odsłońże te żaluzje! – krzyczy do dziewczyny.

– Jak je odsłonię, to tylko wpuszczę jeszcze więcej gorącego powietrza – protestuje tamta.

Blanche brnie do okna, wciskając się ze swoją spódnicą pomiędzy dwa łożeczka.

– Które jest pani? – pyta opiekunka.

Zamiast odpowiedzieć, Blanche łapie za uchwyt żaluzji i kręci nim tak długo, aż do pokoju wpadają pierwsze promienie słońca. Pomieszczenie zaczyna wypełniać się cichutkim beczeniem. Dwa maluchy w jednym łożeczku, trzy w drugim... W ustach szklane butelki w kształcie kropli. Albo na piersiach, z dawno zaschniętym mlekiem, albo w rogach łożeczek, gdzie z czarnych gumowych smoczków kapie na prześcieradła... Każde niemowlę jest okutane w identycznych rozmiarów ubranko, które kiedyś zapewne było białe. Niektóre mają zamknięte oczy, inne mrugają wilgotnymi powiekami, jeszcze inne patrzą przed siebie całkowicie pustym wzrokiem. Wszystkie, zarówno te większe, jak i te mniejsze, są jakoś dziwnie apatyczne. W chwili gdy wreszcie wyraźnie widzi „plemię”, w którym znalazł się jej synek, Blanche czuje się tak, jakby ktoś właśnie zadał jej cios prosto w serce.

Jedna czarna twarz, jedno czy dwoje niemowląt wyglądających na Hindusów. Pozostałe dzieci są białe. Zatykając nos, żeby nie wdychać smrodu, zagląda do każdego łożeczka, jednak nigdzie nie widzi P'tita.

Stópka śpiącego na brzuchu malca lekko drga, kołysząc się

na boki. Blanche z ulgą rozpoznaje delikatną, miękką podeszwę. Bierze w dłoń stopę swojego synka, po czym wyjmuje go z łóżeczka. Wydaje się dużo większy niż wtedy, gdy widziała go ostatnim razem. Mocniej przyciska P'tita do piersi i całuje go po zapłakanej twarzy...

– Przecież mówiłam, to jest dziewczynka – rozlega się nagle głos niani.

Blanche purpurowieje. Odkłada cudze dziecko z powrotem do łóżeczka i ociera usta z obcych łez.

– Zdenerwowała ją pani – gdera opiekunka. – Nie trzeba jej było wyjmować z łóżeczka w ten sposób.

– To znaczy, że one tu leżą cały boży dzień w swoich własnych odchodach i nikt ich nie wyciąga z łóżeczek? – grzmi Blanche, wędrując wzrokiem po pogrążonych w mroku kątach pokoju.

– Robię, co mogę – tłumaczy się dziewczyna.

Ale Blanche jej nie słucha, bo w końcu rozpoznała swojego P'tita, w ostatnim łóżeczku. Podchodzi ostrożnie, na wypadek gdyby i tym razem dziecko okazało się jakimś obcym podrzutkiem. Ale nie, to na pewno on. Leży na boku, z tymi swoimi ogromnymi, zapadniętymi oczami, pod którymi czerwienieją płaty gorącej skóry. Patrzy na nią przez pręty łóżeczka, jakby była jakąś dziką bestią. Odziedziczone po Arthurze wąskie brwi tworzą łuk na wypukłym czole. Jak mogła nie rozpoznać własnego dziecka?

Chłopiec przeżuwa coś, co kształtem przypomina grzyb. Blanche wyciąga do niego rękę, próbując się uśmiechnąć, ale on ani drgnie.

Ostrożnie podnosi P'tita. Jego maleńkie ubranko jest całe przepocone. Z piersi malca wydobywa się pojedynczy szloch, potem spazmatyczne kaszlnięcie. Nagle tak bardzo robi jej się

zał synka, że z całej siły przytula go do piersi. Czuje, jak fala ciepła przenika jej gorset. To *miłość*, myśli zszokowana. Miłość, która rozpala się między nią i jej szlochającym dzieckiem, miłość tak gorąca, że czuje ją na własnej skórze. Gdy jednak wrażenie ciepła ustępuje, Blanche spostrzega wreszcie, co było jego prawdziwym źródłem: P'tit właśnie ją obsikał.

Dziewczyna chodzi od łóżeczka do łóżeczka, z powrotem wkładając niemowlakom butelki do ust.

Blanche nie jest w stanie wytrzymać w tym pokoju ani minuty dłużej. Kusi ją, żeby odłożyć to wyjące, ociekające potem i moczem zawiniątko dokładnie tam, gdzie je znalazła. Ale oczywiście tego nie zrobi. Nie może tego zrobić. Teraz, kiedy już wie, jak tu jest, nie mogłaby sobie spojrzeć w twarz, gdyby to zrobiła. Dlatego opiera P'tita o biodro i toruje sobie drogę do wyjścia.

– Koszulka, jeśli pani pozwoli – odzywa się dziewczyna, która stoi tuż obok niej.

– O czym ty mówisz? – Blanche podnosi głos, próbując przekrzyczeć płaczące dzieci.

– Proszę mi oddać koszulkę nocną.

– To jakiś żart?

– Każdy rodzic, który... „Podczas odbioru z placówki dziecko musi mieć zapewnioną własną odzież” – recytuje opiekunka, przypomniawszy sobie nagle wyuczoną formułkę. – A ponieważ ubranie jest własnością pani doktor, bardzo pilnujemy przestrzegania tej zasady.

Przez moment Blanche ma ochotę zedrzeć z P'tita tę przemoczoną szmatę i rzucić dziewczynie prosto w twarz. Powstrzymuje się jednak i robi krok w kierunku drzwi.

Ale opiekunka kurczowo zaciska palce na rąbku materiału.

– Albo oddaje pani koszulę, albo płaci pani tyle, ile jest

warta – w jej tonie słyhać desperację. – Inaczej pani doktor potrafi mi z wypłaty.

– Oto ile jest warta – mówiąc to, Blanche spluwa na podłogę.

Dziewczyna puszcza koszulkę i łapie chłopca za maleńką stopę.

– Łapy precz od mojego syna! – krzyczy Blanche, wyrywając jej P'tita. Zaczerwienione usta nadal szlochającego malca jeszcze mocniej zaciskają się na czarnym przedmiocie, który kurczowo trzyma w rączce. Cały się wygina w ramionach matki, za wszelką cenę próbując się od niej odsunąć.

– Jak widać, lepiej zna moje ręce niż twoje – mruczy pod nosem dziewczyna.

Ma rację i ten fakt doprowadza Blanche do szewskiej pasji. Podnosi rękę i bierze zamach, chcąc powalić opiekunkę na podłogę, lecz w tym momencie do jej uszu dociera jakiś dźwięk. Jest tak cichutki, że pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie fakt, iż dobiega z jakiegoś innego pokoju. Nie z tego, z którego właśnie wyszła i w którym teraz wyje już kilkoro dzieci. Płacz dochodzi zza drzwi po lewej. Blanche wyteżę słuch, jednak po chwili kwilenie milknie.

– Co tam jest? – zwraca się do dziewczyny.

Twarz opiekunki tężeje.

– Macie ich więcej? – dopytuje z niedowierzaniem.

W odpowiedzi słyzy coś, co brzmi: „Akurat ten pani to tygodniak”, ale to zupełnie bez sensu. „Tygodniak”? Co ona może mieć na myśli?

– Jak go nazwałaś?

– Płaci pani z góry za cały tydzień, tak? A więc pani syn to tygodniak – tłumaczy dziewczyna, wskazując na P'tita, którego szloch uspokoił się nieco, przechodząc w cichsze pojękiwania. –

A tam... – odwraca głowę w kierunku sali po lewej stronie – tamte dzieci są z góry splancone. Pobieramy za nie jedną, zryczałtowaną opłatę, na samym początku. Rozumie pani?

Przed oczyma Blanche wirują czarne plamy i czuje, że chyba zaraz zemdleje. Chwyta klamkę drzwi po lewej.

Palce dziewczyny zamykają się w uścisku na jej dłoni.

Co zobaczy tym razem? Kolejną chmurę niemowląt zbiorowo poupychanych do łóżeczek, żywych tylko teoretycznie, ssących rozcieńczone mleko, przypominające raczej mętną wodę? Twarze starców o szklanym spojrzeniu, maleńkie kosteczki widoczne pod półprzezroczystą skórą? Ale po te dzieci nikt nie wróci. Blanche wcale nie chce otwierać tych drzwi – to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę. Tylko że ktoś musi je otworzyć. Kto, jak nie ona?

Nie zważając na protesty niani, przekręca gałkę. Wejdzie tam i nikt jej nie powstrzyma – a nawet jeśli nie, to zawsze będzie mogła sobie z czystym sercem powiedzieć, że taki właśnie miała zamiar. Już chce wtargnąć do pokoju i z impetem podnieść żaluzje, by wpuścić do środka bezlitosne promienie słońca, gdy nagle P'tit dostaje ataku kaszlu. Plamy na jego policzkach, szorstkie jak popękane drewno, wyglądają, jakby płonęły. Z jego piersi dobywa się mokre rżenie. Oparty na biodrze Blanche, młóci powietrze wszystkimi kończynami. Wije się tak bardzo, że niemal wyślizguje się na podłogę. Czy tego właśnie najbardziej pragnie jej syn? Wyrwać się z ramion matki i uciec? Co za wredny, niewdzięczny smarkacz. Blanche puszcza klamkę i z całych sił przyciska go do siebie.

Dziewczyna wykonuje gwałtowny zwrot, przecina korytarz i otwiera frontowe drzwi. – A bierz pani tę koszulę – mamrocze, wykonując przy tym taki gest, jakby chciała przepędzić stąd tych dwoje. – Powiem pani doktor Hoffmanowej, że zgubili ją

w pralni.

– To miejsce... – Blanche przerywa w pół zdania, nie mogąc wydusić z siebie słowa, jakby miała język z ołowiu. – Powiedz tej swojej pani doktor, że może za to stanąć przed sądem.

Nawet nie wiedząc kiedy, ląduje na schodach i tylko słyszy, jak drzwi z hukiem się za nią zatrzasną.

Ale czy faktycznie można tej kobiecie postawić jakieś zarzuty? Blanche nie jest pewna, czy dziecko ma jakiegokolwiek prawa. Poza tym jeśli pobiegnie na policję donieść na panią doktor, to co im powie, kiedy spytają, czy dokładnie sprawdziła dom przy Folsom Street, zanim zostawiła tam swoje własne dziecko na ponad jedenaście miesięcy? *Niestety nie, bo widzicie, panowie – zacznie się tłumaczyć – wszelkie ustalenia zostawiłam mojej Madame...*

No ale przynajmniej opuścili już to potworne miejsce, ona i jej P'tit. Czuje, jak ogarnia ją ekscytacja.

Chłopiec nagle przestaje kaszleć.

Blanche spogląda na niego, żeby sprawdzić, czy oddycha. W jasnym świetle dnia dziecko mocno mruży oczy. Dopiero teraz widzi trupią bladość jego skóry. Usta chłopca okala wilgotna wysypka, dokładnie w miejscu, gdzie wargi stykają się z czarnym przedmiotem, który przez cały czas trzyma w buzi – okazuje się, że to stara gałka do drzwi. Cóż to za pomysł, żeby dać dziecku do ssania coś takiego! W tym momencie P'tit dostaje czkawki i przez chwilę wygląda jak mały pijak.

Blanche powstrzymuje śmiech. Postanawia nie przejmować się tym, że jej jedwabny, śnieżnobiały gorset jest poplamiony moczem. Przysuwa twarz do twarzy synka i składa na jego czole pocałunek, jeden malutki *bisou*, dokładnie taki, jakimi matki obsypują główki swoich pociech.

Chłopiec zaczyna wrzeszczeć, jakby jej dotyk parzył.

– Dobrze już, dobrze. Żadnych *bisou* – warczy przez zęby.

Trochę na wyczucie obraca P'tita w drugą stronę, przodem do ulicy. Chłopczyk natychmiast się uspokaja.

W dorożce wykręca główkę, próbując chronić twarz przed wiatrem, więc Blanche zaszuwa okno, przez co w środku robi się potwornie duszno. Patrząc przez umazaną szybę, opisuje mu miasto: wskazuje każdy stragan z ostrygami i każdy wóz z cementem. P'tit mruży oczy i patrzy przed siebie wzrokiem pozbawionym wyrazu. Blanche zastanawia się, na jaką odległość widzą dzieci. Wygląda na to, że jej synka najbardziej ze wszystkiego interesuje gałka, którą ściska kurczowo. Kiedy próbuje wyciągnąć gałkę spomiędzy jego śliskich palców, chłopiec na oślep zaczyna tłuc rękami, aż w końcu trafia ją w oko.

– *Bordel!*

Blanche czuje przeszywający ból. Jej matka natychmiast wlepiłaby P'titowi klapsa, żeby dać mu nauczkę. Ona jednak zatrzymuje rękę w pół drogi: jeśli ten mały człowieczek nie chce wypuścić z rąk jedynej zabawki, jaką do tej pory miał, nie ma prawa mu jej zabierać.

Wzdłuż Sacramento Street wlecze się chiński orszak pogrzebowy – po ulicy niesie się echem dudnienie bębnów i gongów, którym towarzyszą wystrzały petard, w kondukcje zaś suną dziesiątki lamentujących żałobników w bieli – pogrzeb z taką pompą świadczy o tym, że chowają mężczyznę, i to na pewno w podeszłym wieku. Blanche każe się zatrzymać woźnicy pod numerem 815 i wysiada z dorożki z P'titem w ramionach. Pod wpływem impulsu podchodzi z nim do konia i przysuwa jego twarz do pyska zwierzęcia. Może w przyszłości P'tit odziedziczy jej talent do jazdy konnej?

– *Regarde le beau cheval* – mówi do niego po francusku, ale po chwili poprawia się, bo przecież musi wychować go na Amerykanina: – Zobacz, jaki ładny konik.

Zmęczone zwierzę parska. Przerażony P'tit zaczyna wrzeszczeć.

Blanche próbuje przytrzymać jego wierzgające nogi.

– *Chut, chut*⁴³ – ucisza go. – Idziemy do domu, do tatusia. – Mówiąc to, podnosi wzrok i spogląda w okna na pierwszym piętrze.

Gdzie jest Arthur, kiedy Blanche najbardziej go potrzebuje?

Ma wrażenie, że już od kilku godzin nosi na rękach to szlochające dziecko po pustym mieszkaniu. Albo z twarzą zwróconą na pokój, przytrzymując je ręką, albo z twarzą zwróconą ku sobie, ale na tyle wysoko, że może oprzeć głowę na jej ramieniu. Z tego, co zaobserwowała, najważniejsze dla P'tita jest unikanie kontaktu z jej twarzą. Wszelkie próby przytulenia go skutkują atakiem lęku.

Blanche czuje się tym faktem urażona, ale wyrzuty sumienia sprawiają, że nie zwalnia kroku, chodząc w tę i z powrotem po dusznym pokoju. Jak mogli z Arthurem zostawić własnego syna w tej potwornej norze przy Folsom Street choćby na jeden dzień, nie mówiąc już o niemal roku? *Ale przecież nie wiedzieliśmy. A dlaczego nie wiedzieli? Bo Madame nigdy nam nie powiedziała. Nikt nam nie powiedział. Ale dlaczego nie zapytali?*

Jenny Bonnet okazała się jedyną osobą, której przyszło do głowy, żeby zadać te wszystkie pytania. To właśnie dzięki niej, całkiem obcej dziewczynie, wścibskiej kryminalistce, przejrzała w końcu na oczy. Ale gdyby w tym momencie Jenny zapukała

do drzwi, już sama by nie wiedziała, czy ma jej podziękować, czy może czymś w nią rzucić.

Tak czy owak, stało się: P'tit jest tutaj. Jeszcze nie wie, co z nim zrobi jutro, wie natomiast, co zrobi z nim teraz. Zdejmie z niego ubranie, żeby się trochę ochłodził i wreszcie przestał chlipać, a ona w tym czasie mogła spokojnie zastanowić się, co dalej.

Jednak nawet kiedy chłopiec już nie ma na sobie ubrania, jego pokryte plamkami ciało wciąż jest rozpalone. Wypatrując świeżych strupów pomiędzy łuszczącymi się płatami skóry, Blanche jakoś nie może znaleźć śladu ani na jednym, ani na drugim ramieniu, który świadczyłby o tym, że Frau Hoffman dopilnowała, by wszystkie dzieci zostały zaszczepione. Ciska ohydną koszulkę do wypełnionego popiołem pieca z zamiarem spalania jej jeszcze dziś wieczorem, kiedy powietrze ochłodzi się na tyle, że będzie można znieść choć odrobinę ciepła idącego od ognia. Odór wydzielany przez P'tita, który cuchnie podobnie jak klatki kotów w Cirque d'Hiver, spowija ją niczym mgłą. Do tego jej gorset, jej nowy biały gorset, jest cały żółty od moczu. Oboje powinni wziąć kąpiel, i to jak najszybciej. Ale nie ma komu przytaszczyć wody z kranu w korytarzu na dole, bo Gudrun gdzieś wyparowała. Kiedy jakiś czas temu Blanche wdrapała się z dzieciakiem na poddasze i zapukała do jej drzwi, nikt nie odpowiedział. (Gdzie ta dziewczyna przepadła na całą niedzielę? Czyżby utknęła na jakiejś ciągnącej się w nieskończoność luterańskiej mszy?)

– Wystarczy tego chodzenia, co? – mruczy P'titowi do ucha. – Może chciałbyś się położyć?

Podchodzi z nim do przykrytego kapą łóżka, które dzieli z Arthurem, i ostrożnie, na samym środku, kładzie malca na plecach, jakby to była bomba mogąca w każdej chwili

wybuchnąć, po czym natychmiast się odsuwa, żeby się nie wystraszył pochylonej nad nim twarzy. P'tit wciąż trzyma w buzi gałkę, kaszląc przy tym, jakby się nią dławił. Wzrok ma utkwiony w ścianę. Paznokciami jednej ręki drapie fioletową plamę w miejscu, w którym jego rzadkie włosy dotykają karku.

Z tej odległości Blanche zauważa, że jej syn wygląda zupełnie inaczej niż wszystkie inne dzieci, jakie dotychczas widziała. I nie chodzi tylko o obrzęk na czole, który kształtem przypomina rzepę lub coś okrągłego, co można wykopać z ziemi. Jego kostki są grubsze niż całe pałukowate nogi, nadgarstki są szersze od ramion, a mostek wystaje niczym dziób okrętu. Blanche nie przypomina sobie, żeby jej dziecko tak wyglądało w chwili narodzin. Poza tym podczas żadnej z dotychczasowych wizyt nie zauważyła tych dziwacznych deformacji, choć z drugiej strony nie bardzo mogła coś dostrzec, ponieważ P'tit zawsze był poowijany białym płótnem od stóp do głów. I jeszcze czapka, śliniak, koszulka, małe rękawiczki, skarpetki...A wszystko po to, żeby zamaskować zapach, myśli z goryczą Blanche. Żeby zamaskować wszelkie inne mankamenty.

Już dłużej nie zniesie tego widoku. Odwraca się do niego plecami. Musi jak najszybciej wydostać się z pokoju, wreszcie się umyć i włożyć na siebie czysty gorset, chociaż tyle. Ale P'tit nie jest bezpieczny na łóżku, bo przecież wszystkie dzieci się turlają i spadają z łóżek, prawda? Wiedza Blanche na temat niemowląt ogranicza się głównie do tego, w jaki sposób mogą stracić życie. Tyle tylko, że P'tit nie wygląda na dziecko, które umie się turlać. Mało tego, on nie wygląda na dziecko, które w ogóle potrafi cokolwiek zrobić. Co z nim jest nie tak?

P'tit puszcza głośnego bąka, co staje się przyczyną kolejnego wybuchu płaczu. Mruży oczy przed promieniami

słońca wpadającymi do pokoju przez wielkie okna, zza których dobiega skrzeczenie kołujących na niebie mew.

Blanche rozgląda się wokół, szukając czegoś, do czego mogłaby go wsadzić, bo przecież tak się robi z dziećmi, prawda? W tej chwili jej mieszkanie wydaje się całkowicie nieprzyjaznym miejscem. Nie ma tu nic, czego potrzebuje ten potworny gość.

A może kufry, które z Arthurem przywieźli z Paryża? Po chwili wahania Blanche zaczyna opróżniać jeden ze swoich, gdyż jej kochanek z pewnością dostałby szału na widok swoich ubrań porzucanych po pokoju. (A co powie na to, że przyniosła do domu P'tita bez żadnego uprzedzenia?) Na stojącym obok ratanowym krześle układa jedna na drugiej swoje spódnice i halki. P'tit przez cały ten czas zanosi się płaczem. Z jego gardła dobywa się tępy lament, zawodzi jak ktoś, kto wcale nie spodziewa się ukojenia. Wreszcie odsłania się wyłożone poźółkłym papierem dno kufra, które jest jednak zbyt nagie i twarde – dziecko będzie się obijać głową o drewniane klepki. Wyciąga więc z szafy koc, po czym sięga po jeszcze jeden i wyścieła nimi kufer, a na koniec kładzie prześcieradło. Wnętrze skrzyni wciąż wydaje ogromne, ale lepiej, żeby dziecko miało dużo miejsca, prawda? Na Folsom Street P'tit miał do dyspozycji zaledwie ułamek tej przestrzeni... Nie, nie chce już więcej myśleć o tej „farmie” i o doktor Hoffman, bo od razu cała się trzęsie, i to tak, jak nie trzęsła się nawet podczas kłótni z nianią tam na miejscu. Zaraz włoży P'tita do kufra, niech tylko wreszcie przestanie jęczeć.

No, gotowe. Podnosi malca i obraca tyłem do siebie, tak żeby jej nie widział. Płacz ustaje. Idzie z nim do kufra. Ale co, jeśli wsadzenie go do środka wywoła kolejną powódź łez? W dodatku całe prześcieradło przesiąknie tym jego potwornym

smrodem. W tym momencie dociera do niej, że z tej samej przyczyny nie powinna była kłaść go na narzucie.

Dopiero kiedy zaczyna jej głośno burczeć w brzuchu, oświeca ją: a może P'tit jest głodny? Przecież niemowlęta często jedzą, prawda? Taszczy go więc ze sobą do kuchni, żeby sprawdzić, co jest w lodówce. Ani kropli mleka, tylko jakieś resztki w słoiku. Czym, na Boga, ma nakarmić to stworzenie?

W kredensie znajduje pół bagietki.

– *Voilà!* Proszę bardzo.

Jednak P'tit zdaje się nie wiedzieć, że to jedzenie. Wkłada mu więc kawałek bułki między palce. Chłopiec przez dłuższą chwilę ze zdziwieniem patrzy na bagietkę, po czym upuszcza ją na podłogę.

Blanche podnosi bułkę i znów wciska mu ją do rączki, którą następnie próbuje nakierować w stronę ust. Na próżno – P'tit cofa głowę.

Każde normalne dziecko chyba zaczęłoby żuć tę bagietkę, prawda? Postanawia zajrzeć mu do buzi, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś przeszkody. Rozchyła zaciśnięte wargi, choć P'tit dyszy z przerażenia. Ani jednego zęba u rocznego dziecka? Przecież nie stał ich wszystkich na tej swojej obrzydliwej gałce do drzwi. Nie, z żadnego dżiąsła nie wystaje nawet maleńki kikut. Jej dwunastomiesięczny syn jest jak noworodek. Dziecko, które nigdy nie urośnie – czy to możliwe? Dziecko, które do końca życia pozostanie na tym etapie rozwoju. Jej dożywotni wyrzut sumienia.

Blanche ogarnia panika. Walące serce rozsadza jej klatkę piersiową. Natychmiast musi się napić.

Przetrząsa wszystkie półki w kredensie, aż w końcu znajduje wino, które otworzyli do obiadu. Niezdarnie, trzymając butelkę jedną ręką, wyciąga korek zębami i obficie nalewa sobie

do kieliszka.

Dzieci chyba nie powinny pić wina, prawda? Ale może trzeba by dać mu wody. Bierze dzbanek i napełnia filiżankę. P'tit pozwala jej odsunąć oślinioną gałkę na kilka centymetrów od swojej twarzy i przyłożyć do warg brzeg filiżanki. Jednak wygląda na to, że nie ma pojęcia, co dalej: płyn cieknie mu po szyi, spływając do niewielkiego zagłębienia w miejscu, gdzie zaczyna się gardło.

Chyba nic mu się nie stanie, jeśli go na chwilę położy? Dosłownie na minutę, żeby tylko się przebrać. Postanawia spróbować. Na środku sofy w salonie rozkłada wczorajszy numer „San Francisco Examiner” i kładzie na nim P'tita.

Chłopczyk skręca się, jakby jego ciałem wstrząsnął spazm bólu. Usiłuje przyciągnąć stopy w stronę twarzy, przy okazji marszcząc papier, na którym leży. Do Blanche dociera, że próbuje usiąść. Bierze malucha pod paszki i sadza prosto, choć jego maleńkie kończyny stawiają nienaturalny opór. Podpiera go poduszką. Nie do końca o taką pozycję jej chodziło – P'tit jest zbyt odchylony od pionu. Przypomina raczej szmacianą lalkę, i to w dodatku wybrakowaną. Od czasu do czasu potrząsa głową, jakby chciał wykwękać „nie” w odpowiedzi na jakieś niewypowiedziane pytanie.

– Musimy wyjść – mówi do niego Blanche, chcąc przerwać panującą w pokoju ciszę. Przecież ten dzieciak potrzebuje pieluch, ubrań, butelki, mleka... Jednak w tej chwili to niemożliwe. Nie wyobraża sobie, by mogła wrócić na zalaną żarem ulicę, taszcząc ze sobą P'tita. I wcale nie chodzi o to, że jest ciężki, bo przecież taki maleńki chłopczyk nie może ważyć więcej niż kot. Po prostu nie umie się z nim obchodzić, głównie dlatego, że nie ma żadnego doświadczenia w zajmowaniu się dziećmi. Nie może ani wyjść, ani wziąć kąpieli. Jedyne, co

może, to siedzieć tu i patrzeć na najbrzydsze, najsmutniejsze dziecko świata.

Pełna współczucia dla samej siebie, ponownie napełnia kieliszek i bierze do ust kilka kęsów czerstwej bagietki, żeby nie zaczęło jej się kręcić w głowie. Chwyta ręką dekolt gorsetu, jednym pociągnięciem rozpruwa go i zrzuca z siebie na podłogę. Nie wyobraża sobie, by jeszcze kiedykolwiek mogła ubrać się w to paskudztwo.

Wszedłszy do sypialni, zdejmuje szybko przez głowę przepoconą halkę i polewa się odrobiną wody, usiłując zmyć brud, który czuje na całym ciele. Z salonu nie dochodzą żadne dźwięki.

P'tit też potrzebuje kąpieli, i to nawet bardziej niż ona. Blanche bierze się w garść i wraca do sąsiedniego pokoju. Chłopiec ani drgnie. Przez cały czas tylko wpatruje się w ścianę, rzucając jej oskarżycielskie spojrzenie.

Blanche podnosi go z sofy, niesie do sypialni i nieporadnie sadza na krawędzi łóżka. Przeciera jego ciało mokrą szmatką, wzdragając się za każdym razem, gdy dotyka chropowatych plam na zgięciach łokci czy pomarszczonej skórze nóg. P'tit ani nie cofa się przed jej palcami, ani nie płacze. Blanche z trudem rozwiązuje supły pieluszki. Wreszcie materiał opada z bioder. Pielucha, cała oblepiona brązem, wydaje się cięższa niż samo dziecko. Ciekawe, jak często personel z Folsom Street mył te nieszczęsne niemowlęta? Tak czy inaczej, chyba musi wstawić P'tita do miednicy, żeby rozmiękczyć zaschnięty kał na jego maleńkiej, pomarszczonej mosznie i dokładnie wyszorować skórę pomiędzy ściśniętymi pośladkami. No dobrze, to teraz sprawdźmy, czy nic się nie wydostało na zewnątrz. Na narzucie Blanche dostrzega brązową smugę. *Merde!* Bierze do ręki drugą mokrą szmatkę i próbuje wyczyścić materiał, lecz im dłużej

szoruje, tym bardziej plama się powiększa.

Ale przynajmniej trochę się ochłodziła. P'titowi też chyba jest nieco chłodniej, choć gdy go dotyka, ma wrażenie, jakby brała do rąk pieczonego ziemniaka.

Chłopiec niewidzącym wzrokiem spogląda w kierunku jej nagiego ciała. Urażona Blanche ma ochotę powiedzieć mu, że *michetons* słono płacą za taki widok. Ale jej śnieżnobiała skóra nie przynosi żadnego ukojenia temu dziecku. Nie czuje się przy niej jak w domu. Traktuje ją jak zupełnie obcą kobietę.

– No i co my będziemy teraz robić? – pyta głośno, patrząc na P'tita.

Odpowiada jej tylko spazmatyczny kaszel.

– Czy ty mnie w ogóle słyszysz? – Nagle przychodzi jej na myśl, że P'tit może być głuchoniemy albo opóźniony w rozwoju. Tępe spojrzenie, prawie żadnych oznak życia. Jak mogła pozwolić swojemu ciału na taki błąd? Przecież są sposoby...

Blanche czym prędzej odpędza od siebie tę myśl. Matce nie powinny przychodzić do głowy podobne pomysły. Zresztą jest już za późno, żeby żałować, że dopuściła do pojawienia się na świecie tej maleńkiej istoty. A jednak żałuje, za każdym razem, gdy zwraca ku niemu wzrok.

Ale przecież on nic tu nie jest winien. To wszystko przez nią. Przez to, co robiła, zanim się urodził, i to, czego nie zrobiła, gdy już pojawił się na świecie.

Niech diabli wezmą Jenny Bonnet i te jej przekłete pytania. A mnie razem z nią, za to, że jej w ogóle posłuchałam.

Blanche usiłuje skupić się na kwestiach praktycznych. Teraz żałuje, że wrzuciła do pieca cuchnącą koszulkę P'tita, bo nie ma nic innego, w co mogłaby go ubrać. Pewnie już zdążyła się cała umazać popiołem, ale może da radę ją wygrzebać i trochę przeprać w resztkę wody, która została w miednicy? Nie,

nie będzie go w nic ubierać. Dopływ świeżego powietrza dobrze zrobi jego pokrytej strupami skórze. No tak, ale za chwilę pewnie znów się cały obsika, jeśli nie założy mu czegoś...

Przegląda stertę ubrań na krześle, pośród których znajduje starą halkę. Rozdziera ją na trzy części. Z jednej z nich robi pieluszkę. Przepaska biodrowa jak się patrzy, pełna prowizorka. Teraz P'tit przypomina małego świętego w ostatnich chwilach męczeństwa. Materiał nie chce się trzymać z lewej strony. Chłopiec drapie się po czole, jakby gryzło go jakieś niewidzialne stworzenie.

Ach, gdyby tylko mogła wybiec na chwilę po wszystkie potrzebne rzeczy. Ale nie może zostawić go samego. Mały pewnie jednak wie, jak się sturlać z łóżka, tylko jest zbyt wystraszony, żeby to zrobić w obecności tej obcej kobiety. Dzieci pozostawione bez opieki kończą w trumnie – już nieraz czytała o takich przypadkach. Będzie więc musiała go ze sobą zabrać i jakoś sobie z nim poradzić... Nie, nie może przecież latać po mieście z zupełnie nagim dzieciakiem. No ale przynajmniej wymyśla sobie i jego, chociaż tyle, powtarza sobie na pocieszenie.

Ubrana jedynie w luźną koszulę na ramiączkach i halkę spaceruje z dzieckiem od pokoju do pokoju, żeby jakoś zabić czas. Stara się przy tym nie patrzeć na najbardziej nieforemne części ciała swojego synka: na jego kostki, nadgarstki i ten złowieszczo sterczący mostek. Dobrze, że chociaż nie śmierdzi już tak potwornie.

– Tutaj śpimy razem z tatusiem – opowiada P'titowi. – Twoja *caca*⁴⁴ zostawiła ślady na narzucie i będę musiała je zmyć, zanim wyczulony nos twojego taty wywęszy ten zapach. A w tym pokoju Ernest... twój wujek Ernest – improwizuje, choć to niezbyt fortunne określenie – śpi, kiedy nie zostaje na

noc u Madeleine, to znaczy u swojej przyjaciółki. A tutaj robimy kawę i podgrzewamy jedzenie z restauracji...

Nagle rozlega się pukanie do drzwi. Zaskoczona Blanche odwraca się tak gwałtownie, że niemal upuszcza dziecko.

– Arthur! – mówi z ulgą, choć w jej tonie pobrzmiewa oskarżycielska nuta.

P'tit wybuchą płaczem. Zaczyna kaszleć, nie przestając beczeć.

– *Chut* – usiłuje uciszyć malucha, zbyt agresywnie kołysząc go w ramionach. – No już, cicho, bo tatuś idzie. – Najważniejsze, żeby zrobił dobre pierwsze wrażenie.

Okazuje się jednak, że to wcale nie Arthur, tylko jakiś chuchrowaty *gamin*. Zresztą dlaczego Arthur miałby pukać? W tym momencie dociera do niej, że jest na wpół rozebrana, przyciska więc P'tita do piersi, żeby choć trochę się zakryć. Chłopak wytrzeszcza na nią gały, wręczając jej liścik skreślony znajomym stylem pisma na perłowym papierze. U szczytu widnieje adres: House of Mirrors.

Moja droga,

Od Frau Hoffman dowiedziałam się, że zabrałaś synka z jej placówki. Jeśli zechciałabyś, abym zajęła się zorganizowaniem nowej opieki, służę pomocą. Poza tym nasz harmonogram pozostaje bez zmian – widzimy się, jak zwykle, w środę na Twoim pokazie.

Blanche przedziera liścik na pół. *Nowa opieka*, no rzeczywiście. Niech ta obłudna *salope* znajdzie sobie inną gwiazdę, która będzie dla niej tańczyć. Zobaczymy, co powiedzą klienci.

– Proszę bardzo, oto moja odpowiedź – mówi, podając posłańcowi strzępy papieru.

Chłopak truchtem zbiega po schodach. Blanche słyszy, jak

przy tym pogwizduje – wcale nie jakoś wesoło, brzmi to raczej, jakby wybijał w ten sposób rytm, bez którego nogi dalej go nie poniosą.

Dwadzieścia minut później wreszcie pojawia się Arthur. Chociaż raz, dzięki Bogu, wraca bez Ernesta. Już od progu widać, że będzie dobrze – jest dziś wyjątkowo szarmancki i czarujący. Całuje Blanche tak, jakby czekał na to od kilku tygodni, a następnie, niczym czarnoksiężnik wymachujący swoją czarodziejską różdżką, wskazuje szpicem cienkiej laseczki na pomarszczonego przybysza.

– Nie spodziewałem się, że zaszczyci nas pan wizytą, *monsieur*. Ależ ty urosłeś! *Viens ici, mon gras*⁴⁵. – Arthur dmucha na chłopca i robi śmieszne miny.

P'tit patrzy na niego kamiennym wzrokiem.

– A cóż to za obrzydlistwo? – pyta, próbując wyrwać mu z rączki oślizłą gałkę, ale chłopiec kurczowo ją trzyma.

– Nie! – protestuje Blanche.

Arthur unosi cienkie brwi, które przekazał w spadku swojemu synowi.

W tym momencie z jej ust wylewa się potok słów. Blanche wyjawia mu całą prawdę o plugawym przybytku Hoffmanów, o „tygodniakach”, o niemowlętach opłacanych z góry...

Arthur nie kryje oburzenia, jednak nie daje jej dokończyć, przerywając zawczasu.

– Przecież nie wiedziałaś, jak to wygląda – próbuje ją uspokoić.

Ty nie wiedziałaś, nie *my*. A już z całą pewnością nie *ja*. Jak gdyby to nie on załatwiał wszystko we wrześniu z Madame Johanną, kiedy ona leżała w malignie. Osiem dolarów tygodniowo: cena trzech dobrych koców albo, powiedzmy, najwyższej jakości gorsetu. Ale to chyba za mało na

odpowiednią opiekę, Blanche po raz pierwszy dopuszcza tę myśl do siebie. Nie, pewnie nawet nie osiem. Przecież Madame na pewno wykrawa sobie z tej sumy jakiś procent.

– A co w ogóle skłoniło pannę Bonnet do wypytywania o dziecko? – mruczy pod nosem Arthur. P'tit, siedzący bezwładnie na jego kolanach, znów skubie gałkę do drzwi.

Blanche zwleka z odpowiedzią.

– To było... Akurat tak się złożyło, że zobaczyła jego zdjęcie na stoliku w sypialni – mówi, choć to przecież żadne wytłumaczenie. W tonie Arthura słychać było nutę irytacji. Ona sama też jest poirytowana, ale czuje się w obowiązku usprawiedliwić swoją nową znajomą. – Na jej miejscu każdy zadałby podobne pytania... – Blanche zawiesza głos. Pytania, które ona i Arthur powinni byli zadawać sobie przez cały rok, zamiast skupiać się wyłącznie na własnych przyjemnościach.

Arthur posyła jej czuły uśmiech.

– Wyglądasz na wykończoną, *chérie*.

Blanche docenia okazane jej współczucie, choć czuje się też lekko urażona. Jeszcze dziś rano Arthur i Ernest bez żadnych oporów się z nią pieprzyli. Czy to możliwe, żeby od tego czasu zaszła w niej aż taka zmiana?

– *Guilli, guilli!* – Arthur łaskocze P'tita pod podbródkiem, lecz chłopiec w ogóle nie reaguje. Bierze jego maleńkie rączki w swoją dłoń i podnosi bezwładne ramiona.

– Blanche, co to jest?

Ton, jakim zadaje pytanie, sprawia, że Blanche natychmiast do nich podbiega i przygląda się czerwonym krostkom na skórze pod obydwoma maleńkimi paszkami.

– *Putain de merde!*⁴⁶ – przeklina. To na pewno nie to. Nie, to nie może być to.

– Pewnie zwykła wysypka, nie sądzisz?

Ale ona jest zbyt przerażona, by odpowiedzieć.

– Obsypało go przez ten upał, w miejscach, gdzie zbiera się pot – kontynuuje Arthur jeszcze bardziej zdecydowanym tonem, opuszczając ramiona P'tita. – Gdyby to była...

– Twarz, ręce i stopy – przerywa mu Blanche. Tak to się zaczyna, czytała o tym w gazecie. Czytała też o innych rzeczach, na przykład o tym, że choroba zabija co trzecią zainfekowaną osobę.

– Jego twarz jest czysta – oznajmia Arthur.

Blanche przygląda się chłopcu uważniej: łuszczące się płaty zaczerwienionej skóry, zwłaszcza pod podbródkiem, gdzie zbiera się ślina. Nie dostrzega jednak żadnej wysypki, ani w tym miejscu, ani na drobniutkich dłoniach czy podszewkach stóp.

– Cóż – Arthur wstaje z krzesła, oddając jej P'tita – będę musiał poszukać dla niego czegoś nowego. Czegoś dużo bardziej odpowiedniego dla zdrowia, z dala od centrum...

Blanche potrząsa głową.

Arthur staje przed lustrem i poprawia kamizelkę, wygładzając kieszonkę na zegarek i wystające z niej błyskotki: kryształową świnkę na szczęście, przywiezioną przez nią jeszcze z Paryża, koralową dłoń trzymającą sztylet...

Jak ma mu wyjaśnić, że piekło to nie kwestia miejsca?

– Nie widziałeś, jak tam jest.

– Wobec tego razem wybierzemy następny dom – oświadcza Arthur. – I bardzo starannie się do tego przyłożymy. Poszukamy jakiejś prawdziwej farmy...

– Nie – mówi podniesionym głosem. – Byliśmy, to znaczy ja byłam naiwna – poprawia się, ostrożniej dobierając słowa – wierząc, że za osiem dolarów tygodniowo P'tit dostanie taką opiekę, jakiej potrzebuje.

– No to zapłacimy dwanaście. A nawet piętnaście, jeśli

będzie trzeba – dodaje Arthur po wielkopańsku.

– Te miejsca... – Blanche z trudem przełyka łyżę, jakby były pokryte twardą skorupą. – Ten cały biznes to jeden wielki szwindel. – Mocniej obejmuj P'tita, który zaczyna się wiercić. – Nasze dziecko zostaje tutaj, razem z nami.

Arthur przyjmuje to z lekkim westchnieniem, po czym stwierdza spokojnie:

– W takim razie wynajmiemy kogoś.

– Tak – mówi Blanche, wypuszczając z ust powietrze. Ktoś do pomocy, to wszystko, czego jej trzeba. Już ma na końcu języka, żeby poprosić go o skontaktowanie się w tej sprawie z Madame Johanną, ale w porę się opamiętuje. Cóż, trudno się pozbyć starych przyzwyczajęń. Kiedy to sobie uzmysławia, z trudem powstrzymuje śmiech.

– Im szybciej, tym lepiej – dodaje.

– Może na razie weźmiemy Gudrun? – proponuje Arthur.

– Problem w tym, że nigdzie jej nie ma – biadoli Blanche.

– Jak to, przecież minąłem ją na schodach – oznajmia Arthur, kierując się w stronę drzwi.

Kilka minut później staje w progu z młodą szwaczką. Spod upiętych nad czołem błyszczących warkoczy koloru słomy spogląda dwoje nieufnych oczu.

– Ale ja się na tym nie znam – mówi Gudrun, zasłaniając się rękami niczym tarczą. – Byłam najmłodszym dzieckiem w rodzinie.

– To zupełnie tak samo jak ja. Potrzebujemy jedynie drobnego wsparcia – uspokaja ją Blanche. Rozgląda się po pokoju, szukając wzrokiem Arthura, ale on zdążył już zniknąć za drzwiami sypialni. – Chodzi nam o pomoc tylko przez jakiś czas, dopóki nie znajdziemy niańki.

Szwedka kręci głową, spoglądając na P'tita, który wygląda,

jakby za chwilę miał eksplodować.

– Co mu jest? – pyta.

Blanche nie wie, co ma jej odpowiedzieć.

– To jakaś choroba?

Blanche głośno przełyka ślinę, zbulwersowana bezceremonialnością Gudrun, która w tak obcesowy sposób wyartykułowała jej własne lęki.

– Dziękuję za troskę, ale wszystko z nim w porządku!

Obydwie kobiety patrzą na dziecko, które ślini się na gałkę, cichutko przy tym pojękując.

– Po prostu jest głodny – uparcie twierdzi Blanche. – Skoczysz do sklepu po mleko i butelkę ze smoczkiem? Albo może go przez chwilę potrzy masz, a ja...

– Pobiegnę do sklepu – bez chwili namysłu odpowiada Gudrun.

Dziewczyna wyraźnie nie ma ochoty go dotykać.

Zaciskając zęby, Blanche wyciąga drobne ze swojej torebki.

Z sypialni wyłania się Arthur i nalewa sobie wina. Następnie zdejmuje zakurzone buty, powoli sącząc alkohol.

– Chyba na niewiele nam się przyda – stwierdza Blanche, wsłuchując się w ciężkie kroki zbiegającej po chodach Gudrun.

– W takim razie popytam w okolicy. Już lecę.

Blanche garbi się, próbując w ten sposób uśmierzyć ból ramion.

– *Mon amour*⁴⁷ ... a co, jeśli Gudrun ma rację? Jeśli nasze dziecko...

Arthur unosi brew, poprawiając kant swoich prążkowanych spodni.

– Przecież sama przyznała, że się w ogóle na tym nie zna.

Blanche spogląda na P'tita, który siedzi u niej na kolanach.

– Jego czoło, jego klatka piersiowa... Ma wybrzuszenia tam, gdzie nie powinien. Spójrz na jego kostki i nadgarstki – szepce, jakby jej słowa były przeznaczone tylko dla ich uszu, bo tylko oni ponoszą za to całą odpowiedzialność. – W ogóle nie chce na mnie patrzeć. On nawet nie potrafi się uśmiechać.

P'tit, jakby urażony tym, co powiedziała, wybucha płaczem, co z kolei wywołuje kolejny atak kaszlu. Blanche kołysze go w ramionach, cmokając tak samo, jak cmokała na swojego konia, żeby go uspokoić. Jednak chłopcu w ogóle się to nie podoba.

– *Pauv' bébé*⁴⁸. Mam coś kupić po drodze temu biednemu chłopakowi? – mruczy Arthur, wyławiając kilka banknotów z zielonego nocnika.

– To znaczy co? – pyta Blanche.

Arthur wzrusza ramionami.

– Jakiś syrop czy coś w tym guście. No wiesz... na uspokojenie – tłumaczy, poprawiając spinki przy mankietach.

Blanche surowo marszczy czoło, a w środku aż się gotuje z wściekłości.

– Już wystarczająco długo go uspokajali. Założę się, że ta pani doktor od rana do nocy faszzerowała swoich podopiecznych lekami.

– Tak czy owak – stwierdza Arthur – dzieciak zdążył się przyzwyczaić. Takie nagłe, całkowite odcięcie go od tego wydaje się dość okrutnym posunięciem, zwłaszcza że nie czuje się najlepiej z tą wstrętną wysypką pod pachami.

Blanche chwilę mierzy go wzrokiem, mrużąc oczy, bo nagle dociera do niej, że tak naprawdę jej kochanek wcale nie chce tutaj swojego syna: nie chce wysłuchiwać jego płaczów, nie chce spełniać jego potrzeb. Przejrzała go. Nie ma najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek poświęcenie.

Piętnasty września. Blanche słania się na nogach ze zmęczenia. Jest wykończona strachem i brakiem snu. Zamknięta w maleńkiej toalecie w pociągu, do którego wsiadła w San Miguel Station, usiłuje upiąć splątane włosy w coś na kształt koka. Wypuszcza kilka pukli, po czym unieruchamia szpilkami słomkowy kapelusz, nasuwając go na czoło tak głęboko, jak tylko się da. Następnie, wsparta jedną ręką o lustro, zamaszystym ruchem, na tyle precyzyjnie, na ile pozwalają warunki, maluje na czerwono górną wargę. Szminka natychmiast się rozplywa, więc ściera ją chusteczką i zaczyna malować się od nowa, nie zważając na pukanie do drzwi. Zdrapuje maleńki strup na policzku, w miejscu, gdzie wczorajszej nocy zadrasnęło ją szkło. Jenny! Jezu Chryste, te powykręcane kończyny, ta kałuża krwi... Z ranki zaczyna ciec wąska, czerwona strużka. Blanche nakłada kolejne warstwy pudru, aż w końcu ślad po strupie staje się nieco bledszy.

Wreszcie wraca na miejsce, siada na swojej turniurze, odchyła głowę do tyłu i próbuje wziąć głęboki oddech.

Na drugim końcu wagonu ktoś podśpiewuje jakąś melodię. Blanche natychmiast ją rozpoznaje. To piosenka Stephena Fostera, który jest tak popularny, że jego szlagiery słychać dosłownie na każdym kroku. Cóż za absurdalnie piękny dzień: niskie brzoskwiniowe wzgórza, bladozielone morze na horyzoncie, od czasu do czasu jakaś farma, której właściciele na załadowanych po brzegi furmankach wleką się do centrum na targ, bo nie stać ich na jazdę pociągiem. Na jałowym płaskowyżu budynek Industrial School. Amerykańska flaga bezwładnie powiewa nad trzema piętrami, na których ciągną się długie korytarze cel. To nie szkoła, tylko zakład poprawczy.

Przed nim niewielka grupa chłopców. Apatycznie grzebią w ziemi motykami. Kilku prostuje się, by zobaczyć przejeżdżający pociąg, jakby to była ich jedyna rozrywka w ciągu całego dnia. Blanche przypomina sobie, że Jenny zawsze miała dla tych dzieciaków poupychane w kieszeniach cukierki i kiedy tamtędy przejeżdżała, rzucała im je przez płot. Co za dziecinne zachowanie, i to w wieku dwudziestu siedmiu lat.

– Czy to nie była dziewczyna, tam przy sznurze do bielizny? – zastanawia się na głos mężczyzna za plecami Blanche, podnosząc się, żeby skorzystać ze spluwaczki.

– Nie, dziewczęta posyłają teraz do zakonnic – wyjaśnia mu żona. – No wiesz, odkąd zwolnili kierownika za to, że... na zbyt wiele sobie pozwalał – tę eufemistyczną aluzję dopowiada szeptem.

Chłopcy z poprawczaka znikają za chmurą kurzu. Blanche wygląda przez okno po przeciwnej stronie. Za szybą przesuwają się pole sałaty.

Na horyzoncie pojawiają się kominy, które rosną z zawrotną prędkością. Pociąg przyspiesza, zjeżdżając z góry w kierunku dworca pasażerskiego przy Third Street i Townsend Street. Wpada do miasta niczym wystrzelona z pistoletu kula.

Gdy wjeżdża na stację, Blanche uświadamia sobie, iż Arthur może czekać na peronie i obserwować tłum, wypatrując jej twarzy. Szanse na to, że inspektor Bohem go zaaresztował, są bliskie zeru. No ale dokąd ona ma pójść? Czy na chybił trafił powinna wybrać jakieś miasto i tam się ukryć? Jeśli nie pojawi się jutro na przesłuchaniu, policja może wydać nakaz jej aresztowania.

Blanche wstaje z miejsca i nagle robi jej się czarno przed oczyma. No tak, przecież dzisiaj wypila tylko łyk wody.

Schodzi na peron. W miarę jak zbliża się do wyjścia, coraz bardziej zwalnia kroku. Kilku mężczyzn ładuje do wagonu towarowego bloki lodu, układając je równiutko jedne na drugich, jakby murowali ścianę z cegieł, tyle tylko, że za zaprawę służą im plewy i trociny. W kotłującym się tłumie Blanche wypatruje mężczyzn z zawadiackim wąsikiem. Obawia się widoku tej cudownej twarzy o ziemistej cerze, przy której budziła się każdego ranka, odkąd skończyła piętnaście lat.

A jednak... czuje coś na kształt rozczarowania faktem, że Arthur na nią nie czeka. Ma wrażenie, jakby do ich ostatniej kłótni w salonie gier doszło wieki temu, a nie w zeszłym tygodniu. Popęłniła błąd, wdając się w tę awanturę, teraz to widzi. Powinna była upaść na kolana niczym jakaś pokorna siostra magdalenka i błagać, by jej wyjawiał, co zrobił z ich synem.

Dziecka można się pozbyć na tyle różnych sposobów. Ręka zakrywająca usta i nos. Poduszka albo koc. Sznur, nawet wstążka. Jeden porządny wstrząs albo cios. Upadek. Studzienka ściekowa, otwór odpływowy... Można też nie dać mu butelki, w tym upale wystarczyłby dzień, najwyżej dwa. Albo wyjść, zatrasnąć za sobą drzwi i zostawić, by zapłakało się na śmierć. Tyle szybkich i prostych rozwiązań, dzięki którym pozbycie się maleńkiej, od samego początku niechcianej istoty nie stanowi większego problemu.

Blanche powstrzymuje łzy. Nie może przecież rozplakać się na oczach tych dwóch policjantów, którzy podejrzliwe przyglądają się każdej twarzy w poszukiwaniu krost czy innych śladów ospy, wymachując przy tym swoimi siedmioramiennymi gwiazdami. Epidemia szaleje w San Francisco już od maja, trudno więc wytłumaczyć, jaki niby pożytek ma przynieść w tej chwili kontrolowanie przyjeżdżających do miasta pasażerów.

Na zewnątrz panuje niemiłosierny upał, palące promienie słońca mogą przyprawić o istny zawrót głowy. Po trzech dniach spędzonych w San Miguel Station Blanche czuje się przytłoczona dzikimi tłumami i zgiełkiem panującym na Third Street. Znajduje uliczną pompę i schyla się, żeby się napić. Z kranu kapie zaledwie kilka kropel, ciśnienie jest zbyt niskie. Przypomina jej się zbiornik wodny, który razem z Jenny widziały na jednym ze wzgórz na samym krańcu Sweeney Ridge. Dopiero zaczęli go kopać, więc upłynie jeszcze sporo czasu, zanim będzie gotowy. A co się stanie, jeśli w mieście zabraknie wody?

Blanche czuje, jak do gardła podchodzą jej kwasy żołądkowe. Przełyka ślinę. Boli ją ramię od trzymania zielonej jedwabnej parasolki, którą osłania twarz przed bezlitosnymi promieniami słońca. Jakiś Meksykanin owinięty w poncho bezwładnie opiera się o ścianę. I pomyśleć, że kiedyś jego pobratymcy niepodzielnie rządili w tej części świata. Kilka kroków dalej uliczny grajek o wyglądzie Prusaka ledwo rozciąga miech swojego akordeonu.

Szkoda, że nie stać jej na taksówkę. Koniecznie musi dziś zdobyć jakieś pieniądze. Tymczasem, nie mając wyboru, wciska się do tramwaju konnego, który jedzie na północ.

– Straszny upał, co nie? – zauważa stojący obok pasażer. – Podobno trzydzieści pięć stopni w cieniu.

Ale ona udaje, że nie słyszy, i pociąga w dół krótką koronkową woalkę. Pogawędka o niczym, szczypta flirtu... tak wielu mężczyznom się wydaje, że mogą za darmo choć odrobinę na tym skorzystać.

Na Market Street jakiś Chińczyk z całą stertą czystego prania usiłuje wsiąść do tramwaju, ale kilku pasażerów protestuje, twierdząc, że w bieliźnie pościelowej może być pełno

niewidzialnych mikrobów, więc kierowca odjeżdża bez niego. I to jest właśnie pokłosie zarazy, myśli Blanche. Mieszkańcy San Francisco boją się wszelkich podejrzanych zapachów, nieufnie przyglądają się obcym twarzom, widząc w każdej potencjalne zagrożenie, nawet nie chcą wdychać tego samego powietrza co inni.

Na Morton Street wsiada kilka wymęczonych „pudełkowych panienek”⁴⁹. Ciekawe, zastanawia się Blanche, ile prawdy kryje się w plotkach, że każda z nich, w swojej wąskiej budce, jest w stanie obsłużyć w ciągu jednej nocy nawet stu klientów. Na samą myśl o czymś podobnym przeszywa ją lekki dreszcz, więc szybko odwraca wzrok.

Na Kearny Street ludzie kulą się przed oślepiającym blaskiem, stłoczeni po zacienionej stronie ulicy. Wszystkie knajpy i speluny pękają w szwach. „Bezalkoholowe koktajle cytrynowe”, głosi napis na jednej z markiz, ale odpoczywający pod nią klienci wyglądają na nieźle wstawionych.

Para chabet zwalnia, wlekąc pod górę tramwaj toczący się z mozołem po gładkich szynach. Pasażerowie wstrzymują oddech. Jak można było wybudować miasto w takim miejscu? – zżyma się Blanche. *Jeśli się zmęczysz w San Francisco – żartowała Jenny – zawsze możesz się oprzeć o jakąś ulicę.*

W Chinatown śmierdzi jak w pisuarze, co zostaje zauważone przez nią tylko dlatego, że przez jakiś czas była poza miastem. Na wielu drzwiach widnieją kartki z nakazem dezynfekcji, poprzybijane przez inspektorów sanitarnych, oraz żółte chorągiewki, przywodzące na myśl dekoracje przygotowane na sylwestra, który nagle został odwołany. Mężczyzna o nordyckich rysach twarzy dzierży w dłoniach gigantyczny znak w kształcie strzałki z napisem: DARMOWE SZCZEPNIENIE – ŻADNYCH KOSZTÓW – ZA DARMO

TYLKO DZIŚ. Powłócząc nogami, krąży po całej ulicy, jednak na zachwalaną przez niego usługę nie ma zbyt wielu chętnych, ponieważ Chińczycy z sięgającymi do pasa warkoczykami ustawiają się w kolejkach do sklepów zielarskich.

Dostrzegłszy wieżę katedry przy St. Mary's Square, Blanche prostuje się jak struna. Zupełnie bezmyślnie zmierza wprost do domu, a przecież kamienica numer 815 przy Sacramento Street to ostatnie miejsce na ziemi, do jakiego powinna się teraz udać. Najwyraźniej jej mózg pracuje dziś na zwolnionych obrotach.

Kiedy skrzypiące koła tramwaju toczą się przez Sacramento Street, przed oczami miga jej błękitno-biała rezydencja. House of Mirrors. Tak, to właśnie tutaj należy złożyć wizytę. Podejmuje taką decyzję, ponieważ tylko w ten sposób może potwierdzić swoje podejrzenia, iż Madame Johanna wyjawiała Arthurowi miejsce ich pobytu. Jak inaczej zdoła przekonać policjantów, że to Arthur zastrzelił Jenny? Co prawda zabił ją przez pomyłkę, ponieważ celował do Blanche, ale morderstwo pozostaje morderstwem, czyż nie?

– Panie kierowco! – woła i zaczyna torować sobie drogę do wyjścia, zahaczając pomarańczową torbą o biodra i turniury współpasażerów.

Wysiada z tramwaju i staje na rogu ulicy. Ból rozsadza jej czaszkę, a w gardle czuje taką suchość, że chyba nie byłaby w stanie wydusić z siebie ani słowa. Dookoła niej płynie nieprzerwany strumień Chińczyków. Każdy ma ręce pełne jakichś rzeczy. Jedni taszczą pudła z butami, inni worki z praniem, jeszcze inni kosze pełne owoców morza na posłaniu z wilgotnych wodorostów. Blanche dostrzega wśród wijących się żyjątek krewetki, kalmary i ślimaki, które zawsze kojarzyły jej się z odciętymi uszami. Niektórzy dźwigają kosze na długich

kijach wspartych na ramionach, lekceważąc nowy przepis zakazujący tej tradycji – a może nikt im jeszcze nie powiedział, że to przestępstwo?

Budynek Gray's Undertakers mieści się za ledwie przecznicę dalej, przy Dupont Street. Może powinna od razu tam pójść i dopilnować, żeby ci... jak oni się nazywają?... tanatopraktorzy nie upiększyli Jenny tymi wszystkimi swoimi szminkami i różami. Dochodzi jednak do wniosku, że nie jest na to gotowa, jeszcze nie teraz. Czuje, jak ściska ją w żołądku. Od ubiegłego wieczora nie miała nic w ustach. (*Wyśmienity gulasz* – zapewniała wczoraj Jenny Ellen McNamarę, choć jedzenie było okropne).

Kieruje się więc na północ, mijając po drodze zakatarzonego irlandzkiego skrzypka, mającego nie więcej niż dziesięć lat. A może w takim razie pójść do Duranda? Tylko na pół godziny, żeby nabrać sił. Wprawdzie wizyta w knajpie, do której chodzą Francuzi – gdzie Francuz z dużą dozą prawdopodobieństwa może liczyć na spotkanie poszukiwanej przez siebie Francuzki – nie jest zbyt bezpieczna, ale Arthur raczej nie zastrzeli jej w miejscu publicznym, prawda? Bo choć chwilowo jest w amoku, to przecież inteligentny człowiek, który z pewnością nie zamierza skończyć na szubienicy na dziedzińcu więziennym Broadway Jail.

Pod pasiastą markizą restauracyjki tłoczy się masa klientów. Im więcej ludzi, tym bezpieczniej, usiłuje dodać sobie otuchy Blanche, przekraczając próg lokalu. Fotografia Pól Elizejskich z powrotem zawisła obok drzwi, ale już w ramce pozbawionej szkła – to jedyny znak, że Jenny kiedykolwiek tu była.

– Jeśli nie będziemy uzupełniać płynów – dobiega ją jakiś damski głos – nie dożyjemy nawet do obiadu.

Blanche kręci się przy barze, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z właścicielem. Nagle dociera do niej, że Durand o niczym nie wie, bo przecież wiadomość o śmierci Jenny nie pojawiła się jeszcze w gazetach. Cartwright na pewno wciąż pracuje nad artykułem, który dopiero się ukaże w dzisiejszym popołudniowym wydaniu „Chronicle”.

– *Mademoiselle!* – dostrzega ją wreszcie Durand i pozdrawia skinieniem głowy, po czym przegania ze stołka młodego chłopaka, żeby miała gdzie usiąść. – *Qu’est-ce que ce sera?*⁵⁰ – pyta. Jego wąsy są tak gęste, że zasłaniają całe usta.

Nie powinna była tu przychodzić. Nie dzisiaj. I to nie ona powinna mu o tym powiedzieć. Zamawia talerz kwaśnej *choucroute*⁵¹ – to pierwsza rzecz, jaka przychodzi jej na myśl – a do tego piwo.

Przy stojącym w rogu pianinie rudowłosa mężczyzna wali w klawisze, akompaniując pulchnej blondynce, śpiewającej z langwedockim akcentem, która chichocze za każdym razem, gdy nie trafia w najwyższe nuty arii. Blanche ma ochotę jej przyłożyć. Ma ochotę przyłożyć dziś każdemu, chwycić to całe splewające potem miasto i spuścić mu manto.

Kiedy Durand przychodzi z zamówionym jedzeniem, Blanche podejrzliwie spogląda na talerz i bierze łyk piwa.

– Jeśli spotka pani Jenny, proszę jej przekazać, że *j’en ai marre*⁵² Powtarzam: dosyć! – mówi ze złością. – Czekam od środy. Sezon się kończy, tłumaczę im, jest połowa września, czas na pory i jabłka, ale oni wciąż mają ochotę na *cuisse de grenouille*...

Słyszając to, Blanche przypomina sobie żaby, które dziś rano wypuściła do stawu. Przed oczyma staje jej obraz małych McNamarów oblizujących lekko oparzone palce przy ognisku.

– Przyszłej wiosny – ciągnie dalej Durand – poszukam

innego dostawcy, skoro nie mogę liczyć na...

Blanche zmusza się, żeby mu przerwać.

– Jenny nie żyje. Zeszłej nocy – wyrzuciła z siebie, z trudem łapiąc powietrze – w okolicy San Miguel Station... Byłyśmy... Ktoś ją zastrzelił przez okno.

– *Bordel de merde!*⁵³

Blanche zsuwa się z barowego stołka. Jak najszybciej musi się stąd wydostać.

– Portal! – wrzeszczy Durand w kierunku kuchni.

Zza drzwi dochodzi stłumiony ryk.

– Chodź tu natychmiast! – krzyczy co sił w płucach. – Nie uwierzy, jeśli usłyszy to ode mnie – mówi do Blanche, chwytając ją przy tym za ramię i z powrotem sadzając na krześle.

Zapach kiszzonej kapusty przyprawia ją o mdłości.

Z kuchni wyłania się kucharz z nosem spuszczonej na kwintę. Jego fartuch pokryty jest czerwonymi i brązowymi plamami.

– Powiedz mu – domaga się *patron*⁵⁴.

Przygnieciona ciężarem własnych słów, Blanche powtarza to, co przed chwilą powiedziała Durandowi.

Portal nie przeklina ani nie wypytuje o szczegóły. Widać tylko, że nogi się pod nim uginają, jakby był figurką z papieru. Zatacza się, po czym rzuca się na szyję swojemu pracodawcy, a jego purpurową twarz zalewają łzy.

Durand całuje go po głowie.

Policzki Blanche płoną. Zaczyna przepychać się w stronę wyjścia, gdy nagle przypomina sobie o torbie, którą zostawiła przy barze. Wraca się więc po nią, nie podnosząc wzroku. Portal wciąż szlocha przy kontuarze. Ach ci *foutu*⁵⁵ Francuzi!

Kwadrans później, siedząc w salonie Madame Johanny

w House of Mirrors, Blanche machinalnie wygładza falbany swojej niebieskiej spódnicy w kratę i stara się nie liczyć kolejnych mijających minut. Wie, że to element gry Madame, która umyślnie każe jej na siebie czekać. Nie warto tracić z tego powodu nerwów.

Słyszy, jak burczy jej w brzuchu. Trzeba było zjeść tę *choucroute*. Spogląda w okno i widzi muchę, która raz po raz obija się o szybę. Wygina lekko ramiona, żeby dać chwilę wytchnienia obolałym plecom. Ciekawe, że nigdy tak nie bolały, nawet wtedy, gdy dwa razy dziennie wykonywała ewolucje na koniu albo gdy jeszcze, całkiem niedawno, dawała występy w Grand Saloonie na piętrze.

Kiedy była na scenie ostatni raz? Prawie miesiąc temu, w tamten sobotni wieczór, gdy Jenny wjechała w nią na ulicy. Po tym wszystkim, co zobaczyła na Folsom Street, w miejscu, do którego Madame wyekspediowała jej dziecko – a także po tym, jak podarła liścik od niej na kawałki i kazała odesłać go z powrotem – wolałaby móc zachować wyniosłe milczenie i nigdy więcej nie oglądać tej kobiety, nawet jeśli oznaczałoby to rezygnację z zapłaty za ostatnie dwa występy. Ale trzy dni temu musiała uciekać z miasta ze strachu przed swoimi dwoma kochankami i na gwałt potrzebowała pieniędzy, dlatego postanowiła przełknąć dumę i wróciła tu po swoje sto dolarów. Tymczasem ta bezczelna Prusaczka, wykazując się niebywałym wręcz tupetem, stwierdziła, że to Blanche ma jakiś dług wobec niej. Nie przyszłaby tu dzisiaj, gdyby nie miała naprawdę ważnego powodu: musiała zdobyć dowód na to, że Arthur wiedział o jej wyjeździe do San Miguel Station. Dopiero kiedy on i Ernest trafią za kratki, będzie mogła odetchnąć z ulgą.

Jak długo jeszcze ta kobieta każe jej czekać?

Wczorajszej nocy byłaś o włos od śmierci, Blanche

upomina samą siebie. Więc chyba da radę wysiedzieć przez kwadrans w pustym pokoju, gdzie grube zasłony chronią przed gorącym i gdzie na pewno nikt nie będzie do niej strzelał.

W tym momencie drzwi otwierają się bezszelestnie. Blanche gwałtownie podnosi głowę. W progu staje Madame Johanna w perłowszarych jedwabkach.

– Ach, moja droga! – wita ją.

Blanche zaciska zęby.

– Wybacz moją szczerą, ale nie wyglądasz najlepiej. Proszę, napij się wody – mówiąc to, napełnia dwie małe szklaneczki wodą z karafki. – Mam nadzieję, że przynosisz dobre wieści o swoim maleństwie?

Blanche siedzi sztywno z oczami wbitymi w dywan. Dlaczego we wtorek pozwoliła sobie na to, by wyznać Madame, że Arthur zabrał P'tita? Dzisiaj nie powie na ten temat ani słowa. Nie chce ryzykować, że się rozklei i wybuchnie płaczem.

– No cóż – wzdycha Madame. – Jeżeli dziecko przepadło na dobre, to myślę, że chyba ci się jednak opłaciło całe to dramatyczne wyciąganie go z Folsom Street.

– Zaufałam ci! – krzyczy Blanche, nie mogąc się powstrzymać.

– To prawda. Chciałaś, abym uwolniła cię od ciężaru, dzięki czemu mogłaś dalej pracować, dodajmy, że z coraz większym zyskiem, oraz żyć równie swobodnie jak przedtem.

– Nie wiedziałam, w jakiej podłej norze umieścisz...

– Proszę, nie marnuj swojego i mojego czasu, zgrywając niewiniątko – przerywa jej Madame.

Blanche odchrząkuje, ale jej głos nadal przypomina krakanie jakiegoś ptaszyska.

– Przyszłam tu dzisiaj wyłącznie z powodu mojej przyjaciółki Jenny.

Madame przechyliła głowę na bok.

– Jenny... Czy ja znam jakąś Jenny?

Blanche jest gotowa się założyć, że tak. Madame zna wszystkich, od wysoko postawionych dżentelmenów zasiadających we władzach stanowych po najbardziej niepozorną, trzęsącą się dziewięciolatkę przemyconą do House of Mirrors.

– Jenny Bonnet.

– Ach, to ta dziewczyna, która lubiła robić z siebie straszdyło, ubierając się w spodnie?

Blanche z niemałym wysiłkiem puszcza tę uwagę mimo uszu.

– Wczorajszej nocy – oświadcza – ktoś ją zastrzelił, i to dosłownie kilka centymetrów ode mnie. To był Arthur. To musiał być on.

Blade usta Madame otwierają się szeroko, sygnalizując głęboki szok.

Blanche przemyka przez myśl, że ta kobieta jest sztuczna jak jakaś stara diwa operowa. Jak mogła z nią wytrzymać przez ponad rok swojego życia?

– Czy to ślad po kuli? – pyta Madame Johanna, nachylając się, by dotknąć chłodnym koniuszkiem palca jej policzka.

Blanche odsuwa głowę.

– Jesteś jedyną osobą, która wiedziała o moim wyjeździe do San Miguel Station. Ciekawe, prawda? – wyrzuca z siebie oskarżenie.

– Wiedziałam?

– Masz czelność zaprzeczać?

– Być może napomknęłaś coś o tym przy naszym ostatnim spotkaniu, lecz tyle się tu dzieje – Prusaczka przekręca na palcu złoty pierścień – no wiesz, zaopatrzenie, klienci, urzędnicy...

Nie masz pojęcia, jak wiele spraw mam do załatwienia każdego dnia.

– Ale kto inny... Skąd Arthur mógł się dowiedzieć, gdzie jestem?

Madame uśmiecha się półgębkiem.

– Od miesiący nie miałam do czynienia z twoim *bel ami*⁵⁶.

– A z Ernestem?

– Skoro nie widziałam się z jednym syjamskim bliźniakiem, to tym bardziej nie mogłam się widzieć z drugim.

Madame umie kłamać jak z nut, ale po co miałyby to robić w tym przypadku? Jaki miałyby w tym cel? Do Blanche nagle dociera z całą mocą, że Arthur na pewno nie przyszedł do House of Mirrors, żeby się o nią wypytywać, ponieważ – ku jego wściekłości – odeszła od Madame ponad trzy tygodnie wcześniej, gdy tylko wy dostała P'tita z Folsom Street.

W pamięci próbuje szczegółowo odtworzyć wszystko, co się działo w zeszły wtorek, kiedy to wyruszyła do San Miguel Station w bryczce, którą wypożyczyła od Marshalla. Mogłaby przysiąc, że nie wyjawiała celu swojej podróży nikomu z wyjątkiem Madame. Ale, rzecz jasna – uświadamia sobie z przerażeniem – Jenny mogła wypaplać to każdemu, kogo w międzyczasie spotkała. Na przykład tym wszystkim przyjaciółom, u których zwykła sypiać na kanapie. W końcu ona znała najróżniejszych dziwaków.

Lecz mimo to Blanche nie odpuszcza.

– Policja nie uwierzy, że Arthur maczał w tym palce, o ile nie udowodnię, że wiedział, gdzie Jenny i ja byłyśmy zeszłej nocy.

– Ach tak – Madame wypuszcza powietrze z ledwo słyszalnym sykiem – teraz rozumiem przyczynę tej niespodziewanej wizyty. Prosisz, żebym przysięgła, że twój

porzucony *mac* wparował tu wczoraj, wymachując bronią i tocząc pianę z ust, a ja z powodu urażonej dumy, ponieważ popsulaś mi cały program występów, skierowałam go prosto do San Miguel Station, żeby mógł tam sobie urządzić strzelaninę?

Blanche zagryza wargę. Gdy przedstawi się to w ten sposób, cała ta historia przypomina jakiś tani melodramat.

– Nie chodzi o to – kontynuuje Madame – że mam opory przed wprowadzaniem w błąd przedstawicieli władz, zwłaszcza teraz, kiedy Rada Nadzorcza San Francisco postanowiła podjąć próbę oczyszczenia miasta, które zawsze było symbolem wolności; zresztą próbę z góry skazaną na porażkę. Nie, problem w tym, iż angażując się w tę sprawę, zwróciłabym na siebie i swój biznes uwagę policji. A jeśli już o tym mowa, to bajeczka, którą chciałabyś sprzedać przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości, mogłaby ściągnąć na mnie oskarżenia o pomoc zabójcy czy nawet podżeganie do morderstwa – dodaje na koniec z niewinnym uśmiechem.

Salope. To słowo ma równie słony smak, co krew w ustach Blanche. Dobrze byłoby wypowiedzieć je na głos.

– Tak się składa – podejmuje Madame – że odkąd odeszłaś, jedynym człowiekiem, który pytał o ciebie, był Signor Lamantia. W ostatnim czasie napisał do mnie dwa razy, oferując niemałą kwotę za samo wskazanie miejsca twojego pobytu.

Blanche przewraca oczami. L'amant de Blanche. Jej natrętny niczym mucha, stały klient z Sycylii.

– Naprawdę nie możesz się tak dalej ukrywać – mówi miękko Madame. – To miasto ma bardzo krótką pamięć. No chyba że zamierzasz od tej chwili żyć bez pieniędzy z czynszu od swoich lokatorów, bez tańca i bez *michetons*?

Blanche jednak bardziej martwi się tym, czy w ogóle zdoła przeżyć kilka najbliższych dni.

– Po prostu wypłać mi moje sto dolarów – mówi do niej – i więcej nie będę cię nachodzić.

– Ach, ty nadal nie rozumiesz. Może pokażę ci liczby, wtedy wszystko stanie się jasne. – Madame otwiera swoją księgę rachunkową i przesuwa ją w stronę Blanche. – W lewej kolumnie masz wynagrodzenie za dwa występy, po pięćdziesiąt dolarów za każdy. A po prawej stronie moje zaległe należności: za kostiumy, akompaniament muzyczny, napoje, wyposażenie garderoby i sceny, rozwieszanie afiszów...

– Co to za bzdury! – wykrzykuje Blanche. – Na mnie nie działają te twoje tanie sztuczki. Od każdej zorganizowanej schadzki pobierasz prowizję. Nigdy się nie umawialiśmy, że płacę ci za kostiumy czy muzykę. Nie należę do twojej stajni. Jestem niezależną artystką, i to w dodatku najpopularniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek u ciebie występowały.

– Nigdy się też nie umawialiśmy, że możesz z dnia na dzień odejść z pracy, bez słowa wyjaśnienia, które mogłabym przekazać twoim liczным wielbicielom – odpowiada chłodno Madame.

– Jakie napoje? – pyta Blanche. – Szklanka brandy raz na jakiś czas?

– Wszystko kosztuje, moja droga. Skoro miesiąc temu zniecka postanowiłaś zrezygnować z mojej opieki...

Opieki? Blanche czuje nerwowe drganie mięśnia w policzku, gdy próbuje sobie wyobrazić fortunę, jaką bez wątpienia zbiła na niej ta kobieta.

– Cóż, aby powetować sobie chociaż część strat, jestem zmuszona zażądać zwrotu kosztów, które poniosłam, by uczynić z ciebie Blanche la Danseuse.

– Uczynić ze mnie...? – powtarza z niedowierzaniem Blanche.

– Byłaś ciężarną amazonką – ciągnie Madame – i nie miałaś w sobie nic, co wyróżniałoby cię z tłumu kobiecych ciał przetaczających się przez to miasto. Byłaś surowcem, z którego, stwierdzam to z dumą, stworzyłam postać roztaczającą wokół siebie pewną aurę tajemniczości.

Blanche nie wierzy własnym uszom.

– Trzysta siedemnaście dolarów – podsumowuje nieco bardziej rzeczowym tonem Madame, wskazując na liczbę po prawej stronie. – Po odliczeniu twoich zarobków w wysokości stu dolarów zostaje dwieście siedemnaście. Płacisz banknotami czy bilonem?

Słyszając to, Blanche chwytą księgę i wbija palec w kolumnę po lewej.

– A może dopiszemy tu coś takiego: „Rekompensata dla Blanche Beunon w zamian za niepoinformowanie policji o tych cholernych, zdychających niemowlakach”?

Madame patrzy na Blanche z najgłębszym obrzydzeniem, lecz po chwili wyraz jej twarzy zmienia się, łagodnieje.

– To zrozumiałe, że jesteś w ciężkim szoku po śmierci swojej przyjaciółki, i dlatego, pomimo wszystkich obelg, jakie kierujesz pod moim adresem, chcę ci pomóc, przez wzgląd na dawne czasy. Co byś powiedziała na to, żebym ogłosiła ostatni sobotni występ Kobiety Pchły, na przykład jutro wieczorem?

Blanche omal nie wybucha śmiechem. Ależ ta kobieta ma tupet!

– Chyba żartujesz!

– Proponuję specjalną stawkę. Powiedzmy: pięć... nie, dziesięć razy więcej niż twoje normalne honorarium. Pięćset dolarów. – Madame wypowiada to niemal śpiewnym głosem, zachwycona własną dobrocią i hojnością. – Nie tylko spłaciłabyś od razu cały swój dług, ale jeszcze zostałoby ci prawie trzysta

dolarów na nowy start.

Blanche z trudem przełyka ślinę.

Prusaczka bawi się ślubną obrączką na palcu. Niby czeka na odpowiedź, lecz tak naprawdę z niemałą przyjemnością patrzy na męczarnię Blanche. Pozwala wybrzmieć ciszy, która niesie ze sobą niemą zgodę.

– W takim razie do jutra, tak? – rzuca na koniec.

Prawie trzysta dolarów. Blanche woli nie otwierać ust, żeby niechcący nie wy dostało się z nich coś w rodzaju: „Ty zimna suko, nigdy więcej nie będę dla ciebie pracować”. Ma tak mało pieniędzy, że nie może pozwolić sobie na to, by jednoznacznie odrzucić propozycję. Dlatego w ogóle się nie odzywa, po prostu bierze do ręki torbę i rusza w stronę drzwi.

Oddalając się od House of Mirrors, zaczyna prawie biec w swoich lekkich pantoflach. Czuje, jak na czole i pod pachami pojawiają jej się krople potu. Na razie nie ma co myśleć o pieniądzach. Musi natychmiast zejść z Sacramento Street, zanim wpadnie prosto na Arthura, Ernesta albo jeszcze kogoś innego z ich bandy. Dlatego z pochyloną głową skręca w najbliższą alejkę, zręcznie omija kupkę liści kapusty i w tym samym momencie niemalże potyka się o starszego człowieka, który siedzi w cieniu. Mężczyzna ma koszulę z tylko jednym rękawem. Na jego ciemnoszarym policzku widnieje wypalona litera R. Podśpiewuje nosowym głosem:

Po tym kraju złym i ciemnym

Długo się błąkam, zmęczony i senny.

Na ziemi przed nim leży czapka, ale jest w niej całkiem pusto. Ma zaciśnięte oczy. Być może wcześniej udało mu się zbierać trochę monet, lecz jakiś *gamin* mu je zwędził? W tym mieście, tej metropolii włóczęgów wszelkiej maści, kogoś takiego jak on spotyka się co kilka kroków. Blanche podejrzewa,

że całe to towarzystwo ląduje w San Francisco, bo zimy są tu łagodne, w związku z czym przynajmniej nie grozi im zamarznięcie we śnie. Jenny na pewno zatrzymałaby się i wrzuciła mu do czapki pięćdziesiąt centów, żeby mógł pójść gdzieś się przespać. Nauczyłaby się jego piosenki, poznałaby całą jego historię. *Ja po prostu lubię różne historie*, powiedziała tamtego pierwszego wieczora u Duranda. Blanche stwierdza jednak, że nie stać jej na to, by dawać mu jakiegokolwiek drobne. Zresztą i tak ktoś by mu je ukradł. *Pozwólcie mi odejść...* – zawodzi smętnie żebrak.

*Albowiem wędruję tam, gdzie woda wiecznie płynie,
Szukając miasta, co w blasku światła ginie,
Światła, co zbawi duszę mą.*

„Szukając miasta”. No tak, chodzi o niebo, on ma na myśli niebo, a nie San Francisco. Blanche przyspiesza kroku i rusza przed siebie, zostawiając za sobą ulicznego śpiewaka.

Rozdział 4

Ona wypatruje, ona wyczekuje

Sierpniowy poranek, dzień po tym, jak Blanche przyniosła P'tita z Folsom Street – ocaliła go, tak przynajmniej woli o tym myśleć, by móc poczuć się jak bohaterka, zapominając o beznadziejności całej tej sytuacji. Jej twarz odbijająca się w ogromnym lustrze nad kominkiem wygląda, jakby w ciągu jednej nocy postarzała się o cały rok. Obolałe ramiona są twarde niczym deski. A przecież kiedyś, przypomina sobie, jeździła na koniu, stojąc na rękach. Noszenie dziecka nie powinno być dla niej żadnym wyzwaniem. Czuje się kiepsko tylko dlatego, że prawie w ogóle nie spała. Chropawe pokasływanie P'tita nasiliło się w ciągu nocy, choć może to tylko złudzenie spowodowane echem kaszlu odbijającego się od cynowych ścian kufra (Arthur poddał się o drugiej w nocy i przeniósł się na sofę). Wygląda na to, że cała ta opieka nad dzieckiem będzie ją kosztowała równie dużo, co wydanie go na świat.

– Tylko lekkie prace domowe – powtarza Gudrun niczym ochronną mantrę, zawiązując troczki fartucha.

– Ale to będzie *zamiast* prac domowych. Tak jak mówiłam, nikt nie będzie zawracał ci głowy zmywaniem, wystarczy, że weźmiesz go na spacer na godzinę albo dwie, żebym mogła się w tym czasie zdrzemnąć – prosi Blanche.

Szwedka stanowczo potrząsa głową obsypaną złotymi włosami.

– Mówiłam już wczoraj, że nie mam doświadczenia.

– Szybko się nauczysz.

– Ale ja nie chcę – protestuje Gudrun.

– A co powiesz na dodatkowe wynagrodzenie oprócz

zakwaterowania? – proponuje Blanche. – Ile dostajesz za szycie koszul?

Gudrun wciąż kręci głową.

– Wolę pracę w fabryce.

– Możemy zapłacić ci znacznie więcej, niż tam zarabiasz – natarczywie deklaruje Blanche.

– Nigdy nie będę mieszkać przy żadnej rodzinie.

– Nie, nie, nadal będziesz spać na swoim poddaszu. Chodzi mi tylko o opiekę w ciągu dnia...

– Wolę pracę w fabryce.

Blanche przygryza wargę, bierze P'tita na ręce i bez słowa wynosi go do sypialni. Uważnie ogląda skórę pod jego mizernymi paszkami. Okazuje się, że cierpliwe przemywanie skóry lodowatą wodą zlikwidowało wysypkę. Dobre i to. Blanche postanawia zostać w sypialni, dopóki dziewczyna nie skończy zmywać i sprzątać, bo jeśli zacznie się z nią kłócić, Gudrun odejdzie, a wtedy nie będzie komu nawet wynieść nocnika do rury ściekowej w korytarzu.

Niemіłosiernie długi poniedziałek wlecze się w nieskończoność. P'tit najbardziej ze wszystkiego lubi ssać tę swoją nieszczęsną gałkę do drzwi, ale jest w stanie wziąć do obsypanych wysypką ust również inne rzeczy, które podetknie mu Blanche: butelkę mleka, rosół, rozdrobniony chleb z sosjerki w kształcie kaczkę. No i oczywiście cukrowy smoczek, czyli maleńki płócienny woreczek z plastrem miodu (polecony przez Amerykanina prowadzącego sklep spożywczy), który przywiązała mu do kołderki. P'tit leży w wyściełanym kufrze, przyssany wargami do swojego słodkiego zawiniątka, spazmatycznie wymachując szerokimi, kanciastymi kończynami. Patrząc na swojego synka, Blanche ma wrażenie, że jego ruchy są wręcz nieludzkie.

Malec zwraca połowę podawanych mu posiłków, ale ona zaciska zęby i nie poddaje się. To pewnie dlatego, tłumaczy sobie, że jego żołądek nie jest przyzwyczajony do tak obfitych porcji albo że po prostu jedzenie wpadło mu nie tam, gdzie trzeba, wywołując kaszel, który kończy się wymiotami. W kącie rośnie cuchnący stos pieluch, z których wylewa się brązowa maź. Miała poprosić Gudrun o zanieśenie ich do pralni nad sklepem mięsnym Hop Yik, zanim wyjdzie do tej swojej fabryki koszul, ale całkiem wyleciało jej to z głowy.

Arthur wie, że dała odpowiedź Madame Johannie, nie wie natomiast, że odesłała jej podarty na strzępy liścik. Jego zdaniem Madame jest bardzo zajęta prowadzeniem House of Mirrors, w związku z czym prawdopodobnie nigdy nie była u doktor Hoffman i nie widziała, jakie panują tam warunki. A poza tym jaki sens ma żywienie urazy, gdy tak naprawdę nikomu nie stała się żadna krzywda, *hein*⁵⁷?

Blanche przygląda się synkowi. Owszem, stała się krzywda. Jest święcie przekonana o tym, iż Madame doskonale wiedziała, co robi, wysyłając miesięcznego P'tita na Folsom Street. Miał przenieść się na łono Abrahama, odchodząc z przyczyn w miarę naturalnych, by raz na zawsze uwolnić od siebie Kobieta Pchłę? Taki był plan? Niewiarygodne, że udało mu się przetrwać na tej ziemi pierwszy rok swojego życia. Nic dziwnego, że jest... jak by to powiedzieć... „towarem uszkodzonym”.

– A mimo to radzi sobie całkiem nieźle – te ostatnie słowa Blanche wypowiada na głos, uśmiechając się ze smutkiem.

W odpowiedzi P'tit puszcza istic marynarskiego bąka, po czym łapie się za nabrzmiały brzusek z wyrazem twarzy – Blanche już nauczyła się rozpoznawać to spojrzenie – sygnalizującym nadchodzące potężne chluśnięcie.

– Tylko nie sikaj na sofę – błaga malucha i rzuca się w jego

stronę, by zdążyć go podnieść, zanim będzie za późno.

No ale przynajmniej ją widzi, tego akurat jest pewna. Jeśli natomiast chodzi o słuch, nie ma już takiej pewności.

Zagłębienia w jego małych małżowinach są całe zalepione woskowiną, lecz kiedy dziś rano usiłowała mu ją wygrzebać za pomocą łyżeczki do soli, zaczął charczeć z bólu. W duchu podejrzewa, że on słyszy jej głos, lecz ze wszystkich sił stara się ją ignorować. Gdy zdarzy jej się na niego ryknąć, przestraszony malec zaczyna płakać, a wtedy ona okropnie się z tym czuje. Zaakceptował noszenie go na rękach po mieszkaniu – co więcej, zdecydowanie woli to od leżenia w kufrze – jednak nie jest w stanie zdzierzyć czegokolwiek, co choć w najmniejszym stopniu nosi znamiona pieczyoty. Tych kilka razy, gdy jego ojciec wziął go na ręce, P'tit obrzygał mu halsztuk albo sygnet – czarny onyks z motywem skarabeusza oprawiony w złoto, który kupił Arthurowi, kiedy po raz pierwszy zarobiła sto dolarów w ciągu jednej nocy.

Kolejne godziny mijają jej na ziewaniu i zastanawianiu się, jakie procesy myślowe – jeśli w ogóle jakiegokolwiek – zachodzą pod tą nienaturalnie wybrzuszoną czaszką. Przez większość czasu jego twarz pozostaje bez wyrazu, chyba że jest wzburzony – wówczas ściąga mięśnie policzków i czoła. Raczej nie ma zbyt wielu powodów do uśmiechu, przypuszcza Blanche. Ale przecież wszystko, co złe, już minęło, czy on tego nie rozumie? A przynajmniej wszystko, co najgorsze. Jest w domu, ze swoją *Maman*, w najlepszym mieszkaniu w całej kamienicy. Mógłby włożyć trochę wysiłku... – w tym momencie do Blanche dociera, jak bardzo absurdalnie to brzmi.

Wieczorem upał gęstnieje, unosząc się w powietrzu niczym jakaś ostra woń. Pociągający nosem P'tit wreszcie usnął w jej ramionach.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi. Czy Arthur tak bardzo się ubzdryngolił, że zgubił gdzieś swoje klucze? Blanche podnosi śpiące dziecko i idzie otworzyć.

Na progu stoi Jenny Bonnet. Fioletowa obwódka wokół oka nieco zbladła, przybierając zielonkawożółtą barwę. Opuchlizna również zeszała. Blanche dokonuje w myślach szybkich obliczeń: zaledwie dwa dni temu ten zbir stłukł Jenny u Duranda – jeszcze w jej dawnym życiu, zanim przyniosła do domu P'tita.

Luźny garnitur Jenny jest uwalany błotem. Przez ramię ma przewieszony worek.

– Cześć – mówi, szczerząc zęby. – Głodna?

W pierwszej chwili Blanche ma ochotę zatrzaskać tej pannie drzwi przed nosem. Jednak desperacko pragnie towarzystwa kogoś, kto nie będzie jej traktował tylko i wyłącznie jako środka lokomocji tudzież dostarczyciela mleka, kogoś, kto nie zacznie zanosić się płaczem na widok jej twarzy. Poza tym prawda jest taka, że gdyby Jenny nie zadała jej tych wszystkich pytań, P'tit nadal leżałby w ciemnym pokoju przy Folsom Street. A Blanche, pomimo minorowego nastroju, wcale by tego nie chciała. Dlatego robi krok do tyłu i wpuszcza gościa.

Jenny wchodzi do salonu.

– To twój mały? W odwiedzinach? – pyta.

– My właśnie... – Blanche waha się, co powiedzieć.

Zabraliśmy go z powrotem? Nie, to brzmi, jakby ona i Arthur rok temu faktycznie się go pozbyli. – Zostaje z nami – mówi w końcu, po czym szybko zmienia temat: – Ale widzę, że z okiem już lepiej.

– Wszystko goi się na mnie jak na psie – przechwala się Jenny. – A jak tam twoja noga?

No tak, udo posiniaczone na skutek zderzenia z bcyklem Jenny.

– Nawet nie wiem – parska Blanche. – Nie miałam czasu, żeby jej się przyjrzeć.

Jenny zdejmuje marynarkę i kamizelkę, czując się jak u siebie w domu.

– Założę się, że już nie mogłaś się doczekać, żeby zrzucić z siebie te ciężkie ciuchy.

– I kto to mówi? Łazisz po domu w turniurze, mimo że nikt na ciebie nie patrzy oprócz dziecka!

Blanche uśmiecha się szeroko, przyznając jej rację.

– A co tam słyhać w szerokim świecie? – pyta przyjaciółkę.

– Musiałam znowu dać się drasnąć, żeby wpuścili mnie do tramwaju – komunikuje Jenny, klepiąc się po ramieniu. – Widziałam, jak jednej biedaczce, co miała wąskie rękawy, kazali do połowy ściągnąć kieckę, żeby im pokazała ślad po ukłuciu – dodaje, lubieżnie chichocząc.

Blanche również się śmieje, wyobrażając sobie tę scenę. Biedna dziewczyna.

– Wiesz, że drzwi w sąsiedniej kamienicy zabili deskami? – mówi Jenny, spoglądając w tamtym kierunku.

Zaniepokojona Blanche pochmurnieje.

– Numer osiemset trzystaście? Internat?

– Pewnie siedzą ich tam całe tabuny. Ci nieszczęśnicy przez sześć tygodni nie mogą stamtąd wyściubić nosa, bo inaczej zapłacą grzywnę albo wylądują w areszcie. W Chinatown inspektorzy sanitarni wszędzie widzą ospę. Słyszałam o jednym chłopaku na Bush Street, którego zawlekli do szpitala tylko dlatego, że miał okropne pryszczki.

Blanche nie może się powstrzymać i wybucha niepokojąco głośnym śmiechem. P'tit aż podskakuje na jej kolanach, jak gdyby dotknęła go Elektryczna Madame w trakcie jarmarcznego

pokazu.

– *Chut* – szepce mu do ucha, kołysząc go w ramionach.

– Epidemia to świetna wymówka dla władz. Wreszcie mogą się rozprawić z delikwentami, którzy są dla nich niewygodni – zauważa Jenny, kładąc swojego colta na złożonej marynarce. – Wydali zakaz przeklinania, słyszałaś? *Delirium tremens* i puszczanie latawców też są zabronione.

– Latawce? Niemożliwe.

– Wiem, co mówię. W końcu jako recydywistka znam prawo na wylot. – Jenny wyciąga przed siebie ręce. – No dobra, spójrzmy, co my tu mamy.

Ale na co ona chce patrzeć? Dopiero po chwili Blanche orientuje się, że chodzi jej o P'tita.

– Weź lampę – zwraca się do Jenny, po czym prowadzi ją do sypialni.

Powoli, opuszczając malca centymetr po centymetrze, kładzie go na plecach na dnie kufra.

P'tit, mimo padającej na niego smugi światła, śpi dalej, z rozłożonymi rączkami i nogami na swoim brudnym prześcieradle. W jego poważnej twarzy nie ma ani krzty dziecięcej niewinności.

– Specjalnie piękny to on nie jest – szepcze Blanche, nie chcąc, by Jenny pomyślała, że zaślepia ją matczyna miłość.

Jenny nie zaprzecza.

Co zaskakujące, Blanche czuje się tym faktem urażona. Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, iż ktoś zdoła ją przekonać, że ten goblin z wielką głową to prawdziwy książę na tle innych niemowląt.

– Mówiłaś, że ile on ma? Rok? Wygląda na pół – mruczy pod nosem Jenny.

Szeroko rozrzucone, koślawe nóżki P'tita stykają się

stópkami.

– No cóż, przynajmniej potrafi ruszać kończynami.

– Jest zdeformowany – słowa te Blanche wypowiada głośno, żeby się przekonać, jak to brzmi.

I znów nie słyszy sprzeciwu.

– Rachityzm – stwierdza krótko Jenny.

Blanche nie zna tego słowa.

– A co to znaczy...

Jenny wzrusza ramionami.

– Jak dziecko tak wygląda, to się mówi, że ma rachityzm.

Ogarniająca ją ulga jest jak whisky pulsująca w żyłach.

– To znaczy, że zdarzają się dzieci, które tak wyglądają?

– Owszem, jak im czegoś brak.

– Czego brak?

– No, czegoś, czego potrzebują – wyjaśnia Jenny. – Nie wiem, co to takiego, wiem tylko, co się z nimi dzieje, gdy tego nie mają.

Ciekawe, od kiedy tak dobrze zna się na dzieciach – zżyma się w duchu Blanche, którą nagle ogarnia wściekłość.

– Zawsze podczas wizyt miał pełen brzusek – protestuje.

Na twarzy Jenny pojawia się grymas.

– Pełen gazów – rzuca ostro i pochyla się nad P'titem, dotykając palcami jego szerokich kostek i nadgarstków.

– Nie drażnij go – syczy przez zęby Blanche.

– Tylko sprawdzam, czy są kreski.

Jakie znowu kreski? Przecież każdy ma kreski na skórze kostek i nadgarstków w miejscach, gdzie kończyny się zginają.

– Chodzi mi o pręgi – tłumaczy Jenny – no wiesz, sprawdzam, czy nie przywiązywali go do łóżka.

– On jeszcze nawet nie umie siadać, więc dlaczego mieliby... – Blanche nagle czuje, że łzy napływają jej do oczu.

Natychmiast przyciska ręką powieki, żeby je powstrzymać. Dlaczego akurat teraz? Dlaczego nie płakała nad swoim chorym, smutnym dzieckiem przez ostatnich kilka miesięcy?

W takiej chwili każda normalna kobieta prawdopodobnie objęłaby ją albo przynajmniej pogłaskała po ramieniu. Pocałowałyby w policzek albo w głowę. Starła się jakoś pocieszyć. Ale Jenny zdaje się nie widzieć, w jakim stanie jest Blanche.

– Żadnych śladów – orzeka, spoglądając na P'tita, który leży z głową odwróconą na bok. – Widziałam gorsze rzeczy.

Słyszając tak ozięble słowa otuchy, Blanche niemal wybucha śmiechem. Kości jej syna są zniekształcone, mięśnie ma w zaniku, bo przeleżał prawie rok wciśnięty w kąt zatęchłej nory przy Folsom Street. Jest skarłowaciały. I choć przychodzi jej do głowy kilka osób, które mogłaby za to obarczyć winą, na pierwszym miejscu listy widnieje jej własne imię.

– To się wszystko da naprawić – stwierdza Jenny. – Masz korkociąg?

– Słucham?

– Potrzebuję korkociągu – powtarza, wyciągając butelkę z torby.

– Powiedziałaś, że to się da naprawić. – Zalana łzami Blanche chwytą ją za rękaw. – Skąd wiesz...

– Nie wiem, tak tylko zgaduję.

Blanche ma ochotę podbić jej drugie oko.

– Tak jak większość rzeczy – dodaje Jenny.

– Ale co: „tak jak większość rzeczy”? – dopytuje Blanche.

– Da się naprawić.

Blanche wbija w nią wzrok.

– Prędzej czy później. Jak nie w ten, to w inny sposób – stwierdza Jenny. – Czy teraz mogę już otworzyć tę sherry?

Blanche bierze głęboki oddech.

Siadają obydwie przy drewnianym stole i sączą alkohol ze szklanek.

Powinna coś zjeść, wykorzystując chwilę, kiedy dziecko śpi. Ciekawe, czy jest jeszcze *cassoulet*, który Arthur przyniósł do domu wczoraj wieczorem. Zastanawia się, czy nie zjeść gulaszu na zimno, zaoszczędzając sobie w ten sposób podgrzewania potrawy na spirytusowej lampce.

– Zamierzasz zatrzymać go na dobre, tego twojego P'tita? – pyta Jenny.

Blanche potwierdza skinieniem głowy.

– Wynajmiemy opiekunkę. Wreszcie będziemy prawdziwą rodziną – próbuje przekonać samą siebie.

– Prawdziwa rodzina... No tak, to rzeczywiście gwarancja prawdziwego szczęścia – stwierdza Jenny z sarkazmem.

– A gdzie jest twoja rodzina, co?

– Prawie wszystkich diabli wzięli. A twój nadal w Paryżu?

– Nawet nie wiedzą, że mam dziecko – wyznaje Blanche. – Ale twój...

Z sypialni dobiega płacz. Z zaciśniętymi zębami Blanche rusza do pokoju. P'tit drapie się po karku, lecz na jej widok zamiera w bezruchu. Spogląda na nią jak na jakieś dziwadło. Jednak po chwili przenosi wzrok w róg pokoju i zaczyna wodzić oczami po ścianie, jakby śledził jakieś przesuwające się tam kształty.

Czy ci się to podoba, czy nie, nie masz nikogo oprócz mnie. Przypadkowy rym dzwoni jej w uszach. Wprawnym ruchem wyjmuje dzieciaka z kufra i odwróciwszy jego twarz od swojej, niesie go do salonu. Przynajmniej pieluchę ma nadal suchą.

– Potrzywasz małego przez chwilę? – zwraca się do Jenny i nie czekając na odpowiedź, wciska jej P'tita, po czym idzie do

toalety.

Chce tylko ochlapać twarz wodą z dzbanka. Tylko oprzeć głowę o framugę drzwi. Prawda jest taka, że najchętniej zamknęłaby się w tej łazience i nie wychodziła z niej przez tydzień. Ach, gdyby tak ktoś wziął od niej to dziecko chociaż na godzinę i gdzieś je wyniósł, żeby nie słyszała jego ryków i wreszcie mogła się choć trochę przespać... Ale po Jenny raczej nie należy się spodziewać tego typu pomocy.

Jednak gdy Blanche w końcu wychodzi z łazienki, okazuje się, że jej towarzyszka napaliła w piecu i właśnie podsmaża czosnek w brytfance. W powietrzu unosi się cudowny zapach. P'tit siedzi pod ścianą, podparty poduszkami, a Jenny szczebiotliwym głosem śpiewa mu jakąś kreolską piosenkę⁵⁸, strzelając palcami do rytmu i robiąc przy tym głupie miny. *Chapeau sur côté, Musieu Banjo* – niczym mim odgrywa dandysa hulakę w kapeluszu przekrzywionym na bakier. *La canne à la main, Musieu Banjo* – w jej ręku pojawia się niewidzialna laseczka. *Botte qui fait crin crin, Musieu Banjo* – i nowe, trzeszczące buty. Po raz kolejny Blanche jest zaskoczona delikatnym tembrem jej głosu.

– Lubi, jak się mu śpiewa, nie? – rzuca Jenny, przerywając piosenkę.

Lubi? Blanche przytakuje skinieniem głowy, udając, że oczywiście też to zauważyła, choć spojrzenie P'tita nadal wydaje jej się całkiem puste. Prawdę powiedziawszy, od kiedy przyniosła go do domu, nawet nie przyszło jej do głowy, żeby mu zaśpiewać.

– Wygląda, jakby ciągle na coś czekał – mówi Jenny, patrząc na niego, jakby obserwowwała jastrzębia albo wydrę – co nawet miałoby sens, skoro do tej pory całymi dniami leżał w łóżeczku.

Blanche stara się nie myśleć o innych „tygodniakach” zamkniętych w ciemnym pokoju, tych, których nie ocalała, bo przecież nie będzie się wtrącać w cudze sprawy. Ich rodzice bez wątplenia mają swoje powody, wystarczająco dobre powody, przynajmniej z ich własnej perspektywy. A te „zryczałtowane” maluchy, Jezu Chryste... co prawda nigdy ich nie widziała, ale wizja tych dzieci i tak ją prześladowa. W tym momencie przypomina sobie, co jej się śniło zeszłej nocy podczas jednej z krótkich drzemek, na jakie pozwolił jej P'tit: znów była w domu przy Folsom Street i z poduszką w rękach biegała od łóżeczka do łóżeczka, z całych sił przyciskając kolejne twarze i odbierając życie tym odrażającym, półżywym istotom.

Burczenie w brzuchu przywraca ją do rzeczywistości. Wdycha ciepły aromat czosnku. – Co to będzie? – pyta przyjaciółkę.

– Oczywiście zabie udka w potrawce z sherry. – Jenny pewną ręką wyciąga z worka cętkowane, ponaddziesięciocentymetrowe stworzenie, które rzucają się w konwulsjach. – Widziałaś kiedyś czerwono nogą żabę kalifornijską?

– Nie z bliska i na pewno nie taką, co się rusza – krzywi się Blanche. – Ale przecież ona wcale nie ma czerwonych nóg.

– Może faktycznie nie są aż tak czerwone. Powiedziałabym raczej, że czerwone. No zobacz – mówiąc to, Jenny podtyka jej żabę pod nos, ale Blanche odwraca się z obrzydzeniem. – W każdym razie na pewno bardziej czerwone niż u innych żab.

Ciemna, cętkowana skóra sprawia, że płaz wygląda jak prawdziwy zakapior. Wyraźne pręgi ciągną się od oczu aż po same biodra.

– Są przerażająco podobne do nas – zauważa Blanche. – Mają tyle samo palców...

– Dziesięć palców z tyłu, ale tylko osiem z przodu – wyjaśnia Jenny. – Niezły z niego przystojniak, nie?

Blanche chichocze.

– Skąd wiesz, że to on?

– Ma odrobinę grubsze ramiona i kciuki...

I nagle, bez słowa ostrzeżenia, Jenny wbija nóż w żabi kark. Następnie przewraca żabę na plecy, odsłaniając zaskakująco jasny, różowy brzuch, i robi cięcie w poprzek talii – Blanche inaczej nie potrafi tego nazwać – po czym z powrotem kładzie ją na brzuchu i nacina wzdłuż kręgosłupa. Oстрыm końcem noża zdejmuję upstrzoną plamkami skórę, jakby to była para spodni. Albo raczej zużytych pończoch, zwisających bezwładnie. Odrąbuje górną połowę tułowia, czemu towarzyszy głośne chrupnięcie, i strząsa ją do kubła na śmieci. Dolna część, głównie jędrne pośladki i muskularne łydki, kojarzy się Blanche z młodym tancerzem z zespołu baletowego. Jedyne opływowy kształt stóp świadczy o tym, że to nie odrąbany fragment maleńkiego człowieczka.

Jenny nie przerywa pracy: zdejmuje skórę z następnych żab, kroi je, po czym wrzuca kolejne pary bladych nóg do bulgoczącego kotła.

– Potrafią skakać na odległość dwadzieścia razy większą od własnego ciała, wiedziałaś? Ale i tak nic nie przebije sztuczki ze zmienianiem się kijanki w żabę. Zeszłego lata cały dzień leżałam nad stawem i obserwowałam taką jedną – opowiada z błyskiem w oczach. – Rano była maleńką, żywiącą się glonami larwą, a potem nagle wyrosły jej nogi, oczy wyszły na wierzch, pojawił się długi, lepki język do łapania ofiar i ogromna szczeka do ich połykania, para worków po obu stronach szyi, które potrafiła nadymać jak balony...

Z piersi P'tita dobywa się przerywany szloch. Chłopiec

wysunął się spomiędzy poduszek i leży bezwładnie na boku, przyciśnięty do listwy przy ścianie. Blanche wzdycha głęboko i podnosi go z podłogi. Chciałaby w spokoju coś przekąsić, chciałaby uciąć sobie miłą pogawędkę, ale najwyraźniej prosi o zbyt wiele.

– O zachodzie słońca ta kijanka była już całkiem nie do poznania – kontynuuje Jenny. – Zupełnie nowa istota.

Blanche nuci cichutko starą cyrkową piosenkę, kołysząc się na boki. P'tit wygląda na zadowolonego, a nawet jeśli jest inaczej, to przynajmniej nie protestuje.

Jenny powtarza melodię.

– Co to jest? – pyta po chwili.

– A, taki walc, który zawsze grali podczas numeru na trapezie. – Blanche buja P'tita, przesadnie uginając kolana, jak jakaś stuknięta stara diwa.

Jenny potrząsa rondlem z żabimi udkami.

– Tęsknisz za swoim dawnym życiem?

Blanche podnosi wzrok, usiłując nie patrzeć na potworną wysypkę okalającą czoło jej synka. Czy ta dziewczyna naprawdę musi o to pytać? Czy myśli, że ona nie tęskni za wolnością, jaką się cieszyła przez te wszystkie miesiące, kiedy P'tit przebywał na Folsom Street? Teraz słono płaci za tę swobodę, jakby spłacała dług zaciągnięty u jakiegoś pokątnego lichwiarza.

– Chodzi mi o twój cyrk – tłumaczy Jenny.

– Aha... – Blanche przez dłuższą chwilę zastanawia się nad odpowiedzią, bo przecież to zupełnie inne pytanie. – Trochę tęsknię za koźmi – mówi w końcu.

Jenny kiwa głową.

– Jaki był twój ulubiony numer?

– „Goniec z Petersburga”. – Na twarzy Blanche pojawia się uśmiech, gdy zaczyna wspominać. – Jechałam, stojąc

w rozkroku, na dwóch galopujących koniach. Jeden miał na sobie flagę Rosji, drugi Wielkiej Brytanii. W którymś momencie na arenę wpadał trzeci koń, przystrojony w pruskie barwy narodowe, i przebiegał pomiędzy tymi dwoma, na których stałam...

– Nieco szerzej rozchyliwszy nogi ku uciesze publiczności – chichocze Jenny.

– Chwytałam w dłoń jego cugle – opowiada dalej Blanche, odgrywając coś na kształt pantomimy – potem wjeżdżał koń reprezentujący Holandię, za nim następny, belgijski, a wreszcie, witany patriotycznymi okrzykami, przedstawiciel Francji.

– A co na siebie wkładałaś, żeby w ogóle móc konkurować ze swoimi sześcioma wysztafirowanymi kobyłami?

– Kostium dżokejki. Ale gdy wpływy zaczęły topnieć, nasz Monsieur Loyal wcisnął mnie w cielisty trykot i króciutką spódniczkę.

– A więc od cyrkowej amazonki do burleskowej tancerki w House of Mirrors... to nie brzmi, jakbyś się pięła w górę po szczeblach kariery – komentuje Jenny. – Wciąż pracujesz ze zwierzętami.

Dopiero po chwili do Blanche dociera sens tych słów. Mężczyźni o czerwonych twarzach, stłoczeni na obitych aksamitem krzesłach, pochylający się nad swoimi nabrzmiętymi *cigares*... Blanche głośno prychnęła i P'tit zaczyna płakać. Czy ten mały *con* już nigdy nie pozwoli jej cieszyć się życiem?

– Ogólnie rzecz biorąc, wolę scenę od cyrkowej areny – oznajmia wreszcie.

– A ja bym chyba jednak wolała widok koni niż, hmm... innych zwierzaków.

– Zgoda, ale teraz nie mam nad sobą żadnego Monsieur Loyala, który mi mówi, co mam robić – wyjaśnia Blanche – jak

mam się ubierać, kiedy mam ćwiczyć...

– A Madame Johanna? Czy ona nie jest dla ciebie kimś w rodzaju tego Monsieur Loyala? Podobno kiedyś jednej dziewczynie zanurzyła ręce we wrzątku. To prawda?

– Pytasz o tę starą plotkę? Nie mam pojęcia, ale myślę, że po tej kobiecie można się wszystkiego spodziewać – stwierdza Blanche ponurym tonem. – Tak czy owak, skończyłam z tą suką. To ona zorganizowała... – słowa więzną jej w gardle i czuje, że nie da rady dokończyć zdania. Zaczyna leciutko podrzucać P'tita, który siedzi u niej na kolanach.

Jenny po raz kolejny kiwa głową.

Ta dziewczyna jest naprawdę bystra. Nie trzeba jej wszystkiego tłumaczyć.

– I co dalej?

Blanche wyciera spocone wargi. Nie miała czasu, żeby cokolwiek zaplanować. Stara się jednak ukryć to przed Jenny, dając popis pewności siebie.

– Im mniej będę pokazywać się na mieście, tym więcej *michetons* będą skłonni wybulić, kiedy znów zaczną ich przyjmować.

– W gazetach nazywają to efektem deficytu – stwierdza Jenny.

– Widzę, że jesteś bardzo czytana.

– A ty myślałaś, że masz do czynienia z analfabetką z bagien?

– Nie, ja... – Blanche nie zna jej na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie.

Jej towarzyszka szczerzy zęby w uśmiechu, przekładając jedzenie z rondla na dwa talerze.

Blanche bierze krzesło i niezdarnie sadza P'tita na swoich kolanach.

Jenny mocno dmucha na parę żabich udek, po czym pochyla się i podtyka je chłopcu, zachęcając go, żeby skosztował. Malec, ku zdumieniu matki, zaciska na nich rączki, jakby to była jakaś zabawka.

– Chcesz, żeby się tym udławił? – strofuje ją Blanche.

– Przecież to Francuz – mówi Jenny. – Poza tym kiedyś w końcu musi zacząć jeść prawdziwe żarcie.

P'tit podnosi udka do ust i ostrożnie, bez większego entuzjazmu, zaczyna przyciskać je do warg.

– To w cyrku nauczyłaś się tańczyć? – pyta Jenny.

Blanche kiwa głową, przeżuwając w ustach pożywne, winne mięso.

– Jeśli Monsieur Loyal zauważył – opowiada – że siedzimy beczynnym w przerwach pomiędzy występami, pokazywał nam cygańskie schottische i mazurki. A Arthur zabierał mnie do Bal Bullier, gdzie widzieliśmy, jak Rigolette, która nie miała nic pod spódnicą, tańczy kankana. – Piękne to były czasy, myśli Blanche. Ach, te długie noce! Mogła spać, kiedy chciała, więc często kładła się do łóżka dopiero bladym świtem.

Ale Jenny już na nią nie patrzy. Jej wzrok wędruje w stronę P'tita. Chłopiec upuścił kość, a z jego ust sterczy ogromny, połyskujący kawał mięsa.

– *Putain!* – Blanche chwyta śliskie mięso i wyrywa je spomiędzy zaciśniętych dziąseł malucha.

W akcie protestu chłopiec zaczyna kaszleć.

Jenny skręca się ze śmiechu.

No tak, Blanche sama czuje, że nie potrafi odpowiednio opiekować się tym dzieckiem. Może byłby bezpieczniejszy na Folsom Street? – zastanawia się, choć na samą myśl o tym przeszywa ją dreszcz.

Tak czy owak, nadszedł czas na degustację

miodowożółtego *Sauternes*.

– A więc – zaczyna Jenny, popijając wino – skoro nie wracasz do Madame Johanny, czy teraz twój gach będzie ci nagał klientów?

– Nigdy w życiu. Arthur to mój kochanek.

– Chyba chciałaś powiedzieć: utrzymanek – poprawia ją Jenny z krzywym uśmiechem. – Coś mi się wydaje, że francuski *mac* właśnie tym się różni od jankeskiego alfonsa, że nie chce mu się nawet kiwnąć palcem, żeby sobie zasłużyć na swoją dolę. A ten dumny szczył?

– Ernest? A co z nim?

– No przecież też jest twoim facetem, chyba że tylko facetem twojego faceta?

Blanche nie podoba się ani takie ujęcie ich relacji, ani tym bardziej obcesowość tego pytania.

– On ma swoją *petite amie*, Madeleine.

– Odnoszę wrażenie, że ci kochasie zawsze truchtają po mieście parami, jak jakieś konie zaprzęgowe – zauważa Jenny, po czym zaczyna naśladować konia w uprzęży. Robi to tak perfekcyjnie, że Blanche wybucha śmiechem. – Pewnie potrzebują kompana, żeby umilić sobie czas, kiedy oddają się całkowitemu próżniactwu.

– Tyle tylko, że akurat Arthur i Ernest robią prawdziwe interesy – wtrąca Blanche.

Jenny unosi brew.

– Znaczą się, biorą zarobione przez ciebie pieniądze i obstawiają ten czy inny zakład, to miałaś na myśli?

Blanche uśmiecha się w odpowiedzi. Jenny działa na człowieka jak dobry, mocny drink, choć wcale nie zdawał sobie sprawy, że musi się napić. Być może powodem, dla którego nigdy nie miała żadnych przyjaciółek, był fakt, że spotykane

przez nią dotąd kobiety po prostu ją nudziły. Ale Jenny nie należy do typowych przedstawicielek płci pięknej: jest trochę jak chłopak, trochę jak klaun, a trochę jak zwierzę. Prawdziwy oryginał. Przed nikim nie musi się tłumaczyć, jest wolna, niezależna i nosi kapelusz na bakier, jeśli tylko ma na to ochotę. Ich bliskość pojawiła się znienacka, kiełkując gwałtownie, jak bezczelny chwast. Ich drogi musiały się przeciąć na Kearny Street w tamtą sobotnią noc, to spotkanie, choć okupione kilkoma siniakami, było im przeznaczone, stwierdza Blanche w przyływie niezachwianej pewności. Znalazła bratnią duszę, na którą czekała przez ćwierć wieku, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

W zamku szczęka klucz.

– O wilku mowa – mówi Blanche i wstaje z krzesła.

Mężczyźni cuchną potem i dymem.

– Ach, kogo ja widzę! Witam Żabią Panienkę – zwraca się Arthur do Jenny. – Cóż za sielanka – dodaje, wodząc po pokoju laseczką niczym dyrygent wymachujący batutą.

Blanche cała sztywnieje. *Sielanka?* Tak jakby nie przyszło mu do głowy, że miała dziś naprawdę ciężki dzień, zostawiona z dzieckiem sam na sam...

Arthur podchodzi do niej, cmoka ją w policzek, po czym odwraca się do P'tita i całuje go w piąstkę.

– I jak znajdujesz mojego syna i dziedzica? – pyta Ernesta, jak gdyby chcąc go sprowokować, by wypowiedział na głos to, co oczywiste.

Ernest taksuje P'tita wzrokiem od pękatych palców stóp aż po sam czubek ledwo owłosionej głowy, lecz zachowuje swoją opinię dla siebie.

– Wciąż w spodniach, jak widzę – zwraca się do Jenny. – Dużo lepiej by ci było w sukience.

Czy on z nią flirtuje? – zastanawia się Blanche.

– Kiedyś miałam cały kufer kiecek – zapewnia go Jenny, wyszczerzając zęby – ale jakoś żadna mi nie pasowała.

– Zostało coś z obiadu, *chérie*? – pyta Arthur.

– *Désolée*⁵⁹ – przeprasza go Blanche. – Same kości.

– W takim razie za chwilę skoczmy do knajpy na rogu, tej, gdzie dają befsztyki i kotlety – oznajmia Ernestowi, nalewając *Sauternes* do dwóch kieliszków.

Ponieważ Arthurowi bardzo dokuczał dziś ból pleców, pół dnia spędził razem z Ernestem w jakiejś melinie palaczy opium przy Pacific Street w nadziei na to, że może fajka przyniesie ukojenie.

– Kiedyś – mówi do Jenny – dosypywałem sobie opium do jedzenia, ale paliło mnie od tego w żołądku.

– No i co, udało się, *mon amour*? – pyta go cicho Blanche, kołysząc P'tita na kolanach.

Arthur wyciąga kilka monet z kieszeni marynarki i podrzuca je do góry, mówiąc:

– Ernest twierdzi, że krupier rozdawał trefne karty.

– Ja się pytam, czy udało się znaleźć nianię!

– A, rzeczywiście. Nie – wzdycha Arthur. – Okazuje się, że dziewczęta w mieście wolą harować w jakimś nędznym sklepiku, byle tylko móc chełpić się swoją „niezależnością”. Mają o sobie zbyt wysokie mniemanie, żeby iść do kogoś na służbę.

Blanche chętnie by się dowiedziała, z iloma to dziewczętami rozmawiał o tym, zanim wyciągnął podobne wnioski. Gdzie szukał i jak bardzo się starał, zanim zaległ na kanapie, żeby zaciągnąć się opium. Czuje jednak, jak głos więźnie jej w gardle. Arthur z pewnością nie będzie wysłuchiwał tych utyskiwań, a już na pewno nie przy gościach.

Tymczasem on otwiera kolejną butelkę wina, wypija łyk, ale natychmiast go wypluwa.

– Trąci korkiem? – pyta Blanche.

– Nie, po prostu jest kalifornijskie – odpowiada, zerkając na etykietę. – *La vie est trop courte pour boire du mauvais vin*⁶⁰ – uroczyście recytuje przysłowie, podnosząc do góry szybę w oknie, żeby wylać zawartość butelki na ulicę.

Z panujących na dole ciemności dobiega krzyk, który może być zarówno wyrazem protestu, jak i ogromnej radości.

– Mogłeś zostawić je dla Gudrun – delikatnie upomina go Blanche.

– A dlaczego *jej* życie nie jest zbyt krótkie na to, żeby piła złe wino? – zastanawia się Jenny.

– Szwedzi i tak się nie znają na winie – oznajmia Ernest, wyciągając korek z zakurzonej butelki whisky, którą znalazł w głębi kredensu.

Rozmowa schodzi na temat hazardu.

– Chińczycy mają największego fioła na tym punkcie – twierdzi Jenny. – Walki karaluchów i pasikoników, wyścigi żab...

– Wyścigi żab? – Arthur krztusi się ze śmiechu.

– Tak się to robi w San Francisco – mówi Ernest, ziewając.

– Nie tylko, tak to po prostu urządziła matka natura – poprawia go Arthur. – Czyż życie to nie jeden wielki hazard? Bo nieważne, z jakimi kartami się rodzisz, dobrymi czy złymi, na końcu i tak przegrywasz.

– Ale tutaj w szczególności. Kiedy poszukiwacze złota wznoszą miasto w zasadzie z dnia na dzień, każda grudka ziemi to dla nich loteria – dowodzi Ernest.

– Pieprzeni górnicy i poszukiwacze złota może i pojawili się tu pierwsi w czterdziestym dziewiątym – grzmi Arthur – ale

to dopiero my postawiliśmy to miasto na nogi.

– Znowu to samo – szepcze Blanche do Jenny.

– A oni co? A oni wymyślili podatek dla obcokrajowców⁶¹ i wykurzyli nas z tych swoich brudnych obozów – tokuje Arthur z pogardą w głosie. – Ale my się tym nie przejęliśmy.

– Myślałam, że przyjechaliście tu dopiero w zeszłym roku – półgłosem odzywa się Jenny.

– On mówi w imieniu wszystkich Francuzów – wyjaśnia Blanche, z rozbawieniem wyobrażając sobie, jak jej kochanek macha kilofem.

W tej chwili tyrada Arthura jest już tak głośna, jakby występował w roli ulicznego agitatora.

– Zmieniliśmy tę cuchnącą mieścinę w prawdziwe miasto. Anglosasi wygrzebywali złoto ze strumieni, a my równie szybko zgarnialiśmy je w naszych restauracjach, kasynach, burdelach...

– W tym momencie ściska Ernesta za ramię, wołając: – Za nasz wspaniały naród, za mistrzów sztuki zwanej przyjemnością! – Kieliszki idą w górę. – I za San Francisco, *La Ville Sans Honte!* – ryczy Arthur. – Cudownie bezwstydne miasto, w którym, jak nigdzie indziej, pieniądze są łatwe jak dziwki na ulicy!

Wychyliwszy toast, Arthur częstuje wszystkich cygaretkami, ale tylko Ernest bierze jedną.

– „Oryginalny kalifornijski wyrób tytoniowy, nietknięty azjatycką ręką” – czyta na głos etykietkę.

– Nic dziwnego, że tyle kosztują – żartuje Arthur. – A czy ty wiesz, moja droga – zwraca się do Blanche – że do tych twoich papierosów pakują śmieci z podłogi?

– Wiem, *chéri*, powtarzasz mi to za każdym razem.

Jenny nabija małą glinianą fajkę.

– Ja tu mam prawdziwy wyrób tytoniowy.

P'tit zaczyna kaszleć, więc Blanche, u której wciąż siedzi na kolanach, odgania dym.

– A skoro już mowa o azjatyckich rękach – stwierdza Jenny – to ponoć Chińczycy najlepiej potrafią opiekować się dziećmi.

– Nie, nie, są jakieś granice. Nie chcę, żeby mi się jakiś żółtek kulił w kredensie – oświadcza Arthur, ziewając, i rozciąga się na sofie.

Blanche posyła mu surowe spojrzenie. Mieszkają w tej dzielnicy już półtora roku, więc jak może wygadywać takie bzdury?

P'tit parska i wybucha płaczem. Blanche gasi papierosa na talerzyku, wstaje i zaczyna go lekko bujać.

– Nie należy trząść się nad dzieciakiem od razu, jak tylko zaczniesz piszczeć – zauważa Ernest.

– Mhm. Moja matka zawsze powtarzała, że trzeba odczekać pięć minut – przytakuje Arthur.

Blanche kołysze synka w ramionach w takt walca, usiłując zachować spokój.

– *Mai il est bien court le temps des cerises*⁶² – nuci łagodnym głosem. Czas czereśni jest bardzo krótki.

Z piersi Arthura dobywa się jęk.

– A może by tak coś weselszego? – rzuca poirytowanym tonem.

– To metafora Komuny Paryskiej, wiesz? – mówi siedzący na podłodze Ernest, zwracając się do Jenny.

Blanche przygryza wargę. No to teraz się zacznij! Nie powinna była śpiewać tej piosenki, jeśli nie chciała prowokować Ernesta.

– Myślisz?

– Czereśnie to symbol dziur po kulach... *Cerises d'amour au robes pareilles* – śpiewa Ernest całkiem przyzwoitym

barytonem – *tombant sous la feuille en gouttes de sang...* Krople krwi – cóż innego mogłoby to oznaczać?

Trudno go jednak usłyszeć pośród wrzasków P'tita.

Czy to możliwe – zastanawia się Blanche – że mały jest znów zmęczony? Albo głodny? Może powinna wyszorować butelkę i dać mu mleka? Chyba jeszcze nie skisło, skoro jest lodówce?

– Paryż, pięć lat temu... byliście tam, kiedy to się działo! – wykrzykuje Jenny podekscytowanym głosem.

Blanche nie odzywa się ani słowem. Dobrze pamięta Komunę Paryską: stosy powykręcanych ciał w Ogrodach Luksemburskich.

– Byliśmy w tym po same uszy – mówi Arthur.

– A co, służyliście w Gwardii Narodowej? – Jenny prostuje się na krześle, pogwizdując.

– To nie był jedyny sposób, żeby przyłączyć się do rewolucji – wtrąca Ernest poirytowanym tonem.

– Ernest był wtedy jeszcze dzieckiem. – Arthur klepie przyjaciela po udzie.

– Nie mogliśmy opuścić cyrku – dodaje szorstko Ernest – ale i tak odegraliśmy swoją rolę...

– My, robotnicy, pchaliśmy armatę na samą górę Montmartre – wspomina Arthur.

My, robotnicy! Blanche ledwo się powstrzymuje, żeby nie parsknąć śmiechem.

– To musiało być ekscytujące – stwierdza zachwycona Jenny.

– Wolność albo śmierć! Ach, to były czasy. Zamieniliśmy Paryż w małą republikę pod czerwonym sztandarem, przynajmniej na dwa miesiące.

Blanche bierze P'tita i idzie z nim do sypialni, bo nie może

już słuchać Arthura, który nie przestaje tokować. Gada o tym tak, jakby sam wyszedł na barykady podczas ostatnich walk, choć w rzeczywistości nie robił nic innego, tylko nadal fruwał w tych swoich błyszczących trykotach pod kopułą cyrku.

Jej wzrok pada na wiszącą na ścianie reprodukcję, do widoku której tak bardzo się przyzwyczaiła, że już prawie nie zwraca na nią uwagi. Naga dziewczyna swobodnie siedząca na trawie obok swojego mężczyzny, jej urocza stopa pomiędzy rozchylnymi nogami jego przyjaciela w czapce ozdobionej frędzlami, który zdaje się jej w ogóle nie zauważać... Też kiedyś taka była, stwierdza z przerażeniem. Była kobietą, której wszyscy pragnęli. A teraz? Spójrzcie na nią: dźwiga na rękach dziecko jak jakaś umordowana służąca ze starego holenderskiego obrazu.

– Czy Gudrun przyniosła rzeczy z pralni? – pyta Arthur, wychylając głowę zza drzwi.

– Ja... – Może jednak lepiej się nie przyznawać, że zapomniała ją o to poprosić?

– Ona w ogóle tego prania nie zniosła – informuje go, spoglądając na kosz z bielizną i marszcząc przy tym nos.

– *Bordel!* Nie mam ani jednej czystej wyjściowej koszuli.

– Mogę skoczyć dla was po jakieś kluski – proponuje ochoczo Blanche, której od razu poprawia się humor na myśl o choć pięciu minutach z dala od P'tita.

Ale Arthur potrząsa przecząco głową.

– Muszę się spotkać w dokach z jednym Australijczykiem. Wygląda na to, że jest świetny interes do zrobienia.

Blanche zaciska wargi. *Świetny interes*, czyli z nocnika znów zniknie gotówka.

– Nie musisz się przebierać. Przecież dobrze wyglądasz w tej koszuli.

Z piersi Arthura dobywa się pomruk zniecierpliwienia.
Gorączkowo zaczyna grzebać w kufrze.

Patrząc na niego, Blanche przypomina sobie numer wykonywany w trakcie *minstrel show* w House of Mirrors przez pewną Belgijkę o blond włosach, z pomalowaną na czarno twarzą, ubraną we frak i cylinder. I zaczyna nucić łagodnie, jedynie z lekkim satyrycznym zabarwieniem, podrzucając P'tita w rytm kolejnych wersów:

*Gdy wesół na spacer wychodzę
I elegancki wkładam strój,
To pieska muszę mieć przy nodze,
Co odstraszy dziewcząt rój.*

Nie wywołuje to jednak uśmiechu na twarzy Arthura.

– Muszę chociaż zmienić kołnierzyk – mówi, wymachując znalezionym właśnie kawałkiem materiału. – Ten jest czysty, ale trzeba usztywnić rogi.

Blanche mija go bez słowa, targając w ramionach jego miotającego się na wszystkie strony syna, i wraca do salonu, gdzie Ernest uczy jej przyjaciółkę ostatniej zwrotki tragicznej ballady opiewającej rewolucyjny zryw.

Jenny przygląda się Arthurowi, który rozkłada świeży kołnierzyk na stole, po czym chwytając żelazko szczypcami i wstawia je do żarzącego się paleniska.

– Nie wbija ci się to w szyję? – pyta zaciekawiona.

– Właśnie o to chodzi, żeby się wbijało – mruczy pod nosem, skupiony na tym, co robi.

– „Głowa prosto, monsieur”, mówią dwie szpilki, kłując go w żyłę szyjną – rzuca Ernest z sofy.

– Nigdy bym na to nie wpadła – przyznaje Jenny.

– Bo prawda jest taka, mademoiselle Bonnet, że jest pani niechlujem, który przywłaszczył sobie męski strój tylko po to,

by taplać się w nim w błocie.

Jenny wybuchając śmiechem, po czym odwraca się do P'tita siedzącego na kolanach Blanche i zaczyna śpiewać z udawaną powagą:

*Zbyt wiele zgryzot na co dzień was nęka,
Zbyt wiele głupot kradnie wam czas,
Nie warta zachodu ta wasza męka,
Zostanie tylko brud i udręka,
Kiedy już dawno nie będzie was.*

– Podoba mi się – mówi Blanche – zwłaszcza „brud i udręka”.

– Trafia w samo sedno, nie?

– Powinniśmy zatrudnić pomoc domową, która z nami zamieszka – oznajmia nagle Blanche Arthurowi zaskakująco stanowczym tonem. – Jakąś naprawdę znającą się na rzeczy kobietę, która potrafi zająć się domem i dzieckiem. Mogłaby spać w drugiej sypialni z P'titem... gdybyś przeniósł się do Madeleine – dodaje, zwracając się do Ernesta.

– Czy tak wypada się odzywać do naszego najlepszego przyjaciela? – pyta chłodno Arthur, przyciskając płótno syczącym żelazkiem.

Blanche czuje przyspieszone bicie serca.

– Nie chciałam...

– O nie, nie – chichocze nerwowo Ernest – doskonale wiem, dokąd to zmierza.

– Źle się wyraziłam – spieszy z wyjaśnieniem Blanche. – Ja tylko...

– Czy ty w ogóle mnie słuchałaś? – pyta Arthur, z hukiem odstawiając żelazko. – Nikt nie chce mieszkać pod jednym dachem z jakimś cholernym dzieciakiem, a już na pewno nie w Chinatown, gdzie szaleje epidemia.

Blanche nie jest w stanie utrzymać języka za zębami.

– Może gdybyś poświęcił więcej czasu na szukanie kogoś, kto zaopiekuje się twoim *cholernym dzieciakiem*, zamiast cały dzień leniwie pławić się w oparach opium...

– Cóż – cedzi Arthur przez zaciśnięte zęby – może gdybyś ty zastanowiła się przez chwilę, zanim przygnałaś tu z nim wczoraj...

– Jeśli ten maluch jest dla ciebie taką kulą u nogi – uprzejmie wtrąca Jenny – to dlaczego nie znajdziesz kogoś, kto cię uwolni od tego ciężaru?

Blanche kieruje wzrok w jej stronę, ale ona patrzy na Arthura.

– Co masz na myśli?

– Po prostu się zastanawiam. Na pewno są tacy, którzy chętnie wzięliby dziecko, bez zadawania zbędnych pytań. Białego chłopca, w miarę zdrowego...

– Sugerujesz, że powinienem sprzedać syna? – pyta Arthur groźnym tonem.

Blanche tak mocno zaciska pięści, że jej długie palce wbijają się w skórę.

Jenny lekceważąco wzrusza ramionami.

– Zrobisz, jak uważasz. Możesz go zatrzymać, możesz się go pozbyć. Wóz albo przewóz. Tylko przestań wreszcie biadolić.

Blanche próbuje sobie przypomnieć falę ciepła, jaka ją ogarnęła dzisiaj wieczora, to głębokie przekonanie, że to przeznaczenie postawiło Jenny na jej drodze. Ale teraz nachodzą ją zgoła inne myśli. *Dlaczego znów wpuściłam tę wichrzycielkę do swojego domu?*

Wszystkie spojrzenia są zwrócone na Jenny, która twardo brnie dalej.

– Jeden znajomy Chińczyk mi kiedyś opowiadał, że w jego

rodzinnej wiosce jest takie wiadro, w każdej chwili gotowe do użycia.

– Jakie wiadro? – pyta Arthur.

– A takie napełnione wodą, wiesz? Na niechciane dzieci.

Blanche jest całkowicie zbita z tropu. Wizja nakreślona przez Jenny napawa ją przerażeniem. Twarz P'tita pod wodą. Falujący obraz jego maleńkiej buzi...

– Przestań – prosi przyjaciółkę.

Ale ta obrzuca ją chłodnym spojrzeniem i z powrotem przenosi wzrok na Arthura.

– Tak, tak, i powiedział mi jeszcze: wydaje ci się, że nie jesteś do tego zdolna, ale jak przyjdzie co do czego...

Nie – powtarza sobie Blanche. – *Nigdy nie mogłabym...*

– Słuchaj no, ty nędzna kreaturo – ryczy Arthur – nie masz dzieci, więc zamknij tę swoją cholerną jadaczkę i się nie wypowiadaj.

– Chyba czas już na ciebie, Żabia Panienko – złowrogo rzuca Ernest, podnosząc się z sofy. Jego chwiejny krok sprawia, że wygląda jak prawdziwy goryl.

Ale Jenny już nakłada kamizelkę i marynarkę, po czym wsuwa rewolwer do kieszeni spodni.

– *Bonne nuit, mes amis*⁶³ – żegna się kordialnie i kłania nisko.

Blanche bezszelestnie zagląda do sypialni, nie chcąc obudzić Arthura, który być może zasnął. Leży w łóżku już od trzech dni. Kiedy skarżył się na ból pleców i głowy, z początku myślała, że to z powodu przedawkowania alkoholu albo że niepotrzebnie się denerwuje, roztrząsając to, co Jenny powiedziała o P'ticie. Szybko jednak okazało się, że zapadł na ciężką gripę.

Dlatego też przeniosła się do salonu razem z P'titem, żeby

nie przeszkadzał ojcu. Szczerze powiedziawszy, ma już serdecznie dosyć skakania wokół tego obcego, wiecznie naburmuszonego malca. Nie utopiłaby go w wiadrze, ale na tym się kończą jej matczyne uczucia. Wyrzuty sumienia ciążyą jej na sercu niczym ołów. Zdarzają się chwile, gdy czuje, że potrafi już sprawnie zajmować się dzieckiem, na przykład kiedy zmienia P'titowi pieluszkę, przekłada go z jednego ramienia na drugie albo wykonuje inne równie wykańczające czynności, ale to w niczym nie pomaga, a tylko pogłębia przepaść pomiędzy kobietą, którą była, a kobietą, którą się staje.

Ernest przeniósł się do Madeleine, rzekomo chcąc zaznać odrobinę wytchnienia od *kociej muzyki* serwowanej przez P'tita. Prawda jest jednak taka, że pragnie w ten sposób zademonstrować, jak bardzo Blanche zraniła jego uczucia, proponując, by niania razem z dzieckiem zajęła drugą sypialnię. (Równie dobrze mogła mu wcale tego nie mówić, bo do tej pory i tak nie udało się jej nikogo znaleźć, mimo iż nabiegała się z P'titem pod pachą po wszystkich podejrzanych zaułkach Mission w poszukiwaniu wygłodniałych irlandzkich dziewcząt, kłamiąc z pokerowym wyrazem twarzy, że w promieniu kilku przecznic od jej mieszkania nie odnotowano żadnych przypadków ospy).

Dzięki Bogu Jenny już się więcej nie pokazała. Czy tamtego wieczora próbowała wzbudzić w Arthurze poczucie wstydu, chcąc go w ten sposób nakłonić do wzięcia na siebie choć części ojcowskich obowiązków? A może po prostu nie potrafi się oprzeć pokusie, gdy nadarza się okazja do wszczęcia awantury?

– Jak się dziś czujesz, *chéri*? – cicho pyta Blanche, widząc drgające powieki ukochanego.

Arthur opiera się na łokciu i przykłada rękę do czoła, by

empirycznie sprawdzić swój stan.

– Całkiem dobrze.

Jego uśmiech sprawia, że cała mięknie.

P'tit wreszcie zasnął i w mieszkaniu panuje cisza jak nad jakimś leśnym stawem.

– Ale dzisiaj to już muszę iść się ogolić – mówiąc to, drapie się po policzkach pokrytych szczecina.

Dziwnie patrzeć na niego w takim wydaniu, gdy nie jest odpowiednio wyszykowany na spotkanie ze światem, stwierdza w duchu Blanche.

– Może najpierw napijesz się kawy, co?

Arthur dotyka językiem dziąseł.

– Trochę bolą mnie usta.

– A masz ochotę na śniadanie?

Tym razem Arthur posyła jej przeciągłe spojrzenie, lekko mrużąc oczy.

– Ochotę to może i mam na kilka innych rzeczy...

Blanche podchodzi bliżej. Arthur chwyta brzeg jej koszuli nocnej i podsuwa do góry, odsłaniając uda. Dotyka jej kciukiem, a ona natychmiast robi się mokra.

W tym momencie z salonu dolatuje ciche pochlipywanie P'tita. Blanche cała sztywnieje.

– Daj mu szansę, niech sam się uspokoi – mruczy Arthur, gładząc jej uda.

Nie każe mu przerywać, bo minęło już tyle dni, odkąd ostatni raz mogli się sobą nasycić... Nie robili tego od niedzieli. O tak, teraz jest dużo lepiej. Wróciła dawna Blanche, zawsze świeża Blanche, Blanche la Danseuse, Blanche, którą się podziwia i której się pożąda, Blanche, którą się głaszcze, którą się chwyta i której rozchyła się uda. Arthur przyciąga ją do siebie i sadza na kolanach tak gwałtownie, że na moment traci

równowagę.

Do ich uszu dobiega kolejny jęk, wciąż słaby, ale przenikliwy, jak skrzeczenie mewy kołującej za oknem.

Blanche za wszelką cenę stara się nie zwracać na to uwagi. Wije się i skręca, jakby tańczyła szaloną tarantelę.

– *Chérie* – mruczy Arthur. Czyżby szeptał jej do ucha czułe słówka? Okazuje się jednak, że to tylko sygnał, bo już za chwilę obraca ją plecami do siebie, żeby swobodnie móc ścisnąć piersi i dyrygować jej ruchami, kiedy będzie go ujeżdżać. *Allegro!* Jego nabrzmiały członek wbija się w nią niczym włócznia. Jest jak ryba tnąca wody strumienia. *Presto!* Blanche z trudem łapie oddech, ale on nie zwalnia. Każdy ruch sprawia jej taką przyjemność, że zaczyna jęczeć z rozkoszy, jednak nie tak głośno jak P'tit za ścianą, zawodzący w swoim sponiewieranym blaszanym pudle, wypłakujący oczy przez tę *salope*, która po raz kolejny go zawiodła, dławiący się własnym językiem, podczas gdy jego matka zatracą się w cielesnym uniesieniu...

Nagle w salonie rozlega się huk. Blanche jednym susem zrywa się z łóżka. Z piersi Arthura dobywa się rozdrażniony jęk.

P'tit leży na podłodze, wciśnięty pomiędzy kufer i sofę. Blanche wyciera jego purpurową twarz i próbuje go uspokoić, sprawdzając przy tym, czy nie nabił sobie kolejnego guza.

– Co do diabła...? – z sypialni dobiega wołanie Arthura.

– *Ça va*⁶⁴ – odpowiada szybko. W każdym razie ma nadzieję, że wszystko z nim w porządku. Jest spocony jak mysz i Blanche tylko prosi Boga, żeby to nie była podłapaną od ojca grypa.

– Brawo – szepce wprost do maleńkiego ucha. P'tit bez niczyjej pomocy wygramolił się z kufra. Sam się tego nauczył, a to z pewnością oznacza, że robi postępy, prawda? – Bardzo sprytnie. Ale na razie nie będziemy się chwalić tacie.

P'tit, który zdążył się już trochę uspokoić, znów jedną ręką pcha do buzi swoją gałkę, podczas gdy druga wędruje w kierunku czoła. Zaczyna się drapać, a po chwili w jego palcach pojawia się kępka włosów.

– Nie rób tak! – strofuje go Blanche, ale widocznie mówi to zbyt ostro, bo chłopiec ponownie zaczyna płakać.

Strzepuje więc włosy z jego dłoni i po raz kolejny próbuje go wyciszyć, serwując mu lekkiego walczyka.

Gdy wraca do sypialni z P'titem na rękach, Arthur nakłada długie jedwabne skarpety i wpuszcza w nie kalesony.

– Nie musisz robić kawy, napiję się w kawiarni – oznajmia krótko, nawet nie podnosząc wzroku.

– Świetnie – równie lakonicznie ripostuje Blanche, kołysząc P'tita w ramionach.

Jak zwykle to ona jest wszystkiemu winna. Bo pod wpływem impulsu cztery dni temu zabrała P'tita z Folsom Street? A może dlatego, że w ogóle go urodziła?

Arthur drapie się po twarzy, a potem po stopie.

– O ile się nie mylę, dziś wieczorem masz występ, tak?

– Rozumiem, że w tym czasie zajmiesz się dzieckiem? – pyta z sarkazmem Blanche, zamiast udzielić odpowiedzi.

Najwyraźniej Arthur stracił rachubę czasu, bo dziś jest czwartek i to wczoraj wieczorem Kobieta Pchła powinna była roztaczać swoje wdzięki na scenie House of Mirrors. Zresztą szczerze wątpi w to, że Madame Johannie udało się napędzić zorganizować występ stanowiący gwóźdź programu, który byłby choć w połowie tak atrakcyjny jak jej show. Sal w kapeluszu w kształcie końskiej głowy? Szeherezada (która przyszła na świat jako Mabel) w przezroczystej woalce wykonująca taniec brzucha? Oczyma wyobraźni widzi już, jak któryś ze stałych bywalców domaga się zwrotu pieniędzy – co sprawia jej

niekłamana przyjemność.

Żrenice Arthura stają się coraz węższe. Zapina pasek i poprawia sprzączkę z tyłu na kamizelce, rzucając ostro:

– Licz się ze słowami.

Czyżby udzielił się jej tupet Jenny? A może po prostu nadszedł już najwyższy czas, by zacząć walczyć o swoje?

Jej kochanek wciąż jest podniecony, cienki materiał jego wąskich spodni nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. Pomimo poirytowania jej rozpalone ciało nadal pragnie dokończyć to, co zaczęli. Gdyby nie miała na rękę P'tita, pchnęłaby go z powrotem na łóżko i ściągnęłaby z niego te spodnie. *To mnie naucz dobrych manier*, powiedziałyby mu. *Wbij się we mnie i przebij na wylot.*

Arthur zdejmuje skarpetkę i gwałtownie pociera spód stopy.

– Mogłabyś tu podejść? – zwraca się nagle do niej.

– To chyba nie jest najlepszy moment – stwierdza Blanche.

Irytuje się na samą myśl, że zaczną od nowa, a P'tit znów im przerwie, zanim ona zdąży dojść. – Może kiedy zaśnie...

– Po prostu powiedz mi, na co patrzę, no chyba że rzeczywiście to dla ciebie *nie najlepszy moment*.

Blanche podchodzi bliżej i rzuca okiem na skupiska czerwonych krostek pokrywające żółtawą podeszwę.

W pierwszej chwili nawet bawi ją ten osobliwy widok: pryszczki na stopie! A może to tylko potówki, takie same jak miał P'tit, kiedy przyniosła go do domu? Zaczyna gorączkowo myśleć, rozważając wszelkie możliwości: wszystko, czego oznaką mogą być te plamy czerwieni na jego stopach – i na twarzy, tak, na twarzy też, teraz to widzi: zaognione pasma skóry przebijające przez kilkudniowy zarost...

– Nie – stwierdza Arthur z pełnym przekonaniem i prostuje plecy.

– Nie – niczym echo powtarza Blanche, jednak zamiast dodać otuchy temu wielkiemu artyście cyrkowemu, w którym zakochała się niemal przed dziesięciu laty, zamiast wyciągnąć dłoń i go dotknąć, zacieśnia uścisk wokół P'tita i powoli się cofa.

– Mam przyjechać do Chinatown? Zwariowałaś, kobieto? – pyta lekarz.

Blanche tłumi szloch. Zostawiła Arthura samego w mieszkaniu, zszokowanego, żłopiącego brandy, żeby zagłuszyć panikę. Wypluła płuca, pędząc przez wzgórza San Francisco z P'titem w spoconych ramionach, który ciążył jej jak niewygodny tobołek. Trzech pierwszych lekarzy w ogóle nie chciało mieć z nią do czynienia, gdy tylko usłyszeli, że jej kochanek ma wysypkę na stopach i twarzy. No, może z wyjątkiem tego trzeciego, co dał jej butelkę z napisem „Preparat przeciwwysypkowy”, za którą policzył sobie całego dolara, choć wygląda to raczej jak posłodzona whisky. Ten jest czwarty. To Irlandczyk, przyjmujący pacjentów w maleńkim gabinecie nad sklepem z konfekcją męską w Nob Hill. Jest zapięty pod samiuteńką szyję, a na twarzy ma gumową maseczkę, znad której widać jedynie parę nieufnych, zaczerwienionych oczu.

– Bardzo pana proszę – Blanche nie daje za wygraną – niech go pan tylko obejrzy...

– Wiem, jak to wygląda – odpowiada szorstko. – I z góry mogę panią zapewnić, że będzie jeszcze gorzej.

– Ale czy nie może pan...

– Trzeba mu będzie podać opium jako środek przeciwbólowy. A pani jest zaszczepiona?

– Oboje jesteśmy. Zaszczepiliśmy się wiele lat temu – zapewnia go.

Oczy spoglądające na nią znad kremowej gumy przepelnia irytacja.

– Już mam powyżej uszu tłumaczenia ludziom, że po jakimś czasie szczepionka przestaje działać.

Blanche wbija w niego wzrok. To znaczy, że ona, Arthur i Ernest podczas trwania epidemii szlajali się po mieście święcie przekonani, że nic im nie grozi, podczas gdy w rzeczywistości nie byli w żaden sposób chronieni...

– Dobrze, w takim razie teraz zaszczepię przynajmniej panią i dziecko – wzdycha lekarz.

Blanche jest zbyt zawstydzona, by protestować, choć wzdraga się na widok lancetu, który wyciąga z futerału.

Lekarz z całej siły wciera szczepionkę w nacięcie na ramieniu. Blanche przygryza wargę, tłumiąc szloch. Z P'titem obchodzi się nieco delikatniej, ale chłopiec i tak płacze z bólu.

– Tylko niech się pani nie wydaje, że to niezawodna metoda – ostrzega ją na koniec.

– To znaczy, że nie jesteśmy bezpieczni?

– Kobieto, nikt nie jest bezpieczny. A zwłaszcza taka kruszyna jak ta tutaj – mówi, bandażując rachityczne ramię P'tita. – Dlatego radziłbym wam obojgu trzymać się z dala od ciężkich przypadków.

To pierwszy prawdziwy gabinet lekarski, do jakiego trafiła po tej stronie Atlantyku. Na ścianie wisi autentyczny certyfikat. A skoro już tu jest, to chyba powinna zapytać o...

– Rachityzm... – wymawia powoli wyuczone na pamięć słowo. – Czy tak to się nazywa, panie doktorze, kiedy dziecko tak wygląda?

Oczy nad gumową maską lypią to na P'tita, to znów na jedwabną, brzoskwiniovą spódnicę Blanche. W jego spojrzeniu wyraźnie dostrzega pogardę.

– Tak, to jedna z nazw tej choroby.

Niedzielny poranek. Pukanie do drzwi. Blanche pospiesznie kładzie P'tita na kocu, daje mu gałkę i biegnie zatrzymać Gudrun. *Odra*, tak powiedziała wczoraj wszystkim swoim lokatorom, kiedy ściągała od nich komorne. Wydało jej się to lepsze od zachowania milczenia.

– Dzisiaj też sobie jeszcze darujemy – mówi do Szwedki, próbując przybrać lekki ton. – Arthur wciąż nie czuje się najlepiej i drażnią go wszelkie hałasy.

Z sypialni dobiega słaby, chrapliwy jęk. Blanche ociera pot zalewający jej oczy. Z tymi wszystkimi ranami w ustach Arthur nie może wydusić z siebie ani słowa. Ale spokojnie, jest przy nim Ernest.

– To nie odra – stwierdza Gudrun, cofając się na korytarz.

Blanche czuje rwący ból w miejscu nacięcia na ramieniu. Ramię P'tita też jest spuchnięte. Czy ta ich szczepionka jest jakaś zepsuta, z brudnej próbówki, którą jakiś kanciarz sprzedał irlandzkiemu lekarzowi? A może wręcz przeciwnie: może ten ból oznacza, że jest bardzo zjadliwa i że na pewno obroni ich przed chorobą... – zastanawia się nad tym, patrząc na Gudrun niewidzącym wzrokiem.

– Gdybyś mogła wziąć tę pościel i wygotować ją u siebie w pokoju – zwraca się do dziewczyny, ale jej prośba brzmi raczej jak żądanie.

– Nie wierzę, że to odra – powtarza Gudrun.

Ich spojrzenia krzyżują się i przez dłuższą chwilę żadna nie odwraca wzroku.

– Nie wolno tego ukrywać – mamrocze pod nosem dziewczyna.

Czyżby groziła, że na nią doniesie do Wydziału Zdrowia Publicznego?

Blanche przysuwa się bliżej i mówi niemal szeptem:

– Naprawdę chcesz, żeby cały nasz budynek został objęty kwarantanną? Pewnie myślisz, że pozwolą reszcie lokatorów, w tym także i tobie, opuścić kamienicę, zanim zabiją deskami drzwi i okna? No to teraz się zastanów, czy masz dość jedzenia na półkach, żeby ci starczyło na sześć tygodni.

Do przerażonych, mlecznobłękitnych oczu szwaczki napływają łzy.

– Monsieur powinien iść do szpitala.

– Nie czytasz gazet? Nikt nie wychodzi stamtąd żywy! – mówi Blanche, już zupełnie nie panując nad swoim głosem. – Taplają się we własnym *merde* albo, zagonieni batem do łóżek i zostawieni w ciemnościach, wrzeszczą po nocach, błagając o szklankę wody.

Ciałem Gudrun wstrząsa dreszcz.

– Proszę cię tylko, żebyś trzymała język za zębami. I żebyś prała u siebie naszą pościel, rano i wieczorem – dodaje Blanche, wykorzystując zyskaną przewagę. – Dobrze zapłacę. Nic ci nie grozi, jeśli tylko porządnie zagotujesz wodę – wymyśla na poczekaniu. W tym momencie gdzieś w głębi duszy pojawiają się skrupuły, ale szybko je zagłusza, usprawiedliwiając się, że bez pomocy Gudrun sobie nie poradzi, a poza tym nikt nie jest bezpieczny. – Wystarczy, że dodasz szklankę tego... – mówi, po czym leci pospiesznie do kuchni i ze stojącej na stole ogromnej butelki nalewa do dzbanka kwasu karbolowego. Podaje go Gudrun i wraca do środka po kosz brudnej pościeli.

Odprawiwszy dziewczynę, zamiera w bezruchu, nasłuchując odgłosów dobiegających z pokoju chorego. Wykończony P'tit zasnął na podłodze, dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Wygląda na to, że nie ma w tej chwili nic do roboty. Cóż za irytująca sytuacja: tyle chciałaby zrobić dla Arthura, a nie

może. Przypomina sobie, jak jeszcze w czwartek wpuściła go między uda, zanim zauważyła plamy na jego stopie, i aż się trzęsie ze strachu. Nie może podchodzić do niego bliżej niż na wyciągnięcie ręki – bolesna rana na ramieniu oznacza, że być może wcale nie jest bezpieczna. To samo dotyczy P'tita.

Radziłbym wam obojgu trzymać się z dala od ciężkich przypadków, powiedział lekarz, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby była najgorszą matką świata. Jedno jest pewne: w przypadku Arthura gorzej już chyba być nie może.

Jedzenie. Tak, tym mogłaby się zająć. Tylko co tu ugotować? Gulasz, siekane mięso zasmażane z cebulką, zapiekanekę? Wszystko jedno. Mleko! Mleko dla P'tita, jak mogła zapomnieć? Ale nie może wyjść, kiedy mały śpi. Jak się obudzi, zabierze go ze sobą, żeby nie przeszkadzał Arthurowi i Ernestowi.

Być może to jedyna drzemka P'tita w ciągu dzisiejszego dnia, więc nie powinna marnować tego czasu. Ale jak go spożytkować?

W sypialni trzeszczy podłoga. Po chwili zza drzwi wyłania się Ernest z naczyniem, którego używa jako basenu. W powietrzu rozchodzi się ciepły zapach. Blanche nie chce, żeby widział, jak siedzi beczynn timer, więc natychmiast zaczyna się krzątać koło lodówki: nalewa do butelki zimnego bulionu na kolejne karmienie dla P'tita, kiedy się obudzi. Kątem oka zerka na Ernesta, chcąc się upewnić, czy skóra na jego twarzy przypadkiem nie zmieniła koloru, lecz nie dostrzega żadnych oznak gorączki na nieogolonych, zapadniętych policzkach. (W czwartek, jak tylko przekazała mu wieści o Arthurze, zmusiła go, żeby on też natychmiast pobiegł się zaszczepić).

Ernest wylewa zawartość naczynia do wiadra, dodaje kwasu karbolowego do wody w miednicy i opłukuje

prowizoryczny basen, a potem szoruje zaczerwienione ręce. Wykonując wszystkie te czynności, ani razu nie spogląda w jej stronę.

– Czy Arthur chce, żebym do niego przyszła? – pyta go Blanche wyniośle, jak jakaś próżna, zarozumiała pannica.

– Pęcherze na jego skórze są coraz bardziej spuchnięte – oznajmia Ernest, nie racząc udzielić odpowiedzi na zadane przez nią pytanie.

Chryste! Blanche nie jest w stanie wydusić z siebie słowa. Mija kilka chwil, zanim odzywa się ponownie.

– Potrzebujesz... mam przynieść więcej lodu? A może laudanum?

– Przecież on wszystko zwraca – odpowiada jej Ernest takim tonem, jakby to było oczywiste. – Próbuję mu podawać morfinę.

Czy Ernest w ogóle spał?

– Wiesz dobrze, że pomogłabym ci w opiece nad Arthurem, gdyby nie dziecko... – wybucha nagle, nie mogąc powstrzymać cisnących jej się na usta słów.

Ernest, niczym rozwścieczony wąż, atakuje Blanche, spluwając przy tym w jej kierunku.

– Ten sam cholerny dzieciak, którego tak ochoczo się pozbyłaś, żeby nie musieć go oglądać i w ogóle się nim przejmować przez ostatni rok?

Blanche przygryza wargę tak mocno, że oczy zachodzą jej łzami. To właśnie z tego powodu musi go teraz chronić i, choć może się to wydać okrutne, musi za wszelką cenę pozostawać poza zasięgiem groźnego oddechu i dotyku Arthura.

Przynajmniej tyle jest winna temu maleńkiemu chłopcu.

– Jeśli ja się od niego zarazę, P'tit też się pochoruje – mówi przez łzy.

Ernest kwituje to ironicznym parsknięciem.

– Jak nam wszystkim dobrze wiadomo, to właśnie on przywłókł do domu tę zarazę.

Blanche zaciska pięści.

– Co ty za bzdury wygadujesz?

– Twierdzisz, że nie ma temperatury?

– Dostał gorączki dopiero po szczepieniu!

– Przecież ten dzieciak, odkąd tylko przyniosłaś go do domu, bez przerwy kaszle, wymiotuje i wszędzie się drapie – rzuca wściekle Ernest. – Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności, że dwa dni później Arthur się całkiem rozłożył?

Blanche zalewa fala gniewu. Całe miasto to jedna wielka wylęgarnia choroby, a ten *connard* ma czelność obwiniać P'tita?

Ernest chwyta butelkę wina i wyciąga z szuflady poskładane ubranie. Następnie sięga ręką do uszczelnionego pojemnika po ociekający wodą sopel lodu i owija go kawałkiem cienkiej etaminy.

– Arthur dobrze wie, dlaczego nie chcesz się do niego zbliżać. Po prostu boisz się o swoją *satané* skórę.

Blanche patrzy na niego zdezorientowana.

– Boisz się, że choroba mogłaby zostawić blizny, dlatego nie chcesz wystawiać na niebezpieczeństwo perfekcyjnie porcelanowej Blanche la Danseuse!

– Tu nie chodzi o moją skórę, ty sukinsynu.

Ernest przysuwa do jej twarzy swoją wydatną szczękę.

Blanche czuje zapach jego potu.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie: jesteś jego kobietą czy nie?

Jestem, chce odpowiedzieć. Zawsze.

Ernest robi krok w tył.

– Jeśli naprawdę tak bardzo boisz się o dziecko, to dlaczego

go gdzieś nie odeślesz? – pyta drwiąco. – W każdym innym miejscu będzie bardziej bezpieczne niż tutaj.

– Niby gdzie miałabym go odesłać? Z powrotem na Folsom Street?

– Dla mnie to bez różnicy, możesz go nawet posłać do Dakoty.

– Jeśli znów zostawię mojego syna w podobnym miejscu, on tego nie przeżyje.

– A skąd masz pewność, że jego ojciec to przeżyje? – syczy przez zaciśnięte zęby.

Z sypialni dobiegają niezrozumiałe jęki Arthura. „Aż”? Czy to właśnie próbuje powiedzieć? „Aż” co?

Ernest klaszcze w dłonie tuż przy jej uchu. Zaskoczona Blanche aż podskakuje.

– Wzywa cię, to twoje imię, *putain*.

Nie „Aż”, tylko „Blanche” – teraz słyszy to słowo płynące z poranionych ust, którymi nie da się wymówić żadnego artykułowanego dźwięku.

Zerka na pociągającego nosem, wciąż śpiącego na podłodze P'tita. Zrywa się i biegnie do drzwi, lecz zatrzymuje się na progu. Może jeśli wejdzie do środka, wstrzymując oddech... jeśli niczego nie będzie dotykać...

Ernest odpycha ją na bok, torując sobie drogę do sypialni.

Blanche wyciąga chusteczkę, zakrywa nią nos i powoli, krok po kroku, wchodzi za nim do cuchnącego pokoju.

– *Chéri?* – Słyszy, jak jej stłumiony głos przebija się przez materiał, który, przynajmniej teoretycznie, powinien stanowić wystarczającą ochronę.

Przez nagie okna wpadają do pokoju bezlitosne promienie słońca. Leżący na łóżku mężczyzna, który nie ma na sobie nic oprócz przepoconych kalesonów, jest nie do poznania. Włosy

z trudem przedzierają się przez gąszcz szkarłatnych krost pokrywających twarz i szyję – przypomina to trochę płonący las. Usiane po całym ciele sznury czerwonych, lekko wklęsłych pereł są gęstsze na stopach, dłoniach i na tak pięknej niegdyś twarzy. Nie, to nie perły, tylko roje rozdętych mrówek, które oblażyły uda i ramiona, tworząc jedną zwartą gromadę na równinie klatki piersiowej i brzucha.

Ernest, z niewzruszoną miną stoika, zaczyna okrywać ciało Arthura materiałem zmoczonym w lodowatej wodzie. Następnie unosi jedną stopę przyjaciela – pewnie po to, żeby spuchnięta podeszwa nie obcierała się o prześcieradło, domyśla się Blanche. Umięśnione nogi jej ukochanego są teraz wygięte jak u żaby. Ernest moczy szmatkę w roztworze karbolowym i bardzo powoli przemywa sączące się grudki na stopach. Blanche stoi w progu, ale nawet z tej odległości widzi opalizujący śluz. Ernest zwija szmatkę, wrzuca ją do wiadra i zaczyna całą robotę od nowa.

Blanche usiłuje stłumić odruch wymiotny.

– Jestem przy tobie, *mon amour* – szepcze, ale jej słowa brzmią sztucznie. – Tuż obok. – Technicznie rzecz ujmując, wszystko się zgadza: stoi niecałe dwa metry od jego łóżka.

W odpowiedzi z gardła Arthura wydobywa się dziwne brzęczenie, które z każdą chwilą wchodzi na coraz wyższe tony. Dyszkantowe wariacje na temat bólu.

– Czas na kolejny czopek z morfiną – mruczy pod nosem Ernest.

W tym momencie Blanche uświadamia sobie, że relacja łącząca Arthura i Ernesta to coś więcej niż zwykła znajomość dwóch akrobatów, którzy kiedyś wykonywali razem ewolucje na trapezie, a teraz dotrzymują sobie towarzystwa, włócząc się po ulicach San Francisco. Żadna siła nie zmusiłaby człowieka do tego, co robi w tej chwili Ernest – żadna oprócz miłości.

– Co mogę...

– Idź się zająć bachorem – rzuca Ernest kąśliwym tonem.

Dopiero teraz dociera do niej, że leżący w salonie P'tit zanosi się płaczem.

Od ściany do ściany, w tę i z powrotem, Blanche przemierza mieszkanie, szurając nogami po podłodze. W ramionach trzyma P'tita, któremu nuci jakąś melodię prosto do małego uszka.

Jest pierwszy września. Od półtora tygodnia Arthur walczy ze śmiercią, ale jakoś trzeba przecież funkcjonować. Blanche porusza się, je, a nawet od czasu do czasu ucina sobie drzemkę. Poza tym dziećmi zawsze trzeba się opiekować, a zwłaszcza tym jednym, które patrzy na świat nieprzeniknionym wzrokiem, spodziewając się najgorszego. Czasem ma ochotę lekko nim potrząsnąć i powiedzieć mu, że teraz jest tutaj, a nie tam. Że obok siebie ma Blanche, gotową wziąć go w ramiona, gdy tylko zapłacze, o każdej porze dnia i nocy. Swoją matkę (wypowiedzenie tego słowa wciąż przychodzi jej z trudem). Kobietę, która zaniedbuje pogrążonego w chorobie ukochanego, a wszystko dla dobra dziecka, które i tak tego nie docenia. Dlaczego P'tit wciąż roztacza wokół siebie aurę niechcianego, zapomnianego przez wszystkich stworzenia, jakby był walizką, którą ktoś zostawił na dworcu kolejowym i już po nią nie wrócił? Blanche nie przestaje nucić. Strzępy oper, uliczne ballady, szanty, rymowanki z zatłoczonej szkolnej sali na Île Saint-Louis – nawet nie zdawała sobie sprawy, jak wiele z tych tekstów utkwilo jej w pamięci. I nieważne, czy odwołuje się do sacrum, czy profanum – ważne, żeby go czymś zająć. Dlatego serwuje mu cały repertuar, jaki opanowała w ciągu ćwierćwiecza.

Dziś jest jeszcze cieplej niż wczoraj. Jak to możliwe?

Czyżby klimat zatoki całkiem zwariował?

Pod wieczór zaczynają dochodzić z zewnątrz jakieś dźwięki. Blanche ma wrażenie, że gdzieś w oddali rozlega się odgłos grzmotu, ale może tylko jej się tak wydaje? Mięśnie jej ramion są coraz twardsze od noszenia P'tita przez ostatnie dwa tygodnie. W tej chwili do nianczenia tego dziecka wynająłaby samego szatana, ale nikt nawet nie zbliży się do budynku, na którym powiewa żółta chorągiewka, nie mówiąc już o wchodzeniu do środka.

Lokatorzy szemrają przeciwko niej po kątach. Nie mogą jej zapomnieć tej historyjki o odrze. Lepiej będzie, jeśli daruje sobie jutrzejszą zbiórkę komornego. Blanche nie ma pojęcia, czy to Gudrun, czy może ktoś inny doniósł o chorobie Arthura. Tak czy owak, kiedy ostatni raz zeszła na parter po wodę i wyjrzała na ulicę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, nad frontowymi drzwiami wisiała już jaskrawożółta flaga. Tylko dlaczego inspektorzy nie pojawili się u niej w mieszkaniu z całym tym swoim sprzętem do fumigacji i nie zażądali wydania Arthura? Może dlatego, że w szpitalach nie ma już wolnych miejsc? Jednak są to jedynie jej domysły, bo już od dawna nie kupuje gazet.

Zresztą to bez znaczenia. Nic nie ma znaczenia oprócz Arthura i P'tita. Arthura, który jest tak bardzo chory, i P'tita, którego za wszelką cenę musi chronić przed chorobą. Jej mężczyzna i jej dziecko. Jak może decydować o tym, który jest dla niej ważniejszy? I dlaczego w ogóle musi to robić?

P'tit skończył już pić z butelki i znów zaczął pchać do buzi swoją gałkę (za każdym razem, kiedy puszcza gałkę we śnie, Blanche płucze ją w wodzie, ale i tak nie może na nią patrzeć). Pewnie ząbkuje, choć może zawsze, kiedy niemowlę jest marudne i rozdrażnione, mówi się, że ząbkuje.

Ernest wychodzi z sypialni, niosąc wiadro z kolejną partią szmatek do namoczenia. Wygląda jak chodzący szkielet. Blanche usiłuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała, żeby zjadł coś więcej niż tylko kilka kęsów. Co dziwne, nigdy nie spędzili w swoim towarzystwie aż tyle czasu. Żyją jak stare małżeństwo: każde z nich pochłonięte jest swoimi obowiązkami, ale oboje tak samo drżą o życie swojego ukochanego dziecka, Arthura. Chociaż z nich dwojga to Ernest bardziej przypomina matkę, która wzięła na siebie wszystkie trudy i znoje związane z opieką nad chorym. Blanche tylko wykonuje jego polecenia: wychodzi po zakupy i biega na dół po wodę, bojąc się odezwać do niego choć jednym słowem.

Cisza w salonie działa jej na nerwy. Może teraz, kiedy Ernest jest akurat zajęty, pójdzie do sypialni i „porozmawia” z Arthurem?

Naciska klamkę. Za każdym razem, gdy zagląda do niego, wydaje jej się, że już bardziej nie może mu się pogorszyć. Dotąd nie miała pojęcia, ile jest w stanie znieść ludzkie ciało. Dziś jego ręce zdobią rubiny o ponadcentymetrowej średnicy, zaś na prawej powiece urosła tak wielka gula, że nie może otworzyć oka. Blanche zakrywa chusteczką usta i nos, choć nie tylko w celu ochrony przed niewidzialnymi mikroorganizmami, ale i po to, by nie czuć tego słodkawego, zatęchłego smrodu. Robi jej się niedobrze od unoszącego się w powietrzu odoru. Odruch wymiotny wywołuje także myśl o tym, jak potworne katusze musi przeżywać Arthur, gdy któraś grudka pęcznieje i zaczyna się z niej sączyć. Czy ciało jej ukochanego w końcu eksploduje, wysadzone od środka dynamitem ropy?

– To ja, Blanche – mówi zachrypniętym głosem. Czy Arthur w ogóle ją rozumie? Do oczu napływają jej palące łzy. Prawdopodobnie już nic nie słyszy, pogrążony w koszmarnych

opiatowych majakach tak głęboko, że nie docierają do niego żadne dźwięki z tego świata. Poza tym czy w jej słowach jest jeszcze choć ziarno prawdy? *To ja, Blanche* – czy aby na pewno? Czy to nadal ona, czy może jakaś tandetna kopia tej młodej, energicznej *petite amie*, która pojechała za nim do Ameryki? Zmieniła się, to wie na pewno. Tylko co zapoczątkowało tę metamorfozę? Spotkanie z Jenny Bonnet? Zabranie P'tita z Folsom Street? A może ta dojrzała, twardsza Blanche kryła się w niej od samego początku?

Stoi bez ruchu, obserwując falującą klatkę piersiową Arthura.

Puk, puk, rozlega się natarczywe stukanie do frontowych drzwi. Blanche pędem rzuca się do salonu.

Ernest, usiłujący wyszarpać z pojemnika oporny kawałek lodu, całkowicie je ignoruje.

Po chwili namysłu Blanche dochodzi do wniosku, że ma rację: otwieranie drzwi jest ryzykowne, zwłaszcza o tej porze.

P'tit się ześlizgnął i leży teraz w niezbyt wygodnej pozycji. Jedną ręką poklepuje rzeźbioną nogę sofy, jakby to było jakieś domowe zwierzątko. Blanche podnosi go z podłogi, bierze na ręce i zaczyna wędrować z nim po pokoju w tę i z powrotem. Musi się czymś zająć, żeby Arthur nie miał powodu wyrzucać jej, że nic nie robi.

– *Hou, hou!*⁶⁵ – z korytarza dobiega przytłumione wołanie.

Blanche otwiera drzwi jedną ręką. Na progu stoi Jenny, z lekkim uśmiechem na ustach, nieco przytłumionym przez alkohol. Nie widziała jej dobre dwa tygodnie. Na opalonej twarzy nie ma ani śladu po siniakach, a garnitur wygląda na świeżo uprany. Nie czekając na zaproszenie, dziarskim krokiem wchodzi do środka.

Blanche nagle zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa,

jakie grozi Jenny.

– Nie widziałaś żółtej chorągiewki? – pyta przyjaciółkę.

– Zdarłem ją – mamrocze Ernest, wciąż mocując się z kawałkiem lodu.

Pewnie zaraz każe jej iść do diabła, ale on milczy.

– Na ulicach wszędzie ich pełno, jak w karnawale – zauważa Jenny. – Kto zachorował? Chyba nie dziecko?

– Arthur – mówi Blanche, z trudem wymawiając jego imię.

Jenny lekko się krzywi, po czym podnosi do połowy opróżnioną butelkę.

– Ma ktoś ochotę na whisky?

O tak, i to jeszcze jaką...

Ernest podchodzi do Jenny z dwoma szklankami, a gdy są już napełnione, niesie je do sypialni i zatrzaskuje za sobą drzwi.

– W życiu bym nie podejrzewała, że ten dandys sprawdzi się w roli pielęgniarki.

– Ja nie mogę się nim zajmować – tłumaczy się Blanche. – Muszę... – głos jej się załamuje i nie kończąc zdania, wskazuje na dziecko.

Jenny kiwa głową i jednym łykiem opróżnia swoją szklankę do dna.

– Fuj, strasznie tu cuchnie. Chodźmy na dwór trochę pooddychać świeżym powietrzem.

Blanche o niczym bardziej nie marzy, ale nie może zostawić P'tita.

– Najwyższy czas, żeby zobaczył, jak wygląda jego rodzinne miasto – mówi Jenny, jakby czytała jej w myślach.

Tak, Jenny ma rację. Potrzebują powietrza.

– Popilnuj go, a ja w tym czasie doprowadzę się trochę do porządku – mówi, kładąc P'tita na podłodze. Chłopiec natychmiast zaczyna płakać.

– A komu ty się zamierzasz pokazywać, co?

Drwiąca uwaga Jenny dosięga ją w drodze do toalety. Gdy zamyka się w niewielkim pomieszczeniu, otwiera torebkę i grzebie w niej w poszukiwaniu różu. Nie wyjdzie z domu bez choć odrobiny makijażu i na nowo upiętych włosów. Roztopiony khol co chwilę wpada jej do oka, więc mruga rzęsami, chcąc się pozbyć drobinek czerni.

Kiedy wraca do salonu, żeby wyciągnąć prostą, prążkowaną suknię z kufra stojącego za sofą, Jenny klaszcze przed nosem P'tita. Malec ma bardzo poważną minę, jakby usiłował wyłowić linię melodyczną jakiejś ledwie słyszalnej symfonii. Jednak próbuje klaskać razem z nią, wykonując powolne, bezgłośnie klapnięcia dłonią o dłoń.

Przebrana już w odpowiedni strój, Blanche bierze go na rękę i rusza za Jenny w kierunku drzwi. Z sypialni dobiegają wygrywane na skrzypcach melancholijne tony.

– Ernest? – pyta cicho Jenny, unosząc brew.

– To uspokaja Arthura – szepcze Blanche.

– Mnie by na pewno nie uspokoiło, tyle ci powiem.

– *Chut* – ucisza ją, lekko przestraszona, jednocześnie szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Jenny zostawia swój bocykl na klatce schodowej i obie wychodzą na Sacramento Street. Na zewnątrz jest gorąco jak w piecu, ale przynajmniej da się oddychać – nie to co w mieszkaniu. A może tylko tak jej się wydaje, bo już od dłuższego czasu nie była poza domem?

Na oświetlonych gazowymi lampami trotuarach panuje tłok jak w biały dzień.

– Od jak dawna Arthur choruje? – pyta Jenny.

– Jutro mija dwanaście dni.

– Nie miał nawrotu gorączki?

- Nie.
 - A co z oddychaniem? Bez problemu daje radę?
 - Tak, tak mi się wydaje. – Wdychanie powietrza to chyba jedyny wysiłek, jaki Arthur jest w stanie podjąć.
 - Chińczycy nazywają je pięknymi kwiatami.
 - Ale co?
 - Bąble – odpowiada Jenny. – Chcą się przypochlebić bogini, no wiesz, żeby ich oszczędziła i zajęła się innymi sprawami.
 - Której bogini?
 - Bogini ospy.
 - Mają jakąś cholerną boginię ospy?
- W tym momencie obie zaczynają chichotać jak dzieci. Jednak Blanche prawie natychmiast poważnieje.
- Podobno, tak mi przynajmniej mówił dostawca lodu, zresztą Ernest też gdzieś o tym czytał – dodaje – no więc podobno właśnie dwunastego dnia wiadomo, czy chory przeżyje. Jeśli w tym dniu pęcherze zaczynają pokrywać się strupem, to znak, że z tego wyjdzie.
 - Kiedy – mówi Jenny.
 - Co: *kiedy*?
 - Nie żadne *jeśli*, tylko *kiedy*. *Kiedy* zaczynają robić się strupy.
- Blanche przygryza wargę i czuje w ustach smak krwi.
- Nie widziałaś Arthura.
 - Tak czy owak, uważam, że twój kochaś się z tego wyliże.
- Jenny bierze patyk i zongluje nim w powietrzu. – Jest w dobrych rękach.
- Ale to nie moje ręce – zduszonym głosem mówi Blanche, bo dławiące poczucie winy zatyka jej gardło.
 - Chronisz jego syna. Na pewno to zrozumie.

Blanche bardzo chciałyby w to wierzyć.

– A co z jego oczami? Są białe?

– Brązowe – odpowiada zdezorientowana Blanche.

– Chodzi mi o białka – wyjaśnia Jenny.

Blanche wstydzi się przyznać, że nie podchodziła do Arthura na tyle blisko, żeby przypatrzeć się gałkom jego oczu.

– Większość z tego wychodzi, tak słyszałam. Nie tracą wzroku ani w ogóle... Czasami choroba nie zostawia na nich żadnego śladu.

– Mam to gdzieś, czy Arthurowi pozostaną jakieś blizny – rzuca poirytowana Blanche.

P'tit zaczyna jej coraz bardziej ciążyć. Powinna była zabrać z domu jakąś chustę czy szal, żeby przywiązać go na plecach albo na biodrze, tak jak to robią wieśniaczki. Jednak gdy wyobrazi sobie siebie z dzieckiem w chuście, nie może znieść myśli, że mogłaby wyglądać jak kobieta ze wsi. Już woli przekładać go z jednego ramienia na drugie. Jenny oczywiście nawet nie przyjdzie do głowy, żeby zaoferować pomoc i choć na chwilę wziąć małego na ręce. Czasami zastanawia się, czy nie byłoby lepiej, gdyby miała jakąś bardziej pospolitą przyjaciółkę.

Cierpki odór dochodzący z pobliskiej alejki kieruje jej wzrok w tamtą stronę. Za straganem, przy którym dwaj mężczyźni w długich fartuchach patroszą ryby, biegnie rząd wąskich budynków z przesuwanymi drzwiami, zza których wyłaniają się pozbawione wyrazu twarze *mui jai* – chińskich dziewcząt do wynajęcia.

– Ciekawe, ile biorą – zastanawia się Blanche z zawodową ciekawością.

– Nie wiesz? Dwa ósmaki – patrzeć, cztery ósmaki – macać, sześć ósmaków – robić wszystko.

– Naprawdę? – dziwi się Blanche. Przecież sześć ósmaków

to zaledwie siedemdziesiąt pięć centów. – Ani biała dziewczyna, ani Meksykanka nie pójdzie z facetem za mniej niż dolara – stwierdza z dezaprobatą.

– Oczywiście *mui jai* nie widzi z tego ani centa. To tyle, jeśli chodzi o zniesienie niewolnictwa – sarkastycznie zauważa Jenny.

Czytając sobie w myślach, bez słowa kierują kroki na wschód, jak gdyby połyskujące wody zatoki skrywały obietnicę wieczornej bryzy, a przecież powinny wiedzieć, że to tylko pobożne życzenie. Jakiś Chilijczyk w poncho wpada na Blanche, niemal wytrącając jej z ramion P'tita. Jednak chłopiec nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Wygląda na oszołomionego kolorowym, głośnym tłumem, który otacza ich ze wszystkich stron. Podobno San Francisco to najbardziej obce miasto w całej Ameryce: prawie żaden z mieszkańców się tutaj nie urodził. Kiedy mieszkała w Paryżu, liczyły się przede wszystkim konwenanse: całe mnóstwo reguł mówiących o tym, jak należy postępować – zachowuj się *comme il faut*, „tak, jak wypada”, ponieważ tutaj od zawsze zachowywano się tak, jak wypada. Ale w San Francisco jest inaczej. To istne koło ruletki, a wirujący na nim mieszkańcy lądują gdzie popadnie. Blanche była wożona przez taksówkarzy, którzy twierdzili, że są przedstawicielami wyższych sfer, tylko chwilowo szczęście im nie dopisuje, i spędzała wyjątkowo lukratywne noce z klientami, którzy chwalili się, że zaczęli jako górnicy.

Kiedy mijają człowieka orkiestrę w wypłowiałym prążkowanym garniturze, Jenny lekko unosi kapelusz, a on kiwa do niej głową. Wokół szyi ma zawieszony na drucie piszczałki, w rękę trzyma skrzypce, a na plecach wisi mu wielki bęben. Jego starcze zawodzenie ledwie przebija się przez jazgot tych wszystkich instrumentów.

*Z gór wyrwę wszystko, co się da,
Koryta rzek opróżnię do dna,
Kieszenie wypcham kamieniami,
Nie zalewajcie się więc łzami,
Bo wrócę, bracia, ze skarbami.*

Co ciekawe, mężczyzna nie ma uszu: w miejscu, gdzie powinna być małżowina, znajdują się jedynie dwie nieznaczące wypukłości. Najwyraźniej człowiek potrzebuje tylko dziur, żeby słyszeć.

– W Paryżu nigdy nie widziałam człowieka bez uszu. Zastanawia mnie, dlaczego tak wielu Amerykanów się bez nich rodzi – zauważa Blanche, wskazując palcem na ulicznego grajka. – Czy to z powodu jakiegoś innego odżywiania?

Jenny rechocze ze śmiechu.

– No co się śmiejesz?

– Bo tak właśnie rozprawiali się tutaj ze złodziejami w czasach gorączki złota – wyjaśnia Jenny. – Poszukiwacze byli zbyt zajęci, żeby bawić się w jakieś sądy. Po prostu brali winowajcę, obcinali mu uszy – ruchem głowy wskazuje grajka – po czym wracali do wypłukiwania złota.

Człowiek żyje tu już półtora roku, a wciąż tak niewiele wie o tym kraju, stwierdza zakłopotana Blanche. Zza ich pleców dobiega cichnący refren:

*Ach, Kalifornia to mój raj,
To wymarzony dla mnie kraj.
Droga ma wiedzie do San Francisco,
Tam więc podążę ze swoją miską.*

– Tędy – mówi nagle Jenny i daje nura w Battery Street.

– Dlaczego? – pyta Blanche, podążając za przyjaciółką.

– Dzielnicy! – Jenny spogląda przez ramię, żeby się upewnić, czy para strażników idzie w przeciwnym kierunku.

– Myślałam, że tylko prawdziwi policjanci są twoim utrapieniem – śmieje się Blanche, rozbawiona widokiem podenerwowanej przyjaciółki.

– Cóż, z prawnego punktu widzenia, faktycznie tylko regularna policja może mnie aresztować – mówi cicho Jenny – ale ci dzielnicowi lubią zaimponować swoim przełożonym, dlatego często zgarniają z ulicy hołotę i dostarczają ją do odpowiednich rąk, za co dostają niezłe pieniądze.

Blanche już tak bardzo zdążyła się przyzwyczaić do jej szarego płaszcza, kamizelki, spodni i męskiego kapelusza, że zupełnie zapomniała o tym, iż noszenie takiego stroju podpada pod paragraf.

– Czy naprawdę gra jest warta świeczki?

– Jeszcze pytasz? Nie mów mi, że byś się nie zbuntowała, gdyby kazano ci zmienić te twoje obcisłe falbany na parciany worek – mówiąc to, Jenny lekko pociąga ją za rękaw skromnej, bladofioletowej sukienki.

Po drodze mijają wózek, na którym stoi olbrzymia katarynka: setki piszczałek i złowrogie mechaniczne kukły podskakujące na szczycie w rytm „Cwału Walkirii”. Kataryniarz kręci korbą prawą ręką, której ramię jest niemal dwa razy większe od lewego. Nie zatrzymując się ani na chwilę, melodia ze zgrzytem przechodzi w habanerę z *Carmen*.

Teraz pną się w górę po tak stromym wzniesieniu, że Blanche nie jest w stanie dźwigać P'tita i jednocześnie rozmawiać. Zresztą i tak już niedługo powinna wracać. Może Arthur czegoś potrzebuje?

Wreszcie wdrapują się na szczyt.

– Strasznie się zmachałam – sapie Blanche, przekładając P'tita na drugą rękę.

– Już? – dziwi się Jenny. – Ja lubię się przejść od

Fisherman's Wharf do Mission, a stamtąd prosto do Panhandle, żeby się dowiedzieć, co w trawie piszczy. To miasto rozrasta się z szybkością płomieni. Mija dziesięć lat, a ono jest dwa razy takie, jak było.

Wizja nakreślona przez przyjaciółkę napawa Blanche niepokojem.

– Brzmi, jakbyś mówiła o jakimś obrzydliwym grzybie.

– I w tym tkwi cały urok. Weź najpiękniejsze miejsce na ziemi – mówi Jenny, wyciągając przed siebie ramiona, jakby chciała objąć wszystkie wzgórza, zatokę i cały Pacyfik – i je zaśmieć, rozrzucając gdzie popadnie stare, czarne od sadzy chałupy... Stworzysz w ten sposób niesamowity kontrast. A potem, żeby było oryginalnie, zaaplikuj wszystkim *delirium tremens*.

Blanche wybucha śmiechem.

– Skoro już mowa o drgawkach – dodaje – to w styczniu tak mną potrzęsęło, że aż się obudziłam.

– Wystraszyłaś się tego lekkiego telepania? Szkoda, że cię tu nie było osiem lat temu. Wtedy to nami porządnie zatrzęsło – przechwała się Jenny. – Miasto waliło się w gruzy na naszych oczach. Akurat strasznie się wtedy urznęłam, więc nie do końca byłam pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Pęknięcia na ścianach rozwierały się i zamykały niczym wielkie usta... widziałam, jak front czteropiętrowej kamienicy odpadł i runął w dół.

Na twarzy Blanche pojawia się grymas.

– Do tego dochodzą pożary, co kilka lat. Kiedy przyplłynęliśmy tu statkiem w pięćdziesiątym pierwszym, całe miasto stało w płomieniach. Osmalone ulice, jodłowe deski skręcające się niczym węże...

– Opowiadasz o tym tak, jakbyś miała wtedy niezły ubaw –

z dezaprobatą zauważa Blanche.

Jenny przeskakuje z nogi na nogę.

– Chyba wszyscy pragniemy, by każdy dzień przynosił coś nowego, by życie nabrało smaku, nie?

– Ale może nie aż tyle tego smaku.

Lubiłam swoje życie dokładnie takie, jakie było – myśli Blanche – *zanim wszystko uległo zmianie.*

– A tak w ogóle, to byłaś gdzieś jeszcze poza San Francisco? – pyta po chwili.

– Na razie mało zwiedziłam – przyznaje lekko zażenowana Jenny. – Raz pojechałam do Sacramento. Pamiętam, że woda sięgała tam wtedy po kolana.

– To chyba w sam raz dla kogoś, kto na co dzień brodzi po bagnach – żartuje Blanche, pozwalając P'titowi osunąć się na biodro.

– Oczywiście teraz, kiedy kolej transkontynentalna ma tam końcowy przystanek, Sacramento nagle stało się miastem z ambicjami, a jakże. Sprowadzają Chińczyków, żeby budowali im wały przeciwpowodziowe, łatają i wyrównują stare ulice, każąc ludziom przeprowadzać się na pierwsze piętro.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

Jenny potrząsa głową.

– A jeśli budynek ma tylko jedną kondygnację – ciągnie dalej – biorą podnośnik śrubowy i dźwigają całą budę jakieś cztery, pięć metrów do góry. – W tym momencie przerywa, przystając przed oknem wystawowym. Na satynowej poduszce leży stara śrutówka, zgięta pod kątem prostym, jakby ktoś ją złamał na pół, a obok stoi karta z wygrawerowanym napisem: „Długo wyczekiwana broń łamana z baskilą według systemu Ansona i Deeleya”. Po chwili Jenny stuka w szybę obok, mówiąc:

– Może powinnaś mu zrobić nowe zdjęcie?

Czasami Blanche dostaje zawrotów głowy, kiedy ta dziewczyna przeskakuje z tematu na temat. Tylko dlaczego postanowiła tak okrutnie zażartować sobie z twarzy Arthura?

– Chodzi mi o dzieciaka – tłumaczy Jenny.

– Ach tak! – Blanche podchodzi bliżej. Na wystawie dostrzega napis: „Fotografia dziecięca: format gabinetowy oraz carte de visite”. Zakłopotana spogląda na P'tita.

– Na tym zdjęciu, które masz przy łóżku, jest zupełnie do siebie niepodobny.

– Może... jak trochę podrośnie.

Fotografie za szybko ukazują tłuste, pozbawione wyrazu twarze niemowląt wystrojonych w haftowane kaftaniki. Może kiedy P'titowi urosną włosy i przykryją to wystające czoło, kiedy pojawią się pierwsze ząbki, kiedy wreszcie zrobi się mniej czerwony, a jego skóra przestanie się tak łuszczyć...

– Już zdążył trochę urosnąć i nabrać sił – zauważa Jenny, ruszając dalej. – Jesteś z nim na co dzień, więc tego nie widzisz.

– Jedyne, co umie, to wymachiwać rękami i nogami, miotając się jak ryba wyrzucona na ląd – skarży się Blanche. – Czasami myślę, że on się nigdy nie nauczy nawet raczkować. I już do końca życia będę go targać pod pachą, jak jakiś worek kartofli.

– Dlaczego nazwałaś go P'tit? Bo jest taki niewyrośnięty? Blanche kręci głową.

– Właściwie to ma na imię P'tit Arthur, po ojcu. – Imię ukochanego z trudem przechodzi jej przez gardło. Te krwistoczerwone pęcherze... – Mnie dali na chrzcie Adèle – mówi po chwili. I nagle uświadamia sobie, że po raz pierwszy, odkąd przybyła do Ameryki, komuś o tym powiedziała. – „Blanche” to był mój cyrkowy pseudonim.

– Kiedy zdecydowałaś, że przy nim zostaniesz?

– Na statku.

– Bo Ameryka to jeden wielki cyrk?

Blanche wybucha śmiechem.

– Zobacz, uśmiechnął się – woła Jenny, wskazując na chłopca.

– Pewnie znowu puścił baka – kwituje Blanche, przyjrzawszy się jego zbolącej twarzy.

Ich trasę przecina zatłoczona Market Street, która biegnie ukosem w stronę doków. Blanche skręca w Bush Street, z powrotem kierując się na zachód.

Jenny podąża za nią.

– Dlaczego Arthur i Ernest też nie zostawili sobie cyrkowych pseudonimów?

– Może dlatego, że na giełdzie „Castor” i „Pollux” nie cieszyliby się zbytnim szacunkiem wśród pozostałych graczy.

Dziewczyna reaguje na to chichotem.

– Tak nazywały się dwa słonie w paryskim zoo. Zarznęli je podczas oblężenia miasta przez Prusaków – dodaje Blanche ze smutkiem.

Ernest się wtedy uparł, że powinni uszczknąć z Castora i Polluxa chociaż po kęsie, by w ten sposób złożyć im hołd, w związku z czym ustawił się w kolejce i zapłacił jakieś monstrualne pieniądze za skrawek słoniowego mięsa. Było twarde i tłuste, jak zgodnie orzekli Ernest i Arthur, ale Blanche, mimo głodu, nie mogła się przemóc i nie skosztowała ani kęsa. Pies, kot, szczur – takie rzeczy się jadało tamtej zimy, a paryskie restauracje rywalizowały ze sobą o to, która poda te przysmaki w bardziej wykwintnym sosie, stawiając w ten sposób opór najeźdźcy.

– Skoro byliście ulubieńcami całego miasta, występując

w tym waszym cyrku, to czemu żeście rzucili tę robotę i przyjechaliście tutaj?

„Chleb wyrabiany maszynowo – wolny od niebezpiecznego potu ludzkich rąk”, czyta Blanche w witrynie sklepowej.

– Po prostu uznaliśmy, że nadszedł czas na zmiany.

– Nie twój interes, to chcesz powiedzieć, tak?

– Arthur miał wypadek – z trudem wyjaśnia Blanche. –

Spadł na plecy i...

– Uhm.

Stało się to zaledwie miesiąc po tym, jak powiedziała mu, że jest w ciąży. Ciasno sznurowała gorset, chcąc ukryć ten fakt przed Monsieur Loyalem, i tylko się modliła, żeby po porodzie z powrotem ją przyjął.

– Tłum zazwyczaj omdlewa na widok latającego akrobaty, bo ludzie myślą, że jest najważniejszy, skoro to on robi w powietrzu salto – tłumaczy Blanche. – A ten patykowaty facet, który jak nietoperz zwisa z drążka, jest tam tylko po to, żeby go złapać, rozumiesz?

Jenny kiwa głową.

– Ale tak naprawdę to właśnie on kontroluje cały skok i w odpowiedniej chwili łapie swojego partnera, który musi tylko wykonać w powietrzu akrobację.

– No więc co poszło nie tak?

– Arthur... – wzdycha Blanche. – Nie wiem, może stracił zimną krew... Dla mnie to wyglądało tak, jakby chwycił Ernesta za nadgarstki, po czym natychmiast wyślizgnął mu się z rąk – i runął w dół. Ten potworny huk...

– Więc to nie była wina Ernesta, że jego kumpel połamał sobie kręgosłup – stwierdza Jenny.

– Spróbuj go o tym przekonać – parska Blanche. Czy to nie dlatego teraz ryzykuje życie, opiekując się chorym

przyjacielem? Może wydaje mu się, że jest winien Arthurowi dożywotnią ochronę – na mocy jakiejś niepisanej umowy – bo ten jeden jedyny raz dopuścił do jego upadku?

Mijają lokal, gdzie Chińczycy grają w swój tradycyjny *fan-tan*. Przez uchylone drzwi widać hazardowy stół, na którym piętrzy się stos miedzianych monet, a dookoła siedzą mężczyźni w gęstych oparach dymu i obstawiają, przekrzykując się nawzajem.

Jenny koniuszkami palców dotyka wyklejonej banknotami ściany.

– Widziałam kiedyś niesamowity pokaz – opowiada. – Spod samego dachu cyrkowego namiotu była spuszczone lina, a taki mały pędrak podskoczył wysoko i złapał ją w zęby...

– Terier? – dopytuje Blanche.

Jenny potwierdza skinieniem głowy.

– Z całych sił zagryzł linę i nie puszczał, huśtając się po całej arenie, lepiej niż niejeden akrobata. Trzymał się tylko zębami!

– Psy, konie, te zwierzęta rodzą się po to, by bawić publikę. Za to domowe koty... Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie usiłują je tresować. Cały dzień możesz takiego tłuc albo próbować go przekupić, a on i tak wymknie się przez szparę w kurtynie, jak tylko odwrócisz się do niego plecami.

Ale Jenny już nie słucha. Jej wzrok przykuło ogłoszenie przyklejone na słupie telegraficznym:

„Profesor tańca, prosto z Filadelfii, zaprasza na kurs najmodniejszych tańców, które królują na salach balowych Londynu i Paryża. W ofercie: kadryl, taniec niemiecki, walc, schottische, taniec Zulmy, warszawianka, walc bostoński, redowa, gorlica, galop, polka-mazurka”.

– „Prywatne lekcje dla młodych dam” – Jenny czyta na głos

napis widniejący na samym dole kartki. – Akurat! – dodaje, chichocząc.

– „Poślij je do szkoły tańca, a zaoszczędzisz na lekarzu!” – kończy Blanche, spoglądając na ogłoszenie zza jej pleców. – Odwoływanie się do zdrowia to niezły pomysł. Ale znachorzy nie są wcale tak popularni, jak mu się wydaje. A zresztą ja za nic w świecie nie zatańczyłabym już redowy.

– Znasz te wszystkie kroki? – pyta Jenny.

– Tak samo jak ty znasz swoje wszystkie żaby – odpowiada z uśmiechem.

Nagle P'tit zanosi się płaczem, zupełnie bez powodu, jakby właśnie dostał kuksańca od jakiegoś niewidzialnego napastnika. *Bordel!* Po jego nodze spływa brązowa strużka. Blanche odsuwa go od siebie na długość ramienia.

– Płacze, bo myśli o tobie – stwierdza Jenny.

– Przecież jestem obok! – wścieka się Blanche.

– Nie, chodziło mi o to, że on płacze dla ciebie. Daje koncert na twoją cześć. Myślę, że płacz to jedyna muzyka, jaką znają dzieci.

– Też mi muzyka!

Jenny wyciąga ręce w stronę malucha.

– Cały się obsrał – ostrzega Blanche.

– Wcale mi to nie przeszkadza. Naoglądałam się takich rzeczy.

Oddaje jej więc P'tita, spodziewając się dzikich wrzasków, ale on tylko wbija w Jenny wzrok.

Blanche wyciąga chusteczkę i wyciera sobie ręce.

– Ciekawe, gdzie się naoglądałaś – jej słowa brzmią jak oskarżenie. – Masz młodsze rodzeństwo?

– Przez jakiś czas wypasałam owce – odpowiada Jenny.

Blanche śmieje się pod nosem. Pasterka, jakżeby inaczej.

Starłszy najgorszy brud z rękawa i spódnicy, rusza za swoją towarzyszką i P'titem, którzy są już kilka kroków dalej. Kiedy ich dogania, Jenny jest mniej więcej w połowie baśni o żabim królu. Opowiada ją, zachowując najwyższą powagę.

Chłopiec słucha jej bardzo uważnie.

– Czy to w tej bajce ona musi na końcu go pocałować? – wtrąca Blanche.

Jenny potrząsa głową.

– Nie, ta królewna nie ma najmniejszego zamiaru robić czegoś takiego – mówi zwrócona do P'tita. – Kiedy ropuch ją prosi o pocałunek, ona mu na to: „Wolne żarty!”, po czym podnosi go z posadzki i ciska nim o ścianę.

Tak jak to robią chińscy rybacy z kalmarami? Widziała w dokach, jak tłuką nimi o ścianę.

– I co, ginie?

– Nie, psze pani. Ropuch spada na ziemię i zmienia się w królewicza.

Ale Blanche wciąż myśli o wersji, którą opowiadała jej babcia. Lepki uścisk, wilgotne łaskotanie na wargach.

– Jak to możliwe, że całowanie i tłuczenie o ścianę przynosi ten sam efekt?

– To pewnie kwestia szoku – stwierdza Jenny. – Królewicz zrzuca z siebie sztuczną skórę, pod którą jest prawdziwa.

W tym momencie Blanche nawiedza wizja: ogarnięta furją rzuca P'titem o ścianę. Jego łuskowate, zdeformowane ciało łamie się na pół – i oto wyrasta przed nią jej syn w nieskazitelnej, książęcej formie.

Wie oczywiście, że nie powinna wyobrażać sobie takich rzeczy, ale przecież to tak naprawdę wcale nie jej myśli, tylko halucynacje wywołane zmęczeniem. Czuje na sobie spojrzenie Jenny i odwraca wzrok, żeby przypadkiem łowczyni żab nie

złowiła także jej myśli.

Ona wypatruje, ona wyczekuje...

Pragnie w ramionach znowu go mieć.

To stary żołnierz, który siedzi na ziemi, zaczyna nagle śpiewać. Nie, wcale nie na ziemi. Blanche zauważa, że nie ma nóg, a to, co z niego zostało, jest upchnięte w dziecięcy wózek.

Pukle jego złote, zbryzgane błotem,

Szronem pokryła się młoda brew.

Przygląda mu się bliżej. Nie, wcale nie jest taki stary. W końcu wojna domowa skończyła się zaledwie dziesięć lat temu. Blanche widziała na scenie wielu śpiewaków, ale barwa głosu tego mężczyzny jest dużo głębsza. Zniszczyła go walka. Rzewny lament płynący z jego ust tak bardzo ją wzrusza, że aż sama się sobie dziwi.

Usta rzeźbione, bladością zmożone,

W jej ukochanym zastyga krew.

Blanche bez słowa bierze od Jenny P'tita i przyciska go do piersi.

Dziewczyna salutuje żołnierzowi i wrzuca monetę do stojącego przed nim blaszanego kubka.

Ona wypatruje pierwszych oznak zdrowia. *Ona wyczekuje* powrotu Arthura do krainy żywych. Tyle tylko, że to nie ona teraz przy nim siedzi. A co, jeśli po powrocie do domu zastanie go leżącego bez ruchu w łóżku, które kiedyś dzielili? Nie może patrzeć, jak on się męczy, ale za żadne skarby świata nie chce, żeby los położył ostateczny kres jego cierpieniom. Przecież on nawet nie ma jeszcze trzydziestu dwóch lat. Jeśli odejdzie, co się z nią stanie? Nie wyobraża sobie życia w San Francisco bez Arthura. Oczyma wyobraźni widzi, jak rozplywa się w nicość, niczym strzępy mgły.

Skrecają w Dupont Street, kierując się na północ. Jenny

wskazuje ręką restaurację o nazwie „Pudel”.

– Słynie z najlepszych *cuisses de grenouille à la poulette*⁶⁶, dzięki uprzejmości niżej podpisanej.

Jak również z pokoi schadzek na trzecim piętrze, przypomina sobie Blanche, która spędziła tam kiedyś ciężką noc w towarzystwie poszukiwacza złota. Miał czarne paznokcie i zostawił jej worek złotego piasku, ważący tyle co dojrzała śliwka.

Chińska dzielnica, w której nie ma gazowych latarni, oświetlona jest czerwonymi lampionami z papieru. Błyszczące kule sygnalizują, że spacer dobiega końca. Blanche boi się myśleć o powrocie do domu.

Nagle gwałtownie odbija w bok. W ramach wyjaśnienia podnosi do góry lewy but.

– Od dawna nie widziałam takiej wielkiej kupy – stwierdza Jenny. – Myślisz, że to psia?

– Miejmy nadzieję. Podobno przynosi siedem dni szczęścia.
– Blanche czyści podszwę o brzeg krawężnika, myśląc o Arthurze.

Jenny wybucha głośnym śmiechem.

– A ja byłam przekonana, że szczęście ma to do siebie, że po prostu się przytrafia.

Blanche zaciska usta.

– Może czasami da się je schwytać, kiedy akurat przechodzi obok nas.

Gdy docierają pod numer 815 na Sacramento Street, rozgrzane niebo jest już całkiem ciemne.

– No to lecę – mówi Jenny, zabierając swój rower z klatki schodowej.

– A gdzie?

– A pojeżdżę trochę to tu, to tam.

– Ale gdzie będziesz spać?

– Nie jestem zmęczona – zapewnia Jenny. – Poza tym połowę dnia przespałam na Portsmouth Square.

– W takim razie *à bientôt*⁶⁷ – rzuca krótko Blanche i rusza na górę. Pograżony we śnie P'tit spoczywa na jej piersi.

– Jak najszybciej. *Bonne chance*⁶⁸, i w ogóle.

Ale to, czego Blanche potrzebuje, to wcale nie szczęście, tylko wiedza. Potrzebuje kogoś, kto zna się na dzieciach, kto rozumie, czego chcą i co im dolega. Kogoś, kto wie, jak wyleczyć ospę. Kogoś, kto przy niej zostanie i wszystko naprawi, zamiast śmignąć jej sprzed nosa, pogwizdując melodię, której ona nawet nie zna.

W mieszkaniu panuje cisza jak makiem zasiał. Udaje jej się zmienić pieluszkę P'titowi, nie budząc go, co zakrawa na istny cud, po czym wkłada malucha do kufra. Jest tak zmęczona, że w ubraniu pada na sofę, ale wcześniej, przez lekko uchylone drzwi, zagląda jeszcze do sypialni.

Uderza ją obrzydliwy, słodkawy fetor. Na szczęście w pokoju panuje półmrok, więc widzi jedynie sylwetkę Ernesta pochylonego nad łóżkiem. Arthur jęczy przez sen. Wzrok Blanche powoli przyzwyczajają się do ciemności. Ernest bandażuje... nie, nie, on przywiązuje przyjaciela do łóżka długimi pasami bawełny.

– Co ty u licha... – wcale nie chciała, żeby jej szept był aż tak głośny.

Ernest odwraca się do niej.

– Dobrą chwilę sobie wybrałaś na powrót do domu.

– Co ty mu robisz?

– Ciągle się drapie. Muszę go jakoś powstrzymać – tłumaczy jej. Po tych słowach wraca do przerwanej czynności: starannie okręca pasy materiału wokół bezwładnie zwisających

nadgarstków i przymocowuje je do metalowej ramy łóżka. –
Dziś wieczorem pojawiły się trzy strupy na powiece i swędzą jak cholera. Jeśli je rozdrapie, może oślepnąć.

Strupy?

Dwunasty dzień.

I nagle do niej dociera: nie tracą Arthura!

Piętnasty września. Wczoraj Blanche powinna była zginąć w San Miguel Station. Płacąc za kanapkę z szynką na Clay Street, po raz pierwszy od czasu przybycia do Ameryki nie zostawia na ladzie napiwku. Tępo wpatruje się w swoją portmonetkę i liczy monety. Doprowadziła ją do tego ta przeklęta Madame ze swoimi wyssanymi z palca „wydatkami”. Co za żałosny widok. Może trzeba było pójść do jednego z tych miejsc, gdzie wystarczy tylko zapłacić za drinka i dają ci darmowy lunch. Albo poprosić jakiegoś nieznajomego, żeby postawił jej porządny obiad.

Być może właśnie w tej chwili Arthur ją obserwuje. Blanche zdaje sobie sprawę, że stojąc w biały dzień tu, kilka przecznic od własnego domu, stanowi łatwy cel. Do tego w swojej niebieskiej kraciastej spódnicy i żółtych pończochach rzuca się w oczy jak jakieś przystrojone drzewko majowe. Zgarbiona i skryta za swą parasolką, pochłania kanapkę tak szybko, że niemal się nią dławi.

Jej wzrok pada na chłopaka sprzedającego gazety na rogu Kearny Street. Jego czapka i o wiele za duża wytarta niebieska marynarka budzą skojarzenia z Jenny.

– „Chronicle”, najnowszy „Chronicle”, wydanie popołudniowe! – ryczy gazeciarz na całe gardło. Jego blada twarz jest poplamiona atramentem. Umysł Blanche dopiero teraz

rejestruje napisy wydrukowane na dużej tablicy obok niego: OHYDNE MORDERSTWO; ZAGADKA W SPODNIACH.

Nie powinna tego czytać. Jaki mogłaby mieć z tego pożytek...

A jednak podbiega do chłopca i bez słowa wciska mu do ręki monetę. Boi się odezwać. A jeśli ten *gamin* w jakiś niewytłumaczalny sposób odgadnie, że ona sama jest częścią historii kryjącej się za krzykliwym nagłówkiem?

Znajduje miejsce, gdzie może oprzeć się o ścianę. Ustawia parasolkę pod takim kątem, żeby zasłaniała jej twarz, i lustruje wzrokiem pierwszą stronę gazety. Jest tam wizerunek ponuro wyglądającej kobiety w luźnym garniturze – czy to ma być Jenny? Nagłówek mówi o „nieznanym zabójcy”. Blanche omija szczegóły, które sama dobrze zna. Czy to nie absurdalne, że coś, co osobiście przeżyła ostatniej nocy, przekształciło się w kawałek tekstu wciśnięty pomiędzy aktualne kursy akcji i doniesienia z Montany, gdzie wódz Szalony Koń właśnie rozbił amerykańskie wojska nad rzeką Little Bighorn? Artykuł Cartwrighta sprawia wrażenie, jakby był pisany na gorąco, wprost z San Miguel Station. Musiał pracować nad nim w strasznym pośpiechu, skoro tak szybko został wydrukowany i w tej chwili jest już dostępny w całym mieście. Może przesłał swoje sprawozdanie drogą telegraficzną? Blanche odruchowo zerka na najbliższy słup i wyobraża sobie słowa wijące się po cienkich drutach niczym syczące błyskawice.

Dziennikarz określił Jenny mianem „Małej Łowczyni Żab”. Dlaczego „małej”, skoro była całkiem wysoka jak na kobietę? To brzmi jak jakaś sentymentalna powieść. I jeszcze: „przebierała się w męską odzież” – czytając te słowa, Blanche aż zgrzyta zębami ze złości. Czy to wina Jenny, że widząc ją w spodniach, mało spostrzegawczy ludzie często wyciągali

z tego błędne wnioski?

„Przejawiała silną niechęć do prozaicznych prac domowych. W powłóczyстых spódnicach nie byłaby w stanie polować na płazy, a poza tym uważała zakaz noszenia spodni za niczym nieuzasadniony i stanowiący formę ucisku”.

Cartwright pisze o Jenny tak, jakby spodobało mu się to, czego się o niej dowiedział, ale jednocześnie był zdania, że w jakimś sensie sama ściągnęła na siebie tragiczną śmierć – a przynajmniej że można się było tego spodziewać. Blanche zbyt szybko przebiega wzrokiem tekst, gubi wątek i musi się cofnąć.

„Była prawdziwie nietuzinkową postacią o dużej sile charakteru, która od wczesnej młodości miewała zatargi z prawem. Szczerze mówiąc, przyczyną jej aresztowań było w równym stopniu agresywne zachowanie pod wpływem alkoholu, co jej ekscentryczne stroje czy...”

„Agresywne zachowanie pod wpływem alkoholu”? Ciekawe, czy Cartwright może się powołać na jakieś źródło w policji. „Szczerze mówiąc”, też coś! Pewnie sam spreparował te bzdury.

Blanche przerzuca strony, żeby odnaleźć drugą połowę artykułu, omiatając wzrokiem setki innych informacji zapisanych drobnym drukiem. Fala upałów zbiera krwawe żniwo – rekordowa liczba ofiar wśród dzieci. Wandale, którzy odkręcają hydranty, mogą zostać postawieni przed sądem.

„Pracownik Wydziału Zdrowia Publicznego określił »tysiące« Azjatów, którzy nie zgłaszają przypadków ospy, mianem »zdradliwych węży hodowanych przez nas na własnym łonie«”. A pomiędzy tym wszystkim model całkiem ładnego czepek w paski.

„Niewykluczone, że Jenny była panną lekkich obyczajów”. To jedno zdanie całkiem wyprowadza ją z równowagi.

Z wściekłości krew zaczyna jej szumieć w głowie. „Panna lekkich obyczajów”, cóż za subtelny eufemizm. Czyli teraz ten marny pismak twierdzi, że Jenny pracowała na ulicy? To ci dopiero!

„Można by ją zatem uznać za wyrzutka społeczeństwa, lecz z pewnością nie zasługiwała na prześladowanie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, które tak wielu ludzi przyciągają właśnie obietnicą tolerancji. Należy mieć nadzieję, iż tchórzliwy morderca, który przedwcześnie przeciął nić jej życia, zostanie doprowadzony na szubienicę, albowiem taka kara ze wszech miar mu się należy”.

Nagle wzrok Blanche przykuwa jej własne imię, które po raz pierwszy widzi w druku, nie licząc afisza przed wejściem do House of Mirrors. „Pozbawiona charakteru Francuzka, która występuje w jednym z najbardziej niesławnych lokali dla białych w Chinatown”. Czuje ukłucie w sercu, choć doskonale wie, że przejmowanie się czymś takim jest zgoła niedorzeczne. „Oto opowieść towarzyszki zamordowanej dziewczyny”. Brzmi to niemalże komicznie, jak jakaś dziecięca rymowanka o butach kuzynki żony młynarza...

Łóżko, fruwające odłamki szkła, schemat czteropokojowego domu McNamarów z zaznaczonym przerywanymi liniami torem lotu kul, które roztrzaskały lewe okno frontowe, przeszły nad zgiętą sylwetką „towarzyszki zamordowanej dziewczyny” i trafiły prosto w ciało „Małej Łowczyni Żab”, a niektóre przebiły nawet ściankę działową i przeleciały nad głową Ellen McNamary.

Ani słowa o Arthurze Deneve. Czy Cartwright w ogóle słuchał tego, co mu dziś rano mówiła? W swym artykule twierdzi też, że Jenny, umierając, zdążyła jeszcze wyszeptać: „*Adieu*, idę spotkać się ze swoją siostrą”. Jaką znowu siostrą? Co

to za ckliwe brednie?

Ale mimo to czyta dalej, spragniona jakichkolwiek szczegółów, wiarygodnych, niewiarygodnych, wszystko jedno. „We wczesnej młodości, zanim zajęła się zabią profesją, Jenny zachwycała na scenie, grając młodzieńcze role u boku swoich rodziców aktorów”. Blanche powtarza to zdanie jeszcze raz, usiłując zrozumieć poszczególne słowa. Jenny jako dziecięca gwiazda estrady, idąca w ślady rodziców? A może nie szła z własnej woli, tylko to oni ją do tego zmuszali? Próbuje sobie wyobrazić Jenny w falbanach, z wymalowaną twarzą, świergoczącą i kręcącą piruety. Właściwie ten obrazek nie wydaje jej się aż tak nierealny. Jenny zawsze była pewna siebie i lubiła się przechwalać; z łatwością więc można sobie wyobrazić, jak daje pokaz dziewczęcego wdzięku, jeżeli tego właśnie wymaga od niej rola. „Po stracie trzeciego dziecka Madame Bonnet popadła w alkoholizm, zaniedbując pozostałą dwójkę”, czyta dalej. To dość konkretna informacja. Z pewnością dziennikarz nie mógł tego wyssać z palca. „W następstwie jej zgonu rodzina się rozpadła.”

Wszystkich diabli wzięli, czyż nie tak ujęła to Jenny, gdy zapytała ją o krewnych?

„Niedługo potem jej młodsza siostra, Blanche, zmarła w stanowym ośrodku dla umysłowo chorych w Stockton”. Blanche ze zdumienia mruga oczami. Znowu ta siostra! Czy to możliwe, żeby Cartwrightowi pomieszały się imiona? Jenny chyba nie omieszkałaby wspomnieć, że miała siostrę noszącą to samo imię, co jej nowa przyjaciółka, nawet jeśli była ona chora psychicznie.

Ale nie, nie! Przecież Jenny wołała słuchać cudzych historii, niż mówić o sobie. Lubiła sprawiać wrażenie, że odrzuciła własną przeszłość razem z resztą nieporęcznego

bagażu. Jak gdyby była istotą efemeryczną, składającą się wyłącznie z opowieści, piosenek i dowcipów. Blanche czuje teraz, że powinna była zadać jej więcej pytań i domagać się odpowiedzi przynajmniej na część z nich.

„Awantura”. „Chaos”. „Alibi”. Wszystkie te słowa, od których aż się roi w artykule, przyprawiają ją o mdłości. Przymrużonymi oczami wpatruje się w rozmazany druk, próbując wyłowić jakieś fakty. Stajenny Charles St. Clair – ten, który przybył do San Miguel Station dzień przed morderstwem i wdał się z nią i Jenny w kłótnię o wynajętą bryczkę – w opinii Cartwrighta jest zupełnie wolny od podejrzeń, ponieważ pozostali stajenni zatrudnieni u Marshalla dali słowo, że w czwartkowy wieczór skończył pracę dopiero po dziewiątej.

I nagle widzi to, czego szukała: „Deneve”. Nareszcie w tekście pojawia się nazwisko Arthura. Blanche cofa się o kilka linijek.

„Beunon kieruje oskarżenia pod adresem swojego byłego *maquereau*, Arthura Deneve, i jego zausznika Ernesta Girarda. Jak utrzymuje, obaj grozili zarówno jej samej, jak i Jenny Bonnet. Jednakże po nagłym i burzliwym rozstaniu z Beunon ponad tydzień temu wspomniany Deneve podobno opuścił miasto, udając się do któregoś ze wschodnich stanów Ameryki albo do swojej rodzinnej Francji”.

Blanche czyta te słowa kilka razy, ale nadal nie do końca do niej docierają. „Podobno opuścił miasto”. Podobno? Kto tak twierdzi? Od kogo Cartwright się tego dowiedział? Jak długo po ich rozstaniu? Arthur nie wyjechałby z miasta ot tak. Co prawda groził, że to zrobi, gdy kłócili się tamtej nocy przy stoliku do faro, ale to przecież były tylko puste słowa. Czy naprawdę tak po prostu porzuciłby życie, które tutaj prowadził?

Kiedy cztery dni temu ona i Jenny przypadkiem spotkały

Ernesta przy Waverly Place, był sam. Czy to możliwe, że między tymi syjamskimi bliźniakami doszło do awantury? A może Ernest też już wyjechał z miasta, żeby dołączyć do swojego kumpla gdzieś na wschodzie kraju albo we Francji?

Jeżeli to prawda, że Arthur zniknął...

Blanche upuszcza gazetę na zakurzony trotuar. Czy to możliwe, że podczas gdy ona przez tydzień się przed nim ukrywała, a przez ostatnią dobę uważała go za mordercę, jego nie było już w Kalifornii?

Nie bądź głupia, przywołuje samą siebie do porządku. To on zabił Jenny. Wiara w to, że było inaczej, jest wyrazem słabości. Dlaczego teraz nagle miałyby zacząć wierzyć Cartwrightowi, skoro cały artykuł składa się głównie z jego wymysłów? Arthur mierzył w nią, a Jenny zastrzelił przez pomyłkę. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Skąd ta pewność? Bo chyba w jakimś stopniu jej się to należało (*Jesteś jego kobietą czy nie?* – pytał poirytowany Ernest, kiedy jej kochanek był bliski śmierci). Nawet w tej chwili czuje gniew Arthura, oczami wyobraźni widzi długą, stalową lufę wycelowaną w siebie z drugiego końca miasta.

No i pozostaje jeszcze P'tit. To najważniejszy powód, dla którego wołałaby wierzyć, że to nie Arthur pociągnął za spust. Bo jeśli ojciec jej dziecka nie ma krwi na rękach, jeżeli jest tylko zwyczajnie, po męsku wściekły, to być może P'titowi wcale nie grozi niebezpieczeństwo. Opierając się ciężko o ścianę, Blanche mocno przyciska pięści do oczu, aż zaczyna widzieć czarne plamki. Nie żyje. Jej dziecko prawdopodobnie nie żyje. Ale „prawdopodobnie” to nie to samo co „na pewno”... Przecież Arthur mógł znaleźć inny, znacznie mniej drastyczny sposób na pozbycie się kłopotu, na przykład wysłać P'tita do jakiegoś potwornego ośrodka, takiego jak przybytek doktor Hoffman.

Być może jej syn nadal żyje. Być może da się go odnaleźć i uratować. Blanche postanawia trzymać się tej nikłej nadziei, skoro i tak nic więcej jej nie pozostało.

Spogląda w kierunku skrzyżowania Kearny Street i Sacramento Street. Nagle bowiem coś sobie uświadamia: jeżeli w konfabulacjach Cartwrighta tkwi ziarno prawdy – może ktoś z redakcji „Chronicle” rzeczywiście pofatygował się do domu pod numerem 815, popytał w okolicy i dowiedział się o wyjeździe Deneve’a – to istnieje szansa, że jej dwaj kochankowie przynajmniej ulotnili się z kamienicy. Mieszkanie Blanche i cały budynek, który od fundamentów po dachówki stanowi jej własność, to jedyne, czego nie straciła. Nadal ma dach nad głową, zapewniający bezpieczeństwo. Miejsce, gdzie nie musi być zdana na czyjąś łaskę, gdzie może schronić się przed niebezpieczeństwem, tym prawdziwym i tym urojonym. Gdzie będzie mogła się zaszyć, dopóki nie uda jej się wziąć w garść.

Jeżeli to prawda, że zniknęli... W tej chwili jest bez grosza przy duszy, ale przecież zaraz po powrocie do domu może obejść wszystkich lokatorów i wyciągnąć od każdego zaległy czynsz. Nie będzie musiała jutro tańczyć dla tej pruskiej suki ani zdawać się na łaskę żadnego ze swoich *michetons*. Jedyne, czego jej teraz trzeba, to zamknąć się za własnymi drzwiami. Z tą myślą, nie zważając na skwar i na swój ciężki, ciasny strój, Blanche przyspiesza kroku.

W kilka minut dociera do swojej kamienicy. Przez chwilę stoi pod nią, obserwując z wyciągniętą szyją puste okna. Nie może sobie poradzić z kluczami zwisającymi u pasa. Zaczynają puszczać jej nerwy. Na jednym rogu ulicy jakiś muzykant gra na fujarce, po drugiej stronie dziecko bawi się dwiema łyżkami, z głośnym klekotem bębniąc nimi o udo. Blanche próbuje

ignorować tę kakofonię. Cartwright, pisząc o wyjeździe Arthura, ujął to bardzo ogólnikowo: „do któregoś ze wschodnich stanów Ameryki albo do swojej rodzinnej Francji”. A co, jeśli Arthur z Ernestem w dalszym ciągu siedzą w mieszkaniu, przyczajeni jak skorpiony w skalnej szczelinie? Najbezpieczniej byłoby po prostu zawrócić, uciec... Tylko że ona zupełnie nie ma dokąd pójść.

Znalazłszy się na słabo oświetlonej klatce schodowej, Blanche przystaje i bierze głęboki oddech. Planuje po cichu wspiąć się na górę, aż na samo poddasze, i dowiedzieć się od Gudrun, czy Arthur rzeczywiście wyjechał.

Idąc na palcach, najszybciej jak to możliwe, mija swoje własne drzwi na pierwszym piętrze, uważając, by nie stukać obcasami o drewnianą podłogę. W całym budynku panuje podejrzana cisza. Ale jest w końcu piątek rano i ludzie, do których nikt wczoraj nie strzelał, zajmują się swoimi codziennymi sprawami. Z mieszkania szkockich lokatorek na drugim piętrze nie dobiega żaden dźwięk. Robotnicy z Korfu, którzy mieszkają na trzecim, pewnie są teraz w tej swojej przetwórnii ogórków; czwarte piętro również milczy. Wreszcie Blanche staje niepewnie przed odrapanymi drzwiami Gudrun i po chwili wahania lekko w nie stuka. Czeka. Znowu cisza. Puka ponownie. Nic. Widocznie dziewczyna także jest w pracy.

Blanche schodzi niżej, wolno stawiając kolejne kroki. Ściany na klatce są aż śliskie od wilgoci. Budynek przy ulicy Sacramento 815 to żaden pałac, ale jak na San Francisco to całkiem przyzwoita budowla. Powinien powstać przynajmniej do następnego dużego trzęsienia ziemi. Na pewno jest tu lepiej niż w tych wąskich pokojach na Île Saint-Louis w Paryżu, w których spędziła dzieciństwo. O niebo lepiej niż w kwaterach Cirque d'Hiver, gdzie wszędzie wały się jakieś łachmany i tuby

z farbami i gdzie śmierdziało lwimi szczynami. Dlaczego pozwoliła Arthurowi kpić z siebie i wymyślać od małych burżujek tamtego dnia, kiedy wyciągnęła akt własności domu niczym królika z kapelusza? To wcale nie takie małe osiągnięcie zarobić tysiąc pięćset dolarów na tańcu i spotkaniach z facetami. Czy Arthur czegokolwiek dokonał, odkąd kontuzja zmusiła go do odejścia z cyrku? Nic, tylko obijał się i paradował po mieście bardziej wystrojony niż ona.

Pod drzwiami do swojego mieszkania Blanche zastyga w bezruchu. Przed oczami staje jej teraz nabita, odbezpieczona strzelba... I nagle sama sobie zadaje pytanie, dlaczego uznała, że powrót do domu to dobry pomysł – z powodu czegoś, co przeczytała w prasie, chociaż wszyscy wiedzą, że gazety są pełne kłamstw, tak jak rynsztoki są pełne liści kapusty? Przecież Cartwright całkowicie wyssał z palca ostatnie słowa Jenny – po prostu na oczekaniu wymyślił odpowiednio wzruszające zdanie – i jeszcze na dokładkę napiętnował ją jako prostytutkę. Dlaczego więc miałyby wierzyć w choć jedno słowo tych jego wypocin?

Może Ernest był tu akurat, kiedy przyszedł ktoś z gazety, żeby zadać parę pytań, i to on sam powiedział, że Arthur – jego czysty jak łza przyjaciel – wyjechał tydzień temu. A może razem z Arthurem kazali lokatorom rozgłosić tę plotkę? Mogli też na krótko zniknąć, a po jakimś czasie wrócić tutaj. Być może Arthur rzeczywiście wsiadł w pociąg i wyjechał gdzieś z miasta, żeby zapewnić sobie alibi, a potem przedostał się stamtąd aż do San Miguel Station. (Choć z drugiej strony skąd mógł wiedzieć, gdzie ona i Jenny się zaszyły? No i co z psami, które zaczęły szczekać dopiero w chwili, gdy rozległy się strzały? Blanche czuje, że jej umysł zaczyna już mieć dosyć ciągłego roztrząsania tych wszystkich pogmatwanych scenariuszy).

Przykłada ucho do gładkich drzwi i wyęcza słuch. Ze środka nie dobiega żaden szmer. Oczywiście jej byli kochankowie mogą po prostu spać jak zabici. Często zdarza im się zamieniać dzień na noc.

Puka lekko w drzwi, po czym natychmiast się cofa i schodzi kilka stopni niżej. Jeżeli któryś z nich, Arthur albo Ernest, otworzy je, to zdąży zbiec na sam dół, zanim zdołają ją zauważyć. Nadal potrafi poruszać się równie zwinnie jak w czasach cyrkowych występów, nawet w pantoflach na obcasach. Oczywiście podejmuje w tej chwili ryzyko, straszliwe ryzyko, ale...

Nikt nie otwiera.

Ciało Blanche jest napięte niczym struna. Najchętniej rzuciłaby się do ucieczki, ale zmusza się, by podejść do drzwi. Wsuwa klucz do zamka, po czym delikatnie, bezgłośnie go przekręca.

Drzwi powoli ustępują.

Pusto. Ani jednego mebla.

Raz po raz mrugając oczami, Blanche obchodzi wolno wszystkie pokoje. Jej kroki odbijają się od ścian głośnie echem. Z całego dobytku została tylko mała kuchenka. Ani śladu rzeczy P'tita, nie ma też skrzyni, w której spał. Wszystkie jej ubrania także wyparowały. Nawet stół i łóżko. Jakim cudem zdołali wynieść stąd łóżko?

W tym momencie przypomina sobie o czymś i biegnie z powrotem do salonu. W kominku, tam, gdzie kiedyś bezceremonialnie stał sobie zielony nocnik, widnieje tylko mały okrągły ślad. Ile w nim było tego dnia, kiedy odeszła? Jakieś dziesięć dolarów w banknotach i bilonie? Ale kolejne kilkaset dolarów, jej całe cholerne oszczędności, skrywał stary but pod łóżkiem – na pewno go odkryli, kiedy opróżniali mieszkanie. To

musiała być dla nich miła niespodzianka.

Wszystko zniknęło, jak gdyby stanowiło tylko wytwór jej wyobraźni. Wszystko, co zgromadziła przez ponad rok życia, każdy fizyczny dowód jej obecności w tym miejscu. Czyżby to ostatni, jakże wyrafinowany żart Arthura? Blanche, nagle całkowicie wyczerpana, opiera się o ścianę. Tylko te gołe mury, niczym ogryzione do czysta kości – tylko to zostało jej na tym świecie.

Nagle słyszy dziwnie znajome zgrzytanie. Szczęk klucza w zamku.

Natychmiast się prostuje, gotowa uciekać. Tylko dokąd? Gdzie można się schować w tym rozbrzmiewającym echem mauzoleum? Uświadamia sobie jednak, że ani Arthur, ani Ernest nigdy tak długo nie walczyli z kluczem; nawet gdy wracali pijani, zawsze wkraczali do domu dziarskim krokiem. Więc kto...

Drzwi się otwierają i w progu staje jej lokator z parteru. Patrzy na nią oniemiały.

– Pani Blanche...?

– Low Long! – Blanche z ulgą wypuszcza powietrze, niemal parszcząc śmiechem. – Co pan tu robi? – pyta zdumiona. Przecież Long zawsze siedzi na dole, nadzorując zastępy siedzących po turecku pracowników, którzy szyją u niego buty.

– Pani nie w Nowym Jorku? – pyta z kolei Chińczyk, mrugając szybko oczami.

– W Nowym Jorku? – powtarza za nim Blanche.

– Z panem Arthurem.

Blanche mruży oczy.

– Dlaczego on albo ja...

– Pan Arthur mówił, że pani w Nowym Jorku, a on do pani dojedzie.

Po co Arthur zadał sobie trud, żeby wcisnąć taką bajeczkę jednemu z lokatorów?

– Nie wiem, gdzie jest pan Ar... Nie wiem, gdzie on jest – odpowiada ostro. Jej głos zaczyna drżeć, choć stara się go opanować. – Domyślam się, że nie widział pan mojego dziecka...

– Nic nie wiem o dziecku. – W tonie mężczyzny pojawia się nowa, nieznana jej dotąd nuta. Czyżby rozdrażnienie? – Lepiej niech pani stąd szybko znika, pani Blanche. Zaraz przychodzą ludzie na nocleg.

– Nocleg? – powtarza zdumiona.

– Tutaj, tutaj, tutaj... – Chińczyk wskazuje po kolei na wszystkie kąty w mieszkaniu. – Dziś wieczór w każdym pokoju śpi dziesięciu facetów.

Duma – to jest ten nowy ton, który słyszy w jego głosie.

– Panie Low Long – mówi Blanche, najspokojniej jak potrafi – czy pan postradał zmysły? – Ale mężczyzna chyba nie rozumie, co ona do niego mówi, więc powtarza mu to dosadniej: – *Loco?* – i zatacza palcem okręgi wokół ucha. – To pan wyniósł wszystkie moje meble?

Low Long nieco bardziej się prostuje.

– Teraz to wszystko moje.

– Co? Co jest pańskie?

– Mój budynek. Sacramento osiemset piętnaście.

Blanche posyła mu lodowate spojrzenie.

– Pan tylko wynajmuje ode mnie lokal na swój mały zakład szewski.

Chińczyk potrząsa głową tak energicznie, że jego warkoczek podskakuje jak jaszczurka.

– Ja teraz prawny właściciel. Cały budynek, pięć pięter plus poddasze, razem sześć. Kupiłem w sobotę. Dałem tysiąc

osiemset dolarów. Pani mężowi.

– Słucham?

– Amerykańskich dolarów. Tysiąc osiemset.

W zeszłą sobotę? To znaczy, że w dzień po kłótni w salonie gier Arthur obudził się w ich łóżku sam i postanowił za jej plecami sprzedać cały dom? Blanche mocno zaciska usta.

– Został pan wprowadzony w błąd – stwierdza po chwili.

Ale Low Long gada swoje, przybierając teraz ton gawędziarza:

– Nie wydaję ani centa, wiele lat, jem ryż, prawie żadnych warzyw. A dzisiaj mam dom z pokojami na słynnej ulicy Sacramento, samo serce Chinatown. Dom wysokiej klasy. Miejsce dla wielu, wielu, wielu ludzi. Jeden człowiek, jedno łóżko.

– Wynocha z mojego budynku – cedzi przez zęby Blanche.

– To już nie pani budynek, pani Blanche, przykro mi.

Starzy lokatorzy poszli, nowi lokatorzy zaraz przychodzą.

Wysokiej klasy chiński dom z pokojami do wynajęcia – powtarza z przekonaniem, jak jakiś sprzedawca zachwalający swój towar na ulicy. – Pani przecież w Nowym Jorku, pan Arthur wytłumaczył mi – zapewnia ją ponownie, kiwając głową.

– Pan Arthur próbował mnie zabić wczoraj wieczorem! – krzyczy Blanche. – Pan Arthur wyjechał Bóg wie gdzie, zabierając te pańskie tysiąc osiemset dolarów oraz wszystko, co miałam na tym świecie.

Low Long milczy, wyraźnie zmieszany. Blanche, widząc, że zyskuje przewagę, naciera dalej.

– Przykro mi pana o tym informować, ale wyłudżono od pana wszystkie oszczędności. Został pan oszukany, rozumie pan? On nie jest moim mężem i ten budynek nigdy nie należał do niego, więc jak mógłby go sprzedać? To moje nazwisko

widnieje na akcie własności.

Te ostatnie słowa, zamiast go wystraszyć, sprawiają, że twarz mu się rozjaśnia.

– Akt własności, u mnie akt własności.

Przecież dokument jest schowany za obrazem w...

No tak, ale Arthur ogołocił sypialnię łącznie ze ścianami, przypomina sobie Blanche. Zdjął więc i obraz przedstawiający scenę pikniku: dwóch dandysów w czarnych marynarkach oraz piękną, nagą dziewczynę. I znalazł ten przeklęty papier.

– On tylko udawał, że sprzedaje panu dom. Proszę mi oddać akt własności – mówi Blanche i po królewsku wyciąga przed siebie rękę.

Low Long patrzy na nią szeroko otwartymi oczami.

– Dobrze, zapomnijmy o meblach. Proszę mi oddać mój akt własności, bo jak nie, to zawołam policję. – Blanche bacznie obserwuje jego reakcję, oczekując, że ta groźba nim wstrząśnie. Czy jakikolwiek policjant w mieście stanie po stronie Chińczyka w sporze z białą kobietą, nawet jeśli ta kobieta to „pozbawiony charakteru” żabojad płci pięknej?

– U mnie jest akt własności – powtarza z uporem Low Long.

Blanche lustruje fałdy jego jedwabnego stroju w poszukiwaniu jakiegoś wybrzuszenia, które wskazywałoby na to, gdzie mógł schować dokument.

– Zapłacone tysiąc osiemset dolarów. Wszystko oficjalnie i tak jak trzeba. Teraz moje nazwisko, Low Long, na akcie własności.

I nagle z Blanche uchodzi cała wola walki. W jednej chwili wraca do niej wszystko, co przeżyła od wczorajszego wieczora. Robi jej się ciemno przed oczami. Przywiera plecami do ściany, żeby się nie przewrócić.

– Pani już idzie, pani Blanche – dodaje Low Long łagodniejszym tonem. – Zaraz przychodzą ludzie na nocleg.

Blanche mruga oczami, próbując odegnać ciemność.

– Pięć minut, nie więcej – mówi Chińczyk i żegna się tym swoim idiotycznym ukłonem. Blanche słyszy, jak opuszcza mieszkanie i zaczyna schodzić po schodach.

Nie ma siły dalej walczyć. Pantofle na obcasach ślizgają się po drewnianej podłodze. Bezwładnie osuwa się na ziemię. Czuje się sflaczała jak liście starej kapusty. Ma spuchnięte kostki. I nadgarstki. Są nabrzmięte jak u P'tita, tylko że w jej przypadku winien jest upaść.

To, czy Arthur naprawdę wyjechał z kraju, czy tylko ukrył się gdzieś w tym tętniącym życiem mieście, gdzie detektyw Bohem nigdy go nie znajdzie... To już nieważne. Wszystko się skończyło. Rachunki wyrównane. Zgarnął tysiąc osiemset dolarów za jej kamienicę, do tego wszystko, co było w nocniku i bucie pod łóżkiem, no i jeszcze kasa, którą udało mu się dostać za jej meble i ubrania. Ten hipokryta, ten tak zwany przedstawiciel bohemy, który zawsze twierdził, że pieniądze są funta kłaków warte!

Low Long nazwał go jej „mężem”. Arthur musiał się więc za niego podawać. Blanche uświadamia sobie, że gdyby tylko chciał, naprawdę mógł nosić to zaszczytne miano. Wybrała go już na swojego mężczyznę, gdy miała piętnaście lat, więc podpisałaby każdy papier, gdyby tylko ją o to poprosił.

Ale nie, Arthur uznawał tylko wolną miłość – innymi słowy: mógł robić, co chciał, i nigdy za nic nie płacił. Blanche przychodzi do głowy, że w języku angielskim, w przeciwieństwie do francuskiego, nie istnieje przydatne rozróżnienie pomiędzy *libre* – „wolny”, i *gratuit* – „darmowy”. Wszystko jest „wolne”⁶⁹. „Wolność” myśli, „wolność” słowa,

„wolna” miłość – to angielskie słowo, które Arthur tak bardzo sobie upodobał, zupełnie pomija cenę, jaką trzeba za to wszystko zapłacić. Ten człowiek lubił iść na skróty przez życie, podpierając się swoim sprytem i fantazją. *Spekulacja ma w sobie pewien naturalny urok* – czyż nie tak zawsze powtarzał? Blanche zaczyna teraz rozumieć, że sama była po prostu jedną z jego długoterminowych spekulacji.

Przenosi wzrok z jednej pustej ściany na drugą. Mieszkanie zostało ogołoczone nie dlatego, żeby zrobić jej na złość – teraz to widzi. Sprawa jest znacznie prostsza: Arthur zakładał, że ona już nie wróci z San Miguel Station. Dwa metry pod ziemią nie będzie potrzebowała swoich ubrań. W tej chwili jest jeszcze bardziej przekonana, że to on był zabójcą, i nieistotne, czy sam pociągnął za spust, czy też zlecił brudną robotę Ernestowi. To jego wielka zemsta na niej za to, że ostatecznie miała czelność od niego odejść. Od niego, Arthura Pierre’a Louisa Deneve, mistrza akrobacji, który stał się nieustraszonym spekulantem i prawdziwym światowcem, czarującym dandysem i zawodowym hazardzistą. Kochał ją, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie, prawie przez dziesięć lat – oczywiście na tyle, na ile mężczyzna o tak rozbuchanym ego potrafi kogokolwiek kochać – a jednak decyzja o uśmierceniu swojej kobiety przyszła mu tak łatwo, jakby pstrykając palcami, zamawiał w barze kolejną butelkę wina.

W korytarzu rozlega się ciche skrzypnięcie drzwi.

– Nie minęło jeszcze pięć minut – rzuca gniewnie Blanche.

Ale twarz, która wyłania się zza drzwi, nie należy do Low Longa.

Blanche zrywa się na równe nogi tak szybko, że uderza przy tym obcasami o podłogę niczym tancerka flamenco.

– Byłem w kawiarni po drugiej stronie ulicy i czekałem, aż

się pojawisz – wyjaśnia Ernest.

Blanche próbuje zagłuszyć w sobie strach, który ją ogarnia. Ernest ma dwadzieścia jeden lat, ale jego twarz wygląda jak trupia czaszka. Jeśli ten człowiek jest cieniem Arthura, to jest to zniekształcony, rzucony o zmierzchu, węzowaty cień.

Ernest robi krok w jej stronę.

– Low Long! – krzyk Blanche przypomina skrzek papugi. *Świetnie*, myśli w duchu; najpierw grozi człowiekowi policją, a potem domaga się, aby bronił jej własną pierś.

– Przestań hałasować – syczy Ernest.

– Low Long! – Blanche nie może się nawet skryć za żadnym meblem przed tą przerośniętą małpą.

– Nie masz ani krzty wstydu, *salope*?

– Wstydu? – powtarza niepewnie Blanche, wpatrując się w idealnie gładki materiał ciemnej marynarki Ernesta. Czy ma pod nią pistolet? Prędszy sztylet. *Nie psuje kroju marynarki*. Dlaczego przez te wszystkie lata nie słuchała uważniej, kiedy ci dwaj rzucali żarciki w tym stylu? Co ją tak zaślepilo, że nie dostrzegała, do czego są zdolni?

– Naopowiadałaś prasie straszne bzdury – warczy Ernest. – Tak jakby Arthur wiedział, co się dzieje w jakiejś spelunie na końcu torów. Jakby go to w ogóle obchodziło.

Blanche patrzy na niego z niedowierzaniem. Naprawdę przyszedł tu tylko po to, by zaświadczać o niewinności swojego przyjaciela? To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Jej oczy nadal wypatrują tego sztyletu, choć oczywiście Ernestowi wystarczyłoby zacisnąć na jej szyi swoje długie, stalowe palce.

– Pewnie któryś z tych nawalonych wsioków potknął się o własną strzelbę do zabijania szkodników i broń niechcący wystrzeliła.

Blanche kiwa głową, żeby go udobruchać.

– To mógł być ktokolwiek – warczy na nią Ernest. – Jeśli się ma taką przeszłość jak ta Bonnet... Ta wariatka zawsze potrafiła narobić sobie wrogów wszędzie, gdzie się tylko pokazała. Nie umiała przejść po ulicy bez wpakowania się w jakąś burdę.

Blanche ma ochotę rzucić się do drzwi. Zastanawia się, czy zdąży do nich dobiec, zanim Ernest złapie ją za spódnicę.

On tymczasem stawia kolejny krok w jej kierunku.

– Nie rób mi krzywdy – prosi cicho Blanche. Czuje wstręt do samej siebie, chociaż dobrze wie, że nie jest w stanie rozegrać tego w żaden inny sposób. Ernest raczej nie udusi jej tu i teraz, w budynku pełnym ludzi. Gdyby miał taki zamiar, zrobiłby to od razu; zabójcy nie tracą czasu na prawienie kazań. A to oznacza, że w tym przypadku warto się poniżyć i błagać o litość.

– Jeszcze dzisiaj wyjadę z miasta – mamrocze. – Nie będziesz musiał mnie więcej...

– Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie oczyścisz dobrego imienia mojego przyjaciela, *putain!*

Blanche mechanicznie kiwa głową, jak zabawka na sprężynie.

– Miałaś Arthura Deneve – mówi dalej Ernest, zbliżając swoją twarz do jej twarzy. – Ty zimna suko, odwrócić się od takiego człowieka w chwili, gdy wybiła jego najczarniejsza godzina! Tak strasznie obrzydzić mu to miasto, że był zmuszony je porzucić...

Czyli przynajmniej w tym miejscu dziennikarz nie rozminął się z prawdą. Arthur naprawdę zniknął. Choć to irracjonalne, Blanche czuje z tego powodu leciutkie ukłucie gdzieś głęboko w sercu.

– ...i jakby tego było mało, oczerniłaś go w prasie, z czystej złośliwości. Nazwałaś go mordercą!

Blanche nie znajduje na to żadnych słów. Co może

powiedzieć, co może zrobić, żeby jakoś się z tego wywinąć? Gdyby mogła, padłaby na kolana i obnażyła się przed tym kipiącym gniewem mężczyzną, lecz nie ma mu do zaoferowania nic, czego by nie robił z nią wcześniej, i to dziesiątki razy.

– I dlatego jutro – grzmi Ernest – pójdziesz do sądu i powiesz ławie przysięgłych, jak bardzo się pomyliłaś.

– Tak – wydusza z siebie Blanche.

Ernest bez słowa odwraca się na pięcie.

Napełnia ją niewyobrażalne wręcz uczucie ulgi. Nie może uwierzyć, że wystarczyło to jedno magiczne słowo.

On jednak nagle odwraca się w miejscu, jakby usłyszał jej myśli.

– A jeśli będziesz coś kręcić albo zeznawać w dwuznaczny sposób... – Ernest stoi tuż przed nią. Blanche czuje na policzkach jego gorący oddech. Widzi, jak nabrzmiwają mu ścięgna w szyi. Ale jej nie dotyka. Właściwie to dziwne, że w tej chwili nie umie się zmusić nawet do tego, by położyć na niej rękę, skoro tak dobrze zna każdy centymetr jej ciała... – Jeśli to spieprzysz, to do jasnej cholery...

Nadchodzi ten moment. Blanche z zapartym tchem wyczekuje zimnego ostrza przebijającego jej skórę.

– ...przysięgam, że nigdy więcej nie zobaczysz dzieciaka.

Blanche szeroko otwiera usta.

Ernest nie widzi szoku malującego się na jej twarzy, ponieważ zdążył już odwrócić się do niej tyłem. Po chwili znika za drzwiami i na schodach rozlega się głośnie stukanie obcasów. Poszedł sobie.

Blanche wciąga w płuca słodkie powietrze, które wręcz rozsadza jej klatkę piersiową. Czuje, jak w jej sercu budzi się nadzieja, na której dnie czai się jednak potworny lęk.

P'tit!

On żyje. W przeciwnym razie po co Ernest groziłby jej, że więcej nie zobaczy swojego dziecka? Na pewno nie przemawiały przez niego chytryść ani zimne wyrachowanie; zna go w końcu dostatecznie długo, by umieć odczytać ton jego głosu. Jest przekonana, że mówił prosto z serca – nienawistnego, zazdrosnego, zatrutego, ale jednak serca. Mogłaby pójść o zakład, że P'tit wciąż żyje, a Ernest wie, gdzie on jest.

Rozdział 5

Vive la Rose

Od momentu pojawienia się strupów Arthur z dnia na dzień staje się coraz silniejszy. Czwartego września, uczepiony ramienia przyjaciela, kuśtykając, wychodzi z sypialni. Wygląda jak mumia opuszczająca piramidę. Spomiędzy włosów na głowie prześwitują łyse plamy. Czy on miał wcześniej taki wielki nos? Chyba nie. Dwutygodniowy zarost przesłaniający uszkodzoną skórę sprawia, że jest jeszcze bardziej niepodobny do siebie.

Blanche natychmiast do niego podbiega, chcąc ukryć zmieszanie. Jego strupy wydzielają słodkawy odór.

– Uważaj, wciąż mogę zarażać – ostrzega ją Arthur głębokim, gardłowym głosem.

Słyszając to, Blanche cofa się o krok.

Dopiero teraz dostrzega, że stracił prawie wszystkie rzęsy na prawym oku. Próbuje się uśmiechnąć, ale czuje na sobie uważne spojrzenie ciemnych oczu. Wygląda na to, że ją przejrzał.

– Jesteś głodny? – pyta, żeby przerwać ciszę. Usiłuje sobie przypomnieć, co jest w domu do jedzenia: kupiła masło, ale nie ma chleba... – Mogę wyskoczyć i coś ci przynieść. – Gorączkowo przeszukuje półki w niskim kredensie w poszukiwaniu dwudziestu metalowych kuponów do chińskiego baru na rogu.

– Nie jest w stanie przyjmować żadnych pokarmów stałych – gani ją Ernest. – Przydałaby się jakaś zupa.

– Zaraz przyniosę. – Może skoczyć do Duranda po zupę z koniny? Ten przepyszny bulion każdego Francuza postawi na nogi.

– I więcej lodu. Lodu z jeziora – zarządza. – Ten robiony maszynowo zostawia obrzydliwy osad.

Blanche przygląda się Arthurowi, który powoli siada przy oknie na wyplatany trzcina krześle. Wygląda tak, jakby dosłownie wszystko go bolało.

Z kąta na podłodze dobiega ciche pochlipywanie P'tita. Nauczył się już turlać, ale tylko w jedną stronę, dlatego zawsze kończy z twarzą przyklejoną do ściany. Każdego dnia opanowuje kolejną kłopotliwą umiejętność, jak gdyby nadrabiał stracony czas.

Blanche chwyta malca, podnosi go z podłogi i odgarnia mu z czoła rzadkie kosmyki włosów, żeby sprawdzić, czy nie nabił sobie guza na tej swojej bladej czaszce. Dociera do niej teraz, że nie da rady jednocześnie trzymać P'tita i nieść wazy z zupą.

– Strasznie tu cuchnie – stwierdza Arthur.

Jego słowa wprawiają ją w zakłopotanie: myślała, że wszyscy troje nie będą w ogóle poruszać kwestii fetoru wydzielanego przez chorego Arthura.

– To ten dzieciak – stwierdza Ernest.

Ach, o to chodzi...

– Nie dzieciak, tylko jego pieluchy z rana – poprawia go Blanche.

Z piersi Arthura wydobywa się skowyt przypominający ryk niedźwiedzia.

To pewnie reakcja na wzmiankę o pieluchach, myśli Blanche. Jednak w tym samym momencie dostrzega, że jej ukochany zapamiętałe drapie się po brodzie. Po chwili widzi, jak odpada strup, zostawiając na skórze pomarszczone, białe wgłębienie, jakby jakiś upiorny napastnik podrapał mu twarz paznokciami.

Ernest pochyla się nad nim i chwyta go za dłoń, blokując

mu ruchy. Wyglądają teraz jak dwaj marynarze siłujący się na ręce w jakiejś podłej spelunie, tyle tylko, że uścisk Ernesta jest delikatny – przyjaciel wcale nie chce uszkodzić pokrytej grudkami skóry.

– Muszę... – próbuje coś powiedzieć Arthur, ale Ernest przerywa mu w pół słowa.

– Byłeś przystojnym facetem – mówi – i znowu będziesz, jeśli tylko przestaniesz się drapać.

Blanche spogląda na podłogę, w miejsce, gdzie upadł strup, i nagle wszystko zaczyna ją swędzieć.

Arthur wypuszcza z siebie powietrze. Jego zwiotczale mięśnie lekko falują pod koszulą. Zamyka oczy i zgrzyta zębami, jakby zagryzał je na jakiejś niewidzialnej linii.

Niezmordowany P'tit znów zaczyna zawodzić. Blanche kołysze go w ramionach, nucąc mu do ucha:

*Chłopaki, nadchodzą dobre czasy,
Nadchodzą dobre czasy,
Nadchodzą dobre czasy.*

– Od tego twojego śpiewania głowa mi pęka tak samo jak od jego wrzasków – rzuca Arthur ze wciąż zamkniętymi oczami.

– Twój syn lubi muzykę – mówi Blanche, przerzucając się na walca.

– Wybierz jakąś inną *satané* melodię – wścieka się Ernest.

Blanche przerywa, dopiero teraz uzmysławiając sobie, co nuci: *Na latającym trapezie mknie bez trudu / Odważny młodzieniec ku uciesze ludu...* Chciałaby mieć odwagę śpiewać dalej. Chciałaby umieć przekonać Arthura, że P'tit powinien wiedzieć, kim był jego ojciec: wielkim artystą trapezowym, którego ubóstwiano. Chciałaby, żeby Arthur na nią spojrzął i skinieniem głowy dał jej przyzwolenie, by dumnie ciągnęła swą pieśń, tak jak niegdyś czynili to młodzi wyznawcy Léotarda.

Owszem, tamte czasy minęły bezpowrotnie, ale czy to oznacza, że trzeba o nich zapomnieć? *Najważniejsze, że przeżyłeś, chciałabyś móc powiedzieć Arthurowi. Należy się z tego cieszyć.*

Jednak kamienna twarz Arthura pozostaje nieprzenikniona.

Blanche buja P'tita na tyle szybko, by zakręciło mu się w głowie. Chłopiec się uspokaja, co oznacza, że chyba trafiła w dziesiątkę – kołysanie wyraźnie sprawia mu przyjemność. Ale jego upodobanie do wywijasów nie powinno dziwić, skoro jest dzieckiem artystów cyrkowych. Nawet jeśli nie odziedziczył po nich wdzięku i gracji.

– Zupa – ponagla ją Ernest, wskazując głową w kierunku ulicy.

Jego ton doprowadza ją do szału. Rzuca mu wściekłe spojrzenie.

– Do ciężkiej cholery, czyje to jest mieszkanie, co? Zapomniałeś, u kogo mieszkasz?

Oczy Ernesta płoną. Zwraca się w stronę Arthura, który podnosi wzrok – jego zmarszczone brwi tworzą dwa ostre łuki na nakrapianej masce jego twarzy.

– Mój przyjaciel – mówi cicho Arthur – ocalił mi życie, ryzykując swoje, podczas gdy ty bawiłaś się w macierzyństwo.

– Bawiłam się?

Arthur podnosi zdeformowaną rękę, krzywiąc się przy tym.

– Co było, to było. Nieważne. Niepokoi mnie natomiast co innego. Ten dzieciak ogłupił cię do tego stopnia, że najwyraźniej zupełnie zapomniałaś o potrzebie pracy zarobkowej.

Ernest przytakuje mu, kiwając głową jak pociągana za sznurki marionetka.

– Minęły ze trzy tygodnie, odkąd dała ostatni występ w House of Mirrors – zauważa.

– Dobrze wiesz, dlaczego nie wrócę do tej suki – mówi

Blanche, kierując te słowa wyłącznie do Arthura. – Poza tym nie potrzebuję, żeby Madame kramarzyła za mnie moim tyłkiem.

Arthur wzrusza ramionami, co wyraźnie sprawia mu ból.

– Cóż za godna podziwu postawa! – rzuca ironicznie. – W takim razie może wyjdiesz na ulicę i sama zaczniesz nim kupczyć?

– Przecież nocnik jeszcze nie jest pusty, prawda?

– Ale z pewnością nie jest pełny.

– Myślałam, że nie dbasz o pieniądze i wolisz żyć z dnia na dzień – kpi Blanche.

– Arthur woli żyć na poziomie – wtrąca Ernest.

– Arthur woli? Chyba chciałeś powiedzieć, że obaj wolicie, i to na mój koszt.

Arthur z trudem odchrząkuje.

– Może skupmy się na kwestiach praktycznych. Dlaczego w takim razie nie odezwałaś się do któregoś z tych twoich milionerów? Do magnata kolejowego? Albo do tego twojego wielkiego Sycylijczyka, jak mu tam? Lament? Limonka?

I po co to robi, przecież doskonale zna jego nazwisko.

– Bo byłam zajęta opieką nad twoim synem – odparowuje Blanche.

– Tik-tak, tik-tak. Zegar tyka – mruczy pod nosem Arthur.

– Nie zapominajmy, jak szybko – dodaje melancholijnie i krzywiąc się z bólu, wskazuje na samego siebie – może przeminąć nasza uroda.

Po prostu wyjdź z pokoju, mówi do siebie Blanche. Niech Ernest sam sobie idzie po tę pieprzoną zupę.

Ciężko stąpając, z dzieckiem na ręku wychodzi do sypialni. Do swojej sypialni, czy raczej do swojej byłej sypialni – w końcu jeszcze nie tak dawno to był jej pokój, zanim wypełnił go odór śmierci. Podchodzi do okna i otwiera je na oścież, żeby

zaczepnąć świeżego powietrza.

Arthur ledwie wywinął się spod kosi i bardzo powoli wraca do świata żywych, upomina samą siebie. Ma prawo być rozgoryczony. Po tym wszystkim, co zaszło, nic dziwnego, że wątpi w jej miłość. Oczywiście ona go kocha. Kocha go, odkąd tylko zrozumiała znaczenie słowa „miłość”. Ich uczucie po prostu chwilowo gdzieś zbłądziło, w czasach, których na pewno nie można określić mianem zwyczajnych.

– Zobacz, koniki – mówi do P'tita, pokazując mu przejeżdżający ulicą wóz.

Ale chłopiec odwraca głowę od okna i znów zaczyna pochlipywać.

– *Chut, chut* – próbuje przemówić do niego czułym, a nie znużonym tonem. *Zaślepiona matczyną miłością?* Dobry żart. Ten dzieciak doprowadza ją do szału równie skutecznie jak drzazga pod paznokciem.

Te wszystkie matki na ulicach, które pieszczą swoje dzieci – może tak naprawdę tylko udają? Jak ta dziewczyna z opowieści Jenny, która została zmuszona, żeby otworzyć żabie drzwi do własnego domu, nakarmić ją z własnego talerza i wpuścić do własnego łóżka. Co za koszmar: smuga śluzu na czystym prześcieradle.

Przez cały tydzień gorące powietrze wypełnia mieszkanie niczym ulatniający się gaz. Blanche ma wrażenie, że w chwili, gdy zakłada świeżą sukienkę, materiał natychmiast nasiąka potem. Ernest, od którego zalatuje dziwnym dymem, ciągle kursuje pomiędzy pokojami a ulicą, gdzie w beczce na ropę pali prześcieradła i ubrania. Arthur, powłócząc nogami, przechadza się po domu albo w milczeniu leży w sypialni i odpoczywa z dłońmi wciśniętymi pod pachy, żeby nie zdrapywać strupów.

Blanche bez przerwy ziewa. Chodzi wiecznie niewyspana,

ale P'tit nie pozwala jej się zdrzemnąć dłużej niż godzinę – porządny, głęboki sen stał się dla niej nieosiągalnym rajem.

Wkrótce Arthurowi odpada ostatni strup. Ernest tak dokładnie zdezynfekował sypialnię, że wciąż cuchnie w niej siarką. Cała pościel jest wymieniona, jednak Blanche nadal boi się położyć do łóżka. Tłumaczy sobie, że lepiej nie przeszkadzać rekonwalescentowi: nawet lekkim muśnięciem go podczas snu mogłaby zakłócić jego odpoczynek. Dlatego nadal okupuje sofę obok kufra P'tita.

Siódmego września, wieczorem, Arthur pyta, czy w domu jest wino. Blanche nalewa mu kieliszek, zachowując się przy tym tak uprzejmie, jakby byli dla siebie zupełnie obcymi ludźmi. Ma nadzieję, że jeśli będą działać ostrożnie, wszystko wróci do normy i między nimi znów będzie jak dawniej. Tak jak przed ospą. Jak przed jej wizytą na Folsom Street. Jak przed spotkaniem z Jenny Bonnet i tym jej przesłuchaniem. (Jenny nie pokazała się od tygodnia. Ostatni raz widziały się podczas spaceru w tamten upalny wieczór, kiedy nie wiadomo było jeszcze, czy Arthur przeżyje. Taka z niej przyjaciółka. W ogóle nie ma co na nią liczyć, bo ta dziewczyna jest jak liść wirujący na wietrze).

Trzęsącymi się rękami Arthur zakłada wyjściowy strój. Ernest pomaga mu przy wiązaniu halsztuka. Zapina perłowe guziki kamizelki. Na koniec zawiesza złoty zegarek z dewizką. Kiedy Arthur próbuje się uśmiechnąć, wygląda to iście groteskowo. Jego trędowną twarz nadal pokrywa gęsty zarost, ponieważ Ernest jeszcze nie pozwala mu się golić.

Blanche nie została zaproszona. Nie wie nawet, dokąd udają się jej kochankowie. Zastanawia się, czy dzisiejszego wieczora będzie im towarzyszyć Madeleine. Co prawda dobija już do trzydziestki, ale nadal ma twarz anioła, stwierdza

z ukłuciem zazdrości. Ma poczucie, że usidlona w domu, z dzieckiem na ręku, przestała się liczyć jako kobieta.

Nagle rozlega się głośny trzask: kolejna cholerna lampa! Widząc strzaskany klosz, Blanche biegnie, żeby zdmuchnąć płomień. Czyszczenie palników to jedna z tych czynności, których nikt dziś nie chce się podjąć. Mimo iż zapewniła wszystkich lokatorów, że Arthur już nie zaraża, to i tak patrzą na nią podejrzliwie za każdym razem, gdy mijają ją na schodach, a Gudrun nadal nie chce przekroczyć progu ich mieszkania.

P'tit, zamiast grzecznie położyć się spać, jest coraz bardziej ożywiony. Kiedy Blanche wraca z toalety, chłopiec stoi na nóżkach. Chwycił jeden z guzików na sofie – też sobie wybrał! – i się podciągnął. Pewnie każda normalna matka byłaby z niego dumna, dlatego w pierwszej chwili Blanche także próbuje wzbudzić w sobie uczucie dumy. Sęk w tym, że każda kolejna umiejętność zdobywana przez dziecko sprawia, iż coraz trudniej sobie z nim poradzić. Dlaczego nikt jej o tym nie powiedział – zresztą tak jak o wielu innych rzeczach dotyczących małych dzieci? Już w następnej sekundzie, co oczywiście było do przewidzenia, P'tit przewraca się z hukiem, uderza ramieniem o podłogę i zaczyna pisać jak okładana kijem foka.

Blanche podnosi go i sadza pomiędzy poduszkami. Już chce odejść od sofy, ale P'tit znów próbuje wstać, czepiając się jej brązowej spódnicy w grochy niczym marynarz wspinający się po linach na maszt albo raczej Quasimodo szarpiący liny olbrzymich dzwonów...

Blanche uwalnia się z uścisku małych paluszków.

– Przytrzymaj się tego – mówi, stawiając go przy stole i przyciskając jego rączki do stołowych nóg.

P'tit spogląda na nią podejrzliwie. Blanche robi krok w tył, posyłając mu uśmiech. Maluch zaczyna wyć, jeszcze zanim

obala się na podłogę niczym ścięte drzewo.

Za każdym razem, gdy usiłuje ułożyć go do snu, P'tit wychyla się ze swojej blaszanej skrzyni, jak gdyby planował ucieczkę z więzienia. Blanche nie może wyjść z pokoju. Boi się, że jeśli zostawi go samego, to chłopiec wypadnie. Przysiada więc na brzegu sofy.

– Czas już spać – cicho szepcze w ciemnościach.

Płacz P'tita tylko się wzmacza, przybierając coraz bardziej piskliwy ton. Blanche czuje, że dłużej tego nie zniesie. To takie niesprawiedliwe! Kuca przy skrzyni, chwytając głowę tego małego goblina, przybliża ją do swojej twarzy i wrzeszczy:

– *Ta gueule!*⁷⁰

Słyszając jej podniesiony głos, P'tit raptownie zastyga w bezruchu i tylko spogląda na nią ogromnymi, ciemnymi oczami. Lecz już po chwili zanosi się jeszcze głośniejszym płaczem i wyrzuca przed siebie ramiona. Zaskoczona Blanche odruchowo cofa się przed pękatymi nadgarstkami, myśląc, że malec chce chwycić ją za gardło i udusić. I wtedy nagle ją oświeca: przecież ten szlochający P'tit, mimo że cały się trzęsie z przerażenia, wyciąga do niej rączki w geście, jakiego nigdy dotąd nie wykonał, w geście, o który nigdy by go nie podejrzewała. Serce jej pęka. Jak to możliwe, że ten maleńki chłopczyk chce się w tej chwili do niej przytulić, skoro to przez nią łzy spływają mu po zaczerwienionych policzkach? Kto szuka ukojenia w ramionach tyrana? Ale P'tit obejmuje ją za szyję, jak tonący, który chwytają się kłody.

Jeżeli nie potrafi się nim zaopiekować, jeżeli nie umie choć tej jednej rzeczy zrobić jak należy, nie ma prawa dalej tego partaczyć. Powinna wziąć go na Portsmouth Square, posadzić na trawie i odejść, licząc na to, że ktoś się nad nim zlituje i go stamtąd zabierze. I nigdy się nie przyznawać, że miała dziecko,

nigdy nawet nie próbować nazywać siebie matką...

Ale na samą myśl o tym z całych sił przytula go do piersi. Ściśnięty P'tit zaczyna zawodzić jeszcze głośniej. Nie, nie mogłaby odejść. Ani teraz, ani nigdy.

Niemalże przyssany brzuszkiem do brzucha Blanche, maluch obejmuje wykrzywionymi nóżkami jej biodra, a jego główka znajduje bezpieczne schronienie na maminym obojczyku.

– *Nadchodzą dobre czasy* – ledwie słyszalnym szeptem nuci Blanche, bujając malca. – *Nadchodzą dobre czasy*. – Po prostu musi być lepiej, bo przecież gorzej już być nie może.

Taniec. Bez odrywania stóp od ziemi. Maleńkie ciało, tak ciężkie w jej zmęczonych ramionach. Jak podczas cyrkowej jazdy na oklep: płynne ruchy, rytmiczne, łagodne kołysanie. Ona śpiewa, on się uspokaja. Jej ciało faluje, jego ciało oddycha. Mięśnie Blanche już dawno powiedziały „tak”. W końcu w żyłach tego chłopca płynie jej krew, jego kości powstały z jej kości. Może nie jest piękny, ale jest jej. Jej własny.

Mijają godziny. Budzi ją szcęk klucza w zamku. Okazuje się, że oboje z P'titem, twarzą przy twarzy, zasnęli głębokim spokojnym snem, wyciągnięci na sofie.

– *Chérie?* – rozlega się głos Arthura.

Ciekawe, co pił, skoro znów jest wobec niej taki czuły. Blanche uwalnia się z uścisku małych rączek P'tita, siada prosto i uśmiecha się, mrużąc oczy przed światłem płynącym z lamp, które właśnie pozapalał Arthur.

– Przyprowadziliśmy gościa – oznajmia Arthur, któremu lekko płacze się język.

Staje przed lustrem wiszącym nad kominkiem i poprawia jadeitową szpilkę przy krawacie.

Jedno oko Arthura wciąż okalają krostki przywodzące na

myśl pęcherzyki kipiącego mleka. I w takim stanie ma ochotę na cudze towarzystwo?

– Ernest zaraz tu będzie, z przyjacielem.

– Znam go? – Blanche odruchowo podnosi P'tita i idzie z nim do ciemnej sypialni, przyciskając jego twarz do swojej, żeby nie zbudziło go światło i gwar. Kiedy kładzie malca na łóżku, czuje, jak wzbiera w niej uczucie poirytowania.

Wygrzebuje z szafy czysty gorset, nie widząc nawet, jaki ma kolor. Ale wszystko jedno, bo ostatnią rzeczą, na jaką ma o tej porze ochotę, jest roztaczanie swoich wdzięków przed jakimś *wspólnikiem*. Zależy jej jednak na tym, żeby pomóc Arthurowi, dlatego postanawia być uprzejma wobec gościa. Będzie jak dawna Blanche, a przynajmniej postara się przyzwoicie odegrać tę rolę.

Wciska spuchnięte stopy w eleganckie pantofle bez pięty.

Arthur otwiera butelkę brandy. Dopiero w jasno oświetlonym salonie Blanche widzi, że wybrała gorset w bladym odcieniu błękitu. Dostrzega też plamę na spódnicy i zaczyna skubać ją palcami. Jest już za późno, żeby się przebrać, ale wśród zdobiących materiał grochów ta mała kropka powinna zniknąć. Cóż, przynajmniej widać, że się postarała.

– Więc któż to taki ten...

Nie kończy jednak pytania, ponieważ w tym momencie drzwi się otwierają. Ernest, niczym napuszony majordomus, wskazuje gościowi drogę, wykonując przy tym teatralne wręcz gesty. Zawsze kiedy się upije, ma skłonność do przesady. Idący za nim Amerykanin jest niski i raczej zaniedbany, ale z drugiej strony przy Erneście każdy mężczyzna sprawia takie wrażenie. Mimo to musi być jakąś ważną osobistością, inaczej Arthur, który jeszcze nie doszedł do siebie, nie zapraszałby go do domu.

– *Enchantée* – wita się z Blanche, sunąc w jego stronę.

Mężczyzna handluje lodem z Alaski, w związku z czym w rozmowie pojawiają się wszystkie możliwe żarty dotyczące jego obecnych dochodów. Mimo pustki w głowie Blanche przypomina sobie, jak Ernest mówił o „obrzydliwym osadzie”, który zostawia lód robiony maszynowo. Kiedy cytuje jego słowa, Amerykanin parska śmiechem, jakby to był wyjątkowo błyskotliwy *bon mot*.

Nikt nie robi żadnych aluzji do pokrytej bliznami twarzy Arthura.

Blanche z trudem powstrzymuje ziewnięcie i z jeszcze większym wysiłkiem uśmiecha się do gościa. Kiedy wreszcie mężczyźni zaczną omawiać swoje nużące interesy i pozwolą gospodyni wymknąć się niepostrzeżenie?

W pewnym momencie przeprosza ich, tłumacząc, że musi na chwilę wyjść, po czym kieruje kroki wprost do pogrążonej w półmroku sypialni. Chce sprawdzić, czy P'tit nadal śpi na środku materaca. Jego maleńka szczeka porusza się nieustannie, jakby cały czas coś przeżuwał.

Po kilku sekundach zerka do salonu przez uchylone drzwi. Jeżeli o niej zapomnieli, już do nich nie wróci...

Ale Ernest, niczym jastrząb, bacznie śledzi ją wzrokiem. Gdy ich spojrzenia się krzyżują, przyzywa Blanche skinieniem głowy.

Arthur obejmuje ją w pasie i całuje w szyję, jakby spotkali się po wieloletniej rozłące. Jego bliskość przyprawia ją o drżenie, co próbuje skrzętnie ukryć. Przecież jest już zdrowy, powtarza sobie w duchu. Nie ma więc powodu się wzdragać.

– Bądź miła dla pana, dobrze? – szepce jej do ucha. W jego oddechu czuć alkohol. – Zatańcz dla niego.

Ten eufemizm dotyka ją do żywego.

– Nie teraz. Nie tutaj – mówi półgłosem, wciąż uśmiechając

się do Amerykanina.

– W takim razie idź z nim do sypialni – mruczy Arthur, nieznacznie odwracając głowę w tamtym kierunku.

– Nie o to mi chodziło – syczy przez zęby Blanche.

– Potrzebujesz do tego sceny?

– To jest mój dom, ja tu mieszkam.

– A co to za różnica?

Blanche nie potrafi tego wyjaśnić, ale czuje, że ten fakt ma znaczenie.

Ernest napełnia kieliszki.

– Nie zrzedź – szepce jej do ucha.

Pogawędka cichnie. Amerykanin posyła Blanche płochliwy uśmiech.

I wtedy Arthur łapie ją za sterczący pod gorsetem sutek, mocno ściskając go palcami. To na nią działa. Zawsze działało. Pod tym względem przypomina lampę naftową: wystarczy odkręcić zawór i od razu bucha płomień. Blanche natychmiast robi się mokra, co nie znaczy, że nie jest wściekła. Uderza go w rękę, strącając ją z piersi.

– Po co te ceregiele – tym razem Arthur nie dba o to, by zniżyć głos. – Już chyba trochę za późno na zgrywanie niewiniątka.

– Zwłaszcza – wtrąca Ernest – kiedy zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby...

– Trudu? – przerywa mu Blanche, spoglądając to na jednego, to na drugiego. – Przyprawdzacie jakiegoś śmiecia z ulicy i oczekujecie, że dla niego zatańczę?

Amerykanin lekko czerwienieje na twarzy.

– Bardzo pana przepraszam, ale został pan wprowadzony w błąd – zwraca się do gościa i władcym gestem wskazuje mu drzwi. Mężczyzna zaczyna się cofać do wyjścia.

Arthur chwyta ją za ramię.

– Kwadrans, to wszystko, o co cię proszę. Skoro odeszłaś od Madame Johanny, musimy sami szukać klientów. Moje inwestycje wymagają...

– *My* musimy?! – wykrzykuje Blanche. – Nie ma żadnego *my*. To *ja* was utrzymuję – was obu – jak jakieś dwa pasożyty.

Amerikanin czuje się wyraźnie skrępowany całą sytuacją.

– Nie chciałem – wtrąca – żeby z mojego powodu wywiązała się kłótnia. – Już chce opuścić mieszkanie, ale Ernest powstrzymuje go, ciągnąc za rękaw z delikatnością obronnego psa.

Arthur obrzuca Blanche zimnym spojrzeniem asymetrycznych oczu.

– Nie zapominaj, że ja też przynoszę do domu pieniądze, czasami całkiem spore...

– Ułamek tego, co idzie na twoje utrzymanie.

– No proszę, nie dość, że zachowujesz się jak kura domowa, to jeszcze zrobiła się z ciebie liczykrupa.

Na te słowa Blanche reaguje ostrym śmiechem.

– Kurwię się, żeby ci potem kupować garnitury i drogie kamienie, żeby finansować te twoje spekulacje...

– Kurwisz się? – powtarza zdziwiony Arthur, przekrzywiając na bok oszpeconą głowę. – Ależ moja droga, przecież ty się urodziłaś kurwą. To wszystko przychodzi ci naturalnie.

Blanche patrzy na niego z niedowierzaniem. Nigdy wcześniej jej tak nie nazwał.

– Chcesz z Arthura zrobić kłamcę? – cedzi przez zęby Ernest. – Upokorzyć go w jego własnym domu? Po tym wszystkim, co wycierpiał przez ostatni tydzień?

– Idę do łóżka – rzuca oschle Blanche.

– Ale najpierw rozłóżysz nogi przed naszym gościem – oznajmia Ernest.

Amerykanin mruży oczy, na poły zbulwersowany, na poły przerażony.

Blanche spogląda na swojego mężczyznę. Czy naprawdę pozwoli przyjacielowi w taki sposób się do niej odnosić?

– No to jak chcesz ją wziąć? – pyta Arthur zaskakująco radosnym, dopingującym wręcz tonem, zwracając się do Amerykanina ponad jej głową. – Na szczęście Blanche nie jest wybredna i nie kaprysi. Możesz ją rzucić na stół i wziąć od tyłu. A może wolałbyś ją na czworakach, jak sukę w rui? Ona lubi to robić w każdej pozycji.

Blanche jest w pełnym szoku. „Obrzydliwy osad” – tylko tyle pozostało z mężczyzny, którego kiedyś kochała.

Dumnym krokiem maszeruje do sypialni. Ale Ernest blokuje jej drogę swoimi długimi kończynami.

– Czyżby nie sprawiało ci przyjemności słuchanie o tym, co cię kręci? – pyta złośliwie. – Przecież uwielbiasz, kiedy się ciebie grzmoci na wszelkie możliwe sposoby. Z przodu, z tyłu, z boku. Jak zaszłaś w ciążę, Arthur narzekał, że byłaś wiecznie napalona. Bez przerwy ociekałaś sokiem jak dojrzały melon.

Blanche zamyka oczy, przełykając wstyd.

– Zerznęłabyś czarnucha w stogu siana – ciągnie Ernest. – Zerznęłabyś nawet kij od szczotki.

Ciekawe, czy tylko mnie tak nienawidzi, zastanawia się Blanche, czy wszystkich kobiet. – Dlatego przestań się sadzić i daj się zerznąć temu jankesowi.

Przed oczami tańczą jej czerwone plamy.

– A jak nie chcesz się pieprzyć, to klękaj i chociaż mu obciągnij.

Blanche Beunon z Cirque d’Hiver. Jak krętą drogę po równi

pochyłej upokorzenia musiała przebyć, żeby znaleźć się tu, na samym dole?

– Ona uwielbia kutasy. Kutas, kutas, kutas, tylko to jej w głowie – zapewnia Amerykanina, rozkoszując się dźwiękiem tego słowa. – Ma obsesję na ich punkcie. Widziała w życiu wiele *cigares* i każdy jej się tak samo podobał.

Mężczyzna cofa się w stronę wyjścia.

– Zostań, zostań – woła Arthur. – Ona daje ci do zrozumienia, że lubi, jak się ją bierze siłą. Zrobimy tak: ja i mój przyjaciel przytrzymamy ją dla ciebie, co ty na to?

– Zostawcie mnie w spokoju! – Blanche rozbieganym wzrokiem śledzi ich ruchy. Oni chyba całkiem powariowali!

– My też moglibyśmy się przyłączyć – nie daje za wygraną Arthur. – Będzie niezły ubaw.

I nagle z całą mocą dociera do niej, że im obu nie chodzi wcale o pieniądze. Oni chcą ją ukarać. Dlaczego tak dużo czasu zajęło jej zorientowanie się, co w głębi duszy Arthur o niej myśli? Dlaczego dopiero teraz zobaczyła, z kim naprawdę ma do czynienia: z bydlakiem udającym pełnego oglądy eleganta? Jest jak podziemna skała, którą można ujrzeć dopiero, gdy ziemia pęka.

– To może ja już lepiej sobie pójdę – płaczącym głosem prosi Amerykanin.

Blanche przysuwa się do niego, jakby chciała mu coś szepnąć do ucha.

Mężczyzna mruży oczy i patrzy na nią niemal z ufnością.

Ale ona, wykorzystując szansę, rzuca się do ucieczki, zwinnie omijając gościa – zupełnie jak za czasów, gdy chyżo podskakiwała na natartych kalafonią końskich grzbietach, jakby stąpała po nieruchomym, twardym gruncie.

Arthur dopada ją i łapie za nadgarstek, ale ona wyrywa się

z jego uścisku. Amerykanin wciska się pomiędzy ich dwoje i zaczyna protestować...

W tym ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważa, jak i kiedy Blanche ulatnia się z mieszkania. Stukając obcasami, zbiega po ciemnej klatce schodowej. Krew pulsuje jej w żyłach. Rozdygotana wypada na ulicę. Wciąga głęboko w płuca duszne powietrze nocy. Po chwili puszcza się pędem w dół Sacramento Street, mijając po drodze lampiony migoczące w oknach, ludzi beztrąsko bawiących się na werandach. Jakiś żebrak gra na... cylindrze? Blanche nie wie, dokąd biegnie. *Qu'importe*. Tak czy owak, jedno jest pewne: nie zamierza tu zostać ani chwili dłużej.

Jakieś dwie przecznice dalej przelatuje obok niej skrzecząca mewa i dopiero w tym momencie przypomina sobie o P'ticie.

– Pytanie: Kto ci naraił tę robotę?

Promienie wschodzącego słońca wpadają przez okno knajpki. Blanche mruży oczy. To była naprawdę długa noc. Tyle się wydarzyło, odkąd uciekła ze swojego mieszkania. Był leczniczy koniak, który kupiła jej Jenny po tym, jak wpadły na siebie w spelunie przy Clay Street. Potem były koktajle, a teraz jeszcze butelka czy dwie niezrównanego w smaku wina Duranda.

– Nikt mi nic nie naraił.

– No, daj spokój – nie ustępuje Jenny, uderzając dłonią w długi blat stołu na tyłach knajpki. – Chcesz mi powiedzieć, że tak zupełnie spontanicznie, sama z siebie zahaczyłaś się w branży, gdy tylko zeszałaś z parowca na ląd?

Jenny i Blanche jedzą śniadanie. Oprócz nich w knajpie nie ma nikogo. Inni goście wrócili do swoich codziennych spraw albo powlekli się do domów, żeby się trochę przespać. Ostatni kelner, który jeszcze został w pracy, wysypuje trociny na podłogę za ich plecami. Blanche już nawet nie chce się spać.

Jedyne, czego potrzebuje, to kolejny kieliszek wina.

– No więc jak to było, co? – napiera na nią Jenny.

– Właściwie nie pamiętam – przyznaje, czując, że słowa zaczynają jej się plątać.

– Sprawiasz wrażenie znudzonej całą tą zabawą, dlatego pytam.

– A myślisz, że to kiedykolwiek było interesujące zajęcie?

– irytuje się Blanche, kontemplując płamę na spódnicy w grochy. – Jak się widziało jednego nabrzmiałego *cigare*, to tak naprawdę widziało się je wszystkie.

– A nie przyszło ci do głowy, żeby to rzucić?

Blanche z trudem usiłuje skupić wzrok na twarzy Jenny.

– Masz coś przeciwko dziewczętom pracującym na ulicy?

– Nie, nie mam – odpowiada Jenny. – Nie podoba mi się tylko to, co ulica z nimi robi.

Blanche wzrusza ramionami.

– Fach jak każdy inny.

– Może, na krótką metę. Dopóki całkiem się nie zużyjesz.

Mówię tylko – Jenny celuje opalonym palcem w sam środek czoła swojej towarzyszki – że masz dużo więcej do zaoferowania niż tylko własny *cul*⁷¹.

Blanche nie wie, czy ma to potraktować jako przytyk, czy raczej komplement.

– Skąd ta pewność?

Jenny szczerzy zęby, jakby to była dostateczna odpowiedź.

– Co, uważasz, że powinnam wszystko rzucić i zacząć wieść żywot wagabundy, tak jak ty? – pyta Blanche szyderczym tonem.

Dziewczyna potrząsa krótko ostrzyżoną czupryną.

– Ale gdzie tam. Nie masz do tego powołania. Jakoś sobie nie wyobrażam Blanche śpiącej pod drzewem. Widzę cię raczej

w roli szefowej: albo sama sobie jesteś panią, albo rządzisz innymi.

Słowo „szefowa” wywołuje uśmiech na jej twarzy.

– A co byś powiedziała na założenie własnej akademii tańca? – tokuje dalej Jenny. – Na pewno byłabyś o klasę lepsza od tych wszystkich profesorów.

Blanche przewraca oczami, słysząc tak nedorzeczny pomysł.

– Żeby podebrać im klientów, musiałabym być najlepsza. *Crème de la crème*. A poza tym niby gdzie miałabym otworzyć tę moją akademię? Na żwirze pośrodku Union Square?

– Mogłabyś wynająć salę.

– Już widzę, co by na to powiedział Arthur.

Jenny prostuje się, słysząc jego imię.

– Pytanie: A co ma do tego...

– Koniec tego przesłuchania!

– Dobra, to będzie ostatnie pytanie: Wolałabyś mieć na głowie jedno dziecko czy trójkę?

Trójkę? No tak, już wie, do czego pije jej przyjaciółka.

– Te dwa palanty – zżyma się Jenny. – Para tłustych moskitów, które żłopią twoją krew...

Blanche jest tak wyczerpana, że trudno jej się przebić przez kłębowisko własnych myśli.

– Ciekawe, który z nich zmienia P'titowi pieluchę, Arthur czy Ernest?

– Może rzucają monetą – zaśmiewa się Jenny.

– Dobrze im tak. Niech przynajmniej przez jedną noc się nim pozajmują. Niech im zafajda spodnie! – Jednak mimo nonszalanckiego tonu robi jej się niedobrze. Czy ci dwaj zwleką się, żeby wpuścić dostawcę lodu? Bo jeśli nie, to w ociekającej wodą lodówce mleko P'tita może się popsuć. A jak zacznie nim

pluć, to czy przyjdzie im do głowy, żeby powąchać butelkę, czy od razu dojdą do wniosku, że dzieciak ma humory?

– Powinam już wracać – stwierdza i od razu trzeźwieje.

– Idę z tobą. Dobrze mi zrobi krótka drzemka – oznajmia Jenny, ziewając.

Dopiero teraz Blanche zauważa, że przy stoliku obok siedzi chłopak Duranda. To ten, który pilnował bicykla Jenny? A może nie? Może ten jest mniejszy? Dzieciak bawi się pistoletem. Lecz nie jest to żadna prawdziwa broń, tylko tania zabawka. Kiedy naciska spust, nie ma ani huku, ani zapachu prochu, za to z lufy wyskakuje mały metalowy ludzik i kopie w zadek kulącego się Chińczyka. Blanche marszczy nos. Że też ludzi coś takiego śmieszy...

Kelner uderza o drewno moką ścierką. Blanche w lot chwyta aluzję i zaczyna szukać portmonetki, ale okazuje się, że kiedy uciekała z mieszkania, nie zabrała torebki. Nie ma przy sobie nic oprócz kluczy na łańcuszku.

– Nie ma sprawy – mówi Jenny. – Dopisz to do mojego rachunku.

Wychodzą z knajpy. Blanche ma zeszywniałe nogi od całonocnego włóczenia się po Chinatown. Idzie chwiejnym krokiem, mrużąc oczy przed promieniami porannego słońca. Doprawdy ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę, jest powrót do domu. Ale trudno, musi się upewnić, że P'tit chociaż dostał butelkę.

Jeszcze dziś powinna porozmawiać z Arthurem, bez Ernesta, który jak zmija zawsze się wtrąca i mąci. Innym paniom lekkich obyczajów ich kochankowie też robią awantury. Słyszy się o nich dosłownie codziennie (prawdę powiedziawszy, słyszy się również i same awantury, wystarczy wyjść wieczorem na ulicę). To jednak nigdy nie dotyczyło

Blanche i Arthura. Do dziś. Zeszłej nocy zachował się jak jakiś oszalały knur. Chociaż tak naprawdę przecież nic się nie stało i prawdopodobnie w ogóle do niczego by nie doszło. Te wszystkie groźby były tylko na pokaz. Czczą gadanina, nic więcej. Po prostu chcieli zrobić wrażenie na kliencie. Arthur nie jest sobą. I nic dziwnego, po tym wszystkim, co przeszedł. W końcu ledwo wywinął się śmierci. A Ernest o mały włos nie stracił najdroższego na świecie przyjaciela. Trzeba na to wszystko wziąć poprawkę.

Najpierw muszę się przespać, powie wyniosłym, pełnym godności tonem, gdy tylko przekroczy próg mieszkania. A kiedy już wstanie, wezmą butelkę, usiądą przy stole i jak dwoje cywilizowanych ludzi porozmawiają o tym, co dalej.

Jenny cały czas idzie obok Blanche. W ręku trzyma gałąź, którą przeciąga po metalowym płocie, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Zupełnie jak dzieciak.

– Nie musisz ze mną iść.

– Nic lepszego nie mam do roboty – odpowiada Jenny. – Poza tym może przyda ci się dodatkowa para rąk, jeśli tamci dwaj nadal będą się pienić.

– Ty zawsze zwęszysz okazję do bójki, jak pies, który zawsze zwęszy kiełbasę – śmieje się Blanche. – Mam tylko nadzieję, że cały czas nosisz przy sobie swojego colta.

W jej tonie pobrzmiewa kpina, lecz Jenny klepie się po udzie, jakby chciała uspokoić przyjaciółkę. Pod materiałem spodni rysuje się wyraźna linia rewolweru.

– Arthur to wciąż mój mężczyzna – ostrzega ją Blanche.

– Skoro tak twierdzisz.

– To znaczy?

– Mnie się pytasz? – ripostuje Jenny.

– Przestań mi tu wzruszać ramionami. Potrzebuję, żeby mi

ktoś poradził, do cholery.

– Poradził? Ale co, chodzi ci o jakąś mądrą życiową sentencję?

– Jeśli akurat masz taką pod ręką.

– W takim razie ta będzie idealna: „Życie jest zbyt krótkie, żeby pić złe wino”.

Blanche spogląda na nią z ukosa.

Wchodząc na pierwsze piętro kamienicy pod numerem 815, przygotowuje argumenty. Powie Arthurowi, że może do niego wrócić, ale na określonych przez nią warunkach. Koniec z przyprowadzaniem do domu *michetons*. Poza tym od dziś ani on, ani Ernest nie mają prawa odnosić się do niej w taki sposób, jakby była brudem pod podeszwą ich lśniących butów.

Kiedy otwiera drzwi, uderza ją głucha cisza. Czyżby wszyscy jeszcze spali?

Od wczorajszej awantury nic się tu nie zmieniło. Tyle tylko, że nikogo nie ma. Sypialnia wciąż cuchnie środkiem odkażającym. Blanche podbiega do kufra. Pusto. Z wyjątkiem czarnej gałki upstrzonej zaciekami śliny.

– Gdzie oni się, do cholery, podziali?

Wyszli na drinka? Z dzieckiem? To absurdalne.

Walęsają się po ulicach i szukają jej, żeby zmieniła małemu zasraną pieluchę?

Wyczerpana pada na łóżko.

– Nie wiem, w co ten Arthur ze mną pogrywa – mówi sama do siebie.

– Mogę walnąć się na sofę? – woła Jenny z salonu, ziewając szeroko.

Blanche zanurza się w poduszkach, próbując ignorować unoszący się w powietrzu zapach siarki. Odrobina snu dobrze jej zrobi. Orzeźwi umysł, przekonuje samą siebie. Kiedy się obudzi,

Arthur i Ernest razem z dzieckiem na pewno będą już tu z powrotem.

Dookoła panuje absolutna cisza.

Nagle jacyś mężczyźni rzucają ją na stół, twarzą do blatu. Nie wie, ilu ich jest. Ich ruchy są pewne i zdecydowane. Czerpią przyjemność z własnej brutalności. Gdy odwraca głowę, żeby się im przyjrzeć, rysy ich twarzy rozpływają się i niczym wosk ze świecy kapią jej na uda i ramiona. Krzyczy przez sen, lecz nic nie może zrobić, nie może powstrzymać tej napierającej na nią siły, ucisku tego... właściwie czego? Co to za śliski przedmiot przebija ją od środka?

Gałka do drzwi! – uświadamia sobie, a z jej piersi wydobywa się tak głośny szloch, że natychmiast się budzi.

P'tit?

Nadal go nie ma.

Spieczone niebo okryło się całunem czerni. Czyżby nadciągało tornado? Blanche rozgląda się po mieszkaniu. Wszystko wygląda tak samo, tylko że jest potwornie ciemno, jakby świat, niczym kartka papieru zbyt długo trzymana nad płomieniem, powoli zaczął się osmalać. Na sofie leży Jenny. Całkiem nieruchomo. Jak trup, myśli Blanche. Dokładnie w tej samej chwili dziewczyna zaczyna mrugać oczami.

– Zrobiło się całkiem ciemno – mówi do niej.

– Wieczór ma to do siebie, że robi się ciemno – rzuca Jenny.

– Ale... – Czy to naprawdę możliwe, że przespały tyle godzin? Że odkąd wróciły do domu po śniadaniu u Duranda, minął cały dzień? A gdzie w takim razie są jej kochankowie? Przecież nie mogli przez cały ten czas szlajać się po mieście z P'titem. Blanche przychodzi na myśl Madeleine z tym jej mdłym uśmiechem. Czyżby poszli do niej i siedzą teraz w jej

mieszkaniu nad sklepem spożywczym przy Dupont Street? Wolna miłość... Ciekawe, czy ci dwaj przyjaciele od serca dzielą się właśnie tą dojrzałą blondyną, podczas gdy P'tit pochlipuje w jakimś kartonie na tyłach domu...

– Muszę go znaleźć – mówi stanowczym tonem.

– Arthura?

– Mojego syna!

Blanche jest już w połowie drogi do drzwi, lecz nagle się zatrzymuje. Przychodzi jej na myśl, że może powinna spakować kilka rzeczy, tak na wszelki wypadek. Wywleka spod łóżka starą pomarańczową torbę podróżną i wrzuca do niej kilka drobiazgów: gorset na zmianę, parę butów, parasolkę, kosmetyki do makijażu, małą torebkę, pieluchy dla P'tita, żeby go przewinąć, jeśli... kiedy go znajdzie. Pustą butelkę z czystym smoczkiem. I gałkę (choć na sam widok tego obślinionego kawałka drewna płonie jej twarz). Na razie więcej nie potrzebuje.

Wieczór upływa jej na wyczerpującej wędrówce po mieście. Zamazane, zlewające się w bezkształtną masę godziny bezowocnych poszukiwań: zagląda do kawiarni i barów, puka do drzwi palarni opium. Wypytuje o Francuza, który ma problemy z kręgosłupem, a jego twarz usiana jest świeżymi bliznami po ospie. Znosi wścibskie pytania i kpiące uśmiešky, gdy chce się dowiedzieć, czy ktoś przypadkiem nie widział dwóch mężczyzn z dzieckiem. Za każdym razem musi na wejściu zapłacić ćwierć dolara z powodu absurdalnego zarządzenia zakazującego kobietom wstępu do barów w godzinach wieczornych.

Dopiero około północy, gdy udaje jej się przekupić półdolarówką czarnego jak smoła odźwiernego w salonie gier dla nieco lepszej klienteli, wreszcie dostrzega plecy Ernesta ubranego w czarną marynarkę, który pochyla się nad stołem do

faro. Obok niego stoi Arthur. Jego twarz wciąż wygląda fatalnie, jakby go ktoś oblał kwasem.

Na niewielkiej scenie gruba sopranistka wykonuje *Una Voce Poco Fa*, najlepiej jak potrafi. Blanche przeciska się przez różnobarwny tłum: kilku Murzynów, Meksykanie, kobiety, nawet Chińczycy – muszą być z nich naprawdę wytrawni hazardziści, skoro zostali wpuszczeni do klubu dla białych. Żałuje, że ma na sobie zupełnie niedobry kolorystycznie strój: znoszony błękitny gorset w ogóle nie pasuje do brązowej spódnicy czy jaskrawożółtych pantofli na obcasie. Blanche doskonale wie, jak gra się w faro – tylko jedna talia kart i dziecinnie proste zasady: obstawiasz, kładąc żetony na jedną lub parę kart ułożonych po kolei na specjalnej planszy. Jej zdaniem to rozrywka równie zajmująca co grzebanie w zębie wykałaczką. Podobnie jak wszystkie gry hazardowe, faro jest w tym mieście zabronione. I pewnie dlatego cieszy się taką popularnością, inaczej, o czym jest święcie przekonana, nikomu nie chciałoby się w to grać.

Wycięcie w blacie stołu sprawia, że przykrywające go zielone sukno wygląda jak spódnica oplatająca w pasie szkockiego krupiera.

– *L'une pour l'autre* – woła krupier do graczy. –
Rozpoczynamy grę.

Blanche zbiera się na odwagę i klepie Arthura po ramieniu. On jednak nie odwraca głowy od chwiejących się stosów żetonów, co oznacza, że musiał widzieć, jak ona wchodzi na salę. Wciąż trzyma w ustach cygaro, choć już dawno zgasło. Na jego oliwkowych policzkach nadal widoczne są plamy bieli, odciski palców zachłannej śmierci. Jest ogolony, lecz niezbyt dokładnie. Może to Ernest wziął do ręki brzytwę, bo żaden golibroda nie chciał podejmować takiego ryzyka. Wąsy krzywo

przycięte, ale wypomadowane. Jednym słowem – twarz niczym maska kukły wykonanej z *papier-mâché* na jakąś meksykańską fiestę.

Blanche rozgląda się za Jenny, która jak się po chwili okazuje, nadal stoi przy drzwiach, gdzie doszło do głośnej wymiany zdań pomiędzy nią i odźwiernym.

– Arthur... – próbuje ponownie. Zauważa, że przy dewizce do zegarka ma talizman, którego nigdy wcześniej nie widziała: węże owinięte wokół krwawnika. Ciekawe, kto mu to dał?

– *Double paix-paroli* – woła w kierunku krupiera zwycięzca tej rundy, zginając karty w pół.

– Arthur! – Blanche jest coraz bardziej natarczywa, ale wciąż jeszcze nie podnosi głosu. – Gdzie zostawiłeś P'tita, skoro jesteś tutaj i urządzasz sobie hulanki?

– No, to już jest szczyt wszystkiego – mruczy pod nosem Arthur.

– Potwory, obaj jesteście potworami! – syczy przez zęby Blanche.

– I kto to mówi? – ironizuje Arthur. – Ta dziwka – zwraca się do Ernesta na tyle głośno, by pozostali gracze go usłyszeli – porzuciła swoje dziecko. – Blanche mimowolnie oblewa się rumieńcem, widząc, jak pewna obwieszona brylantami stara wdowa posyła jej pogardliwy uśmiech. – A kiedy ja podjąłem odpowiednie kroki, żeby zapewnić temu dziecku, mojemu dziecku, dobrobyt i należytą opiekę, ona nazywa mnie potworem.

Teraz to *jego* dziecko?

– Możemy kontynuować, panowie? – pyta krupier.

– *Kroki?* – powtarza Blanche, szepcząc mu wprost do ucha. – Jakie kroki? – Pewnie obaj szybko się zmęczyli rykiem P'tita i całym tym jego smrodem, więc żeby się pozbyć kłopotu,

wcisnęli go jakiejś doktor Hoffmanowej.

– A co cię to obchodzi?

– *Masque* – mówi Meksykanin.

– *Sept-et-le-va* – decyduje siedzący obok niego gruby facet.

– Wcale go nie porzuciłam – oponuje Blanche. – Nie było mnie tylko przez jedną noc. I to z waszej winy nie mogłam zostać w domu, wy wstrętne bydlaki! Więc mów, do cholery, gdzie jest P'tit?

Jenny przeciska się przez tłum i staje obok przyjaciółki.

– *Quo ça pue!*⁷² – wykrzykuje Ernest, pociągając nosem. – Wdepnąłeś w coś, Blanche? Zalatuje żabą.

– Och, jakiś ty zabawny – odparowuje Blanche.

– Wygląda na to, że zbyt dobrze ją traktowałem – zwraca się Arthur do swojego kompana, poprawiając kolumny żetonów.
– Po prostu ją rozpuściłem.

– Jeśli chciałyby do nas wrócić, to tylko na naszych warunkach – oznajmia Ernest spokojnym, wyważonym tonem.

– Po pierwsze, będzie musiała pogodzić się z naszą Prusaczką – oświadcza Arthur. – Po drugie, oczekiwałbym, że natychmiast weźmie się do roboty i zacznie przynosić do domu pieniądze.

– No i musi odnosić się do ciebie z należytych szacunkiem – dodaje Ernest.

– Do mnie i do mojego przyjaciela.

– I do wszystkich naszych gości.

Blanche i Jenny spoglądają po sobie.

– Dobra, żarty się skończyły. Gdzie jest dzieciak? – pyta dziewczyna kategorycznym tonem, przebijając się przez gwar panujący przy stole.

– Przerwywają państwo grę – zwraca im uwagę krupier.

– Ale przede wszystkim będzie musiała się pozbyć tej

przeklętej diablidy – dodaje Arthur.

Blanche aż gotuje się z wściekłości.

– *Va te faire foutre!*⁷³ – spluwa mu pod nogi.– Jenny to mój jedyny przyjaciel na tym świecie.

Jenny spogląda na nią z zagadkowym wyrazem twarzy.

Blanche nie wie, jak ma go odczytać, ale nie zamierza ani cofać wypowiedzianych przed sekundą słów, ani się z nich tłumaczyć.

– Oczywiście ostateczna decyzja należy do ciebie – zaczyna Arthur – ale jeśli chcesz zobaczyć swojego ukochanego P'tita...

Do tego momentu Blanche była pewna, że wróci do Arthura. Zawsze do niego należała, od chwili, gdy jako dziewczynka oniemiała z wrażenia na widok Castora i Polluxa latających pod olbrzymim, kolorowym sufitem cyrku. Ale teraz, kiedy z jego ust padła zawołana groźba, ta pewność ją opuściła, zsunęła się z jej duszy niczym bransoleta, w której popsuło się zapięcie. Nachyla się do niego i niemal muskając ustami jego pomarszczoną skroń, mówi:

– Jesteś żalonym sukinsynem i wołałabym zebrać na ulicy, niż do ciebie wrócić.

Mogłaby przysiąc, że na twarzy Arthura pojawia się cień, bo dociera do niego, że ją stracił. Ale trwa to zaledwie ułamek sekundy i już po chwili odzyskuje pewność siebie.

– Tak się akurat składa – mówi, unosząc brwi – że zastanawiam się nad powrotem do domu.

Ernest wyciąga zegarek ze złotą dewizką.

– Noc jest jeszcze młoda, *mon vieux*...

– Zabawne, że nazywa to mieszkanie swoim domem – mówi Jenny do Blanche – skoro cały budynek należy do ciebie.

Krupier mechanicznie bębni placami o obleczony zielonym suknem blat.

– Gramy albo pasujemy, panowie – rzuca zniecierpliwiony.

– Miałem na myśli Francję – wyjaśnia Arthur.

Słyszając to, Blanche nagle czuje, że cały jej świat rozpada się na kawałki. Spogląda na Ernesta, chcąc się przekonać, czy to jego sprawka, lecz na jego zapadniętej twarzy maluje się wyraz absolutnego zdumienia. Najwyraźniej słyszy o tym pierwszy raz.

– To *foutu* miasto zrobiło z ciebie typową amerykańską harpię – mówi do niej Arthur oskarżycielskim tonem. – Kiedy wrócę do Paryża, znajdę sobie prawdziwą kobietę, ot tak – dodaje, pstrykając palcami.

Na pewno blefuje, jest o tym święcie przekonana. Przecież zawsze wychwalał pod niebiosa to Miasto Wolności, dlaczego więc miałby chcieć wracać do kraju, gdzie nie ma dla niego żadnych perspektyw, zwłaszcza z tak pokiereszowaną twarzą? To z jego strony całkowicie nieprzekonująca wolta, czysta improwizacja mająca na celu wystraszenie jej. Pewnie liczy na to, że padnie przed nim na kolana, rozepnie mu rozporek i zacznie błagać o przebaczenie, całując przy tym jego mięsistego penisa.

– Inną kobietę? Z taką twarzą? – zadziornie dopytuje Jenny.
– Fuj, co za straszidło! Możesz się ustroić świeczkami, ale choinka to z ciebie nie będzie.

Arthur odpycha ją, warcząc:

– Ty lepiej wracaj do tego swojego bagna.

– W takim razie *bon voyage*⁷⁴ i krzyżyk na drogę – mówi Jenny – ale najpierw oddaj tej damie jej cholernego syna.

– Chciałaś powiedzieć „mojego” syna – poprawia ją Arthur.

– A skąd ta pewność? – syczy przez zęby Blanche.

Mięśnie jego twarzy napinają się, kiedy w pełni do niego dociera, co przed chwilą powiedziała.

To oczywiście kłamstwo, lecz nie mogła się oprzeć pokusie. Chciała zobaczyć jego minę, gdy to usłyszy.

– Ty suko, masz czelność sugerować, że... – zaczyna Ernest, ale Arthur ucisza go gestem dłoni.

– Te wszystkie kaprysy Blanche... Myślisz, że nie wiem, kto za tym stoi? – mówi, przenosząc płonący wzrok na Jenny. – Nie dość, że dziwadło jakich mało, to jeszcze wtyka nos w nie swoje sprawy i rozbija od wewnątrz szczęśliwie egzystującą wspólnotę.

Czy tym właśnie byli? *Szczęśliwie egzystującą wspólnotą?* Życie, jakie razem wiedli, zanim tamtego sierpniowego wieczora zderzyła się z bicyklem Jenny, wydaje jej się teraz odległą przeszłością, do której już nie ma powrotu.

Ponad ich głowami milczący krupier daje znaki odźwiernemu.

– Ona też jest kurwą, wiesz – oznajmia Arthur Ernestowi.

Blanche już chce mu powiedzieć, że to słowo przestało na niej robić jakiegokolwiek wrażenie, ale spostrzega, że on patrzy nie na nią, tylko na Jenny.

– Ludzie mówią, że właśnie tak zarabiała na chleb, jak jeszcze nosiła kiecki.

To niedorzeczne. Dlaczego mężczyźni zawsze zakładają, że każda kobieta, która zwraca na siebie choć odrobinę uwagi, jest do wynajęcia?

– Wierzysz we wszystko, co mówią ludzie? – pyta szyderczym tonem.

– Chyba mylisz mnie z jakąś inną Jenny Bonnet – wtrąca Jenny, lekko szczerząc zęby.

– *Jamais de fumée sans feu* – deklamuje Arthur. – Nie ma dymu bez ognia – pociąga nosem, jakby wdychał unoszący się w powietrzu zapach.

– Wyobraź sobie, że miałbyś zapłacić jakąś forszę za skosztowanie czegoś takiego – wyje ze śmiechu Ernest.

Żaden z nich nie wierzy w te absurdalne plotki o Jenny, teraz to widać jak na dłoni, myśli Blanche. Nie, oni po prostu chcą jej utrzyć nosa.

– Czy moglibyśmy wreszcie wrócić do gry? – niecierpliwi się grubas.

Wzrok krupiera spoczywa na gorylach, którzy przeciskają się przez tłum, torując sobie drogę do ich stołu. Blanche chwytając Jenny za ramię.

– Wałach! – ryczy Arthur na tyle głośno, że słyszy go co najmniej połowa gości w saloonie. – Możesz sobie paradować po mieście w ubłoconych portkach, ale nie zapominaj, że i tak musisz usiąść, żeby się wysikać.

Jenny wybucha śmiechem.

– I to ma być twój as w rękawie? Naprawdę myślisz, że nie śpię po nocach, marząc tylko o tym, żeby móc się odlać na stojąco?

Arthur zaczyna nucić falsetem:

Wśród dziewcząt zrobisz furorę, a juści!

Gdy tylko wąs ci się puści.

– Wydaje ci się, że usycham z żalości, bo nie mam tego, co wy, faceci? – pyta Jenny, ale Arthur nie przerywa, śpiewając coraz bardziej piskliwym głosem.

Każdej przypadniesz do gustu, a juści!

Gdy tylko wąs ci się puści.

– Uwierz mi, przykleiłabym sobie sztuczne, gdybym tylko uznała, że gra jest warta świeczki. – Jenny podchodzi do niego, chwytając jego nawoskowany wąs i podkręca go.

Pięść Arthura szybuje w górę, ale Jenny w ostatniej chwili uchyla się przed nią i tanecznym krokiem, z błyskiem w oku, schodzi z linii ciosu. Lecz już w następnej sekundzie dwaj goryle docierają do stołu i wyprowadzają Blanche i Jenny za

drzwi.

Tydzień później. Piętnasty września. Blanche pospiesznie oddala się od budynku, który jeszcze do niedawna należał do niej. *Zwolnij*, powtarza sobie. *Wygląda na to, że nikt nie zamierza dzisiaj do ciebie strzelać*. Arthur wyjechał, co prawda nie wiadomo dokąd, ale na pewno opuścił miasto. Tak powiedział przed chwilą Ernest, tonem zbyt zbolalym, by mogło to być kłamstwo.

Mija liczną grupę robotników z warkoczykami, którzy niosą deski i liny. To pewnie nowi lokatorzy Low Longa. Blanche odwraca za nimi głowę i widzi, jak jeden za drugim znikają w drzwiach budynku numer 815. Ich jeansowe ogrodniczki przywodzą jej na myśl Jenny.

Starzy lokatorzy poszli, oznajmił jej przed kwadransiem Low Long, *nowi lokatorzy zaraz przychodzą*. Ciekawe, gdzie się podzieli dawni mieszkańcy kamienicy – faceci z Korfu, Irlandczycy, Chińczycy, dwie Szkotki, no i Gudrun – kiedy Low Long wyeksmitował ich bez uprzedzenia? Czy wszyscy będą mieli gdzie spać dzisiejszej nocy? Cóż, dzisiaj Blanche, gwiazda sceny, szykowna właścicielka domu, która wynajmowała im pokoje, niczym się od nich nie różni.

P'tit. Jego twarz to jedyny obraz, którego może ucześcić się myślami. Jenny nie żyje, ale P'tit jedynie zaginął. Kilka minut temu Ernest mówił o nim tak, jakby jej syn żył, jakby to było coś oczywistego. Wprawdzie nie ma żadnego powodu, żeby mu ufać, ale lata znajomości i wsłuchiwanie się we wszystkie możliwe odcienie jego głosu pozwalają jej wierzyć mu na słowo. Jest zatem szansa, że mogłaby odzyskać swoje dziecko, jeżeli tylko jakimś cudem uda jej się naprawić to, co tak bezmyślnie

zepsuła dziś rano, gadając o winie Arthura. Najwyraźniej Ernest chce tylko, aby poszła jutro na posiedzenie sądu i odszczekała swoje zeznania – oczyściła dobre imię Arthura, przekonała przysięgłych, że wszystko, co powiedziała detektywowi Bohenowi o żadnych zemsty eks-kochankach, to tylko wymysły rozhisteryzowanej kobiety. Łatwizna! Kto jak kto, ale Blanche la Danseuse nigdy nie bała się publiczności.

Gęste, upalne powietrze zaczyna przypominać swą konsystencją gąbkę. Gdzieś z oddali dobiega echo grzmotu. Blanche co chwilę ma wrażenie, że czuje na skórze pierwszą kroplę deszczu, ale to tylko jej własny pot. Czy ta pogoda się wreszcie zlituje i San Francisco doczeka się jakiejś odświeżającej burzy? Chłodne mgły, którym Miasto Mgieł zawdzięcza swój przydomek, muszą wisieć gdzieś tam nad zatoką, czekając, aż ponownie będą mogły zawładnąć tymi wzgórzami. Są tak blisko, tak blisko. Jak ekstaza, która nieubłaganie pozostaje poza twoim zasięgiem, ponieważ jesteś w łóżku z nieodpowiednim mężczyzną...

Dokąd powinna się teraz udać? Ulubienica miasta nie ma nawet dość pieniędzy w portmonetce, żeby wynająć sobie pokój. Jenny by się nieźle uśmieła. (Jenny śmiała się z tylu różnych rzeczy). Teraz to Blanche jest włóczęgą. Nie ma dachu nad głową. Jej jedyna przyjaciółka leży w kostnicy zakładu pogrzebowego Gray's kilka przecznic stąd, a ona nie jest w stanie zebrać się na odwagę, żeby tam pójść. Nie zostało jej nic oprócz nadziei na to, że może jeszcze kiedyś zobaczy swoje dziecko.

Widzi kobietę z maluchem na ręku, który gaworzy i ssie piąstkę. Jest młodszy od P'tita, ale za to grubszy, a jego różowa od ciepła buzia wygląda zdecydowanie zdrowiej. Blanche odwraca wzrok. Gdzieś tam, przy którejś z tych stromych ulic,

ukryty w jakimś domu w bocznej alejce, jest jej P'tit. Minęło zaledwie osiem dni, odkąd w ucieczce przed Arthurem i Ernestem wybiegła z mieszkania, zapominając zabrać ze sobą synka. Prawdę powiedziawszy, w szaleńczym ataku paniki na moment zapomniała, że w ogóle ma dziecko. Osiem dni temu ostatni raz trzymała na rękach P'tita, chociaż on właściwie nigdy nie przepadał za jej dotykiem. Osiem dni – dla dorosłej kobiety to tyle co nic, ale dla maleńkiego dziecka to całkiem sporo. Czy pamięta swoją *Maman*, która wyciągnęła go z Folsom Street i zajmowała się nim dzień i noc – jak długo? W sumie jakieś dwa i pół tygodnia?

Blanche odgania myśli uparcie ciągnące w stronę P'tita. Musi skupić się na bardziej przyziemnych problemach. Co z dzisiejszą nocą? Gdzie będzie spała?

Oczywiście wciąż ma znajomości, z których może skorzystać. To tylko kwestia wybrania któregoś ze stałych klientów i odezwania się do niego w taki sposób, żeby jej propozycja zanadto nie pachniała desperacją. Właściwa odpowiedź nasuwa się sama: Lamantia, L'amant de Blanche – jak Sycylijczyk sam lubi o sobie mówić – jej najbardziej oddany wielbiciel, który oferował Madame Johannie *niemałą kwotę* tylko za to, by pomogła mu ją odnaleźć. Blanche błyskawicznie podejmuje decyzję.

Rzuca się w pościg za mijającym ją konnym tramwajem i wskakuje na stopień, obcasem brudnego pantofla prawie przydeptując sobie brzeg spódnicy. Poprawia torbę podróżną na ramieniu, z obrzydzeniem myśląc o tych kilku marnych szmatkach, które ma w środku. Ale to w tej chwili jej cały dobytek, więc raczej nie powinna wyrzucać torby do rynsztoka tylko po to, by móc jechać dalej z pustymi rękami.

Wysiada na Market Street. Biuro Lamantii mieści się

naprzeciwko fontanny, którą w zeszłym roku, z myślą o miejskich koniach, ufundował ktoś, kto ponoć w dzieciństwie był gwiazdą estrady. (Blanche znów staje przed oczami mała Jenny, cała we wstążkach, tańcząca w krynolinie dla górników. Ciekawe, czego jeszcze o niej nie wiedziała? Co to za przyjaźń, kiedy jedna strona nie chce podzielić się z drugą nawet najdrobniejszymi faktami ze swojego życia?) Zbiornik pod ogromną kolumną z jakiejś podróbki brązu jest dziś oblegany przez młodych chłopców, a także kilku dorosłych facetów, którzy przepychają się, żeby wstawić głowę pod strumień wody wypływający przez lwią paszczę. Dawniej mieszkańcy San Francisco oddawali do tej fontanny mocz, czym się ogromnie szczycili, ale teraz, w te upalne dni, tłoczą się wokół niej, żeby łyknąć choć odrobinę wody, jakby to była najlepsza brandy.

Blanche przechyla swoją zieloną parasolkę i patrzy w górę, na podłużne okna granitowego budynku, w którym bez wątpienia znajduje się teraz Sycylińczyk. Siedzi zapewne przy swoim mahoniowym biurku i poci się nad cenami towarów importowanych, dokładnie tak, jak to robi każdego dnia z wyjątkiem niedziel, kiedy odwiedza matkę. Czy Lamantia śni właśnie na jawie, marząc o swojej *bella bianca*, swoim ślicznym, białym kwiatuszku? Czy zdążył już przeczytać o niej w doniesieniach prasowych dotyczących incydentu w San Miguel Station?

Pod ścianą budynku dostrzega dwóch dzielnicowych. Przez krótką chwilę ma wrażenie, że to ci sami, których razem z Jenny próbowały przekupić w zeszły poniedziałek na Waverly Place. Upewniwszy się, że nie patrzą, chwytając przechodzącego obok chłopca z włosami ociekającymi wodą z fontanny i pyta go:

– Doręczysz komuś wiadomość?

Chłopak natychmiast wyciąga ku niej mokrą rękę.

– Zapłacę ci, jak sobie zasłużysz – syczy Blanche. – Wejdź przez te wielkie drzwi i zapytaj o Signora Lamantię. Nie przekazuj wiadomości nikomu innemu, tylko szefowi, rozumiesz?

– Jakiej wiadomości? – pyta chłopak, wycierając ręce o koszulę.

Blanche nie ma przy sobie ani pióra, ani kawałka papieru, zresztą Lamantia woli nie dostawać niczego na piśmie.

– Powiedz mu, że... że pod jego oknem czeka biały kwiat. *Gamin* parska śmiechem. Blanche daje mu po uchu.

– Powtórz.

– Biały kwiat pod oknem.

– Masz to przekazać tylko szefowi, nikomu innemu, bo inaczej nie dostaniesz ani centa.

Blanche staje w miejscu, w którym będzie ją dobrze widać z okna, a torbę zręcznie ukrywa za spódnicą. Zaczyna kręcić zalotnie parasolką i stara się robić wrażenie, jakby zupełnie przypadkiem znalazła się tej w okolicy.

– Szuka pani towarzystwa? – mruczy jakiś przechodzień w meloniku.

Ale ona nie zwraca na niego uwagi. Udaje, że słucha pijaczka, który właśnie, pluskając się w fontannie, zaczął śpiewać jakąś pieśń religijną.

Nagle podskakuje, czując na sobie czyjś dotyk. A, to tylko ten chłopak, którego wysłała do Lamantii, ciągnie ją za rękaw. Odruchowo odtrąca jego rękę.

– Mówiłem: „proszę pani”, ale pani nie słyszała.

– Już dobrze – stwierdza Blanche, uspokajając oddech. – I jaką dał odpowiedź?

W duchu przygotowuje się na najgorsze, na jakąś upokarzającą wymówkę w stylu „mam nawał pracy” albo „może

przy bardziej sprzyjającej okazji”... Być może fakt, że jego ulubiona tancerka jest zamieszana w sprawę morderstwa, wystraszył Lamantię i teraz nie będzie chciał się pokazywać na ulicy w jej towarzystwie.

– Hotel „Palace”, za kwadrans – wyrzuca z siebie chłopak, ruchem głowy wskazując gigantyczny gmach górujący nad całą okolicą. Rękę wciąż trzyma wyciągniętą w oczekiwaniu zapłaty, chociaż Lamantia na pewno już go szczerze wynagrodził.

– Nie przeciągaj struny – ostrzega Blanche.

Pieniądze z całego miasta płyną dziś na południe. Nowo zbudowany hotel „Palace” przy Market Street jest jak wielki otwór odpływowy, który wciąga całe to bogactwo. Największy hotel na świecie wznosi się niczym skała rozświetlona siedmioma tysiącami okien. Zbliżając się do szerokiego wejścia, Blanche otrzepuje spódnicę i usiłuje przybrać pewną siebie postawę.

Na ścianach wisi mnóstwo wielkich obrazów przedstawiających malownicze pejzaże. W holu aż się roi od starych milionerów w cylindrach oraz uprzedzająco grzecznej, czarnoskórej obsługi we frakach i białych rękawiczkach. Panuje tu niemal absolutna cisza, ponieważ tureckie dywany skutecznie tłumią większość hałasów. Co ciekawe, we wnętrzu jest całkiem chłodno; Blanche ma wrażenie, jakby wkroczyła do olbrzymiej lodówki. Jak oni to robią?

Zniżonym głosem zamienia kilka zdań z recepcjonistą, który stoi za błyszczącym kontuarem.

– Zgadza się, Signor Lamantia pokryje wszystkie koszty... Tak, już kiedyś byłam waszym gościem – zapewnia go, choć w rzeczywistości jest tu pierwszy raz. Madame z reguły organizuje takie schadzki w hotelach położonych bardziej na północ, bliżej House of Mirrors.

– Aha, Signor Lamantia prosi też – dodaje jeszcze – żeby od razu przysłać mu na górę butelkę szampana.

Oczywiście recepcjonista natychmiast orientuje się, że Blanche należy do kategorii, jak niektórzy dyplomatycznie to określają, *fille de joie*, czyli dosłownie „dziewczyna do zabawy”. Wprawdzie trzyma swoją zakurzoną torbę podróżną na tyle nisko, żeby nie było jej widać zza kontuaru, ale nie jest w stanie ukryć strupa na prawym policzku – śladu po wczorajszej nocy, kiedy w powietrzu latały odłamki szkła.

Wreszcie wsiada do jednej ze słynnych wind, która wiezie ją na siódme piętro. Zaczyna jednak odczuwać dziwny niepokój.

– Wszystko działa na wodę – odzywa się jadący z nią bagażowy. Mówi z jakimś niezidentyfikowanym akcentem; Blanche domyśla się tylko, że mężczyzna pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża. Patrzy na niego w milczeniu.

– Woda pcha nas do góry – dodaje bagażowy. – Napęd hydrauliczny.

Blanche nadal nie ma pojęcia, o czym ten człowiek do niej mówi.

– Mamy też pneumatyczne rury do przenoszenia paczek... Blanche zamyka oczy i to go ucisza.

Okna korytarza na siódmym piętrze wychodzą na wewnętrzny, tonący w zieleni dziedziniec hotelu, gdzie podjeżdżają powozy z gośćmi. Blanche kręci się w głowie. Mrużąc oczy, spogląda na kopułę z matowego szkła, która w tak jasny dzień jak dziś wygląda jak olbrzymie słońce.

Kiedy bagażowy wpuszcza ją do pokoju, Blanche rozgląda się po nim nonszalancko, jakby bywała już w większych i lepiej urządzonych apartamentach. Mężczyzna wciąż stoi przy wejściu, wyraźnie czekając na napiwek, ale ona go ignoruje. W końcu wychodzi, trzaskając za sobą drzwiami.

W środku panuje przyjemny chłód, ponieważ grube, aksamitne zasłony w wykuszowym oknie skutecznie blokują promienie słońca. Wszystko jest wykonane z drewna: palisander, heban, drewno tekowe... Pokój musi mieć pewnie ponad cztery metry wysokości. Jest w nim cicho jak makiem zasiał.

Blanche korzysta z wypolerowanej na błysk toalety ze spłuczką i zawczasu wkłada tampon nasączony kwasem karbolowym. Niestety, nie zdąży się już porządnie wykąpać, więc tym razem musi jej wystarczyć, że umyje się gąbką.

Rozebrana do naga staje przed jednym z wielu lusterek i patrzy na siebie krytycznym okiem, zastanawiając się, ile jest w stanie zdziałać przed przybyciem Lamantii. Mogłaby przebrać się w pomarańczową spódnicę w prążki, którą ma w torbie, ale to ostatnie czyste ubranie, jakie jej zostało. A co, jeśli Lamantia wejdzie, kiedy ona będzie w trakcie poprawiania makijażu? Cóż by to była za niezręczna sytuacja, gdyby zapracowany kupiec musiał czekać, aż będzie gotowa, by zrobić na nim odpowiednie wrażenie. To tak, jakby przed przedstawieniem wpuścić publiczność do garderoby.

Ale nagle przychodzi jej do głowy pewien pomysł: fakt, że nie ma co na siebie włożyć, uczyni swoim atutem. Szybko zabiera się do dzieła. Zmywa z twarzy makijaż mokrym, puszystym ręcznikiem i rozpuszcza włosy, mierzwiąc palcami swoje ciemne loki. Postawi dziś na świeży, naturalny wygląd – to będzie coś nowego. Jej kostiumem będzie nagość. Jeżeli Lamantia się tego po niej nie spodziewa, tym lepiej. Czasami mężczyźni płacą przede wszystkim za to, żeby ich czymś zaskoczyć.

Wskakuje pod szeleszczącą kołdrę. Łóżko w hotelu „Palace” okazuje się najwygodniejszym pościeleniem, na jakim kiedykolwiek leżała. Z drugiej strony po całej serii nieszczęść,

które ją spotkały w ciągu ostatniej doby, pewnie byłoby jej równie przyjemnie na stogu siana. *Tylko nie zasypiaj, przestrzega samą siebie. Musisz być gotowa...*

Nagle budzą ją czyjeś głosy. To Lamantia rozmawia z bagażowym przy drzwiach. Blanche postanawia udawać, że śpi słodkim snem niewiniątka.

Wie, że on podchodzi na palcach do łóżka i patrzy na nią. Nachyla się tak blisko, że czuje na twarzy jego gorący oddech, czuje zapach mortadeli, którą jadł na lunch. Lamantia wolno zsuwa kołdrę z jej pleców. Często mężczyźni chcą, aby kobieta czuła na sobie ich wzrok, ale czasami lubią mieć świadomość, że patrząc na jej ciało, sami pozostają niezauważeni.

Blanche odczekuje jakąś minutę, po czym zaczyna się przeciągać i mrugać oczami. Śpiąca Królowa najpierw udaje chwilowe zdezorientowanie, a potem uśmiecha się szeroko do swojego wysokiego, ciemnego, przysadzistego księcia, który wydaje się jeszcze potężniejszy niż wtedy, gdy widziała go ostatnim razem. Lamantia zawsze jest gładko ogolony, ale o tej porze jego twarz okala już cień popołudniowego zarostu.

– *Amoruccia mia!*⁷⁵ – szepcze, składając pocałunek na jej policzku. – Tyle tygodni, moja najdroższa! Gdzie się podziewałaś?

A zatem nic nie wie, że jest zamieszana w sprawę morderstwa. Blanche nie ma najmniejszego zamiaru mu o tym opowiadać ani tłumaczyć, z jakiego powodu sama dzisiaj do niego przyszła, nie korzystając z pośrednictwa Madame Johanny. Żeby uniknąć dalszych pytań, zamyka mu usta pocałunkiem. W końcu ma robotę do wykonania.

To jeden z jej trików – tworzenie iluzji, że wszystko dzieje się nie dlatego, że *micheton* tego pragnie, ale dlatego, że ona, bezbronna, przygryzająca wargę z podniecenia, rozpaczliwie

tego potrzebuje. Tutaj, teraz. Jej pożądanie jest tak niepohamowane, że w każdej chwili może zacząć krzyczeć tak głośno, aż usłyszy ją cały hotel, no chyba że on – ten jeden konkretny mężczyzna, który jako jedyny z wszystkich mężczyzn na świecie posiada tę tajemną moc – rozchyli jej gładkie, perłowe uda i zerznie ją do nieprzytomności.

Lamantia nie zdążył nawet zdjąć ubrania. Blanche zręcznie przekręca się na plecy i zaczyna się poruszać w taki sposób, aby miał wrażenie, że każde pchnięcie jego długiego *cigare* odpycha ją coraz dalej i dalej na ogromnej pościeli łóżka. „Och!” Wystarczy zwykłe wygięcie pleców; to nic w porównaniu z tym, co potrafiła zrobić w czasach, gdy pracowała w cyrku. Zwisając głową w dół, opiera się dłońmi o podłogę, żeby nie spaść. (Deski są dobrze polakierowane, zauważa mimochodem, i wypolerowane pastą o cytrynowym zapachu). Ta poza przypomina jej numer, w którym grała porwaną Sabinę, niesioną z rozwianym włosiem przez najbardziej astmatycznego kuca, jaki występował w cyrku. Blanche odnajduje wzrokiem błyszczącą listwę przy drzwiach, zerka na lśniący żyrandol i zaczyna sobie wyobrażać, że galopuje przed siebie, dalej i dalej, i dalej... „Ach! Ach!”

Czuje, że Lamantia już niedługo skończy; powoli zaczynają finiszować. Blanche wyłącza tykający w jej głowie zegar i zaciska *cul*, jakby starała się odeprzeć każde pchnięcie. Czasami na jeden dzień, czasami nawet na tydzień zapomina, jak bardzo jej to potrzebne. Żeby ktoś ją wykorzystał, ujarzmił, rozbił i uformował na nowo. Sycylińczyk oczywiście nie umywa się do Arthura Deneve. Nie ma w sobie tej jego bezwzględnej precyzji. (Jest zła na siebie, że nadal myśli o Arthurze w ten sposób, że przywołuje w pamięci jego masywnego penisa i zręczne palce). Ale Lamantia daje jej to, co mężczyźni dają

kobietom, i chyba więcej jej nie trzeba, prawda?

Blanche wydaje z siebie niegodny prawdziwej damy, ohydnie gardłowy dźwięk. Lamantia zaczyna łkać jak mały chłopiec przerażony własną brutalnością, lecz mimo to grzmoci ją jeszcze mocniej. Blanche zawsze daje dobre przedstawienie, ale bycie artystką nie oznacza wcale sprzedawania fikcji – jeszcze nigdy nie musiała udawać. Od dnia, w którym Arthur nauczył ją to robić, za barakiem dla słoni, nic w życiu nie smakowało jej tak bardzo jak seks. To uczucie bycia wypełnioną po brzegi, które zagłusza wszelką myśl, ten ruch o sile rozpędzonego parowca, ten szaleńczy mazurek dla dwojga. I właśnie na tej sile autentyzmu Blanche zbudowała swoją legendę. Pochłania każde fizyczne odczucie i wyśpiewuje je niczym arie operowe; chwyta z całych sił każdy impuls i burzy nim mury, nie zostawiając kamienia na kamieniu. Ernest powiedział kiedyś, że „kutasy to jej obsesja”, jej żywioł i sens istnienia. Brzmi to okropnie, ale jest w tym ziarno prawdy. Mężczyźni są dla niej narzędziami, których używa dla własnej przyjemności. Teraz tańczy, tańczy nad krawędzią, aż wreszcie spada w łaskawą ciemność...

W końcu oboje łapią oddech.

Lamantia opiera się na łokciu i nalewa szampana do kieliszków. Ale z niego burzuj, myśli Blanche. Sycylijszyk z zadowoleniem oblizuje wargi, dumny z tego, że na to jedno popołudnie oderwał się od rzędów liczb, by pójść do łóżka z Kobietą Pchłą.

Blanche dyskretnie wymyka się do łazienki, żeby się podmyć, ponieważ nie do końca ufa samemu tamponowi. Kwas karbolowy tak bardzo szczypie w skórę, że z ust wymyka się jej zduszone syknięcie. Zawsze musiała to robić, i w domu, i z klientami, bo większość mężczyzn wzbrania się przed lepkiem

uściskiem gumowej prezerwatywy. Zawsze starała się zabezpieczać bardzo solidnie. P'tit to jedyny wypadek, jaki jej się w życiu przydarzył.

Jutro rozprawa sądowa. Jeżeli zrobi dokładnie to, czego zażądał od niej Ernest...

Ale nie wolno jej myśleć o P'ticie i o tym, czy uda się go odzyskać. Nie tutaj, nie teraz. Wszystko po kolei.

– *Bella bianca* – mruczy Lamantia, gdy Blanche wraca z łazienki. – Co sobie zrobiłaś w tę swoją prześliczną buzię?

Blanche posyła mu uśmiech, gdy on przesuwając palcem po jej małym skaleczeniu na policzku.

Przez chwilę zastanawia się nad wymijającą odpowiedzią, ale szybko odrzuca ten pomysł. Lamantia z pewnością prędzej czy później usłyszy o morderstwie, a on nie znosi, gdy się go okłamuje. Już nieraz zdarzało mu się robić sceny zazdrości, kiedy wymawiała się chorobą, ale on podejrzewał, że umówiła się na spotkanie z innym klientem. Dlatego przybiera lekko zbolaną minę i mówi cicho:

– Ja... to był kawałek rozbitej szyby. Ktoś zastrzelił moją przyjaciółkę przez okno. Na moich oczach.

Jego krzaczaste brwi unoszą się gwałtownie.

Smutek Blanche jest autentyczny, a jednak czuje się, jakby coś udawała.

– Piszą o tym w gazetach – dodaje. – To się stało w San Miguel Station.

– Jestem zbyt zajęty, żeby czytać gazety – tłumaczy łagodnie Lamantia. – Co to była za przyjaciółka?

– Jenny Bonet – nazwisko przyjaciółki ledwo przechodzi jej przez gardło. – Łapała żaby dla właścicieli restauracji.

– Ta stuknięta dziewczyna w spodniach?

A więc słyszał o niej.

Lamantia wygłasza jakąś gniewną tyradę po włosku, z której Blanche nie rozumie prawie ani słowa.

– Myślałam, że nie masz czasu czytać gazet – stwierdza cierpko.

– Ta twoja tak zwana przyjaciółka – Lamantia z powrotem przechodzi na angielski, gładząc ranę na jej policzku, jakby próbował ją zmazać – wciągnęła cię w kryminalne towarzystwo...

– Przecież to nie Jenny pociągnęła za spust! – wybucha Blanche i natychmiast zamyka usta. Jeśli nie zapanuje nad swoim gniewem, wszystko zepsuje. Nie może zapominać, że jest tu po to, żeby zarobić pieniądze.

Opada więc na kremowe poduszki i zaczyna cicho łkać, chociaż oczy ma zupełnie suche. Po chwili Lamantia kładzie rękę na jej plecach.

– Naprawdę nie chciałbym, żebyś się mieszała w takie rzeczy – mówi, delikatnie ją głaszcząc. – Prasa może zrujnować ci reputację...

Blanche z trudem tłumi śmiech. Jakby było jeszcze coś do zrujnowania!

– Rozumiem, że moje nazwisko nie trafi do gazet w związku z tą sprawą?

– Oczywiście, że nie – mamrocze Blanche. Egocentryzm mężczyzn nie zna granic!

Pozwala, by nalał jej jeszcze jeden kieliszek, żeby ją pocieszyć. Zmrożony szampan ma gorzki posmak. Lamantia powoli zaczyna się zbierać; nigdy zresztą nie został z nią na noc. Blanche nie wie, czy ma żonę, czy po prostu boi się o to, co by powiedzieli jego pracownicy, gdyby dwa dni z rzędu pokazał się w biurze w tej samej koszuli. Z jednej strony cieszy się, że on już idzie – wreszcie będzie mogła się porządnie wyspać – ale

z drugiej czuje się lekko urażona tym, że tak szybko się nią nasycił. Choć, jak na jej gust, większość mężczyzn zbyt szybko opada z sił. (Ale nie Arthur; on może ujeżdżać ją przez całą noc. *Dosyć tego*, beszta samą siebie. Czy naprawdę nie ma dość godności, żeby przestać wreszcie wzdychać do mężczyzny, który próbował ją zabić?)

Sycyliczyk kładzie kilka banknotów na błyszczącym stoliku nocnym. Ponieważ jest lojalnym, stałym klientem, Blanche pozwala mu zapłacić tyle, ile uzna za stosowne; z doświadczenia wie, że wielkoduszność się opłaca. Ale wkrótce będzie potrzebowała większych środków, żeby urządzić się w jakimś nowym mieszkaniu i odtworzyć od zera swoją garderobę. (Osobny pokój dla P'tita? Może też dla mieszkającej razem z nimi niani? *Nie waż się o tym teraz myśleć, Blanche!* Jej nadzieja rzuca się jak pies, który z całych sił próbuje zerwać się z łańcucha).

– Możliwe, że jutro będę tańczyć w House of Mirrors – napomyka, uświadamiając sobie, że to prawda. Nie ma co udawać: nie jest w stanie wymyślić szybszego sposobu na zdobycie większej sumy pieniędzy – może zarobić prawie trzysta dolarów w jeden wieczór. Musi więc przełknąć dumę i dać jeszcze jeden, ostatni występ, skoro Madame zaproponowała jej za to taką górę pieniędzy.

Spodziewa się, że Lamantia przyjmie te wieści z zadowoleniem. Jej klienci z reguły uwielbiają patrzeć, jak tańczy przed tłumem facetów, którzy nie mogą jej mieć po występie. Czasami odnosi wrażenie, że tak naprawdę płacą jej nie za *rendez-vous* w pokoju hotelowym, ale za prawo do tego, by przerwać jej taniec, ściągnąć ją z piedestału i potraktować jak każdą inną, zwyczajną kobietę. A mimo to pociąga ich samo widowisko, cała ta tajemnicza otoczka...

Ale tym razem okrągła, szczeniasta twarz Lamantii nie rozjaśnia się tak, jak tego oczekiwała.

– Naprawdę chciałbym, żebyś już z tym skończyła, najdroższa.

– Trzeba jakoś zarabiać na chleb – odpowiada niepewnie Blanche.

– Może Madame i ja moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia. Tak. – Teraz faktycznie się ożywia, podekscytowany własną śmiałością. – Gdybyś była skłonna zachować pełną dyskrecję... Może moglibyśmy umówić się na bardziej prywatny układ, na wyłączność...

Jak tłumaczyła dziś rano Madame, nigdy nie chciała być niczyją utrzymanką. Ale wtedy jeszcze była przekonana, że posiada inne zasoby, jak chociażby prawo własności pięciopiętrowego budynku przy Sacramento Street. W tej chwili nie ma nic. Gdy pomyśli o tym, że nie musiałyby sama znajdować sobie mieszkania, szukać klientów... Taka wizja wydaje się niezwykle kusząca – pozwolić komuś innemu przejąć nad wszystkim kontrolę. A jeżeli ktokolwiek miałby zapewnić jej bezpieczeństwo, to chyba właśnie Lamantia, prawda?

Blanche czuje ucisk w gardle. Czy powinna mu zaufać i od razu wyznać całą prawdę? Opowiedzieć o dziecku, o tym, że zostało uprowadzone przez ojca i że Ernest szantażem zmusza ją, by jutro okłamała koronera, bo w przeciwnym razie nigdy więcej nie zobaczy P'tita?

Nie. Jej przesądna natura bierze górę. Ma jakieś dziwne przekonanie, że jeżeli wypowie na głos imię syna, już nigdy więcej o nim nie usłyszy.

Poza tym te wszystkie komplikacje mogłyby odstraszyć Lamantię. Mężczyźni zaczynają inaczej patrzeć na ciało kobiety, gdy dowiadują się, że był taki moment, kiedy rozciągnęło się

i rozdarło, żeby wypchnąć główkę dziecka.

Postanawia więc grać na zwłokę.

– Obawiam się, że Madame już nie rozporządza moją osobą – mówi cicho. – Ona i ja... nasze drogi się rozeszły. Tak naprawdę jutro po raz ostatni pojawię się na scenie w House of Mirrors.

– Ach, tym lepiej – stwierdza Lamantia. – Jesteś za dobra dla tego motłochu. A więc postanowione. Pozwól mi zaopiekować się tobą tak, jak na to zasługujesz.

– Czuję się trochę przytłoczona – odpowiada Blanche, zresztą zgodnie z prawdą. – Będę musiała się poważnie zastanowić nad tą propozycją...

– Wczoraj w nocy mogłaś zginąć – przypomina Lamantia, wymachując jej przed nosem grubym paluchem.

Blanche wie, że to przedsmak tego, jak męczące mogłoby być życie w roli kochanki tego człowieka.

– Powinnaś potraktować to jako znak, że czas odciąć się od podejrzanego towarzystwa, od tych wszystkich szumowin, które krążą po tym mieście – dodaje Sycylińczyk. – Oferuję ci możliwość rozpoczęcia nowego życia.

Nie wspomniał jednak, ile dolarów dostawałaby od niego co miesiąc. W tej eleganckiej grze, w jaką razem grają, nigdy nie było miejsca na rozmowę o pieniądzach. Jeśliby miała całkowicie oddać się w ręce tego człowieka, musiałyby najpierw znać dokładne kwoty.

Mruży oczy i rzuca mu lekko zamglone spojrzenie, jakby ponownie rozproszyło ją pożądanie.

– Będiesz jutro na widowni? – mruczy, gładząc drobnymi palcami jego gorącą dłoń.

Wczesny ranek, poniedziałek, jedenasty września. Blanche leży z szeroko otwartymi oczami w cuchnącym hotelowym pokoju przy Commercial Street, gdzie spędziła ostatnie trzy noce. W zasadzie to nie hotel, tylko raczej dom schadzek; co godzinę ze snu wyrywają ją hałasujące na korytarzu dziewczęta, które wleką się na górę ze swoimi klientami. Przez cały czas rozmyśla o P'ticie, zastanawia się, czy ktoś go bierze na ręce, gdy zaczyna płakać. *A może dali mu coś na uspokojenie?*

Od czasu tej potwornej awantury przy stole do faro nie ośmieliła się nawet zajrzeć do swojego domu. *Jesteś żalonym sukinsynem i wolalabym żebrać na ulicy, niż do ciebie wrócić*, wykrzyczała Arthurowi prosto w twarz. Ach, jak przyjemnie było usłyszeć dźwięk tych słów. Okazuje się jednak, że miała w ręku za słabe karty, żeby składać tak wielkie deklaracje. Powinna była zabezpieczyć mieszkanie, ubrania i pieniądze, zanim zrobiła mu awanturę. (Dlaczego nie przyszło jej do głowy, żeby zabrać chociaż zaskórniaki ukryte w starym bucie, gdy w piątkowy wieczór wybiegła z Jenny na ulicę szukać swoich kochanków?) Przede wszystkim jednak powinna była pomyśleć o P'ticie. Okazać skruchę i grzecznie poczekać, aż Arthur sam wyjawi, jakie to *kroki* poczynił w celu zapewnienia dziecku opieki. Co ona sobie myślała, rzucając im rękawicę, podczas gdy oni wciąż mieli P'tita?

To właśnie dlatego kobiety nie wszczynają wojen, myśli z pogardą o całej płci pięknej. Wszystko przez te cholerne bachory.

Usiłuje opracować możliwie najlepszy plan działania. Znajac Arthura... ale czy naprawdę go zna? Tego rozwścieczonego mężczyznę z pooraną bliznami twarzą? Jak najmądrzej to rozegrać? W nocy Arthur i Ernest się upiją. Rano pójdą spać. Po południu, zmarnowani po całonocnym pijaństwie,

będą leczyć kaca. Jak długo powinna czekać, aż przejdzie im złość? Jeśli za bardzo się pospieszy, zaczną ją poniżać, tak jak w saloonie, gdzie grali w faro. Jeśli natomiast zbyt długo będzie z tym zwlekać... Czy rzeczywiście było choć ziarno prawdy w przechwałkach Arthura o powrocie do Francji, gdzie zamierza sobie znaleźć *prawdziwą kobietę*? Każdy kolejny dzień oczekiwania na odpowiednią chwilę przepełniony jest zzerającym ją od środka strachem o P'tita. Zastanawia się, gdzie przebywa, co się z nim dzieje, czy dobrze się nim opiekują. I dochodzi do wniosku, że chyba nie wytrzyma kolejnych dni w takim zawieszeniu.

Jeśli wytropi Arthura i Ernesta w jakimś barze albo przy stole hazardowym, musi się liczyć z tym, że potraktują ją bezczelnie, zwłaszcza kiedy będą mieć taką publiczność. Jeśli jednak zdecyduje się na powrót do mieszkania – i znów znajdzie się z nimi dwoma sam na sam – zdobędą nad nią całkowitą przewagę. W końcu ostatnim razem Arthur zaproponował Amerykaninowi, że ją dla niego przytrzymają i chętnie się przyłączą. Nie, nie, musi porozmawiać z nim w cztery oczy, ale najlepiej to zrobić w miejscu publicznym.

Kilka godzin później stoi na Sacramento Street, spoglądając w okna na pierwszym piętrze. Przecież to jej własna kamienica, z rozgoryczeniem powtarza sobie w myślach, dlaczego więc czai się na zewnątrz jak jakiś włamywacz?

Bo musi się dowiedzieć, kto jest w mieszkaniu. Czeka na Arthura. Chce go zdybać, kiedy wreszcie będzie sam, bez tego złośliwca, który zawsze go podburza. Jak tylko zobaczy, że wychodzi z budynku albo idzie ulicą w stronę domu, natychmiast rzuci się w jego kierunku i patetycznie, wręcz

teatralnie, zda się na jego łaskę. W skrytości ducha liczy na to, że już znudził go ten misternie skonstruowany blef, a jeśli nie, to spróbuje mu to wmówić. Spróbuje wykorzystać jego próżność, jego pragnienie bycia panem sytuacji. I nieważne, jak okrutne słowa padną z ust Arthura pod jej adresem, najważniejsze, żeby powiedział, w którym zakątku tego dusznego, parującego miasta jest teraz ich syn. Z wdzięcznością uwolni go od owego ciężaru: zabierze P'tita i już nigdy więcej nie będzie musiał oglądać ich obojga.

Stojąca obok niej Jenny podnosi czapkę i zadziera głowę, mrużąc oczy. I znowu zaczyna się wiercić. Ta dziewczyna nie potrafi spokojnie ustać ani chwili – Blanche zauważa to dopiero teraz, bo nigdy wcześniej nie czekały razem tak długo w jednym miejscu.

Wiszący na szerokim niebie sierp księżycy wygląda jak kiczowaty element tandetnej dekoracji.

Blanche znów przenosi wzrok na okna swojego mieszkania.

– Widziałaś? – pyta Jenny.

– Co? – Blanche aż podskakuje z wrażenia.

Dziewczyna wskazuje kciukiem na krzywo przyklejony plakat na ścianie za ich plecami, z napisem: „Ewangelina – burleska”.

– Fakt, przysnęłam na tym w połowie – stwierdza Jenny – ale muszę przyznać, że tryskający wodą wieloryb był pierwsza klasa.

Blanche odchyła parasolkę i zerka na jasne okna. P'tit. P'tit. Jego imię pulsuje jej w skroniach niczym krew pulsująca w żyłach.

Jenny podrzuca czapkę i łapie ją, wystawiając łokieć. Za drugim razem czapka wiruje w powietrzu, a ona wygina szyję i po chwili nakrycie głowy elegancko ląduje na jej

kruczoczarnych włosach.

Na rogu Dupont Street spora grupka robotników otoczyła kołem mężczyznę, który stoi na skrzyni i zdiera sobie gardło. Do uszu Blanche docierają strzępy monologu: „imperium zła” i „szkodliwe nitki makaronu” – czy aby na pewno dobrze słyszy?

– Nie chcą tu żółtków – wyjaśnia Jenny, podążając za jej wzrokiem.

Ochrypli mężczyzna zaczyna piąć:

– Drżycie, kapitaliści, bo oto nadszedł kres waszych rządów!

Jeden ze słuchaczy klaszcze niemrawo.

– Otworzyli bramy – ciągnie dalej uliczny mówca – przed azjatyckimi robotnikami i teraz srogie macki tej orientalnej zarazy oplatają każdy zakątek tego miasta. Wkrótce przedstawiciele klasy pracującej powstaną i wypalą tę zarazę żywym ogniem, a ulice miasta spłyną krwią.

Jego przemówienie nie wzbudza wielkiego entuzjazmu wśród zgromadzonych. W tym upale mieszkańcy San Francisco ledwo znajdują siłę, żeby podłubać w nosie, myśli Blanche, a już na pewno nie w głowie im podkładanie ognia!

Arthur, Arthur, wzywa go w myślach, wpatrując się w okna na pierwszym piętrze. Czy to możliwe, że nadal ją kocha, choć odrobinę, na swój perwersyjny sposób? Że trzyma P'tita jako przynętę, próbując ją nakłonić do powrotu? Musi mieć jednak świadomość, że po słowach, jakie między nimi padły, i po tym wszystkim, co między nimi zaszło, nie będą mogli żyć dalej ze sobą tak, jakby nic się nie stało. Tylko dlaczego miałby chcieć jej powrotu, skoro uważa ją za ucieleśnienie najgorszej tandety?

Jenny, jak gdyby czytała jej w myślach, zaczyna nucić pod nosem starą francuską balladę:

– *Mardi i' r'viendra m'voire. O gai! Vive la rose!* – Wróci, żeby się ze mną zobaczyć we wtorek. Hej, niech żyje róża!

Blanche oczywiście dobrze zna wesołe słowa tej piosenki, ale nie jest w nastroju, żeby się przyłączyć.

– *Mais je n'en voudrai pas. Vive la rose et le lilas!*⁷⁶ – słodko szczebioce dalej Jenny, jakby była jakimś ptakiem, który siedzi na gałęzi i rozkoszuje się promieniami słońca ogrzewającymi jego pióra.

Czy można jej wierzyć na słowo, tej dziewczynie z piosenki? – zastanawia się Blanche. Czy to prawda, że nie przyjmie go z otwartymi ramionami, gdy wróci do niej na kolanach? A może po prostu dziewczyna zawsze tak mówi, kiedy rzuci ją facet?

– A ty? Miałaś kiedykolwiek złamane serce? – pyta, odwracając się do Jenny, na co ta tylko szczyrzy zęby w uśmiechu i z trzaskiem wyłamuje sobie palce. Blanche nienawidzi tego dźwięku.

– No proszę, jaka z ciebie śliska ryba. Nie tak łatwo złapać cię na haczyk.

– No mam nadzieję – odpowiada Jenny. – Takie ryby jak ja nie trafiają na patelnię.

Poirytowana Blanche wypuszcza powietrze. Już widzi, że dziś będą sobie tylko działać na nerwy. Jeśli tak ma wyglądać przyjaźń, to po co jej ona? Nic dziwnego, że do tej pory trzymała się z dala od tego typu relacji.

– Nie powinnaś teraz być gdzie indziej? – rzuca złośliwie, chwilę odczekuje, po czym dodaje: – Łapać jakichś żab?

– Wczoraj dostarczyłam kilka worków komu trzeba – zapewnia ją Jenny.

– To jest wyłącznie moja sprawa – oświadcza Blanche. Cały czas bacznie obserwuje okna i drzwi, wyglądając Arthura.

Nie chce, żeby Jenny była świadkiem jej poniżenia, żeby patrzyła, jak się płaszczy przed byłym kochankiem tylko po to, by odzyskać P'tita. – Nie musisz się w to mieszać. Nikt od ciebie tego nie oczekuje.

– A wiesz, coś mi się przypomniało – zaczyna Jenny, zupełnie ignorując jej słowa. – Znasz historię o żabie, która zaprzyjaźniła się z myszą?

– Nie, ale coś mi mówi, że zaraz ją poznam.

– „Hej – woła żaba – a może przypieczętujemy naszą przyjaźń, przywiązując moją nogę do twojej? Co ty na to?”

Blanche mimowolnie śmieje się pod nosem.

– Mysz daje się przekonać – ciągnie Jenny – i obie, podskakując, każda na jednej nodze, udają się na łąkę, żeby coś przekąsić. „A co powiesz na to, żebyśmy stanęły na brzegu stawu i przejrzały się w wodzie?” – proponuje żaba.

– O nie!

Jenny naśladuje związane zwierzęta, które niebezpiecznie wychylają się nad wodą.

– Żaba wpada do stawu, albo wskakuje, jak twierdzą niektórzy, choć nie ma na to żadnych dowodów, a od samej żaby się przecież nie dowiemy, czy...

– Do rzeczy!

Jenny uśmiecha się niespiesznie.

– „Ratunku, pomocy – krzyczy mysz – nie umiem pływać!”, na co żaba mówi do niej: „Skąd wiesz, skoro nigdy nie próbowałaś?” – w głosie Jenny słychać wyraźną ekscytację.

– No więc żaba, rechocząc wesoło, pluska się w stawie, podczas gdy mysz ma już brzuch pełen wody. Wtem dostrzega je jastrząb i przypuszcza atak. – Tu następuje kolejna pantomima przedstawiająca lot bezwzględного drapieżnika. – Unosi w szponach przekąskę w postaci myszy, pod którą dynda żaba

przyczepiona do niej jednym palcem. „Ratunku, pomocy – krzyczy żaba – nie umiem latać!” A wtedy jastrząb mówi do niej...

– „Skąd wiesz, skoro nigdy nie próbowałaś?” – kończy za nią Blanche. – Straszna historia – dodaje po chwili.

– Te najlepsze zazwyczaj są straszne.

W tym momencie obie milkną.

Blanche znów podnosi wzrok na okna swojego mieszkania. Oczyma wyobraźni widzi, jak Arthur wychodzi z domu z P'titem na ręku. Ma podkrążone oczy i wygląda na wykończonego, za to twarz chłopca rozpromienia się na widok mamy. A ona szybko podbiega do nich, sunąc wdzięcznym krokiem primabaleriny. Z piersi Arthura dobywa się jedno jedyne westchnienie i w akcie kapitulacji oddaje jej P'tita. Blanche bierze go w ramiona...

– Za to w piosence się pobierają – mówi Jenny. – To ci się bardziej podoba, nie?

– Słucham? – pyta roztargniona Blanche.

– No, żaba i mysz. *Pan Żaba uderza w konkury* – zaczyna nucić niskim, gardłowym głosem, do taktu wybijając obcasem rytm.

Cóż poradzić, rzecz Rowly,

Pan Żaba uderza w konkury,

Nie bacząc, czy matka nie sprawi mu bury,

Pan Żaba uderza w konkury.

– Coś mi mówi, że to będą bardzo długie zaloty – mruczy pod nosem Blanche, z wzrokiem wciąż utkwionym w bezbarwnych taflach szkła.

– Mogę od razu przejść do ślubu, jeśli chcesz – proponuje Jenny. – To była niezła impreza, mówię ci – i znów zaczyna śpiewać, stukając butem o chodnik.

*Cóż poradzić, rzeczce Rowly,
Panie Żabo, Panie Żabo,
Zechce nam pan coś zaśpiewać?
Byle krótko i do rzeczy,
Bo nie chcemy z nudów ziewać.*

– Wystarczy już, Jenny – przerywa jej Blanche ochryłym głosem.

Ale ona nie przestaje śpiewać, jakby jej ktoś za to płacił.

Blanche przygryza wargę niemal do krwi. Co w nią wstąpiło wtedy w klubie, żeby nagadać Arthurowi, że P'tit to nie jego syn? Ze wszystkich złośliwych kłamstw, jakie mogła wymyślić, żadne nie byłoby tak niebezpieczne dla dziecka, jak to. Czy naprawdę jest aż taką idiotką? A może uzależniła się od działania pod wpływem impulsu? Może płynąca z tego przyjemność tak bardzo ją zaślepia, że nie potrafi myśleć o nikim innym, tylko o sobie?

Jenny nie zwraca na nią uwagi i dalej wyśpiewuje:

Śmiali się i weselili

Cóż poradzić, rzeczce Rowly...

W tym momencie bierze Blanche pod ramię i zaczyna z nią wywijać, ale ona wyrywa się z uścisku przyjaciółki.

– Do jasnej cholery, czy mogłabyś choć na minutę zamknąć dziób?

– Czy to nie Girard?

W pierwszej chwili Blanche nie wie, o co jej chodzi. Kiedy jednak podąża za wzrokiem Jenny, wszystko staje się jasne. Przeszywa ją dreszcz. Po drugiej stronie ulicy stoi Ernest i patrzy w ich kierunku. Czy to możliwe, że wyszedł z budynku akurat w tej sekundzie, gdy nie patrzyła na drzwi? Na jezdnię ze szczękiem wjeżdża tramwaj konny, zasłaniając widok.

– Gotowa? – Jenny już zaciera ręce.

Nie, to był zły pomysł. Blanche rzuca się do ucieczki. Jej towarzyszka pędzi za nią.

– Co ty wyprawiasz?

– Nie powinno nas tutaj być – mówiąc to, Blanche zerka przez ramię, lecz nie widzi w tłumie twarzy Ernesta.

– Hej – protestuje Jenny – czekałyśmy tam pół dnia.

– Na Arthura, a nie Ernesta.

– Nie możemy się teraz wycofać.

– Już widziałam, jak to się kończy, kiedy się nie wycofujesz. Uwielbiasz wszczynać burdy – rzuca Blanche podniesionym głosem. Ale gdzie się podział Ernest? Nie ma go po drugiej stronie ulicy. A może wcale ich nie zauważył?

I nagle wyrasta przed nią jak spod ziemi. Porusza się niczym ptak na bardzo długich nogach. Widząc jego zaczerwienione oczy i wymizerowaną twarz, Blanche zastanawia się, czy przypadkiem nie jest chory.

Ernest chwyta ją za łokieć i prowadzi do najbliższego zaułka, niemal przywierając do niej ciałem (to musi wyglądać jak jakaś parodia zalotów, stwierdza w duchu Blanche). Te wszystkie uliczki w Chinatown, gdzie ledwo docierają promienie słońca, przypominają fałdy na poplamionej tkaninie. Są teraz na Waverly Place: Blanche rozpoznaje zakład fryzjerski i mieszczącą się nad nim świątynię Tin How Temple. Alejka Piętnastu Centów, jak mówią niektórzy – tyle tu kosztuje strzyżenie.

– Jak śmiesz się tutaj pokazywać, ty piekielna dziwko!?

A więc to nie choroba, tylko wściekłość.

Jenny stoi tuż za jej plecami, ale nie odzywa się ani słowem. (Dzięki Bogu!)

– Ernest – zaczyna Blanche łagodnym tonem – przepraszam cię za wszystko, co się stało. – Zza przesuwanych drzwi wygląda

czyjaś twarz – to *mui jai*. Po chwili dołącza do niej drobna dłoń, która kiwa zachęcająco. Czyżby oferowała jej schronienie przed rozwścieczonym mężczyzną, czy może to jego zaprasza do środka? *Dwa ósmaki – patrzeć*. Blanche próbuje skupić wzrok na Erneście. – Muszę odzyskać P'tita, to jedyne, o co proszę.

– Jeszcze masz czelność udawać, że jesteś kobietą? Gdybyś chciała tego dziecka – warczy na nią jak wilk – gdybyś naprawdę go chciała, to chyba nie wypuściłabyś go z rąk od chwili, gdy z ciebie wyskoczył.

Jego słowa są dla niej bardziej odrażające niż jego cuchnący alkoholem oddech.

– I co? Nic mi na to nie odpowiesz? – warczy dalej Ernest, z całej siły chwytając ją za twarz i zamykając jej usta. – To może w takim razie stul pysk.

– Hej, hej – mówi uprzejmie stojąca obok Jenny.

– Zejdź mi z drogi, Bonnet – syczy Ernest przez zęby – bo jak nie, to za ciebie też się wezmę.

– Nie, nie, to ty zejdź nam z drogi. Robisz tej damie krzywdę.

– Jakiej damie? – krzyczy Ernest.

Blanche czuje, jak na ułamek sekundy zwalnia uścisk, więc odpycha go obydwoma rękami, wrywa z jego szponów głowę i zataczając się, robi krok w tył. Czuje przeszywający ból. W jej oczach pojawiają się łzy. Błada twarz *mui jai* znika za drzwiami, które zamykają się z trzaskiem.

Zamiast ponownie ją schwytać, Ernest odwraca się do Jenny.

– Możesz mi wytłumaczyć jedną rzecz? Zdaniem Arthura jesteś wścibską intrygantką, ale ja bym się założył, że mam do czynienia z obleśną *gouine*⁷⁷, która chce wyimpasować tę tandeciare, żeby mieć ją tylko dla siebie.

Ernest celuje palcem w Blanche, a ta cała aż sztywnieje, kiedy dociera do niej znaczenie jego słów.

– Prawda czy fałsz, *chérie*? – pyta, znów podchodząc do niej tak blisko, że musi odskoczyć, by znaleźć się poza zasięgiem jego rąk. – Mam tylko nadzieję, że każesz sobie słono za to płacić, przez szacunek dla swojej profesji. Bo chyba nie tykasz tego ścierwa za darmo?

Zanim Blanche jest w stanie cokolwiek odpowiedzieć, Jenny sama odpiesa atak.

– Muszę przyznać, drogi panie – zaczyna beztróskim tonem – że w życiu nie spotkałam bardziej żalonych pijawek niż wasza dwójka. Najpierw przez caluteńki rok pasożytujecie na Blanche, a kiedy chce was zostawić, dąsacie się jak porzucona kochanka. Castor i Pollux! – parska ze śmiechu. – Najwyższy czas, żebyście wyszli na ulicę – to mówiąc, wykonuje gest w kierunku Sacramento Street – i sami zaczęli kupczyć tymi swoimi ponętными tyłkami.

Blanche nie wierzy własnym uszom.

Przez moment Ernest w milczeniu patrzy na Jenny, lecz po chwili łapie ją za klapy marynarki.

– Hola, hola! Łapy przy sobie!

– Ta koszula należy do mojego przyjaciela – Ernest aż gotuje się z wściekłości – dżentelmena, który był na tyle uprzejmy, że ci ją pożyczył tamtej nocy, gdy znaleźliśmy cię w salonie na sofie, brudną i cuchnącą, a ty jej nigdy nie oddałaś, cholerna złodziejko!

Jenny próbuje mu się wyrwać, tłukąc go i wierzgając nogami. Pod rozpiętą szarą marynarką widać męską kamizelkę, spod której wystaje bladozielona koszula. W trakcie szamotaniny Ernest urywa jej prawie wszystkie guziki.

– Podarłeś mi ubranie, ty sukinsynu! – wrzeszczy półnaga,

wytrzeszczając na niego oczy. Kiedy wreszcie udaje jej się uwolnić, natychmiast od niego odskakuje. W okamgnieniu dobywa z kieszeni colta i celuje mu prosto w twarz.

Putain de merde! Jak mogłaś do tego dopuścić, Blanche? Morderstwo w środku dnia, w samym sercu chińskiej dzielnicy...

– Lojalnie cię ostrzegam – mówi Jenny głosem pozbawionym emocji, mimo że z trudem łapie oddech. Wolną ręką owija się podartą koszulą, zakrywając blade żebra, po czym wsuwa ją do spodni.

– Przed czym mnie ostrzegasz? – szydzi Ernest, prostując się dumnie, tak jak ich uczył Monsieur Loyal. – To nie twoje szmaty zamierzam rozerwać na strzępy, tylko ciebie, Bonnet. Spuszczę ci takie manto, że popamiętasz. Naprostuję cię raz na zawsze. I już nigdy więcej nie odbijesz kobiety żadnemu mężczyźnie.

– To wcale nie było tak – protestuje Blanche – ty pomyłony...

Przerywa jej odgłos odbezpieczanego colta. Na Waverly Place zapada cisza jak makiem zasiał.

– Naprostujesz mnie? – pyta Jenny z uśmiechem. – Już wielu przed tobą próbowało. Prędejj ja zatańczę na twoim grobie, niż tobie się to uda.

– Jenny! – piszczy Blanche.

Ernest obrzuca spojrzeniem je obie, po czym spogląda przez ramię w stronę Sacramento Street.

– Naprawdę chcesz mnie zastrzelić w biały dzień, na oczach tylu świadków?

Przez dłuższą chwilę cała trójka stoi nieruchomo.

– Nie warto za niego iść na szubienicę! – krzyczy Blanche. Jeszcze chwila i skończy w więzieniu razem ze swoją rzekomą

przyjaciółką.

Jenny zaciska spierzchnięte wargi.

– Cóż, tak myślałem – rzuca Ernest. – Nawarzyłaś sobie piwa, to teraz czas je wypić. – Odwraca się do nich plecami i zaczyna iść przed siebie.

Gdy dochodzi do rogu Sacramento Street, zatrzymuje się, rozgląda na obie strony i przybiera odpowiednią pozę. Wkłada palce do ust. Powietrze rozdziera przeszywający gwizd.

– Panie władzo! – woła.

Blefuje? – zastanawia się Blanche. Przecież policjanci nigdy nie zagląдают do Chinatown.

– Chodź, idziemy – mówi do Jenny. Po czym schyla się, żeby pozbierać z ziemi porozrzucone guziki, jakby nagle, pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu, chciała pozacierać wszystkie ślady spotkania z Ernestem.

Jenny spokojnie chowa colta i poprawia ubranie. Drugi koniec Waverly Place wychodzi na Clay Street, więc mogą zniknąć za rogiem dosłownie w pół minuty.

Jednak w tym momencie na horyzoncie pojawia się Ernest, prowadząc ze sobą dwóch dzielnicowych. Skąd on ich wytrzasnął, i to w takim tempie?

– Uciekaj – szepce Blanche.

– Nie, nie, to by było stawianie oporu podczas zatrzymania – mruczy pod nosem Jenny. – A poza tym ci dwaj mnie znają – w jej głosie słychać nutę dumy.

– Dzień dobry, panowie – dotyka palcami czapki, powoli zmierzając w ich kierunku.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy?! Czyżby łowczyni żab, nasza stara, dobra znajoma? – mówi wyższy mężczyzna o czerwonej twarzy. – Już odsiedziałaś swoje w więzieniu stanowym?

- Ale ten czas szybko leci, nie? – odpowiada Jenny.
- Po stroju wnioskuje, że wracasz z polowania.
- Zawsze muszę być gotowa.
- Kum-kum! – rechocze ten niższy.
- A cóż to, spotkanie towarzyskie? – niecierpliwi się Ernest. – Nie widzicie, że ta kobieta ma na sobie męski strój? Czyńcie więc swoją powinność i aresztujcie ją.
- Czy ja dobrze słyszę? Ten szczeniak mówi nam, co mamy robić? – ten wyższy pyta niższego.
- Tak się akurat składa, że właśnie wracam do domu się przebrać – przekonuje ich Jenny.
- W czepek i falbany? – pyta niższy dzielnicowy śmiertelnie poważnym tonem.
- Żeby tylko. Jeszcze czeka na mnie turniura wielkości wagonu kolejowego – oznajmia Jenny, szkicując w powietrzu ów wagon komicznymi ruchami rąk. – A teraz życzę panom dobrego dnia...
- Kiedy jednak próbuje prześliznąć się obok dzielnicowych, ten wyższy kładzie rękę na jej obszarpanym ramieniu.
- W taki upał warto by się czegoś napić.
- Prawda, prawda. Mam tu dwa dolary, które na pewno umilą panom ten dzień.
- Przecież wam mówiłem, że celowała do mnie z rewolweru! – burzy się Ernest.
- A może dziesięć? – sugeruje dzielnicowy.
- Panowie, tyle to by mi sędzia wlepił grzywny! Mężczyzna wzrusza ramionami.
- Ale ile by było przy tym zamieszania. A tak będziesz mieć wieczór tylko dla siebie – to mówiąc, zatacza ręką krąg obejmujący całe miasto, jakby podawał je Jenny na tacy.
- A co pan powie na pięć?

– Powiem tak: jak poskapisz teraz grosza, Jenny, to kolację będziesz jadła w celi.

– Ale przecież pięć to całkiem sporo – targuje się z uśmiechem na ustach.

Blanche uświadamia sobie, że dziewczyna nie ma dziesięciu dolarów, i zaczyna szukać w torbie portfela.

– To jak, bierzecie pięć i jesteście kwita? – Jenny wyciąga banknoty i robi z nich wachlarz, jakby trzymała w rękach karty do gry.

– W dodatku jest złodziejka! – wybucha Ernest. – Ta koszula należy do pana Arthura Deneve...

– I kolejne pięć za fatygę, panowie – mówi Blanche i wyciąga przed siebie garść monet, które uzbierała, grzebiąc w portfelu.

Jenny rzuca jej pełne poirytowania spojrzenie, jakby Blanche popsowała jej właśnie świetną zabawę.

Ale twarze dzielnicowych już zdążyły się rozpromienić. Podchodzą do nich i odbierają swoją wygraną.

– Chodź – szepce Jenny do ucha Blanche. Ciągnie ją za rękaw, szybkim krokiem zmierzając w kierunku Sacramento Street. – Wszystko gra.

– To jest korupcja! Domagam się sprawiedliwości! – grzmi Ernest. – A co z koszulą mojego przyjaciela?

– Czy my naprawdę wyglądamy na takich, co to nie mają nic ważniejszego do roboty, tylko zajmować się jakąś zakichaną koszulą? – rzuca przez ramię ten niższy.

– Fircykowate żabojady i ich przeklęte fatalaszki – rzuca na odchodnym ten wyższy, przewracając oczami. Po czym obaj oddalają się z miejsca zdarzenia.

Rozdział 6

Ledwie cię poznaję

Wtorek, dwunasty września. Blanche wciąż ma obolałe usta. Gdy budzi się w cuchnącym pokoju hotelowym przy Commercial Street, przez ułamek sekundy zdaje jej się, że przez całą noc przygryzała wargę i stąd ten ból. Kiedy jednak mija dezorientacja, przypomina sobie wczorajsze zajście na Waverly Place i Ernesta brutalnie zaciskającego palce na jej szczęce.

Leży bez ruchu i czuje, że zaczyna się nudzić. Jak można być przerażonym i znudzonym jednocześnie? Nie wie, co ma ze sobą zrobić. Może tylko czekać, trochę się pomartwić i dalej czekać.

*Gdyby Arthur tutaj był, przynajmniej by mnie zerznął. Nie może uwierzyć w to, co właśnie pomyślała. Ale to prawda, akurat w tej kwestii zawsze mogła na niego liczyć: w każdej wolnej chwili był gotów oprzeć ją o to, co akurat miał pod ręką. Przez większość czasu jego *cigare* albo był twardy, albo właśnie twardniał. Kryła się w tym jakaś pierwotna przyjemność – w tym tak dobrze znanym uczuciu penetracji, kiedy miała wrażenie, jakby przebijał ją czymś ostrym i tępym zarazem. Czasami umysł Blanche opuszczał jej ciało, wędrował pod sam sufit i spoglądał w dół: *Jakie to dziwne – myślała wówczas – tych dwoje sprawia wrażenie, jakby to, co robią, było dla nich takie ważne, fragment jego ciała we fragmencie jej ciała, wsuwa się i wysuwa, i tak bez końca. Ale to działało. Może nie zawsze było genialnie, ale za każdym razem, kiedy ją pieprzył, czuła się jak prawdziwa kobieta, wreszcie wiedziała dokładnie, do czego została stworzona, i wszystko nabierało sensu. Czasami robili to nawet i pięć razy dziennie. Tak często musiała używać irygatora,**

że wszystko ją w środku piekło. Arthur jest sukinsynem, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, lecz mimo to i tak za nim tęskni.

W szparze pod drzwiami dostrzega dziwną plamę. W pierwszej chwili myśli, że to smuga światła, ale nie. Na podłodze leży urwany róg gazety, na którym nieznanym charakterem pisma skreślono kilka słów: „Jadę do Eight Mile House na kilka dni (San Miguel Station”. Blanche już gdzieś słyszała tę nazwę. To chyba jakiś saloon na południowym krańcu miasta, gdzie Jenny czasem się zatrzymuje, jeśli polowanie na żaby przeciągnie się do późnej nocy. Wygląda na to, że jej przyjaciółka postanowiła się z nią w ten sposób pożegnać po tym, co zaszło na Waverly Place z udziałem Ernesta i dwóch dzielnicowych. A może raczej chciała powiedzieć: *Fajnie było, ale na mnie już czas. Mam robotę. Żaby i te sprawy...* Blanche zalewa falą wściekłości.

Bierze do ręki kartkę, czyta jeszcze raz i nagle uświadamia sobie, że przecież Jenny prawie nigdy nie mówi niczego wprost. Być może ma przed sobą najbardziej nonszalanckie zaproszenie, jakie kiedykolwiek widziała. Po co informowałaby ją, dokąd się wybiera, gdyby nie chciała, żeby do niej dołączyła?

Godzinę później Blanche siedzi w wynajętej bryczce i zmierza w kierunku San Miguel Station. Nic lepszego nie ma do roboty. A poza tym, jak podpowiada jej instynkt, lepiej trzymać się od Ernesta i Arthura z daleka, dopóki nie przejdzie im wściekłość. Skoro poszczucie Jenny policją skończyło się marną dziesięciodolarową grzywną, następnym razem ci dwaj mogą sięgnąć po noże. *Naprostuję cię raz na zawsze.* Na samo wspomnienie palców Ernesta na swojej szczęce przechodzi ją dreszcz. Chociaż pewnie tylko tak gadał – kiedy dochodzi do awantury, faceci lubią się odgrażać, a potem i tak nic z tego nie

wynika. Niemniej jednak nie warto kusić losu. Lepiej wynieść się z miasta.

Po uregulowaniu rachunku w hotelu przy Commercial Street nie zostało jej zbyt wiele gotówki, ale na razie nie ma co się tym przejmować, dodaje sobie otuchy. Może i mogła pojechać pociągiem, lecz tym razem naszła ją ochota na przejażdżkę i stąd ta bryczka. Rozpędzony pojazd wprawia nagrzane powietrze w ruch. Blanche czuje na twarzy lekki podmuch. Już zapomniała, jakie to wspaniałe uczucie, gdy wiatr rozwiewa włosy. Wciąż jest gorąco, ale nie ma tego potwornego zaduchu. Dlaczego ci, którzy mogą, nie uciekają z tego zatęchłego miasta?

Kiedy ostatni raz trzymała lejce? Wieki temu. Przywykła do posłuszeństwa chabeta ze spuszczoną głową przypomina Blanche cyrkowe konie, które dźwigały ją, podczas gdy ona wykonywała na ich grzbietach piruety i salta. Ach, jak cudownie być niesioną ponad głowami tłumu, stukać kołami o bruk Stockton Street, zmuszając przechodniów, by odskakiwali na boki. W okamgnieniu przejeżdża przez Mission Street i bierze ostry zakręt, kierując konia na Howard Street. Za wszelką cenę chce uniknąć Folsom Street – na samo wspomnienie o „tygodniakach” i „zryczałtowanych” maluchach ściska ją w żołądku, nie mówiąc już o tym, że wizja tych dzieci nieuchronnie przywodzi jej na myśl P'tita... gdzie go zamknęli, co wkłada do buzi, nie mając pod ręką swojej ukochanej gałki, która wala się na dnie jej podróźnej torby... Opuszczając miasto, czuje się tak, jakby porzucała wszelką nadzieję na odnalezienie synka. *Wyjeżdżam tylko na chwilę*, przysięga sobie w duchu. Jest takie jedno stare przysłowie... Jak to szło? *Musisz przeżyć, żeby móc dalej walczyć.*

Trzaska z bicia, popędzając starą szkapę. Tak jak jej

poradził stajenny od Marshalla, trzyma się torów biegnących przez dzielnicę Mission. Koń zwalnia, gdy zaczynają piąć się pod górę. Z tej wysokości widać lśniący jezior wcinającego się w ląd oceanu.

Przecina Bernal Cut i wjeżdża do Glen Canyon. Wkrótce po prawej stronie wyrasta przed nią zarys budynku. To musi być Industrial School. Dziesiątki małych okienek wyglądają, jakby mrugały zza krat. Stajenny mówił, żeby wypatrywała po drodze poprawczaka, bo stamtąd jest już blisko do San Miguel Station. Pamięta, jak się oburzyła, gdy napomknął o tym, że trafiają tam nie tylko dwudziestoletnie chłopaki, ale nawet trzyletnie dzieci. „Baty i knebel dla tych, co sprawiają kłopoty” – dodał z niekłamana przyjemnością. A gdy zaczęła z niego szydzić, pytając, jak może wierzyć w takie plotki, zapewnił ją, że to wszystko zostało potwierdzone przed sądem. „Batów i knebla to ty sam doświadczysz na własnej skórze, jeśli nadal będziesz opowiadał takie bzdury” – zbesztła go, lecz mimo to z uśmiechem wręczyła mu dziesięciocentówkę w podziękowanie za to, że poinstruował ją, którą ma jechać.

Spalone słońcem wzgórza mają barwę przygaszonego różu. Farmerzy o włoskich rysach twarzy całymi rodzinami taszczą wodę ze swoich koślawych wiatrowych pomp i nawożą ziemię końskim łajnem.

Blanche mija kolejne farmy, aż dociera do miejsca, gdzie kończą się zabudowania. Teraz ma przed sobą już tylko drogę i biegnące wzdłuż niej tory kolejowe – ostatnią dwójkę umęczonych zawodników biorących udział w tym wyścigu. Na słupie wisi tablica z ogłoszeniem Towarzystwa Kolejowego, która trzyma się tylko na jednym zawiasie: PARCELE NA SPRZEDAŻ, SZEROKI WYBÓR. Niski drewniany dworzec i szyld z posrebrzanymi literami, tak bardzo wyblakłymi, że

ledwie można je odczytać: SAN MIGUEL STATION. Dookoła zaledwie kilka chałup. Doprawdy ta dziura nie zasługuje na miano wioski ani nawet osady. Lecz z drugiej strony Jenny dobrze zna tę okolicę i pewnie uznała, że takie odludzie to najlepsze miejsce, żeby się ukryć i przeczekać do czasu, aż tych dwóch rozjuszonych facetów wreszcie się uspokoi.

Na widok konia psy pilnujące obejścia zaczynają ujadać. Blanche ściąga lejce i zatrzymuje bryczkę. Jeden z budynków stoi na pustakach jak na kołyszących się szczudłach. Ciekawe, jakim cudem przetrwał ostatnie trzęsienie ziemi. Niemal pod samym dachem wisi krzywo przybity szyld wypisany wielkimi, koślawymi literami: „San Miguel Saloon i Hotel”. Czyżby tak właśnie brzmiała oficjalna nazwa przybytku, który Jenny nazywa Eight Mile House?

Z zacienionego kąta pozbawionej barierki werandy dobiega głośny okrzyk. Blanche spogląda w tamtą stronę, mrużąc oczy. To Jenny, rozwalona na sfatygowanym krześle, wita ją donośnym głosem:

– Panie i panowie, zarówno ku waszej, jak i ku naszej uciechu mamy zaszczyt przedstawić państwu wybitną postać: oto jej eminencja królowa wdzięku i gracji, mistrzyni hippicznej elegancji...

– Przyjechałaś pociągiem? – przerywa jej Blanche.

– Wolałam napęd nożny – oznajmia Jenny, kiwając głową w stronę bicykla opartego o prześwitujące fundamenty.

Szparę w oknach są pozatykane szmatami.

– Lokal wysokiej klasy – mówi pod nosem Blanche, wysiadając z bryczki i okręcając lejce wokół słupa, do którego przywiązany jest już jeden kucyk o izabelowatym umaszczeniu.

– Przyzwyczaisz się.

Kiedy Blanche podchodzi do stopni werandy, wychudzony

kundel zaczyna się jeżyć, ale Jenny wkracza do akcji, zapoznając zwierzę z gościem.

– To przyjaciel! Przyjaciel! – uspokaja psa.

Zielona koszula Arthura, którą ma na sobie, jest cała obszarpana. Wygląda w niej jak ostatni łachmyta.

Nagle słychać skrzypnięcie. Drzwi z siatką otwierają się i na werandę wypada chłopiec z mysią czupryną, wycierając rękawem usta.

– Panie Johnie McNamara juniorze – mówi Jenny – pozwoli pan, że przedstawię panu tę oto damę: panna Blanche Beunon.

Blanche odruchowo wysuwa biodro do przodu i posyła mu szeroki, czarujący uśmiech. Chłopiec kłania się, wytrzeszczając na nią oczy.

– I jak tam? Przymierzyłeś się już do *Przygód Tomka Sawyera*? – pyta go Jenny.

John junior zapamiętałe kiwa głową.

– Jak dla mnie, przebija nawet *Pod gołym niebem*.

Jenny gwizdże z uznaniem.

Wzrok chłopca wędruje w stronę bicykla.

– Na samą myśl o tym, że Jenny przywlekła się tutaj na tej maszynie, aż ciarki mnie przechodzą – przyznaje Blanche.

– Ale ona dobrze zna tę okolicę – mówi John junior – uczyła się gdzieś tu w pobliżu, i w ogóle...

– Naprawdę? – Blanche odwraca się do Jenny, ale ona już zdążyła zeskoczyć z werandy i stoi przy bicyklu.

– Chcesz się przejechać, John? – pyta chłopca.

– Ja też, ja też! – popiskuje mała dziewczynka, która wyłania się zza drzwi przy akompaniamencie skrzypiących zawiasów. Za jej plecami pojawia się jeszcze młodszy chłopiec.

– Tylko mi się trzymajcie z dala od tej diabelskiej maszyny,

bo sobie giry na tym połamiecie i dopiero będzie –
kategorycznym tonem rozkazuje im matka, wychodząc na ganek
z rękami założonymi na płaskiej jak deska piersi.

– Nie weszłabym na to, nawet gdyby mi ktoś zapłacił
dolara – rzuca starsza dziewczynka, która stoi w progu
i złośliwie się uśmiecha.

Jenny przedstawia przyjaciółce panią Ellen McNamarę,
Mary Jane, Kate i Jeremiaha. (Jak to jest, zastanawia się
Blanche, że w każdej irlandzkiej rodzinie zawsze musi być John
i Mary?) Następnie przechodzi do prezentacji pojazdu.

– Zacznijmy od wersji dla tchórzy. Oprzyj go o ścianę.
Widzisz tę podpórkę? – pyta, stukając palcem w kawałek metalu
wystający tuż nad niewielkim tylnym kołem.

– Odsuńcie się – mówi nagle Blanche, sama dziwiąc się
własnym słowom. Podciąga jasnioletową spódnicę do góry
i w trzech miejscach wsuwa ją za pasek.

Na twarzy Jenny pojawia się uśmiech.

Irlandka natomiast patrzy na nią z dezaprobatą, ale kimże
ona jest, żeby osądzać Blanche? Niech lepiej spojrzy na siebie.
Flejtuch jakich mało.

Blanche chwytą gigantyczną kierownicę i odsuwa bcykl od
ściany. *Wersja dla tchórzy!* Niemożliwie wąskie siodełko jest
zamontowane bardzo wysoko, mniej więcej na poziomie jej
głowy, ale gdy ma się tę zręczność i wprawę, wzrost przestaje
się liczyć.

McNamarowie rozpierzchają się na boki, widząc, jak
Blanche zbliża się w ich kierunku. Jenny uderza rękoma o uda,
imitując bicie w bęben. Czy naprawdę wierzy, że ona da radę?
Czy po prostu już nie może się doczekać, kiedy zrobi z siebie
idiotkę? Blanche zaczyna biec lekkim truchtem, by wprawić
maszynę w ruch, stawia prawą nogę na podpórcie i prostuje ciało.

Jednak bcykl już zdążył zwolnić, zeskakuje więc na ziemię i próbuje jeszcze raz. Pot leje się z niej ciurkiem. Pochyla głowę i kilka razy wyrzuca do góry lewą nogę – czy wystarczy jedno porządne odbicie, żeby wskoczyć na siodełko? Nie, jest za wysoko. Czeką, aż lewy pedał znajdzie się w zasięgu jej stopy, po czym z całej siły wbija w niego podeszwę pantofla i kiedy pedał znajduje się w najwyższej pozycji, prostuje ciało niczym struna i jednym susem wskakuje na siodełko.

Jenny pieje z zachwytu.

Blanche wywija nogami w powietrzu, nie mogąc dosięgnąć pedałów, gdy są na samym dole, dlatego zwinnie wygina stopy i dotyka ich samymi opuszkami palców. Z początku jedzie szalonym zygzakiem, lecz już po chwili zaczyna panować nad kierownicą. Szerokim łukiem objeżdża piaszczysty teren pomiędzy Eight Mile House, sklepem i stawem (pewnie jest głębszy, niż się wydaje, więc lepiej uważać). W pewnym momencie nie może się powstrzymać i choć to ryzykowny manewr, odwraca głowę i zerka na publiczność – tak właśnie całą szóstkę nazywa w myślach.

McNamarowie patrzą na nią z otwartymi ustami. John junior klaszcze z takim zapamiętaniem, jakby od tego zależało jego życie.

– O kurde! – Jenny jest pełna uznania. – Spodobało ci się tam na górze, co?

– Jeszcze jak! – woła Blanche, z trudem łapiąc oddech.

– No dobra, to teraz musisz jakoś zsiąść, co jest znacznie większą sztuką niż wsiadanie. Podpowiedzieć ci, jak zeskokczyć na ziemię w jednym kawałku?

– *Va te faire foutre*⁷⁸ – przeklina Blanche, mając nadzieję, że McNamarowie nie znają francuskiego.

Chwilę później, wyposażona w gąbkę, zmywa z siebie pot

i kurz w pokoju gościnnym, jak Ellen McNamara dumnie nazywa jedną z czterech sypialni w tej nędznej budzie. Rama łóżka – imitacja czarnego drewna orzechowego – jest ustawiona przodem do okna, jakby było przez nie na co patrzeć: za szybą majaczy jedynie wstęga piaszczystej drogi. Zamiast zasłony kawał grubego zielonego sukna przybity gwoździem do framugi chroni wnętrze przed promieniami słońca.

Jest też i sentencja wyhaftowana na kawałku płótna:

*Choćbyśmy wędrowali pośród pałaców,
kosztując wszelakich rozkoszy tego świata,
Nigdzie nie będzie tak dobrze jak w domu,
choćby to była najskromniejsza chata.*

Blanche rozpoznaje te słowa. To fragment znanej piosenki, jednak określenie „najskromniejszy” w odniesieniu do tej rudery i tak jest sporym nadużyciem.

– Ciekawe – mówi, ostrożnie dotykając pościeli – ile swoich bachorów McNamarowie upychają do tego łóżka, kiedy nie mają gości.

– Pewnie jest tu taki ścisk jak w puszcze z sardynkami – stwierdza Jenny.

Nie, Blanche nie może teraz myśleć o P'ticie, upchniętym do łóżeczka z Bóg wie iloma innymi maluchami. Wyciąga z torby kilka swoich rzeczy i ustawia je obok miednicy na nadgryzionej zębem czasu komodzie.

– Ten starszy chłopak... dajesz mu książki?

– Raczej podaję dalej. W przeciwnym razie lądują w kłopie i podcieram sobie nimi tyłek.

– To on nie chodzi do szkoły?

Jenny wzrusza ramionami.

– Jak mawia pewien znany jegomość: Nigdy nie pozwól, aby szkoła stanęła na drodze twojej edukacji.

– On cię lubi.
– Jak każdy – mówi Jenny, szczerząc zęby.
– Z wyjątkiem tych, którzy chcieliby cię *naprostować raz na zawsze* – ryczy Blanche męskim, gardłowym głosem i obie zaczynają chichotać.

Na progu sypialni pojawia się starsza córka McNamarów. Blanche wita ją uprzejmym skinieniem głowy.

– Mary Jane, wiem, że przez nas zrobiło się tu trochę tłoczno i...

– Nic nie szkodzi, mamcia i tatko kazaliby nam spać nawet w stawie, żeby zarobić choć trochę grosza.

Jenny wybucha śmiechem, wyobrażając sobie tę scenę.

– Kiedyś w końcu dorośniesz i się stąd wyniesiesz, Mary Jane – pociesza ją.

Dziewczyna potrząsa przecząco głową.

– A niby dokąd miałabym się wynieść?

– Może do miasta. Na pewno ci się spodoba. Znajdziesz jakąś pracę, chłopaka... mówię ci, będziesz miała w czym wybierać.

– Jasne, jasne! – Mary Jane oblewa się rumieńcem i natychmiast znika w korytarzu.

Wieczorem John McNamara senior, robotnik fizyczny, wraca z pracy spocony jak mysz. Blanche i Jenny siadają do stołu razem z całą rodziną. Na kolację jest dorsz. (Blanche przygotowała się na najgorsze, wiedząc, jak fatalnie gotują Irlandczycy). Jenny rozmawia głównie z najmłodszą dziewczynką, Kate, która uczy ją jakiejś absurdalnej piosenki.

– Nie masz ręki... – powtarza za nią.

– Ni ręki u ciebie – szeptem poprawia ją Kate. – Ni nogi, ole...

– Ni nogi, ole... – nagle Jenny przerywa i pyta: – A co to

znaczy „ole”?

Ale dziewczynka tylko wzrusza ramionami i śpiewa dalej:

Ni ręki u ciebie, ni nogi, ole!

Beznosym, bezokim kurczęcia żeś jajem,

By żebrać na chleb, musisz siedzieć w misce.

Ach, Johnny, ja ledwie ciebie poznaję!

– Co ty śpiewasz, dziecko – przerywa jej milczący dotąd ojciec. – To przecież idzie tak: „By żebrać na chleb, musisz siedzieć z miską”, a nie „w misce”. Ta ballada opowiada o żołnierzu, który stracił na wojnie ręce i nogi, a miskę ma po to, żeby ludzie wrzucali do niej pieniądze.

– Kiedy piosenka pójdzie w świat, już nie masz na nią żadnego wpływu – tłumaczy Jenny McNamarze. – Ja tam wolę wersję tej małej.

– Jej *wersję*? Przecież ona całkiem zmasakrowała tę balladę.

– Jak na moje oko, to zmasakrowany jest raczej ten Johnny...

– Nie, nie, on jest jak jajo kurczęcia – upiera się Kate. – Dlatego musi siedzieć w wielkiej misce, bo inaczej się przewróci i potoczy po ziemi.

Blanche od razu ma przed oczami P'tita, który toczy się po drewnianej podłodze jej mieszkania, sapiąc z wysiłku... – lecz szybko zatrząskuje drzwi do swojego umysłu, zostawiając za nimi swojego synka.

Jakiś czas później razem z Jenny idą do sklepu Phila Jordana, ponieważ ma większy wybór alkoholi niż McNamara. Jenny serwuje im dwanaście zwrotek ballady zatytułowanej „Rye Whisky”, a może „Jack o' Diamonds”? – sama już dobrze nie pamięta.

Po trzech koktajlach humor Blanche zdecydowanie się

poprawia. I gdy potem chwiejnym krokiem wraca do Eight Mile House, dochodzi do wniosku, że w świetle ubywającego księżycyca San Miguel Station nabiera swoistego uroku. Gardło ma rozgrzane od alkoholu i już nawet nie zauważa bólu szczęki, na której wczoraj Ernest brutalnie zacisnął palce. Brzeg jasnofioletowej spódnicy jest cały brązowy od kurzu, ale co to za różnica, kiedy nikt tego nie widzi? Tutaj nie musi się ani stroić, ani dostosowywać do męczącego rytmu miasta. San Miguel Station jest jak jakaś tandetna kraina, zawieszona gdzieś pomiędzy prawdziwymi światami, anonimowa plama kurzu na mapie – miejsce, gdzie po raz pierwszy od tyłu tygodni Blanche może położyć się do łóżka i zasnąć ze spokojną głową, której nie zdręcza ani jedna myśl.

Sobotni poranek, szesnasty września. Blanche stoi przed wejściem zakładu Gray's Undertakers and Music Shop. Pewnie z tysiąc razy mijiała ten nijaki budynek z żółtej cegły, ale nigdy wcześniej nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. To tylko dwie przecznice na zachód od jej własnej kamienicy. (Blanche wciąż myśli w ten sposób o domu przy Sacramento Street 815, chociaż po drodze widziała wywieszony przez Low Longa szyld, który zapewne wymalował ręcznie; widniały na nim ogromne chińskie litery, a pod nimi mniejszy napis po angielsku: GOOD LUCK HOUSE – POKOJE DO WYNAJĘCIA). Po długiej, spokojnej nocy spędzonej samotnie w chłodnej hotelowej pościeli Blanche jest gotowa na to przesłuchanie, oczywiście na tyle, na ile to możliwe. Przynajmniej dzisiaj prezentuje się w miarę przyzwoicie, ponieważ wydała część pieniędzy od Lamantii na nowy kostium – w jej opinii dość stateczny – od wysokiego kołnierza po brzeg falbaniastej spódnicy pokryty

bladym, biało-różowym wzorem.

Właśnie zbiera się na odwagę, żeby wejść do środka, gdy kątem oka dostrzega jakiś ruch. To dom! Mija ją najprawdziwszy piętrowy budynek. Głośno skrzypiąc, sunie samym środkiem Sacramento Street. Blanche przypatruje się uważniej i widzi, że dom porusza się na kółkach, ciągnięty przez osiem sapiących ciężko koni. Piesi odskakują na boki. Widocznie ktoś się przeprowadza, ale postanowił zatrzymać swój stary dom. Tylko w Kalifornii mogli wpaść na coś takiego! Jenny byłaby zachwycona tym widokiem. W tej chwili Blanche tak bardzo tęskni za swoją przyjaciółką, że aż ściska ją w dołku.

Nagle czuje na sobie dwie chude jak szczapy ręce. W tym samym momencie dostrzega fałdy brązowej tkaniny i natychmiast odskakuje. To ten żywy szkielet, ta zaszuszone kokota, do której Jenny miała taką słabość.

– Maria! – wita ją najuprzejmiej, jak potrafi.

– *Ma pauvre*⁷⁹ – szłocha stara kobieta, ocierając swoje jedyne oko wymiętą chusteczką. – Wczoraj w gazecie naprawdę pokazałaś tym przeklętym *maquereaux*⁸⁰!

Blanche niepewnie kiwa głową.

– Pasożyty żerujące na naszych tyłkach – kontynuuje Maria. – Ale ja odegrałam się na tym moim Thomasie, oj, odegrałam – dodaje tonem pełnym zadumy.

– Naprawdę? – dziwi się Blanche, ponieważ tego chyba oczekuje od niej rozmówczyni.

– On był zupełnie jak ten twój Albert, istny pies ogrodnika.

Arthur, Blanche odruchowo ma ochotę ją poprawić.

– Oblał mi pół twarzy kwasem. Słyszałam skwierczenie własnej skóry – opowiada Maria z jakimś upiornym entuzjazmem. Blanche czuje, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Trochę wylądowało też na nim. Wiem, bo słyszałam, jak klnie, że wypaliło mu dziury w spodniach. – Maria szczerzy w uśmiechu żółte zęby. Blanche zauważa, że wciąż ma pełne uzębienie. – To właśnie te spodnie go załatwiły. Kapitan Lees znalazł je pod barem, tam, gdzie Thomas próbował je ukryć, rozumiesz?

Skuteczność inspektora rzeczywiście może robić wrażenie.

– Ten *connard* uciekł z pudła po roku – wzdycha Maria – ale przynajmniej miałam jakąś satysfakcję. Biedna Jenny... Może po rozprawie ci łajdacy wreszcie zawisną?

Blanche kiwa głową, siląc się na uśmiech, ale jej twarz wykrzywia poczucie winy. *Nie, jeśli to ode mnie zależy*, odpowiada w myślach. Jest zdecydowana dotrzymać diabelskiej umowy, jaką zawarła z Ernestem. Wejdzie tam i zezna, że on i Arthur zapewne nie mieli nic wspólnego z tajemniczą śmiercią Jenny. Zegar wiszący nad drzwiami do zakładu Graya wskazuje już prawie dziesiątą. *Właż do środka*, upomina samą siebie, *zanim detektywi zaczną cię szukać*.

Maria idzie obok niej.

– Nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale strasznie narwana była ta nasza Jenny. Jakby nie wiedziała, że lepiej trzymać się z dala od gachów. Przecież ostatnim razem o mało się nie wykończyła.

– Ostatnim razem...? – Blanche jest zupełnie zbita z tropu.

Maria przechyla głowę na bok.

– Kiedy trzeba było jej wypłukać żołądek ciepłą wodą z asafetydą. To było dobre pięć lat temu...

Blanche przetyka ślinę. Pozwala się wyminąć innym osobom idącym do Graya. Więc przynajmniej pod tym względem akta policyjne nie kłamały: Jenny kiedyś przedawkowała. Czy to mógł być wypadek?

– Co wtedy wzięła?

Starsza kobieta wzrusza ramionami.

– Pewnie laudanum, tym się przecież ludzie najczęściej trują. Samobójstwa to w dzisiejszych czasach istna epidemia. A jeśli się nie jest przyzwyczajonym, wystarczy łyżeczka tego świństwa. W sumie Adrien nie był taki najgorszy, ale najlepszy to też on nie był.

Kim jest Adrien, przez którego Jenny próbowała się zabić? Nigdy o nikim takim nie wspominała. *Miałaś kiedykolwiek złamane serce?* – zapytała ją Blanche, gdy w zeszłym tygodniu czekały pod jej domem przy Sacramento 815, ale Jenny zaprzeczyła. Teraz okazuje się jednak, że nie tak trudno było ją złapać na haczyk. Że wcale nie miała tak twardego serca, jak to przedstawiała.

– On nie był z tych, co to by podnieśli rękę na kobietę – trajkocze dalej Maria, gdy wchodzi razem do budynku – ale co z tego, skoro notorycznie przegrywał dosłownie każdego centa, jakiego miała...

Blanche omal nie zderza się z mężczyzną w mundurze stojącym zaraz za drzwiami.

– Ten Adrien trwonął jej pieniądze? – upewnia się. – On był facetem Jenny?

Maria wpatruje się w nią.

– Jej *maquereau*.

Niemożliwe.

A jednak.

„Panna lekkich obyczajów”, dokładnie tak Cartwright określił Jenny w swoim artykule. Blanche była przekonana, że wzięła te oskarżenia z sufitu. *Podobno tak właśnie zarabiała na chleb, jak jeszcze nosiła kiecki*, drwił Arthur tamtego wieczora w salonie gry w faro. Ale ona uznała wtedy, że po prostu

obrzucał jej przyjaciółkę błotem z czystej złośliwości. Przez cały czas była głucha na wszystko, co nie pasowało do jej własnej wizji Jenny.

Maria wlepia w nią swoje szkaradne oko.

– Moja droga, czy ty w ogóle jej nie znałaś?

Blanche aż zatyka z wściekłości. Co może jednak powiedzieć na swoją obronę? Jenny łatwo było polubić, ale bardzo trudno poznać.

W przedsionku panują tłok i gwar. Ciekawe, w której części budynku znajduje się kostnica, gdzie położyli to, co zostało z Jenny? Blanche ma nadzieję, że nie wystroili jej trupa jak jakąś lalkę... Na pewno trzymają ją w piwnicy, tam musi być najchłodniej. Ale tłum przesuwają się w stronę schodów wygiętych w elegancki łuk, a Blanche nie może się spóźnić, dlatego pozwala się porwać napierającej fali ludzi, która unosi ją, oddalając od Marii.

Ma mętlik w głowie z powodu rewelacji usłyszanych przed chwilą od starej kokoty. *Chyba mylisz mnie z jakąś inną Jenny Bonnet*, powiedziała Jenny w salonie gry do Arthura tak beztrąsko, że Blanche nie przyszłoby nawet do głowy, żeby nie uwierzyć jej na słowo. Ale przez tych kilka ostatnich tygodni może to ona brała Jenny za kogoś zupełnie innego?

Czy tak już musi być, zastanawia się ponuro Blanche, że prawie każda kobieta prędzej czy później zaczyna sprzedawać swoje ciało? Jak się okazuje, nawet Jenny była panią do towarzystwa, której *mac* złamał serce, roztrwonił wszystkie pieniądze i doprowadził do takiego stanu, że targnęła się na własne życie. Jakie to banalne! Blanche czuje się jak idiotka, ponieważ została oszukana. Przede wszystkim jednak ogarnia ją dojmujące poczucie rozczarowania, wygląda bowiem na to, że każdy błąd, jaki w życiu popełniła, wcześniej popełniła także

Jenny. Co za hipokrytka! Jak ona śmiała pozować na ekscentryczkę, wielką indywidualistkę, która nic sobie nie robi ze wszystkich konwenansów przypisanych kobiecości?

Na górze panuje okropny zaduch. Poza kilkoma długimi stołami i paroma krzesłami dla najważniejszych osób nie ma tam prawie żadnych mebli. Publiczność stojąca na baczność chyba zużyła już całe powietrze, jakie było w tym pomieszczeniu.

– ...w sprawie Jeanne Bonnet, która prawdopodobnie zmarła w wyniku aktu przemocy... – obwieszcza człowiek z imponującymi siwymi bokobrodami, żywo przy tym gestykułując.

„Prawdopodobnie”? Czyżby istniał jakiś powód, by zakładać, że mogła samoczynnie rozpaść się na kawałki? Mimo makabrycznych okoliczności Blanche ledwo powstrzymuje się od śmiechu. Jenny by zrozumiała. Ona pierwsza śmiałaby się z absurdu całej tej sytuacji.

Człowiek z bokobrodami wydaje się najważniejszą osobą na sali, a więc musi to być pewnie... Swan, koroner Swan, przypomina sobie z wysiłkiem Blanche. Swoje słowa kieruje do grupy wyraźnie zakłopotanych mężczyzn, którzy siedzą za stołem po lewej – to zapewne ława przysięgłych. Blanche wyciąga szyję to w jedną, to w drugą stronę. Żałuje, że nie jest wyższa. Mimo to próbuje przyjrzeć się przysięgłym – patrzy na marynarki, na twarze, ale nie potrafi odszyfrować ich nieprzeniknionych min. Czy rozumieją cokolwiek z tej sprawy? Przecież nie znali Jenny, choćby nawet tak powierzchownie jak ona.

Wciąż słyszy w głowie, wypowiedziane lekkim tonem, słowa swojej przyjaciółki: *Chyba mylisz mnie z jakąś inną Jenny Bonnet*. Tą drugą Jenny Bonnet, która pracowała na ulicy, nosiła spódnice, długie włosy i makijaż. Dziewczyną, która pięć lat

temu przedawkowała laudanum i nigdy się nie obudziła. *To nie ja.*

W tłumie zgromadzonych na sali wyróżnia się oślepiająco biała głowa Cartwrighta z „Chronicle”. Blanche rozpoznaje także tłuste wąsy Duranda. Jego kucharz stoi za nim z ponurym wyrazem twarzy.

Blanche ćwicz pod nosem swoje kwestie. Ma zamiar zrobić dokładnie to, co mówił jej wczoraj Ernest w pustym mieszkaniu: oczyścić Arthura z zarzutów. Przysięgnie, że nie ma pojęcia, kto w czwartkową noc strzelił przez okno w domu McNamarów; wie tylko, że z pewnością nie był to prawy obywatel, makler giełdowy Arthur Deneve, który – jak się zdażyła dowiedzieć – przez większość tygodnia przebywał poza miastem i którego – musi to teraz wyznać – oczerniła z czystej złośliwości, gdyż wciąż jeszcze była w szoku po tym, co się stało.

To jeden wielki stek bzdur, ale co za różnica? Blanche nie wie, co wyniknie z jej dzisiejszego występu poza tym, że ani Arthur, ani Ernest nie spędzą nawet jednego dnia w więzieniu. To nic, tłumaczy samej sobie. Czy w tym morzu nieszczęść prawda ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Teraz, kiedy Jenny leży martwa jak kłoda, na co jej sprawiedliwość? Liczy się tylko P'tit i ta wątła nadzieja, że jeszcze kiedyś go zobaczy. Jedyne, co może teraz zrobić, to dokładnie wypełnić polecenia Ernesta. Dlatego powoli, stawiając krok za krokiem, wkracza na oślep w czarną otchłań.

Blanche czuje na sobie te wszystkie spojrzenia, jakby stała w świetle reflektorów. Słyszy szepty. Zdaje sobie sprawę, że to ona jest główną atrakcją. Ta, która przeżyła, „towarzyszka zamordowanej kobiety.” Cała ta sytuacja przywodzi jej na myśl występy w House of Mirrors, choć przecież okoliczności są

diametralnie różne.

Zasycha jej w gardle. Ciekawe, czy Ernest czai się gdzieś w tłumie, obserwuje ją, sprawdza, czy jest posłuszna? To chyba byłoby zbyt ryzykowne. Policjanci mogliby w nim rozpoznać jednego z tych dwóch *maquereaux*, których kazała aresztować Bohenowi. Nie, Ernest nie pokaże się nigdzie, dopóki nie przeczyta w popołudniowym wydaniu, że „towarzyszka zamordowanej” zmieniła swoje zeznania, oczyszczając zarówno jego, jak i nieobecnego przyjaciela ze wszystkich zarzutów.

Swan zdejmuje okulary, żeby przetrzeć białą chusteczką szkła, a przy okazji grzbiet nosa.

– Bardzo dziękuję panu Grayowi, naszemu byłemu, znakomitemu, pozwolę sobie dodać, koronerowi, za to, że wciąż wspaniałomyślnie użycza nam swojego lokalu – tu wzdycha ciężko – ale jednocześnie pragnę oficjalnie wyrazić swoje ogromne niezadowolenie z faktu, iż biuro koronera do tej pory nie doczekało się własnej kostnicy wyposażonej zgodnie z wymogami nowoczesnej nauki.

Podczas gdy Swan dalej przynudza o sanitarnych spryskiwaczach, stołach i bitumicznych posadzkach, Blanche zupełnie się wyłącza i całą swą uwagę skupia na mężczyźnie siedzącym za plecami koronera, który jak dziecko stuka w swoją małą, czarną maszynę do pisania. Musi zapisać każde słowo, jakie padnie na tej sali. Jenny na pewno byłaby tym zafascynowana, po wszystkim podeszłaby zapytać, jakim cudem udaje mu się nadążyć za potokiem ludzkiej mowy.

Mały, zasuszony doktor o nazwisku Crook wchodzi na podwyższenie i uroczyście przysięga, że będzie mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mu dopomóż Bóg.

Blanche uświadamia sobie, że wszyscy świadkowie będą musieli przysięgać na Biblię. Lekko drży na tę myśl. Jenny,

rzecz jasna, nazwałaby to *głupim zabobonem*.

– Denatka była kobietą o nieodbiegającej od normy fizjologii – recytuje lekarz, powtarzając to, co ma zapisane w swoich papierach – odpowiednio odżywioną i prawidłowo rozwiniętą, bez żadnych oznak choroby. – „Nieródka”, „stężenie pośmiertne”, „nienaturalna bladość będąca wynikiem utraty krwi” – płynie dalej medyczny żargon. Blanche stara się nie zwracać uwagi na jego słowa. – Mózg średniej wielkości i twardej konsystencji – kontynuuje Crook. – Brak płynu surowiczego w komorach serca. Patologiczne zmiany w płucach. – Blanche zastanawia się, czy język używany do opisu sekcji specjalnie jest taki niejasny, żeby ludzie nie do końca rozumieli, co się mówi o ich bliskich. – Żołądek znacznie rozszerzony, zawierający około dwóch uncji grudkowego płynu o silnie alkoholowym zapachu...

Z przepysznego koniaku, który piły tamtego wieczora, siedząc na łóżku u McNamarów, został tylko „grudkowy płyn”...

– Osiem ran po lewej stronie ciała – stwierdza Crook, pokazując ławie przysięgłych małe pudełko z kulami, które wy dobył ze zwłok. – Ale moim zdaniem sam krwotok z rany na szyi wystarczyłby, aby doprowadzić do zgonu.

Blanche raz po raz mruga oczami, starając się to wszystko ogarnąć rozumem. A więc gdy tamta jedna kula przeszła szyję Jenny, nie mogła już nic zrobić. Nie dałaby rady zatamować krwotoku, nawet gdyby miała dość refleksu i oleju w głowie, by podjąć taką próbę, zamiast bezmyślnie miotać się po pokoju.

Crook przykłada palec do swoich notatek.

– Dodatkowo opuchnięcie i odbarwienie skóry wokół obojga oczu, mogące świadczyć o wcześniejszym uderzeniu.

Blanche czerwienieje na twarzy. Po co o tym wspominać?

Jakie to ma znaczenie w porównaniu z tym, co ją zabiło?

– Kiedy pojawiły się te sińce? – pyta Swan.

– Powiedziałbym, że mniej niż dwanaście godzin przed śmiercią, panie koronerze. Odnotowałem także rozległe blizny na...

– Te blizny także są świeże? – przerywa mu Swan.

Blizny? Blanche nie ma pojęcia, o czym oni mówią.

– Nie, panie koronerze.

– Ograniczmy nasze dochodzenie do kwestii bezpośrednio związanych ze zgonem, panie doktorze.

Crook, nieco speszony, wolno przesuwając palcami po kartce.

– Znalazłem świeże otarcia na dłoniach i stopach, z wgrzyzionym głęboko błotem, ale te ślady są moim zdaniem nieistotne dla dochodzenia – stwierdza lekarz.

Ślady po ich środowej wyprawie do Sweeney Ridge... Dla niego to *nieistotne*, jak Jenny spędziła ostatni dzień przed śmiercią – ale nie dla Blanche. Lubi myśleć o pełnej życia Jenny, która zawsze była w ciągłym ruchu. Wyobraża sobie, jak mknie na swoim bicyle, wspina się na jakieś wzgórze albo kuca nad jakimś stawem, całą swą energię koncentrując na polowaniu. Ta myśl odrobinę łagodzi jej ból po stracie przyjaciółki.

Koroner Swan dziękuje Crookowi za poświęcenie, z jakim wykonuje pracę, która niesie ze sobą wiele niebezpieczeństw.

– Nie tak dawno temu – informuje przysięgłych grobowym głosem – pewien asystent nieomal stracił życie z powodu zakażenia sepsą, do którego doszło, gdy skaleczył się w trakcie wykonywania sekcji zwłok...

Ale Blanche już nie słucha, ponieważ ze dwa metry od niej policjant w mundurze właśnie przeprowadza przez tłum Johna McNamarę, rozpychając się łokciami, żeby zrobić miejsce dla Irlandczyka – który z jakiegoś powodu wydaje się teraz znacznie

drobniejszy. Widać, że czuje się tu zupełnie nie na miejscu. Jak jakiś włóczęga w skradzionym niedzielnym garniturze. Jest blady jak ściana, jeśli nie liczyć wypieków na policzkach, odcinających się od białego kołnierzyka koszuli.

– Proszę następnego świadka. Pan John McNamara senior.

A co z nią? Kiedy ją wezwą na podwyższenie, żeby mogła wyrecytować swoje kłamstwa? Czy to nie ona powinna zeznawać pierwsza, zaraz po odczytaniu sprawozdania z sekcji zwłok, skoro jest jedyną osobą, która znajdowała się w pokoju, kiedy padły strzały? Szczerze mówiąc, wolałaby mieć to już z głowy – zrobić z siebie idiotkę, odegrać stereotypową rolę irracjonalnej kobiety i wydostać się wreszcie z tej pozbawionej powietrza komory.

Pytania koronera Swana skupiają się wyłącznie na wydarzeniach bezpośrednio poprzedzających śmierć Jenny. Nie interesuje go ani charakter dziewczyny, ani jej historia.

– Kto, według pańskiej wiedzy, przebywał na terenie osady w czwartek wieczorem?

– Gdzie? – McNamara szeroko otwiera oczy, jak struchlały ze strachu jeleni.

– W osadzie, w wiosce, jak pan woli, w miejscowości San Miguel Station – tłumaczy koroner takim tonem, jakby mówił do dziecka.

– Ach t-t-tak, oczywiście – wydusza z siebie McNamara. – Na pewno pani Holt, zawiadowczyni stacji kolejowej, tak, ale ona to by raczej nie umiała odróżnić jednego końca strzelby od...

– Proszę się ograniczyć do faktów – przerywa mu Swan. – Nikt nie oczekuje od pana, że rozwiąże pan tajemnicę tej zbrodni. Jeżeli faktycznie popełniono zbrodnię – dodaje ostrożnie.

Jeżeli? No tak, bo może ktoś polował sobie na kuropatwy przy świetle księżycy i niechący strzelił prosto w okno Eight Mile House!

Blanche dostrzega w tłumie Ellen, która z nerwów zaciska usta. Jest też Mary Jane. John junior pewnie został w domu z maluchami.

– Pani Holt, Jordan... – wylicza McNamara na swoich grubych palcach – pani Louis, ale jej mąż wyjechał, jest teraz w San Jose...

– Ma pan na myśli tego Kanadyjczyka, Louisa de Frammant? – upewnia się Swan, wpatrując się w kartkę, na której ma listę nazwisk. – Czy może Dufranaut? Inspektor napisał to dość niewyraźnie.

McNamara wzrusza ramionami.

– Nie wiem, jak oni tam dokładnie się nazywają. Dla nas to po prostu pan i pani Louis.

– Proszę kontynuować.

– Panna Blanche, to znaczy Beunon... ona przyjechała sama, bryczką. We wtorek.

– A panna Bonnet? – pyta Swan.

McNamara nie odpowiada.

– Jakim środkiem transportu dostała się tam panna Bonnet?

Czyżby Irlandczyk bał się wspominać o bicyklu? Blanche przypomina sobie teorię, którą zresztą od razu uznała za nonsensowną, a mianowicie że McNamarowie mogli zaplanować morderstwo, ponieważ tak naprawdę chcieli ukraść tę drogą maszynę.

– Na... na bicyklu, ta osoba przyjechała na bicyklu – mówi McNamara dziwnie oficjalnym tonem.

– Czy odniósł pan wrażenie, że te dwie kobiety uciekały przed jakimś wrogiem? Być może przed jakąś osobą z miasta?

Blanche w ostatniej chwili powstrzymuje jęk. Naciąga głębiej słomkowy kapelusz, żeby woalka nieco bardziej zasłoniła jej twarz. Pomimo tych wszystkich pozorów neutralności koroner Swan naturalnie czytał gazety i rozmawiał z inspektorami – dlatego próbuje teraz nakierować zeznania McNamary na parę brutalnych *maquereaux*, o których opowiadała Blanche.

– Ja... miałem wrażenie, że one... że dwie wspomniane osoby były świeżo po libacji alkoholowej.

– I przyjechały z zamiarem oddania się dalszemu picciu w pańskim saloonie?

Blanche zaciska zęby. A co innego można robić w San Miguel Station?

– W moim hotelu – wyniośle poprawia go McNamara. – I w sąsiednim sklepie z alkoholem.

– Chodzi panu o... – Swan zagląda do notatek – sklep spożywczo-wielobranżowy Philipa Jordana?

– Tak właśnie go nazywa, dokładnie tak.

– Wróćmy do pańskiego „hotelu”, panie McNamara. Czy minąłbym się z prawdą, mówiąc, że pańskie zyski pochodzą w przeważającej części ze sprzedaży napojów alkoholowych?

McNamara krzywi się.

– Zyski to za dużo powiedziane.

W to akurat Blanche jest w stanie uwierzyć.

– Czy w trakcie swojego trzydniowego pobytu te kobiety piły w pańskim barze?

McNamara przestępuje z nogi na nogę.

– Każdy zdążył się trochę napić.

– Każdy, czyli obydwie kobiety też?

Irlandczyk rozpaczliwie kręci głową.

– One nie piły?

McNamara ze świstem wciąga powietrze.

– Musi pan zrozumieć, panie koronerze, ja nie wiedziałem, że to były kobiety.

Teraz wszystkie oczy na sali zwrócone są w jego stronę.

– To znaczy nie wiedziałem, że obie są kobietami.

Swan mruży oczy i spogląda na Irlandczyka spode łba.

– Wziął pan zmarłą za mężczyznę, chociaż wcześniej zeznawał pan, że na przestrzeni ostatnich sześciu lat okazjonalnie gościł ją pan w swoim hotelu?

Tłum wybucha salwą śmiechu.

– Jesteśmy prostymi ludźmi – jęczy McNamara. – Skąd mieliśmy wiedzieć, z jaką szopką mamy do czynienia?

Na sali słychać stłumione śmiechy.

Blanche rozumie, co się dzieje. McNamara wypiera się Jenny. Panicznie się boi, że ta sprawa zaszkodzi reputacji jego nędznej knajpy, dlatego próbuje zaprzeczyć, jakoby kiedykolwiek przyjaźnił się z tą przebraną za faceta diabolicą, która została zabita pod jego dachem.

– Pod jakim nazwiskiem znał pan tego... domniemanego mężczyznę?

McNamara oblizuje spierzchnięte wargi.

– Bonnet.

– Nie znał pan imienia, jakie mu dali na chrzcie?

– Ktoś taki to ochrzczony raczej nie był.

Kolejna salwa śmiechu.

Blanche jest sina ze złości. Więc teraz Jenny już nie jest ladacznicą, tylko poganką?

Na szczęście wygląda na to, że Swan nie wierzy w ani jedno słowo McNamary.

– I nigdy nie skojarzył pan owego „Bonnet”, tego pańskiego łowcy żab o wysokim głosie i gładkiej, pozbawionej

zarostu twarzy, z Jenny Bonnet, znaną z tego, że poluje na żaby i chodzi w spodniach, o czym często rozpisywały się wszystkie gazety w mieście? – podsumowuje oschle.

McNamara mamrocze pod nosem, że nie czyta gazet.

Swan przechodzi do tego, co wydarzyło się w środę trzynastego września, dzień przed morderstwem.

Blanche pamięta drogę powrotną ze Sweeney Ridge tak dokładnie, jakby dopiero co stamtąd wróciła. Ma przed oczami ognisty róż zachodzącego słońca. Kiedy razem z Jenny wykończone dotarły do Eight Mile House, wzięła je chęć na koktajle, ale McNamara nie miał gorzkiej wódki, więc zadowolili się drinkiem o nazwie Martinez ze słodkiego czerwonego wermutu, dżinu i kilku wiśni ze starej, lepkiej butelki. Jenny była nabuzowana jak woda sodowa, śpiewała na całe gardło i bębniła rękami o kontuar.

Swan zadaje teraz McNamarze pytania dotyczące nagłego przyjazdu stajennego Charlesa St. Claira po bryczkę, którą Blanche zapomniała odstawić do Marshalla.

Tamta kłótnia zaczęła się z jej winy, Blanche nie boi się do tego przyznać. Miała dość pieniędzy (zostało jej jeszcze trochę z tego, co zarobiła podczas spotkania z Lamantią), więc mogła uregulować należności ze stajennym. Ale jak on śmiał przyjeżdżać za nimi aż do San Miguel Station, przerywać im zabawę i odzywać się do nich jak do jakichś typów spod ciemnej gwiazdy? Przecież ona jedynie zwróciła mu uwagę, że im dłużej zatrzymałaby bryczkę, tym więcej zarobiłby jego szef, więc po co robić z tego aferę? Za dalszy ciąg awantury zdaniem Blanche winę ponosił już St. Clair, ponieważ to on złapał ją za rękaw i zaczął straszyć schowanym w kieszeni rewolwerem...

Słysząc szum na sali – przez tłum przepycha się teraz Charles St. Clair, marszcząc gniewnie brwi. Jego bujne

bokobrody wydają się Blanche jeszcze gęstsze niż przed kilkoma dniami.

– Czy to ten mężczyzna? – pyta Swan.

McNamara patrzy na St. Claira z ukosa.

– Nie potrafię stwierdzić, czy to on, czy nie on – odpowiada. Najwyraźniej jest tak wytrącony z równowagi tą rozmową o kobietach udających mężczyzn, że boi się już cokolwiek potwierdzić.

St. Clair parska śmiechem.

– W środę wieczorem – wtrąca – ten Irlandas miał tyle w czubie, że nie odróżniłby mnie od mojej bryczki!

– Dostanie pan swoją szansę, żeby złożyć zeznania – stwierdza zimno Swan. – Chyba że będzie pan dalej przerywał. Wówczas zostanie pan usunięty z sali i nie weźmie pan udziału w przesłuchaniu.

St. Clair milknie i staje z założonymi rękami.

– Przejdźmy dalej – koroner sięga do drewnianej skrzynki z napisem „Dowody rzeczowe”. – Czy pan to poznaje, panie McNamara?

Irlandczyk wyteżę wzrok.

– To jej... to colt tej Bonnet, prawda?

Z tłumu wyłania się, powodując niemałe poruszenie, młody mężczyzna z długą, postrzępioną brodą.

– Gwoli ścisłości – odzywa się z wyraźnie pruskim akcentem – rewolwer należy do mnie.

– A kimże pan jest, jeśli wolno mi spytać? – wzdycha Swan.

– Nazywam się Julius Funkenstein, zajmuję się handlem nieruchomościami oraz majątkiem ruchomym.

– Ma pan na myśli udzielanie pożyczek pod zastaw.

– Prowadzę wiele różnych interesów w całym mieście...

Wygrałam ją w pokera od jednego żołnierza z Kalifornii,
Blanche słyszy w głowie głos Jenny.

– W takim razie, jeżeli to prawda, może pan we właściwym czasie zwrócić się do miejskiego skarbnika z prośbą o zwrócenie panu jego własności – informuje go Swan i odkłada pistolet z powrotem do pudła.

– Z całym szacunkiem, panie koronerze – dodaje Funkenstein – ale ona nadal jest mi winna dziewiętnaście dolarów za tę broń...

Blanche wydaje się to niezmiernie smutne, że Jenny nawet nie spłaciła do końca swojego rewolweru. Ile jeszcze z jej przechwałek było fikcją?

Tymczasem John McNamara zaczyna się niezgrabnie wycofywać w stronę widowni, lecz koroner wzywa go z powrotem:

– To jeszcze nie koniec, nadal zeznaje pan pod przysięgą. Proszę opowiedzieć teraz o następnym wieczorze. Czy w czwartek czternastego września przed strzelaniną wydarzyło się coś ważnego?

– Wiem tylko, że o coś tam się pożarły, to znaczy te dwie kobiety...

– Bonnet i Beunon. A jaka była przyczyna tego sporu?

– Bonnet zamierzała wracać do miasta, ale Beunon nie chciała się na to zgodzić. Mówiła, że Bonnet jest tak wstawiona, że wjedzie prosto do rowu. Potem udały się do naszego, hm, pokoju gościnnego. Bonnet wyszła jeszcze na werandę, żeby zapalić fajkę – dorzuca na koniec McNamara.

Blanche pamięta to jasno i wyraźnie. *Nie pal tu tego świństwa*, powiedziała stanowczo, więc Jenny wyszła na zalany światłem księżyca ganek. W tej jasnej poświacie lśniła jak duch.

– W należącej do pana koszuli nocnej, zgadza się?

– Tak, żona pożyczyła jej moją najlepszą koszulę.

Tak właśnie funkcjonowała Jenny. Szła przez życie bez tych wszystkich rzeczy, które inni uważają za niezbędne. Jeśli czegoś potrzebowała, organizowała to sobie na bieżąco.

– Zawołały mnie, żebym naprawił roletę – dodaje pośpiesznie McNamara – i nalał im trochę koniaku.

– A co było nie tak z roletą? – dopytuje Swan.

– Osuwała się, wie pan, krzywo wisiała.

Jak wszystko inne w Eight Mile House, myśli Blanche.

– Przyniósł pan ze sobą jej fragment, zgodnie z poleceniem?

– Tak jest, taki, przez który przeszła kula. – McNamara grzebie w kieszeni spodni. W końcu znajduje kawałek zielonej tkaniny i podnosi go do góry.

Koroner Swan bierze od niego ów skrawek i przekazuje przysięgłym, którzy podają go sobie z takim namaszczeniem, jakby to była mapa prowadząca do skarbu, konferując przy tym półgłosem.

– Czy pańskim zdaniem osoba stojąca za oknem byłaby w stanie zobaczyć przez tę roletę, co się dzieje w pokoju, zważywszy na to, że w środku paliła się świeca?

Irlandczyk mruga nieufnie oczami.

– Może tak, a może nie, panie koronerze, zależy, czyby miała dobry wzrok.

– Możemy chyba przyjąć, że ktokolwiek to zrobił, wzrok miał dobry, skoro udało mu się zastrzelić tę kobietę. – Swan jest już wyraźnie zmęczony, słychać to w sarkastycznym tonie, na jaki od czasu do czasu sobie pozwala.

Ale zabójca wcale nie musiał patrzeć przez roletę, myśli Blanche, ponieważ zaraz po tym, jak ten niewydarzony hotelarz przybił ją do ściany i wyszedł, gwóźdź od razu z powrotem

wyskoczył z tynku i zielony materiał znów zwisał na skos, a z boku pozostawała szpara szerokości miecza. Czy to Arthur jakimś sposobem dostał się do San Miguel Station, spacyfikował psy, bezszelestnie zakradł się na koślawą werandę i zobaczył ją i Jenny, gdy szykowały się do spania? A może do tego czasu zdążył już opuścić kraj, rozkazawszy jeszcze przed wyjazdem tej swojej wiernej małpie zająć się Blanche, *naprostować ją raz na zawsze*? Czy Ernest stawił się na miejscu ze strzelbą na ramieniu i rozkazami Arthura wyrytymi głęboko w sercu, aby samodzielnie wykonać swój ostatni numer?

McNamara opisuje teraz strzelaninę: chaos i krew. Blanche nie chce tego słuchać.

Następnym świadkiem wezwanym do złożenia zeznań nie jest ani Blanche, ani żona McNamary, ale jego córka, chociaż ma zaledwie piętnaście lat. Mary Jane postarała się wyglądać jak najlepiej, założyła świeżo wyprasowaną sukienkę (choć z miejsca, gdzie stoi Blanche, jakieś pięć rzędów za nią, widać plamę przy samym brzegu).

Dziewczyna zaczyna od powtórzenia, jakby recytowała z pamięci, tego, co powiedział jej ojciec: nikomu z nich nie przyszło nawet do głowy, że Bonnet jest kobietą.

Blanche nie może się powstrzymać i kwituje to ironicznym parsknięciem. Kilka osób odwraca głowy w jej stronę.

Mary Jane mruga oczami.

– Czy w środę trzynastego była pani w saloonie, kiedy zjawił się stajenny?

Dziewczyna energicznie kiwa głową.

– On, znaczy pan St. Clair, powiedział, że jeżeli panna Blanche natychmiast mu nie zapłaci, poleje się krew.

Blanche nie pamięta, żeby padały wtedy podobne groźby.

– Ale Jenny... ta osoba... – poprawia się szybko Mary Jane

– ta osoba odpowiedziała, że to ona z niego spuści krew, do ostatniej kropli.

– Czy St. Clair wyciągnął broń?

– Miał rewolwer w kieszeni i cały czas trzymał na nim rękę.

– A Bonnet?

Chcesz zarobić kulkę w łeb, zapytała go wtedy Jenny, czy masz inne plany na ten wieczór?

– Kazała mojemu bratu skoczyć po...

– Ma pani na myśli Johna McNamarę juniora? – wcina się Swan. – Czy on jest dzisiaj na sali?

– On ma dopiero dwanaście lat! – z tłumy dobiega melodramatyczny głos Ellen McNamary.

– Kazała Johnowi skoczyć po jej colta – kończy z wysiłkiem Mary Jane.

Blanche pamięta, że to ją zirykowało. Tyle razy Jenny chodziła z tą spluwą w kieszeni, a akurat tamtego wieczora, kiedy naprawdę przydałoby się nią trochę powymachiwać, zostawiła ją pod materacem! St. Clair nazwał Jenny „szczekającym pokurczem”, a ona odpyskowała mu, że nie liczą się gabaryty psa, tylko jego zapał do walki.

– Bałam się, że St. Clair wyciągnie broń i pozabija nas wszystkich – dodaje skwapliwie Mary Jane – więc go powstrzymałam.

– Jak pani tego dokonała?

Dziewczyna prostuje się i uśmiecha niepewnie.

Przygotowuje się do kolejnego kłamstwa, stwierdza w myślach Blanche.

– Złapałam go za rękę i poprosiłam, żeby sobie poszedł, żeby zrobił to dla mnie, a on się zgodził.

Co za próżna, mała konfabulantka!

Blanche pamięta to zgoła inaczej: John junior przemknął

przez saloon, niosąc w rękach rewolwer Jenny jak jakąś
niezwykłą zabawkę, i położył go jej na kolanach. A ona szeroko
się do niego uśmiechnęła i powiedziała: *Zuch chłopak!*

W tym momencie mogło się zrobić naprawdę groźnie, ale
stajenny dostał cykora i zaczął się wycofywać, dokładnie tak, jak
na to liczyła Jenny. Oznajmił jej, że nie zniży się do tego, by
walczyć z kobietą – ale to była tylko wymówka. Blanche
wspaniałomyślnie zapewniła go, że zaraz po powrocie do miasta
zapłaci pełną kwotę za dwa dni użytkowania bryczki. Stajenny
postawił wszystkim kolejkę (*Bez urazy!*), po czym szybko
odjechał, wyraźnie przestraszony.

– Czy po wszystkim – pyta Swan – kobiety w jakikolwiek
sposób komentowały ten incydent?

Dziewczyna po raz pierwszy wydaje się zmieszana.

– Panno McNamara?

– Przechwalała się, że na widok colta on się... zamoczył.

Blanche nie bardzo rozumie, co ona mówi.

– To słowa panny Beunon?

– Nie, Bonnet – poprawia go cicho Mary Jane.

– Bonnet powiedziała, że St. Clair...?

– Słyszałam, jak mówi do panny Blanche: „Coś mi się
zdaje, że facet się zamoczył”.

– Zamoczył? Jak coś, co się wrzuca do wody? – dziwi się
Swan.

Dziewczyna z rezygnacją wzrusza ramionami.

Nagle Blanche doznaje olśnienia: nie „zamoczył”, tylko
„zmoczył”. *Coś mi się wydaje, że facet posikał się w spodnie*, tak
powiedziała Jenny. Blanche z trudem powstrzymuje śmiech.

Swan z westchnieniem zagląda w papiery, po chwili stuka
palcem w kartkę.

– Dr Crook zauważył, że zmarła miała podbite oczy, co

stanowiło ślad po jakimś bardzo niedawnym uderzeniu. Czy widziała pani, żeby ktoś pobił Bonnet tamtego wieczoru?

Mary Jane wygląda na zagubioną. Odruchowo szuka wzrokiem rodziców.

Blanche usztywnia się cała. Ciekawe, czy tę kwestię też z nią przećwiczyli, żeby wiedziała, co ma powiedzieć.

– Tamtego wieczoru lub następnego dnia – naciska Swan. – Widziała pani, żeby otrzymała jakiś cios, który mógłby pozostawić takie ślady?

– Nic takiego nie widziałam, proszę pana – odpowiada w końcu Mary Jane.

Blanche słyszy bicie własnego serca. Choć czuje wielką ulgę, podejrzewa, że McNamarowie postanowili przemilczeć tę sprawę tylko dlatego, żeby nie pomyślano sobie, że ich tak zwany hotel to bardziej speluna, w której co pięć minut wybuchają bójki.

– Następnego wieczoru, w czwartek czternastego – przechodzi dalej Swan – kiedy po raz ostatni widziała pani zmarłą?

– Kilka minut przed... przed tą strzelaniną. Leżałam na jej łóżku. Kiedy nie mamy gości, śpimy w tym pokoju – dodaje dziwnym tonem Mary Jane. – To znaczy ja, moja mała siostra i brat.

– Ma pani w zwyczaju tak spoufalać się z gośćmi, którzy według pani wiedzy są przedstawicielami płci przeciwnej, panno McNamara?

Blanche widzi, że koroner odgrywa się na rodzinie McNamarów za ich kłamstwa.

Dziewczyna oblewa się rumieńcem po sam czubek głowy.

– Chciałam tylko być miła.

– Ujmę to delikatnie: czy zawsze jest pani *miła* dla

mężczyzn, którzy odwiedzają saloon pani ojca?

– Nie! – Mary Jane jest bliska płaczu. – Nie wiem, co pan...

– Na razie to wszystko. Jest pani wolna.

Mężczyźni to jednak mają władzę, myśli Blanche.

Wystarczy, żeby któryś tylko zasugerował, że dziewczyna lekko się prowadzi, a ona od razu wpada w panikę, jakby zobaczyła grzechotnika.

Najśmieszniejsze, że jeszcze żaden ze świadków w ogóle nie wspomniał o kryminalnej przeszłości Jenny, choć wszyscy wiedzą z gazet o jej pijaństwie, o prostytutce i zatargach z prawem. A jednak ta świadomość, ta niewypowiedziana ocena jej osoby kryje się za każdym słowem, jakie pada na tej sali.

Blanche czuje, że musi skorzystać z toalety. Jeśli zaraz jej nie wezwą na to podwyższenie, nie wie, jak długo jeszcze wytrzyma...

– Następny świadek, Charles St. Clair.

To jakaś kpina. Czy naprawdę nikt nie chce usłyszeć, co ma do powiedzenia jedyna osoba, która była na miejscu zbrodni, w tym samym pokoju?

Podczas gdy St. Clair potwierdza adres stajni Marshalla, Blanche przepycha się do tyłu, gdzie stoi sporo dziennikarzy robiących notatki. Mijając ich, odwraca wzrok.

– Pani Blanche?

To Cartwright. Blanche pospiesznie przemyka przez podwójne drzwi, żeby znaleźć się jak najdalej od dziennikarza. Nie zniesie w tej chwili jego spojrzenia pełnego współczucia. Nie teraz, kiedy ma zamiar zmienić śpiewkę i zaprzeczyć każdemu szczeremu słowu, które usłyszał od niej wczoraj. Ciekawe, jakie gromy posypią się na nią w jutrzejszym wydaniu „Chronicle”?

Toalety są bardzo eleganckie: mahoniowe siedzenia i marmurowe umywalki. Blanche już wie, dlaczego odczuwa mdłości – to nie tylko z braku śniadania. Przez cały ranek oczekiwała na moment, kiedy inspektor Bohem wystąpi naprzód i przedstawi całą sytuację swoim stanowczym tonem: złowrogi Francuz napadł na Blanche i Jenny w zeszłym tygodniu, grożąc im czymś znacznie gorszym... A wówczas, nawet jeśli ona wszystkiemu zaprzeczy, nadal będzie istniało duże prawdopodobieństwo, że ława przysięgłych obwini tego, kogo powinna, czyli Arthura i Ernesta. Ale nic takiego nie nastąpiło, a wszystko, co do tej pory zostało powiedziane, sprowadza się do mechanicznego odtworzenia ostatnich dni życia Jenny. Jakby sama ściągnęła na siebie ten grad kul!

A to oznacza, że jeśli Blanche nie oskarży swoich byłych kochanków, nikt tego nie zrobi.

Zaraz, zaraz, jakie *jeśli*? Nie oskarży ich i już. Podjęła przecież taką decyzję wczoraj w swoim mieszkaniu, w chwili, gdy Ernest napomknął o P'ticie.

Odkręca kran i bierze łyk zimnej wody. *Wczoraj nie myślałam logicznie* – przygotowuje sobie w głowie, co ma powiedzieć. *Kiedy rozmawiałam z panem Cartwrightem i panem Bohemem, byłam w takiej hysterii, że chyba po prostu podałam im dwa pierwsze nazwiska, jakie przyszły mi do głowy. Pomiędzy mną a moimi rodakami, panem Deneve i panem Girardem, doszło do pewnych nieporozumień...* W tym momencie przebiega ją dreszcz. Czy żeby wytłumaczyć źródło owych nieporozumień, będzie musiała opowiedzieć sądowi o swoim utraconym dziecku? Ta historia stawia ją w złym świetle, jakby była jakąś tanią prostytutką, która otumaniona laudanum przykucnęła w jakimś zaułku, urodziła dziecko, a potem odeszła, ledwo trzymając się na nogach, tak nawalona, że nawet nie

wiedziała, czy to sen, czy jawa...

Nie, musi zachować istnienie P'tita w tajemnicy, chronić go jak płomień świecy, który w każdej chwili może zgasnąć. Jego życie – jeżeli wciąż żyje, jeżeli prawidłowo odczytała ton Ernesta, jeżeli nie jest to jakiś bardzo wyrafinowany fortel – jego życie znów znajduje się w jej rękach, tak samo jak wtedy, gdy porwała go z pokoju dla „tygodniaków” przy Folsom Street, niecały miesiąc temu.

Przyznaję, że żywiłam urazę wobec pana Deneve. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale on nie mógł wiedzieć, że zmarła... że Jenny i ja przebywałyśmy w San Miguel Station. Zresztą był już wtedy za granicą, o czym dowiedziałam się dopiero niedawno. Dlatego też pragnę wyrazić najgłębszą skruchę z powodu rzucenia na niego fałszywych oskarżeń. Nie, te sztywne zdania nie brzmią zbyt wiarygodnie. Jeżeli naprawdę zamierza to zrobić – zdradzić Jenny w zamian za cień szansy na odzyskanie P'tita – powinna przynajmniej przekonująco odegrać to przedstawienie.

Ernest powinien był ją dokładnie poinstruować, co ma powiedzieć, kiedy wczoraj w pustym mieszkaniu wydawał rozkazy. Powinien przekazać jej kwestie, których mogłaby nauczyć się na pamięć. Gdy tak stoi pochylona nad umywalką, nagle przychodzi jej coś do głowy: może Ernest oczekiwał od niej, że spreparuje jakąś nową, genialną teorię i tym samym podsunie inspektorom całkiem nowy trop. Czy powinna wspomnieć o skradzionym bicyklu i rzucić cień podejrzania na McNamarów? A może zasugerować, że po przedmieściach San Francisco grasuje jakiś szaleniec? Blanche nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby tylko potrafiła wymyślić jakąś trzymającą się kupy historyjkę.

Znowu musi skorzystać z toalety. Wraca więc do kabiny.

Siedząc z łokciami wspartymi na kolanach, czuje, jak jej serce zaczyna toczyć robak wątpienia. *Nigdy więcej nie zobaczysz dzieciaka*, ostrzegął wczoraj Ernest, a ona, nie wiedzieć czemu, ubzdurała sobie, że jeśli odpowiednio to rozegra, odzyska P'tita. Naprawdę myślała, że Ernest, po tym jak usiłował ją zabić, a w rezultacie ukatrupił Jenny, przeczyta w wieczornej gazecie raport z przesłuchania i uzna, że ostatecznie Blanche jest jednak w porządku? A potem będzie chodził w tych swoich modnych ciuchach po Chinatown z P'titem na ramieniu i workiem czystych pieluch w ręku, aż ją znajdzie i odda jej dziecko?

Co za nonsens wyobrazać sobie, że zawarła niepisaną umowę z mordercą! Ernest ma co najmniej kilka powodów, żeby jej nienawidzić, a ona nie ma jakichkolwiek podstaw, żeby mu ufać. A co, jeśli wkroczy teraz na tę salę rozpraw, przysięgnie na Pismo Święte i oczyści Arthura z zarzutów, a potem wyjdzie na Dupont Street i już nigdy w życiu nie usłyszy ani słowa od żadnego z nich? Ernest zapewne wyjedzie z miasta jeszcze dziś wieczorem. A ona? Co jej z tego przyjdzie? Na próżno zdradzi swoją przyjaciółkę i nigdy się nie dowie, co się stało z dzieckiem. Już wcześniej była tego wszystkiego świadoma, ale cały czas starała się odsuwać od siebie tę myśl. Cokolwiek powie koronerowi, jakąkolwiek podejmie decyzję, tylko jedno jest pewne: straciła P'tita.

Chwiejąc się na nogach, wyłania się z toalety. Wychodzi z budynku zakładu pogrzebowego i wraca na ulicę; jaskrawe słońce przyprawia ją o zawrót głowy. Zauważa grzmiący nagłówek na pierwszej stronie gazety: „Wydział Zdrowia Publicznego nakazuje fumigację wszystkich budynków w Chinatown”.

Jasne, jasne, przypomina sobie żart Jenny, *następne*

trzęsienie ziemi też pewnie zwałą na Chińczyków.

Uliczny muzykant w przepoconej koszuli, wpatrujący się w dal niewidzącymi oczami ślepcy, podśpiewuje radośnie, przygrywając sobie na kastanietach.

Niektórzy od trosk siwieją,

Ale nie ja czy ty.

Niektórzy od trosk marnieją,

Ale nie my, nie my.

Jenny zatrzymałaby się, żeby go posłuchać, i pewnie sama zaśpiewałaby kilka wersów. Jenny powiedziała by Ernestowi, gdzie może sobie wsadzić te swoje groźby. Może i bywała czasem smutna, ale nigdy wystraszona.

I nagle, jakby jakaś zasłona spadła jej z oczu, Blanche uświadamia sobie, że okłamując sąd, niczego nie zyska. Nieważne, co dzisiaj powie, nieważne, z jaką elokwencją oskarży McNamarów albo jakiegoś tajemniczego bandziora – Ernest i tak nie odda jej P'tita. Był to z jego strony tak oczywisty blef, że każdy idiota by się tego domyślił. Najprawdopodobniej jej dziecko zostało już umieszczone – i opłacone z góry – gdzieś, gdzie jest jeszcze gorzej niż na Folsom Street. Albo pływa w jakimś szambie.

Blanche mocno przyciska rękę do ust.

Jak myślisz, Jenny? Powinnam tam wejść i powiedzieć prawdę, nie zważając na konsekwencje?

W tym momencie jednak następuje gwałtowna zmiana biegów i jej myśli znów skręcają w innym kierunku. Jeżeli istnieje choćby minimalna szansa... Niezależnie od tego, czy się uda, czy nie, zawsze będzie mogła powiedzieć sobie, że próbowała, że dla P'tita postawiła wszystko na jedną kartę. To właśnie robią matki dla swoich dzieci: trzymają język za zębami i pozwalają, by cały świat zmieszał je z błotem. Dlatego teraz

wróci na tę rozprawę i będzie kłamać jak z nut w imię wątlej nadziei, że dzięki temu P'tit uniknie najgorszego – tak jak ona z niewytłumaczalnych przyczyn uniknęła najgorszego przed dwoma dniami, gdy kule przeszły nad jej głową, zamiast rozerwać ją na strzępy.

– Panno Beunon!

Blanche odwraca się w miejscu.

To Cartwright. Zdejmuje właśnie swoje niebieskie okulary, żeby wytrzeć błyszczący nos.

– Nie słyszała pani, jak panią wzywają? Lepiej niech się pani pospieszy, zanim Swan ukarze panią za lekceważenie sądu.

Blanche nie wie, co to znaczy, ale z pewnością nie brzmi za dobrze. *Putain*, tak bardzo się zadrecza tym, co powinna powiedzieć, a za chwilę w ogóle straci szansę, żeby powiedzieć cokolwiek!

– Słyszała pani, że Girard został aresztowany? – pyta Cartwright, wracając razem z nią spiesznym krokiem do budynku.

Blanche wbija w niego wzrok.

– Wczorajszej nocy – dodaje dziennikarz, a ona rzuca się pędem przed siebie, stukając obcasami o posadzkę.

Nagle wszystko się zmieniło. Jeżeli Ernest siedzi w tej chwili w areszcie i jest przesłuchiwany, to inspektorzy chyba zdołają wycisnąć z niego prawdę? Na pewno znajdą jakiś, choćby najmniejszy dowód na to, że w czwartek udał się do San Miguel Station i zastrzelił Jenny. A w takim razie to przesłuchanie jest dla niej najlepszą – i jedyną – okazją, by głośno i wyraźnie opowiedzieć wszystko całemu światu i załatwić tych sukinsynów.

– Panna Beunon, jak mniemam? – pyta cierpko Swan, gdy Blanche przemyka między ludźmi, którzy rozstępują się, by

zrobić jej przejście.

Jest tak zdyszana, że ledwo może mówić. Zastanawia się, czy przypadkiem nie popełnia przestępstwa, nie używając swojego prawdziwego imienia. (Gdzie się podziała amazonka Adèle Beunon, dla której niebezpieczeństwo oznaczało jedynie ześlizgnięcie się z konia? Ta osoba wydaje jej się dziś tak odległa, tak bardzo naiwna).

Wstępuje na niewielkie podwyższenie. Z tego miejsca o wiele lepiej widzi zgromadzony na sali tłum. Kładzie rękę na Biblii i mówi „tak”, jeszcze zanim urzędnik sądowy kończy swoją formułkę. Jak na ślubie, przychodzi jej na myśl. Ale zaraz potem w pełni się koncentruje. Koniec rozterek i bicia się z myślami. Arthur opuścił miasto, a Ernesta zamknęli. Szala przechyliła się na jej stronę.

– Od jak dawna znała pani zmarłą?

– Od miesiąca. Może nawet krócej – odpowiada Blanche. To zabrzmiało źle. Jakoś dziwnie płytko.

– Kiedy zorientowała się pani, że była taką samą kobietą jak pani?

Kobietą owszem, ale nie taką jak ja, poprawia go w myślach Blanche.

– Nigdy nie miałam co do tego wątpliwości – odpowiada chłodno. – Jeżeli czasem jakiś dureń nie umiał tego rozpoznać z odległości dwudziestu metrów, to już jego problem. Gdyby ktoś wziął mnie za królową Anglii, to czy od razu miałabym zostać oskarżona o podszywanie się pod kogoś, kim nie jestem?

Jej komentarz wywołuje huragan śmiechu, a przecież wcale nie starała się nikogo rozśmieszyć.

Swan rzuca widowni surowe spojrzenie, jakby smagał wszystkich batem.

– Czy to pani zaproponowała spotkanie w San Miguel

Station w ostatni wtorek?

– Nie, ale... – Swan za bardzo pędzi z tą historią, musi go przyhamować. – Widzi pan, odeszłam od Arthura i z tego powodu zżerała go wściekłość...

– Chodzi o Arthura Deneve? – pyta Swan, patrząc w notatki. – Który był, jak to mawiają pani rodacy, pani *maquereau*?

– Moim kochankiem – rzuca bezbarwnym głosem Blanche. *Kochankiem?* Dlaczego mówi w ten sposób o Arthurze? Arthurze, który wszystko zniszczył? Blanche ma ochotę się roześmiać, a jednocześnie zbiera jej się na wymioty. Co za absurd – akurat teraz, kiedy przyszła zeznawać przeciwko niemu i Ernestowi, zebrało jej się na gadanie o miłości?

– Kiedy zakończyła się ta relacja?

Blanche patrzy na Swana.

– Jakiś tydzień, może dziesięć dni temu. – Jak wskazać ten jeden konkretny moment, w którym skończyła się miłość, albo raczej w którym okazało się, że nigdy nie było żadnej miłości? – On żywił wielką niechęć do Jenny. – *Tak naprawdę do mnie*, dodaje w myślach. Ponieważ to ona go znieważyla, gdy odmówiła obsłużenia Amerykanina, którego przyprowadził do domu, a także przedtem, gdy nie chciała się do niego zbliżyć podczas choroby, i jeszcze wcześniej, gdy zabrała dziecko z Folsom Street i przyniosła je do domu, i jeszcze dlatego, że... Zawsze będzie jakiś kolejny powód. Ale gdyby powiedziała o którejś z tych rzeczy, musiałaby wytłumaczyć, dlaczego w jej przekonaniu to dla niej, a nie dla Jenny, były przeznaczone te kule. To zaś mogłoby niepotrzebnie skomplikować pracę ławy przysięgłych, której członkowie już i tak sprawiają wrażenie mocno zdezorientowanych.

– Jak się przejawiała ta niechęć? – dopytuje Swan.

– On... – Blanche nie może znaleźć odpowiednich słów. Jak opowiedzieć o tym na tyle prosto, żeby przysięgli zrozumieli to, co najważniejsze, czyli że Arthur jest mordercą? – Był wściekły na Jenny, ponieważ... spędzałam z nią sporo czasu tego lata, i myślał, że to ona namówiła mnie, abym z nim zerwała.

– Tak było?

– Nie! Zostawiłam go, bo... nie byłam w stanie... – Nie, musi się powstrzymać. Wie, że jeżeli zacznie opowiadać o kliencie, którego Arthur i Ernest przyprowadzili do jej mieszkania, wszyscy obecni zakodują sobie w głowach jej obraz jako dziwki.

– Panno Beunon? – ponagla zmęczonym głosem Swan.

– On zabrał moje dziecko! – wyrzuca z siebie Blanche.

– Tu nie ma nic o żadnym dziecku – dziwi się Swan, przerzucając kartki.

– Naszego chłopca, naszego rocznego synka – tłumaczy Blanche. Czy w jej głosie słyhać dostateczne przygnębienie? Bóg wie, że jej smutek jest prawdziwy, ale trudno go okazać tak na zawołanie. – On... Arthur i Ernest, oni mi go ukradli.

– Ma pani na myśli – koroner znowu zagląda w notatki – Ernesta Girarda. Gdzie teraz jest to dziecko?

– Nie mam... – jej głos drży tak bardzo, że nie jest w stanie mówić dalej.

Swan nie powtarza pytania, tylko notuje coś w papierach.

Blanche zamyka oczy. Jeżeli P'tit już nie żyje, to słusznie robi, denuncjując drani, którzy są za to odpowiedzialni. A jeżeli jakimś cudem żyje...

Wyobraża sobie, jak dziś wieczorem idzie do Ernesta do więzienia i kategorycznym tonem każe mu wyjawić miejsce pobytu dziecka. Jeśli P'tit żyje, to dlaczego w obecnej sytuacji

Ernest miałby jej go nie oddać? Może nawet uda się go zmusić, żeby zwrócił chociaż część skradzionych pieniędzy? Wszystko jest możliwe teraz, kiedy Ernest znalazł się pod kluczem.

Dlatego wywnętrza się jeszcze bardziej, chcąc zjednać sobie ławę przysięgłych, zanim Swan znowu jej przerwie.

– Obaj mężczyźni mieszkali w moim mieszkaniu, w budynku, którego byłam właścicielką, całego budynku, przy Sacramento Street numer osiemset piętnaście, i nie dalej jak wczoraj dowiedziałam się, że sprzedali ten dom za moimi plecami za tysiąc osiemset dolarów. Arthur ukradł mi jeszcze dwieście czy trzysta dolarów w gotówce i wyjechał z kraju z moimi pieniędzmi. Zostały mi tylko te ubrania, które mam na sobie. – Czy nie brzmi to nazbyt wyrachowanie? – Ale moje dziecko... – dodaje Blanche, zawodząc. – Liczy się dla mnie tylko...

Swan przerywa, żeby zadać pytanie.

– Czy ten Deneve wygłaszał groźby wobec zmarłej?

– Tak – odpowiada Blanche po chwili wahania. Ernest, grożąc jej tamtego dnia na Waverly Palce, musiał mieć na to przyzwolenie Arthura, ponieważ w tym duecie to Arthur zawsze o wszystkim decydował. – On i Girard... próbowali doprowadzić do aresztowania Jenny. – Błąd. Po co w ogóle poruszać temat jej problemów z prawem? Trzeba szybko przejść dalej. – Powiedzieli, że ją załatwią, chlusną jej witriolem w twarz. – Blanche koloryzuje, ale tylko trochę. – A któregoś dnia, zapomniałam dodać, Arthur błagał mnie na kolanach, żebym do niego wróciła. – Skoro już i tak upiększa, to równie dobrze może zrobić z tego efektowną, pełnokrwistą scenę. Tak naprawdę przecież nie kłamie, w każdym razie niezupełnie; bardziej wypełnia luki w opowieści, sytuacje, w których sama nie uczestniczyła. Pomimo zuchwałej pozy Arthurowi na pewno

musiały też się zdarzyć chwile, kiedy zraniony łkał po utracie Blanche, prawda? – A Ernest krzyknął: „Nie martw się, Arthur, ja cię pomszczę! Rozwałę łeb tym dwóm dziwkom z piekła rodem!”.

Ostatnie zdanie wywołuje pomruk zadowolenia na sali.

No, i już po wszystkim. Blanche bierze głęboki oddech.

Swan patrzy na nią z zagadkowym wyrazem twarzy.

Blanche ledwo może się skupić, gdy koroner każe jej streścić wydarzenia w San Miguel Station (brzmi to tak niepoważnie, same przejażdżki i posiłki, jakby razem z Jenny zrobiły sobie przyjemny wypad do nadmorskiego kurortu).

A kiedy pyta o podbite oczy Jenny, milknie na moment.

– Tak, Jenny spadła z konia i uderzyła się o drzewo. – Hm, to jakoś nie brzmi zbyt wiarygodnie. O drzewo? Chyba raczej o ziemię. – To znaczy, wjechała prosto w nisko rosnącą gałąź, a potem spadła – dodaje. *Chut, tylko za bardzo nie kombinuj.*

– Czy była wtedy pijana? – pyta Swan.

Blanche nie chce, żeby przysięgli myśleli o Jenny jak o jakiejś nędznej pijaczce, ponieważ wtedy przestanie ich obchodzić, kto ją zabił, ale musi przecież jakoś uwiarygodnić ten wypadek.

– Ona... Trochę się wcześniej napiła.

– Pan McNamara zeznał, że Bonnet piła przez cały czwartkowy wieczór – przypomina Swan. – I podobno to pani nie pozwoliła jej wracać do miasta.

– Przemówiłam jej do rozsądku – poprawia go Blanche. – Dla jej własnego bezpieczeństwa. – Też mi bezpieczeństwo! Godzinę później była martwa. Poczucie winy sprawia, że zasycha jej w ustach i język staje kołkiem.

– Bonnet położyła się spać przed panią, czy tak?

Blanche kiwa głową.

– Ja usiadłam jeszcze na chwilę na krawędzi łóżka.

– Jakie były jej ostatnie słowa?

Nie może się rozplakać, nie tutaj na oczach tych wszystkich obcych ludzi. Zresztą, czy naprawdę ostatnie słowa człowieka są ważniejsze od wszystkich pozostałych?

– Nic nie powiedziała.

– Nic?

Qu'est-ce, to wszystko, co Blanche usłyszała, gdy ucichły strzały. Mógł to być początek zdania *Qu'est-ce que c'est que ça?*⁸¹ albo *Qu'est-ce qui m'est arrivé?*⁸² Teraz przychodzi jej do głowy, że może ten gardłowy charkot to było jednak jakieś angielskie słowo. I potem jeszcze ostatni jęk w ciemnościach: coś jakby „pocałuj?”⁸³ Czy słuch jej nie mylił? Czy to możliwe, że Jenny prosiła o pocałunek, zanim całkiem uszło z niej życie? Ale przecież ona nigdy jej o nic nie prosiła: ani o koszulę, ani o dolara, a już na pewno nie o całusa.

– Zastanawia mnie jeszcze jedna kwestia, panno Beunon – zmienia temat koroner. – Powiedziała pani detektywowi Bohenowi, że tuż przed strzałem schyliła się pani i zajęła rozwiązywaniem getrów, a więc dokładnie w chwili, kiedy za oknem morderca naciskał spust...

Blanche znów cała się napina. „Schyliła się” – to brzmi jak coś, co robi się z premedytacją, z niekoniecznie czystych pobudek. Czy Swan sugeruje, że brała udział w spisku?

– Przecież nie mogłam o tym wiedzieć, prawda?

Czy on naprawdę myśli, że jej ciało było w stanie wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo? Ludzie nie mają świadomości tego, co im się ostatecznie nie przytrafia – świadomości życia, które nie staje się ich udziałem, ani śmierci, która idzie za nami krok w krok. I dzięki Bogu. Co by to było, gdyby człowiek zdawał sobie sprawę ze wszystkich tych możliwości, które

unoszą się nad nami niczym ciemna chmura owadów? I tak już wystarczająco trudno przeżyć każdy kolejny dzień.

– Czy nie wydaje się pani, że to wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności?

Blanche lekceważąco wzrusza ramionami. Przypadki zdarzają się cały czas. Los muska palcem wirującego bąka i zabawka się przewraca. Czy to nie był czysty przypadek, że tamtego parnego wieczora na Kearny Street Jenny wjechała swoim bcyklem w Blanche, a nie w jakiegoś innego przechodnia spośród setek tysięcy mieszkańców San Francisco?

Ale Swan najwyraźniej dalej chce to roztrząsać.

– Zastanówmy się, jakie było statystyczne prawdopodobieństwo, że schyli się pani akurat w tym samym momencie, kiedy zabójca pociągnie za spust... Uchyliła się pani z linii ognia i w rezultacie osiem kul przeszło nad pani głową, kilka centymetrów od pani ciała.

Czego on od niej oczekuje? Ma przeproszać za to, że przeżyła?

– Wydaje się to mało prawdopodobne – dorzuca Swan. – To wszystko.

Blanche nie schodzi z podestu. Czy to znaczy, że jest już wolna?

– Koniec przesłuchiwania świadków – obwieszcza urzędnik, gdy Blanche wraca na widownię.

Tylko tyle? Blanche czuje się zawiedziona. Przecież nikomu nie udało się uzupełnić brakujących elementów układanki.

Czekanie na werdykt jest naprawdę męczące. Publiczność kręci się po sali, gawędzi, je orzeszki i popija z piersiówek.

Nagle wszyscy się ozywiają, ponieważ członkowie ławy przysięgłych, jeden za drugim, zaczynają wchodzić do dusznego

pomieszczenia. Czy ci mężczyźni wyglądają jak praworządni Amerykanie, którzy właśnie postanowili posłać dwóch zabójców na szubienicę? Blanche nie potrafi niczego wyczytać z ich twarzy.

Przewodniczący ma ochrypły głos. Jest wyraźnie zdenerwowany, ale i tak sprawia wrażenie, jakby delektował się tym, że choć na chwilę znalazł się w centrum zainteresowania.

– Ława przysięgłych orzeka, że ofiara poniosła śmierć w wyniku aktu przemocy, dokładnie: w wyniku ran postrzałowych... – zawiesza głos, żeby odchrząknąć. Blanche popędza go w myślach.

– ...oraz że zginęła z rąk nieznanymi sprawców.

Blanche z trudem powstrzymuje jęk zawodu. Naprawdę tylko tyle wynikło z tej rozwlekłej rozprawy?

– Jednakże w opinii ławy przysięgłych dowody silnie wskazują na Arthura Deneve i Ernesta Girarda jako osoby winne lub współwinne popełnienia tego morderstwa.

Na sali słyhać szmer podekscytowania.

No, tak już lepiej. *Osoby winne lub współwinne* – brzmi to całkiem poważnie. Czy wystarczy, aby ściągnąć Arthura z miejsca, w którym aktualnie przebywa? Nawet z Francji? Z kolei Ernest już siedzi w celi i teraz pewnie będą go trzymać tak długo, aż wycisną z niego dostatecznie silne dowody. Musi przecież zapłacić, choćby najniższą cenę, za te osiem kul, prawda?

– Dziękuję panom – odzywa się Swan. Nawet jeżeli jest rozczarowany werdyktem przysięgłych, który nie przyniósł definitywnego rozstrzygnięcia, najwyraźniej uznał, że okazywanie tego byłoby nie na miejscu. – Pogrzeb odbędzie się punktualnie o czternastej.

Blanche wychodzi z budynku razem ze wszystkimi.

Słyszy burczenie we własnym brzuchu. Dziś jeszcze nic nie jadła. Ciekawe, że najprostsze ludzkie potrzeby zawsze dadzą o sobie znać, niezależnie od powagi sytuacji.

Detektyw Bohem stoi na chodniku przed wejściem do zakładu Graya, odpowiadając na pytania dziennikarzy.

– Nie powiedziałbym, że liczba brutalnych przestępstw podwoiła się podczas tej fali upałów, aż tak daleko bym się nie posunął, chociaż...

Ktoś mu przerywa:

– Ile kosztuje w tym mieście wynajęcie płatnego zabójcy?

– Według naszych źródeł od dwustu nawet do tysiąca dolarów – odpowiada Bohem.

– Otrzymał pan oferty pomocy od osób zajmujących się jasnowidztwem?

– Dobrowolne oferty, tak jak zwykle, jednakże...

– Panie Bohem? – woła w jego stronę Blanche.

Inspektor odwraca się do niej.

– „Winni lub współwinni”. Czy to wystarczy? – pyta stanowczo. Musi mieć pewność.

Bohem marszczy brwi. Dziennikarze zapisują coś w notesach i posyłają Blanche złośliwe uśmiešky. Detektyw odciąga ją na bok, ledwo dotykając jej łokcia.

– Panno Beunon – zaczyna, a reporterzy przysuwają się odrobinę bliżej. – Panowie! – warczy przez ramię, po czym odsuwa się z Blanche jeszcze kilka kroków dalej.

– Czy ten werdykt wystarczy, żeby przynajmniej Girard zawisnął? – pyta Blanche ściszym głosem.

– „Nieznani sprawcy”, to było najważniejsze sformułowanie, jakie padło na tej sali.

– Ale przysięgli...

– To tylko ława przysięgłych koronera i jedyne, co mają, to

przeczcucie. Osobiście mogę się zgodzić z ich podejrzeniami, ale nic więcej z tego nie wynika.

– Przecież dowody świadczą... „wskazują” na tę dwójkę, tak powiedział przewodniczący – rozpaczliwie przekonuje go Blanche.

– W dochodzeniu kryminalnym to za mało, panno Beunon – ucina stanowczo Bohem. – Nie przedstawiono żadnego dowodu na to, że Deneve albo Girard udali się w czwartek do San Miguel Station lub też nakłonili do tego kogoś innego.

Blanche miota się w bezsilnej złości.

– Nie może pan przesłuchać Ernesta, zagrozić mu, że albo on, albo Arthur poniesie za to karę, przycisnąć go...?

– Mogę sobie tylko wyobrażać, jakiego rodzaju metody stosuje się w paryskich komisariatach – odpowiada chłodno Bohem. – I czasami rzeczywiście zazdroszczę waszym żandarmom pełnej swobody działania. Kłopot w tym, że nasi obywatele są uznawani za niewinnych, dopóki nie udowodni się im winy. Takie mamy prawo.

Blanche zgrzyta zębami. Ci przemądrzali Amerykanie i ich prawa!

– Chodzi mi tylko o to... Czy więźnia nie powinno się jakoś zmusić, by powiedział wszystko, co wie?

– Dziś rano Girard powiedział wszystko, co trzeba, a mianowicie, że spędził czwartkowy wieczór w mieszkaniu, które dzieli z niejaką Madeleine George. Ponieważ panna George potwierdziła jego słowa, nie mieliśmy powodu, żeby go dłużej trzymać.

Blanche wpatruje się w niego z niedowierzaniem. Madeleine? Ta *salope*!

– Ale kobieta zawsze zgodzi się kłamać dla swojego mężczyzny.

– Są też inni świadkowie, znajomi, którzy tamtego wieczora złożyli tej parze wizytę.

– Cóż, nawet jeśli to prawda – Blanche niemal na niego warczy – Ernest mógł przecież wynajść jakiegoś zbira...

– Tak jak i każdy inny, panno Beunon. Nawet pani, jeśli już o tym mówimy. Ale nie ma na to żadnych dowodów.

W tym momencie powinna się obrazić, ale jej uwagę przykuły inne słowa wypowiedziane przez Bohena minutę wcześniej. *Nie mieliśmy powodu, żeby go dłużej trzymać.*

– Chyba nie wypuściliście Ernesta z aresztu?

– Tak się składa, że został zwolniony kilka godzin temu.

Krzyk, który wydobywa się z jej gardła, brzmi jak pisk jakiegoś gryzonia schwytanego przez jastrzębia. Na twarzy detektywa maluje się irytacja.

– Te sprawy wymagają czasu. Wolno, ale konsekwentnie, kierując się żelazną logiką...

Chwiejnym krokiem Blanche odsuwa się od niego bez słowa.

– Panno Beunon? – Tym razem za rękaw łapie ją Cartwright z „Chronicle”.

Blanche odtrąca jego dłoń.

– Pół godziny temu powiedział mi pan, że Ernest jest w więzieniu, ale oni już go wypuścili!

– Naprawdę? – krzywi się dziennikarz. – Niech pani posłucha, robię, co mogę...

– Tak, robi pan, co może, żeby sprzedawać papier do pakowania ryb.

– Mam nadzieję, że zwiększanie sprzedaży „Chronicle” nie kłóci się z dążeniem do sprawiedliwości...

– Ale z pana kłamca – przerywa mu. – Wymyślił pan sobie ostatnie słowa Jenny! „*Adieu*, idę spotkać się ze swoją siostrą...”

– Jeśli ja coś pominię, to wydawca dorzuci swoje trzy grosze – tłumaczy się Cartwright, wyraźnie zmieszany. – Obawiam się, że to, co nazywamy „wiadomościami”, w rzeczywistości stanowi osobliwy zlepek faktów i fikcji.

Ale Blanche już go nie słucha. Odwraca się na pięcie i szybkim krokiem oddala się od dziennikarza.

Na rogu stoi ta potworna katarynka, a mechaniczne kukły pochylają się i kołyszą w takt *Cwału Walkirii*. Blanche skręca w przeciwnym kierunku, by uciec przed tym hałasem.

Co ona narobiła?

P'tit właśnie po raz ostatni wyśliznął jej się z rąk.

Postanowiła być dzisiaj sprytna. Wykonać brawurowy ruch, zlekceważyć groźby Ernesta. Chciała spotkać się z nim w więzieniu i roześmiać mu się w twarz. A tymczasem on przez cały ranek chodził po ulicach wolny jak ptak. Może stał gdzieś w tłumie w zakładzie Graya, z twarzą zasłoniętą rondem kapelusza, i słyszał każde bezmyślne słowo, jakie padało z jej ust. Zresztą nieważne, czy Ernest słuchał osobiście jej zeznań, czy też później przeczyta o wszystkim gazetach, i tak dojdzie do tego samego wniosku: ta dziwka zagrała już swoją ostatnią kartę.

Rozdział 7

Daj się wygrzmocić

Pierwszy poranek w San Miguel Station, środa, trzynasty września. Blanche otwiera oczy i widzi Jenny w niebieskich ogrodniczkach z nitami przypominającymi mosiężne koraliki.

– Coś ty na siebie założyła? – pyta zdumiona.

– Dałam za nie tylko dwa dolce. – Jenny szczyrzy zęby w uśmiechu, poprawiając pasek. – Sprzedawca zaklinał się, że mnie przeżyją.

– Tylko ich nie zakładaj w mieście, bo wywołasz zamieszki.

Jenny wyciąga colta spod materaca po swojej stronie łóżka.

– Myślałam, że idziesz nad staw polować na żaby.

– W tym upale pozarastał glonami, a żaby kręcą nosem na szumowiny.

– Nie wiedziałam, że żaby mają nosy.

Jenny znów pokazuje rząd równych zębów, po czym wyciąga z torby pudełko z nabojami.

– W takim razie na co zamierzasz polować? – dopytuje Blanche.

W odpowiedzi słyszy głośny rechot.

– Kto idzie na polowanie z rewolwerem?

– A czy ja kiedykolwiek twierdziłam, że znam się na broni?

Zresztą nigdy mnie to nie obchodziło – prycha Blanche.

– Pomyślałam, że pokażę dzieciakom, jak się strzela do celu – wyjaśnia w końcu Jenny.

Gdy pół godziny później Blanche wreszcie wygrzebuje się z pościeli i ubrana w prostą sukienkę wychodzi na dwór, widzi swą przyjaciółkę otoczoną przez trójkę małych McNamarów.

– Celujesz za wysoko – tłumaczy Johnowi juniorowi.
– Wcale nie. – Chłopiec przymierza się do strzału, naciska spust i znów nie trafia w belę słomy.
– No ale przynajmniej cię nie odrzuca – stwierdza Jenny.
Kolejny strzał. Tym razem kula ociera się o brzeg beli, wzbijając w powietrze kilka źdźbeł słomy.
– Kurczę blade! – krzywi się chłopak.
Rozbrajające, myśli Blanche, z jaką powagą ten dwunastoletni dzieciak przeklina pod nosem: używa dzieciennego wręcz zwrotu, a wydaje mu się, że jest taki wulgarny.
– Dużo trudniej oddać celny strzał z rewolweru – pociesza go Jenny. – Może pokażesz panie Blanche, co potrafisz zdmiać swoją starą strzelbą? Widziałam, jak kiedyś trafił do puszek z odległości prawie trzydziestu metrów.
Blanche szeroko otwiera oczy ze zdumienia.
– Naprawdę? Nie wierzę.
John junior czerwienieje na twarzy, zupełnie jakby się właśnie o niego lekko otarła. Nie zamierzała z nim flirtować. Po prostu ma to w swoim stałym repertuarze gestów i zachowań.
– No, leć po nią – wysyła go Jenny po strzelbę.
– Tato sprzedał ją jakiś miesiąc temu – mówi półgębkiem chłopak i mrużąc oczy, podnosi rewolwer. Tym razem snopek upada z łoskotem, wzbijając przy tym tumany kurzu.
– I o to chodziło – mruczy Blanche z uznaniem.
John junior nie patrzy na nią. Jest cały czerwony, nawet uszy mu płoną, lecz ona nie może się powstrzymać: zbyt dobrze się bawi, widząc, jakie robi na nim wrażenie.
Jeremiah płaczkliwie dopomina się swojej kolejki.
– Chodź, potrzymany go razem – proponuje mu Kate.
– Nie.
– Inaczej strzelisz sobie w stopę, zobaczysz – ostrzega go

siostra.

– Ja sam, ja sam!

Blanche myśli o P'ticie. O wszystkich możliwych niebezpieczeństwach, jakie na niego czyhają, niezależnie od tego, gdzie teraz jest.

Słyszając wyklócające się dzieciaki, Ellen McNamara wychodzi na podwórko i przerywa lekcję. Dopiero po kilku cierpiętniczych westchnieniach łaskawie zgadza się zrobić kilka grzanek – „Śniadanie było kilka godzin temu”. W tym czasie Blanche przebiera się w sypialni.

Gdy kwadrans później wygląda przez zakurzone okno saloonu, dostrzega Jenny, która właśnie oswobadza konia zaprzęzonego do bryczki wypożyczonej od Marshalla. Wybiega na zewnątrz, wciąż przeżuwając opieczony chleb.

– A dokąd ty się wybierasz? – pyta ostro, choć wcale nie chciała być niemiła.

– W Sweeney Ridge jest taki jeden potok, gdzie zawsze łapię cały worek – wyjaśnia Jenny, kierując wzrok na południe, gdzie ciągną się pasma wzgórz. – Jedziesz ze mną?

Blanche waha się przez chwilę, spoglądając na swoją spódnicę w grochy. Wcale nie ma ochoty sama siedzieć cały dzień w Eight Mile House, ale...

– Tylko mi się tu nie wymawiaj tymi szeleszczącymi falbanami. Jakby co, John junior zawsze może ci pożyczyć ogrodniczki.

– Po moim trupie!

Wraca się jednak do sypialni i zdejmuje turniurę, a pantofle na obcasach zamienia na parę płaskich butów. Pożycza od Johna juniora złotobrazowego kucyka, proponując pieniądze za wynajem konia, ale chłopak tylko mamrocze pod nosem, że wszyscy przyjaciele Jenny są jego przyjaciółmi. Blanche

odwdzięcza mu się najśłodszym z całej gamy uśmiechów, jakie ma w swoim repertuarze.

– Co, ślizgasz się na siodle? – pyta ją Jenny po kilku minutach jazdy.

– Mam wrażenie, jakbym się turlała na dnie koszyka – narzeka Blanche.

– Pewnie w tym swoim cyrku jeździłaś w stylu angielskim?

– Francuskim – poprawia ją.

– To lepiej się naucz jeździć tak, jak się jeździ tu na zachodzie, bo inaczej ta klacz zrzuci cię z grzbietu i wylądujesz w najbliższym parowie. Przede wszystkim zostaw jej pysk w spokoju – radzi Jenny.

– To skąd będzie wiedzieć, kto tu rządzi?

– Zostaw ją w spokoju i daj jej żyć. Podaruj wolność, pozwól cwałować w pogoni za szczęściem, byle tylko dowiozła cię na sam szczyt.

Blanche przewraca oczami, ale idzie za przykładem towarzyszki: przekłada cugle do lewej ręki i puszcza je luźno. Wygląda na to, że klacz Johna dokładnie wie, co robić. Na pewno już nieraz pokonywała tę trasę.

Jadą skrajem gospodarstw mleczarskich, mijając po drodze wzgórze, które, jak informuje ją Jenny, nazywa się San Bruno.

– Dobra, to może pokażesz mi kilka trików, skoro już się do ciebie przyzwyczaiła?

Blanche odwraca głowę i patrzy na nią z niedowierzaniem.

– No dawaj – naciska Jenny – nigdy wcześniej nie spotkałam prawdziwej amazonki.

– Teraz to chyba prawdziwej *putain*.

Jenny rzuca jej gniewne spojrzenie. Zdziwiona Blanche odruchowo szarpie za uzdę. Rozjuszona klacz zaczyna wściekle machać kremowym łbem.

– No co? Nazywam rzeczy po imieniu.

– Przecież stać cię na dużo więcej – upiera się Jenny. – Nie pozwól, żeby te sukinsyny sprowadzały cię tylko do tej roli.

Słowa przyjaciółki wprawiają Blanche w osłupienie.

– Sposób, w jaki tańczysz... toż to prawdziwa sztuka, do cholery. Nikt nie może się z tobą równać. Jesteś numer jeden!

Blanche całą tę wymianę zdań postanawia obrócić w żart.

– Numer to ja im mogę zaserwować po pokazie, za dodatkową opłatą.

Jenny puszcza tę uwagę mimo uszu.

Przez chwilę jadą w milczeniu. Ale jedna rzecz nie daje Blanche spokoju.

– Przecież nigdy nie widziałas, jak tańczę – mówi do Jenny.

– Czyżby?

Blanche patrzy na nią zdezorientowana.

– W House of Mirrors? – Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby wpatrywać się w twarze ukryte pod cylindrami i melonikami, a już na pewno nie zastanawiała się, czy na widowni są jakieś kobiety. Zresztą czy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie? A jednak czuje trudne do wyjaśnienia ukłucie na myśl o tym, że Jenny widziała ją na scenie. Skulona na jednym z obitych czerwonym aksamitem krzeseł Grand Saloon, z czapką naciśniętą na oczy, przez nikogo niezauważona, bo przecież wszyscy pożerają wzrokiem Blanche la Danseuse, która na przystrojonej girlandą scenie daje z siebie wszystko.

– Co cię tam przygnało?

Jenny wzrusza ramionami.

– To samo, co mnie gna w każde inne miejsce.

Może najzwyczajniej w świecie chciała się napić. Może szukała nowych wrażeń. A może zrobiła to dla zabawy? – zastanawia się Blanche. Odkąd się poznały, nie dała ani jednego

występu w House of Mirrors, a zatem Jenny musiała znać Kobiętę Pchlę dużo wcześniej, zanim wjechała w nią swoim bcyklem na Kearny Street. (I nigdy nie pisnęła o tym ani słówkiem. *No więc coś ty za jedna?* – dopytywała się podczas ich pierwszego spotkania. *Opowiedz mi o sobie.* A teraz okazuje się, że jej pytania podszyte były kłamstwem).

– Tamtego wieczora, kiedy przyszedłaś do House of Mirrors... byłam dobra? – wypowiadając ostatnie słowa, czuje zażenowanie.

– Dobra? – Jenny potrząsa głową.

Blanche wbija wzrok w podłogę. Jej policzki płoną.

– Byłaś najlepsza. Cholerny *crème de la crème* – cytuje Jenny jej własne słowa. Blanche odwraca głowę, skrywając uśmiech.

Dotarłszy do Sweeney Ridge, zaczynają piąć się w górę. Każde błękitne z oddali wzniesienie okazuje się z bliska brązowym kawałkiem ziemi, porośniętym karłowatymi krzakami.

Podczas tej jazdy Jenny wydaje się jakaś inna. Gdy tak łagodnie kołysze się w siodle, ogarnia ją całkowity spokój i przez większość czasu milczy. Blanche nigdy nie miała okazji poznać jej od tej strony. Wygląda to tak, jakby była dziewczyną o dwóch obliczach: najeżona kolcami miejska Jenny, która awanturuje się w barach, obrzucając wyzwiskami kogo popadnie, i ta druga, sielska Jenny, która jakimś cudem wycisza się na łonie natury. Blanche nie zniosłaby życia na takim pustkowiu, ale widzi wyraźnie, że jej towarzysze lżej się oddycha tutejszym powietrzem.

Robi się coraz bardziej stromo. Jenny zeskakuje na ziemię i przywiązuje wynajętego konia do kolczastego drzewa, rozdartego przez piorun.

– Zaraz wracam. Przyniosę ci trochę wody, zgoda?– szepce wprost do spiczastego ucha zwierzęcia.

– Tylko mi nie mów, że mamy dalej iść na piechotę.

– Tylko kawałek.

Upał niczym gruby, ciężki koc opada jej na twarz i z każdym głośnym oddechem Blanche odsuwa go na bok.

Jenny prowadzi ją teraz porośniętym paprociami szlakiem.

– Wygląda na to, że tu u góry padało – zauważa Blanche, czując pod stopami wilgoć.

Ale Jenny potrząsa głową.

– Nie, to mgła opadła. I stąd rośliny mają wodę.

Pomarańczowo-czarny motyl przelatuje Blanche tuż koło nosa. Przestraszona aż podskakuje. Jenny co chwilę pokazuje jej jakąś roślinę: trędownik, czerwone liście sumaka jadowitego i krzew nazywany „miotłą kojota”, który jak twierdzi, przetrwa wszystko, nawet ogień. W powietrzu unosi się nieznośnie ciężki zapach bzu, jakby ktoś gotował miód. W zaroślach migają dwa czarne ogony saren. Najwyraźniej szukają czegoś do jedzenia w gąszczu wiecznie zielonych krzewów.

– Widuję tu jeżozwierze, węże, kotofretki... Kiedyś omal nie nadepnęłam kojotowi na łapę. Wystrzelił ze trzy metry w górę – wspomina Jenny.

– A ty?

– Chyba tyle samo – przyznaje, chichocząc.

Powoli zaczynają zbliżać się do szczytu, ale Blanche już nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa. Kiedy wreszcie się zatrzymują, wypluwa z płuc piekące powietrze. W lewej łydce łapie ją skurcz. Obydwie spoglądają w dół, na spalone słońcem zbocza. Po obu stronach mają ocean; czują się, jakby balansowały na grzbiecie jakiegoś gigantycznego wieloryba z pooranymi bokami.

– Ta ziemia wygląda na odartą z wszelkiego życia – stwierdza Blanche.

Jenny przytakuje skinieniem głowy.

– Kiedy wypasałam swoje stado w San Mateo – dodaje – wciąż można było się tu natknąć na stumetrowe sekwoje. Dzisiaj nie ma już ani jednej.

– Dlaczego zrezygnowałaś z wypasania?

Na twarzy Jenny pojawia się grymas.

– Bo zaczęłam się czuć jak w więzieniu.

Blanche wybucha stłumionym śmiechem.

– Taka mądra jesteś? To spróbuj spędzić w towarzystwie owiec kilka miesięcy, i to bez ani jednego dnia przerwy – oponuje Jenny. – Ja tam wolę nie mieć żadnych zobowiązań. – Nagle odwraca się na pięcie i wskazując widoczny nieopodal strumień, którego brzegi porastają młode drzewka, mówi rzeczowym tonem: – No to do dzieła! Jesteśmy na terytorium żab. Najlepszym w tej okolicy.

– Dlaczego nie słychać żadnego rechotu? – pyta Blanche, gdy idą w kierunku wody.

– Pewnie są wykończone tym upałem. Poza tym niektóre wydają dźwięk bardziej przypominający gwizd albo cykanie.

– A te z czerwonymi nogami, jak się do ciebie odzywają?

– To zależy, co chcą powiedzieć.

– Jak to: „zależy, co chcą powiedzieć”?

– Ano tak to. One nie śpiewają dla zabicia czasu – tłumaczy Jenny, szczerząc zęby. – Musisz czegoś chcieć albo za czymś tęsknić, żeby o tym śpiewać, nie?

Co racja, to racja.

– Może wykrzykują: *Nadchodzi deszcz!* albo *Drapieżnik w pobliżu!*, albo *Pomocy!*. Samice mają w zanadrzu taki specjalny, gardłowy skrzek, który wydobywają z siebie, gdy

chcą powiedzieć: *Złaż ze mnie, nie jestem w nastroju.*

– Mówisz po żabiemu – śmieje się Blanche.

– W każdym razie próbuję się nauczyć, ale one nie rozumieją mojego akcentu – odpowiada Jenny zrezygnowanym tonem. – Lubię tu zajrzeć zimą po burzy, żeby sobie posłuchać ich chóru. Brzmiały jak jakaś szalona orkiestra.

– A co to jest chór?

– Banda żab.

– Czyli rodzina, tak?

– Nie, tylko faceci – mówi Jenny. – Żaby raczej nie są nastawione, jak by to powiedzieć, prorodzinnie. Za to kiedy samców nachodzi ochota, żeby się rozmnożyć, robią tyle hałasu, że można od tego ogłuchnąć. – I tu wypuszcza serię krótkich pomruków, zwieńczonych głębokim, gardłowym *uh-uh-uh-uh-uh-grrrrr.*

Blanche chichocze, przypominając sobie pewnego bankiera o pozbawionej wyrazu twarzy, który zawsze wykonuje najwyżej dziesięć pchnięć, po czym wyczerpany opada na jej ciało. Jenny szczyrzy kły, jakby czytała jej w myślach.

– To jak w takim razie mówi się na bandę samic?

– Nie ma czegoś takiego – stwierdza Jenny, po czym wyciąga z torby jutowy worek i podpełza do brzegu. – A teraz cicho sza, bo nas usłyszą.

Powoli wchodzi do strumienia i zanurza worek. Staje w sitowiu na szeroko rozstawionych nogach i zaczyna obserwować wodę.

– Nie masz nawet żadnej sieci? – dziwi się Blanche.

Jenny przykładła palec do ust, rzucając jej surowe spojrzenie.

– Jeden stary Francuz nauczył mnie, jak to robić – mówi ledwo słyszalnym szeptem, po czym pochyla się i ruchem

pełnym gracji rozsuwa palcami gęste pałki. Jej brązowe, złożone w miseczkę dłonie zanurzają się w wodzie i...

Rozlega się plusk. Jenny strząsa z rąk wyłowiony muł.

– Uciekła ci? – szepce Blanche.

– Ciut żeśmy się spóźniły, jeszcze chwila i będzie po sezonie. – W głosie Jenny pobrzmiwa nuta melancholii.

– Jak zwykle wymówki.

Blanche szybko zaczyna się nudzić. W wilgotnym powietrzu unosi się zatechły smród. Same żaby może i nie cuchną, ale ich potok owszem. Otwartą dłonią uderza się w ucho, by przegnać komara. Na myśl przychodzą jej węże, o których mówiła Jenny. Jej skóra jest śliska od potu.

Jenny znów zanurza ręce w wodzie i po chwili wychodzi ze strumienia, trzymając za nogę jedną wierzgającą żabę.

– Całkiem spory okaz nam się trafił, jak nic ma dziesięć centymetrów. – Wrzuca go do worka i zakręca materiał, żeby nie uciekł. – Potrzymasz?

– Chyba żartujesz!

Widać, że Jenny złapała rytm i w worku lądują kolejne żaby, jedna za drugą. Jej palce są niczym szczypcy, którymi chwyta je w pasie. Od czasu do czasu głaszcze którąś po brzuszku.

– Może się jeszcze poprzytulacie? – sarka Blanche.

– To je uspokaja i nie dostają w worku szmergla – oznajmia Jenny ze stoickim spokojem, po kolana zanurzona w błocie.

Ta dziewczyna jest nie do poznania! – stwierdza w duchu Blanche.

Słońce chyli się już ku zachodowi, gdy zaczynają się zbierać.

– No, dzisiaj to na pewno nie będę zapierniczać z tym do miasta, nie ma głupich – oświadcza Jenny, przeciągając się

szeroko.

Dopiero teraz Blanche uświadamia sobie, że przecież powinna wrócić do centrum, żeby sprzedać to, co nałapała.

– Klienci Duranda będą musieli trochę poczekać na swoje *cuissees de grenouille* – dodaje Jenny.

– Ale czy te stworzenia nie pozdychają w tym worku?

– Gdzie tam, prześpią większość czasu.

– A co w ogóle jedzą takie żaby?

– Wszystko, co tylko zmieści im się w tych zachłannych dziobach. Wrzuciłam tym draniom kilka robaków, więc może nie pozjadają się nawzajem.

– To tutaj zawsze polujesz? – pyta Blanche, gdy wracają do swoich koni.

Jenny potrząsa głową.

– Poluję wszędzie. Czasami nawet zapuszczam się w okolice Seventeen Mile House. Tu w pobliżu jest jeszcze jeden staw, do którego chętnie bym zajrzała, zanim ruszymy z powrotem...

– No dobra – mówi Blanche i idzie za nią ścieżką, która odbija w bok od szlaku. Kiedy wychodzą z za zakrętu, okazuje się, że skarpa jest podkopana. Potężne maszyny ciągnięte przez konie wrywają całe płaty ziemi.

– Drwale?

Jenny zaciska usta i kręci głową, wskazując ogromne ognisko, w którym pnie drzew zmieniają się w popiół.

– Hej – zatrzymuje mijającego ich mężczyznę z siekierą na ramieniu – co tu się dzieje?

– Przedsiębiorstwo Gospodarki Wodnej w Spring Vally stawia tamę na stawie. Budujemy wał ziemi o wysokości trzydziestu metrów – oznajmia jej z cieniem dumy w głosie.

– Po moim trupie! – wrzeszczy Jenny.

Blanche powstrzymuje jęknięcie. Ta dziewczyna potrafi stracić kontrolę nad sobą dosłownie w okamgnieniu!

– Kto wam dał cholerne prawo...

– Ten, kto sprzedał nam ten cholerny staw – przerywa jej robotnik i obraca siekierę na ramieniu, jakby chciał pogrozić im obu. – Chcesz, żeby miasto zdechło z pragnienia? – mówi, spoglądając na Blanche i mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. Wygląda na to, że jej uwalana błotem spódnica w grochy napawa go większym obrzydzeniem niż jeansowe ogrodniczki Jenny.

Blanche oblewa się rumieńcem.

– Padam z nóg – mówi cicho do przyjaciółki. – Wracajmy już do San Miguel Station – dodaje prosząco.

Jenny nie żyje od dwóch dni. Blanche siedzi w chińskim barze w suterenie jednej z kamienic przy Dupont Street, oddalonym o kilka budynków od zakładu pogrzebowego, i je jakąś zupę rybną, którą przyniósł jej kelner.

Nie pamięta wszystkiego, co powiedziała na rozprawie, ani nawet w jaki sposób to powiedziała. Może gdyby lepiej się wysławiała, bardziej elokwentnie, gdyby doprowadziła przysięgłych do łez – jednym słowem: gdyby dała popis swojego aktorskiego kunsztu – uznaliby Arthura i Ernesta winnymi spisku mającego na celu popełnienie morderstwa, zamiast stwierdzać jedynie, że dowody *wskazują* na ich powiązanie z tą sprawą.

P'tit. Mały, lekki jak piórko P'tit tkwi w jej sercu niczym kula z pistoletu. Oskarżając dziś rano swoich byłych kochanków w tak obrazowy sposób, zmarnowała ostatnią szansę na przekonanie ich, by oddali jej synka. Teraz może jedynie starać

się nie wchodzić im w drogę i liczyć na cud, czyli na to, że słynni inspektorzy z San Francisco rozwiążą sprawę i przyniosą jej P'tita, całego i zdrowego. Blanche wie, jak niedorzecznie brzmi to marzenie. Ale cóż innego jej pozostało? Nie potrafi zacząć robić jakichkolwiek planów z takim nastawieniem, jakby P'tit nie istniał. Nie może niczego postanowić, nie może nigdzie wyjechać, dopóki się nie dowie, co się stało z jej dzieckiem. (Tym brzydkim, okropnym, ukochanym dzieckiem).

Lecz nim to nastąpi, powinna podreperować swoje finanse. Sporą część pieniędzy od Lamantii przepuściła na różowy kostium, a to, co zostało, nie starczy jej na długo. Oczywiście ma zarobić trzysta dolarów za sobotni taniec w House of Mirrors – i nagle dociera do niej, że to już dzisiaj. Nie wyobraża sobie jednak, w jaki sposób miałyby się do tego zmusić i odnaleźć w sobie ten talent, który niegdyś posiadała Blanche la Danseuse – talent do pobudzania i wprawiania w zachwyty setki mężczyzn.

Przypomina sobie, że zaprosiła na swój występ Lamantię. Nie dała mu jednoznacznej odpowiedzi, gdy zaproponował, by została jego utrzymanką. Teraz chyba nie może już sobie pozwolić na to, by mu odmówić. Choć z drugiej strony oferta pewnie i tak już jest nieaktualna. Bez wątpienia znalazł chwilę, by przeczytać popołudniową gazetę, i dowiedział się paru rzeczy o swoim białym kwiatuszku. O dziecku, o którym mu nigdy nie wspomniała, i o francuskich oprychach, z którymi mieszkała. Co więcej, wyciągnie z tego oczywisty wniosek, że Blanche nie potrafi trzymać języka za zębami (a przecież tego najbardziej obawia się ktoś taki jak Lamantia). Być może już wcale nie uważa jej za odpowiednią kandydatkę na swoją kochankę. Blanche sama nie wie, czy odczuwa z tego powodu większe rozczarowanie, czy większą ulgę.

Wciąż rozpamiętuje szczegóły niedawnej rozprawy, te

wszystkie kłamstwa, półprawdy, wymijające odpowiedzi i przemądrzałe uwagi. Twierdzenia, które gdy Blanche próbuje je uchwycić i poskładać do kupy w sensowną całość, okazują się śliskie jak rosnące w jeziorze wodorosty.

I jeszcze ten Swan. Co on sugerował? Cały czas uparcie tłumaczył, jakie to „mało prawdopodobne”, że przypadkowo schyliła się akurat w momencie, gdy padł strzał.

Nagle czuje, że więcej nie jest w stanie przełknąć. Robi jej się niedobrze. Dyskretnie wypluwa owoce morza na szeroką, ceramiczną łyżkę i odsuwa od siebie talerz.

Wraca myślami do tamtej chwili, gdy oblepiona krwią przyjaciółki siedziała na beczce u McNamarów. Próbuje sobie przypomnieć, co właściwie przekonało ją wtedy – a raczej: jak przekonała samą siebie – że to ona, Blanche, miała być celem ataku. Wydawało się to wówczas ze wszech miar sensowne. Nie mogła uwierzyć, że ocalił ją jedynie łut szczęścia – zgięła się w pół, żeby rozplątać supeł na sznurowadle, dokładnie w tej samej chwili, gdy zabójca nacisnął spust. Dławiło ją poczucie winy i odpowiedzialności za tę tragedię, i po części również z tego powodu uznała, iż to dla niej przeznaczone były kule. Ale być może tamtego dnia odezwała się też w niej jakaś dziwna próżność. Każdy z nas umieszcza samego siebie w centrum wydarzeń, wyobraża sobie, że świat szaleńczo kręci się nie wokół swojej, lecz naszej osi. I może dlatego nie chciała wierzyć, że odgrywała jedynie drugoplanową rolę w krwawym dramacie Jenny Bonnet.

Teraz jednak, w tym chińskim barze, przychodzi jej do głowy jeszcze inne wytłumaczenie, znacznie prostsze niż to, że uratował ją niewyobrażalnie szczęśliwy zbieg okoliczności. Może Arthur albo Ernest – sama nie umie stwierdzić który; zresztą w jej głowie ich mroczne twarze zlały się już w jedną

potworną maskę – przybył do San Miguel Station nie po to, żeby zabić ją, lecz Jenny, i tak właśnie zrobił. W każdym razie ten, który z trzymał w ręku strzelbę i patrzył przez celownik, z jakiegoś powodu zdecydował się nie strzelać do niej. Blanche nie zna przyczyny, ale domyśla się, jaki był przebieg zdarzeń: zabójca czekał cierpliwie, aż Blanche, mocująca się ze sznurowadłami, uchyli się z linii ognia, i wtedy rozwalił Jenny na kawałki.

Jej wzrok pada na zegar stojący na kominku. Dochodzi pierwsza. Pogrzeb jest o drugiej.

Tak naprawdę byłoby o wiele bezpieczniej, gdyby darowała sobie udział w tej ceremonii. To, co powiedziała na sali sądowej, musiało doprowadzić Ernesta do istnej furii. I nawet jeśli w czwartkową noc z własnych, niezrozumiałych powodów postanowił jej nie zabijać, to nie znaczy, że nie zrobi tego dzisiaj. Jeżeli zdecyduje się iść za trumną Jenny, to równie dobrze może sobie namalować tarczę strzelniczą na czole.

Mimo to nie potrafi zrezygnować, nie może nie pójść na ten pogrzeb. Uświadamia sobie, że musi po raz ostatni zobaczyć twarz Jenny, zanim wieko trumny zostanie na zawsze zamknięte.

Przed wejściem do zakładu pogrzebowego Graya stoi chłopiec trzymający w rękach tablicę z napisem: „Memento mori”. Blanche wpatruje się w niego skonsternowana.

– Co to...

– Zdjęcia ofiary, świeżo zrobione – recytuje wyuczoną formułkę. – Trzydzieści centów za format gabinetowy ze złożonymi brzegami, *carte de visite* jedyne dwadzieścia pięć centów za sztukę albo pięć sztuk za dolara.

Z entuzjazmem podnosi przykrywkę pudełka, ale Blanche odwraca wzrok od błyszczących fotografii i kieruje się do frontowych drzwi zakładu.

A co, jeśli się spóźniła? W holu wyłożonym marmurem zatrzymuje mężczyznę w białym uniformie.

– Przepraszam pana, gdzie trzymacie państwo... ciała?

– W kostnicy – odpowiada, wskazując palcem w dół.

To pewnie bardziej eleganckie określenie na trupiarnię. Klekocząc obcasami, Blanche zbiega po granitowych schodach.

Z jakiegoś powodu zakładała, że w pomieszczeniu będzie pusto. Zebrał się tu jednak spory tłum: prostytutki, umorusane uliczne dzieciaki obojga płci, osobnicy wszelkiego autoramentu... W kostnicy panuje atmosfera luksusowego sklepu rybnego, udekorowanego jak na jakiś festyn. Wszędzie poustawiano kwiaty, ale w powietrzu daje się wyczuć coś jeszcze, jakiś specyficzny zapach ledwie przebijający się spod perfum. Są tu trzy trumny, każda leży na stercie pokruszonego lodu, ale tylko jedna jest otwarta. Otacza ją kilka rzędów ciekawskich gapiów.

– Przepraszam. – Blanche nie może się przedostać bliżej trumny. Wzbiera w niej oburzenie. – Proszę mnie przepuścić.

– Niech się pani tak nie pcha – krzyczy jakaś kobieta.

– Ja z nią tam wtedy byłam – odparowuje Blanche. – Byłam tam, w San Miguel Station.

Ta deklaracja zapewnia jej odrobinę przestrzeni. Ludzie szepczą do siebie, gapią się na nią, nawet uśmiechają złośliwie, jakby była jakąś gwiazdą. „To Blanche la Danseuse”, mówi ktoś z tłumu.

Nie zwracając na to wszystko uwagi, Blanche przebija się na sam przód.

Ciało Jenny wygląda przedziwnie, częściowo dlatego, że jej krótkie włosy zostały gładko zaczesane do tyłu – nigdy nie widziała jej tak starannie uczesanej. Pracownicy zakładu sprawili, że wygląda jak... dziewczyna. Krótko ostrzyżona

dziewczyna o ogorzałej twarzy, z głową spoczywającą na białej poduszeczce. Mimo ciemnej opalenizny jakimś cudem wydaje się blada – no ale w końcu Crook mówił podczas rozprawy o utracie krwi; faktycznie, wyparowała z niej do ostatniej kropli. Została tylko dziewczyna z opuchlizną pod lewym okiem i siniakiem przebijającym spod makijażu, bo ktoś przyłożył jej w twarz zaledwie kilka godzin przed tym, jak ktoś inny ją zastrzelił.

Blanche patrzy na nią, starając się utrwalić ten obraz w głowie jak fotografię. *Memento mori*. Drobne, brązowe dłonie nie są złożone do modlitwy, lecz zaciśnięte wokół białego kwiatu. Wygląda to co najmniej dziwnie, jakby Jenny miała uosabiać szlachetne cierpienie na żywej rekonstrukcji jakiegoś obrazu. A do tego jeszcze ta nieskazitelnie czysta koszula... choć ten akurat element nie stanowi głównej przyczyny tej dziwacznej transformacji. Koszula to neutralny strój, mógłby go mieć na sobie również mężczyzna. Chodzi raczej o to, że nie kroczy swoim dumnym, zawadiackim krokiem, że w ogóle się nie porusza. Absolutny bezruch.

Najlepiej by było natychmiast się odwrócić i wymazać z pamięci tę mistyfikację. Przecież na pewno zaraz jej przyjaciółka wybuchnie końskim śmiechem, podniesie się i wyskoczy z trumny, piszcząc z radości: *Ale was wszystkich nabrałam!*

Blanche jednak nie może oderwać od niej wzroku i nie zwalnia miejsca przy trumnie, choć tak wielu innych także próbuje się do niej dopchać. Po głowie chodzi jej jakaś natrętna myśl związana ze zdaniem, które padło podczas rozprawy. Ten lekarz od sekcji zwłok, co on takiego jeszcze zauważył na ciele Jenny? „Rozległe blizny”, przypomina sobie wreszcie. Ale Blanche nigdy nie widziała u Jenny żadnych blizn. Według

doktora Crooka nie były świeże, może więc to stare ślady po jakimś upadku albo kraksie? Oj tak, Jenny często przytrafiały się wypadki. A może to niejaki Adrien zostawił po sobie pamiątkę, zanim przepuścił jej wszystkie pieniądze? Nie, Maria twierdziła uparcie, że Jenny nigdy nie była bita przez swojego *maquereau*. „Rozległe” – to brzmi, jakby chodziło o więcej niż jedno uderzenie, jedną ranę ciętą. Więc skoro to nie ten cały Adrien, to...

Tamtej nocy, kiedy Jenny, będąc po raz pierwszy w domu pod numerem 815, przebierała się w sypialni w zieloną koszulę Arthura, naciągała ją przez głowę, tak jak robią to mężczyźni, a na widok Blanche wchodzącej do pokoju burknęła poirytowana: *Chyba mam prawo do odrobiny prywatności!* Później w San Miguel Station, w pokoju, który dzieliły przez trzy dni, Jenny cały czas miała na sobie ubranie. Nawet w środę wieczorem, przypomina sobie teraz Blanche, a krew zaczyna pulsować jej w żyłach. Dlaczego wtedy nie wydało jej się to dziwne? Czy Jenny, pomimo swojej bezceremonialnej pozy, była jednak ciut pruderyjna? Czy wolała ukrywać swoją kobiecość, żeby o niej nie myśleć? To było tylko jedno z jej wielu dziwactw.

Blanche prześlizguje się w stronę szczytu trumny, owładnięta upiorną ciekawością. Staje za wypomadowanymi włosami Jenny, wsuwa rękę pod spód i odnajduje miękki kark na wyprasowanej poduszce.

Wszyscy patrzą na nią zszokowani.

– Co pani wyprawia? – krzyczy zza jej pleców jakiś mężczyzna.

Lecz ona w ogóle nie zwraca na to uwagi i wsuwa dłoń głębiej pod plecy zmarłej, pod materiał wykrochmalonej koszuli nocnej. Ciało Jenny jest takie chłodne. Nie wyczuwa jednak pod

palcami tego, czego szuka: rozległych blizn. Musi to zobaczyć na własne oczy.

– Ręce przy sobie, paniusiu!

– Jak pani śmie zakłócać spokój zmarłej?

Ktoś szarpie ją za rękaw, ale Blanche stawia opór i nie czekając, aż opuści ją odwaga, wyciąga rękę, łapie Jenny za ramię i ciągnie na tyle mocno, żeby przekręcić ciało na bok. Spodziewała się, że zwłoki będą sztywne, ale tak nie jest. Jenny po prostu porusza się wolno i ociężale, jak ktoś, kto nie może się wybudzić z głębokiego snu. Przez zapach kwiatów przebija się paskudny odór.

Ludzie są zbulwersowani, wołają personel zakładu. Blanche czuje na ramionach twarde ręce. Strząsa je z siebie, warcząc wściekle. Nie tracąc czasu, podtrzymuje Jenny lewą ręką, a prawą rozrywa koszulę. Materiał napina się i nagle puszcza, ponieważ odrywa się jeden z guzików. Oczom Blanche ukazują się plecy Jenny o dziwnie fioletowym odcieniu. Widzi makabryczny, postrzępiony otwór, obok kolejny, ale jest na ten widok przygotowana. I nagle na usta ciśnie się jej przekleństwo, ponieważ wreszcie znajduje to, czego szukała: drabinkę różowych prążków, biegnącą od łopatek aż do samego dołu pleców, poza zasięg jej wzroku. Jak ślady po pazurach jakiejś tajemniczej bestii. Jest ich zbyt wiele, żeby je zliczyć. Już na pierwszy rzut oka widać, że nie była to jednorazowa chłosta, że musiało się to ciągnąć latami. Na pamiątkę zostały jej plecy zapisane od góry do dołu wściekłymi, jaskraworóżowymi liniami, które nigdy nie wyblakły.

Dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego łapią Blanche za ręce i odciągają ją od trumny, a potem pchają w górę po schodach.

– Powinniśmy kazać panią aresztować za dotyknięcie zwłok!

– grozi jeden z nich.

Blanche siada na krawężniku przed wejściem do zakładu Graya. Kręci jej się w głowie. Otwiera parasolkę i zasłania nią twarz.

Wie, że dotknęła czegoś, czego nie powinna dotykać, obnażyła coś, czego nie należało obnażać. Jenny była sobą tylko w ubraniu. Blanche tak strasznie chciałaby ją teraz przeprosić. Za to, że zobaczyła coś, czego Jenny nie chciała nikomu pokazywać. Za to, że nie rozumiała, dopóki tego nie zobaczyła. Za to, że do tej pory nigdy nie patrzyła.

Jak mogła być tak tępa? „Od wczesnej młodości miewała problemy z prawem”, tak przecież napisał w swoim artykule Cartwright. Chłopak McNamarów mówił jej nawet, że Jenny uczyła się w pobliżu San Miguel Station, a jakie szkoły znajdują się w tamtej okolicy? Tylko ten surowy gmach Industrial School, który tak naprawdę nie jest żadną szkołą. *Baty i knebel dla tych, co sprawiają kłopoty*, wspomniał stajenny od Marshalla. Ale wychowankowie Industrial School to chyba bez wyjątku dzieciaki sprawiające kłopoty, w przeciwnym razie nie wysyłano by ich do poprawczaka. *Trafiają tam nawet trzyletnie dzieci*. Chudzi chłopcy kopiący w ziemi motykami i wpatrujący się w przejeżdżający nieopodal pociąg. Blanche przypomina sobie ich drobne twarze znikające w oddali. Ale kiedyś w placówce przebywały także dziewczęta, prawda? Powinna była się domyślić, usłyszeć między wierszami to, czego Jenny nigdy nie wypowiedziała wprost. *Niektórzy po prostu lubią bić dzieci*, stwierdziła tamtego wieczoru, kiedy się poznały, ot tak, jakby mówiła o pogodzie. A kiedy indziej: *Widziałam gorsze rzeczy*. Tak zareagowała na widok wygiętych nówek P'tita. *Widziałam gorsze rzeczy* – czy próbowała sprowokować Blanche, by ta zaczęła ją wypytywać i żeby chociaż raz wycisnęła z niej jasną

odpowiedź? *Pręgi, no wiesz, sprawdzam, czy nie przywiązywali go do łóżka.* Jenny była już o włos od tego, by powiedzieć bez owijania w bawełnę: *Mnie w ten sposób przywiązywali.*

Ile lat spędziła w tym koszmarnym poprawczaku, kopiąc ziemię za płotem? Kierownik owej instytucji stracił w końcu pracę, ponieważ – jak to wczoraj ujęła ta kobieta w pociągu – *na zbyt wiele sobie pozwalał.* Ciekawe, na jak dużo może sobie pozwolić kierownik takiego zakładu wobec dzieci, zanim ktoś postanowi wszcząć dochodzenie. Blanche wzdraga się na samą myśl o tym, kołysząc się na krawężniku w przód i w tył. Co on zrobił Jenny, co oni wszyscy zrobili tej dziewczynie, która nie chciała być taka jak inne dziewczyny? Drabinka różowych blizn. I pewnie wiele jeszcze takich śladów, których nie widać gołym okiem. Jak bardzo starali się złamać ducha niesfornej, wojowniczo nastawionej Jenny?

Łzy płyną jej po twarzy obfitym strumieniem. Ma wrażenie, że zaraz cała głowa jej się rozplynie. Zawodzi przy tym jak ranne zwierzę. Płacze nie nad śmiercią Jenny, lecz nad jej życiem. Nad krótkim, parszywym życiem wszystkich tamtych dzieci.

Kilka minut później ociera twarz i nieco odchyła zieloną parasolkę. Spogląda na spory orszak pogrzebowy, który zbiera się na ulicy; cóż, przynajmniej nie ma obawy, że Jenny będzie musiała w samotności odbyć podróż na cmentarz. Część to oczywiście zwykli gapie, ale wielu ma zapuchnięte oczy przyjaciół, którzy oplakują bliską osobę. To jej prawdziwi przyjaciele, z dawnych czasów. Jenny, pomimo pewnych drażniących cech charakteru, miała niezaprzeczalny dar zjednywania sobie ludzi: potrafiła sprawić, że zaczynali się o nią troszczyć, choć zupełnie się o to nie starała. Jak widać, miała setki przyjaciół. Blanche miała tylko ją jedną. Przez niecały

miesiąc. I w wyniku swojej własnej ignorancji i lekkomyślności doprowadziła swoją jedyną przyjaciółkę prosto pod lufę strzelby.

Zagryzając wargi, lustruje tłum, ale nie widzi żadnego wysokiego Francuza z wąsami, szykującego się, by wpakować jej kulkę w łeb. Rzecz jasna, Ernest nie zrobiłby tego w miejscu publicznym. Na pewno znajdzie jakiś bardziej sprzyjający moment.

Przed zakładem stoi już furgon zaprzężony w dwa muły, okryty czarnym batysem: *corbillard*. Karawan, Blanche przypomina sobie słowo, którego do tej pory nigdy nie miała okazji użyć. Słyszy, że coś się dzieje za jej plecami, przy drzwiach do zakładu Graya, więc podnosi się z krawężnika i odsuwa na bok. Dwaj mężczyźni z krepowymi kokardami na kapeluszach wynoszą przykrytą trumnę, która wydaje się bardzo lekka, i wstawiają ją na karawan. W Paryżu mówi się na nich *croque-morts*⁸⁴, czyli „gryzący śmierć”.

Za nimi pojawiają się dwie kobiety w uniformach, niosące koszyki oraz wieńce z lilii i goździków. Układają kwiaty na trumnie. Blanche przychodzi na myśl, że może próbują w ten sposób złagodzić kontury tego charakterystycznego kształtu.

Jakiś *gamin*, niewiele większy od tablicy, którą dźwiga na swoich barkach, paraduje po ulicy, jakby był na festynie. Napis głosi: TAJEMNICZE MORDERSTWO FRANCUSKIEJ ŁOWCZYNI ŻAB. NOWE SZCZEGÓŁY Z MIEJSCA ZBRODNI.

– Ojciec spóźnia się już dwadzieścia minut – zauważa ktoś z tłumu.

No tak, to ten stary aktor, który mieszka teraz w Oakland. Całkiem o nim zapomniała. Nadal nie bardzo potrafi sobie wyobrazić, że w życiu Jenny mogło istnieć coś tak zwyczajnego

jak rodzina. Gdzie oni byli, co zrobili, żeby jej pomóc, kiedy sędzia wysłał ją do Industrial School?

Chłopak z tablicą odwraca się i Blanche widzi, co jest napisane po drugiej stronie: **OBSESJA NOSZENIA MĘSKIEGO STROJU KOŃCZY SIĘ DLA KOBIETY ŚMIERCIA**. Czytając to, z trudem panuje nad gniewem. Zalewa ją żółć.

Za karawanem stoją trzy inne powozy. Blanche uświadamia sobie, że jeszcze chwila i zostanie tu sama, a przecież nawet nie wie, gdzie ma się odbyć pogrzeb. Podbiega więc po kolei do każdego powozu i zagląda przez otwarte okna. Trzeci jest pusty, ale w drugim rozpoznaje upiorną twarz pośród grupy jaskrawo odzianych prostytuttek.

– Maria! – woła Blanche.

Jednooka wiedźma gestem ręki zaprasza ją do środka, chociaż powóz i tak jest już ciasno nabity. Gdy przedstawia ją pozostałym pasażerkom, Blanche czuje, że wszystkie są podekscytowane faktem, że mogą ją poznać. Natychmiast zapomina ich imiona, opiera głowę o wytarte obicie i zamyka oczy.

Wyobraża sobie Jenny z czasów, gdy należała do tego plemienia – gdy zakładała turniurę i falbany, malowała się i stroiła, przynosiła wszystkie zarobione pieniądze do domu, żeby jej *mac* mógł je przegrać przy pierwszym lepszym stoliku do faro. Ten obrazek napawa ją obrzydzeniem, sprawia, że robi jej się wstyd. Przypomina zniekształcone odbicie jej własnego życia. Nie, Jenny powinna była zawsze przechadzać się po ulicach na pełnym luzie, czy to pod górę, czy z górki, traktując całe miasto jak swoją prywatną scenę.

Blanche otwiera oczy i patrzy na gęstniejący wolno tłum ludzi. Ciągle tak mało wie o przeszłości swojej przyjaciółki.

Zastanawia się na przykład, przez jakie problemy z prawem Jenny została zamknięta w poprawczaku. Czy należała do jednego z tych gangów młodocianych przestępców, z których słynie San Francisco? W jakim towarzystwie się obracała przed pobytem w Industrial School i później?

Przez jakiś czas pracowała na ulicy, Blanche wie już przynajmniej tyle. Na pewno miała do czynienia z hazardzistami, a w tych kręgach łatwo narobić sobie wrogów, którzy mają długą pamięć. I w którymś momencie sprawy przybrały na tyle zły obrót, że Jenny – pomimo swojej wojowniczej natury – uznała, że lepiej ze sobą skończyć. Ciekawe, jak czuł się ten Adrien, kiedy Jenny, odzyskawszy przytomność po przedawkowaniu jakiegoś świństwa, postanowiła od niego odejść. Może był rozgoryczony jak Arthur i nosił w sobie tę zadrę przez kolejne lata? Jakie inne długi miała Jenny, kto jeszcze chciał wyrównać z nią rachunki? W końcu bez chwili wahania ukradła ten bezcenny bocykl. Co jeszcze mogła mieć na sumieniu? Czy łowienie żab naprawdę było jej jedynym źródłem utrzymania? I dlaczego Blanche przez cały czas zakładała, że Arthur i Ernest byli jedynymi wrogami Jenny, że wplątanie się przyjaciółki w jej skomplikowane życie to jedyny powód, dla którego mogła zostać zabita?

Wszystkie te rozważania przyprawiają ją o zawrót głowy. Najgorsza jest właśnie ta niewiedza. Przez większość czasu Blanche nie ma podobnych wątpliwości, ponieważ czuje nienawiść Arthura, płonąca niczym ogień pod jej stopami. Ale zdarzają się chwile, kiedy kawałki układanki rozpadają się w jej głowie i nie potrafi ich poskładać z powrotem. Od morderstwa minęły dwa dni, sprawą zajmują się najlepsi inspektorzy w kraju, dziennikarze walczący o sprawiedliwość oraz przenikliwy koroner, a jednak nikt nie zbliżył się ani o krok do

odkrycia prawdy o śmierci Jenny.

– *Le voilà enfin!*⁸⁵ – wykrzykuje Maria. – Nareszcie.

Ulicą kuśtyka starszy mężczyzna. Tłum rozstępuje się na jego widok. To musi być Sosthenes Bonnet. Właściwie nie jest aż taki stary. Wciąż ma bystre spojrzenie i prężną postawę artysty scenicznego. Ale w niczym nie przypomina Jenny. Blanche nie dostrzega żadnego podobieństwa. Jedynie jego oszołomiony wzrok i sposób, w jaki patrzy na karawan, wskazuje na to, że jest najważniejszym z żałobników.

Ktoś otwiera drzwi trzeciego powozu i rozkłada schodek, żeby pomóc mu wejść do środka. To chyba ten, jak mu tam... Portal – Blanche dopiero po chwili rozpoznaje płaczliwego kucharza z restauracji Duranda.

Karawan rusza z miejsca, a za nim trzy powozy. Orszak pogrzebowy posuwa się wzdłuż Dupont Street, zostawiając za sobą sporą grupę pieszych, po czym skręca na zachód w Geary Boulevard.

– Dokąd jedziemy? – pyta Blanche dziewczynę siedzącą obok niej.

Ta wytrzeszcza na nią oczy.

– Jak to dokąd? Na cmentarz.

– Ale na który?

– Odd Fellows⁸⁶ – wtrąca Maria. – Zakon ofiarował dla niej miejsce.

– To nawet pasuje – dorzuca starsza kobieta z krwistoczerwonym różem na policzkach. – Jenny sama była straszną dziwaczką!

Maria uciska ją gestem ręki.

– Och, daj spokój – kontynuuje kobieta. – Przecież ona lubiła się śmiać sama z siebie.

Blanche nie ma ochoty tego słuchać. Ani dowcipnych

uwag, ani błyskotliwych ripost, ani sentymentalnych refleksji na temat charakteru Jenny... Nie może znieść świadomości, że całe miasto znało ją lepiej niż ona.

– Ten ślad to zadraśnięcie od kuli? – pyta ją nagle dziewczyna, która wygląda na najmłodszą pasażerkę powozu.

Blanche kręci głową i ponownie zamyka oczy.

– To prawda, że w kostnicy dostałaś szału i zaczęłaś szarpać jej zwłoki? – odzywa się jeszcze inna.

– *Chut!* – gniewnie uciska je obie Maria.

– No co, skoro już musimy siedzieć w takim ścisku, to możemy chyba przynajmniej z nią porozmawiać? – mamrocze ta pierwsza.

Powozy wleką się przez położony na wzgórzu cmentarz, który przypomina miasteczko podzielone na osobne dzielnice. Drewniane znaki z wyrytymi napisami wyznaczają sekcje przeznaczone dla strażaków, zecerów czy protestanckich sierot. Wokół krypty chińskiej, gdzie ciała czekają na wysłanie do ojczyzny, walają się przedmioty przywodzące na myśl resztki po jakiejś biesiadzie: ryż, wypalone kadzidełka, osmolone fragmenty sztucznych banknotów – tych śmiesznych, udawanych pieniędzy, które robi się z papieru ostemplowanego srebrem albo złotem. *Low Long*, zapytała kiedyś Blanche swojego lokatora, *dlaczego wy tak ciężko pracujecie?*

Szewc odpowiedział jej, że muszą zaoszczędzić dostateczną ilość pieniędzy, żeby móc wysłać siebie z powrotem, *albo, albo.*

Albo co?

Zapłacić za podróż do domu, pani Blanche. Albo za życia, albo po śmierci.

Po to, by ich kości nie leżały w Kalifornii. Przez chwilę Blanche zastanawia się ponuro, gdzie wylądują jej kości.

Mijają znacznie większy i bardziej elegancki kondukt

żałobny. Słysząc dźwięk skrzypiec. Fakt, że pogrzeb Jenny nie jest jedynym pogrzebem w mieście, jest dla Blanche dziwnie irytujący.

W końcu powóz się zatrzymuje. Wyglądając przez okno, Blanche widzi, jak *croque-morts* w czarnych garniturach ściągają trumnę z karawanu i ustawiają ją obok świeżo wykopanego dołu. Ziemia jest czerwona i sucha jak wiór. Kobiety, jedna po drugiej, wysiadają z powozu i poprawiają spódnice. Blanche nagle zauważa, że nie ma księdza, a to oznacza, że nie będzie ani laudacji, ani mszy żałobnej. Zamierzają więc włożyć Jenny do ziemi ot tak po prostu, bez słowa? Nawet bez żadnej muzyki? To nie w porządku.

Z mlecznobłękitnego nieba leje się piekielny żar. Blanche przypomina sobie, że deszcz podczas pogrzebu pomaga wysłać duszę do nieba, ale dzisiaj nie ma szans na to, aby spadła choćby kropla. To dopiero kuriozalna myśl: Jenny w niebie!? Wśród aniołków w białych szatach!? Blanche nie jest w stanie wyobrazić jej sobie nigdzie indziej niż w San Francisco, gdzie nieustannie przemierzała strome ulice, niemal zawsze nieuchwytna dla cudzego oka.

Mężczyźni zdejmują z trumny wieńce i całun z frędzlami. Blanche przepycha się przez tłum i widzi, że w wieku trumny jest umieszczona szyba. Przeciska się jeszcze bliżej, nie zważając na to, komu depta po stopach. Ale od szkła odbija się światło, przez co nie udaje jej się po raz ostatni zobaczyć twarzy przyjaciółki. Wygląda to tak, jakby Jenny siedziała w jakiejś futurystycznej maszynie i szykowała się do startu ku gwiazdom.

Grabarze w zakurzonych ogrodniczkach opuszczają trumnę na specjalnych pasach, po czym wyciągają je z powrotem. Rozglądają się, czekając na dalsze instrukcje, ale nikt tu chyba nie dowodzi. Personel od Graya stoi beczynnie, jakby ich praca

była już zakończona. Blanche zauważa, że Sosthenes Bonnet zakrywa twarz rękoma.

Jakaś starsza kobieta drżącym głosem intonuje pieśń, która brzmi jak hymn:

Pośród zamętu, wichrów, burz

Muzyki dźwięk rozbrzmiewa...

Większość żałobników także zaczyna śpiewać, niektórzy fałszują. Dźwięczny, głos Sosthenesa Bonneta dołącza do chóru w trzecim wersie.

Niesie się echem w duszy mej,

Jakże mam jej nie śpiewać?

Blanche przypomina sobie Jenny. Dla niej śpiew był czymś równie naturalnym jak oddychanie. Ta dziecięca gwiazda mogła z powodzeniem zostać na scenie, płasząc i świergocząc o boku rodziców ku uciesze publiczności. Mogła robić mnóstwo różnych rzeczy. Kiedy pomyśleć o tych wszystkich możliwych scenariuszach, które Jenny odrzuciła na rzecz akurat tego jednego... Ale kto ma prawo twierdzić, że kiedykolwiek tego żałowała?

Po kilku zwrotkach hymn dobiega końca. Grabarze biorą do rąk łopaty.

Ten nagły i bezceremonialny finał pogrzebu tylko pogłębia przygnębienie Blanche.

Co teraz?

Stary aktor odchodzi niepewnym krokiem od grobu i rusza z powrotem do powozu, wsparty na ramieniu Duranda.

Blanche postanawia wykorzystać swoją szansę.

– Monsieur Bonnet? – woła, podbiegając do niego.

– Powinna zostać pochowana w Paryżu – słyszy, jak Sosthenes żali się Portalowi, idącemu po jego lewej stronie.

– Monsieur Bonnet?

Ojciec Jenny spogląda na Blanche wilgotnymi oczami.

– Mademoiselle Beunon – przedstawia ją Durand. – To ona była z Jenny w San Miguel Station.

Twarz Sosthenesa wykrzywia grymas.

– Mademoiselle – wita ją lekkim ukłonem. – Mówiłem właśnie, że moja córka powinna leżeć w Paryżu.

– Ależ skąd – odpowiada Blanche nieco zbyt ostro, tak jak on zerkając w stronę dołu, który zaczynają zasypywać grabarze.

– Jenny kochała to miasto od chwili, gdy zobaczyła, jak płonie.

– Płonie?

– Widziała pożar z pokładu statku, w dniu, kiedy tu przyплыnęliśmy – przypomina mu Blanche.

Sosthenes kręci głową.

– Sama mi powiedziała... – upiera się Blanche, ale on nie daje jej dokończyć.

– Rzeczywiście był jakiś pożar, zdaje się, że kilka tygodni wcześniej – wyjaśnia. – Wszędzie widać było szerniałe pniaki. Ale kiedy przyjechaliśmy, nic się nie paliło. Trwała już odbudowa.

– Ale Jenny utrzymywała...

Portal gromi ją spojrzeniem i bierze starszego mężczyznę pod ramię.

– Jeanne miała zaledwie dwa lata, kiedy przybyliśmy do tego kraju – kontynuuje ze smutnym uśmiechem Sosthenes. – Jak mogłaby pamiętać cokolwiek z naszej podróży?

Blanche nie wie, co ma o tym myśleć. Czy starego aktora zawodzi pamięć, czy to Jenny ją oszukiwała? Czy opowiadała niestworzone historie, mieszając fikcję z rzeczywistością, podpalając ponownie wszystkie drzewa w mieście tylko po to, żeby zmienić swój prozaiczny przyjazd w coś znacznie bardziej spektakularnego? A jeśli tak, to ile z jej pozostałych anegdotek

było wyssanych z palca? I czy Jenny w ogóle umiała jeszcze odróżnić prawdę od fikcji?

Sosthenes oddala się powoli, ale Blanche przypomina sobie, czego naprawdę musi się od niego dowiedzieć.

– Ile lat spędziła w Industrial School? – woła za nim.

Ojciec Jenny odwraca się. Ma szeroko otwarte usta, ale nie zaprzecza.

– Niech mu pani da spokój, mademoiselle – staje w jego obronie Durand.

Blanche jednak nie ustępuje.

– Nie mógł jej pan przed tym uchronić?

– Naszą Jeanne? – Durand próbuje odciągnąć Sosthenesa w stronę powozu, ale starzec wrywa się z jego uścisku i wraca do Blanche. – Gdybyśmy umieli uchronić ją przed jej własną naturą – stwierdza drżącym głosem – nie musielibyśmy prosić sędziego, żeby ją tam wysłał.

Blanche mruga oczami ze zdumienia.

– Poprosiliście go o to?

Prawdziwa rodzina, słyszy w głowie ponury głos Jenny, *to rzeczywiście gwarancja prawdziwego szczęścia*.

– Błagałem go na kolanach – wyznaje Sosthenes, zawzięcie gestykułując. – Mówili, że to coś jak kwarantanna dla młodocianych przestępców, azyl, gdzie z dala od demoralizującego wpływu miasta mają szansę wrócić na właściwą drogę, zanim będzie za późno.

Jak Jenny mogła regularnie jeździć z wizytą do tej nędznej kreatury? I jeszcze oddawać mu część swoich zarobków?

– Widział pan kiedyś jej plecy? – pyta ostro Blanche.

Jego twarz marszczy się niczym zgnieciona kartka papieru.

– Nie wiedzieliśmy, jak wygląda życie w tej szkole – zapewnia. – Docierało do nas tak niewiele...

– Były całe w bliznach – przerywa mu Blanche. – Poorane jak kadłub jakiejś choleryjnej łodzi!

Po jego policzkach zaczynają płynąć łzy. Blanche patrzy na to z pewną satysfakcją.

Durand i Portal, czekający kilka kroków dalej, patrzą na nią tak, jakby chcieli zabić ją wzrokiem.

Blanche nie rozumie, dlaczego Jenny kierowała swój gniew w niewłaściwą stronę. Miała talent do wszczynania awantur, ale chyba zupełnie nie potrafiła chować urazy. Chodziła z podniesioną głową, zasłoniętymi bliznami i pistoletem w kieszeni. Na swoim bicyklu często przejeżdżała obok Industrial School i zamiast puścić to koszarne miejsce z dymem, przerzucała przez ogrodzenie landrynki i galaretki.

Ojciec Jenny bierze Blanche za rękę, a ona wzdraga się pod dotykiem jego gorącej skóry.

– Jeanne była nie do opanowania, nie dało się jej ucywilizować – tłumaczy się. – *Un enfant sauvage!*⁸⁷ Moja żona była chora, a młodsza córka stale chodziła zapłakana, i po prostu nie mogłem... Chyba nikt nie mógłby ode mnie oczekiwać, żebym...

– Jakie to wygodne – rzuca ze złością Blanche. – Niech jedno gnije w poprawczaku, a drugie niech umiera w domu wariatów.

– Przecież nasza Blanche nie umarła, tylko jej dziecko. – Sosthenes wydaje się zmieszany. – Zostalibyśmy o tym powiadomieni, prawda?

– Jakie dziecko? – Blanche niemal na niego wrzeszczy.

– Widzi pani, moja córka była *enceinte*⁸⁸, chociaż nigdy nie dowiedziałem się dokładnie... jak do tego doszło. Biedactwo urodziło się w zakładzie. Nie przeżyło nawet tygodnia.

Wściekłość odbiera jej głos. Kolejne dziecko? Siostrzeniec

Jenny. Ciekawe, czy umarł sam z siebie, czy mu w tym pomogli. Czy w zakładzie dla umysłowo chorych ktoś go w ogóle karmił? Przytulał? Te wszystkie utracone dzieci. Sprowadza się je na ten świat wbrew ich woli, żeby spędziły na nim jeden dzień albo jeden rok, a potem się je znowu wyprasza. *P'tit*, woła w duchu. *P'tit*.

Portal chwyta Sosthenesa za łokieć, chce go odciągnąć od Blanche.

– Niech pani przestanie dręczyć starszego człowieka w żałobie – rzuca przez ramię.

Blanche jest sparaliżowana poczuciem winy. Jakie ona ma prawo oskarżać go o cokolwiek?

Ojciec Jenny szlocha, odchodząc.

– To wszystko prawda, Adrien.

Adrien?

Nie. Kucharz? Portal, kucharz z restauracji Duranda?

Zaraz, zaraz. W końcu to całkiem pospolite imię.

Choć z drugiej strony jak często jedno imię może się powtarzać wśród francuskich przyjaciół Jenny mieszkających w San Francisco? Zresztą kto powiedział, że kucharz nie mógłby się okazać byłym *maquereau*, który stracił wszystkie pieniądze? (Pieniądze Jenny, przypomina sobie Blanche i ponownie ogarnia ją wściekłość). W końcu znał Jenny na tyle dobrze i na tyle długo, że mógł sobie pozwalać wobec niej na drobne przytyki, a ona wobec niego. Przekonał swojego szefa, żeby kupował od niej żaby. No i płakał jak dziecko, kiedy usłyszał, że zginęła w wieku dwudziestu siedmiu lat.

Cmentarz jest już prawie pusty. Powóz z prostytutkami odjechał bez niej.

Blanche zaczyna iść na wschód, z trudem przedzierając się przez gęste od skwaru powietrze. Parasolka kołysząca się nad jej

głową ciąży na ramieniu. Blanche próbuje jakoś poukładać sobie wszystko, czego się dowiedziała, ale czuje kompletną dezorientację. Jenny próbowała się zabić przez mężczyznę, ponieważ zrujnował jej życie, a potem, po latach, traktowała go jak przyjaciela? Postanowiła mu wybaczyć? Cokolwiek wydarzyło się pomiędzy Jenny i Adrieniem Portalem, takie wyjaśnienie wydaje się zbyt proste. Może więc zaszła w niej jakaś głębsza przemiana? Może kiedy Jenny zrezygnowała ze spódnicy i założyła spodnie, przestały jej też przeszkadzać niektóre stare blizny – może uznała, że należały do kogoś innego? *Chyba mylisz mnie z jakąś inną Jenny Bonnet.* Czy Jenny zdołała przekonać samą siebie, że gdy przeszła metamorfozę, naprawdę stała się zupełnie nową osobą?

– Panno Beunon!

Blanche odwraca się i widzi biegnącego za nią Cartwrighta. Skąd on się tu wziął? Gniewnie potrząsa głową.

– Tylko jedno pytanie.

Blanche bez słowa rusza przed siebie.

– Proszę – dyszy dziennikarz. – Proszę mi pomóc sprawić, by historia pani przyjaciółki nie odeszła w niepamięć.

– Przecież jest na pierwszej stronie każdej gazety – przypomina Blanche ze złością.

– Bo minęło dopiero półtora dnia. Będzie dobrze, jak w poniedziałek załapie się na jeden akapit z tyłu, pomiędzy skradzionymi zegarkami i przejechanymi psami.

Blanche przystaje na moment.

– Jak brzmi to jedno pytanie? – cedzi przez zęby.

– Zna pani człowieka nazwiskiem Lamantia?

Tym razem to ona otwiera usta ze zdziwienia. Przecież dziennikarz nie ma prawa wiedzieć, że ostatnią noc spędziła z Lamantią w hotelu „Palace”, no chyba że redakcja „Chronicle”

kazała ją śledzić.

– Nie – odpowiada odruchowo, odwracając wzrok od oczu Cartwrighta ukrytych za niebieskimi okularami.

– Na pewno przynajmniej słyszała pani to nazwisko – nie ustępuje dziennikarz. – To kupiec pracujący na Market Street.

Blanche w dalszym ciągu kręci głową. Wygląda na to, że Cartwright nie wie o spotkaniu w hotelu. Czuje jednak rosnącą ciekawość, która uwiera niczym kamyk w bucie.

– Dlaczego ten Lamantia tak pana interesuje?

– Nie wiem, czy to ważne, ale w środę rano był w San Miguel Station.

Wtedy gdy razem z Jenny pojechały do Sweeney Ridge polować na żaby? Blanche odruchowo odsuwa się od dziennikarza, zdjeta niewytłumaczalnym strachem.

– Wczoraj pani Holt powiedziała mi, że w środę z pociągu wysiadł jakiś obcy mężczyzna – kontynuuje Cartwright, dotrzymując jej kroku. – Postawny mężczyzna o ciemnej karnacji, ubrany po wielkowiejsku. Nie przyszło jej do głowy, żeby wspomnieć o tym inspektorowi Bohenowi, ponieważ to było na dzień przed morderstwem.

Ale po co Lamantia miałby jechać do San Miguel Station? Przecież ten Sycylijszyk nie zdawał sobie nawet sprawy, że ona ma coś wspólnego z tą *stukniętą dziewczyną w spodniach*, dopóki sama nie wyjawiała mu tego wczoraj, opowiadając o morderstwie Jenny. Chyba że...

Nogi się pod nią uginają, ledwo jej się udaje utrzymać pion. Z drugiej strony czy to nie dziwne, jak bardzo dystansował się od tej sprawy? Z jakim uporem podkreślał, że nic o tym nie słyszał? *Jestem zbyt zajęty, żeby czytać gazety*. Ale może znalazł czas, żeby wynająć kogoś, komu polecił wytropić, gdzie się znajduje jego *bella bianca*, która na dwa tygodnie zniknęła mu

z pola widzenia, a on umierał z tęsknoty. W końcu, jak przyznała sama Madame Johanna, pytał o nią w House of Mirrors. Ciekawe, ile zapłacił tej Prusaczce za informację o jej wyjeździe do San Miguel Station.

Serce wali jej jak młotem. A jeśli Lamantia osobiście się tam wybrał, żeby wypytać miejscowych o dwie kobiety, które przybyły z miasta? Co, jeśli z jakiegoś powodu wbił sobie do głowy, że to właśnie ta ekscentryczna dziewczyna od żab ponosi winę za nieobecność jego faworyty w House of Mirrors? *Ta twoja tak zwana przyjaciółka*, takimi słowami określił wczoraj Jenny. A potem uknuł szalony spisek mający na celu odseparowanie Blanche od jej szemranego towarzystwa, ponieważ pragnął zmusić ją do przyjęcia propozycji jego stałej opieki i...

I co, i zastrzelił Jenny na jej oczach? Przecież to niedorzeczne. Ale z drugiej strony co ona tak naprawdę wie o tym człowieku? Wie tylko, jak lubi się pieprzyć. *Pozwól mi zaopiekować się tobą tak, jak na to zasługujesz*, przekonywał ją w hotelu. Podejrzewanie go o zabójstwo jest wbrew logice, ale czy męska chęć posiadania kobiet na własność kiedykolwiek miała coś wspólnego z logiką?

– Panno Beunon?

Blanche zbywa dziennikarza machnięciem ręki. Musi pomyśleć. Jeżeli jakimś cudem za morderstwem rzeczywiście stoi Lamantia, to by oznaczało, że Arthur i Ernest są... cóż, może nie od razu *niewinni*, to słowo nigdy nie będzie do nich pasowało. To dwa węże przyczajone w trawie, złodzieje dzieci, okrutni dranie, i nic tego nie zmieni. Ale jeśli to nie oni zastrzelili Jenny, nie są takimi potworami, za jakich ich uważała. Ta myśl ścisza jej gardło jak para wrogich rąk. Czy to możliwe, że Ernest wczoraj w mieszkaniu niczego nie udawał, kiedy

naskoczył na nią za zniesławianie przyjaciela i bezpodstawne oskarżanie go o morderstwo? Kiedy dał jej ostatnią szansę na naprawienie sytuacji i odzyskanie dziecka? Szansę, którą ona dzisiaj na przesłuchaniu cisnęła w kąt jak zużyta chusteczkę.

– Według słów pani Holt ten dżentelmen błąkał się po okolicy, jakby się zgubił – odzywa się znowu Cartwright. – A potem wdał się w rozmowę z hodowcą kurcząt.

Nagła zmiana taktyki wytrąca ją z zamyślenia.

– Jakim znowu hodowcą?

– Z tym Kanadyjczykiem, Louisem. Sprawdziłem, rzeczywiście od czwartku ten Louis przebywa w San Jose. Ale czy to nie dziwne, że wyjechał z San Miguel Station akurat rankiem w dzień strzelaniny? Poza tym hodowcy kurcząt często bywają kompletnie spłukani i być może przez to są bardziej podatni na wszelkie pokusy, nie sądzi pani? – Cartwright przybrał taki ton, jakby opowiadał fabułę jakiejś taniej powieści z dreszczykiem.

– O czym pan mówi? – pyta Blanche.

– Kupiec z miasta mógł wynająć tego Louisa, nie widzi pani tego? Jego żona, gdy ją trochę przycisnąłem, przyznała, że jej mąż rozmawiał w środę z Włochem o nazwisku Lamantia.

– Gada pan od rzeczy – stwierdza Blanche, stukając palcem w klapę jego marynarki. W słonecznym świetle Cartwright wydaje się błądy jak ściana. Teraz, kiedy wreszcie uważniej mu się przygląda, widzi, że prawdopodobnie od wczoraj nie zmrużył oka. – Skoro ten Kanadyjczyk wyjechał z San Miguel Station w czwartek rano, to nie mógł zabić Jenny, prawda?

– Ale może zlecił to komuś innemu – odpowiada niepewnie Cartwright. – Dzięki temu sam mógł pojechać do San Jose i zapewnić sobie alibi.

Jeden zleca zabójstwo drugiemu, a ten drugi trzeciemu?

Przed oczyma staje jej gabinet luster i obraz odbijający się w nieskończoność.

– Mówimy o rozstajach w samym środku głuszy – ripostuje Blanche. – Ilu według pana da się tam znaleźć płatnych morderców?

– A Phil Jordan? A John McNamara?

– To jakiś nonsens, za bardzo pan tę sprawę komplikuje. Mój Arthur to zrobił! – krzyczy Blanche. (Dlaczego powiedziała „mój”? Dlaczego po tym wszystkim, co między nimi zaszło, nadal zdarza jej się myśleć o nim jako o jej mężczyźnie?) – Tłumaczyłam to panu, tłumaczyłam wam wszystkim, ale nikt nie chce mnie słuchać.

Cartwright wypuszcza głośno powietrze.

– Widzi pani, problem w tym, że brakuje jakichkolwiek dowodów...

– Do diabła z dowodami! Kto życzył nam śmierci, mnie i Jenny? Arthur. Dlatego, że po tylu latach ośmieliłam się od niego odejść – rzuca Blanche niemal triumfalnym tonem, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. – To Jenny dała mi siłę, której wcześniej mi brakowało, i za to właśnie zginęła.

Wyrzuciwszy z siebie to wszystko, odwraca się i odchodzi. Ale kiedy jest już przy bramie cmentarza, znów słyszy za sobą głos Cartwrighta.

– Jeszcze tylko jedno pytanie!

Blanche zatrzymuje się, choć ma go już szczerze dość.

– Chcę tylko lepiej zrozumieć kontekst – tłumaczy dziennikarz – żeby ożywić następny artykuł. Na czym polegała jej siła oddziaływania?

Blanche zastanawia się, czy chodzi mu o jakiś prawniczy termin.

– To znaczy, jeśli wolno mi spytać... – Jego policzki płoną

żywym ogniem. – Co sprawiło, że tak silnie przywiązała się pani do tej dziewczyny?

Blanche przez chwilę wpatruje się w niego, po czym stwierdza sucho:

– Nie znał jej pan.

Po powrocie z cmentarza do Chinatown widzi na Dupont Street młodego śpiewaka ulicznego, któremu w wieczornym upale nieco rozmazał się czarny makijaż na twarzy. Zaraz po przyjeździe do Ameryki wprawiał ją w zakłopotanie widok muzykantów ucharakteryzowanych na Murzynów, ale teraz nie robią już na niej żadnego wrażenia, nawet gdy są ubrani w spódnice. Ten wyśpiewuje swoją pieśń falsetem, trzymając w jednej ręce kartkę świeżo zapisaną słowami, a w drugiej falbaniastą halkę.

Ropuch kijankę wziął za żonę,

Ciotka Jemima widziała to.

I pocałował jej usta zielone,

Ciotka Jemima widziała to.

Właściwie wygląda całkiem nieźle; jest ładniejszy niż niejedna dziewczyna. Blanche przystaje na chwilę, żeby posłuchać i złapać oddech.

Naszej miłości nam nikt nie odbierze –

Rzekła kijanka, całując go –

Jeśli naprawdę kochasz mnie szczerze,

Ciotka Jemima słyszała to.

Jej umysł pracuje bardzo ociężale. Musi to zrobić, musi dać ostatni występ u Madame dziś wieczorem. Po uregulowaniu fikcyjnego długu zostanie jej prawie trzysta dolarów. To powinno wystarczyć, żeby zapewnić sobie jako taką przyszłość. Czyny, jedzenie, ubrania. Przynajmniej zyska trochę czasu, żeby ukryć się przed Arthurem i Ernestem, no i będzie czekać na

powrót P'tita – albo na wiadomość o tym, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Blanche ukrywa twarz w dłoniach, lecz już po chwili, dostrzegłszy na chodniku grupę turystów, odsuwa się na bok, żeby zejść im z drogi. Przewodnik wyprowadza ich ze świątyni. Wszyscy ściskają w rękach kadzidełka sprzedawane za jakąś horrendalną cenę. Blanche odchodzi w przeciwnym kierunku, w stronę House of Mirrors.

Kilka minut później jest już pod okazałym wejściem do biało-niebieskiej rezydencji. Przy drzwiach stoi tablica, równie wysoka jak ona, ze świeżo wymalowanym napisem:

TYLKO DZIŚ WIECZOREM!

POŻEGNALNY WYSTĘP KOBIETY PCHŁY

OSTATNI TANIEC SERDECZNEJ PRZYJACIÓŁKI

ZAMORDOWANEJ DZIEWCZYNY

No cóż, mogła się spodziewać, że Madame będzie próbowała zarobić na tej tragedii. Aż dziw bierze, że na tablicy nie ma dużego wizerunku Blanche ubranej tylko w zakrwawiony gorset.

Odźwierny z kamienną twarzą wpuszcza ją do środka. Słysząc wybuchy śmiechu dobiegające z Grand Saloonu. Po drodze Blanche zatrzymuje się, żeby zajrzeć przez szparę w drzwiach. Grają jakąś burleskę na temat epidemii? Na scenie widzi Lolę i Paquitę, wyglądają, jakby – czy wzrok jej nie myli? – wysmarowały ręce, dekolty i twarze rozgniecionymi żurawinami. Minął miesiąc, odkąd była tu ostatni raz. Krzykliwe, grube dywany, olejne obrazy, marmury i przede wszystkim wielkie lustra – cały ten wystrój dziwnie ją szokuje.

Gdy skręca w korytarz przeznaczony dla wykonawców, przechodzą ją ciarki. Jeszcze tylko ten jeden raz.

Pusta garderoba na samym końcu korytarza została niedawno wytapetowana. Blanche muska palcami dobrze znane kostiumy. Suknie balowe w kształcie klepsydry, które byłyby bardzo tradycyjne, gdyby nie to, że kończą się nad kolanem. Kostium żołnierski: spodenki z frędzlami, szamerunek i chwosty. Strój andaluzyjski: rozcięta spódnica sięgająca do łydki i kastaniety. Kostium alabastrowej statui jest prawie całkiem przezroczysty, a w skład wyposażenia Hamleta wchodzi czaszka Yoricka i buty wiązane aż do uda. Miska woskowych owoców i łuk ze strzałą... Wszystko to wygląda mało zachęcająco. Zawsze prezentowała się w tych strojach tandetnie, teraz widzi to wyraźnie.

Podjmuje szybką decyzję i zakłada spódnicę wieśniaczki z jednego kostiumu i lśniący gorset z zestawu andaluzyjskiego, a na niego małe boletko.

Ktoś puka lekko do drzwi.

– Moja droga, tak się cieszę – wita ją Madame Johanna, wstawiając głowę do środka, i niemal od razu unosi wysoko brwi. – Dzisiaj cała w żałobnej czerni?

– Wydaje mi się to na miejscu – odpowiada Blanche, nie spuszczać wzroku z maleńkich guzików ze sztucznych pereł, które właśnie zapina. – Bardzo gustowna ta tablica przed wejściem.

Prusaczka szeroko rozkłada ręce obleczone w szare jedwabie.

– Moje drzwi są otwarte dla każdego, kto szuka wrażeń. Ja nikomu nie zakazuję wstępu.

– To na pewno – mruczy pod nosem Blanche, naciągając operową rękawiczkę aż za łokieć. Musi ją zapytać o Lamantię,

choćby po to, żeby móc obalić tę dziwną teorię Cartwrighta, którą cały czas roztrząsa w myślach. Ale poruszy ten temat dopiero po występie, ponieważ nie może sobie pozwolić na to, by w tej chwili wszczynać kolejną kłótnię.

– Profesor chce wiedzieć, co zamierzasz dla nas dziś wykonać.

– „Pchłę” i „Lulu” – odpowiada Blanche.

– Tylko dwa numery? – Madame jest wyraźnie zaskoczona.

– Och, myślę, że to zapewni dostatecznie dużo wrażeń.

Madame wyraźnie rozważa, czy warto wdawać się w dyskusję, domagać się więcej za bezprecedensową sumę pięciuset dolarów. Wycofuje się jednak i znika z garderoby.

Blanche ustawia się pod drzwiami prowadzącymi na scenę, rozpoznaje ostatnie takty numeru ze skakanką, który Fabienne wykonuje do rytmu flamenco. Z pewną ulgą stwierdza, że pianino zostało nastrojone. W myślach jeszcze raz powtarza swój układ, próbując nie zwracać uwagi na przyciszony, przejęty głos Madame, która rozgrzewa widownię przed występem ezoterycznej Blanche la Danseuse.

Blanche minimalnie uchyla drzwi, żeby sprawdzić, czy światła już zgasły. Czeką, aż na sali zapadnie cisza. Podekscytowana publiczność wkrótce zamiera w niemal całkowitej ciemności.

Wychodzi na niewielką scenę ceremonialnym krokiem godnym damy dworu. Światła się zapalają i wybucha burza oklasków. Blanche odwraca twarz, czekając, aż brawa ucichną. Szybko obrzuca wzrokiem całą salę: ani jedno aksamitne krzesło nie stoi puste i dzięki Bogu nigdzie nie widać Lamantii. On nie mógł być zamieszany w morderstwo Jenny, przecież to niemożliwe. Ale w takim razie czego szukał w środę w San Miguel Station?

Rozlegają się pierwsze dźwięki szarpanej tarantelli, z początku wolnej, potem stopniowo nabierającej tempa. Blanche wprawia całe swoje ciało w nerwowe drganie. To prosty układ, żadnych skomplikowanych, trudnych do zapamiętania kroków czy popisów giętkości. Po prostu udaje, że coś wlało jej pod ubranie, pchła, pająk, pszczoła, osa – to bez znaczenia, ważne, żeby wyobrazić to sobie dostatecznie wyraźnie. Połowę sukcesu zapewnia już sama muzyka: jej urywany, nerwowy rytm, który staje się coraz bardziej szaleńczy, gdy niewidzialny owad zaczyna gryźć skórę. Madame zawsze reklamowała Blanche jako Kobietę Pchlę, a ten numer, „przywieziony prosto z kolorowego Paryża”, miał być jej specjalnością – kiedy w czerwcu jakaś dziewczyna na California Street zaczęła ją naśladować, Madame wysłała swojego bramkarza, żeby wybił jej to z głowy. Ale prawda jest taka, że Blanche podpatrzyła ten numer u innej tancerki, która spędziła w House of Mirrors tylko kilka tygodni, a potem przeniosła się do Chicago. Tyle że ona odgrywa to na poważnie. Tu nie ma miejsca na śmiech.

Dzisiaj w trakcie występu wyobraza sobie jednego z tych wrednych komarów z San Miguel Station. Wzdraga się, wykręca i wiruje wokół własnej osi. Palcami ściga niewidzialnego natręta po całej długości rękawiczki, zgania go z szyi, wkłada za nim ręce pod szeroką czarną spódnicę. Każdy *micheton* na sali ma sobie dokładnie wyobrazić wszystkie szczeliny i zakamarki, do których mógł zawędrować owad.

Tarantella doprowadza Blanche na skraj obłędu. Ściąga długie rękawiczki i odrzuca je daleko od siebie. Jej własne dłonie atakują ciało, wzbijają w górę spódnicę, drapią uda, szarpią skórę, jakby próbowała ją z siebie zrzucić... Zerwała z dotychczasowym zwyczajem i nie założyła dziś cielistych rajstop, więc jej idealne, białe nogi są nagie. Z przerażeniem

w oczach zdziera z siebie bolerko, słyszy, jak puszcza któryś ze szwów. Walczy ze swoimi włosami spiętymi w kok, aż w nieładzie spadają jej na ramiona. W końcu rozrywa czarny, satynowy gorset, a sztuczne perły eksplodują i tłuką o deski sceny.

Blanche uświadamia sobie, że niektórzy mężczyźni na widowni wyglądają na bardziej zaniepokojonych niż podnieconych, ale ona ma to w nosie. Doprowadza się do ostatniego spazmu, po czym pada z nóg pośrodku sceny.

– Brawooooo! – Mężczyźni podrzucają w górę kapelusze, rycząc: – Blanche! Blanche! Blanche!

Czeka, aż wrzawa nieco przycichnie. Lubią patrzeć na nią w takim stanie, sprowadzoną do parteru? Na kolanach, z włosami na oczach, kohlem spływającym po policzkach, w samych majtkach i gorsecie? Kiedy wygląda jak każda inna sponiewierana kobieta?

Spojrzenie Profesora jest jak zawsze neutralne. Dyskretnym skinieniem głowy daje jej znak. *Gotowa?* I od razu zaczyna grać proste, radosne akordy jej finałowego numeru.

Wściekłość. Blanche wreszcie rozpoznaje to uczucie. Głęboko w trzewiach czuje obrzydzenie na myśl, że miałyby spędzić choćby jeszcze jeden wieczór swojego życia, odstawiając tę samą szopkę.

Zbiera się w sobie i wstaje. Kładąc rękę na biodrze jak jakaś nonszalancka ulicznica, zaczyna śpiewać słodkim głosem.

*Ach, jakby było miło
Na palcu mojej Lulu
Brylantem wielkim być,
Bo ziemię obiecaną
Oglądałbym co rano,
Jakby se podcierała*

Swoją chutliwą rzyć.

O rany!

Śpiewając, wykonuje szerokie, niemal błazeńskie gesty, a faceci na widowni są wniebowzięci. Gdy nadchodzi refren, wyrzuca w górę obie ręce i zaczyna dyrygować publicznością jak orkiestrą.

Daj się wygrzmocić,

Nasza Lulu,

Daj się wygrzmocić,

Bo wciąż nam mało.

Co my poczniemy,

Kogo zerzniemy,

Gdy w dole spocznie

Twe boskie ciało!

Kiedyś ten tekst wydawał jej się zabawny, rozkoszowała się jego beztrąską wulgarnością. Dzisiaj po raz pierwszy dociera do niej, jaka to smutna piosenka.

Skocznym krokiem beztrąsko przechadza się po scenie.

Dzieciaka Lulu miała...

Nagle głos jej się załamuje. Tego się nie spodziewała. Ale brnie dalej, pozostając tylko nutę czy dwie za akompaniamentem.

Wzięła go i nazwała

Słoneczny Jimmy Joe.

I raz go do nocnika

Wrzuciła, by w swych sikach

Popływał albo zszedł na dno.

O rany!

P'tit w studziencie, kanale burzowym, rynsztoku? *Nie. Nie myśl. Śpiewaj dalej.*

Zanurzył się w nich cały,

*Aż bańki poleciały.
A gdy wystawił szyję,
Lulu się podnieciła,
Za fiuta go chwyciła
Z radości, że on żyje.
O rany!*

Nie straci panowania nad sobą, nie da Madame pretekstu do obcięcia jej dzisiejszej gaży. Zaserwuje tym sukinsynom takie przedstawienie, że nie będą żałować ani jednego centa. Zaczyna tańczyć coraz szybciej. Śpiewa kolejne zwrotki: o świecach, o złączkach szynowych. Publiczność za każdym razem dołącza do niej w refrenie, zachwycona sprośnymi słowami. Blanche ma poczucie, że mogłaby śpiewać bez końca, a ci faceci zostaliby tu razem z nią, ze zgarbionymi ramionami i erekcją w spodniach, rycząc do wtóru swoje ulubione zwrotki.

*Są takie, co pracują w biurze,
Są takie, co śpiewają w chórze,
Lecz Lulu dniami i nocami
W hotelu urzęduje
I gości obsługuje
Z innymi kurewkami.
O rany!*

Przedziera się przez zwrotki o siostrze z syfilisem, o pastorce, o woźnicy. Ta piosenka nie ma końca. Przed oczami przesuwają się cała galeria postaci, tych wszystkich groteskowych rozpustników, choć ich uroczysta defilada przypomina raczej jakiś makabryczny taniec śmierci.

*Raz Lulu do aresztu wzięli,
Na cztery spusty ją zamknęli
I grzywnę jej wlepili,
A ona głośno się zaśmiała*

*I ławie przysięgłych powiedziała,
Żeby się sami chędożyli.*

To oczywiście przywodzi jej na myśl Jenny, jej bezczelne odzywki do ławy przysięgłych, dowcipne pogawędki z dziennikarzami i wszystkie szalone pomysły. Tak trudno ją sobie wyobrazić w House of Mirrors. Czy była tu w tym roku, czy może w zeszłym? Blanche chciałaby to wiedzieć. Żałuje, że nie zwróciła na nią uwagi, że nie zauważyła wtedy Jenny siedzącej bez kapelusza na krześle gdzieś z tyłu sali i oglądającej przedstawienie razem z tymi wszystkimi facetami.

Daj się wygrzmocić

Nasza Lulu,

Daj się wygrzmocić,

Bo wciąż nam mało.

Jeszcze tylko dwie zwrotki. Blanche zamyka oczy i śpiewa na całe gardło. Dla Jenny. Tańczy dla Jenny, która w tej chwili leży już w zimnym, ciemnym dole. Która z sobie tylko znanych powodów uważała Blanche za *crème de la crème*.

Kiedy ponownie spogląda na widownię, kątem oka dostrzega znajomą sylwetkę: wysoki, szeroki kontur Lamantii wspartego o krawędź sceny. Ma wilgotne oczy i uśmiecha się paskudnie. Blanche bez zastanowienia rzuca się do ucieczki.

Zatrzasnąc za sobą drzwi wiodące na scenę, słyszy jeszcze głośnie protesty publiczności. Profesor improwizuje skoczną kadencję, żeby jakoś zakończyć przerwany występ.

Eight Mile House, San Miguel Station, trzynasty września, środa. Mimo późnej pory nadal jest duszno i parno. Tego dnia Jenny i Blanche wybrały się na wyprawę do Sweeney Ridge, część trasy pokonując konno, a resztę na piechotę. Po powrocie

wdały się w awanturę ze stajennym od Marshalla, który przyjechał po bryczkę. Ale to wcale nie popsuło im humoru, zwłaszcza że suto podlały go alkoholem. Jenny jest w szampańskim nastroju. Upiera się, żeby kupić po worku owsa dla szkapy Marshalla i kucyka Johna juniora, bo kto wie, może akurat mają dziś urodziny?

Było tu dzisiaj naprawdę gwarno, lecz teraz w opustoszałym saloonie panuje absolutna cisza. McNamarowie udali się na spoczynek do swojej sypialni na tyłach budynku. Blanche i Jenny leżą rozwalone na łóżku, popijając koniak przy świetle świecy. Jenny zdjęła marynarkę i kamizelkę, a Blanche ma na sobie tylko luźną koszulę na ramiączkach i falbaniastą halkę, ale wciąż jest jej gorąco.

– Nigdy sobie nie odpuścisz, co? – ni stąd, ni zowąd pyta Jenny.

– Czego sobie nie odpuszczę?

– Dzieciaka.

Blanche mimowolnie roni łzę.

Inna przyjaciółka pewnie otarłaby jej twarz, ale nie Jenny, która ani drgnie.

Łza spływa jej po policzku i upada na wygniecioną narzutę. Blanche mruga oczami, żeby powstrzymać kolejne.

– Minęło zaledwie... – liczy w myślach, przypominając sobie kolejne wyczerpujące dni, jakie upłynęły od chwili, gdy w czwartkową noc, podczas tamtej brutalnej napaści, wybiegła z mieszkania, uciekając przed trzema mężczyznami. Ale niezależnie od wszystkiego jak mogła zapomnieć o P'ticie? – Sześć dni.

– Wiesz, co ja myślę? Myślę, że nawet gdyby minęło sześć lat, i tak byś sobie nie odpuściła – stwierdza Jenny. – Choć muszę ci powiedzieć – tylko się nie obraż – że kiedy jeszcze

miałaś przy sobie P'tita, jakoś nie widać było po tobie, żebyś kochała go na sto procent.

Blanche rzuca jej surowe spojrzenie. Ale nie może zaprzeczyć. Z drugiej jednak strony, czy ktokolwiek potrafi kochać *na sto procent*?

– To wszystko kwestia treningu – mówi ochrypłym głosem.
– W cyrku najważniejsza jest wytrwałość. W teatrze, jeśli aktor zapomni tekstu czy pomyli ruchy, nie przerywa, tylko gra dalej, prawda?

Jenny przytakuje.

– Opowieść musi toczyć się dalej.

– W cyrku nikogo nie obchodzi opowieść, widzowie przychodzą tu, żeby zobaczyć trik, za który zapłacili w kasie. I nie wyjdą, dopóki nie dostaną tego, po co tu przyszli.

– Czyli mówisz, że jak taki cyrkowiec raz się za coś weźmie...

– Arthur właśnie taki jest. Tak samo Ernest – wtrąca Blanche przygnębionym tonem. – Nigdy się nie poddają.

Zapada bolesna cisza, choć daje się w niej wyczuć jakąś nić solidarności pomiędzy kobietami.

– À propos – rzuca nagle Jenny – znasz historię o dwóch żabach, co skakały sobie po lesie?

– Dobra, mów. Miejmy to już z głowy. – Blanche zauważa, że zielona roleta, którą naprawiła Jenny, znów spadła z gwoźdźca.

– No więc te żaby podskakują sobie radośnie, zadowolone, jakby im kto w kieszeń napluł – i tu następuje pantomima: Jenny, naśladując skaczące żaby, uderza rękami o pomarszczoną kapę – aż tu nagle wpadają do dziury. Zaczynają skrzeczeć wniebogłosy i już po chwili wokół dołu zbiera się cała gromada żab. Zaglądają do środka i co widzą? Dwa uwięzione

biedaczyska dosłownie wychodzą z siebie, próbując się wydostać.

Blanche udaje, że ziewa.

– Czyżby zanosilo się na jedną z dłuższych historii?

– Podskakują, podskakują, a przecież to skoczkiwie jakich mało, ale dół jest za głęboki. Są już zmęczone. Coraz bardziej zmęczone.

– Dobrze wiem, jak się czują. – Tym razem Blanche ziewa jeszcze szerzej.

– „Dajcie sobie spokój”, wołają inne żaby. „Nigdy wam się nie uda. Czeka was pewna śmierć! Nie chcemy nic mówić, ale to było do przewidzenia. Ile razy powtarzałyśmy: nie zapuszczajcie się tak daleko. A wy co? Tak się właśnie kończy lekkomyślność”. Wreszcie jedna z uwięzionych żab pada na ziemię i wydaje ostatnie tchnienie. – Jenny odgrywa śmierć żaby, naśladując żalosne stęknienie.

Blanche chichocze na ten widok.

– Ale ta druga nie przestaje skakać. „Niech to diabli!”, rechoczą te na górze. „Co z ciebie za wariatka? Przecież to nie ma sensu! Już dawno mogłaś zakończyć te cierpienia, gdybyś się po prostu położyła i zasnęła wiecznym snem”. Oczywiście, jak się pewnie domyślasz, żaba nie zamierza się poddać, choćby nie wiem co. Podskakuje i podskakuje, sapie i jęczy, coraz bardziej wykończona, z zakrwawionymi stopami...

– Wystarczy!

– Zapada zmierzch – ciągnie dalej Jenny.

– Czy to durne stworzenie będzie się tak męczyć przez całą noc?

– Durne stworzenie, powiadasz? No to wyobraź sobie, że to durne stworzenie nagle wybija się tak wysoko, że wyskakuje z dziury!

– Świetnie. A teraz dobranoc – mówi złośliwie Blanche.
Tak naprawdę w ogóle nie jest śpiąca.

– Przyjaciele, bo oczywiście nadal się za takich uważają, otaczają ją kołem – opowiada dalej Jenny, przybierając coraz bardziej ponury ton. – „Czemu podskakiwałaś, skoro mówiłyśmy ci, że to nic nie da?” A ona tylko szczerzy do nich kły i mówi: „Tak się akurat składa, że jestem głucha jak pień!”

Blanche podnosi rękę, jakby zgłaszała się do odpowiedzi.

– To nie ma sensu. Jeśli jest głucha, to jak...

Jenny trzepie ją po ręce.

– Czyta im z ust, jak mniemam. Z tej odległości już może. „Kiedy byłam tam, w dole – dodaje na koniec żaba – myślałam, że mnie dopingujecie!” – Jenny wybucha głośnym śmiechem. – „Że mnie dopingujecie!”

Blanche próbuje ją uciszyć.

– Przestań, wszyscy już śpią.

– Wszyscy, ale nie my.

– Ja też już dawno bym zasnęła, gdybyś przez pół godziny nie trąla mi nad uchem.

– Wcale byś nie zasnęła.

Blanche przewraca się na plecy.

– Jestem wykończona i chyba nic dziwnego. Wspinaczka na tę górę nieźle dała mi w kość.

– Sweeney Ridge? Przecież to żadna góra. – Jenny krztusi się ze śmiechu.

– A ty nie jesteś ani trochę zmęczona?

– Ja się nigdy nie męczę.

– Ale z ciebie kłamczucha.

– No chyba że nie śpię przez tydzień – przyznaje Jenny.

– Każdy...

– Ale ja nie jestem „każdy”.

– Zamknij się wreszcie, już mam dosyć tych twoich przechwałek. – Blanche wyciąga rękę, żeby zatkać jej usta, ale Jenny łapie ją za nadgarstek i mocno ściska.

I nagle uświadamia sobie, dlaczego nie chce jej się spać. Już wie, na co ma ochotę. Czego tak desperacko potrzebuje, czego nie robiła od tak dawna...

Jenny oczywiście nie odwraca wzroku. Wygląda, jakby zaraz miała wybuchnąć śmiechem.

Blanche wyrywa dłoń z jej uścisku.

Jenny sięga po koniak, który stoi na nocnym stoliku. Obraca w rękach szklankę, po czym jednym haustem wychyla alkohol do dna, ani na chwilę nie spuszczając wzroku ze swojej przyjaciółki.

Czy ta dziewczyna jest pozbawiona jakichkolwiek emocji? – zastanawia się Blanche. Czy obce są jej najprostsze ludzkie pragnienia?

– Przestań się na mnie gapić – mówi tylko po to, żeby przerwać ciszę.

Jenny unosi brew.

– Niektórzy wolą patrzeć, niż działać. To dlatego przyszedł wtedy do House of Mirrors? – pyta takim tonem, jakby próbowała ugodzić Jenny. – To cię rajcuje?

Na twarzy Jenny pojawia się cień uśmiechu.

– Miałam facetów, którzy płacili jak za zboże, żeby tylko móc sobie popatrzeć, jak inni mnie biorą – mówi Blanche, obracając się na brzuch. – Niektórych kręci podglądanie przez dziurę po sęku w drewnianej ścianie, inni lubią rozwalić się w fotelu ze świadomością, że widzę, jak mnie obserwują. Jeszcze innych podnieca dawanie komend: pociągnij ją za sutek, wsadź jej palec... – przerywa i czeka.

– A ty? – pyta Jenny po kilku sekundach dziwnie miłym

tonem.

– Co ja? – Chyba powinna była odezwać się o pół tonu ciszej. – Ja wszędzie wkładam palce. Liżę, połykam, pieprzę się na wszystkie możliwe sposoby. – Jej własne słowa działają na nią jak dotyk. – Pewnie oczekujesz, że zaraz ode mnie usłyszysz, jak bardzo tego nienawidzę? I że czuję się jak uciemieźony, sponiewierany anioł, który marzy o tym, by otrzepać swe skrzydła i ulecieć wysoko ponad bagno mojej profesji.

– Dlaczego miałabym oczekiwać, że to od ciebie usłyszę?
Jej spokojny, neutralny ton doprowadza Blanche do ostateczności.

– Ja to lubię, rozumiesz? Wszystko lubię, nawet to, co nie sprawia mi aż takiej frajdy. – Musi jej to wytłumaczyć, po prostu musi, żeby nie było cienia wątpliwości. – Mogą robić ze mną, co chcą. Wszystko mi pasuje.

Jenny kiwa głową.

– Po prostu chcę, żebyś wiedziała, z kim masz do czynienia.

I znów tylko skinienie głowy.

Jenny nie mówi ani słowa. Uśmiech znika z jej twarzy.

Zapada cisza. Okrywa je jak ciężki, gruby koc. Jest nie do zniesienia.

– Masz zamiar dalej tak leżeć jak kłoda? – pyta Blanche ochrypłym głosem.

– Nie ma w tym nic złego – mówi wreszcie Jenny.

– W czym? W czym nie ma nic złego?

– W tym, co robisz. W tym, czego chcesz.

– Nawet się nie waży mówić mi, co jest dobre, a co złe – wściekle rzuca Blanche.

– Wszystko gra. – Jenny podwija rękaw koszuli.

To panika sprawia, że Blanche jest coraz bardziej złośliwa.

– Nie potrzebuję twojej łaski. Nie masz mi absolutnie nic do zaoferowania.

Dziewczyna się nie spieszy. Powoli podwija drugi rękaw.

– Wiesz, kim jesteś, Jenny Bonnet? – syczy przez zęby. – Ni pies, ni wydra, tylko *walach!* – Wyzwisko rzucone kiedyś przez Arthura to jedyna broń, po jaką może w tej chwili sięgnąć.

Ale Jenny nie reaguje na te obraźliwe słowa.

To, co następuje potem...

Jakie to ma właściwie znaczenie, co dokładnie robią?

To tylko ciała, które poddają się instynktowi.

Te same, dobrze znane nuty, myśli Blanche, a jednak powstaje z nich zupełnie nowa muzyka. *Skąd wiesz, skoro nigdy nie próbowałaś?* To, co robi jej Jenny, ba, to co ona, ku własnemu zdumieniu, robi Jenny, tak naprawdę niewiele się różni od tego, co robiła już tysiące razy. Na podobnych przemyśleniach, zwłaszcza w niektórych momentach, stara się skupiać całą uwagę, żeby nie zacząć krzyczeć, bo od sypialni McNamarów dzieli je tylko cienkie przepierzenie.

Jest całkiem naga, podczas gdy Jenny wciąż ma na sobie ubranie. Kiedy próbuje wsunąć jej rękę pod koszulę, ona chwytą ją za nadgarstek, po czym bierze jej dłoń i robi z nią coś takiego, że ciało Blanche przeszywa dreszcz i wygina się w łuk. Pod materiałem spodni czuje twardość ud Jenny, zupełnie jakby należały do faceta. Chropowatość jej drobnych rąk również przywołuje na myśl dłonie mężczyzny. Ale jej usta błędzące po rozedrganej skórze Blanche w niczym nie przypominają dotyku męskich warg. Ta filigranowa dziewczyna góruje nad nią niczym olbrzym w żółtym świetle świecy. Jej skupiony wyraz twarzy. Jej płonące oczy.

Leżąc na brzuchu, Blanche wciska twarz w materac. Czuje, jak Jenny bierze ją od tyłu, wypełnia, rozpycha od środka,

miażdży – okazuje się, że pięść z powodzeniem może zastąpić kutasa. Jest chyba nawet skuteczniejsza, bo porusza się o wiele bardziej zachłannie, a jednocześnie precyzyjnie, wiodąc ją prosto w przepaść. Blanche gryzie poduszkę, by stłumić jęki. Wystrzela w górę niczym wieloryb wybijający się ponad taflę wody. Wybuch niczym proch strzelniczy w kopalni. Wbija paznokcie w prześcieradło. Jej kręgosłup trzaska jak bicz. Kule rozkoszy przeszywają jej ciało, rozrywając je na strzępy.

Sobota, szesnasty września. Blanche rozbiera się w garderobie House of Mirrors. Od tamtej nocy z Jenny minęły trzy dni. Dzisiaj jej zręczne dłonie, których dotyk Blanche czuła na sobie, obejmują biały kwiat, razem z nią zamknięty w trumnie i złożony do grobu.

Drżącymi palcami ściąga z siebie kostium, nie zwracając uwagi na to, że materiał gdzieś się naderwał. Zaczyna się wciskać z powrotem w swoją przepoconą różową suknię, gdy w drzwiach staje Madame ze szklanką brandy w ręku.

– Raczej mało elegancki ten finał, *hein?* Nie będzie bisu dla twoich oddanych wielbicieli?

– Lamantia jest w pierwszym rzędzie – oznajmia Blanche, odwracając się do niej twarzą. – Widziałaś, jak na mnie patrzył?

– Za to właśnie płaci.

– Nie, dzisiaj wyglądał inaczej. Jak wygłodniały wilk. – Blanche postanawia nagle wyrzucić to z siebie: – Widziano go w środę w San Miguel Station.

Madame spogląda na nią nieufnie, jakby opowiadała jakieś brednie.

– Tego samego dnia, kiedy zginęła Jenny! Tylko ty mogłaś powiedzieć Lamantii, że tam jestem.

Prusaczka z ciężkim westchnieniem podaje Blanche szklankę, jakby było w niej lekarstwo.

– Wczoraj upierałaś się, że tę samą informację przekazałam panu Deneve. Czy od teraz codziennie będziesz mnie o to oskarżać?

Blanche jednym haustem wypija brandy. Nie wie już, co ma myśleć. Zresztą „myśleć” to nie najlepsze słowo, jej głowę wypełnia raczej bezkształtna mgła podejrzeń. Przecież Lamantia nie mógł zastrzelić Jenny, ani ten, jak mu tam, Louis. Z kolei Arthur tydzień temu wyjechał z miasta, a Ernest, jak twierdzą jego przyjaciele, cały wieczór spędził z nimi i Madeleine. Ta cholerna sprawa jest nie do rozwiązania.

– To naprawdę był twój ostatni taniec? – pyta Madame.

– Ostatni dla ciebie – mruczy Blanche, ubierając się najszybciej, jak może.

Po tych słowach zapada cisza, ale Blanche przez cały czas czuje na sobie wzrok Prusaczki, fachowo taksującej każdy centymetr jej ciała.

– Naturalnie przychodzi taki czas – odzywa się w końcu Madame – że trzeba zacząć się zastanawiać, ile lat nam zostało. Jak długo jeszcze będziesz miała te możliwości, które masz obecnie.

Blanche zaciska usta. Walczy z guzikami.

– Masz głowę na karku i pewną wrodzoną wytrwałość – kontynuuje Madame Johanna. – Ciągłe natomiast zadaję sobie pytanie: czy naprawdę zupełnie brak ci ambicji?

Blanche postanawia nie zwracać uwagi na rzucane przez nią przynęty. I zapnie ten przekłety mankiet, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

– Dla większości ludzi, którzy tu przybywają, kalifornijski sen nigdy nie staje się jawą – zauważa Madame z gorzką nutą

współczucia. – Nadal można tu zbić wielką fortunę, ale tylko jeżeli ma się w sobie niezbędną energię. I tak już chyba po prostu jest. Na każdego, kto dorobił się własnej rezydencji, musi przypadać dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy kończą w rynsztoku.

Blanche zarzeka się w duchu, że za kilka minut wyjdzie przez te drzwi ze swoją gotówką w rękę i już nigdy nie wróci.

– Ja sama w wieku trzydziestu trzech lat, w tak wymagającej branży... – Madame wzdycha.

Tylko trzydziestu trzech? Blanche jest zszokowana. Ta pomarszczona skóra, jak karty w mocno zużytej księdze rachunkowej...

– Czasami kusi mnie pomysł, żeby przyjąć do interesu młodszą współniczkę – podejmuje Madame. – Protegowaną, którą mogłabym sama wyszkolić. I być może nawet otworzyć z nią drugi lokal.

Do Blanche dopiero po krótkiej chwili dociera, o czym jest mowa.

– Chyba nie masz na myśli mnie. Miałabym być burdelmama?

– Nigdy nie mierzyłaś tak wysoko?

Blanche nie odpowiada, ale wyraz jej twarzy zdradza, co o tym myśli.

– Ach, więc wolisz nadal godzić się na to, aby mężczyźni, jeden po drugim, wykorzystywali cię jak publiczną toaletę?

Blanche patrzy na nią zmrużonymi oczyma.

– Moja droga, zawsze brakowało ci rozsądku w sprawach damsko-męskich – ciągnie Madame. – Naprawdę się o ciebie obawiam. Jeśli posłuchasz głosu swojego sentymentalnego serca i zwiążesz się z kolejnym przystojnym pasożytem, oboje pewnie pomrzecie z głodu jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

– Kochałam Arthura – te słowa same wyrywają się z piersi Blanche.

– Tak... Miłość to największa zguba dla osób w tej profesji. Doprawdy, równie dobrze można od razu włożyć drugiej stronie nóż do ręki i nakierować prosto na cel – mówiąc to, wymownie przeciąga sobie palcem po szyi.

– Mówisz tak, jakby nikt cię nigdy porządnie nie przerznął – odparowuje Blanche.

– Cóż, nie jest to doświadczenie, którego kiedykolwiek miałam ochotę spróbować.

Blanche spogląda na nią zdumiona.

– Ale... A pan Werner? – pyta, wpatrując się w złotą obrączkę na kościstym palcu Prusaczki. – Więc to jedynie *mari de convenance*?⁸⁹

– On istnieje tylko na papierze – wyjaśnia Madame. – A to niewątpliwie najwygodniejszy rodzaj męża, jaki można sobie wyobrazić.

Blanche nie kryje rozbawienia. I pomyśleć tylko, że na czele tego przybytku wszelkiej rozpusty, tego targowiska, na którym wystawia się na sprzedaż dziewczęce wianki, przez te wszystkie lata stała dziewica!

– Wydawało mi się, że jest w tobie pewien potencjał – stwierdza z żalem Madame. – Że gdybym tobą odpowiednio pokierowała, mogłabyś odkryć w sobie talent do gospodarowania innymi.

– Gospodarowania? – pyta ze zdziwieniem Blanche, nie bardzo wiedząc, co ma przez to rozumieć.

– Do zawiadywania innymi ciałami poza swoim własnym. Do sprawowania kierowniczej roli. Każdy biznes sprowadza się do wymiany jednej rzeczy na inną, czyż nie? – Prusaczka coraz bardziej się rozkręca. – Nie wolałabyś wreszcie sama usiąść przy

szachownicy, zamiast ciągle być tylko pionkiem?

Blanche kręci głową z niedowierzaniem.

– Brałabym od ciebie mniejszą działkę niż Arthur i na pewno odbywałoby się to bardziej uczciwie. W przeciwieństwie do niego nie wykorzystywałabym cię w imię tak zwanej *miłości*.

Słyszając to, Blanche parska śmiechem.

– Ty i ja nigdy się nawet nie lubiliśmy.

Madame wzrusza ramionami.

– Szczypta pieprzu poprawia smak omletu.

Blanche ma już dosyć tej rozmowy. Krzyżuje ręce na piersi i nachyla się, zbliżając twarz do twarzy Madame.

– Masz niewiarygodny tupet. Proponujesz mi *współpracę* po tym, jak oddałaś moje dziecko w łapy tej doktorzycy, skazując je tym samym na powolną śmierć?

Spodziewa się, że Prusaczka wpadnie w gniew, zacznie się wypierać i sprzedawać te same głodne kawałki.

Ale Madame patrzy jej prosto w oczy.

– Frau Hoffman to zło konieczne, jedno z wielu w tym mieście. Coś jakby ludzki automat do rozwiązywania problemu ciąży w taki sposób, jakiego wymaga dana sytuacja. Aborcja, adopcja, przytułek... Jest może nieco... – zastanawia się nad odpowiednim określeniem – *znieczulona* przez swoją pracę, to zrozumiałe. Dzieci umierają nie tylko na Folsom Street. One po prostu przychodzą na ten świat słabe, nawet te, na które ktoś czeka z utęsknieniem, i potem stają się jeszcze słabsze, a przynajmniej większość z nich. Każda choroba zbiera tu swoje żniwo.

– To ty i Hoffman zbieracie żniwo! – krzyczy Blanche.

Madame mówi dalej, jakby przemawiała do wdzięcznej, zasłuchanej publiczności.

– Śmierć to dla niemowląt naturalna kolej rzeczy, tak jak

naturą mleka jest kwaśnieć, a mięsa gnić. Dzieci, jak nakręcane zabawki, rodzą się z wbudowanym mechanizmem, który w momencie wprawienia w ruch ma z góry określoną ilość energii. Gdy ta się wyczerpie, sprężyna się zatrzymuje.

Blanche wpatruje się w nią bez słowa.

– Woda, jedzenie, ubranie, higiena, to wszystko, rzecz jasna, zwiększa ich szanse na przeżycie. Czuły dotyk pewnie też – dodaje po namyśle Madame. – Prowadzona przez panią doktor farma dzieci nie różni się od innych farm; tak samo wspiera rozwój niektórych rodzajów plonów, a hamuje rozwój innych, w zależności od wymogów rynku. Z powodu działania niezależnych czynników czasem nie otrzymuje się tego, za co się zapłaciło, ale na pewno nie dostaje się czegoś, za co się nie płaciło. – Prusaczka zaczyna teraz uderzać w świętoszkowaty ton. – We wrześniu zeszłego roku, kiedy twój kochaś zapukał do moich drzwi, zapytałam go, ile jesteście skłonni zapłacić za to, żeby ktoś inny zajął się waszym dzieckiem. Musiałam wiedzieć, jak bardzo ci zależy na tym, żeby twój P'tit przeżył. Ile jesteś gotowa w to zainwestować, rozumiesz?

– I Arthur zaoferował osiem dolarów tygodniowo?

– Podejrzewam, że wymienił tę sumę na chybił trafił.

– Sukinsyn! Dlaczego mnie nie zapytał?

– Ty nie byłaś wtedy w stanie jasno myśleć z powodu gorączki. Zresztą – dodaje Madame Johanna – ile byś zaproponowała, gdyby wrócił do domu, żeby się z tobą skonsultować? Piętnaście?

Blanche chce wierzyć, że istotnie dałaby piętnaście.

– Dwadzieścia? – dopytuje Madame.

– To niedorzeczne. – Blanche przechodzi do ataku: – Ciekawe, ile wynosiła twoja działka?

Madame długo się zastanawia przed udzieleniem

odpowiedzi.

– Cztery.

– Cztery z ośmiu! A więc na Folsom Street co tydzień trafiały tylko cztery dolary, które miały utrzymać P'tita przy życiu.

– Podobnie jak moja rodaczka, prowadzę biznes.

Zważywszy na to, ile u mnie zarabiałaś, byłoby cię stać na dwadzieścia – odpiera atak Madame. – Mogłaś powiedzieć swojemu gachowi, żeby zapłacił każdą sumę. Oczywiście mogłaś też zatrzymać swoje dziecko w domu.

– Kto proponuje, że zapłaci „każdą sumę” za cokolwiek? – protestuje Blanche.

– Na przykład ktoś, kto widzi, że mijają kolejne miesiące, a jego małe dziecko wcale nie nabiera sił.

– Zamknij dziób!

Madame podchodzi bardzo blisko do Blanche.

– Tak naprawdę nie możesz znieść świadomości, że znam twoje małe, twarde serce równie dobrze jak własne. Chciałaś się pozbyć tego dziecka.

– Nieprawda!

– Cóż, może nie umiałaś podjąć ostatecznej decyzji, dlatego wolałaś się zabezpieczyć z obu stron i zapłaciłaś te osiem dolarów.

– Dosyć! – Blanche bierze do ręki torbę. – Daj mi moje pięćset dolarów.

Madame ponownie wzdycha.

– Minus dwieście osiemnaście, które jesteś mi dłużna za wszystkie wydatki, i doliczam jeszcze do tego koszt stroju, który właśnie zniszczyłaś. Dla ciebie zostają dwieście osiemdziesiąt dwa dolary.

– I do tego – Blanche liczy szybko: pięćdziesiąt tygodni

pobytu P'tita na farmie razy cztery dolary za każdy tydzień – jakieś dwieście dolarów, które zarobiłaś na moim dziecku.

– Nie przeginaj – mówi miękko Madame.

Blanche już otwiera usta, żeby się kłócić, ale nagle brakuje jej słów. Czuje się wyżęta jak szmata.

Madame odlicza banknoty i monety, wyciągając je kolejno z długiej, siateczkowej portmonetki.

– Powinnaś zostać tutaj na noc – rzuca niespodziewanie.

Blanche nie wierzy własnym uszom. Czy ta pajęczycyca nigdy nie przestanie tkać swojej sieci?

– Mój odźwierny mówi, że mogą być kłopoty.

– Jakie kłopoty?

Madame wzrusza ramionami.

– Jakieś zamieszki. Podpalono już kilka budynków na Kearny Street...

– Wystarczy już tych twoich kłamstw – przerywa jej Blanche i wyciąga rękę po pieniądze.

– Dlaczego ona? – pyta nagle Prusaczka, a w jej szarych oczach pojawia się dziwny błysk.

– Kto?

– Jenny Bonnet. Co ona mogła ci dać oprócz zgryzoty? Czy mogła ci zaoferować coś, czego nie dostałabyś ode mnie?

Blanche czuje, że robi jej się niedobrze. Wreszcie wszystko staje się jasne. Odkąd pamięta, odkąd była młodą dziewczyną o kremowej skórze kręcącą piruety na końskim grzbiecie, wiedziała, że jest dla innych obiektem pożądania. Ale dopiero dziś, po raz pierwszy w życiu, ta świadomość przyprawiła ją o mdłości.

– To ty? – szepcze, ponieważ w jej głowie rozbłyska szalone podejrzenie

– Co ja?

– To ty wysłałaś Lamantię do San Miguel Station? Miał zabić Jenny czy tylko strzelić nam nad głowami? Chciałaś mnie solidnie nastraszyć, żebym wróciła do ciebie na kolanach?

Madame przewraca swoimi szarymi oczami.

– Boże, daj mi cierpliwość. – Jej głos jest znowu zimny i opanowany. – Masz jakąś wariacką wyobraźnię.

Blanche robi się cała czerwona na twarzy. To prawda, cały czas walczy z wiatrakami.

– Po tobie wszystkiego można się spodziewać – wybąkuje pod nosem, wciskając pieniądze do portmonetki i wrzucając ją do torby podróżnej. – Słyszałam, że kiedyś złapałaś jakąś dziewczynę i wsadziłaś jej ręce do wrzącej wody.

Przytacza tę starą plotkę tylko dla efektu, ale ku jej zaskoczeniu Prusaczka lekceważąco wzrusza ramionami.

– W tej branży – stwierdza ironicznie – ręce nie są niezbędne do pracy. Wiedziałam, że zawsze może nosić rękawiczki.

Blanche odruchowo odsuwa się od niej.

– Wy, dziewczyny, często przeceniacie swoje znaczenie dla tego interesu – dodaje Madame. – Nikt nie jest niezastąpiony.

Stojąc już w drzwiach, Blanche bierze do ust ostatni łyk brandy.

– A poza tym nie przyszło ci głowy, że gdyby mi zależało na czyjejs śmierci, użyłabym czegoś dyskretniejszego i pewniejszego niż pistolet? – pyta Madame. – Na przykład łatwo rozpuszczalnej trucizny o opóźnionym działaniu...

Blanche cała opluwa się drinkiem.

A Madame, po raz pierwszy, odkąd Blanche ją poznała, wybucha śmiechem.

Kiedy Blanche wygląda przez frontowe drzwi na ulicę, Sacramento Street nie wydaje jej się ani trochę groźniejsza niż zwykle: pijacy się zataczają, ktoś się kłóci, jakaś kobieta wrzeszczy. Madame na pewno wymyśliła sobie „kłopoty” na Kearny, żeby zatrzymać ją chwilę dłużej w House of Mirrors, ale Blanche na wszelki wypadek rusza w przeciwnym kierunku. Spieszy ulicą, ściskając swoją torbę pod ramieniem.

Mija następną przecznicę i widzi dwóch białych, którzy przyparli do muru przestraszonego Chińczyka i grożą, że obetną mu warkoczek jako trofeum, ale takie rzeczy to tutaj norma, zwłaszcza w sobotni wieczór. Blanche wie, że jakakolwiek interwencja z jej strony tylko pogorszyłaby sprawę.

Nagle dopada ją okropny głód. Nie ma w żołądku nic oprócz drogiej brandy, tej samej, którą teraz śmierdzi jej falbaniasta suknia. Musi znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie mogła coś zjeść, a także starannie rozlokować pieniądze w różnych częściach swojego stroju – nie miała czasu, żeby to zrobić, zanim wybiegła od Madame. A potem znajdzie pokój na noc, z dostatecznie dobrym zamkiem w drzwiach, by mogła spać bez strachu, że ktoś ją okradnie.

Postanawia udać się do Oyster Grotto. Ma ochotę na kubełek ostryg i kawałek chleba...

Ale drzwi są zamknięte i zakratowane, a gdy stuka w nie kołatką – ponieważ widzi, że na zapleczu pali się światło – nikt nie reaguje. Stojąc pod wejściem do restauracji i tłukąc w drzwi, spostrzega nagle, że z całych sił ściska swoją torbę, a tym samym obwieszcza wszystkim wokół, że ma w niej setki dolarów. Rozluźnia więc nieco chwyt i pozwala torbie kołysać się przy jej boku, jakby zawierała co najwyżej ubrania na zmianę.

Wygląda na to, że wszystkie knajpy są dziś pozamykane.

To chyba jakiś żart?

Jednak w pewnym momencie wyczuwa w powietrzu zapach spalenizny, a kiedy dociera do rogu Dupont Street, widzi już wyraźnie, skąd dochodzi. Chryste, Madame nie kłamała! Teraz po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że ta rzekoma wrogość wobec imigrantów z Azji to chyba jednak nie tylko puste gadanie. Płonie chińska pralnia, a banda białych robotników nie pozwala strażakom nawet się do niej zbliżyć. Blanche patrzy na tę scenę z otwartymi ustami. Jeżeli ci durnie dalej będą się tak zachowywać, to za chwilę komuś w tym budynku naprawdę stanie się krzywda. Dowódca strażaków kieruje wielką sikawkę prosto w gromadę robotników, leje im wodą po twarzach. Rozlegają się krzyki i dzikie wycie, ale po chwili strumień zniecacka ustaje, ponieważ kilku spośród awanturników przecięło wąż siekierą...

Blanche szybko stamtąd ucieka. Drobiąc w swoich pantofelkach, przebiega jedną przecznicę, drugą... Jedyne, czego pragnie, to gdzieś usiąść i zjeść tę cholerną kolację. Rozgląda się za dorożką czy choćby tramwajem konnym, żeby wydostać się z Chinatown. Przed sobą widzi ulicę pełną ludzi, ale im bardziej się zbliża, tym bardziej wygląda to na rozwścieczony tłum. Natomiast z alejki po prawej dociera do niej śpiewany chrapliwym głosem refren dobrze jej znanej piosenki: „Daj się wygrzmocić, nasza Lulu”.

Ten śpiew musi dobiegać z jakiejś speluny czy bistro – myśli Blanche. Mogłaby tam przeczekać całe to zamieszanie, zjeść coś ciepłego i lepiej ukryć plik banknotów, który na razie lata luźno po dnie torby. Postanawia więc skrócić w tę alejkę.

I od razu widzi, że popełniła błąd. Pod budynkiem pralni o nazwie Double Happy Washing stoi grupa mężczyzn, którzy kilofami i łopatami wybijają szyby w ciemnych oknach. Są

spoceni i niezwykle podekscytowani tym, co robią. Umiłają sobie pracę, rycząc refren z „Lulu”.

Daj się wygrzmocić,

Bo wciąż nam mało!

Co my poczniemy,

Kogo zerzniemy,

Gdy w dole spocznie

Twe boskie ciało!

Blanche staje jak wryta, ale jeden niski facet już zdążył ją zauważyć.

– Hej, paniusiu!

Mężczyzna stojący obok niego wciska szmatę do butelki, zapala zapalkę i przykłada do materiału, po czym ciska płonące szkło przez wybitą szybę. Pralnia wygląda na pustą. Właściciele widocznie mieli dość rozumu, żeby opuścić budynek. Pewnie uciekli już dawno temu, uspokaja samą siebie Blanche.

Ale uciekanie ma to do siebie, że może sprowokować pogoń. Dlatego zamiast brać nogi za pas, wita całą grupę pewnym siebie dygnięciem godnym dziewczyny z dobrego towarzystwa.

– Dobry wieczór, panowie.

Sześciu spośród mężczyzn odrywa się od reszty i podchodzi do niej, nie przerywając piosenki.

Do Poodle Dog ją raz zabrałem,

Na szóste piętro zatargałem,

I żem się zabrał za jej ciało.

Blanche uruchamia w sobie wszystkie pokłady odwagi i sama dośpiewuje kolejne linijki, ponieważ jeśli nie możesz kogoś pokonać, to lepiej się do niego przyłączyć.

– *Szesnaście razy ją stuknąłem, aż się kurzyło, tak ją rznąłem* – intonuje słodkim głosem – *a ona, że jej ciągle mało.* –

W międzyczasie zerka na budynek pralni. W środku nie widać płomieni; może ogień zgasł, kiedy butelka rozbiła się o podłogę?

– *Daj się wygrzmocić, nasza Lulu* – odpowiadają zachwyceni faceci. – *Daj się wygrzmocić, bo wciąż nam mało...*

Ale Blanche przestaje zwracać na nich uwagę, ponieważ coś usłyszała. Słaby, wysoki głos, przypominający pisk jakiegoś zwierzęcia ledwo przebija się przez ten zgiełk.

– Dziecko – mówi cicho do siebie. A potem krzyczy w stronę mężczyzny, który rzucił butelkę i teraz w skupieniu obserwuje budynek: – Nie słyszycie dziecka?

Mężczyzna nie odwraca głowy. Stoi i patrzy, jak z porozbijanych okien zaczyna wydobywać się dym.

Znowu słyhać to miauczenie.

– Posłuchajcie – prosi Blanche. Jeżeli w pralni są ludzie, ukryci gdzieś za zlewami i wyzymaczkami, dlaczego nie krzyczą?

– To tylko kot – odzywa się inny, obejmując ją ręką. – Mniem, mniem, kicia po chińsku!

Blanche odpycha go od siebie. Dźwięk jest ledwo słyszalny wśród trzasków palącego się drewna.

– Zgaście ten ogień, do cholery! – wrzeszczy do tego od butelki. – Tam jest dziecko!

Mężczyzna w końcu odwraca się do niej.

– No to jednego żółtka mniej – warczy. – Zostało jeszcze tylko kilkadziesiąt tysięcy.

W jego małych oczkach zaczynają tańczyć płomienie. Blanche nie może ruszyć się z miejsca, jakby wrosła w ziemię.

– Co masz w tej torbie, że ją tak mocno przytulasz, paniusiu? – odzywa się ten niski, który wcześniej próbował ją objąć, a teraz oplata ją ręką wokół talii.

– Och, nic takiego – odpowiada Blanche, po czym zaraz

dodaje z wyuczoną zalotnością: – A może masz coś, żeby ją wypełnić? – Zaciska mocniej palce na torbie, jednocześnie nasłuchując, czy z trzaskającego domu nie dobiegają jakieś krzyki.

Ale facet wyrywa jej torbę i wciska do środka rękę aż po sam łokieć.

– Daj spokój, chcesz okraść dziewczynę z jej szmatek? – pyta Blanche i ciągnie za torbę, w dalszym ciągu próbując roztaczać swój urok, choć głos coraz bardziej jej drży. Za jej plecami pralnia płonie już w najlepsze. Gdyby w środku byli jacyś ludzie, to czy nadal siedzieliby cicho? Nie, to na pewno był kot, tylko kot, powtarza w myślach, powstrzymując łzy. To musiał być kot.

Niski facecik gwizdże radośnie i unosi w górę jej portmonetkę. Monety wysypują się na ziemię, banknoty szybuja w powietrze. Chwyta kilka z nich i triumfalnie wymachuje nimi jak flagą.

Lepszej okazji do ucieczki już nie będzie. Blanche bez namysłu zrywa się z miejsca – w takich sytuacjach jej ciało zawsze reaguje szybciej niż głowa. Biegnie co sił w nogach, tłukąc jednym obcasem o bruk – drugi but został z tyłu, razem z jej torbą, ubraniami i pieniędzmi, jej całym pieprzonym majątkiem.

Po pewnym czasie spostrzega jednak, że ci faceci wcale jej nie gonią. Zostali przy swoim pożarze i zaśmiewają się do łez.

– Na razie, Lulu! – ryczy za nią któryś z nich.

Mimo to Blanche, potykając się, biegnie dalej wzdłuż Dupont Street w obawie, że w każdej chwili mogą zmienić zdanie. Obok przejeżdża kolejny wóz strażacki obwieszony drabinami i mężczyznami uzbrojonymi w toporki. Mija ją również patrol policji na koniach rozglądających się wokół

błędnym wzrokiem. W jednym bucie chodzi się gorzej niż bez butów, stwierdza Blanche dwie przecznice dalej i kiedy jakiś wyrostek, przeciskając się obok niej, próbuje złapać ją za pierś, zdejmuje pantofel i rzuca nim w chłopaka.

Na tych ulicach nie jest bezpiecznie. Co robić? Wrócić do House of Mirrors? Nigdy. Gorączkowo szuka innych możliwości. Low Long? Nie dalej jak wczoraj groziła mu, że naśle na niego policję. A poza tym w taką noc pewnie już się zabarykadował razem ze swoimi nowymi lokatorami. Durand? Ale właściciel restauracji pewnie nawet nie będzie chciał gadać z jakąś stukniętą *salope*, która dzisiaj po południu pastwiła się na cmentarzu nad starszym człowiekiem oplakującym córkę. Maria? Och, Blanche z radością zdałaby się na łaskę tej jednookiej czarownicy, gdyby tylko wiedziała, gdzie ona mieszka. A więc już do tego doszło, że nie ma dokąd pójść, że w całym tym wielkim mieście nie ma nikogo, kto mógłby ją przyjąć pod swój dach...

Ciężko dysząc ze zdenerwowania, zagląda do następnej bocznej alejki, wpiersz się upewniając, czy jest tam całkiem pusto i ciemno. Uliczka jest tak wąska, że to raczej kanał ściekowy, zresztą cuchnie podobnie. Blanche wślizguje się za opartą o ścianę stertę zbutwiałych desek i siada skulona, obejmując kolana rękami. Czuje brandy na swojej sukni, zgniłe warzywa i swąd z okolicznych pożarów.

Ale przynajmniej udało jej się uciec, zanim zdążyli na zakończenie zabawy zabrać się za nią, zbiorowo zgwałcić i rozedrzeć na strzępy. Przynajmniej nie jest uwięziona w płonącej pralni, jak tamci Chińczycy, którzy siedzieli jak myszy pod miotłą – jeżeli rzeczywiście tam byli, jeżeli sobie tego wszystkiego nie wymyśliła. *Ciesz się, Blanche. Lepiej się ciesz, do cholery.*

Nasłuchuje odgłosów tego pandemonium. Obserwuje światło u wylotu uliczki, wypatrując męskich sylwetek. Nagle przed oczyma miga jej jakiś rozpędzony kształt. Bicykl? Serce wali jej jak oszalałe. Nie, to przecież nie Jenny. Blanche nie wierzy w duchy. Zamyka oczy, żeby nic już nie zobaczyć. Mocno zaciska powieki i pozwala, by spowiła ją ciemność.

Rozdział 8

A gdy nadjedzie pociąg mój

Kiedy rankiem siedemnastego września bezlitosny świt siłą rozwiera jej powieki, Blanche niezupełnie się budzi, ponieważ niezupełnie spała w tym bezimiennym zaułku. Tak przynajmniej się jej wydaje – nie jest w stanie odtworzyć w pamięci całej nocy. Uświadamia sobie, że najbardziej ze wszystkiego dokucza jej teraz głód. Nie śmierć przyjaciółki i niemożność udowodnienia, kto ją zabił, nie utracone dziecko i ci dwaj dranie, którzy je zabrali, nie zbiry, które wczoraj ukradły jej prawie trzysta dolarów, ani brak dachu nad głową i ubrań, czy to, że nie ma pojęcia, co dalej ze sobą począć – nie, w tej chwili całkowicie pochłania ją kwestia jedzenia. Skąd by tu wytrzasnąć jakieś śniadanie?

Blanche tłucze pięściami w odrętwiałe uda, żeby je pobudzić do życia. Wyciera twarz odrobinę czystsza, wewnętrzną stroną swojej zniszczonej różowej sukni i z niemałym trudem wstaje.

Bosa, brudna i bez grosza przy duszy – już na pierwszy rzut oka widać, że jest kobietą w rozpaczliwej sytuacji. Pewnie zdołałaby znaleźć jakiegoś faceta, który postawiłby jej drinka – w zestawie z posiłkiem – w jednym z tych pubów, gdzie można zjeść darmowy lunch, z tym że w niedziele takie lokale otwarte są dopiero od jedenastej, a jej już teraz z głodu kręci się w głowie. Dlatego rusza przed siebie, ostrożnie stąpając po chodniku, żeby stopami w samych pończochach nie wejść na rozbite szkło. Mijają ją tłumy mężczyzn zgiętych pod ciężkimi tobołkami i koszykami zawieszonymi na długich drągach, których używanie od niedawna jest zabronione. W Chinatown

nawet w niedzielę nie ma odpoczynku.

Oczywiście Blanche pamięta nazwiska kilku *michetons*, którzy płacili za noc w jej towarzystwie. Mogłaby któregoś z nich odszukać i wysłać mu mokry od łez list, tłumaczący, że wczoraj w nocy napadła ją wściekła tłuszcza i teraz jest zmuszona zdać się na łaskę najbardziej honorowego mężczyzny, jakiego zna. Powinna móc zarobić w ten sposób przynajmniej na nowy strój i wynajęcie pokoju. Oto jak słynna Blanche la Danseuse stanęłaby na nogi.

Ale Blanche, którą jest dzisiaj, człapie, jakby dźwigała wielki ciężar, użalając się nad sobą i jednocześnie czując wstręt do samej siebie, ponieważ ma poczucie, że wszystkie złe rzeczy, które przytrafiły jej się w ciągu ostatniego miesiąca, spadły na nią z jej własnej winy. Niebo przybrało dziwną, bladoszarą barwę, lecz nie zrobiło się przez to ani trochę chłodniej. Blanche ociera mokrą twarz rękawem. Idzie przed siebie tylko po to, żeby pozostawać w ruchu, jak dawniej Jenny, ale jej stopy już zaczynają pokrywać się pęcherzami.

Gdy się tak wlecze noga za nogą, torturuje się przemyśleniami o tym, w jaki sposób spożytkowałaby te dwieście osiemdziesiąt dwa dolary, gdyby nadal je miała. (Gdyby tylko została jeszcze minutę w House of Mirrors i schowała pieniądze w gorsecie, zamiast jak ostatni naiwniak trzymać je w torbie, którą mógł jej wyrwać pierwszy lepszy umięśniony *con*). Ubrania, pokój w hotelu? Nie, kupiłaby sobie całe mieszkanie z tylko jednym kluczem do drzwi wejściowych. Gdyby miała to wszystko, gdyby wyglądała jak kobieta majątna, od tej chwili każdego ranka wparowywałaby do biura inspektora Bohena i kazałaby sobie relacjonować, czego się dowiedział o jej byłych kochankach i ich posunięciach. Wynajęłaby pół tuzina prywatnych detektywów, żeby przeczesali miasto

w poszukiwaniu dziecka z napuchniętym, bulwiastym czołem i wąskimi brwiami po ojcu.

W pewnym momencie uświadamia sobie, że jest już niemal na Townsend, końcowym przystanku linii kolejowej South Pacific.

Wchodzi do budynku dworca i ustawia się w pobliżu kas biletowych, starając się sprawiać wrażenie, że czeka na przyjaciółkę. Z doświadczenia wie – bo miewała niegdyś przy sobie sporo gotówki – że kiedy bogaci ludzie za coś płacą, czasami upuszczają na ziemię monety i wcale się po nie nie schylają, zwłaszcza jeśli to tylko drobniaki. I rzeczywiście, po pięciu minutach wiercenia się i obserwowania zakurzonej podłogi znajduje dwadzieścia pięć centów. Natychmiast pędzi do najbliższego straganu z meksykańskim jedzeniem i kupuje porcję fasoli oraz kawę. Kiedy sprzedawca nie patrzy, zabiera także pół miski sosu grzybowego, bo kto wie, na ile będzie jej musiało starczyć to śniadanie. Naprawdę znalazła się na dnie.

Wprawdzie udało jej się napełnić brzuch, ale nadal czuje się okropnie. Głowę rozsadza jej koszmarny ból, jakby ktoś ścisnął ją kleszczami. Nie ma ani kapelusza, ani parasolki, dosłownie nic, żeby zasłonić się przed słońcem. Nozdrza wypełnia jej odór chloru z wagonu towarowego, gdzie trwa fumigacja bagaży i worków pocztowych. Pograżona w myślach, wpatruje się w czarne kontury pociągów. Kiedy była tu ostatni raz, dwa dni temu, wracała właśnie z San Miguel Station ze świeżą raną na policzku.

Przy barierce stoi uliczny grajek i śpiewa. Czy to ten sam czarnoskóry mężczyzna, któremu wczoraj pożalowała monety? Nie, ten jest młodszy i nie ma piętna wypalonego na policzku, po twarzy płyną mu jedynie strużki potu.

A gdy nadjedzie pociąg mój,

*A gdy nadjedzie pociąg mój,
Wypatruj mnie na stacji,
Kiedy nadjedzie pociąg mój.*

Za każdym razem, gdy słyszy jakąkolwiek piosenkę, czuje za plecami obecność Jenny, która słucha, komentuje i z miejsca zapamiętuje słowa.

*Gdy matka będzie pytać o mnie,
Powiedz, że śmierć mnie dziś wezwała.
Wypatruj mnie na stacji,
Kiedy nadjedzie pociąg mój.*

– Zapraszam pasażerów czekających na pociąg South Pacific do San Jose – zmęczonym głosem woła człowiek w kasie.

Tworzy się krzywa kolejka. Jakiś dżentelmen w cylindrze zerka na Blanche z zaciekawieniem.

Blanche spogląda na swoje brudne stopy w pończochach i oblewa się rumieńcem.

I nagle, pod wpływem jakiegoś impulsu, doskakuje do niego.

– Proszę pana? Przepraszam, że przeszkadzam...

– Proszę się stąd odsunąć, chyba że kupuje pani bilet – ostrzega ją kasjer.

Ale ona łapie mężczyznę w kolejce za gładki rękaw marynarki.

– Próbuje się dostać do domu, do San Miguel Station. – Dlaczego to powiedziała? Słowa same popłynęły z jej ust, jakby to była prawda. – W tym całym zamieszaniu wczoraj w nocy... moja torba...

– San Miguel Station? – powtarza z zainteresowaniem dżentelmen, przepuszczając przodem kilku innych pasażerów. – To tam, gdzie popełniono to morderstwo?

– Tak. – Blanche postanawia improwizować. – To się wydarzyło... w saloonie należącym do mojego ojca – oznajmia szeptem.

Mężczyzna wytrzeszcza na nią oczy.

– Widzi pan, wezwano mnie do miasta, żebym złożyła zeznania przed sądem, i jacyś okropni bandyci wyrwali mi z rąk torbę, no i teraz...

– Bilet pierwszej klasy dla tej młodej damy – woła mężczyzna, pstrykając palcami na kasjera, i wyciąga z kieszeni portfel.

Liczyła raczej na gotówkę, ale bilet to zawsze coś. W końcu lepiej przespać się w pociągu niż w cuchnącym zaułku.

– Musi mi pani o wszystkim opowiedzieć – szepcze jej do ucha dżentelmen.

Blanche czuje, że zbiera jej się na wymioty. Szczerze mówiąc, wolałaby mu obciągnąć fiuta w toalecie, ale skoro w zamian za swoje pięćdziesiąt centów chce poznać krwawe szczegóły tej masakry, to cóż, proszę bardzo.

Siada razem z nowo poznanym dżentelmenem na wyściełanej ławce w pociągu i serwuje mu zmyśloną wersję wydarzeń ostatniego tygodnia z perspektywy Mary Jane McNamary. Pokazuje małą ranę na prawym policzku i tłumaczy, że zawdzięcza ją kuli, która przeszła przez dwie ściany.

Zaczyna jej się kręcić w głowie, prosi więc o szklanekę zimnej wody z wózka z napojami i przekąskami, ale mężczyzna upiera się, żeby nalać jej łyżeczek whisky z własnej piersiówki. Następnie z wielką przyjemnością kupuje dla niej brzoskwinie i torebkę orzeszków.

– Może jeszcze trochę cukierków? – pyta, a Blanche przypomina się gmach Industrial School i słodycze, które Jenny przerzucała przez płot zabiedzonym chłopcom. Jak dla niej,

wszystkie te smakołyki sprzedawane w pociągu wyglądają mało apetycznie, ale pewnie dzieci mają inne gusta, zwłaszcza jeżeli są zdane na wikt w poprawczaku. W końcu wybiera torebkę wafelków o smaku goździków, brązowawe drażetki z nadrukami kobiecych twarzy oraz różowe cukierki o nazwie „Słodkie rozmówki”, na których widnieją zagadkowe sentencje w stylu: „Gdy ślub w atlasach, miłość szybko wygasa”.

Wreszcie jednak, czując, że już dłużej nie zniesie przemilego dżentelmena, przeprasza go i idzie się „odświeżyć”.

W korytarzu dwaj czarni tragarze opowiadają sobie coś śmiesznego, ale na jej widok od razu milkną i rozchodzą się w przeciwnych kierunkach.

Blanche wygląda przez okno. Na okopconym szkle dostrzega kropki: krople deszczu! Wreszcie, po miesiącach czekania. Och, gdyby tak porządna burza rozbiła to ołowiane niebo, to byłoby coś...

W następnym wagonie jakiś Włoch wesoło podśpiewuje fragment *Voi Che Sapete*, niemiłosiernie fałszując. Blanche opiera się o okno i na minutkę pozwala sobie odpłynąć.

Nagle budzi się z chaotycznego snu o dziecku bez twarzy. P'tit. Jak długo jeszcze będzie jej się śnił? Gdyby wiedziała na pewno, że już nigdy więcej go nie zobaczy... Niemalże tego pragnie. Nie, to nieprawda! Po prostu najgorsze ze wszystkiego jest czekanie; ta niewiedza doprowadza ją do szału.

Wciąż nie może otrząsnąć się z tego, co wczoraj wieczorem powiedziała Madame Johanna. Obraz, który przed nią odmalowała, był jak odbicie w krzywym, porysowanym zwierciadle: Kobieta Pchła, bezmyślna hedonistka, która oddaje swoje dziecko na wychowanie obcym ludziom, w skrytości ducha licząc na to, że ono umrze. *Nie, to wcale nie było tak*, protestuje Blanche w zaciszu swoich myśli. *Przecież było*

zupełnie inaczej.

Niestety, nie może tego udowodnić. I nie ma żadnego sędziego, przed którym mogłaby wytłumaczyć swoje błędy.

Ale z drugiej strony, gdyby istotnie była taką wyrodną matką, podłą i zepsutą do szpiku kości, to czy nie powinna teraz bez trudu zapomnieć o P'ticie? *Nikt nie jest niezastąpiony*, jak twierdzi Madame. Dlaczego nie może zapomnieć jego smutnej twarzy, przezroczystych uszu, tej gałki, którą... Niech to szlag! Gałka też przepadła. Przez dziewięć dni nosiła ją na dnie swojej torby, tej samej, którą wczoraj w nocy jej ukradli. Oczy zalewają jej palące łzy.

Po lewej stronie wylania się znajomy kształt Industrial School. Blanche przypomina sobie o cukierkach i wygrzebuje z kieszeni papierową torebkę. Z trudem otwiera okno. Jej twarz zaczyna smagać wilgotne powietrze. Zaraz będzie na wysokości ogrodzenia, ale nie widzi za nim chłopców. Gdzie oni się podziiali? Chciała im rzucić cukierki, ale...

Niedziela, *satané* niedziela. Czy oni zamykają dzieciaki w ich celach na cały Dzień Pański?

Blanche mimo wszystko ciska przez okno pękatą torebką. Przez wzgląd na Jenny.

Ale pakunek zamiast poszybować nad płotem, odbija się od siatki i spada w piach. Co za żalosny rzut! Teraz chłopcy będą tylko widzieć torebkę z cukierkami, do której nie da się dostać. Czy jeden z nich zdoła dosięgnąć jej motyką albo zagiętym patykiem i przyciągnie do siebie, zanim pudrowe krążki i drażetki zdążą obsiąść owady? Czy inny chłopak uderzy tego pierwszego, wyrwie mu z ręki motykę? Czy ten głupi pomysł doprowadzi jedynie do bójki, czy też jakiś samotny, pozbawiony wolności chłopiec zakosztuje odrobiny słodczy podarowanej przez kogoś, kto przejął się jego losem jedynie na tyle, by rzucić

mu tego pieprzonego cukierka?

Pociąg powoli dojeżdża do San Miguel Station. Blanche nie ma żadnego powodu, żeby tam wysiadać, ani dzisiaj, ani kiedykolwiek indziej. Mogłaby po prostu zostać w pociągu i spróbować się przespać, dopóki konduktor nie wyrzuci jej w jakimś odległym mieście.

Mimo to chwiejnym krokiem schodzi na maleńki peron. W oknie widzi twarz dżentelmena, który zafundował jej bilet. Mężczyzna unosi rękę i radośnie macha jej na pożegnanie. Ale Blanche nie odwzajemnia życzliwego gestu.

Czwartkowy poranek, czternasty września, Eight Mile House. Blanche budzi się późno z rozsadzającym bólem głowy. W łóżku obok niej jest pusto, pościel wygląda na zupełnie nietkniętą. Tak jakby to, do czego doszło między nią a Jenny zeszłej nocy, było jedynie wytworem jej sprośnej wyobraźni.

Czas przecieka jej przez palce.

Usiłuje sobie przypomnieć, jak bardzo się wczoraj upiła. Chyba podobnie jak zwykle, czyli do upadłego, wulgarnie, jak na dziwkę przystało. *Skoro coś jednak pamiętasz, nie mogłaś być aż tak pijana*, powtarza sobie zasłyszaną gdzieś mądrość życiową.

Nocna koszula McNamary leży złożona na komodzie. Czyżby Jenny wróciła do miasta? Wyruszyła z samego rana, zaraz po przebudzeniu? A może jeszcze w nocy, gdy tylko Blanche padła nieprzytomna? Widocznie nie była w stanie zdobyć się nawet na to, by po tym wszystkim spojrzeć jej twarz.

Gdy jednak wkłada rękę pod materac, znajduje colta. Zagląda pod łóżko. Worek pełen żab upolowanych wczoraj w Sweeney Ridge wciąż leży na swoim miejscu.

Blanche nakłada czysty, biały gorset na swoją jasnofioletową spódnicę – jakby to, co na siebie włoży, miało jakiegokolwiek znaczenie tutaj, w San Miguel Station. Udaje jej się wyłudzić od Ellen McNamary poranną kawę, ale wychyliwszy łyk, czuje smak spalenizny. Wychodzi na werandę i siada na starym bujanym fotelu z filiżanką w ręku.

– Zeszłe lato nie było aż tak gorące – próbuje zagaić rozmowę, gdy Ellen staje na progu z koszem pełnym mokrych prześcieradeł.

Irlandka posyła jej pogardliwe spojrzenie.

– Tak upalnego lata to chyba jeszcze nigdy nie mieliśmy.

Blanche zaczyna się obawiać, że na próżno wypatruje przyjaciółki.

– Czy Jenny często do was zagląda? – pyta Mary Jane, która pojawia się na werandzie.

Dziewczyna ociera ręką pot z czoła.

– Całkiem często.

– Sama? – zadaje kolejne pytanie, wachlując się numerem „Examinera” sprzed trzech dni.

– Albo sama, albo z przyjaciółmi z miasta.

Z jakimi przyjaciółmi? – zastanawia się Blanche, czując coś jakby ukłucie zazdrości. Skąd w niej to dziwne rozgoryczenie? Zaczyna wachlować się jeszcze mocniej.

Przyjaźń. Chyba jednak się do tego nie nadaje. Zna Jenny Bonnet niecały miesiąc, a już zdążyła wszystko spartaczyć.

W oddali widzi Johna juniora, który siedzi nad stawem i rzuca do wody kamienie, jeden za drugim, przyglądając się zmarszczkom mączącym spokojną tafłę. (Zabawne, jak każdy pragnie zostawić po sobie jakiś ślad, nawet na wodzie). Po chwili dostrzega mężczyznę, który przystanął obok małego McNamary i wdał się z nim w rozmowę. To chyba farmer od

hodowli kurczaków. Ten, co mieszka w chacie na wschód od Eight Mile House.

Blanche czuje ukłucie. Spogląda w dół, żeby zobaczyć, co ją użarło. Otwartą dłonią uderza się w nogę, ale moskit ucieka w ostatniej chwili.

Nie ma co robić, nie ma dokąd pójść. Odchyła do tyłu głowę i próbuje się zdrzemnąć.

Nagle do jej uszu dobiega terkot, a po chwili z kłębów kurzu wyłania się Jenny na swoim bicyku.

– Gdzie byłaś? – pyta Blanche niemal oskarżycielskim tonem.

Jenny zeskakuje na ziemię i szczyrzy zęby.

– Jeździłam po okolicy.

– To znaczy gdzie?

– Zapytaj raczej *jak*. Próbowałam pedałować do tyłu.

– No tak, to by wyjaśniało krew kapiącą ci z ręki – tym razem Blanche maskuje poirytowanie, starając się, by jej słowa zabrzmiały błyskotliwie.

– Jak nie spróbujesz, to się nigdy nie nauczysz – oznajmia Jenny. – Chciałam dać się przejechać Johnowi juniorowi, ale jakiś jest dzisiaj naburmuszony. – Zerka w kierunku stawu. Mały McNamara wygląda, jakby medytował nad każdym kamieniem, który chwilę później ciska do wody.

Pewnie chłopak czuje się zaniedbany przez swoją starą kumpelę z miasta, myśli Blanche. Może nawet jest zazdrosny, że znalazła sobie nowego kompana do rozmów.

Jenny chowa swoją maszynę pomiędzy uschniętymi krzakami a werandą.

– Boisz się, że ktoś ci go zwędzi, tak jak ty go zwędziłaś na Market Street? – szydzi Blanche.

– Nie chciałabym, żeby mi go buchnęli, zanim opanuję

jazdę do tyłu – chichocze Jenny i rozwała się na sfatygowanym trzcinowym fotelu. Obcasami butów wystukuje rytm irlandzkiego jiga.

– Widzę, że cię dzisiaj nosi – zauważa Blanche.

Ale ona tylko potrząsa głową.

– Nosi to mnie już od urodzenia. Tak samo dzisiaj. Dzień jak co dzień.

Blanche odwraca wzrok. A więc udajemy, że wczorajszej nocy do niczego nie doszło? Proszę bardzo. Jeśli tak do tego podejda, to pewnie wszystko zostanie między nimi po staremu. Mrużąc oczy, Blanche spogląda w dal. Za koślawą tablicą z napisem: PARCELE NA SPRZEDAŻ. SZEROKI WYBÓR, pomiędzy piaszczystymi wydrami ciągną się nieużytki, aż po majaczące na horyzoncie nagie wzgórza San Francisco.

– Te *foutu* muchy gryzą mnie bez opamiętania – narzeka, drapiąc się po trzech czerwonych bąblach na prawej stopie.

– Nie muchy, tylko komary – poprawia ją Jenny. – Przydałyby ci się jakieś getry.

– Uważasz, że powinnam się wybrać na zakupy? – pyta drwiąco.

– Możesz pożyczyć od Mary Jane...

Kręcący się obok pies zaczyna szczekać. Blanche go odgania.

Jenny wyciąga rękę i drapie psa za uchem, po czym podnosi głowę i spogląda przed siebie jakimś dziwnym, nieobecny wzrokiem, jakby się napaliła opium.

– Dlaczego masz takie dziwne oczy?

– Jakie?

– Zamglone – odpowiada Blanche. – O czym myślisz? (Czy to nie ryzykowne pytanie?)

– O wulkanach, o trzęsieniach ziemi...

– O wulkanach? – powtarza zaskoczona.

– Może niekoniecznie o wulkanach – przyznaje Jenny. – Chodzi raczej o pewien rodzaj ekscytacji, no wiesz... Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, ziemia zaczyna wrzeć i kipi jak mleko w rondlu, tory wyginają się w górę, budynki szybują w powietrze... Prędzej czy później i tak wszyscy umrzemy, więc czemu by tego trochę nie przyspieszyć i sprawdzić, co jest po drugiej stronie?

Blanche z dezaprobatą kręci głową. Co ona plecie?

Jenny ziewa.

– Chcesz książkę?

– A na co mi książka?

– Nie to nie. – Jenny sięga pod krzesło, wyciąga swoją i otwiera w miejscu, gdzie tkwi zakładka ze źdźbła dzikiej trawy. Na zielonej okładce z połączanymi literami widnieje rysunek podróżnika stojącego na końcu pomostu ze wzrokiem utkwionym w morskie fale.

– O czym to jest?

– Nie widzisz? – rzuca pod nosem Jenny.

Blanche czyta tytuł raz, potem drugi, by się upewnić, czy dobrze zrozumiała. „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”.

– W osiemdziesiąt dni? Czy to w ogóle jest możliwe?

Jenny wzrusza ramionami, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Dopiero co wyjechali z San Francisco i napadają ich jacyś Indianie, więc chyba muszę czytać dalej, żeby się dowiedzieć.

Blanche chwyta aluzję.

Zastanawia się, skąd w niej ten niepokój. Już wie, to ta cisza wytrąca ją z równowagi. W mieście nieustannie otacza ją zgiełk: odgłosy czyichś rozmów, muzyka dobiegająca z ulicy. Tu, w San Miguel Station, nieruchome powietrze aż rozsadza jej

uszy.

Jakieś piętnaście minut później Jenny ziewa szeroko, podnosi głowę i obejmuje wzrokiem horyzont. Blanche podąża za jej spojrzeniem.

– To Blue Mountain, najwyższy szczyt wzgórz San Francisco.

Blanche przygląda się stożkowi o płaskim wierzchołku.

– Niebieska góra? Ja tam nie widzę nic niebieskiego.

– Tak? To zajrzyj tu wiosną. Tonie w morzu błękitnych porcelanek.

Wiosną? Przecież nie wie nawet, co będzie robić jutro. Korci ją, żeby powiedzieć Jenny, że jej powtórna wizyta w San Miguel Station jest mało prawdopodobna, niezależnie od pory roku, nie chce jednak, aby jej słowa zabrzmiały gorzko.

– Chciałabyś tam teraz być, co? – mówi tylko.

– Na Blue Mountain?

– W każdym razie w jakichś krzakach, a nie tu na werandzie. Więc na co czekasz? Co cię powstrzymuje?

Jenny w ogóle nie zwraca uwagi na jej zaczepki.

– Muszę zawieźć do miasta worek z tymi wierciochami.

Blanche zaciska usta.

– I zostawić mnie tutaj, żebym umarła z nudów?

– Jak chcesz, możesz wracać ze mną.

– To za bardzo niebezpieczne, zarówno dla mnie, jak i dla ciebie. Pamiętasz, jak Ernest groził nam na Waverly Place?

Myślisz, że to była tylko czcza gadanina?

Jenny wydyma wargi i głośno wypuszcza powietrze.

– Przecież ten facet nie ma jaj.

Ale Jenny nie zna Ernesta. Ani Arthura. Nie wie, co skrywa poza dandysa, jaką obaj przybrali, nie widzi, co się czai pod tymi ich eleganckimi fatałaszkami. Kilka tygodni znajomości to za

mało, żeby zrozumieć, że jest się czego bać.

– Tak czy siak, myślę, że jakoś dam sobie radę – dodaje Jenny, jakby już chciała zamknąć ten temat.

Ale jej słowa tylko rozszerzają Blanche.

– Sugerujesz, że ja sobie nie dam rady?

Jenny wzrusza ramionami.

– Mówię tylko, że wracam dziś do miasta.

– Jak sobie chcesz.

Obie milkną na chwilę.

– Mogę jechać dopiero po kolacji, jeśli to dla ciebie taka różnica.

Blanche kwituje to głośnym parsknięciem.

Jenny wraca do przerwanej lektury.

To beczynne czekanie jest nie do zniesienia. Blanche wstaje z fotela i idzie do saloonu. Za ladą stoi Mary Jane, przeciera szmatą kieliszki i szklanki. Podchodzi do niej i pyta, czy mogłaby pożyczyć jej parę getrów, bo strasznie gryzą ją komary.

Mary Jane bez słowa przynosi jej ubranie.

Blanche zamienia pantofle bez pięty na wysokie trzewiki, na które naciąga getry sięgające aż do kolan i ciasno je sznurowuje. Następnie prosi dziewczynę o butelkę żytniej whisky – a co sobie będzie żałować! – i wynosi ją na werandę wraz z dwiema szklankami.

Na jej widok Jenny ożywia się i zaczyna śpiewać wesołą balladę.

Gdy głód mi doskwiera, ucztuję obficie

Gdy suszy pragnienie, piję do dna.

Życ będę, dopóki nie skończy się życie,

A póki żyję, niech uczta trwa.

– *Santé!*⁹⁰ – Blanche trąca się z Jenny szklanką. – Strasznie

dużo znasz tych biesiadnych piosenek.

– Bo najszybciej wchodzi do głowy, zwłaszcza jak się je podleje alkoholem.

Na moment przyłącza się do nich McNamara, który akurat wrócił do domu i z chęcią wychyla szklankę whisky, żeby przepłukać gardło.

– Ile ty miałaś lat w czasie wojny? – pyta Blanche. – Wiesz w ogóle, jaki drogi był wtedy alkohol?

– No ba! Jak potem obniżyli akcyzę, poszłam w takie tango, że...

Ellen McNamara woła wszystkich na obiad. To, co leży na talerzu, wygląda i smakuje jak twarda podeszwa, stwierdza w duchu Blanche. Ale Jenny chwali gospodynię:

– Wyśmienity gulasz, pani McNamara!

Po posiłku wszyscy przenoszą się do baru, gdzie piją dalej. W osadzie jest dziś wieczorem cicho i spokojnie. W trakcie popijawy wpada z wizytą Jordan i oznajmia, że Kanadyjczyk pojechał do San Jose.

Jenny prosi o słodki koktajl.

– Nie mamy gorzkiej wódki do koktajli – mówi McNamara.

– Ani angostury, ani wódki goryczkowej, ani nawet pomarańczowej? To co to za bar, w którym nie ma co pić? – droczy się z nim Jenny.

– W moim sklepie znajdziecie wszystkie rodzaje trunków – zaprasza je Jordan.

– Do ciężkiej cholery, będziesz mi tu podbierał klientki? – zżyma się McNamara.

– Daj spokój, przecież płacą ci za wynajem pokoju – zauważa Jordan. – To niech chociaż u mnie kupią alkohol.

Blanche i Jenny idą więc do sklepu Jordana, gdzie wypijają kilka koktajli i nawet stawiają kolejkę właścicielowi.

Towarzyszy im McNamara. Chce się przekonać, co one widzą w tych drinkach, ale jedynym doznaniem, jakiego doświadcza, jest ból zębów od tych słodkich trunków. Okazuje się jednak, że zabrał ze sobą skrzypce. Kiedy zaczyna na nich przygrywać, robi się straszny harmider, ale jest coś radosnego, a nawet odświętnego w hałaśliwym muzykowaniu po nocy na tym odludziu. Po chwili już wszyscy śpiewają chórem:

Dziecinko moja, kto cię obuje?

Kto w usta różane cię pocałuje?

Kto grzywkę lśniąca ci wyszczotkuje?

Kto tak jak ja cię umiłuje?

O Panie! Kto tak jak ja cię umiłuje? – kończy Jenny z przytupem.

Kiedy jednak McNamara zabiera skrzypce i wraca do swojego saloonu, Jenny wstaje z krzesła i całkiem trzeźwym tonem komunikuje:

– Będę lecieć.

– W tej chwili? Nie bądź śmieszna.

– Dokąd? – pyta Jordan.

– Do miasta, z żabami. Jak ich zaraz nie zabiorę, te kanibale pozzerają się nawzajem, a ja stracę reputację wśród moich klientów.

– To trzeba było jechać kilka godzin temu, jeszcze zanim zapadł zmierzch – protestuje Blanche. – A poza tym jesteś tak wstawiona, że wjedziesz prosto do rowu.

Ale dziewczyna jest już na piaszczystej ścieżce pomiędzy budynkami.

Blanche biegnie za nią.

Gdy wpadają do saloonu McNamary, gospodarz stoi oparty o kontuar.

– Gdzie ja powiesiłam płaszcz? – zastanawia się Jenny.

– Nie pozwól jej go zabrać – zwraca się Blanche do McNamary.

– A co ja się będę mieszał.

– Człowieku, czy ty nie widzisz, że jest zalana? – łaje go. – Przecież ona nie może w takim stanie nigdzie jechać.

– Dawaj mój płaszcz – żąda Jenny surowym tonem, pstrykając palcami na McNamarę. – A gdzie są moje buty?

– Widzisz, nie może nawet znaleźć własnych butów.

Ciekawe, jak w takim razie znajdzie drogę.

– Ach tak, chyba...

– Pozwól, może ja ich poszukam – mówi Blanche pełnym zniecierpliwienia tonem, niby oferując pomoc. Oczywiście robi to tylko na pokaz. Wpada do sypialni i zagląda pod łóżko. Buty stoją na miejscu. Bez chwili wahania upycha je jeszcze głębiej, w najciemniejszy kąt. – Tu ich nie ma! – woła, starając się, by jej słowa brzmiały wiarygodnie. Następnie sięga pod materac, wyciąga ciężkiego colta i chowa go między swoimi pończochami w najwyższej szufladzie komody.

Po chwili, ciężko stąpając, Jenny wkracza do sypialni.

– Dawaj mi te cholerne buty!

– Gdzie ty mogłaś je zostawić?

– Dobra, koniec tych żartów!

– I kto to mówi? – Wymijając przyjaciółkę, Blanche dopada do drzwi i zatraskuje je z hukiem, żeby nikt nie podsłuchał ich rozmowy. – Naprawdę chcesz pojawić się na tym bicyle w Chinatown, gdzie w każdej chwili możesz wpaść na Arthura albo Ernesta, którzy chcą rozerwać cię na strzępy?

Z piersi Jenny dobywa się ciężkie westchnienie.

– Nie mam zamiaru ukrywać się do końca swoich dni. Poza tym ja przecież nic nie zrobiłam tym palantom.

– Czyżby? – wybucha Blanche.

Jenny wbija w nią wzrok.

– Wszystko zaczęło się tamtej nocy, gdy na siebie wpadłyśmy. – Blanche aż kipi z wściekłości. – Te twoje niby-nieszkodliwe pytania podyktowane niby-ciekawością!

– Przepraszam bardzo, a od kiedy to nie wolno zadawać pytań, co? Wyszło jakieś nowe prawo?

– Wmieszałaś się w moje sprawy. To przez ciebie zaczęłam się zastanawiać, martwić, zadręczać...

Jenny wzrusza ramionami.

– Widocznie miałaś się nad czym zastanawiać.

Oczy Blanche płoną gniewem. Jej życie obróciło się w pogorzeliśko, a stojąca przed nią pochodnia parzy jej ręce wystrzelającym w górę płomieniem. – Zniszczyłaś nasz związek, mój i Arthura. I nieważne, czy zrobiłaś to z premedytacją, czy nie...

– Słuchaj no, damulko – przerywa jej Jenny – gównu mnie obchodzi, czy zamierzałaś spędzić resztę życia z tą gnidą, czy nie.

Blanche czuje, jak płomienie parzą jej twarz.

– To jakim cudem wylądowałam w tej dziurze? Jeszcze miesiąc temu wiodłam bardzo szczęśliwe życie, byłam z Arthurem, tańczyłam w House of Mirrors...

– Bardzo szczęśliwe życie?

– Widzisz? Widzisz? Znowu to robisz. Ale dobrze, niech ci będzie: *dostatecznie* szczęśliwe. A potem wjechałaś we mnie na Kearny Street i wszystko się posypało! Zaczęłaś wścibiać nos w nasze sprawy i jątrzyć!

Jenny pogardliwie wykrzywia wargi.

– Bo zapytałam, jak to się stało, że nie masz pojęcia, gdzie jest twoje dziecko? Co się z nim dzieje, jak żyje, jeśli to w ogóle można nazwać życiem?

– Czy ty sama siebie nie słyszysz? – dyszy Blanche. – Od samego początku miałaś o nas takie, a nie inne zdanie i nie udawaj, że było inaczej.

– A co to za różnica, jakie miałam zdanie? Jeśli jedna pogawędka z zupełnie obcą osobą wystarczyła, żeby wszystko się *posypało*, to najwyraźniej musiało to być zbudowane na bardzo kruchych fundamentach.

– Jesteś podstępna mścicielką i awanturnicą! – wrzeszczy Blanche. – Latasz po mieście i wszędzie wszczynasz burdy, a potem zgrywasz niewiniątko. *Kto? Ja? Ależ skądże, Wysoki Sądzie. Ja jestem tylko biedną dziewczyną, która łapie żaby, nosi spodenki i nikomu nie wadzi!*

Jenny przechyliła głowę na bok i patrzy na Blanche, jakby przyglądała się jakiemuś rzadkiemu gatunkowi owada.

– Dlaczego zachowujesz się jak ostatnia suka?

– Bo nie chcesz wziąć nawet grama cholernej odpowiedzialności za...

– Odpowiedzialności? – Jenny powtarza to słowo z taką miną, jakby przeżuwała w ustach coś o bardzo cierpkim smaku.

– Raz cię przeleciałam i już jesteśmy małżeństwem?

Blanche nawet nie wie, kiedy jej pięść ląduje między oczami Jenny. Rozlega się trzask kości uderzającej o kość.

Niedzielny poranek. Jenny już od dwóch dni spoczywa w spieczonej ziemi cmentarza Odd Fellows. W San Miguel Station jest tak cicho, że Blanche słyszy własny oddech.

– Nie miała pani od niego żadnych wieści? – pyta żonę Louisa, stojąc w progu ich chaty, oparta mocno o framugę, żeby nie pozwolić kobiecie zatrzaskać przed nią drzwi.

Żona hodowcy kurczaków patrzy na nią podejrzliwie.

– Nie, jak zwykle zresztą – odpowiada tak cicho, że Blanche musi się nachylić i wsunąć głowę do zadymionego wnętrza, żeby zrozumieć, co ona mówi.

Kobieta ma bose stopy. Podobnie jak Blanche, która przysłała do niej w samych pończochach. Dwie nędzarki. Dziś nie ma między nimi prawie żadnej różnicy. Ta myśl przyprawia Blanche o dreszcz.

– Dlaczego nie dostaje pani od niego żadnych wieści?

– Louis nie lubi się nikomu tłumaczyć z tego, co robi.

Nawet żonie? A może zwłaszcza żonie. Jaki więc sens – zastanawia się Blanche – ma cała ta idea małżeństwa? I dlaczego te wszystkie dziewczyny tak marzą o pierścionku zaręczynowym?

– W zeszłą środę miał gościa, prawda? – pyta kobietę.

Gospodyni nerwowo kiwa głową.

– Tak powiedziała pani temu dziennikarzowi. Podobno Louis w środę wdał się w rozmowę z nieznanym, wielkim, ciemnym mężczyzną o nazwisku Lamantia.

Usta kobiety drżą.

– To chyba nie jest zabronione.

– Czego chciał ten człowiek?

– Dowiadywał się o możliwość kupienia działki w okolicy.

Działki? Blanche marszczy brwi. Może Louis tylko powiedział tak żonie.

– Pani też z nim rozmawiała?

– Nie rozmawiam z mężczyznami za plecami męża.

Szczególnie z Sycylijszymi.

– Dlaczego „szczególnie”...?

Teraz kobieta nachyla się w stronę Blanche i szepcze:

– Cosa Nostra.

– Co też pani opowiada?! – Ten nadęty kupiec miałby być

członkiem mafii?

– Lepiej nie mieszać się w interesy takich jak on – syczy gospodyni.

A zatem Lamantia jest najprawdziwszym gangsterem, który z jakiejś chorej tęsknoty za swoją Blanche przyjechał do San Miguel Station i zapłacił pierwszemu człowiekowi, którego spotkał, Kanadyjczykowi Louisowi, żeby ten zamordował Jenny? A po wykonaniu zadania Louis bezzwłocznie opuścił miasto? Teoria Cartwrighta jest tak mało przekonująca, że Blanche już sama nie wie, po co właściwie nagabuje tę kobietę.

Odwraca się, nie mówiąc więcej ani słowa. *Daj sobie spokój z tymi bredniami, beszta w duchu samą siebie. Idź już stąd...*

W tym momencie McNamara wyłania się ze swojego wychodka, podciągając spodnie. Zauważa Blanche i kłania się, wyraźnie zdziwiony jej widokiem.

Blanche wie, że prezentuje się dość nieciekawie: w brudnej różowej sukience, bez butów i z dziurą w pończosze, z której wystaje duży palec. Powinna udać się prosto na stację i tam poczekać na następny pociąg do miasta. (Chociaż nie ma pojęcia, w jaki sposób tym razem dostanie się do środka, skoro nie stać jej na bilet).

– Panie McNamara! – wita się z nim, gdy podchodzi dostatecznie blisko, by ją usłyszał. Podnosi przy tym rękę do oczu i zasłania twarz przed słońcem, jak jakaś mieszkająca na ulicy żebraczka.

– Wróciła pani.

Blanche kręci głową.

– Przenoszę się na lepsze pastwiska – stwierdza sucho.

– Też chciałbym, kurna, móc powiedzieć to samo. Co za zapadła dziura! – Irlandczyk obrzuca wzrokiem rozległe

nieużytki. – Gość, który wcisnął mi ten teren, zarzekał się, że San Miguel Station już niedługo zacznie się rozwijać w zawrotnym tempie. Czekam i czekam, i w dalszym ciągu moim najlepszym klientem jest moja własna żona, a ona nigdy nie płaci rachunku.

– Cóż, mam nadzieję – mówi Blanche, siląc się na uśmiech – że w końcu uda się panu znaleźć kupca. – Po tych słowach odwraca się w stronę dworca.

– Parę dni temu już myślałem, że coś się trafiło – rzuca cicho McNamara.

Blanche ogląda się przez ramię.

– Trafiło?

– W sensie, że mam potencjalnego nabywcę.

– Ktoś chciał odkupić od pana saloon?

McNamara kiwa głową ponuro.

– Dżentelmen z miasta. Ale wątpię, żeby jeszcze tu wrócił, skoro teraz to miejsce kojarzy się głównie z rozlewem krwi.

Blanche przeszywa go wzrokiem.

– Czy to było może... w środę?

– Możliwe.

– Czy ten człowiek był Włochem?

McNamara wykrzywia twarz.

– Tego nie wiem.

– Jego nazwisko...

– Jak na moje ucho, to on brzmiał raczej jak ktoś z pani stron.

– Jego nazwisko brzmiało z francuska? – dopytuje Blanche, nieco zbyt ostro. – Lamant, coś w tym stylu?

Irlandczyk marszczy czoło.

– Zna pani tego gościa?

– Jeszcze nie wiem, czy znam, dlatego właśnie o niego

pytam.

– Zapomniałem zapytać, jak się nazywa – przyznaje McNamara. – Ale gadał jakby z francuskim akcentem.

W głowie jej wiruje. Nie Włoch, tylko Francuz?

– Wysoki, ciemny mężczyzna, tak? Elegancko ubrany?

McNamara kiwa głową.

Lamantia, to musiał być on. Widocznie ten tępak po prostu nie potrafi odróżnić jednego europejskiego akcentu od drugiego.

– Wszystko na nim wisiało – dodaje Irlandczyk.

– Chodzi panu o to, że miał zwały tłuszczu?

– Ubrania z niego zwisały – powtarza McNamara, lekko poirytowany. – Wyglądał jak żywy szkielet.

Przez długą chwilę Blanche nie jest w stanie się odezwać. W końcu wydusza z siebie jeszcze jedno pytanie:

– Czy on... miał wąsy?

– Najdłuższe, jakie w życiu widziałem. Czyli to jakiś pani znajomy, tak?

Blanche kręci głową, zdjeta strachem.

– Podejrzewam, że nie miał śladów po ospie?

– Twarz jak czystka kartka – potwierdza Irlandczyk.

Blanche odwraca się, żeby McNamara nie widział jej miny. A więc to nie Lamantia – tylko Ernest Girard, podający się za Lamantię!

Musiał się w jakiś sposób dowiedzieć, gdzie one się ukryły, a następnie pognął do San Miguel Station jak wierny sługa, gotów pomścić swojego nieobecnego mistrza. Kiedy okazało się, iż obie wybrały się w góry, zaczął zagadywać wszystkich napotkanych miejscowych i przypadkiem trafił na takiego, który był na tyle zdesperowany, że zgodził się zabić obcą kobietę za garść pieniędzy. Louis dobrze zna tę osadę i wszystkie psy znają jego. Do tego bez wątpienia potrafi posługiwać się bronią, skoro

chroni swoje liche stadko kurczaków przed zakusami okolicznych lisów. Blanche ani we wtorek, ani w środę nawet nie przyszło do głowy, żeby zamienić choć słowo z Kanadyjczykiem; był dla niej po prostu elementem całego tego nędznego krajobrazu. W tamten czwartek Louis musiał upozorować wyjazd do San Jose, potem pod osłoną nocy podkraść się pod hotel, żeby dokonać zabójstwa, a po wszystkim pognał do San Jose, tym razem naprawdę, by zapewnić sobie alibi. Ale najważniejsze jest to, że Ernest przedstawił się jako Lamantia, dzięki czemu wszelkie podejrzenia musiały paść na innego wysokiego, ciemnego mężczyznę z otoczenia Blanche – to było wręcz genialne posunięcie. Gdyby nie czuła tak głębokiej odrazy do tego sukinsyna, podziwiałaby jego styl.

Dręczący ją ból głowy staje się coraz silniejszy; Blanche ma wrażenie, że za chwilę zwymiotuje. Serce wali jej w piersi jak jakiś szalony perkusista. Musi jak najszybciej wracać do miasta i przekazać policji wszystko, czego się tu dowiedziała.

Idąc chwiejnie w stronę torów, dostrzega Johna juniora jeżdżącego w kółko na swoim kucyku. Dzieciak ma całkiem niezłą technikę. W tym słońcu sierść konia lśni jak złoto. Jeździec prezentuje się mniej efektownie od swojego wierzchowca, ale i tak przyjemnie się na niego patrzy, ponieważ jest taki młody, a ten stan nie potrwa długo.

Chłopiec truchleje na widok Blanche. Zatrzymuje konia i zaciska mocno lejce, jakby chciał puścić się galopem w przeciwnym kierunku. Na pewno musi strasznie tęsknić za Jenny, która tyle razy przyjeżdżała do San Miguel Station ze swoimi dowcipami, wymachując hardo pistoletem i zawsze witając go jak starego kompana. Ciekawe, czy raczyła go wspomnieniami ze swojego okropnego dzieciństwa, przerabiając je oczywiście na śmieszne anegdoty? Zabawiała opowieściami

o tym, jak śmiała się w twarz złym duchom, które próbowały ją dręczyć w tym więzieniu dla dzieci znajdującym się zaraz za wzgórzem?

Kucyk Johna juniora pamięta Blanche. Podbiega do niej, czekając na jakiś smakołyk. Blanche wyciąga rękę, żeby poklepać zwierzę po jasnym boku. Nagle dopadają ją takie zawroty głowy, że nie wyobraża sobie, jak zdoła dotrzeć na dworzec. Świat kurczy się i zacieśnia wokół niej, jakby znalazła się w kręgu ognia. Skóra na całym ciele wydaje się tak sucha, że w każdej chwili może zacząć pękać i odpadać jak łuska.

Blanche leży na ziemi. Na twarzy czuje mokry materiał, który ją dusi, przykrywa jak całun...

Wreszcie przewycięża to obezwładniające wrażenie.

– Chciałem tylko panią ocucić, panno Blanche – odzywa się chłopiec. – Przewróciła się pani. Pewnie zrobiło się pani słabo od tego upału.

Blanche z trudem się podnosi. Jest jej niedobrze, cała się trzęsie. Wypija odrobinę letniej wody ze słoika, który John junior przystawia jej do ust. Chłopak próbuje ją wachlować swoją małą dłonią, ale niewiele to daje. Blanche bierze od niego mokrą szmatę i przykładą ją sobie do twarzy, do szyi, do dekoltu.

– Mogę coś...?

– Po prostu zasłoń mi słońce – odpowiada Blanche tak zmęczonym głosem, jakby była bardzo starą kobietą.

Kucyk trąca ją nosem, łaskocząc w kark. Blanche spostrzega, że John junior nieco się garbi.

– Ręka dalej cię boli? – pyta.

Spodziewa się, że będzie zaprzeczał, jak to mają w zwyczaju mężczyźni, ale on potakująco kiwa głową.

Taka kontuzja potrafi doprowadzić do trwałych uszkodzeń.

Blanche wyciąga do niego ręce, żeby sprawdzić, czy nie doszło do zwichnięcia stawu, tak jak zawsze robili w cyrku, ale John junior odskakuje, jakby jej palce parzyły. Czy nikt nigdy nie dotyka tego chłopca? Pewnie jest zagubiony w tym krótkim momencie życia, zawieszonym pomiędzy czułościami dzieciństwa a bardziej zachłannymi pieściami dorosłości, kiedy jedyny dotyk, jakiego doświadcza, nieodmiennie wiąże się z biciem. Blanche przychodzi na myśl Jenny i blizny pokrywające całe jej plecy. Czy od teraz już w każdym chudym chłopcu będzie widziała swoją przyjaciółkę?

– Biedny chłopcze...

– Mam prawie trzynaście lat, jestem już prawie dorosły.

Cóż za intrygujący ton: buta zmieszana z czymś jeszcze bardziej zuchwałym. Chłopiec, któremu wydaje się, że jest mężczyzną. Chłopiec, który włóczy się po nocy, gdy jest za gorąco, aby spać. Może nawet kładzie ręce na czymś, co nie należy do niego? Bierze to, co jest do wzięcia?

– John – zaczyna łagodnie Blanche, żeby go nie spłoszyć – nie wiesz może przypadkiem, co się stało z tamtym bicyklem?

Dzieciak kręci głową, ale nie wydaje się zaskoczony tym pytaniem.

Może nie potrafił znieść myśli, że mógłby go mieć ktoś inny poza Jenny. Czy zachował go dla siebie, nawet nie na sprzedaż, ale dla samego faktu posiadania czegoś tak efektownego jak to monstrualne, błyszczące przednie koło? Po to, by trzymać je w ukryciu i od czasu do czasu pogłodzić, a kiedy wreszcie cała afera przycichnie, móc wybrać się w środku nocy na przejażdżkę po polnej drodze prowadzącej do miasta i powspominać swoją przyjaciółkę Jenny?

– Powiedz mi, John, gdzie on jest – mówi Blanche tonem jednocześnie surowym i lekko uwodzicielskim, starając się

zmniejszyć dystans pomiędzy nią a tym dzieckiem. Nagle bowiem zdaje sobie sprawę, że musi odzyskać bicykl, który na pewno jest wart sporo pieniędzy.

Jego ręka podnosi się mechanicznie, jakby w ogóle do niego nie należała. Wyciągnięty palec celuje w staw.

Blanche spogląda na gładką taflę wody za pustym, piaszczystym placem. John junior już ruszył w tamtą stronę. Pędzi tak szybko, jakby zamierzał się rzucić do wody. Dzieci wpadają na takie dzikie pomysły; aż dziw bierze, że udaje im się dożyć dorosłego wieku.

– John! – krzyczy, biegnąc za nim.

Gdy go dogania, on stoi już na samym brzegu i wpatruje się w wodę. Współczucie miesza się w niej z irytacją, ponieważ przez tego chłopaka drogocenny pojazd na pewno zdążył już gdzieś pokryć się rdzą. Nie wystarczyło spalić książek Jenny? Naprawdę musiał zatrzeć wszystkie ślady, jakie po niej zostały?

– Gdzie mniej więcej? – pyta. – Wrzuciłeś go po tej stronie?

– To bez znaczenia.

– Będziesz musiał wejść do wody i go stamtąd wyciągnąć. John junior kręci głową.

– Powinna pani o tym wszystkim zapomnieć. Tak będzie najlepiej.

Blanche patrzy na niego. „O tym wszystkim”? To znaczy o Jenny?

Chłopak przygryza wargę.

– To nie pani wina, panno Blanche.

W takim razie kto ponosi winę za śmieć Jenny, jeśli nie ona? Kto inny naprowadził Ernesta jak psa gończego na jej trop, aż do San Miguel Station?

John junior znowu potrząsa głową, tak mocno, że odrywa się od niej kropla potu.

– Ona miała panią w garści.

Blanche nie rozumie, co mają oznaczać te słowa.

– Nie może się pani obwiniać. Ja wszystko widziałem. – Chłopak robi się czerwony na twarzy. Blanche mruży oczy w bezlitosnym słońcu.

– Co widziałeś, John? – Czyżby przemykając w nocy do toalety, zauważył Louisa ze strzelbą?

– Nie mogłem nic na to poradzić, prawda? To przez tę krzywą roletę.

Weranda... John junior musiał spać na werandzie. Niech to cholera, że też wcześniej o tym nie pomyślała. Nawet McNamarowie nie byliby na tyle głupi, żeby pozwolić chłopcu w tym wieku spać w jednym łóżku ze swoimi siostrami. A gdzie indziej, jeśli nie na werandzie mógł się rozłożyć ze swoim kocem w tę ciepłą, letnią noc? Czy leżał zwinięty w kłębek w cieniu albo schowany za jakąś beczką, kiedy hodowca kurczaków podkładał się do okna ze strzelbą w rękę?

– Co dokładnie widziałeś?

– Wystarczy, że musiałem na to patrzeć – jęczy chłopak. – Niech mi pani nie każe o tym mówić. W ogóle nie ma pani wstydu?

Wstydu... Blanche zaczyna rozumieć. John junior nie widział morderstwa. On wcale nie mówi o czwartku, tylko o poprzedniej nocy. Był świadkiem tego, co robiły z Jenny, przekonane, że wszyscy McNamarowie już śpią. Roleta wisiała wtedy krzywo, odsłaniając szczelinę dostatecznie szeroką, by dziecko przebywające na zewnątrz zobaczyło coś, czego nie powinno.

Mówienie przychodzi jej z trudem.

– Cokolwiek wydawało ci się, że widziałeś...

– Niech mnie pani nie traktuje jak dziecko! Umieć rozpoznać plugastwo, kiedy mam je przed oczami.

Blanche ciężko wciąga powietrze.

– Posłuchaj mnie...

– Zawsze myślałem, że Jenny ma po prostu ekscentryczne zwyczaje – mówi chłopak, już bliski płaczu – że jest takim oryginałem. Ale ona, albo on, sam już nie wiem, okazała się jakimś dziwolągiem i zrobiła z pani dziwkę!

Ach, ta straszliwa ignorancja dzieci.

– Nie, John – głos Blanche brzmi tak, jakby przemawiała do niego z dna głębokiej studni – ja już wcześniej nią byłem.

Chłopak kręci zawzięcie głową.

– Zrobiło mi się tak niedobrze, że chyba już nigdy nie dojdę do siebie.

– Może dla ciebie to wyglądało źle... – przerywa, żeby odchrząknąć – ale to wcale nie było tak.

– Teraz próbuje ją pani wybielać, umniejszać jej grzechy, bo jej już nie ma – krzyczy John. – Ale ja widziałem, jak rozebrała panią do naga. Przytrzymała panią i zrobiła pani krzywdę, wykorzystała jak jakieś zwierzę na polu!

Blanche zamyka na chwilę oczy, przypominając sobie tamtą chwilę.

– Nie – odpowiada szeptem.

John junior macha głową na boki, jakby chciał odgonić muchę.

– Powinienem był coś zrobić, wtedy, od razu. Nie powinienem był się zawahać. Tatko nauczył mnie, co należy zrobić z cielęciem, które urodziło się kulawe.

Jakim znowu cielęciem? O czym on do cholery gada?

– Ty głuptasie – mówi Blanche. Jak to jest, że człowiek

robi się coraz starszy, ale ani trochę mądrzejszy? (Każdy człowiek poza Jenny). Ta myśl napęłnia ją po brzegi niewymownym smutkiem – smutkiem, który każe jej wyciągnąć ręce, żeby przytulić do siebie to biedne stworzenie...

John junior przyciska usta do jej ust, tak mocno, że aż czuje ból.

Odrywa go od siebie, zakrywając ręką obolałą wargę.

– Jezu, dziecko!

– Zrobiłem to dla pani – mówi oschłym tonem, jak mężczyzna, ale po policzkach płyną mu łzy.

To miało być dla niej? Ten niezgrabny, wygłodniały pocałunek? – bo tylko taki pocałunek może skraść dwunastolatek dorosłej kobiecie, zanim będzie mu wolno kogokolwiek pocałować.

Nie.

On nie mówił o pocałunku. Miał na myśli coś innego.

Powinienem był coś zrobić, wtedy, od razu. Blanche widzi to w twarzy chłopca, w tych zaślepionych oczach, które pragną jej wyznać wszystko. Straszliwa prawda odbiera jej dech, jakby dostała cios prosto w brzuch.

– Nie – wydusza z siebie, z trudem łapiąc powietrze. – Nie mogłeś...

– Tak pani myśli? – odpowiada, bezskutecznie siląc się na zuchwały ton.

Jakiś jest dzisiaj naburmuszony, stwierdziła Jenny w ostatni poranek swojego życia. Czy domyśliła się, co widział poprzedniej nocy John junior i jak się z tym czuł? Czy uznała – tak jak w wielu innych sprawach – że to nie ma żadnego znaczenia?

Blanche wyraźnie widzi przed oczyma całą tę scenę. John junior, przyczajony za oknem ich sypialni w tamtą czwartkową

noc, opiera się o parapet, żeby zajrzeć przez szparę pomiędzy roletą a framugą, z kolbą strzelby spoczywającą na jego drobnym ramieniu. Jakże musiał być przepełniony strachem oraz gniewem, jakże pragnął unicestwić tym strzałem cały swój wstyd i zażenowanie. Wymazać z pamięci wszelkie ślady swojej sympatii do przyjaciółki, która okazała się zamaskowanym wybrykiem natury.

Blanche tak mocno zaciska rękę na ramieniu Johna, że chłopiec aż syczy z bólu.

– Masz mi powiedzieć wszystko – ostrzega go tonem, którego sama nigdy wcześniej u siebie nie słyszała – albo utopię cię jak szczeniaka!

Ale chłopak milczy jak grób.

Blanche puszcza go i próbuje podejść kpiną.

– Skąd ty byś niby wytrzasnął broń, co?

John junior ruchem głowy wskazuje na skupisko mniejszych domków.

– Przecież Louis kupił od taty naszą starą strzelbę, nie?

Stara rodzinna broń, ta, z której chłopak uczył się strzelać do gryzoni. Blanche nawet nie wiedziała, że można z niej zabić człowieka. *Widziałam, jak kiedyś trafił do puszki z odległości prawie trzydziestu metrów*, opowiadała Jenny, dumna ze swojego ucznia. Ale tym razem John junior nie trzymał broni dostatecznie pewnie. Tym razem bardzo musiały mu się trząść ręce, choć nie na tyle, by mógł chybić – nie wtedy, gdy młoda kobieta, którą postanowił zabić, leżała oparta o wezglowie łóżka mniej niż trzy metry od niego – ale jednak na tyle, by odrzut broni uderzył go mocno w ramię.

– Jest w stawie – mówi chłopiec, wskazując na zielonkawą taflę. – Wrzuciłem ją po wszystkim, zanim pobiegłem do... za potrzebą.

Zadziwiająco: potrafi zabić kobietę, ale nie jest w stanie wypowiedzieć słowa „wychodek”.

Nagle z ust chłopaka zaczyna się wylewać potok słów.

– Louis przyszedł w czwartek rano, pytał, gdzie jest Jenny. Zacząłem wyzywać na nią – pociąga nosem. – Kazał mi przysiąc na życie mamci, że nie pisnę ani słowa, a potem powiedział, że akurat przypadkiem dowiedział się, że z tą Jenny to mogą być same kłopoty i że jest jeden człowiek z miasta, który byłby okropnie wdzięczny, gdyby ktoś mógł z nią skończyć.

– Jaki człowiek? – Blanche wie, że chodzi o Ernesta, działającego z rozkazu Arthura, ale musi wypełnić wszystkie białe plamy w tej ohydnej historii, poskładać ją w całość, jak kawałki rozbitego lustra.

John junior wzrusza tylko ramionami.

– Nawet nie zapytałeś, kto chce, żebyś zastrzelił swoją dobrą przyjaciółkę Jenny? Kto obiecał, że będzie wdzięczny? Ile miała być warta ta wdzięczność?

– Nie zrobiłbym tego dla samych pieniędzy – odpowiada chłopiec, wysuwając dolną wargę.

Co za arogancki ton! Zupełnie jakby zabijając Jenny za to, co robiła z nią na jego oczach, działał w zgodzie z jakimś boskim prawem.

– Ile? – wrzeszczy Blanche.

– Dwieście w srebrze – mruczy John junior. Wciska rękę do kieszeni luźnego kombinezonu i wydobywa z niej woreczek ściągnięty sznurkiem.

Blanche wpatruje się w dyndający, pomarszczony kształt. Nadal jednak nie rozumie, dlaczego Ernest zapłacił aż tyle za jedną tylko śmierć, a nie dwie.

– Jak dla mnie, może pani zabrać wszystko, co do grosza – zapewnia John junior nieco ochryplym głosem. – Żałuję, że

w ogóle...

Blanche chwytą go za nadgarstek i potrzęsa workiem, jakby był szczurem, któremu chce złamać kark.

– Nie chcę twoich brudnych pieniędzy!

Chłopiec odskakuje i bierze zamach, żeby wrzucić worek do wody; wyciąga przetrąconą rękę mocno za siebie, żeby poleciał naprawdę daleko...

Ale Blanche wyrywa mu worek.

Czuje w rękach ciężar pieniędzy. Napawają ją wstrętem.

– To nie wyglądało tak, jak się spodziewałem – zawodzi John junior. – Ta cała... – wymachuje rękami w powietrzu, a Blanche ponownie staje przed oczami fontanna krwi tryskająca z ciała Jenny.

– Nie wiedziałeś, co wypływa z człowieka, kiedy się do niego strzela?

– Czekałem, aż się pani pochyli, panno Blanche. Chciałem tylko panią uratować.

– Uratować?

– Przed nią. Nie przypuszczałem, że szkło poleci tak daleko. – Chłopak wyciąga rękę, żeby dotknąć maleńkiej szramy na jej policzku.

– Zabieraj łapy!

John junior spogląda na swoje cieniutkie palce, jakby widział je po raz pierwszy w życiu.

– Pójdiesz do piekła! – oznajmia Blanche.

Chłopak kiwa głową. A ona odwraca się na pięcie i odchodzi, ściskając w rękach worek z pieniędzmi.

Jeden mężczyzna zrzucił odpowiedzialność na drugiego, a ten z kolei zrzucił ją na trzeciego – prawie mężczyznę. *Talent do gospodarowania innymi*, czyż nie tak określiła to Madame? Wina przeskakuje z jednej osoby na następną, jak pchła, mikrob

albo zniekształcony szept. Czy na tym świecie nie ma już w ogóle żadnych niewinnych dzieci?

Wlekąc się krok za krokiem, Blanche dociera z powrotem na dworzec.

– Znowu pani tu jest – rzuca pani Holt zza swojego małego okienka.

– Jestem, ale zaraz znikam. – Blanche zmusza się, by włożyć rękę do sznurowanego woreczka. Pierwsza moneta, którą wyciąga, to srebrna półdolarówka, bardzo błyszcząca. Odkłada ją tak szybko, że moneta zaczyna się kręcić na ladzie. Prosi o bilet pierwszej klasy do miasta.

Wkrótce pojawia się pociąg, wydmuchując kłęby gorącego dymu... Ale jedzie w złym kierunku, do San Jose. Blanche spogląda na niego apatycznie. Powinna była zapytać panią Holt, kiedy odchodzi następny pociąg do San Francisco, ale chyba nie dałaby rady wydusić z siebie tyle słów.

Nie spodziewa się, żeby ktokolwiek wysiadł, a jednak kilku ludzi schodzi na peron. Jednym z nich jest inspektor Bohem.

Policjant otwiera swój czarny parasol, by ochronić się przed słońcem, i oboje z Blanche przez chwilę wpatrują się w siebie nawzajem.

– Panna Beunon – odzywa się w końcu Bohem, z przesadnym naciskiem wymawiając ostatnią, nosową głoskę jej nazwiska.

Oto nadeszła jej chwila. Czy mogłaby sobie wymarzyć lepszą okazję, żeby opowiedzieć mu całą tę groteskową historię? Może to zrobić tu, na miejscu zbrodni, po czym od razu zaprowadzić go prosto do zalanego łzami chłopca.

Ale zawałone sadzą gardło odmawia jej posłuszeństwa.

– Co... co pan tu...

– Nasze dochodzenie ciągle trwa – wyjaśnia inspektor,

rzucając na osadę takie spojrzenie, jakby potrafił przeniknąć wzrokiem każdą cienką ścianę w każdej nędznej chacie. Kilka kroków dalej stoją inni goście z miasta, którzy chyba nie wiedzą, dokąd mają dalej iść. Sprzeczą się ściszonymi głosami i sprawdzają coś w gazecie, którą jeden trzyma w ręku. W końcu ruszają w kierunku Eight Mile House.

Dowody. Bohem będzie domagał się od niej dowodów. Blanche ma przynajmniej ten woreczek: honorarium za morderstwo, zapakowane do sznurowanej sakiewki. Ale czego to właściwie dowodzi? Na pieniądzach nie odciskają się żadne ślady, nie widać po nich, co za nie kupiono.

– Wprawdzie nie zdołaliśmy jeszcze udowodnić winy za tę zbrodnię żadnemu z tamtych dwóch pani *maquereau*, ale nie damy za wygraną. Zrobimy wszystko, żeby wytępić do cna takich jak oni. – Bohem mówi tak wylewnym tonem, że Blanche zastanawia się, czy przypadkiem nie wychylił kilku drinków w pociągu. – Kapitan Lees mówił mi, że w czasach gorączki złota San Francisco było po brzegi wypełnione osobnikami waszego pokroju, jak puszka pełna ostryg. Najgorsze męty z całego świata, cyrk cudaków wszelkiej maści, stawiający swój namiot wciąż na nowo, za każdym razem, gdy poprzedni poszedł z dymem.

Blanche tylko na niego patrzy. Czy inspektor próbuje ją sprowokować?

– Ale to miasto dorasta. Ma już prawie trzydzieści lat – z satysfakcją kończy swój wywód Bohem. – I w imieniu jego praworządnych obywateli kapitan i ja zamierzamy oczyścić nasz wspólny dom. – Wyciąga notatnik i mechaniczny ołówek.

Nikt nie jest w stanie raz na zawsze zdrapać z San Francisco tej warstwy brudu, myśli Blanche. On wróci ponownie, jak fala przyływu.

Ale inspektor nie czeka na jej odpowiedź. Sprawia wrażenie, jakby już zdążył o niej zapomnieć, zajęty dorysowywaniem kolejnych szczegółów do czegoś, co wygląda jak bardzo skomplikowany schemat San Miguel Station.

Blanche odwraca głowę w tę samą stronę co on. John junior nadal stoi nad stawem, jak młode, skarłowaciałe drzewko, w które trafił piorun. Czy powinna w tej chwili powiedzieć o wszystkim Bohenowi? Policja z pewnością przeczesałaby staw i odnalazła strzelbę. Póki co wokół kolby ganiają się ryby, składają jaja przy spuszczeniu. Pływają też pomiędzy szprychami bicykla. Czy broń i zaginiony pojazd nie potwierdziłyby jej słów, nie dowiodłyby, że mówi prawdę?

Bohen pogwizduje pod nosem, szkicując coś w notatniku.

Przyjezdni z miasta stoją już pod Eight Mile House, z ekscytacją pokazują sobie rozbite okno. Do Blanche dociera, że to turyści odwiedzający miejsce zbrodni. Pierwsi z wielu? Może interes McNamary zacznie w końcu przynosić zyski. Będzie im sprzedawał podłą gorzałkę za ciężkie pieniądze i opowiadał historię o bandziorze albo płatnym mordercy, który pewnej ciemnej nocy zakradł się do San Miguel Station i ukatrupił Jenny Bonnet. I nie będzie miał bladego pojęcia o tym, co zrobiło jego własne dziecko.

Gdy wzrok Blanche znów pada na Johna juniora, nagle, choć wcale tego nie chce, przepelnia ją współczucie. Czuje, jakby to było jakieś obce ciało, które utknęło w jej gardle.

Kątem oka widzi Jenny.

Chłopak zastrzelił cię w twoim łóżku, syczy na przyjaciółkę.

Jenny wzrusza ramionami.

Co to ma znaczyć? To chyba jedyna rzecz, której nie możesz tak po prostu zbyć wzruszeniem ramion?

Jenny błyska zębami w uśmiechu.

Już nie wieszają młodocianych przestępców, dodaje wściekle Blanche. Najgorsze, co mogą zrobić, to wysłać go do poprawczaka.

Cóż za paskudny zbieg okoliczności – Industrial School znajduje się tuż za wzgórzem. Tam właśnie sędzia wysłałby dwunastoletniego mordercę. John junior mógłby wylądować w tej samej celi, do której dziesięć lat temu trafiła Jenny.

O tak, skoro już o to pytasz, grzmi w myślach Blanche, tak, chcę, żeby go aresztowali, na oczach jego całego ośłupiałego klanu. Chcę, żeby go wywlekli stąd siłą, wychłostali, zakneblowali – młody John zasłużył sobie na to. Chcę, żeby cierpiał bardziej, niż ty cierpiałaś. Chcę, żeby go zamknęli i trzymali pod kluczem przez resztę jego parszywego życia.

– Ciągłe pani tu jest, panno Beunon? Radziłbym pani udać się w tamtą stronę, byle jak najdalej od mojego rewiru – Bohem wskazuje kciukiem na południe, w kierunku San Jose.

I w tym właśnie momencie Blanche postanawia nie mówić ani słowa. Niech Bohem dalej się wymądrza i zmarnuje tu całą niedzielę, niech zmarnuje jeszcze wiele kolejnych dni, podczas gdy prawda wyślizgnie mu się z rąk i zniknie jak wąż w trawie. Ona wraca do miasta zdobyć dowody, których jej potrzeba, a następnie przekaże wszystko Cartwrightowi z „Chronicle”, ponieważ on i tak jest najlepszy z tej całej niewydarzonej bandy – on jako jedyny słuchał z uwagą tego, co miała do powiedzenia. A w ostatecznym rozrachunku każdy, kto skrzywdził Blanche, każdy, kto ją straszył, obrażał lub traktował z góry, słono za to zapłaci.

– Kobieta nazywa się Madeleine George – mówi Blanche do zwijacza cygar, Chińczyka z cienkim warkoczykiem z tyłu głowy, siedzącego na macie na rogu Stockton Street i Clay Street.

– Co pani mówi?

– Madeleine George – powtarza Blanche, przekrzykując piekielne rżenie olbrzymiej katarynki, która stoi nieopodal.

Ponuro wyglądająca papuga zabrudziła ramię kataryniarza, a blaszany kubek ustawiony na szczycie instrumentu jest pusty. Ale Włoch niezmordowanie kręci korbą i ciągle wygrywa tę samą polkę.

– Taka dziewczyna jak pani? – pyta zwijacz cygar.

Czy dla Chińczyka wszystkie białe kobiety wyglądają identycznie? Blanche w pierwszym odruchu chce go zapewnić, że jest przecież młodsza od Madeleine. Ale jemu pewnie chodzi o to, że tamta dziewczyna również ubiera się tak, by zwrócić na siebie uwagę. (Blanche, gdy tylko wysiadła z pociągu na stacji Townsend, od razu popędziła do sklepu z ubraniami i wydała sporą część srebra z małego woreczka na nowy strój. Ubrała się od stóp do głów w poważne, biało-czarne paski. Mocno umalowała też twarz, ponieważ wstępuje na wojenną ścieżkę).

– Tak! – drze się Blanche, żeby przebić się przez agonalne charczenie katarynki.

Nagle, zupełnie znienacka, instrument litościwie milknie. Włoch wypatrzył zbliżającego się dzielnicowego i natychmiast się ulotnił, żeby uniknąć aresztowania.

– Z tego, co wiem, mieszka nad spożywczym – dodaje Blanche.

Zwijacz cygar ma niepewną minę, ale wskazuje na wąski, trzypiętrowy budynek.

– Tam jest dużo francuskich dziewcząt.

Okazuje się jednak, że to zły adres, ale na szczęście w środku ktoś podaje jej właściwy.

Kwadrans później Blanche staje wreszcie pod drzwiami mieszkania Madeleine. Bierze głęboki oddech i odgarnia z oczu

kosmyk włosów. Spotkała *petite amie* Ernesta tylko kilka razy, ale w dużych oczach tej jasnowłosej kobiety nie znalazła wówczas nic onieśmielającego. Teraz zamierza zmusić ją, by powiedziała, gdzie jest Ernest, nawet jeśli będzie musiała w tym celu wyszarpać jej z uszu kolczyki.

Puka do drzwi, niezbyt mocno, żeby nie wyglądało to na wizytę policji albo właściciela domagającego się spłaty czynszu. Odczekuje chwilę, po czym puka ponownie.

Drzwi otwiera Ernest, który rozmawia przez ramię z kimś w głębi mieszkania. Wygląda zdrowiej, niż kiedy widziała go ostatni raz, choć jednocześnie mniej elegancko – na klapie marynarki ma jakąś białą plamę. Odwraca głowę i widzi przed sobą Blanche, która od razu przechodzi do ataku.

– Znaleźli broń – wyrzuca z siebie, nie czekając na jego reakcję. Jest gotowa kłamać, ale i mówić prawdę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Ernest z powrotem zatrzaskuje drzwi.

– W takim razie pójdę prosto do inspektora Bohena, jeśli tak wolisz to rozegrać – woła za nim Blanche.

W mieszkaniu słychać głosy.

– Madeleine? Madeleine, jesteś tam? Dobrze ci się żyje pod jednym dachem z mordercą? Czujesz się bezpiecznie, śpiąc z nim w jednym łóżku? – Blanche mówi odpowiednio głośno i wyraźnie, żeby było ją dobrze słychać w całym budynku. – Powiedział ci, że był zbyt wielkim tchórzem, żeby osobiście strzelić do Jenny? I dlatego wynajął hodowcę kurczaków, który z kolei zlecił to dwunastoletniemu chłopcu?

Drzwi ponownie się otwierają.

– *Ta gueule!* – warczy Ernest.

Ale Blanche nie ma zamiaru się zamykać. To nic, że jedyne, na czym się opiera, to wyznanie dziecka, które już raczej

nikomu więcej nie powtórzy swojej opowieści. Potrafi blefować lepiej niż niejeden szuler.

– Louis i John junior są w areszcie – oznajmia.

Długie ciało Ernesta zaczyna mimowolnie drgać.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Gdzie jest... – Ku przerażeniu Blanche jej głos zaczyna się załamywać. Próbuje jeszcze raz: – Co zrobiłeś z P'titem?

– Ma się zupełnie dobrze, choć to nie twoja zasługa – odparowuje Ernest, patrząc na nią oburzonym wzrokiem. – Naprawdę myślałaś, że mógłbym skrzywdzić syna Arthura?

Przez krótką chwilę Blanche nic nie widzi, nic nie słyszy. Poczucie ulgi wypełnia jej żyły i uderza do głowy jak potężna dawka cukru. Uświadamia sobie, że w ciągu tych dziesięciu dni, odkąd ostatni raz wdziała P'tita, tak naprawdę ani na moment się nie poddała. Przez cały ten czas nadzieja pulsowała w niej jak otwarta rana, która nie chce się zasklepić.

– Udowodnij to. Dlaczego mam wierzyć w cokolwiek, co mówisz? Gdzie on jest?

Ernest nie odpowiada od razu.

– Nie wiem, gdzie...

– Oczywiście, że wiesz, ty zakłamany sukinsynu.

– O losie dziecka będzie decydował jego ojciec.

Spodziewam się, że Arthur niedługo wróci do miasta razem ze swoją nową żoną. – Ernest wbija w nią to ostatnio słowo jak ostrze noża.

I rzeczywiście przez chwilę Blanche czuje się jak przebita na wylot. Przez całkiem długą chwilę. Jest jednak zbyt doświadczoną artystką sceniczną, żeby to po sobie pokazać.

– Dopiero co dostałem telegram – dodaje Ernest, specjalnie ją prowokując. – Arthur jest w Nowym Jorku i ożenił się z jakąś Francuzką.

– Dla mnie to bez różnicy, może się nawet ożenić ze skunksem. – Blanche udaje się wypowiedzieć te słowa niemal lekceważącym tonem. – Ale dla ciebie to chyba ogromne rozczarowanie, co, Ernest?

Jego pociągnęła twarz pochmurnieje.

– Na chwilę znika ci z pola widzenia i od razu znajduje sobie żonę? Poświęca *la vie de bohème* dla mieszczańskiego komfortu? Wygląda na to, że to koniec waszego słynnego duetu.

– Nic nie rozumiesz – odpowiada szorstko Ernest. – Arthur prędzej czy później zjawi się z powrotem. Przecież powierzył mi swoje dziecko, prawda?

– Powierzył? – powtarza kpiąco Blanche. – Chciałeś chyba powiedzieć, że zwalił ci P'tita na głowę. Nie mogę uwierzyć, że ty w dalszym ciągu stajesz po stronie kogoś, kto przez te wszystkie lata spychał cię na drugi plan. Nie widzisz tego? Zostawił cię tu, swojego wiernego, posłusznego pachółka, żebyś zawisnął za to, co on sam kazał ci zrobić.

– Arthur to prawdziwy książę na tle innych ludzi – słowa skapują z ust Ernesta jak krople potu.

Blanche przewraca oczami.

– Pozwolił ci odejść bezkarnie – stwierdza z niekłamanym podziwem Ernest. – „Niech idzie”, powiedział mi, pakując swój kufer. „Kobiety są jak pociągi, za pięć minut pojawi się następna”.

Blanche wpatruje się w niego bez słowa. Czy Arthur naprawdę mógł w ten sposób skomentować ich rozstanie?

– A kiedy zobaczyłem cię w ostatni wtorek – burczy Ernest – jak beztrąsko jechałaś sobie tą bryczką, cała wystrojona w falbanki i zadowolona z siebie...

Ach, jakie to prymitywnie proste! Na powozie była wypisana nazwa stajni. Ernestowi wystarczyło jedynie złożyć

wizytę u Marshalla. Chłopak, ten przeklęty stajenny... oczywiście musiała powiedzieć mu, dokąd jedzie, żeby mógł wskazać jej drogę. A kiedy zjawił się Ernest i zapytał o Francuzkę, która właśnie wypożyczyła bryczkę, chłopak nie miał żadnego powodu robić tajemnicy z tego, że wybrała się do San Miguel Station.

– Ale dlaczego tylko Jenny? – wcina się Blanche. – Dlaczego powiedziałeś Louisowi, żeby mnie oszczędził? Bo wiedziałeś, że Arthur nigdy by ci nie wybaczył?

Ernest wybucha pogardliwym śmiechem.

Z pokoju w głębi mieszkania dobiega jakiś cichy dźwięk. Co to?

Gdy Ernest ponownie się odzywa, mówi tak cicho, że Blanche musi wyteżać słuch.

– Dlatego, że jesteś cholerną matką jego dziecka.

Znowu to słyhać, ten delikatny, stłumiony odgłos. Ernest odwraca głowę i chce zamknąć drzwi, ale ona łapie go za rękaw.

Drzwi uderzają o jej ramię. Blanche krzyczy z bólu. Ale nie puszcza, nie może puścić, nigdy nie puści, ponieważ już wie, czyje to ciche, nieme wołanie.

– P'tit! P'tit!

– Stuknięta *salope*...

Ernest uchyla mocniej drzwi, żeby ją odtrącić. W tym momencie Blanche napiera na niego całym ciałem i wpycha się do środka. On łapie ją za spódnicę i szarpie tak mocno, że materiał rozdziera się w talii. Ale Blanche jest już w mieszkaniu i widzi P'tita mającego na sobie tylko pieluchę...

I idącego samodzielnie. Czy to naprawdę P'tit?

Wciąż ma pulchne przeguby i kostki, grube czoło, ale to wszystko jakby mniej rzuca się w oczy. Ma czystsza skórę i niemalże eleganckie brwi. Stoi na swoich własnych nóżkach.

Jej mały P'tit, choć nic nie wskazuje na to, że ją poznaje. Klepie rączkami w tapetę, zataczając się trochę jak pijak.

Za nim widać blondynkę w miękkiej koszuli na ramiączkach i halce, ze spletanymi włosami. Po raz pierwszy wygląda na swoje lata.

– Blanche... – odzywa się Madeleine, a wargi drżą jej tak bardzo, że ledwo jej się udaje wypowiedzieć tę jedną sylabę. Wyciąga ręce w stronę drobnych ramion P'tita.

– Łapy precz! – ryczy Blanche.

– Ja tylko...

– Zabieraj łapy od mojego dziecka!

I wtedy Ernest robi coś bardzo dziwnego: klęka i przykłada usta do okrągłej główki malca.

– P'ticie Arthurze, robi się z ciebie wykapany tatuś, prawda? – mówi bardzo łagodnie.

– On ma na imię P'tit – Blanche poprawia go pod nosem.

Powinna była rozpoznać tę plamę z mleka na klapie jego marynarki. Uświadamia sobie, że między Ernestem a jej synkiem wytworzyła się prawdziwa więź. To dopiero niezły żart. Ernest zachowuje się jak prawdziwy ojciec. Opiekował się dzieckiem Arthura przez ostatnie dwa tygodnie; ciekawe, w którym momencie sam się w nim zakochał? Z początku pewnie zajmował się chłopcem tylko przez wzgląd na swojego nieobecnego przyjaciela, ale teraz w jego podejściu jest już coś więcej, Blanche widzi to na własne oczy. Trzyma wokół P'tita uniesioną rękę, na wypadek, gdyby maluch się zachwiał. Prawdziwie czuły gest.

Gdyby Blanche go tu zostawiła, jej syn mógłby dorastać jako P'tit Arthur Girard, a nie Deneve. Jak widać, nawet zabójca może okazać się dobrym rodzicem, znacznie lepszym niż kobieta, która wydała dziecko na świat. Blanche przez chwilę

wyobraża sobie matczyne ciepło, jakim mogłaby otoczyć P'tita Madeleine. Ernest natomiast umiałby go chronić dużo lepiej niż Arthur. A sam P'tit, cóż, zapewne nie będzie pamiętał niczego innego.

Nie.

– On jest ceną za moje milczenie – cedzi przez zęby do Ernesta. – Zabieram go, w tej chwili. Albo idę prosto do Bohena i mówię mu wszystko, co wiem, a oni cię zamkną i będą cię trzymać tak długo, aż udowodnią całą resztę. I jeszcze przed świętami będziesz wisiał.

W pierwszej chwili Blanche nie ma pojęcia, czy jej improwizacja zadziała. Twarz Ernesta przypomina drewnianą maskę.

Delikatne rysy twarzy Madeleine kurczą się, gdy przenosi zmęczony wzrok z mężczyzny na dziecko i z powrotem. Ta kobieta zrobi wszystko, żeby ratować jednego z nich, myśli Blanche. Musi tylko zdecydować którego.

Nie czekając dłużej, Blanche podbiega do P'tita i bierze go w ramiona. Mały wyje i wymachuje rękami, ale ona nie zwraca na to uwagi. Chwilę później jest już na klatce i zbiega po schodach, przyciskając chłopca do piersi. Znowu czuje tę falę ciepła, ale tym razem wie, co ona oznacza: nie miłość, tylko siki. A może miłość, która jest wymieszana z sikami, i zwyczajnie nie da się jednego oddzielić od drugiego.

Czwartkowy wieczór, czternasty września. Blanche wraca do saloonu.

John junior, który siedzi przy barze i czyta książkę przy słabym świetle, podnosi głowę i wbija w nią wzrok.

Blanche cicho prosi jego matkę o lód.

– A po co? – pyta Ellen.

Cała rodzina musiała słyszeć, jak się kłóciła z Jenny i jak dała jej w twarz. Irlandka zadaje to pytanie tylko po to, żeby ją upokorzyć.

– Jenny ma sińca po okiem. Uderzyła się wcześniej, podczas jazdy na koniu – odpowiada Blanche bezbarwnym tonem.

– Strasznie niebezpieczne to całe jeżdżenie na koniu – prycha Ellen.

– To ma pani ten lód czy nie?

– Nie, nie mam tego lodu. Ostatnia zimna rzecz w San Miguel roztopiła się miesiąc temu.

– Może w takim razie da mi pani kawałek świeżego mięsa?

– A co by sobie szanowna pani do niego życzyła? *Pommes frites*⁹¹? – śmieje się ironicznie kobieta. – Co pani sobie wyobraża, co? Że gdzie niby pani jest?

Tu nie burdel, być może to właśnie ma na myśli. *Zabieraj stąd swoje plugastwo i wynocha.*

Blanche nie odzywa się ani słowem. Wraca do sypialni i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Jenny leży na łóżku na plecach.

– Należało ci się – mówi Blanche, ale czuje, że cała złość już jej minęła.

– Czy mam to traktować jako przeprosiny?

– Myślałam, że przeprosiny nie są funta kłaków warte – rzuca złośliwie, cytując samą Jenny.

– Twoje na pewno nie są.

Jenny siada na łóżku. Skóra dookoła jej oczu jest napuchnięta. Na pewno do rana zrobią się z tego czarnoniebieskie sińce.

Przepraszam. Blanche naprawdę tak bardzo chciałaby ją

przeprosić, za wszystko, i za to, że ją uderzyła, i za to, w co ją wciągnęła, lecz nie może wydusić z siebie ani słowa.

– Wygląda na to, że żabom się upiekło, jak Szeherezadzie – mówi Jenny.

Blanche wlepia w nią wzrok.

– I to jest właśnie jedna z tych chwil, kiedy nie mam bladego pojęcia, o czym ty, do cholery, mówisz.

– Ich wyrok został odroczone. Zyskały jeszcze jedną noc – tłumaczy Jenny.

– Aha.

– Chociaż czy to się liczy, skoro ją spędzą w ciemnym worku?

– Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda.

– Jak mawia pewien znany jegomość: Nigdy nie odkładaj na jutro tego, co możesz odłożyć na pojutrze...

W końcu, gdy już obie zaczynają ziewać, Blanche stwierdza, że najwyższa pora kłaść się spać.

Jenny zrzuca z siebie ubranie i otrzepuje z niego kurz. W długiej koszuli McNamary mocuje się z roletą, po czym wzywa gospodarza, żeby rzucił na nią okiem i przy okazji przyniósł im trochę koniaku.

Podczas gdy McNamara majstruje przy oknie, jego córka przynosi szklanki, a po wyjściu ojca sadowi się wygodnie na łóżku Jenny.

– Co zamierzasz ze sobą zrobić, Mary Jane? – pyta Blanche.

Dziewczyna mruży oczy.

– To znaczy... kiedy już się stąd wyrwę?

– No.

– Nie wiem. Na razie myślę tylko o tym, jak się stąd wyrwać.

W oddali słycać gwizd pociągu.

Jenny otwiera swój mieszek z tytoniem.

– Dwadzieścia minut jazdy – mówi, kiwając głową w kierunku północy – i możesz stać się całkiem nowym człowiekiem.

– Co ci się stało w twarz? – pyta Mary Jane tonem, który wskazuje na to, że dokładnie zna odpowiedź.

– *Qu'importe* – uśmiecha się Jenny, szczerząc zęby.

– To po francusku?

– Owszem. A wiesz, co to znaczy? „Nie twój zasrany interes”.

Oburzona Mary Jane wstaje z łóżka i powolnym, dostojnym wręcz krokiem opuszcza sypialnię.

Jenny zerka na przyjaciółkę znad fajki, którą właśnie napełnia.

– Nie pal tu tego świństwa – rzuca ostro Blanche.

– Odstrasza komary – mówi Jenny, ale wychodzi na werandę z fajką i pudełkiem zapalek.

Blanche słyszy, jak Mary Jane rozmawia z matką w sypialni na tyłach domu. Za oknem widzi Jenny, która drapie za uchem psa i wygłupia się, prowadząc z nim zażartą dyskusję. Świeca płonie spokojnym, niczym niezmaconym płomieniem.

Nie ma nawet grama wiatru; ciężkie powietrze ani drgnie.

Blanche wraca myślami do tamtej nocy, kiedy się poznały.

Przypomina sobie, jak śpiewała *Au Clair de la Lune*, gdy w całkowitych ciemnościach wspinały się po schodach do jej mieszkania. Zaczyna nucić: *Ma chandelle est morte. Je n'ai plus de feu*. Moja świeca się wypaliła. Nie ma już we mnie ognia.

Zza okna dobiega znajomy refren, wyśpiewany lekkim, melodyjnym głosem Jenny: *Ouvre-moi ta porte, Pour l'amour de Dieu*. Otwórz mi, na miłość boską.

Blanche wolałaby zostawić lekko uchylone okno, chociaż na kilka centymetrów, ale robaki już zaczęły wlewać się do środka, zwabione światłem świecy. Przez chwilę walczy z szybą, która wreszcie zatrząskuje się z hukiem. Ręką zahacza o zielone sukno. Jeden brzeg rolety natychmiast opada. Cholera jasna! Gwoździe wypadają z tych ścian jak zęby z jakiejś spróchniałej czaszki. Blanche wygląda przez wąską szparę i widzi, jak Jenny mocuje się z psem. W blasku księżyca wszystko tonie w niesamowitej, srebrnej poświacie.

Minął prawie miesiąc, odkąd Jenny z impetem wtargnęła w życie Blanche, choć tak naprawdę ona również nie pozostała dłużna swojej przyjaciółce. *Kiedy natrafisz na jakąś przeszkodę, bez trudu się uwolnisz*, twierdziła Jenny. Ale nie zawsze wychodzisz z takiej kraksy bez szwanku. Czasem po prostu nie obejdzie się bez obrażeń.

Jenny wraca do sypialni, odkłada pustą fajkę na komodę i wskakuje do łóżka.

– Spójrz na księżyc. Jest już wysoko – zauważa Blanche, ziewając.

– Jak mawia pewien znany jegomość: Każdy człowiek jest jak księżyc.

– Co?

– Ma swoją drugą stronę, której nikomu nie pokazuje – dodaje Jenny. Leży na boku, opierając się na łokciu. Blanche rozpiną halkę, czując na sobie tak dobrze znane spojrzenie dwojga podbitych oczu. To, co się wydarzyło, równie dobrze mogło się nie wydarzyć. Wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Co za różnica? Być może wczorajszej nocy zbliżyły się do siebie najbardziej, jak to tylko możliwe. A może to stało się właśnie dziś wieczorem, kiedy uderzyła Jenny w twarz? A teraz znów zaczęły się od siebie oddalać, jak dwie gałązki niesione

nurtem rzeki.

Siedząc na skraju łóżka, Blanche pochyła się, żeby rozsznurować pożyczone getry. Pociąg pędzący na północ przejeżdża tak blisko Eight Mile House, że cały dom się trzęsie. Nadal pochylona, zabiera się za drugą nogawkę, próbując rozwiązać tasiemki. Zaczyna cicho nucić starą pikardyjską melodię, choć jaki jest sens w śpiewaniu kołysanki, skoro nie ma tu żadnego dziecka?

Dors, min p'tit quinquin,

Min p'tit pouchin,

Min gros rojin...

Śpij, moja dziecino, mój mały kurczaczku, mój tłusciutki rodzyнку. Sznurowadła się zaplątały. Blanche zadziera do góry jasnioletową spódnicę, po czym kładzie prawą stopę na lewym kolanie. Szorstkie płótno wrzyna jej się w ciało i uwiera jak żwir. Nogawka przylega ciasno do łydki niczym łuska, której nie da się zrzucić. Zachlapana błotem drewniana podłoga, brudne prześcieradła, w całej tej chałupie pewnie aż się roi od pcheł i wszy, ale Blanche ma to gdzieś. Szczęście jest tak samo nieuchwytnie jak wesz: czujesz lekkie łaskotanie, gdy się pojawia, ale spróbuj go dotknąć, a twoje palce trafią w próżnię.

Najdłuższym paznokciem skubie tasiemki. Jeszcze kilka sekund i supeł będzie rozwiązany.

Dors, min p'tit quinquin,

Min p'tit pouchin...

To Jenny podchwytuje refren. Jej czysty głos przypomina śpiew ptaka.

– Jak to idzie dalej? – pyta z szeroko otwartymi oczami.

– O tak – odpowiada Blanche, mocując się ze sznurowadłem. Jej płuca wypełniają się powietrzem, rozpychając klatkę piersiową, mięśnie, skórę, gorset, stanik, gdy

znów z jej ust zaczynają płynąć ostrzegające słowa matki skierowane do dziecka, które nie chce spać:

Te m'f'ras du chargin,

Si te n'dors...

Huk jest tak potężny, że w pierwszej chwili Blanche bierze go za odgłos grzmotu. Świeca gaśnie.

W powietrzu unosi się ostra woń siarki – ten zapach przypomina raczej fajerwerki, a nie burzę. Tylko z jakiej niby okazji mieliby puszczać sztuczne ognie czternastego września? Z podwórza dobiega wściekłe ujadanie psów.

– *Qu'est-ce...* – Czy to początek pytania zadanego przez Jenny, czy tylko jej ciężki oddech?

– Czekał – mówi Blanche.

– Policzmy nasze srebro – mówi Blanche do P'tita w cichym, prywatnym przedziale na samym końcu składu niedzielного pociągu, który niespiesznie posuwa się w głąb lądu, w kierunku Sacramento. Wagon delikatnie kołysze się na boki.

– To jest dolar. Widzisz Panią Wolność? A tu mamy głowę Indianina. – Trzeba dziecko od małego uczyć, jak wyglądają pieniądze w jego kraju. – To jest złota pięciodolarówka. Tak, możesz ją sobie włożyć do buzi, ale nie połykaj...

Blanche odnosi wrażenie, że P'tit lubi słuchać jej głosu albo w ogóle każdego głosu. Pewnego dnia, jak mniema, zacznie też rozumieć jej słowa. Siedzi sztywno, śmiesznie malutki na miejscu przeznaczonym dla dorosłego. Jego ruchy nie przypominają już niekontrolowanych spazmów. Wygląda raczej, jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą. Gdy gryzie monetę, jego spojrzenie wydaje się bardziej rezolutne. Ciekawe, czy w ogóle jeszcze pamięta swoją gałkę do drzwi, tę skradzioną

przez pijanych wandalii? Dzieci szybko się uczą radzić sobie bez rzeczy, za którymi kiedyś płakały. Muszą żyć dalej, tak jak każdy.

Od chwili, gdy dziś po południu wzięła go na ręce i uciekła z mieszkania Madeleine, Blanche czuje się jak jakaś oszustka. Jak kobieta, która ukradła cudze dziecko.

Ale nie można ciągle oglądać się za siebie. Koniec z rozpamiętywaniem tego, co już się stało. Blanche nie ma zamiaru nigdy więcej wypowiadać na głos nazwiska Arthura Deneve. Świetnie nadawała się dla niego na partnerkę w szczenięcych latach życia – w okresie pracy w cyrku i później, po tym, jak wypadek położył kres jego dalszej karierze. Była błyskotliwą towarzyszką, która lubiła pohulać, sama potrafiła na siebie zarobić, niczego od niego nie wymagała i nigdy mu niczego nie odmawiała. I która popełniła tylko jeden błąd – noszący imię P'tit – ale potem na długie miesiące usunęła ten błąd z jego pola widzenia. Tak, teraz rozumie, że Arthur nigdy nie widział w niej kandydatki na przyszłą żonę. I chociaż żałuje wielu rzeczy, to to akurat nie jest jedna z nich. Powodzenia dla tej jego francuskiej żonki, która nie ma pojęcia, w co się pakuje.

– Okazało się, że nie obchodziłam go na tyle, żeby kazał komuś mnie zabić – odzywa się do P'tita.

Dziecko spogląda w jej stronę.

– Przynajmniej nie masz w żyłach krwi mordercy. To już coś. – Blanche posyła chłopcu szeroki uśmiech.

Kąciki jego ust lekko się podnoszą.

Uśmiech! To był cholerny uśmiech! Trwał może ułamek sekundy, ale uśmiech to uśmiech. Przez dłuższą chwilę rozpiera ją duma, ale potem uświadamia sobie, że to zapewne Madeleine nauczyła go, jak się uśmiechać. To Madeleine patrzyła, jak stawia pierwszy krok na swoich rozchwianych nóżkach. Ona

sama przegapiła ten moment. Z tego czy innego powodu przegapiła większość jego dotychczasowego życia. Cóż, trudno. P'tit będzie musiał po prostu zapomnieć Madeleine i Ernesta, i dom pod numerem 815, i „farmę” na Folsom Street – wszystko, co wydarzyło się wcześniej. A ona już się postara o to, by uwierzył, że od zawsze mieszkał w Sacramento. Postanowiła zamknąć całą przeszłość na klucz w swoim sercu i nigdy nie dopuści do tego, by kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że jego matka kiedyś mogła go nie chcieć.

Blanche rozciera sobie posiniaczoną rękę i patrzy przez okno na spalony słońcem krajobraz. Wreszcie zobaczą kawałek Ameryki, a przynajmniej odcinek o długości jakichś stu pięćdziesięciu kilometrów. Dlaczego akurat Sacramento? Chyba tylko dlatego, że o tym mieście opowiadała jej Jenny: podobno cały czas się rozwija i rozrasta we wszystkie strony, także w górę, niemal dosłownie wygrzebując się z błota. Powinno się tam znaleźć miejsce dla zaradnych przybyszów z zewnątrz. Miejsce dla Blanche i P'tita. A może wybrała właśnie ten cel podróży, ponieważ przez półtora roku mieszkała na Sacramento Street, ulicy noszącej nazwę tego dynamicznego miasta. Blanche odczytuje to jak jakiś znak dany z góry, a nie ma żadnego innego, którym mogłaby się kierować.

Gorące wieczorne powietrze jest wręcz mokre; człowiek czuje się tak, jakby wdychał parę. Policzki P'tita błyszczą od potu i Blanche przeciera je nową chusteczką. Zostało jej już mniej niż sto dolarów w srebrze, ponieważ musiała dziś po południu kupić mnóstwo rzeczy. Do tego spieszyła się na pociąg, więc nie miała czasu się targować. Każde z nich ma osobną walizkę, w jednej są butelki, ubranka i pieluchy, w drugiej nowe suknie – jak na jej standardy dość stonowane, ale nadal szykowne. Za to jej nowa turniura to ostatni krzyk

mody: jest wysoka, sztywna i idealnie płaska z przodu i po bokach.

Oprócz tego kupiła sobie także złotą obrączkę za dwa dolary, która będzie służyła jako dowód straty poniesionej przez nią w wyniku zarazy. (Blanche ma już gotową historyjkę, rzecz jasna odpowiednio łzawą. *Mój mąż zapewniał nam wszystko, czego potrzebowaliśmy*). W chwili, gdy pojawi się na dworcu w Sacramento, zamierza całkowicie przeistoczyć się w uroczą, młodą wdowę. Jej szkoła tańca będzie od samego początku znana z tego, że kładzie się w niej wielki nacisk na etykietę obowiązującą na sali balowej. (Blanche będzie musiała zgrywać damę pełną gębą, skoro chce ukraść klientom tym wszystkim tak zwanym profesorom od tańca). Jenny pochwaliby ten plan, nawet jeśli sama była zawsze bardziej konikiem polnym niż mrówką. Podobałoby się jej to, na co zostaną spożytkowane pieniądze, którymi zapłacono za jej śmierć.

Blanche buduje wieżę z monet i pokazuje P'titowi, jak ją zburzyć. Każde normalne dziecko chyba powinno się na ten widok roześmiać, prawda? Blanche też się śmieje, żeby dać mu przykład do naśladowania.

P'tit rzuca jej krzywe, jakby lekko drwiące spojrzenie. Przychodzi jej na myśl, że to dziecko jest mądrzejsze, niż daje po sobie poznać, zbyt mądre, żeby śmiać się na zawołanie.

Arthur ukradł jej te pieniądze i podzielił się nimi z Ernestem, który za część z nich wynajął Louisa. Louis natomiast odpalił ze swojej działki dwieście dolarów Johnowi juniorowi. Blanche wciąż pamięta ten wyraz twarzy chłopaka, kiedy wyciągnął pękaty worek w jej stronę. Łatwo sobie wyobrazić, ile taka kwota znaczyłaby dla rodziny McNamarów. A jednak John junior nie mógł zmusić się do tego, by zatrzymać pieniądze.

Czy właśnie dlatego Blanche nie poszła przed wyjazdem poszukać Cartwrighta w redakcji „Chronicle”? Powtarzała sobie, że nie ma na to czasu, ponieważ opuszcza San Francisco o zmierzchu i musi się przygotować do podróży. Że dziennikarz i tak na pewno w niedzielny wieczór nie siedzi w biurze. Że zawsze może do niego napisać, jak tylko urządzi się w Sacramento. Ale teraz zdaje sobie sprawę, że raczej już nigdy tego nie zrobi.

Bo Jenny miałyby w nosie sprawiedliwość. A już na pewno taką sprawiedliwość. Nie chciałyby, żeby tego zagubionego chłopca, którego zawsze lubiła, wysłano do tej posępnej pseudoszkoły za to, że dał się przekupić i namówić do zrobienia czegoś strasznego, czego sam sobie nigdy nie wybaczy.

A ona? Chyba po prostu będzie musiało jej wystarczyć, że uświadomiła mu, na jaki skazał się los, popełniając tę zbrodnię.

Może niektórych przestępstw nie powinno się rozwiązywać. Może niektóre blizny lepiej zakrywać. Patrząc na swoje zamglone odbicie w zabrudzonej szybie, Blanche wyobraża sobie, że to Jenny jadąca na bicyklu obok pociągu.

Ale ja mu nie wybaczę, oświadczają jej.

Wzruszenie ramion.

Tego ode mnie nie oczekuj. Nie wybaczę mu ani jednej kuli.

Uśmiech.

Jeśli pozwoli, aby John junior uniknął kary, to tym samym zgodzi się, by pozostałej dwójce, Ernestowi i Louisowi, także uszło to na sucho. To nie fair. Ale z drugiej strony, czy cokolwiek w życiu jest fair? Los bywa jednak okrutny i Blanche ma nadzieję, że obaj w końcu dostaną to, na co zasługują. Ernest już przecież utracił wszystko, co kochał: Arthura oraz jego syna.

Blanche odwraca twarz od przeszłości i zwraca ją w stronę Sacramento. Wygląda na to, że mieszkańcy tego miasta potrafią

się wznosić ponad ponurą rzeczywistość, stawiać sobie wyższe cele. Nie będzie więcej dryfować przez własne życie, ponieważ ono nie należy już tylko do niej. Będzie szefem, ale nie tyranem. Będzie mieszkać w wynajętych pokojach nad własną szkołą tańca i zatrudni dziewczynę do opieki nad P'titem w trakcie zajęć. Mały porusza się zwinnie, więc może jego też nauczy tańczyć? *Skąd wiesz, dopóki nie spróbujesz?*

Wrzuca monety z powrotem do worka, jedna po drugiej. P'tit wykonuje ruch ręką, który Blanche uznaje za próbę naśladowania tej czynności.

– Tak jest, do środka – zachęca go, ustawiając jego rączkę nad otwartym workiem. – A teraz wrzuć. No dalej, puść.

Ale P'tit mocno zaciska palce na monecie. Widocznie łatwiej mu coś złapać niż puścić. Blanche patrzy, jak znowu wkłada ją sobie do ust.

– Bardzo dobrze – mówi. – Musi ci się wyróżnić więcej zębów. Przydadzą ci się.

Ma już trzy małe ząbki, z ostrymi krawędziami. Udało jej się to policzyć jeszcze na peronie w San Francisco, zanim stwierdził, że ma dość, i ugryzł ją w palec. I pomyśleć tylko, że przez te wszystkie miesiące czekały, aż przyjdzie ich czas, gotowe wyskoczyć z ukrycia. Musi przyznać, że tych dziesięć dni spędzonych z mordercą i jego dziwką wyszło P'titowi na dobre. Wciąż ma melancholijne rysy twarzy – to ciężkie czoło i wielkie, zapadnięte oczy – ale są chwile, gdy wydaje się wręcz piękny. Oczywiście piękno kryje się w oczach patrzącego. Od dziś Blanche często będzie na niego patrzeć.

Worek jest ciężki jak ludzkie serce. Są w nim pieniądze, za które kupiono śmierć, ale wcześniej zapłacono nimi za seks. Te same, które Blanche zarobiła za taniec albo za spotkania z klientami i wrzucała do zielonego nocnika w kominku albo

wciskała do starego buta. Kupiła za nie swoją kamienicę, a potem Arthur z powrotem zmienił je w gotówkę, kiedy sprzedał dom Low Longowi. (Blanche już nigdy nie będzie drwić z ludzi, którzy siedzą cicho i pracują w pocie czoła, ponieważ odkładając dolara po dolarze, kupują sobie pewien rodzaj wolności). Pieniądze są jak woda krążąca w przyrodzie: czyste wytryskują ze źródła, następnie spływają na samo dno, zbierając po drodze wszystkie brudy tego świata, po czym znów, oczyszczone, wypływają na powierzchnię. Gdy Blanche pociera monety o swoją czarno-białą spódnicę, zyskują połysk. Te pieniądze należą do niej i do P'tita, oboje ze wszech miar sobie na nie zasłużyli. I dlatego teraz mogą je wydać na to, czego potrzebują – bilety na pociąg, jedzenie, czynsz – oraz na wszystko inne, na co przyjdzie im ochota. A także na grającą grzechotkę w kształcie ptaka, którą P'tit pokocha o wiele bardziej niż tę starą gałkę.

Pochyla się, żeby pocałować go w wilgotne czoło. To jeden z tych automatycznych gestów mających uchronić go przed złem. Blanche postanawia robić tak zawsze, kiedy najdzie ją chęć, by potrząsnąć swoim synkiem lub go uderzyć – zamiast tego da mu całusa. Pragnie wynagrodzić mu swoje wszystkie dawne grzechy i będzie pracować na to przez całe życie, dzień po dniu. Będzie *kochać go na sto procent*, i jeszcze bardziej. Będzie się go trzymać jak bulterier, zaciśnie na nim kły i nigdy nie puści. Przywiąże P'tita do siebie swoją niezmordowaną miłością. Każdego dnia od nowa będzie się wspinała na sam szczyt wysokiego klifu.

Nieważne, jak kręte ścieżki doprowadziły ją i jej syna do tego miejsca, do pociągu mknącego w kierunku Sacramento. *Możesz go zatrzymać, możesz się go pozbyć*, tak doradzała Arthurowi Jenny tamtej nocy w jej mieszkaniu. *Wóz albo*

przewóz. Tylko przestań wreszcie biadolić. Blanche już dwa razy straciła to dziecko i nie pozwoli, żeby to się powtórzyło po raz trzeci. Ona i P'tit poczynili sobie wzajemnie w życiu takie spustoszenie, przebrnęli przez morze krwi i gówna, zapłacili za siebie nawzajem tak wysoką cenę, że teraz ten układ musi przetrwać wszystko.

Twoja Maman to klejnot ze skazą, mogłaby mu powiedzieć, gdyby ją rozumiał, *i tego nic nie zmieni.* Nie znajdzie w niej żadna gwałtowna metamorfoza – ale pod pewnymi względami już się zmienia. Może w wieku dwudziestu czterech lat zaczyna wyrastać z głupoty. Zawsze będzie lubiła wypić, ale postara się podejmować ważne decyzje w trzeźwym świetle dziennym. I pewnie nadal będzie chciała się często pieprzyć, ale od teraz będzie dbać o własną niezależność. Będzie zażarcie stawać w obronie P'tita i ambitnie walczyć o swoje i jego szczęście.

P'tit wykręca nóżki w swoich malutkich bucikach. Nie lubi ich, ale Blanche zamierza dopilnować, żeby pomiędzy nim a najeżonym kolcami światem zawsze była warstwa dobrej skóry.

– *Dziecinko moja, kto cię obuje?* – podśpiewuje, lekko klaskając w dłonie.

Nagle coś błyska na horyzoncie. Blanche wygląda przez okno. Czy to mogła być błyskawica? Nasłuchuje grzmotu, ale słyszy jedynie huk kół pociągu. I wtedy na szybę spada pierwsza kropla deszczu. Blanche niemalże wybucha śmiechem, bo wyobraża sobie, jak skarciłaby ją jej *Maman* w Paryżu: *Przestań śpiewać, bo sprowadzisz burzę!*

P'tit zaczyna zawodzić i wierzgać nogami, jakby chciał zrzucić z siebie sztywne buty. Jeszcze kilka tygodni i nauczy się chodzić całkiem stabilnie. Na pewno będzie jej uciekał, a ona będzie musiała cały czas za nim biegać.

Okno jest już całe zasnuwane rozmytymi kroplami deszczu, a pokrywająca je powłoka kurzu zmienia się w błoto.

– Prawdziwa burza – mówi Blanche do P'tita.

Patrząc na jego drobne, niemal przezroczyste ucho, zaczyna się czuć jak wilczyca. Ale teraz uderza ją myśl, że przez cały ten czas to on chronił ją, a nie na odwrót. Jakby narysował wokół niej magiczny krąg: Ernest nie zlecił Louisowi zabicia jej tylko dlatego, że jest matką tego chłopca. Co za ironia! Żyje tylko dlatego, że to akurat z jej ciała wyskoczyło to dziwne, niechciane dziecko, o które toczono takie boje.

Deszcz zacina coraz mocniej – dostatecznie mocno, by przebić się przez długą gorączkę jesieni i obmyć ten paskudny, stary świat z całego brudu, jaki się na nim zebrał.

Wszystko odbija się rykoszetem. Można zmienić pogodę piosenką. *Opanowanie jazdy do tyłu*, to dopiero byłaby niezła sztuczka: Jenny nie straciłaby życia, gdyby nigdy nie zderzyła się z Blanche na Kearny Street. P'tit nie istniałby, gdyby Blanche nigdy nie poznała Arthura. Te fakty są twarde jak skały, a Blanche musi nauczyć się między nimi lawirować, utrzymując równowagę z pewnym siebie uśmiechem zawodowej akrobatki.

Pociera dłonią policzek i odpada z niego maleńki strup.

Daleko przed nimi lokomotywa wydaje z siebie przeciągły jęk. Deszcz zacina ukośnie, uderzając o szybę. *Dopinguje nas*, stwierdza w duchu Blanche, jak tę głuchą jak pień żabę z opowieści Jenny. P'tit odchyła się na siedzeniu, jest na granicy snu. Trzepocze wilgotnymi powiekami, próbując powstrzymać senność. Nikt nie chce ustąpić, dać się ugasić jak płomień świecy, skapitulować. Nikt nie chce, żeby dzień dobiegł końca. Blanche podnosi synka jak worek złota. *Wszystko będzie dobrze, zobaczysz*. I zaczyna śpiewać w rytm stukotu kół kołyszącego się pociągu.

– *Dors, min p'tit quinquin, dors.*

Posłowie

Wszystkie postacie w *Muzyce żab* zostały zaczerpnięte ze źródeł historycznych. Pisząc tę powieść, opierałam się na faktach z ich życia.

Jenny (lub Joannie/Jeanne/Jeannie) Bonnet (lub Bonnett) (ok. 1849-1876); jej ojciec Sosthenes (lub Sosthènes) Bonnet (1825 – ?), jej matka, która prawdopodobnie nazywała się Désirée Leau Bonnet (1818 – ok. 1837) i siostra Blanche Bonnet (1856 – ?);

Adèle Louise „Blanche” Beunon (lub Buneau) (1852 – 1877) i jej syn, imię nieznane;

Arthur Pierre Louis Deneve (lub DeNeve/ De Neve) (ok. 1844 – ?) i jego żona, z którą zawarł małżeństwo w grudniu 1876 roku, Emilie (lub Emily) Bagnon (lub Bagnan) Deneve (ok. 1858 – ?);

Ernest (lub Ernst) Girard (lub Gerard) (1856 – ?) i jego żona, którą poślubił w 1880 roku, Madeleine (lub Adelina/Madelein/Madaline) George Girard (1845 – 1908);

Adrien (lub Jean Pierre-Adrien) Portal (1824 lub 1839 lub 1843 – 1904), Charles St. Clair, koroner Benjamin Swan, dr Crook, Julius Funkenstein (1845 – ?), dr Amelia Hoffman (1829 – 1889), inspektor Benjamin F. Bohlen (? – 1903) oraz Maria Lafourge (okres jej najintensywniejszej działalności przypadał na rok 1856).

Postacie z San Miguel Station: John McNamara senior (1830 lub 1835 – ?), Ellen McNamara (1830 lub 1835 lub 1839 – ?) oraz ich dzieci: John McNamara junior (1863 lub 1864 – 1881?), Kate McNamara (1867 lub 1869 lub 1870 – ?) i Jeremiah McNamara (1870 – ?); ich sąsiedzi: Philip Jordan,

pani Holt, Pierre Louis (lub Pierre Logis lub Louis Deframmant/de Frammant/Dufrannon/Dufrannant/Dufranaut/DeFramond) i jego żona Caroline.

W przypadku dwóch postaci sytuacja jest nieklarowna. Wzmianka o Madame Johannie Werner i jej domu publicznym przy Sacramento Street pojawia się jedynie w książce zatytułowanej *The Barbary Coast* autorstwa Herberta Asbury'ego z 1933 roku, w której brak jakichkolwiek przypisów. Z kolei biznesmen znany policji jako L'amant de Blanche, któremu nadałam nazwisko Lamantia, pojawia się zaledwie w dwóch prasowych artykułach, napisanych wiele lat po morderstwie.

Jedynie postacie, które wymyśliłam od początku do końca, to dziennikarz Cartwright, właściciel knajpy Durand, szewc Low Long, sklepikarz Mei oraz pomoc domowa Gudrun.

Mimo iż wiele źródeł archiwalnych uległo zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi w San Francisco w 1906 roku, równie dużo przetrwało tę katastrofę. Pisząc *Muzykę żab*, korzystałam z około sześćdziesięciu artykułów prasowych (z lat 1872 – 1902) dotyczących Jenny Bonnet, jak również z wydawanych rokrocznie akt miejskich *San Francisco Municipal Records*, powszechnego spisu ludności *U.S. Federal Census* (z lat 1870, 1880, 1900 oraz 1910 – dokumenty z 1890 roku w dużej mierze uległy zniszczeniu w pożarze w 1921 roku, a większość z tego, co udało się ocalić, została zniszczona na polecenie władz), list pasażerów podróżujących statkami oraz aktów narodzin, ślubów i zgonów ludności pochodzenia francuskiego, irlandzkiego, amerykańskiego i kanadyjskiego.

Muszę jednak podkreślić, że korzystanie z tych wszystkich dokumentów, będących nieocenionym źródłem informacji, nie

zawsze jest łatwym zadaniem. Autorzy dziewiętnastowiecznych raportów często dodawali zmyślane przez siebie szczegóły, chcąc w ten sposób wypełnić luki w dochodzeniu. Co więcej, podobnie jak w artykułach prasowych, w dokumentach prawnych aż się roi od różnych wersji danego imienia czy nazwiska, a także pojawia się niekonsekwencja, jeśli chodzi o daty. Ponadto, jeśli w bazie danych pojawia się zeskanowany dokument, który ponad półtora wieku temu został przepisany na maszynie lub (co gorsza) spisany odręcznie, może okazać się zupełnie bezużyteczny, gdyż nie da się go rozszyfrować. Dlatego wielokrotnie byłam zmuszona przyjmować pewne hipotezy, zwłaszcza w przypadku przesłuchania dotyczącego zabójstwa Jenny, ponieważ niektóre zeznania świadków albo były sprzeczne, albo zupełnie absurdalne. Dla uatrakcyjnienia opowieści zmieniłam też kilka faktów, upraszczając ciąg zdarzeń, które doprowadziły do morderstwa. Postanowiłam także, że Blanche będzie władać językiem angielskim równie dobrze jak Arthur, choć w rzeczywistości podczas przesłuchania korzystała z pomocy tłumacza.

Chciałabym obalić jeden mit. O Jenny Bonnet pisze się dziś w Internecie jako o prototypicznej transseksualnej buntownicze, która w męskim stroju namawiała kobiety do porzucenia prostytucji i wstąpienia w szeregi złodziejskich gangów. I choć niewątpliwie jest to wizja kusząca, wszystko jednak wskazuje na to, iż opiera się głównie na mocno podkoloryzowanym artykule, który ukazał się dopiero trzy lata po morderstwie (*Jeanne Bonnett*, „Morning Call”, 19 października 1879) oraz niepopartej faktami, powszechnie znanej historii z 1933 roku (odnotowanej w *The Barbary Coast* Asbury’ego), której mnie samej również nie udało się potwierdzić.

Pomimo renomy, jaką cieszył się wydział kryminalny policji San Francisco, śledztwo w sprawie Jenny Bonnet prowadzone było opieszale i chaotycznie. Dopiero po kilku latach inspektor Bohem i jego współpracownicy doszli do tego, że Arthur Deneve zapłacił Pierre'owi Louisowi dwa tysiące dolarów za zabicie Blanche (a nie Jenny) i że Louis kupił za te pieniądze farmę w Kanadzie, gdzie został aresztowany w lipcu 1880 roku, po tym jak poturbowana przez niego żona, Caroline, oskarżyła go o zamordowanie Jenny (przez pomyłkę, zamiast Blanche). Jednak Louis popełnił samobójstwo, zanim detektywi z San Francisco zdołali zgromadzić wystarczającą ilość dowodów, by doprowadzić do ekstradycji. Moim zdaniem wersja mówiąca o tym, jakoby to nieżyjący już cudzoziemiec był winny morderstwa, za które otrzymał horrendalne wynagrodzenie (nawet jak na standardy kalifornijskich płatnych morderców), choć wydaje się całkiem składna, ma zbyt wiele luk. Dlatego też w *Muzyce żab* zaproponowałam inne wytłumaczenie owej do dziś nierozwikłanej zbrodni, które jest oczywiście tylko pewną hipotezą, czyli innymi słowy – fikcją literacką.

Wracając do faktów: zastanawiacie się pewnie, jakie były dalsze losy Blanche i jej bezimiennego syna po tym, jak podczas przesłuchania prowadzonego przez koronera Swana oskarżyła Arthura i Ernesta o uprowadzenie dziecka. Kiedy pisałam powieść, nie miałam pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczyła swojego syna. Co prawda natknęłam się na jeden artykuł opublikowany trzy lata po śmierci Jenny (wspomniany już wcześniej *Jeanne Bonnett*, „Morning Call”, 19 października 1879), którego autor utrzymywał, że Blanche zmarła na raka gardła zaledwie rok po zabójstwie, ale czytało się go jak jakąś francuską powieść naturalistyczną – zwłaszcza choroba

przedstawiona tu była jako mało subtelny symbol niewypowiedzianych sekretów Blanche – dlatego podeszłam do tego tekstu bardzo sceptycznie. Dopiero w trakcie redakcji *Muzyki żab*, kiedy po raz ostatni przeglądałam internetowe archiwa, chcąc się upewnić, czy nie przeoczyłam żadnych istotnych źródeł, znalazłam o wiele bardziej wiarygodny dokument – krótki paragraf w „Sacramento Daily Union” z 26 kwietnia 1877 roku, z którego wynikało, że Blanche Beunon zmarła na raka gardła 24 kwietnia we francuskim szpitalu w San Francisco, zostawiając syna (miał wówczas 2 lata) pod opieką rodziny w Oakland. Dziennikarz pomylił się w kwestii wieku Blanche – w jego wersji miała 35, a nie 25 lat – nie jest więc wykluczone, że pomylił się również co do jej tożsamości, ale osobiście w to wątpię. Muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie czułam tak głębokiego smutku z powodu śmierci kogoś, kto odszedł przed stu pięćdziesięciu laty. Pociuszający wydaje się jedynie fakt, że zaginiony chłopczyk się odnalazł i znów trafił pod opiekę swojej mamy, nawet jeśli tylko na kilka miesięcy.

Jeżeli chodzi o innych bohaterów powieści, sytuacja przedstawia się następująco: Arthur Deneve, emigrując do Ameryki w 1875 roku, podczas rejsu przez ocean podawał się za akrobatę, natomiast w listopadzie 1876 roku, w trakcie innej podróży statkiem utrzymywał, że jest artystą. Kiedy po morderstwie został na krótko zatrzymany w Nowym Jorku, sprzedał dziennikarzom historyjkę o tym, jakoby był on analitykiem chemicznym, który zdobył doświadczenie w firmie swojego ojca w Paryżu (fikcyjnej, o ile mi wiadomo) i który porzucił swoje dotychczasowe życie oraz karierę, żeby zabrać do Ameryki wywodzącą się z nizin społecznych, ciężarną Blanche. Twierdził też, że urodziła ona czworo dzieci (w ciągu dwóch i pół roku!) i tylko jedno z nich, jak mniemał, było jego. Wiemy

natomiast na pewno, że Deneve poślubił Emilie Baugnon w Nowym Jorku i że wsiadając na pokład statku, zgłosili zamiar powrotu do Francji na stałe.

W podobnym tonie Ernest Girard dodawał sobie ważności, kiedy w 1874 roku, wpisując się na listę pasażerów statku płynącego do Ameryki, podał się za francuskiego urzędnika państwowego. W 1880 roku poślubił Madeleine George. Według spisu powszechnego w 1900 roku nadal mieszkali w San Francisco i nie mieli dzieci.

Przejdźmy teraz do rodziny Jenny. Dwa lata po zabójstwie jej siostra Blanche Bonnet została zwolniona ze szpitala stanowego Stockton State Hospital i znalazła się pod opieką przyjaciela, u którego zamieszkała, przyjmując posadę służącej. W 1884 roku „sparaliżowany” Sosthenes Bonnet nadal żył na garnuszku swojego przyjaciela Leo Samsona w saloonie w Oakland.

Jeśli chodzi o dwie bliźniacze plagi – falę upałów i ospę, które nawiedziły San Francisco w 1876 roku – nie musiałam nic wymyślać ani nawet koloryzować. Kiedy epidemia wygasła w lipcu 1877 roku, pochłonąwszy czterysta osiemdziesiąt dwie ofiary, stało się jasne, że Chinatown nie mogła być epicentrum zarazy, ponieważ zaledwie sześćdziesiąt spośród około sześciuset zgłoszonych przypadków zachorowań pochodziło z chińskiej dzielnicy. Oczywiście nowy kierownik Wydziału Zdrowia Publicznego w San Francisco, John Mears, znalazł proste wytłumaczenie, twierdząc, iż Chińczycy po prostu ukryli pozostałe setki przypadków ospy.

Antychińskie zamieszki we wrześniu 1876 są wydarzeniem fikcyjnym i stanowią jedynie przedsmak dużo poważniejszego konfliktu, który w rzeczywistości wybuchł w lipcu 1877 roku, gdy kryzys ekonomiczny, określanym dziś jako Long Depression

(długi kryzys), dosięgnął także San Francisco. Podczas zaledwie dwóch dni zamieszek, w których uczestniczyło około czterystu białych demonstrantów, podpalono dwadzieścia pralni i zamordowano czterech Chińczyków, zanim policja, korzystając ze wsparcia około tysiąca ochotników (tzw. Pick-Handle Brigade), zdołała powstrzymać rozwścieczony tłum.

Kamienicę Blanche przy Sacramento Street pod numerem 815 najprawdopodobniej przejęli złodzieje i zrobili z niej melinę, natomiast później (możliwe, że już w połowie lat dziewięćdziesiątych XIX wieku, z całą pewnością zaś przed rokiem 1905) została przekształcona w siedzibę chińskiego oddziału Armii Zbawienia, którego głównym celem było niesienie pomocy kontraktowym prostytutkom z Chin, chcącym zerwać z uprawianiem nierządu. Kilka przecznic dalej, na północ od Sacramento Street, w domu przy Stockton Street 1314 były kochanek Jenny (albo były mąż według jednego ze źródeł), Adrien Portal, pozbawiony środków do życia, popełnił samobójstwo, odkręcając gaz w wynajętym pokoju numer 1904. Trzęsienie ziemi i pożar, które nawiedziły San Francisco w 1906 roku, dokonały całkowitego spustoszenia Chinatown, toteż opisane przeze mnie w *Muzyce zab* ulice nie zachowały się w swoim dawnym kształcie do naszych czasów i dziś można je zobaczyć już tylko na fotografiach.

Nędzna osada San Miguel Station często nazywana była po prostu San Miguel, ale w powieści zastosowałam pełną nazwę, by uniknąć pomylenia jej z kalifornijskim, śródlądowym miastem San Miguel lub w wyspą San Miguel leżącą na Oceanie Spokojnym. Spośród wszystkich mieszkańców osady McNamarowie zostali w niej najdłużej – John junior zmarł w San Miguel Station w wieku szesnastu lat i dziesięciu miesięcy z przyczyn nieznanych. Kobieta nosząca imię

i nazwisko Mary Jane McNamara podjęła pracę w Golden Gate Woolen Manufacturing Company w San Francisco, śmiało więc można założyć, że chodzi o jego starszą siostrę Mary Jane. Z kolei Jeremiah McNamara figurujący w rejestrze wyborców z 1900 roku, wedle którego był strażakiem mieszkającym w odległości kilku przecznic od dawnego San Miguel Station (które zmieniło nazwę na Ocean View) – to prawdopodobnie jego młodszy brat. Jeżeli to faktycznie ten sam Jeremiah, to kilka lat później jako pierwszy z całej rodziny oddał głos w wyborach. Jak podają źródła, w 1910 roku Ellen McNamara wciąż żyła i mieszkała razem ze swoją najmłodszą córką Kate, jej mężem i ich czwórką dzieci. Przedmieścia wkrótce zostały wchłonięte przez OMI District (Ocean View, Merced Heights i Ingleside). Na podstawie zgromadzonych materiałów ustaliłam, że saloon McNamary najprawdopodobniej znajdował się na skrzyżowaniu dzisiejszej San Jose Avenue i Albany Boulevard, w cieniu autostrady Highway 280.

Jak pisze Herbert Asbury w *The Barbary Coast*, dom publiczny Madame Johanny Werner przy Sacramento Street – który nazwałam w powieści *The House of Mirrors* – był znany z aukcji dziewczyc i zaczął podupadać w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy to główny dostawca Madame, niejaki Johnny Lawless, trafił do więzienia za sprzedaż czternastoletniej dziewczynki właścicielowi tzw. *crib* (domu publicznego najniższej klasy) w Oregonie.

Czymś zupełnie kuriozalnym były tzw. farmy niemowląt, prowadzone przez osoby prywatne. Wiele wskazuje na to, że ich funkcja sprowadzała się do czegoś, co można by określić mianem dzieciobójstwa przez zaniedbanie. Oferowały one opiekę nad dziećmi rodzicom (biednym, pracującym, samotnym lub pozbawionym środków do życia), którzy w ogóle nie byli

w stanie zająć się swoim potomstwem. (Co ciekawe, współczynnik umieralności niemowląt w instytucjach miejskich, takich jak na przykład szpitale dla podrzutków, był tak wysoki, że one również zasługują na miano „placówek dzieciobójczych”). W Wielkiej Brytanii w 1868 roku na ciemną stronę dziecięcych farm uwagę społeczeństwa zwróciła seria artykułów opublikowanych przez „British Medical Journal”, jednak w Stanach Zjednoczonych – pomimo sporadycznych przypadków, takich jak proces Madame Parselle, który odbył się w tym samym roku – tego typu placówki jeszcze długo znajdowały się poza obszarem podejrzeń. Dopiero nowo powstałe organizacje działające na rzecz ochrony dzieci zdołały wspólnym wysiłkiem wydobyć ten problem na światło dzienne. W 1876, kiedy zamordowano Jenny Bonnet, w San Francisco powstało Stowarzyszenie na rzecz Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci (San Francisco Society for the Prevention of Cruelty to Children), które od razu wzięło na celownik działalność doktor Amelii Hoffman (dowiedziawszy się, że Blanche i Arthur oddali dziecko pod cudzą opiekę niedługo po jego narodzinach, wybrałam okryty złą sławą przybytek doktor Hoffman, który kilka razy zmieniał lokalizację w obrębie Folsom Street, aczkolwiek, jak wynika z anonsów reklamujących oferowane przez nią usługi, owa farma mieściła się na odcinku pomiędzy Tenth Street i Eleventh Street). Jej właścicielka, kilkakrotnie skazana na karę więzienia, uciekała się do różnych strategii, by uniknąć odsiadki. Szczytem jej bezczelności była propozycja złożona w 1887 władzom San Francisco: obiecała oddać miastu swoją dziecięcą farmę oraz dziesięcioakrową, podmiejską posiadłość (sąsiadującą z Industrial School, na rogu San Jose Avenue i Ocean Avenue), gdzie miałyby powstać sierociniec, pod warunkiem, że ona i jej

syn Frank zostaną dożywotnimi kierownikami tej placówki. Władze oczywiście nie przyjęły jej propozycji. Dwa lata później, w 1889 roku, Amelia Hoffman zmarła, zostawiając po sobie ogromną fortunę.

Pomimo skandali związanych z wykorzystywaniem i maltretowaniem dzieci, do których notorycznie dochodziło w poprawczaku Industrial School (gdzie Jenny trafiła jako nastolatka), i prowadzonego w tej sprawie śledztwa, instytucja przetrwała i działała aż do 1891 roku, kiedy to budynek został przekształcony w więzienie dla kobiet. Dziś na tym terenie mieści się campus City College of San Francisco, fragment autostrady Highway 280 oraz Balboa Park.

Gdy w latach dwudziestych XX wieku zamknięto cmentarz Odd Fellows Cemetery, wszystkie szczątki – w tym także i Jenny – zostały przeniesione do masowych grobów w Greenlawn Memorial Park znajdującym się w miasteczku Colma w stanie Kalifornia.

Pod koniec XIX wieku masowa konsumpcja czerwononogich żab kalifornijskich doprowadziła te płazy na skraj wymarcia i dziś należą one do gatunków zagrożonych, głównie z powodu postępującej utraty siedlisk. Handel żabami (opierający się zarówno na polowaniach w ich środowisku naturalnym, jak i hodowli) sieje ogromne spustoszenie w dzisiejszym ekosystemie, zwłaszcza w krajach rozwijających się.

Każda przytoczona przez Jenny sentencja zaczynająca się słowami: „jak mawia pewien znany jegomość” jest cytatem z Marka Twaina, który rezydował w San Francisco w latach 1864 – 1869 (kiedy Jenny była nastolatką) i który z pewnością mógł być jej ulubionym pisarzem. Może i nie czytała Walta Whitmana, lecz niektóre z jej przemyśleń są zbieżne z jego

poglądami. Blanche parafrazuje słynną whitmanowską frazę „Noszę kapelusz przekrzywiony na bakier”, natomiast Arthur przywłaszcza sobie kilka bon motów autorstwa Charles’a Baudelaire’a.

Korzystając z okazji, chciałabym podziękować:

Autumn Stephens, której książka zatytułowana *Wild Women: Crusaders, Curmudgeons, and Completely Corsetless Ladies in the Otherwise Virtuous Victorian Era* (1922) zwróciła moją uwagę na postać Jenny Bonnet; Annie Hindle (bohaterce mojej drugiej sztuki zatytułowanej *Ladies and Gentlemen*) oraz Annie Taylor i Madame Restell (bohaterkom moich dwóch opowiadań), dzięki którym błyskotliwy, ilustrowany przewodnik Stephens stanowi jedną z najbardziej inspirujących pozycji na mojej półce;

Wspaniałemu śp. Kevinowi Mullenowi, byłemu komendantowi policji i popularnemu historykowi, który wygrzebał historię Bonnet z akt policyjnych i opisał w książce *The Toughest Gang in Town: Police Stories from Old San Francisco* (2005), poświęcając jej rozdział zatytułowany „The Little Frog Catcher”;

Williamowi B. Secrestowi za książkę *Dark and Tangled Threads of Crime: San Francisco’s Famous Police Detective, Isaiah W. Lees* (2004), jedyne źródło, w którym pojawia się wzmianka o Marii Lafourge, nieugiętej kobiecie o pooranej bliznami twarzy;

Nayan Shah za książkę *Contagious Divides: Epidemic and Race in San Francisco’s Chinatown* (2001), która okazała się niezwykle pomocna, zwłaszcza jeśli chodzi o informacje dotyczące wybuchu epidemii ospy w 1876 roku;

Danielowi Macallairowi za jego nieoceniony artykuł zatytułowany *The San Francisco Industrial School and the*

Origins of Juvenile Justice in California: A Glance at the Great Reformation w „Journal of Juvenile Law&Policy”, nr 2 (zima 2003);

Jürgenowi Klossowi za to, że zgłębił historię *Rye Whiskey* (<http://justanothertune.com/html/tarwathie.html>) i wszystkim zapalonym łowcom piosenek, zrzeszonym pod szyldem www.mudcat.org za niezmordowane odkrywanie błotnistych, stale rozrastających się korzeni muzyki folkowej, zwłaszcza profesorowi Jonathanowi Lighterowi, którego ostatnia książka dotycząca ballady *Johnny, I Hardly Knew Ye* (Johnny, ja ledwie ciebie poznaję), zatytułowana ironicznie *The Best Antiwar Song Ever Written* (Najlepsza antywojenna piosenka na świecie), uchroniła mnie przed bezmyślnym powielaniem starych mitów dotyczących tej słynnej pieśni;

Bibliotekarzom i bibliotekarkom, którzy dołożyli wszelkich starań, żeby służyć mi pomocą przez ostatnią dekadę podczas moich krótkich wizyt w San Francisco Public Library, the California Historical Society, the Bancroft Library (Uniwersytet Kalifornijski, Berkeley), the New York Public Library i the Weldon Library (Uniwersytet Zachodniego Ontario), zwłaszcza pani Hamashin z California State Archives za sprawdzenie historii choroby Blanche Bonnet (siostry Jenny) w Stockton State Hospital i odkrycie, że to nie ona zmarła w szpitalu, tylko urodzone przez nią dziecko;

Naomi Edel za to, że zabrała mnie do San Bruno Mountain i Coyote Point, żebym zobaczyła na własne oczy ukochane krajobrazy Jenny; jak również Ellis Afery, koleżance po fachu, za cenne uwagi na temat tego, jak wpisać francuskość w język angielski;

I wreszcie profesor Clare Sears za jej fascynujący, wnikliwy artykuł na temat przestrzeni publicznej

dziewiętnastowiecznego San Francisco, który jest jedyną rzetelną pracą naukową, jaką znam, dotyczącą Jenny Bonnet. Artykuł zatytułowany „A Tremendous Sensation: Cross-Dressing in the 19th Century San Francisco Press” pojawił się w książce *News and Sexuality: Media Portraits of Diversity* (ed. Laura Castañeda i Shannon B. Campbell, 2006). Profesor Sears, autorka mającej się wkrótce ukazać pozycji zatytułowanej *Arresting Dress: Cross-Dressing, Law and Fascination in the Nineteenth-Century San Francisco*, zadała sobie trud i zebrała dla mnie całą paczkę nigdzie indziej niedostępnych artykułów i reportaży prasowych na temat Jenny Bonnet. Z podobną wspaniałomyślnością wśród przedstawicieli środowiska akademickiego spotykałam się już wielokrotnie, ale wyjątkowa wielkoduszność wykazana przez Clare Sears zasługuje na szczególną pochwałę.

Jak zwykle jestem wdzięczna wszystkim lojalnym i oddanym pracownikom moich agencji (Caroline Davidson Literary Agency w Londynie oraz Anderson Literary Management w Nowym Jorku), a także fantastycznym zespołom działającym w moich wydawnictwach (Little, Brown; HarperCollins Canada; Picador).

Chciałabym także podziękować moim wspaniałym przyjaciołom: Alison Lee, która przekonała mnie, że potrafię napisać powieść kryminalną; Wendy Pearson, która zrecenzowała jedną z ostatnich wersji książki; a także Danielowi Vaillancourtowi i mojej ukochanej teściowej (na moje szczęście zawodowej tłumaczce) Claude Gillard za pomoc w dopracowaniu pojawiającego się w powieści języka francuskiego, którym posługiwano się w latach siedemdziesiątych XIX wieku.

I wreszcie *bisous* dla mojej ukochanej dwujęzycznej trójki,

za to, że ze mną wytrzymali, zwłaszcza kiedy musieli wysłuchiwać mojego dukania w *boulangerie* podczas naszych przeciągających się pobytów na południu Francji.

Tych, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej na temat zabójstwa znanego powszechnie jako „Tajemnica San Miguel”, zapraszam na moją stronę internetową, gdzie będę publikować opatrzoną przypisami listę źródeł:

<http://www.emmadonoghue.com/images/pdf/the-san-miguel-my-stery-the-documents.pdf>.

A jeśli ktoś chciałby posłuchać współczesnych nagrań (pochodzących z XX i XXI wieku) utworów cytowanych w *Muzyce żab*, może je znaleźć na stronie internetowej:

<http://8tracks.com.emmadonoghue/frog-music/>.

O piosenkach

Rozdział 1: Mój miły

„L’Canchon Dormoire” (*Piosenka do snu*), znana też jako **„P’tit Quinquin”** (*Moja dziewczyno*)

Napisana przez Alexandre’a Desrousseaux (1820-1892) w 1853 roku i opublikowana w drugim tomie jego *Chansons et Pasquilles Lilloises* (*Pieśni i Satyry miasta Lille*). „L’Canchon Dormoire” to najsłynniejsza piosenka spośród jego ponad czterystu utworów. Słowa zostały napisane w języku pikardyjskim (inne nazwy to Ch’timi, Rouchi lub Patos), blisko spokrewnionym z językiem francuskim, używanym w kilku północnych regionach Francji i niektórych regionach Belgii. Kołysanka Desrousseaux stała się również nieoficjalnym hymnem miasta Lille.

„Darlin”, znana również jako „Darling”, „Money Babe”, „You Can’t Love (But) One”, „Darlin, You Can’t Have One” oraz „New River Train” (*Mój miły*)

To jedyny utwór w całym tekście, który stanowi moją własną wariację na temat tradycyjnej piosenki. Ballada *Mój miły* zdobyła popularność pod koniec dziewiętnastego wieku. Alan Lomax w książce zatytułowanej *The Penguin Book of American Folk Songs* (1964) opisuje ją jako „pieśń narodową buntowniczego amerykańskiego libido”. Struktura tej formalnej wyliczanki (nawiązująca do jednej z figur ludowego tańca szkockiego) zawsze pozostaje taka sama, natomiast słowa mogą się zmieniać. I tak od lat dwudziestych XX wieku często pojawia się refren opowiadający o jeździe pociągiem. Niektóre wersje w ogóle nie mają żadnego podtekstu, inne zawierają jedynie subtelne aluzje, ja natomiast dopisałam dużo bardziej

sugestywny tekst, taki, jaki w moim przekonaniu mogłaby wykonywać tancerka burleskowa.

„Au Clair de la Lune” (W świetle księżycy)

Pierwsza wersja tej francuskiej piosenki prawdopodobnie powstała w latach siedemdziesiątych XVIII wieku. Jej linię melodyczną stanowił kontredans (galijska wariacja angielskiego tańca ludowego) znany jako „La Rémoûleuse” (Kawiarka), „Air du Gagne-Petit” (Melodia biedaka) lub „En Roulant Ma Brouette” (Tocząc moją taczkę). Często przypisuje się ją kompozytorowi nazwiskiem Jean-Baptiste Lully, choć chyba jedynym powodem, dla którego tak się dzieje, jest fakt, iż był on wybitnym twórcą francuskiej muzyki barokowej. Słowa do melodii, opowiadające historię kochanków, musiały powstać jeszcze przed 1843 rokiem, kiedy to pełna wersja została opublikowana w *Chants et Chansons Populaires de la France* (Popularne francuskie pieśni i piosenki). Ostatecznie piosenka przekształciła się w dziecięcą rymowanąkę.

9 kwietnia 1860 roku Edouard-Léon Scott de Martinville dokonał pierwszego nagrania na fonautografie (transkrypcja fal dźwiękowych w formie linii na papierze), wykorzystując dziesięciosekundowy fragment *Au Clair de la Lune* – jest to najwcześniejszy zapis ludzkiego głosu i muzyki instrumentalnej. W 2000 roku amerykańscy badacze z powrotem przekształcili wykres w dźwięk. Jego wysokość świadczyła o tym, że głos należy do kobiety – prawdopodobnie do córki Martinville’a, jednakże kiedy odtworzyli nagranie podczas koncertu w o wiele wolniejszym tempie, okazało się, że piosenkę śpiewa mężczyzna, zapewne sam wynalazca. Nagrania można posłuchać na stronie internetowej:

http://en.wikipedia.org/wiki/Edouard_Léon_Scott_de_Martinville

„Little Brown Jug” (*Butelczyno ma*)

Amerykańska oda do pijaństwa, opublikowana w 1869 roku przez „Eastburna” – pod tym pseudonimem (było to jednocześnie jego drugie imię) krył się niejaki Joseph Winner (1837 – 1918). Spośród ponad dwudziestu znanych nam piosenek jego autorstwa ta jedna stała się prawdziwym przebojem, a następnie, podobnie jak wiele innych, została wchłonięta przez kanon muzyki folkowej, ulegając licznym przekształceniom na przestrzeni kolejnych stu pięćdziesięciu lat.

Rozdział 2: Przepelnia mnie blues

„For Work I’m Too Lazy” (*Zbyt wygodę sobie cenię, by pracować*)

Czterowiersz zaintonowany przez Jenny to typowy fragment tekstu na stałe osadzony, a jednocześnie dynamicznie funkcjonujący w tradycji muzyki folkowej (tzw. „floating stanza”), który niczym osad niesiony przez rzekę kanonu co rusz wyrzucany jest na brzeg. To najstarsza opublikowana wersja, do jakiej dotarłam – znalazłam ją w wariancie „Rye Whiskey” spisany przez Newtona Gainesa, który usłyszał ją od jednego znajomego kowboja w Teksasie w 1926 roku. Ów czterowiersz często pojawia się w innych piosenkach spod znaku „Rye Whiskey” (np. „Jack o’ Diamonds”, „The Cuckoo” oraz „The Sporting Cowboy”), które mają brytyjskie korzenie, ale największą popularnością cieszą się w Stanach Zjednoczonych. Występuje także jako samodzielny fragment zatytułowany „For (the) Work I’m Too Lazy”.

Czasami słowo *tie-hacking* (cięcie drewna na podkłady kolejowe) zastępuje słowo *work* (ang. praca) jako synonim zadania wymagającego zbyt wiele wysiłku, podczas gdy, co zabawne, określenie *investment* (inwestowanie) pojawia się w miejsce *begging* (żebranie), natomiast trzecie określenie

zazwyczaj pozostaje niezmienione (ang. *train-robbing* – napadanie na pociągi), a w ostatniej linijce ten, kto śpiewa, zawsze wybiera życie hazardzisty (*gambling* – uprawianie hazardu).

„The Flying Trapeze”, znana też jako „The (Daring Young) Man on the Flying Trapeze” (*Na latającym trapezie mknie bez trudu*)

Ta opublikowana w 1867 roku najsłynniejsza spośród wszystkich piosenek cyrkowych jest hołdem złożonym Jules’owi Léotardowi, francuskiemu akrobacie, który zapoczątkował sztukę latania na trapezie w Cirque d’Hiver w Paryżu w 1859 roku i którego nazwisko zyskało nieśmiertelność jako określenie jednoczęściowego kostiumu (ang. *leotard* – trykot). Do słów autorstwa „George’a Leybourne’a” (pseudonim sceniczny artysty wodewilowego Joego Saundersa, 1842 – 1884) muzykę skomponował Gaston Lye, a aranżację zrobił Alfred Lee (1839 – 1906).

Co ciekawe, piosenka opowiada nie tyle o młodym odważnym młodzieńcu, co o odważnej młodej dziewczynie, która nosi męski strój, gdyż jest to skarga mężczyzny ubolewającego nad faktem utraty ukochanej, którą uwiódł cyrkowiec, a potem kazał jej udawać chłopca, by mogła występować na trapezie, zarabiając w ten sposób na jego utrzymanie.

„I Have Got the Blues” (*Przepelnia mnie blues*)

Ta opublikowana w 1850 roku żartobliwa elegia opisująca męki człowieka cierpiącego z powodu kaca jest najprawdopodobniej pierwszym utworem, w którego tytule występuje słowo *blues*. (Na okładce nut widnieje pełna nazwa: „I Have Got the Blues To Day!: A Comic Ballad”, natomiast w środku została zamieszczona skrócona wersja „I Have Got the

Blues”). Słowa napisała Sarah M. Graham, zaś muzykę skomponował Gustave Blessner (1808 – 1888), znany twórca walców i mazurków, który pracował jako nauczyciel w stanie Nowy Jork i współpracował z Graham przy co najmniej jeszcze jednej komicznej balladzie („Nanny’s Mammy”).

„Près des Remparts de Séville”, znana również jako „Seguidilla”

Tytułowa bohaterka opery *Carmen* (1875), aresztowana z powodu bójki, podczas której użyła noża, śpiewa tę sławną arię, chcąc oczarować i podbić serce pilnującego ją sierżanta po to, by ją uwolnił. Muzykę skomponował Georges Bizet (1838 – 1875), francuski kompozytor, znany dziś przede wszystkim właśnie dzięki *Carmen*, swojej ostatniej operze. Artysta zmarł na zawał w wieku trzydziestu sześciu lat, święcie przekonany, że *Carmen* to absolutny niewypał. Autorami słów są Henri Meilhac (1831 – 1897) oraz Ludovic Halévy (1834 – 1908), którzy współpracowali ze sobą przez dwie dekady. Libretto opery oparli na opowiadaniu o tym samym tytule autorstwa Prospera Mérimée, który z kolei prawdopodobnie wzorował się na poemacie Aleksandra Puszkina pt. *Cyganie* (1824).

Rozdział 3: Szukając miasta

„I’m a Pilgrim” (*Szukając miasta*)

Ten hymn, będący alegorią podróży przez „kraj zły i ciemny”, był popularny wśród białych mieszkańców Południa i śpiewano go podczas nabożeństw. Słowa zostały opublikowane w *Southern Zion’s Songster* (1864) i opatrzone tytułem „I’m a Pilgrim”, bez podania autora, choć w rzeczywistości ów tekst zaczerpnięto z utworu Mary Stanley Bunch Dany Schindler pt. „A Pilgrim and a Stranger” (z tomu *The Northern Harp* z 1841 roku, który również wyszedł spod jej pióra) śpiewanego do włoskiej melodii „Buona Notte”. (Po wydaniu dwóch tomów

kalwińskich hymnów poetka, znana przede wszystkim jako MS. Dana, zaszokowała swoich wielbicieli, przechodząc na unitarianizm. Swoją duchową ścieżkę zakończyła w Kościele Episkopalnym).

W latach osiemdziesiątych XIX wieku „I’m a Pilgrim” został przejęty i zaadaptowany przez murzyńskie kościoły, w dużej mierze przyczyniając się do powstania w latach dwudziestych XX wieku pieśni z gatunku spirituals funkcjonującej pod takimi tytułami jak: „A City Called Heaven”, „Poor Pilgrim”, „Pilgrim of Sorrow”, „Tossed and Driven” i „Trying to Make Heaven My Home”. Z tradycji zapoczątkowanej przez hymn „I’m a Pilgrim” wywodzi się cała rodzina pieśni o samotnym wędrowcu, które można znaleźć w repertuarze wykonawców folkowych, bluesowych, gospelowych, country i bluegrass.

**Rozdział 4: Ona wypatruje, ona wyczekuje
„Musieu Bainjo”, znana również jako
„M’sieu/Misieu/Monsieu/Miché/Michi Banjo” lub „Voyez Ce Mulet Là” („Mister Banjo”, znana również jako „Look At This Buck Here”)**

W zbiorze *Slave Songs of the United States* (1867) utwór został opisany przez redaktorów jako pieśń niewolników, którą jeszcze przed wybuchem wojny secesyjnej usłyszała ich korespondentka na plantacji Good Hope w St. Charles Parish w Luizjanie. Opublikowali ją w wersji francuskiej, ale w 1887 roku inny redaktor stwierdził, że najczęściej śpiewano ją w gwarze kreolskiej i brzmiała ona mniej więcej tak: *Gardé piti milate, ti banjo! / Badine dan lamain, ti banjo! / Chapo en ho côté, ti banjo*. Jeszcze inni dopatrywali się źródeł tej piosenki w widowiskach muzycznych, tzw. minstrel show.

Słowo *mulet* zazwyczaj tłumaczone jest jako „dandys”, ale

w rzeczywistości ma ono jeszcze kilka innych znaczeń: kozioł (rozumiany jako samiec sarny, często jednak w języku angielskim używano tego terminu w odniesieniu do czarnoskórych niewolników płci męskiej), muł i Mulat (termin etymologicznie wywodzący się z hiszpańskiego słowa określającego muła). Piosenka wyśmiewa stereotyp czarnoskórego dandysa, wolnego mieszkańca miasta, który swój przydomek „banjo” zawdzięcza instrumentowi popularnemu wśród czarnoskórych muzyków. Słysząc w niej echa kilku popularnych tańców: bamboula, habanera i cakewalk.

„Le Tempes des Cerises” (Czas czereśni)

Ta wyciskająca łzy ballada została napisana przez francuskiego rewolucjonistę Jeana-Baptiste’a Clémenta (1836 – 1903) na wygnaniu w Belgii. W 1871 roku opublikował ją jego przyjaciel Antoine Renard (1825 – 1872). Jak głosi niepoparta żadnymi dowodami anegdota, Clément sprzedał Renardowi prawa do tekstu za futurzany płaszcz. Kiedy w 1870 roku dołączył do Komuny Paryskiej, jego towarzysze uczynili z tej pieśni swój hymn.

„Comence Ye Darkies All!”, znana również jako „Commence Ye Darkies” i „Commence, You Niggers All” (Gdy wesół na spacer wychodzę)

„Gdy wesół na spacer wychodzę” to czwarta zwrotka dodana (w 1854 roku) do piosenki, która po raz pierwszy została opublikowana w 1849 roku pod tytułem „Comence Ye Darkies All!” przez W. D. Corristera. Biały gitarzysta i autor piosenek, który mieszkał w Nowym Jorku w latach czterdziestych XIX wieku i w San Francisco w latach pięćdziesiątych, grywał z wieloma trupami wystawiającymi „minstrel shows”. Co ciekawe, ta ostatnia, dodatkowa zwrotka została zapamiętana najlepiej i wielokrotnie pojawiała się jako anonimowy tekst

w literaturze i artykułach prasowych pod koniec XIX i na początku XX wieku.

„The Housekeeper’s Tragedy”, znana również jako „The Housekeeper’s Woes/Complaint/Lament”, „Life is a Toil” i „Trouble and Dirt” (*Brud i udręka*)

„Zbyt wiele zgryzot na co dzień was nęka” to trzecia z dziewięciu zwrotek wiersza opublikowanego pod tytułem „The Housekeeper’s Tragedy” w „Arthur’s Lady’s Home Magazine” (tom 37, 1871 rok) przez Elizę Sproat Turner (1826 – 1903), która zamieściła go także w swoim zbiorze *Out-of-Door Rhymes*. Turner była często wydawaną pisarką, aktywistką działającą na rzecz praw kobiet, zniesienia niewolnictwa oraz praw zwierząt. Ten krótki tekst pojawił się w pięciostrofowej piosence zatytułowanej „The Housekeeper’s Woes” (której autorstwo przypisuje się H. A. Fletcherowi) w *It’s Naughty But It’s Nice Songster* z 1871 roku, a potem, z czterema dodatkowymi zwrotekami (również przypisywanymi H. A. Fletcherowi) w 1887 roku w zbiorze pod redakcją Richarda A. Saalfelda *Comical, Topical and Mottoe Songs*. Muzyka opublikowana w 1887 roku znacznie różni się od melodii, do której śpiewano ten tekst w latach osiemdziesiątych XIX wieku w różnych regionach Ameryki – obie wersje są autorstwa nieznanymi kompozytorów.

Badacze nie mogą dojść do porozumienia w kwestii wymowy owego utworu – jedni uważają, że jest to swoisty feministyczny protest song, inni zaś uznają go za wodewilowy żart. Osobiście skłaniam się ku pierwszej wersji, ponieważ bardziej prawdopodobne wydaje się, że komedianci pożyczili tekst Turner dla swoich satyrycznych celów, niż to, że pisarka skorzystała z kabaretowego tekstu i przedstawiła go w sposób poważny.

„Oh, California”, znana również jako „The California Song”, „I Came from Salem City”, „The Gold-Digger’s song” i „Oh, Ann Eliza”

Znana na całym świecie piosenka, będąca symbolem kalifornijskiej gorączki złota w 1849 roku. Śpiewa się ją do melodii utworu (który też w jakimś sensie parodiuje) pt. „Oh! Susanna” (1848) autorstwa Stephena Fostera (1826 – 1864), nazywanego „ojcem amerykańskiej muzyki”. Pierwotna wersja tekstu przypisywana jest imigrantowi Jonathanowi Nicholasowi. Późniejsze wersje różnią się od siebie zarówno szczegółami, jak i miejscem akcji. Ta, którą słyszą Jenny i Blanche, została opublikowana w tomie *Out West* z 1904 roku.

„Somebody’s Darlin” (*Ona wypatruje, ona wyczekuje*)

Początki tego utworu sięgają wojny secesyjnej, kiedy to najprawdopodobniej francuska imigrantka Marie Ravenal de la Coste napisała elegię dla poległego żołnierza – w owym czasie ów wiersz cieszył się w Ameryce ogromną popularnością. W latach sześćdziesiątych XIX wieku do tekstu powstało siedem różnych melodii, ale jedyna wersja, jaka przetrwała, to ta opublikowana w 1864 przez Johna Hilla Hewitta (1801 – 1890), urodzonego w Nowym Jorku „Barda Konfederacji”.

Rozdział 5: Vive la Rose

„There’s a Good Time Coming” (*Nadchodzą dobre czasy*)

„Nadchodzą dobre czasy” to słowa zaczerpnięte z wiersza przedstawiającego wizję utopii (1846) autorstwa szkockiego poety Charlesa Mackaya, dziś pamiętanego przede wszystkim z dzieła zatytułowanego *Extraordinary Popular Delusions and the Madness of Crowds*. Muzykę skomponował angielski kompozytor Henry Russell, natomiast w Ameryce, niezależnie od angielskiej wersji, muzykę napisał Stephen Foster (1826 –

1864). Foster jest autorem 156 piosenek, z których wiele stało się przebojami, jednak nie zarobił na nich fortuny, gdyż prawo autorskie w jego czasach było dopiero w powijakach. Zmarł w wieku trzydziestu siedmiu lat z zaledwie trzydziestoma ósmioma centami w kieszeni.

„If You’ve Only Got a Mustache”

Muzykę do tego utworu w 1864 roku skomponował Stephen Foster, a słowa napisał jego przyjaciel George Cooper (1840 –1927), który często pisał piosenki humorystyczne dla innych kompozytorów.

„Vive la Rose” (*Niech żyje róża*), znana także jako **„La Méchante”** (*Niegodziwiec*) i **„Mon Amant Me Delaisse”** (*Mój kochanek mnie opuszcza*)

Ta ludowa ballada o zdradzie była śpiewana w różnych regionach Francji. Poszczególne wersje różnią się od siebie słowami, a refren występuje w wielu innych piosenkach. „Vive la Rose” najprawdopodobniej pochodzi z XVIII wieku, lecz wszystko wskazuje na to, że po raz pierwszy została opublikowana dopiero w 1866 roku w zbiorze *Chants et Chansons Populaires des Provinces de l’Ouest* (Pieśni i popularne ballady zachodnich prowincji). To właśnie tę wersję śpiewa Jenny.

„The Love Sick Frog”, znana również jako „The Bull Frog”, „The Bullfrog Song”, „Frog Went a-Courtin”, „A Frog He Would a-Wooin’ Go”, „A Frog Went a Walkin’”, „Frog in the Well”, „The Frog’s Wooing”, „King Kong Kitchie Kitchie Ki-Me-O”, „There Lived/Was a Puddie/Puggie in the Well” i „Crambone”

Ta od zawsze popularna ballada powstała w języku szkockim w połowie szesnastego wieku, a jej pierwsza angielska wersja pojawiła się w druku już w 1611 roku. Wersja, którą

śpiewa Jenny, została opublikowana pod tytułem „The Love Sick Frog” w Dublinie ok. 1807 roku. Muzykę, napisaną z myślą o fortepianie lub harfie, skomponował irlandzki śpiewak, instrumentalista i kompozytor Thomas Simpson Cooke (1782 – 1848). David Hyland stworzył imponującą kompilację ponad 170 zwrotek ballady zaczerpniętych z 29 różnych źródeł; można ją znaleźć na stronie internetowej:

<http://home.earthlink.net/highying/froggy/froggy.html>.

Rozdział 6: Ledwie ciebie poznaję

„Home! Sweet Home!”, znana również jako „Home, Sweet Home” (*Nigdzie nie będzie tak dobrze jak w domu / Nie ma jak w domu*)

Piosenka została zapożyczona z opery zatytułowanej *Clari, Maid of Milan*, do której libretto napisał przebywający na emigracji amerykański aktor i dramaturg John Howard Payne (1791 – 1852), a muzykę – inspirowaną sycylijską melodią – skomponował angielski kompozytor Sir Henry Bishop (1786 – 1855). Podczas wojny secesyjnej zyskała popularność wśród obu wrogich armii i podobno została zakazana w szeregach Unii, gdyż wywoływała w żołnierzach uczucie nostalgii, które prowadziło do dezercji.

„Johnny, I Hardly Knew Ye” (*Johnny, ja ledwie ciebie poznaję*)

W krótkiej, bezbłędnej analizie zatytułowanej żartobliwie *The Best Antiwar Song Ever Written* z 2012 roku (*Najlepsza antywojenna piosenka na świecie*) Jonathan Lighter obala mit mówiący o tym, jakoby była to wywodząca się z osiemnastowiecznej Irlandii, tragiczna antywojenna ludowa ballada, która została później wypaczona, kiedy to w 1863 roku Patric Gilmore przerobił ją na prowójenny hymn „When Johnny Comes Marching Home”. Jak ustalił Lighter, owa pieśń została

skomponowana i opublikowana w 1867 roku przez angielskiego twórcę wodewilowego i kierownika sceny kabaretowej Josepha Bryana Geoghegana (1815 – 1889), który nawiasem mówiąc, spłodził w sumie dwadzieścioro jeden dzieci, zarówno z żoną, jak i z kochankami. Możliwe, że Geoghegan zaczerpnął szalone zawołanie „ahoo”⁹² z pieśni wykonywanej podczas „minstrel show”.

„Johnny, I Hardly Knew Ye” stał się ogromnym przebojem w repertuarze śpiewającego komika Harry’ego Listona i przez kilka pokoleń słuchaczy w Anglii, Irlandii, Stanach Zjednoczonych oraz Australii był odbierany jako esencja irlandzkiego humoru. Dopiero około 1915 roku, jak udowadnia Lighter, zmęczona wojną publiczność zaczęła traktować ten utwór poważnie. Irlandzki ruch republikański nadał balladzie wydźwięk antybrytyjski, a zaangażowani politycznie pieśniarze w latach pięćdziesiątych XX wieku zmienili tekst, aby wydobyć z niego to, co odczytali między wierszami jako przejaw rodzącego się antywojennego gniewu. Dziś pieśń ta śpiewana jest do melodii swojej poprzedniczki z 1863 roku, „When Johnny Comes Marching Home”.

„Some Folks” (*Niektórzy od trosk siwieją*)

Opublikowana w 1855 roku beztroska oda do indywidualizmu i „radości życia” to kolejny przebój autorstwa Stephena Fostera (1826 – 1864).

Rozdział 7: Daj się wygrzmocić

„How Can I Keep from Singing”, znana także jako „My Life Flows On in Endless Song” (*Pośród zamętu, wichrów, burz*)

Słynny hymn wywodzi się z wiersza pt. „Always Rejoice” opublikowanego w „The New York Observer” (7 lipca 1868), pod którym podpisała się „Pauline T.”. Inni przypisują autorstwo

wiersza Annie Bartlett Warner (1827 – 1915). Wiadomo natomiast na pewno, że autorem melodii jest amerykański pastor Kościoła baptystów (który skomponował również około pięciuset innych hymnów), Robert Lowry (1826 – 1899). Zamieścił on zarówno nuty, jak i tekst – podpisując się jedynie pod muzyką – w wydanym w 1869 roku śpiewniku *Bright Jewels for the Sunday School*, który pomógł zredagować.

„Old Aunt Jemima”, znana również jako „Aunt Jemima Ho Hei Ho” (Ciotka Jemima widziała to)

Piosenka wykonywana podczas widowisk „minstrel show”, zainspirowana pieśniami czarnoskórych niewolników, prawdopodobnie została napisana w 1875 roku przez Billy’ego Kersandsa (ok. 1842 – 1915), który często wykonywał ją na scenie. Ten niezwykle Afroamerykanin był pełnym wdzięku i gracji, prawie stukilowym akrobatą, który potrafił włożyć sobie do swoich ogromnych ust kilka kul bilardowych. Swoim popisowym tańcem *Essence of Old Virginia* zapoczątkował nową technikę taneczną – stepowanie.

Jednakże sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana. Otóż James (Jim) Grace, jego kolega po fachu występujący w zespole Callender’s Georgia Minstrels (najpopularniejsza afroamerykańska trupa teatralna), opublikował utwór „Old Aunt Jemima” w 1876 roku, twierdząc, że to on jest autorem słów i muzyki. Z kolei wersja, którą w 1876 roku słyszy Blanche – z tekstem wskazującym na poważne zagrożenia, jakie czyhają na związki międzyrasowe – została zamieszczona w książce *Jeremy Jollboy: Songster* autorstwa Sola Smitha Russella, „słowo w słowo tak, jak śpiewał ją Joe Lang”, biały wykonawca ucharakteryzowany na Murzyna, który był jednocześnie kierownikiem teatru. W 1873 roku pojawiła się publikacja zatytułowana *Joe Lang’s Old Aunt Jemima Songster*, tak więc

możliwe, że kompozytorem oraz pierwszym wykonawcą nie był ani Kersands, ani Grace, tylko Lang.

Wykonawcy tego utworu, niezależnie od koloru skóry, zazwyczaj występowali w damskim stroju. W 1889 roku tytuł piosenki stał się nazwą marki produktów śniadaniowych (naleśniki, syropy itp.), a mianem Aunt Jemima (Ciotka Jemima) zaczęto określać typową czarnoskórą kobietę, zwłaszcza zamieszkującą tereny wiejskie.

„Bang Away Lulu”, znana również jako „Bang, Bang, Lulu”, „(My) Lulu (Gal)”, „(My) Lulu Lula”, „She Is a Lulu” i „When Lulu’s Gone”

Wszystko wskazuje na to, że ten sprośny szlagier był popularny wśród szerokiej publiczności w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Anglii pod koniec XIX wieku, ale z powodu pruderii publikowano go jedynie w ocenzurowanych wersjach aż do drugiej połowy XX wieku. Ed Cray zamieścił ten zlepek różnych wersji, bez podania daty powstania, w pierwszym wydaniu swojego cudownego zbioru pt. *The Erotic Muse* (1968), nazywając go balladą południowych Appalachów i jednocześnie podkreślając, że zacytowane przez niego wersy to jedynie garść spośród setek wersji krążących w obiegu. W innych wariantach zamiast Lulu występuje (panna) Rosie lub Susie.

Rozdział 8: A gdy nadjedzie pociąg mój
„When the Train Comes Along”, znana również jako „When That Train Comes Along” (A kiedy nadjedzie pociąg mój)

Nowa amerykańska dziewiętnastowieczna forma muzyczna, „Negro spirituals”, czerpiąca zarówno z tradycji afrykańskiej, jak i europejskiej. „When the Train Comes Along” to utwór z gatunku „spirituals”, który został po raz pierwszy

opublikowany w 1909 roku w zbiorze *Religious Folk-Songs of the Southern Negroes* autorstwa Howarda W. Oduma. Wersja usłyszana przez Blanche powstała w 1913 roku i pochodzi z Wyspy Świętej Heleny w Południowej Karolinie. W 1930 roku opublikował ją Carl Diton w swoim zbiorze *Thirty-Six South Carolina Spirituals*. W latach dwudziestych XX wieku powstało wiele wariacji tej pieśni, która zyskała popularność także wśród białych wykonawców gospel i bluesa.

„I’ll Eat When I’m Hungry” (Gdy głód mi doskwiera)

Kilka linijek, które śpiewa Jenny, pojawiło się jako trzystrofowy utwór bez tytułu w książce *The Spirit of the Mountains* (1905) autorstwa Emmy Bell Miles (1879 – 1919). Różne warianty tej zwrotki typu „floating stanza” można spotkać w następujących balladach: „Rye Whisky”/ „Jack o’ Diamonds” i „The Cuckoo”, jak również w „Drunkard’s Song”, „Drunken Hiccups” i „(Way Up on) Clinch Mountain”. Jürgen Kloss, dzięki swoim niestrudzonym badaniom brytyjskiego/amerykańskiego rodowodu pieśni takich jak „Rye Whiskey” odkrył, że różne wersje czterowersza opowiadającego o jedzeniu i picu pojawiają się w utworach z czasów wojny secesyjnej („The Rebel Soldier”, „The Rebel Prisoner”), a nawet wcześniej, w angielskiej sztuce z 1737 roku pt. *The King and the Miller of Mansfield* autorstwa Roberta Dodsleya. Więcej informacji można znaleźć na stronie internetowej: <http://justanothertune.com/html/tarwathie.html>. („From ‘Earl Douglas’ Lament’ to ‘Farewell Angelina’: The Long and Twisted History of an Old Tune Family”).

„Who Gonna Shoe Yo’ Pretty Little Feet?” (Dziecinko moja, kto cię obuje?)

Zwrotka typu „floating stanza” opowiadająca o rozdzielonych kochankach jest zaczerpnięta ze szkockiej

ballady pochodzącej z połowy XIX wieku, znanej jako „The Lass of Loch Royale”. Wariacje strofy, w której pojawiają się buty/rękawiczki, były popularne w XIX i XX wieku w Ameryce, czasami wysuwając się na pierwszy plan w piosenkach będących zlepkiem różnych wersji, takich jak „Who Will Shoe Your Pretty Little Foot” i „Oh, Who Will Shoe My Foot”, częściej jednak stanowiąc jedynie element innych samodzielnych piosenek, w tym „Poor Boy”, „Don’t Let Your/My Deal Go Down”, „Fare You Well, My Own True Love”, „The True Lover’s Farewell”, „The False True Lover”, „(Fare You Well, My) Mary Anne”, „The Storms Are on the Ocean”, „Ten Thousand Miles” i „True Dove”.

Wersja śpiewana w *Muzyce żab* pochodzi z utworu „John Henry” (wariant E) – słynnej elegii oplakującej heroicznego czarnoskórego kolejarza, zamieszczonej w zbiorze *Negro Workaday Songs* pod redakcją Oduma i Johnsona (1926).

¹ Przytoczone tu fragmenty tej piosenki brzmią: „Śpij, moja dziecino, mój mały kurczaczku, mój tłuściutki rodzyнку. / Zdenerwujesz mnie, jeśli nie zaśniesz. / Zaśnij i śpij do jutra”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Co?

³ Cholera! (dosłownie: „gówno” – okrzyk wyrażający irytację)

⁴ klient prostytutki (dosłownie: „mały Michel”)

⁵ kusicielka, uwodzicielka (dosłownie: „ta, która świeci / podnieca”)

⁶ penisy (dosłownie: „cygara”)

⁷ zmierzch (dosłownie: „niebieska godzina”)

⁸ Wszystko w porządku, panienko?

⁹ urwisów (*gamin* – urwis, łobuziak, dziecko ulicy)

¹⁰ żabie udka w czarnym maśle

¹¹ mój stary przyjacielu

¹² Fraza: „Jak mawia pewien znany jegomość” odnosi się do Marka Twaina, którego Jenny wielokrotnie cytuje w swoich wypowiedziach.

¹³ Wynocha!

¹⁴ palant, dupek

¹⁵ Jak się masz, kochanie?

¹⁶ Blanche tancerka

¹⁷ Określenie *mac* to skrót od *maquereau* – kochanek / życiowy partner prostytutki

¹⁸ serdeczny kumpel / przyjaciel

¹⁹ Co za suka!

²⁰ życia wiedzionego przez bohemę

²¹ W świetle księżycy niewiele można zobaczyć.

²² idiota, błazen (dosłownie „srom”)

²³ Miło mi pana poznać.

²⁴ Nieważne
²⁵ mój przystojniaku
²⁶ Kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia
w miłości.

²⁷ mała przyjaciółka / dziewczyna, kochanka
²⁸ moja pchełko
²⁹ Słynny paryski cyrk zimowy, działający od 1852 r.
³⁰ Bzdury!
³¹ cholerny / przeklęty (dosłownie: „szatański”)
³² Francuzi
³³ rodzaj fotografii o niewielkich rozmiarach
³⁴ Panowie i panie, podano do stołu!
³⁵ Tradycyjny tytuł dyrektora cyrku, który pełni także
funkcję konferansjera.

³⁶ Książki, o których mowa, to kolejno: *Ragged Dick or Street Life in New York with the Boot Blacks* autorstwa Horatio Algera, *The Story of a Bad Boy* autorstwa Thomasa Baileya Aldricha.

³⁷ Rozumie mnie pani?
³⁸ ang. *Specials*, członkowie San Francisco Patrol Special Police – siły wspomagające policję, w skład których wchodzi zwykli obywatele patrolujący dzielnice miasta, opłacani przez policję. Służba powołana do życia w San Francisco w 1847 roku, w czasach gorączki złota.

³⁹ Dokładne tłumaczenie całej tej piosenki brzmi:
„Nadszedł koniec tygodnia / Kto zechce mnie pokochać? / Tego i ja pokocham / Kto zechce wziąć moją duszę? / Proszę bardzo, jest do wzięcia”.

⁴⁰ Kurwa! (okrzyk poirytowania lub zdziwienia)

⁴¹ Weź ją od tyłu!

⁴² cipka / srom (dosłownie: „kotka”)

- ⁴³ Ćśś, ćśś
- ⁴⁴ kupka
- ⁴⁵ Chodź tu, mój chłopcze.
- ⁴⁶ Jasna cholera! (dosłownie: „gówniana kurwa / dziwka” – okrzyk wyrażający wyjątkową irytację)
- ⁴⁷ Mój kochany (dosłownie: „moja miłości”)
- ⁴⁸ Biedne dziecko.
- ⁴⁹ Tzw. *crib girls*, prostytutki pracujące w najniższej klasy domu publicznym. Obsługiwały klientów w maleńkiej celi, z zakratowanym oknem wychodzącym na ulicę, przez które prezentowały swoje wdzięki. W ciągu jednej nocy przyjmowały klientów hurtowo, jednego za drugim.
- ⁵⁰ Co podać?
- ⁵¹ kapusta kiszona
- ⁵² Mam dość!
- ⁵³ O kurwa! (dosłownie: „gówniany burdel” – okrzyk wyrażający wyjątkową irytację, wzburzenie)
- ⁵⁴ szef
- ⁵⁵ przekłęci (*foutu* – dosłownie: „pieprzony”, „pierdolony”)
- ⁵⁶ pięknym kochasiem (*bel ami* – także: chłopak / partner, młody kochanek, ulubieniec kobiet)
- ⁵⁷ prawda? (określenie wyrażające naleganie)
- ⁵⁸ Podane niżej kolejne wersy piosenki brzmią: „Kapelusz na bakier, panie Banjo / Laseczka w dłoni, panie Banjo / Skrzypiące buty, panie Banjo”.
- ⁵⁹ Przykro mi
- ⁶⁰ Życie jest za krótkie na to, żeby pić złe wino.
- ⁶¹ Mowa o *Foreign Miner’s Tax*, podatku z 1850 roku, który władze stanu Kalifornia nałożyły na każdego cudzoziemca (głównie Azjatów i Meksykanów) zajmującego się wydobywaniem złota.

⁶² Przytoczone tu fragmenty tego walca brzmią w całości następująco: „Lecz czas czereśni jest bardzo krótki... / Czereśnie miłości w tej samej sukni... / Spadają spod liści kroplami krwi”.

⁶³ Dobranoc, moi przyjaciele.

⁶⁴ Wszystko w porządku.

⁶⁵ Hej, hej! / Hop, hop!

⁶⁶ żabie udka à la kurczak

⁶⁷ do zobaczenia wkrótce

⁶⁸ Powodzenia.

⁶⁹ Mowa o angielskim przymiotniku *free*, który oznacza zarówno „wolny”, jak i „darmowy”.

⁷⁰ Zamknij dziób!

⁷¹ tyłek (w szerszym znaczeniu „seks”)

⁷² Co za smród!

⁷³ A pieprz się, draniu!

⁷⁴ szczęśliwej podróży

⁷⁵ Najdroższa moja!

⁷⁶ Ale ja go już nie będę chciała / Niech żyje róża i bez!

⁷⁷ lesbijka, lesba

⁷⁸ Odpieprz się!

⁷⁹ Moje biedactwo

⁸⁰ alfonsom (*maquereau* lub *mac* – kochanek prostytutki, czerpiący zysk z uprawiania przez nią nierządu)

⁸¹ Co to jest?

⁸² Co się ze mną stało?

⁸³ Ang. *Kiss*, fonetycznie zbliżone do francuskiego *Qu'est*.

⁸⁴ asystent / pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego

⁸⁵ Nareszcie jest! / Nareszcie się zjawił!

⁸⁶ Zakon Odd Fellows – wywodząca się z Anglii organizacja dobroczynna, dosł. „dziwni towarzysze”, stąd gra słów zastosowana w dialogu przez autorkę.

⁸⁷ dzikie dziecko / wilcze dziecko

⁸⁸ w ciąży

⁸⁹ małżeństwo z rozsądku (dosłownie: „wygodny mąż”)

⁹⁰ Twoje zdrowie!

⁹¹ frytki

⁹² Ze względów stylistycznych (chodziło o znalezienie odpowiedniego rymu) słowo „ahoo” zostało przetłumaczone jako „ole”.

